

HORYZONTY

ZDARZEŃ

ROBERT J.

# SZMIDT



## ZWYCIĘSTWO ALBO ŚMIERĆ

POLA DAWNO ZAPOMNIANYCH BITEW  
TOM IV



Plik jest zabezpieczony Twoim wewnętrznym identyfikatorem transakcji

## O tomie pierwszym napisano:

„Autor kreuje łatwo przyswajalną wizję przyszłości, zbudowaną z klasycznych i dobrze znanych elementów, doprawioną odrobiną humoru, wartką akcją i zakamuflowanym nieco głębszym przesłaniem. (...) Szmidt serwuje bardzo popową, lekką lekturę z atrakcyjnym zakończeniem będącą jednocześnie obietnicą znacznie większego rozmachu i rozwinięcia zaprezentowanego świata w dalszych częściach. Warto czekać”.

[www.dzikabanda.pl](http://www.dzikabanda.pl)

„Zimny i brutalny jest wszechświat kosmicznych żołnierzy przyszłości z prozy Roberta J. Szmidta. (...) Jest misja, przymus, odpowiedzialność i smutek. I jeszcze wola przetrwania”.

Republika kobiet – Sylwia Skorstad

„Robert J. Szmidt – człowiek, od którego zaczęło się odrodzenie polskiej fantastyki w XXI wieku, który wymyślił i prowadził magazyn »Science Fiction«, kiedy wszyscy pukali się w głowę, że to totalny bezsens, wydał właśnie nową książkę. (...) To bardzo dobra, rozrywkowa space opera z ciekawymi bohaterami, wartką akcją i niepokojącymi pytaniami”.

Aleksander Kusz, [szortal.com](http://szortal.com)

Opinie z portalu [LubimyCzytać](http://LubimyCzytać) (362 oceny, średnia ocena: 7,38/10)

„Z taką książką nawet najbardziej ponury dzień człowiekowi nie przeszkadza. Żeby nie rozwlekać: *Łatwo być Bogiem* to stara dobra fantastyka, ale napisana po filmowemu. Chwilami miałem wrażenie, że oglądam rasowe SF w kinie”.

Wojtek Grabowski

„Ta powieść zupełnie mnie nie zaskoczyła. Czemu? Bowiem po tym autorze spodziewałem się dokładnie takiej prozy: ciekawej, dynamicznej fantastyki ze znakiem wysokiej jakości, która pod wierzchnią, rozrywkową warstwą stara się pytać o rzeczy ważne i znaczące. I to właśnie w najnowszej książce Szmidta dostałem”.

Konrad

„Moim zdaniem dzięki powieści *Łatwo być Bogiem* Robert Szmidt staje w szeregu wielkich mistrzów fantastyki, takich jak Asimov, Clarke czy Aldiss. Autor serwuje nam klasyczną, twardą kosmiczną fantastykę. I okazuje się, że z takiej fantastyki się nie wyrasta. Książka jest napisana świetnym językiem – żywym, autentycznym. I naprawdę trudno odrywać się od czytania”.

McRap1972

### **O tomie drugim napisano:**

„(...) wprowadza powiew świeżości do tego gatunku. Świetni bohaterowie, dynamiczna walka, plastyczne opisy. Czego chcieć więcej? Moja ocena to 9/10”.

[Ksiazkinawieczor.blogspot.com](http://Ksiazkinawieczor.blogspot.com)

„Powiedzieć, że druga część cyklu »Pola dawno zapomnianych bitew« Roberta J. Szmidta okazała się równie dobra, jak otwierająca serię powieść *Łatwo być Bogiem*, to jawne kłamstwo. *Ucieczka z raju* okazuje się książką jeszcze lepszą, świetnie rozwijającą niektóre wątki naszkicowane wątki swojej poprzedniczki (...). Z najnowszej książki Roberta J. Szmidta jestem zadowolony jak diabli!”

Gloskultury.pl

„Szmidt w najlepszej formie – to chyba wystarczająca rekomendacja tej książki

zawarta w jednym zdaniu. Każdy fan Roberta po tej kwestii powinien sięgnąć po tę pozycję, a ci, którzy z prozą Szmidta się dotychczas nie spotkali (są tacy?), powinni nadrobić braki”.

polacyniegesi.qs.pl

„Lektura kolejnych rozdziałów jest jak zjadanie pączka: przyjemna, z każdym kęsem coraz lepsza i z czekającą wewnątrz niespodzianką. Drugi tom cyklu »Pola dawno zapomnianych bitew« potwierdza, że Robert Szmidt ma świetne pomysły i potrafi doskonale prowadzić czytelnika... na manowce”.

geek-woman.blogspot.com

Opinie z portalu [LubimyCzytać](#) (179 ocen, średnia ocena: 7,85/10)

„Polecam każdemu miłośnikowi fantastyki i science fiction! Nie zawiedziecie się, słowo harcerza!”

Wojtek Grabowski

„Fantastyczne rozwinięcie wątków zasygnalizowanych w pierwszym tomie, do tego szczypta zagadek i niesłabnąca akcja. Bohaterowie, z którymi można się zżyć i za których trzyma się kciuki, wydarzenia, które nie pozostawiają obojętnym. A to wszystko rozgrywa się w kosmosie, którego wizja nadzwyczajnie do mnie przemawia. Może dlatego, że wychowałam się na filmach space operowych, które ta książka mi przypomina? Stare dobre SF w najlepszym wydaniu! Polecam gorąco”.

Jadche

„Pełnokrwisci bohaterowie, a do tego akcja, akcja i jeszcze raz akcja. Działo się tyle, że starczyłoby na kilka książek. Intrygi, podejścia, ratowanie całych planet, wojsko, flota kosmiczna, wojna, Obcy – miodzio”.

Jacek Wesołowski

HORYZONTY

ZDARZEŃ



ROBERT J.  
**SZMIDT**

**ZWYCIĘSTWO  
ALBO ŚMIERĆ**

POLA DAWNO ZAPOMNIANYCH BITEW  
TOM IV



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

# PROLOG

Jedna z zielonych sfer, którymi oznaczono na holomapie punkty wyjścia z nadprzestrzeni, zmieniła nagle kolor i zaczęła pulsować. Z każdym powiększeniem stawała się bledsza i żółciejsza.

– Trzy minuty do wyjścia – zameldował mechanicznym, choć przyjemnie brzmiącym głosem komputer *Miecza*. – Jeden obiekt... dwa... trzy... cztery... pięć... – Kolejne cyfry padały w równych interwałach. – Masa osiem koma jeden. Identyczna we wszystkich przypadkach.

Major Burescu przełączył skalę holomapy, przywołując zbliżenie tego sektora systemu. Dzięki równoległym transmisjom aż z czterech kwantowych stacji przekaźnikowych mógł obserwować sytuację w czasie rzeczywistym, i to zarówno przy samym punkcie skoku, jak i w pewnym oddaleniu od niego, tam gdzie znajdowały się długie kolumny jednostek przestrzennych zmierzających w kierunku trzech studni grawitacyjnych, które łączyły Harare z pasami F i G. Szybki rzut oka wystarczył, aby major zauważył, że nadlatujące t'iru zaraz po wyjściu z nadprzestrzeni znajdą się niebezpiecznie blisko jednego z tych szlaków.

Skoro jest ich w tej eskadrze aż pięć, pomyślał Burescu, niewykluczone, że podzielą siły, by dopaść tylu uciekinierów, ilu zdołają. Ja z pewnością tak bym postąpił.

Ma'lahn wyciągnęli słuszne wnioski z porażki na Sankt Petersburgu. Po utracie liniowca w starciu z połączonymi siłami drugiej i trzeciej floty zwiększyli liczebność swoich zespołów uderzeniowych niemal dwukrotnie. Takie przegrupowanie spowolniło tempo podboju Rubieży, lecz dla ma'lahn najważniejsze było bezpieczeństwo. Major Burescu nie dziwił się Obcym – przy długowieczności liczonej w dziesiątkach, a nawet setkach mileniów czas musiał



mieć dla nich drugo-, jeśli nie trzeciorzędne znaczenie. Czymże bowiem jest ziemski rok dla stworzeń, które na własne oczy oglądały narodziny *Homo sapiens*?

Co najwyżej mgnieniem oka, odpowiedział sobie w duchu Burescu, obserwując rejestrowane przez przekaźniki równoczesne zmiany kursów dziesiątków frachtowców i innych małych jednostek na wspomnianym szlaku. Harare w odróżnieniu od setek fałszywych kolonii był jednym z najgęściej zaludnionych systemów pasa H. I chociaż planowa ewakuacja trzech zamieszkałych planet i kilkunastu księżyców rozpoczęła się na długo przed zamilknięciem stacji tranzytowej – co było zwyczajowym ostatnim ostrzeżeniem przed nadchodzącym atakiem – jak widać, to nie wystarczyło.

Półtora miliarda ludzi stanowi populację tak ogromną, że nawet wysoko zaawansowana technologicznie cywilizacja dysponująca wieloma tysiącami jednostek z napędem nadprzestrzennym potrzebowała całych tygodni, by poradzić sobie z ewakuacją na taką skalę. Do dnia inwazji w systemie pozostało nie więcej niż cztery miliony kolonistów, z czego zdecydowana większość znajdowała się już na pokładach jachtów, barek i transportowców pędzących nieprzerwanymi strumieniami w kierunku wszystkich bezpiecznych studni grawitacyjnych, których przepustowość – z nieznanymi wciąż nauczycielom powodów – była niestety ograniczona do czterech obiektów na sekundę. To oznaczało, że gros uciekinierów czekających na możliwość wykonania skoku na Fomalhaut 7 musi ewakuować się w inny, o wiele wolniejszy sposób.

Ikonki symbolizujące jednostki cywilne zaczęły gasnąć na oczach majora – najpierw pojedynczo, później masowo. Wielu kapitanów uznało, że bezpieczniej będzie zniknąć z przestrzeni euklidesowej, niż ryzykować starcie z nadlatującym bezwzględny wrogiem.

– Minuta do wyjścia – zameldował ten sam mechaniczny głos.

Major wyprostował się w fotelu. W kwestii powstrzymania wroga niewiele mógł zrobić mimo najszczerzych chęci. Podległa mu eskadra składała się bowiem z trzech korwet rozpoznania drugiej generacji. Nie był więc w stanie

zagrozić ani jednemu t'iru, a co dopiero mówić o zespole uderzeniowym składającym się z pięciu liniowców. Nie był nawet w stanie wspomóc akcji ewakuacyjnej, ponieważ konstruktorzy jednostek klasy *Venom* nie przewidzieli miejsca dla większej liczby pasażerów. Poza tym otrzymał inne rozkazy.

Podobnie jak setki dowódców został wysłany w strefę działań wroga nie po to, by walczyć ani przyjmować na pokład ewakuantów. Przeciwnie, polecono mu trzymać się z dala od wiru wydarzeń bez względu na to, jak dramatyczny obrót by przybrały. Jego zadaniem było zarejestrować moment wyłączenia ekranów energetycznych t'iru. Dane pozyskane za pomocą niedawno zamontowanych czujników najnowszej generacji zostaną przepuszczone przez specjalne moduły analizujące, a jeśli wynik okaże się pozytywny, major Burescu wprowadzi do systemu kod, który ujawni mu dalsze – na razie ściśle tajne – rozkazy.

Tylko tyle wiedział, gdyż admiralicja nie raczyła go poinformować, czemu ma służyć ta dziwna misja, a plotek krążących po bazie i domysłów kolegów nie brał na serio.

W ciągu ostatniego półrocza wykonał już ponad dwadzieścia takich lotów, za każdym razem wracając z niczym, nie spodziewał się więc, że rutynowy wypad na Harare okaże się wyjątkiem od tej reguły. Nie obawiał się także spotkania z ma'lahn. Rozkazy precyzowały jasno, że korwety nie mogą znaleźć się bliżej niż piętnaście minut świetlnych od jednostek wroga, co dawało im praktyczną nietykalność. Jedyne, z czym załoganci *Miecza* musieli sobie radzić, to nieustanna nuda i poczucie narastającej frustracji, zwłaszcza gdy trafiali do systemów gęsto zaludnionych, takich jak Harare, gdzie ginęli prawdziwi ludzie, nie awatary stworzone przez speców od manipulacji.

Aczkolwiek major Burescu uważał, że nawet pobyt w systemach, które admiralicja poleciła zamienić w wabiki, bywa frustrujący. Wzdrygnął się na wspomnienie komunikatów odbieranych niekiedy z fałszywych kolonii. Te rozpaczliwe wezwania pomocy, błagania tak przejmujące, że człowiekowi aż jeży się włos na karku...

Programując te przekazy, fachowcy od wojny psychologicznej odwalili kawał

dobrej roboty, uznał Burescu. Gdyby nie poinformowano nas na odprawie, że to tylko mistyfikacja, miałbym spore problemy z powstrzymaniem ludzi przed rozpoczęciem nieregularnej akcji ratunkowej.

Dzięki istnieniu tych fałszywek Obcy tracili mnóstwo czasu na bombardowanie prowizorycznych zabudowań, w których nigdy nie powstała stopa człowieka. Iluzja była jednak tak doskonała, że kiedy Burescu postanowił z nudów przeskanować instalację na pobliskim księżycu, wykrył w jej wnętrzu liczne biosygnatury nieodbiegające niczym od normalnych. Ten, kto je stworzył, musiał być mistrzem w swoim fachu. Nawet komputery systemów bojowych nieodmiennie identyfikowały każdy z tych sygnałów jako odzwierciedlający kontakt z żywymi ludźmi.

– Wyjście pierwszego obiektu. – Zagłębiony w myślach major usłyszał krótki meldunek.

Skupił wzrok na przekazie stacji znajdującej się najbliżej punktu skoku. Zapętłony, kilkusekundowy obraz – t'iru zniszczył nadajnik kwantowy, gdy tylko ten znalazł się w zasięgu jego broni – pokazywał pięć lecących w równym szyku liniowym obco wyglądających okrętów. Ich kształty rozmywały się lekko na krawędziach, co było dowodem na to, że ma'lahn nie zapomnieli otrzymanej pół roku temu lekcji i spodziewając się ataku, ustawili ekrany energetyczne na maksimum mocy.

Drugi nadajnik kwantowy był umieszczony minutę świetlną dalej. I właśnie dane uzyskane za jego pomocą – o ile nie dojdzie do nieprzewidzianych komplikacji – posłużą systemom *Miecza* oraz pozostałych korwet do poszukiwań owego tajemniczego sygnału. Tym razem transmisja trwała całe sześćdziesiąt sekund. Mniej więcej w połowie przekazu obraz obcych jednostek uległ gwałtownemu wyostrzeniu. Ma'lahn, nie wykrywszy żadnych zagrożeń, wyłączyli osłony.

Gdy nadajnik stacji monitorującej umilkł, Burescu wydał rozkaz. Nie musiał nic mówić, wpisał odpowiednią komendę już dawno temu, wystarczyło więc nacisnąć klawisz komunikatora, by jej treść dotarła do dowódców pozostałych

jednostek.

Eskadra rozpadła się kilka sekund później. Trzy fregaty włączyły główne napędy i obrały kursy różniące się o sto dwadzieścia stopni kątowych, by Obcy, nawet gdyby podjęli próbę przejęcia eskadry, nie mieli najmniejszych szans na dopadnięcie wszystkich okrętów. To także był element misji zaplanowany przez admiralicję – przy liczonych w minutach świetlnych odległościach dzielących korwety od wroga nie mogło dojść do kontaktu bojowego, nawet gdyby t'iru rozwinęły maksymalną prędkość. Różnica w wysokości .1 świetlnej dawała im nad jednostkami ludzi sporą przewagę taktyczną, ale nawet przy jej pełnym wykorzystaniu Obcy potrzebowaliby wielu godzin na doścignięcie potencjalnych celów, a te mogły w razie zagrożenia opuścić przestrzeń euklidesową w ciągu minut, jeśli nie sekund.

Majorowi nakazano trzymać się pozycji oddalonych o pół godziny świetlnej od obserwowanego punktu skoku, aby w momencie odebrania pakietu danych każdy z trzech podległych mu okrętów zszedł z kursu nadlatujących liniowców Obcych i okrężną drogą ruszył w pobliże strefy skoku, pozorując ucieczkę. W razie niewykrycia sygnału wszystkie korwety ewakuują się do sąsiedniego pasa śladem jednostek cywilnych, co nie powinno wzbudzić najmniejszych podejrzeń wroga. Burescu nie wiedział, jakie otrzyma rozkazy, jeśli analizy wykażą obecność poszukiwanej anomalii. I niespecjalnie chciał się tego dowiedzieć.

Nie w tym systemie. Nie tego dnia.

Świadomość, że za każdym głosem wołającym o pomoc kryje się nie stworzony przez programistów awatar, lecz żywy człowiek, była na tyle przygnębiająca, że Burescu niemal natychmiast po przylocie na Harare nakazał zablokowanie łącz odbierających transmisje na częstotliwościach cywilnych, sobie tylko pozostawiając dostęp do kilku najważniejszych kanałów alarmowych. Zdawał sobie bowiem sprawę, że gdy na tutejsze planety dotrze wieść, iż Obcy wkroczyli do systemu, w eter popłyną setki tysięcy rozpaczliwych wezwań i komunikatów.

Według najbardziej optymistycznych szacunków (nie admiralicji, ale lokalnych władz) na trzech zamieszkanym planetach, kilkunastu księżycach i w reszcie instalacji krążących w systemie tej podwójnej gwiazdy utknie jakieś półtora miliona kolonistów. W stosunku do całości populacji – zaledwie promil, lecz w ludzkiej skali, która w takich chwilach ma o wiele większe znaczenie, będzie to liczba niewyobrażalna. Sama myśl o rozmiarach tragedii przyprawiała majora o depresję. Dlatego wołał, by jego podwładni w decydujących godzinach akcji nie zawracali sobie głowy nieszczęśnikami, których nie zdołano w porę ewakuować, mimo że Rada i admiralicja robiły co w ich mocy, aby zredukować straty do absolutnego minimum.

Na początku tej inwazji różnie bywało, lecz w miarę upływu czasu, gdy na Rubieże Wewnętrzne dotarły nie tylko okręty wojenne oddelegowane z kilku flot, ale też lecące za nimi zarekwirowane w reszcie metasystemów frachtowce i rdzeniowce, sytuacja uległa radykalnej poprawie. Już w połowie stycznia znacznemu zmniejszeniu uległ odsetek spisanych na straty kolonistów zamieszkujących systemy w pasach przygranicznych i co ważniejsze, tendencja ta wyraźnie się utrzymywała. Zdarzało się, że w wyniku akcji dezinformacyjnej i dzięki poświęceniu dowódców i marynarzy flota zyskiwała czas na wywiezienie całych, nieraz bardzo licznych populacji. W ciągu pół roku ze strefy zagrożonej ewakuowano parę miliardów ludzi przy stratach wynoszących tylko jedenaście milionów.

Burescu prychnął pod nosem. Na planecie, z której się wywodził, mieszkało sześć razy mniej kolonistów. Mimo to był pełen podziwu dla Farlanda i jego sztabu: ćwierć promila to naprawdę niewiele w stosunku do początkowo zakładanych przez admiralicję pięćdziesięcioprocentowych strat. Burescu często się zastanawiał, jak sam by postąpił, gdyby zrzędzeniem losu znalazł się na miejscu pułkownika Świąckiego, największego bohatera Federacji (przynajmniej zdaniem majora). Nie wierzył, że podołałby tak niewdzięcznemu zadaniu, i dziękował w duchu, że nie musiał dokonywać podobnych wyborów.

– Skanowanie w toku – zameldował komputer, gdy Burescu wcisnął kolejny

wirtualny klawisz, z przyzwyczajenia sprawdzając postępy poszukiwań. – Przeprowadzono analizę sześćdziesięciu czterech procent danych. Wynik nega... – Mechaniczny głos zamilkł niespodziewanie. Niecałą sekundę później, równie bezbarwnym tonem jak poprzednio, rozległ się nowy komunikat: – Namierzono poszukiwany sygnał.

– W dzeta czarnej dziury... – wymamrotał zaskoczony major, gestem uciszając wiwaty podwładnych.

Na mostku zapadła kompletna cisza. Otaczający go oficerowie i załoganci spoglądali na niego z wyczekiwaniem. Wielu zapewne zdążyło już pojąć, że właśnie stali się częścią historii. O tej chwili będą się rozpisywać w podręcznikach. Daty „czwarty marca dwa tysiące trzysta pięćdziesiątego piątego roku”, nazwy jednostki *Miecz*, a kto wie, czy też nie ich dwumianów i nazwisk, trzeba się będzie uczyć na pamięć do egzaminów na wszystkich akademiach.

Burescu, któremu po głowie krążyły podobne myśli, przyłożył opuszkę kciuka do pojemnika zawierającego kartę kodową ze ściśle tajnymi rozkazami. Pokazał wszystkim wąski pasek przezroczystego tworzywa oznaczony logo admiralicji, zanim wsunął go w szczelinę czytnika na głównym terminalu. Zastanawiał się przez moment, czyby nie odciąć stanowiska dowodzenia kokonem pola ochronnego, ale uznał, że nie ma to większego sensu. Towarzyszący mu ludzie już za chwilę będą musieli wykonać nowe rozkazy, których treść miał właśnie poznać.

Szybka, nerwowa lektura kilku linijek tekstu przyniosła mu ulgę. Spodziewał się niezwykle ryzykownej misji, tymczasem jego zadanie będzie polegać na podjęciu obiektu, który został wykryty przez systemy. Oczywiście bez wzbudzania podejrzeń Obcych. *Miecz* zbliży się do źródła sygnału, rozpocznie hamowanie, jakby chciał zaczekać na pozostałe jednostki eskadry, a gdy te znajdą się z powrotem w szyku, przyśpieszy ponownie. Z obiektem – czymkolwiek ów był – przytwierdzonym do jego poszycia.

Plan nie wymagał kontaktu z t'iru, czego major obawiał się najbardziej. Po

masakrze na Rwandzie stało się jasne, że admiralicja jest gotowa poświęcić całe zgrupowanie, byle osiągnąć zakładany cel, nawet jeśli miałby on być czysto propagandowy. Jak inaczej bowiem rozumieć straceńczą misję obsadzonych kryminalistami starych pancerników i eskortujących je krążowników i niszczycieli? Rada osiągnęła wymarzony sukces kosztem ogromnych strat w ludziach i sprzęcie, ale mogła zatkać gęby krytyków. Czy więc ktoś z jej członków przejąłby się losem kolejnych dziewięćdziesięciu sześciu osób, i to w systemie, który lada chwila stanie się grobem ponad miliona kolonistów? Burescu nie miał złudzeń, odetchnął zatem z tym większą ulgą, kiedy już zapoznał się do końca z treścią ściśle tajnych rozkazów.

– Wprowadzić żadaną korektę kursu i prędkości – polecił, udostępniając pionowi nawigacyjnemu pierwszy pakiet danych.

Drugi skierował do pozostałych jednostek eskadry, znajdujących się obecnie w odległości dwu sekund świetlnych. Wszystko zależało od skoordynowania ich ruchów tak, by wróg uznał postój *Miecza* w strefie skoku za coś naturalnego i nie domyślił się, że korweta przejmuje tajemniczą przesyłkę.

Major rozumiał, że ma do czynienia z niezwykle zaawansowanym sprzętem szpiegowskim, którego nawet ma'lahn nie zdołali wykryć. Sądząc po sygnaturze, na pewno nie było to urządzenie bazujące na elektronice. Nigdy wcześniej nie widział podobnej anomalii.

Czyżby naukowcy zdołali przechwycić i udoskonalić jakąś technologię Obcych? zastanowił się, zmieniawszy skalę obrazu na głównym ekranie, by zyskać szerszy ogląd sytuacji. Nie zdziwiłby się, gdyby tak właśnie było. Od zarania dziejów postęp technologiczny przyśpieszał podczas wojen.

T'iru nie rozerwały jeszcze szyku, ale to powinno ulec zmianie w ciągu najbliższego kwadransa, o ile analitycy floty prawidłowo przewidzieli rozwój wypadków. Liniowce dotrą wkrótce do punktu, w którym muszą się rozdzielić, by zaatakować równocześnie wszystkie główne cele, czyli trzy zamieszkane planety. Stacje orbitalne i instalacje przemysłowe na gazowych olbrzymach i w pasie asteroid zostaną zniszczone dopiero wtedy, gdy ostatnia kolonia

zamieni się w pył. Tak przynajmniej wyglądały poprzednie ataki ma'lahn na zaludnione systemy. Informacje uzyskane na wcześniejszych etapach inwazji posłużyły analitykom floty do stworzenia planu ewakuacji Harare, w którym pierwszeństwo w dostępie do środków transportu przydzielono mieszkańcom najbardziej zagrożonych obiektów.

Beta, na której mieściła się największa kolonia tego systemu, dzięki takiemu podejściu zamieniła się w martwą skałę już kilka godzin temu. Jedynymi formami życia na jej powierzchni były rośliny z porzuconych upraw hydroponicznych. Z Deltę odlatywały właśnie ostatnie frachtowce wypełnione przerażonymi ludźmi. Całą resztę dostępnych jednostek przekierowywano na Lambdę, najodleglejszą zamieszkaną planetę tego systemu, do której jeden lub dwa t'iru – jeśli Obcy zgodnie z przewidywaniami złamią szyk – dotrą trzy godziny później niż do opuszczonych kolonii.

Te sto osiemdziesiąt minut pozwoli na podebranie z pokrytego wieczną zmarzliną globu dodatkowych kilkunastu, może nawet kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców, na pewno jednak nie wszystkich oczekujących na ewakuację. Właśnie dlatego Burescu trzymał kciuki za to, by Obcy po raz pierwszy zmienili przyzwyczajenia i skoncentrowali wszystkie siły na niszczeniu infrastruktury Bety. Niestety zdawał sobie sprawę, jak płonne są jego nadzieje. Ma'lahn działali metodycznie niczym maszyny: systematycznie unicestwiali ślady bytności człowieka, nie przejmując się specjalnie nim samym, zupełnie jakby demolowanie zabudowań kolonii było ważniejsze od zabijania jej mieszkańców. Major nie słyszał o przypadku, w którym t'iru podjęłyby pościg za jednostkami ewakuującymi kolonistów. Liniowce ignorowały też całkowicie obecność niewielkich formacji okrętów wojennych floty, o ile te trzymały się w bezpiecznej odległości.

Sztabowcy oraz naukowcy widzieli tylko jedno sensowne wytłumaczenie takiego zachowania wroga. Człowiek nie jest w stanie przetrwać w przestrzeni; odbierając mu całą infrastrukturę, skazuje się go na zagładę.

Może i powolną z naszego punktu widzenia, przyznał w duchu Burescu, lecz



czymże są miesiące, niechby nawet lata z perspektywy istot żyjących tak długo jak Obcy?

Ma'lahn realizują swój plan, nie śpiesząc się i nie ryzykując niepotrzebnie, kontynuował rozmyślenia major, ale ta ostrożność i metodyczność w ostatecznym rozrachunku może przyczynić się do ich klęski. Albowiem dając nam czas, zamiast rozprawić się z nami raz a dobrze, umożliwiają ludzkości tworzenie nowych generacji broni, a także okrętów zdolnych stawić im czoło. Chaotyczna ucieczka przed Obcymi wkrótce dobiegnie końca, a ta misja, ten dzień, zapisze się złotymi zgłoskami w annałach jako najważniejszy punkt zwrotny tej wojny...

Burescu wyrwał się z zamyślenia, gdy jakiś ruch na ekranie zwrócił jego uwagę. T'iru – zgodnie z przewidywaniami analityków – rozdzieliły się na trzy zespoły. Dwa liniowce ruszyły w kierunku Bety, dwa kolejne obrały kurs na Deltę, a ostatni mknął nadal starym wektorem, by jak najszybciej uderzyć na wcięż ewakuowaną Lambdę.

Wróg nie podjął próby przejęcia uciekających jednostek i kompletnie zignorował omijające go szerokim łukiem korwety.

\* \* \*

W ciągu następnych trzydziestu minut niewiele się zmieniło. Pierwszy zespół uderzeniowy ma'lahn rozpoczął bombardowanie pobliskiej Bety, drugi utrzymał kurs na Deltę, a piąty t'iru gnał ku Lambdzie, wyciągając ponad .3 świetlnej, jakby jego załoga pozazdrościła siejącym już zniszczenie towarzyszym.

Major spoglądał na główny ekran mostka, analizując sytuację. Mimo braku zainteresowania ze strony wroga większość jednostek zmierzających w kierunku studni grawitacyjnych wybrała ucieczkę w podprzestrzeń, natomiast te nieliczne, które jeszcze się na to nie zdecydowały, schodziły na pełnym ciągu z wektorów podejścia, by jak najbardziej się oddalić od lecących w głąb systemu liniowców. Ostatnie frachtowce wychodzące z gęstej azotowej atmosfery Delty nie

próbowały nawet obierać kursu na strefę skoku, nie byłyby bowiem w stanie dotrzeć do niej, nie narażając się na przejście przez wrogie okręty. Nie mając alternatywy, musiały wybrać bezpieczniejszą – ale i wolniejszą – drogę do sąsiednich systemów.

To będzie bolesny cios dla chłopców planujących przyszłe akcje ewakuacyjne, uznał Burescu, sprawdzając podsumowania. Kilkudniowe opóźnienia w powrocie do bazy pomnożone przez liczbę wypadających z harmonogramu jednostek przyprawia o ból głowy niejednego oficera w pionie logistyki. Mimo to major nie winił kapitanów tych statków, gdyż na ich miejscu postąpiłby identycznie. Opóźnienie to tylko chwilowa strata sprzętu, pocieszał się. Zniszczenie statku wyłączyłoby go na zawsze z dalszych akcji ratunko...

Burescu otrzeźwiał w momencie. Jedna z ikon znajdujących się mniej więcej w połowie wektora łączącego Deltę ze strefą skoku zapłonęła krwistą czerwienią. Przeważająca większość znaczników pokrywających wielki ekran świeciła uspokajającą zielenią, poprzątkaną tu i ówdzie migoczącymi plamkami żółci w rozmaitych odcieniach. Czerwonych plamek major naliczył dwanaście, ale tylko jedna z nich pulsowała jak szalona.

Na Harare skierowano tego dnia ponad tysiąc trzysta jednostek przestrzennych – w tak ogromnej masie sprzętu musiało dojść do szeregu mniej lub bardziej poważnych awarii, aczkolwiek do tej pory zgłoszono ich zaskakująco mało, jeśli wziąć pod uwagę wiek oraz stopień wysłużenia statków biorących udział w akcji ratunkowej. Z tuzina całkowicie niesprawnych zaledwie jeden wzywał pomocy. Reszta bądź już miała zapewnione wsparcie techniczne, bądź liczyła na rychłe poradzenie sobie z problemem.

Burescu powiększył obraz sektora, z którego nadchodziły wezwania. Gdy pulsujący czerwienią znacznik znalazł się w centrum ekranu, komputer wyświetlił dane dotyczące obserwowanej jednostki.

– A niech mnie... – mruknął major, skupiając całą uwagę na nowych odczytach.

*Ianthy McDonald*, wycieczkowiec transsystemowy klasy *Mgławica*, jeden

z najstarszych, jakie wciąż krążyły po metasektorze, ale wciąż sprawny i często wykorzystywany. Awaria wysłużonego reaktora. Bardzo poważna, jeśli wierzyć napływającym na bieżąco raportom.

Burescu wrócił wzrokiem w prawy dolny róg ekranu, gdzie system wyświetlał informacje techniczne jednostki. Odszukał liczbę, która interesowała go najbardziej, po czym zmełł w ustach przekleństwo. Nagle przestał się dziwić panikarskiemu tonowi komunikatów wysyłanych w przestrzeń przez kapitana Cusslera.

Dziewiętnaście tysięcy stu osiemdziesięciu pięciu ewakuantów i ośmiuset dwunastu członków załogi. Razem prawie dwadzieścia tysięcy ludzi. Niemal dwa razy więcej, niż powinno się znajdować na pokładzie tego luksusowego giganta. Nie to jednak wzbudziło niepokój majora, który wiedział, że wycieczkowce buduje się tak, by oferowały pasażerom poczucie swobody, dzięki czemu nie brakuje na nich wolnej przestrzeni.

Burescu poddał sytuację wnikliwej analizie, trzykrotnie przeliczył wszystkie wektory i czasy i uległ wyraźnemu zdenerwowaniu. Opadł ciężko na oparcie fotela i raz jeszcze wszystko dokładnie przemyślał, zanim palcem wskazującym musnął wirtualny klawisz komunikatora.

– Konradamie – powitał zaskoczonego Fahrیدا, współdowódcę *Miecza*, ledwie jego stanowisko spowił kokon pola ochronnego.

– Andremy – odparł komandor, mierząc rozmówcę uważnym spojrzeniem. Spostrzegłszy jego minę, natychmiast odciął się od reszty mostka nawigacyjnego złotawym ekranem. – Jakiś problem?

– Spójrz na to! – Plik z danymi wycieczkowca trafił na konsolę współdowódcy *Miecza*.

– Nie myślisz chyba... – Prócz zaskoczenia w oczach Fahrیدا widniała także złość.

– Popatrz na wyliczenia – poprosił major.

– Wszystko pięknie, ale mówimy tutaj o niesubordynacji. To byłoby złamanie rozkazu! Poza tym... – Komandor zamilkł, jakby ugryzł się w język.

– Poza tym co?

– Nic. Nieważne. – Fahrid zabrał się do przeglądania plików. Co chwilę wpisywał coś nerwowo, a gdy wyniki okazywały się nie po jego myśli, marszczył nos w typowym dla niego grymasie frustracji.

– Sam przeliczyłem to trzy razy – odezwał się w końcu major. – Jesteśmy ich jedyną szansą.

– Ale co my możemy? – obruszył się komandor. – Nie przejmujemy załogi i ewakuantów. Nie naprawimy awarii reaktora. A bez niego...

– Nie zamierzam próbować ani jednego, ani drugiego – zapewnił Burescu. – Nie mamy na to czasu.

– Jaki masz zatem plan?

– Będziemy robili za holownik.

– Oszalałeś?! Jeśli przerwiemy misję, admiralicja obedrze nas ze skóry. Gdybyśmy nie odebrali tego pieprzonego sygnału, może... ale tylko może... zdołałbyś się jakoś wyłgać, lecz w tych okolicznościach... – Znienacka w oczach Fahrida pojawił się błysk. – Poszukajmy, kto w tamtym sektorze może przycumować do tego giganta i...

– System sprawdził wszystkie jednostki cywilne znajdujące się w pobliżu. To sama drobnica niedysponująca sprzętem pozwalającym na przeprowadzenie takiej akcji.

– Poczekaj. – Komandor znów zaczął coś wpisywać.

– Nie męcz się, sprawdź załącznik numer osiem.

Fahrid spojrzał na majora spode łba, ale postąpił zgodnie z jego radą.

– Musi istnieć inne rozwiązanie – rzucił w końcu, przenosząc wzrok z wyświetlacza na hologram współdowódcy.

– Bardzo bym chciał, aby tak było – oświadczył z powagą Burescu.

Fahrid spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie zgadzam się. Nie chcę trafić pod sąd w chwili, gdy... – Znów urwał w pół zdania, jakby bał się podzielić na głos myślą.

– Wyduśże to z siebie. – Burescu postanowił go przycisnąć. Doskonale

wiedział, co komandorowi chodzi po głowie. – Nie chcesz stracić okazji, by zapisać się na kartach historii.

– O czym ty mówisz?

– O tym, czego nie zdołałeś aż dwukrotnie zwerbalizować.

– Bzdura.

– Znam cię nie od dzisiaj. Ja też już się cieszyłem, że ktoś kiedyś dowie się o nas i tej misji. Z tym że ja nie chcę zostać bohaterem za cenę życia setek tysięcy ludzi.

– Jakich znowu setek? Na pokładzie tego wycieczkowca jest tylko...

– Sprawdziłeś logi? *Ianthy McDonald* zalicza się do trzydziestu największych jednostek, które zarekwirowano na potrzeby ewakuacji. W ciągu ostatnich trzech miesięcy przerzucił prawie pół miliona osób! Jeśli go ocalimy, po niezbędnych naprawach wróci do ratowania kolonistów.

– Albo i nie wróci. Te raporty czarno mu wróżą. Awaria...

– Nie zmieniaj tematu. Mamy spore szanse na przycumowanie i rozpoczęcie holowania, zanim dopadnie ich ostatni t'iru. Tylko musimy działać natychmiast.

– Gdyby Obcy mieli na niego chrapkę, już byśmy o tym wiedzieli.

Burescu nie odpowiedział, przesłał za to kolejne dane. Fahrid zbladł. Liniowiec przed kilkunastoma sekundami wystrzelił salwę pocisków kinetycznych. Wektory ich kursów przebiegały dokładnie przez miejsce, w którym znajdował się unieruchomiony wycieczkowiec.

– Dasz radę żyć ze świadomością, że pozostawiłeś na pewną śmierć te dwadzieścia tysięcy ludzi, nie mówiąc już o odebraniu nadziei na ratunek setkom tysięcy innych kolonistów?

– Wydano nam jasne rozkazy...

– ...które mówią, że mamy podjąć jakieś cudactwo wykryte przez nasze czujniki. My, czyli któryś z okrętów naszej eskadry.

– Nieprawda. Wyraźnie napisano, że to zadanie *Miecza*.

– Serio? Ja tam widzę zapis, że w razie awarii albo innych niespodziewanych okoliczności, w tym zagrożenia, wykonanie misji przypada kolejnej jednostce

eskadry.

– Ale nam nic nie grozi! – Fahrid podniósł głos. – Mamy w pełni sprawne...

– *Szabli* i *Rapierowi* także nic nie grozi. Ale tylko my z naszej eskadry jesteśmy wystarczająco blisko uszkodzonego wycieczkowca, by zdążyć go odholować. Tylko my lecimy wystarczająco szybko – przypomniał o nakazanej przez admiralicję zmianie kursu i prędkości.

– Trafimy pod sąd za narażenie tak ważnej misji!

– Nikt nie będzie nas sądził, ponieważ niczego nie narażamy! Sprawdź załącznik jedenasty. Masz tam dokładne wyliczenia mówiące, że *Szabla* i *Rapier* mogą wykonać zadanie bez naszego udziału.

– Nie. – Komandor pokręcił zdecydowanie głową. – Nie zgadzam się.

Major uśmiechnął się krzywo.

– Rozkazy zostały już wydane.

– Co?!

– To, co słyszysz. Wysłałem już rozkazy na pozostałe korwety.

– Nie miałeś prawa! – wybuchnął Fahrid. – W tym momencie dowodzenie *Mieczem* należy do pionu nawigacyjnego!

– Mylisz się, przyjacielu. Zgodnie z przepisami przejąłem dowodzenie w chwili, gdy piąty t'iru wykonał wrogi ruch wobec naszej jednostki.

– Wycieczkowiec nie należy do floty!

– Technicznie biorąc, został przez nią zarekwirowany, ma więc tymczasowy status okrętu floty metasektora – zauważył Burescu.

– Zgłaszam oficjalny protest!

– Wasz protest, komandorze Fahrid, został oficjalnie odnotowany w dzienniku pokładowym. Niniejszym odrzucam go w całości. Zasadność mojej decyzji zostanie rozpatrzona przez odpowiednią instancję natychmiast po powrocie do bazy. A teraz proszę wykonać rozkaz 27H albo pozbawię pana stanowiska na mocy przysługujących mi uprawnień.

– Andremy, u licha, co ty robisz?

– Zachowuję się jak człowiek.

– Ale...

– Bez obaw, Konradamie, tak czy inaczej trafimy do podręczników. W końcu to my dowodzimy przełomową misją, nie ma zatem takiej możliwości, by historycy pominęli nasz udział. A jeśli uda nam się ocalić ewakuantów i załogę wycieczkowca, na co mamy spore szanse, spłynie na nas dodatkowa sława.

– Ty i to twoje uwielbienie dla Święckiego! – prychnął Fahrid.

– Cofasz swój protest czy nie? – rzucił major ostrzegawczym tonem.

– Nie. Nie stanę przed sądem polowym tylko dlatego, że chcesz dorównać jakiemuś lansowanemu przez admiralicję przydupasowi Farlanda!

– Jak sobie życzysz.

– Popamięć...!

Burescu przerwał połączenie i wrzaski komandora umilkły jak nożem ucięte. Nie spodziewał się po swoim współdowódcy aż takiego uporu. Co więcej, zgłoszenie przez Fahrیدا oficjalnego protestu będzie miało poważne skutki, nawet jeśli ta operacja zakończy się sukcesem. Pion prawny admiralicji pochyli się nad sprawą, a co za tym idzie, Burescu tak czy inaczej stanie przed komisją albo i sądem.

Tym jednak będę się martwił dopiero wtedy, gdy wrócimy na Anzio, zdecydował major po chwili namysłu. Znacznie ważniejsze jest teraz opanowanie sytuacji. Konradam z pewnością nie podda się tak łatwo. Wśród załogi może dojść do niepotrzebnych napięć i podziałów...

Major przypomniał sobie miny podwładnych po ogłoszeniu wykrycia sygnału. Mogli przez niego poczuć się zawiedzeni. Okradał ich przecież z chwały i sławy, której nigdy więcej nie zaznają w takiej skali. On jako dowódca misji miał zarezerwowane miejsce w historii, oni – jeśli *Miecz* nie podejmie źródła sygnału – trafią na jej śmietnik.

Muszę się dobrze przygotować, zdecydował, muszę znaleźć argumenty, które przemówią im do rozumu.

Po chwili zastanowienia aktywował alarm bojowy. Niech ludzie udadzą się na stanowiska. Niech mostek bojowy zostanie odcięty od reszty okrętu. Dzięki

temu wszystkie ważne systemy korwety będą podporządkowane jemu i tylko jemu.

Co więcej, Konradam straci możliwość sabotowania zmian kursu. Jeśli ponownie odmówi wykonania rozkazu, jego obowiązki przejmie rezerwowy sternik znajdujący się w tym momencie na mostku bojowym. Tak to działało. Dowodzić mogła tylko jedna osoba. Podczas lotów był nią szef pionu nawigacyjnego, lecz w trakcie walki cała odpowiedzialność przechodziła na dowódcę pionu bojowego. A chyba nie trzeba było nikogo przekonywać, że ten system stał się właśnie polem walki.

Burescu sięgnął do przycisku dezaktywującego ekran izolujący, ale zawahał się i zatrzymał rękę w pół ruchu. Zanim rozpocznie to przedstawienie, powinien zadbać o jeszcze jeden szczegół. Włączył komunikator, wyszukał i odblokował kanały alarmowe, na których pracowały nadajniki *Ianthy'ego McDonalda*. Niech ludzie zobaczą i usłyszą, dlaczego chce zmienić rozkazy. Wybranie odpowiednich fragmentów nie zabrało mu wiele czasu. Niemal cała transmisja składała się z lamentów i błagań, nie tylko kapitana Cusslera, lecz także innych członków załogi, a nawet paru bardziej wpływowych pasażerów, którzy mieli w swoich kajutach dostęp do systemu łączności.

Zaczerpnął głębiej tchu, by uspokoić nerwy. Wiedział, że pierwsze sekundy starcia z własną załogą będą krytyczne. Jeśli zdoła podporządkować sobie ludzi – a jako oficer z wieloletnim stażem wiedział, jak tego dokonać – bez problemu przeciągnie ich na swoją stronę. Nie mógł tylko dać im czasu na myślenie.

Złocisty kokon rozwiął się w powietrzu. Burescu zerwał się z fotela, otworzył usta, by wydać pierwszy rozkaz, i... zamarł.

Syreny nie wyły, czerwone lampy nie migąły ostrzegawczo. Podoficerowie pełniący służbę na mostku stali wokół stanowiska dowodzenia, spoglądając na niego wyzywająco. Ale to nie ich zacięte miny odebrały mu mowę, lecz widok pistoletów wymierzonych prosto w jego pierś.

– Co to ma znaczyć?! – Odzyskał rezon dopiero po kilku wlokących się całą wieczność sekundach. – Czyście do reszty poszaleli?! Podnosicie broń na



dowódcę?

Nawet nie mrugnęli okiem. Za to on drgnął, gdy usłyszał dobiegający zza pleców drżący z emocji głos bosmana Lefebre'a. Ci, na których patrzył, nie śmieli wypowiedzieć tych słów.

– Majorze Burescu, aresztuję pana z rozkazu komandora Fahrida!

– Pod jakim zarzutem?

– Cięży na panu zarzut złamania paragrafu trzysta dwudziestego pierwszego regulaminu floty – wyrecytował nieco pewniejszym tonem podoficer.

– Co takiego?! – Burescu odwrócił się do niego gwałtownie. – Zarzucacie mi zdradę?

– Sprzeniewierzenie się rozkazom przełożonych podczas wojny jest aktem zdrady.

Major znów musiał się odwrócić. Przeklinał w myślach swoją zapobiegliwość, przez którą dał temu idiocie czas na zmontowanie puczu. Fahrid stał w otwartej na całą szerokość grodzi i uśmiechał się tryumfalnie.

– Zapłacisz mi za to, Konradamie! – wysyczał Burescu, czując narastającą wściekłość. – A wy – przesunął palcem po mierzących wciąż do niego podwładnych – odpowiecie za bunt razem z nim. To spisek! Zmowa! Ja dowodzę tym okrętem od momentu, w którym jednostka Obcych ostrzelała unieruchomionego *Ianthy'ego McDonalda!*

– W chwili wydania rozkazu zmiany kursu znajdowaliśmy się osiemnaście minut świetlnych od miejsca odpalenia pocisków. To trzy minuty więcej, niż stanowi wymagane regulaminem maksimum – oświadczył pewnym tonem komandor.

Burescu zaklął w duchu. Że też ta kanalia musiała to zauważyć. To był jedyny słaby punkt jego planu. Jedyny!

– Majorze! – ponaglił skośnooki bosman. Pas z bronią boczną trafił w jego rękę. – Do czasu powrotu na Anzio pozostanie pan w areszcie domowym. Bez prawa opuszczenia własnej kajuty.

Fahrid rozgrywał sytuację po mistrzowsku, ale major miał jeszcze jednego asa

w rękawie. Zanim opuścił stanowisko dowodzenia, pochylił się wolno nad konsolą terminala i nacisnął klawisz komunikatora. Na wszystkich ekranach pojawiła się zapętlona transmisja z wycieczkowca. Paniczne wrzaski w tle nie zdołały zagłuszyć słów wypowiedzianych pośpiesznie przez dowódcę unieruchomionego giganta. W głosie mężczyzny kryło się tak wielkie przerażenie, że każdy z obecnych na mostku musiał poczuć mrowienie na karku, gdy słuchał rzucanych w eter wezwań.

– Dwadzieścia tysięcy ewakuowanych czeka na ratunek, który tylko my możemy przynieść! – Wyprostowany znowu szef pionu bojowego powiódł ostrym spojrzeniem po twarzach podwładnych.

Nie mieli zbyt pewnych min, ale nie odpuścili, na co skrycie liczył major. Nadal mierzyli w niego z broni służbowej, tyle że zerkali od czasu do czasu na ekrany.

– Rozkazy admiralicji zabraniają nam angażowania się w akcję ewakuacyjną!  
– Konradam podszedł gniewnym krokiem do stanowiska łączności, by wpisać komendę blokującą przekaz.

Próżny twój trud, pomyślał z satysfakcją Burescu. Na tę akurat ewentualność dobrze się zabezpieczył.

– Rozkazy admiralicji niczego nam nie zabraniają. Interpretujesz je na swoją korzyść, ponieważ srasz w gacie ze strachu, że przerywając misję, stracisz szansę na medal. Pozwolisz więc zginąć dwudziestu tysiącom niewinnych ludzi, których możemy bez trudu ocalić, nie mówiąc o setkach tysięcy kolonistów z innych systemów, których ten wycieczkowiec mógłby uratować w kolejnych akcjach, tylko dlatego, by trafić do podręczników!

Fahrid posłał mu miazdzące spojrzenie.

– To twój punkt widzenia.

– Tylko na tyle cię stać? – Major nie odpuszczał, szedł za ciosem. – Nie masz dla mnie nawet żadnej kontry? Wolisz wykręty, kanalio! Patrz. – Wskazał na główny ekran i zapłakane kobiety tłoczące się przed kamerą prywatnego nadajnika w pierwszej klasie. – Patrz! To są twarze ludzi, których skazujesz na

pewną śmierć! Których wy wszyscy skazujecie – znów powiódł wzrokiem po podwładnych – biorąc udział w tym buncie!

– Wyprowadzić aresztowanego! – Konradam także podniósł głos. – I wyłączyć mi ten przekaz! – rzucił gniewnie w kierunku podoficera odpowiedzialnego za stanowisko łączności.

– Daję wam ostatnią szansę! – Burescu próbował się wyrwać z silnego chwytu kilku par rąk. – Jeśli opuścicie broń, odstąpicie od tego spisku i aresztujecie tę kanałię, zapomnę o wszystkim!

Nie słuchali go jednak. Rozbrojony i upokorzony został zaciągnięty na tyły mostka i wepchnięty do klaustrofobicznie ciasnej kajuty.

\* \* \*

Burescu nie drgnął nawet, gdy jego terminal wydał serię cichych piknięć świadczących o tym, że ktoś próbuje się z nim skontaktować. Mimo to wyświetlacz zapłonął bladym błękitem. Konradam ominął zabezpieczenia blokady, korzystając z uprawnień dowódcy *Miecza*.

– Chcę, żebyś coś zobaczył – rzucił zdawkowo komandor.

– Aresztant nie wyraża zainteresowania, kanałio – odburknął major, który wciąż nie umiał przeboleć porażki, a zwłaszcza stylu, w jakim został pokonany.

– Patrz, nie gadaj!

Czujniki wyświetlacza ustaliły położenie głowy Burescu i kierunek, w którym była zwrócona, by wyświetlić hologram na wprost jego oczu. Major przymknął powieki w rozpaczliwej próbie buntu, lecz uchylił je moment później, gdy rozpoznał charakterystyczny zaśpiew w dziwnie radosnym tonie kapitana Cusslera.

Transmitowany przekaz składał się z kilku strumieni danych. Na jednym Burescu miał ogląd sytuacyjny z mapą wycinka sektora upstrzoną ikonkami przelatujących przezeń jednostek i dziesiątkami krzyżujących się wektorów. W drugim oknie widział twarz dowódcy wycieczkowca, trzecie zaś pokazywało

ukryte w półmroku pomieszczenie, zapewne mostek jakiegoś innego statku.

Kilka sekund wystarczyło, by major zrozumiał powody, dla których Kontradam udostępnia mu te obrazy. Chciał go zwyczajnie dobić, pokazując, że cywile są zmyślniejsi, niż mogłoby się wydawać, i że sami znaleźli sposób na ocalenie unieruchomionego giganta. Burescu objął wzrokiem pozostałe strumienie danych i poczuł, jak krew zaczyna mu krążyć szybciej w żyłach.

– Twoja żalсна próba dorównania Świąćkiemu była absolutnie zbędna – zadrwił z niego Fahrid.

– To przekaz w czasie rzeczywistym?

– Tak. Po twoim aresztowaniu wysłałem do tego sektora ostatni przekaznik kwantowy.

– Chciałeś mnie upokorzyć jeszcze bardziej? – warknął Burescu, nie odrywając oczu od wirtualnych ekranów, które rozdzielił kilkoma ruchami prawej ręki, aby mieć lepszy widok.

Wydarzenia nabierały tempa z sekundy na sekundę. Na wezwania giganta odpowiedziało kilka znajdujących się w sąsiednich sektorach jednostek cywilnych. Wśród nich był transportowiec wypełniony ciężkim sprzętem górniczym. Z manifestu pokładowego wynikało, że frachtowiec ten przewozi dostawę nowych maszyn dla kopalń orbitalnych Omikrona, bliższego z gazowych olbrzymów. Z tej właśnie latającej bazy przed momentem wystartowały cztery jednostki. Trzy platformy grawitacyjne (masywne, choć bardzo prymitywne urządzenia służące do podtrzymywania orbitalnych rurociągów) oraz ciężki pchacz, który kursował pomiędzy nabijarkami a terminalami, przewożąc kontenery.

Rzut oka na wektory powiedział majorowi więcej niż śledzenie prowadzonych rozmów. Ktokolwiek dowodził transportowcem, miał jaja... i równie wielką głowę. Plan był prosty. Platformy posłużą za ruchome cele. Znalazłszy się pomiędzy wycieczkowcem a wystrzelonymi w jego kierunku pociskami, ulegną zniszczeniu, podobnie jak uderzające w nie rdzenie kinetyczne. Burescu zapomniał na moment o własnej mizerii. Z rosnącą satysfakcją przyglądał się,

jak kanciaste urządzenia rozkładają wszystkie swoje podpory i wysięgniki, aby zwiększyć powierzchnię i tym samym zmaksymalizować szanse na przechwycenie pocisków.

Kapitan frachtowca musiał służyć u nas, uznał Burescu. Nie oderwał jednak wzroku od wirtualnych ekranów, by sprawdzić, z kim ma do czynienia. Zbyt wiele działo się na jego oczach, żeby zawracał sobie głowę tak mało istotnymi detalami.

Platformy, manewrując dyszami kierunkowymi, starały się kompensować każdą zmianę kursu nadlatujących pocisków. Były wolniejsze od broni Obcych, lecz ich operatorzy wiedzieli, że tym razem nie muszą oszczędzać paliwa, dawali więc z siebie wszystko. W tym starciu liczyły się także rozmiary, a te działały na korzyść potężnych urządzeń, których zadaniem było podtrzymywanie w przestrzeni całych kilometrów grafenowych rur. Pajęczyny azurowych wysięgników miały setki metrów długości, dzięki czemu po wprawieniu platform w ruch wirowy powstały bardziej niż doskonałe tarcze. Uwadze majora nie umknął bowiem fakt przesterowania reaktorów.

Dwa pierwsze rdzenie kinetyczne, mimo że ostro kluczyły, zostały przejęte z chirurgiczną precyzją. W ich niewielkich zbiornikach znajdowało się zbyt mało paliwa, aby mogły wygrać tę walkę. Trzeci, najmasywniejszy, okazał się twardszym orzechem do zgryzienia. To on miał zadać decydujący cios osłabionej dwiema wcześniejszymi eksplozjami jednostce. I to on przebił się przez wirującą platformę niczym meteoryt przez gęstą atmosferę. Wybuch reaktora nastąpił ułamki sekundy za późno i choć zdołał strzaskać rozżarzony do białości pręt, to bynajmniej nie sprawił, że wszystkie jego szczątki wyparowały. Tylko cztery z kilkudziesięciu lecących dalej odłamków trafiły w opływowy kadłub wycieczkowca, ale każdy z nich spowodował niewyobrażalne straty.

Strumienie danych zapełniły nowo otwarte okna. Liczby, wykresy, równania zmieniały się tak szybko, że trudno było nadążyć z ich rejestrowaniem. Burescu jednak wiedział, gdzie patrzeć, by wychwycić najistotniejsze informacje. Pięć przedziałów na trzech pokładach luksusowego transsystemowca utraciło

szczelność. Nikt, kto w nich przebywał, nie mógł przeżyć, zatem ofiary będą liczone w setkach. Ale setki to nie tysiące.

– No i po kłopotcie – rzucił Fahrid, jakby nie docierało do niego, że tam zginęli ludzie.

Major zignorował odzywkę komandora. Jako doświadczony oficer polowy skupił całą uwagę na kolejnym etapie operacji. A to, co zobaczył, nie spodobało mu się jeszcze bardziej.

– Każ im zawrócić! – wrzasnął, formatując nowe okno kalkulacyjne, by zgromadzić w nim potrzebne dane.

– Niby dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo tylko tak ocalisz *McDonalda*. Uwierz mi, nie mam czasu na dalsze wyjaśnienia!

Zrzucony równoległe z platformami pchacz mijał właśnie klaster sześciobocznych dysz wycieczkowca. Wektor jego kursu wskazywał jednoznacznie, gdzie zamierza przybić, i to właśnie było powodem paniki majora.

– A ty dalej swoje... – zaśmiał się Fahrid.

– Ta akcja nie ma szans powodzenia! – przerwał mu rozgorączkowany Burescu, wprowadzając kolejne dane. Pośpiech rodzi błędy, był tego świadom, lecz musiał działać na pełnych obrotach, jeśli chciał przekonać tego zapatrzonego w siebie idiotę i ocalić kolejne setki, jeśli nie tysiące osób. Szlag! Za szybkie ruchy rąk, niedokładna kalkulacja i znów musiał powtarzać skomplikowane obliczenia. – Rób, co mówię! Jak skończę symulację, dla nich będzie za późno!

– Na co? Twierdzisz, że znasz się na tym sprzęcie lepiej niż ludzie, którzy obsługują go od lat? – zadrwił Konradam.

– Nie. Twierdzę, że znam się lepiej niż oni na akcjach ratunkowych. Zanim trafiłem na tę krypę, odsłużyłem trzy tury w korpusie inżynieryjnym. – Nie kłamał, lata spędzone na pokładzie gigantycznego okrętu wsparcia otworzyły mu teraz oczy na aspekty, których nie dostrzegali ani załoganci frachtowca, ani

piloci pchacza. Nie doczekawszy się reakcji Fahrida, major dodał pośpiesznie: – Zrób, co mówię, inaczej oni wszyscy zginą!

Konradam wahał się jeszcze przez moment, ale w końcu wydał rozkaz. Niestety przez jego opieszałość stracili kilka niezwykle cennych sekund. Czas na reakcję właśnie się kończył.

– Wysłaliśmy żądanie na *Ajschylosa*, jak chciałeś. – Komandor po raz pierwszy wymienił nazwę transportowca przewożącego sprzęt górniczy dla kopalń Omikrona. – Ale jeśli to było tylko kolejne durne zagranie z twojej strony... – W głosie Fahrida zabrzmiały stalowe nutki.

– Sam zobacz! – Burescu zakończył wyliczenia i przesłał plik na mostek.

Nie mogąc nic więcej zrobić, siedział i patrzył na przekazywany nadal do jego kajuty holograficzny obraz wycieczkowca i wiszącego nad nim, jakże mikrogo z tej perspektywy pchacza.

– Nie, nie, nie... – mamrotał pod nosem, obserwując na największym zbliżeniu, jak jednostka techniczna wysuwa przegubowe chwytaki. – Dlaczego nie przerwali tej akcji?

– Nie wiem. *Ajschylos* nie ma tyle wolnej energii, żeby nadawać kwantowo. Może tylko odbierać nasze przekazy.

– Wyślij jeszcze jedno ostrzeżenie. Oni muszą... – Burescu zamilkł, zdając sobie sprawę, że naprawdę jest już za późno.

Nie wiedział, czy załoga pchacza – otumaniona wizją deszczu nagród i zaszczytów, jakie posypią się na głowy dzielnych pilotów, którzy uratowali tysiące osób, nie wspominając o ocaleniu niezwykle cennej jednostki – zignorowała ostrzeżenie nadane z *Miecza* czy też kontynuowała misję niczego nieświadoma, ponieważ dowódca *Ajschylosa*, kierując się podobnymi pobudkami, nie raczył jej przekazać otrzymanego ostrzeżenia. Jakkolwiek było, ci ludzie właśnie przypieczętowali swój los.

Wielkie magnetyczne stopy chwytaków przywarły z impetem do płatów poszycia. Żadna z nich jednak nie trafiła w miejsce, pod którym przebiegały odpowiedniki okrętowych wręg stanowiących element wzmocnienia konstrukcji

kadłuba. Próżnia to nie atmosfera, co jednak nie oznacza, że ulegają w niej zawieszeniu wszystkie prawa fizyki.

Krótko mówiąc, piloci pchacza popełnili dwa błędy: źle dobrali miejsce dokowania, przeszacowując przy okazji wytrzymałość poszycia. Do tego nie wyhamowali dostatecznie przy końcowym podejściu, przez co – gdy zwiększyli ciąg w momencie kontaktu, jak robili to setki razy po podjęciu kontenera – masywne przednie podpory napierające na płyty helonu wcale nie tak grube, jakby się mogło wydawać, zamiast nadać pęd kolosowi, przebiły się przez lśniące poszycie.

Gdyby chodziło o odholowanie jakiegokolwiek jednostki handlowej, podobna akcja zakończyłaby się mniejszym bądź większym sukcesem. Niestety *Ianthy McDonald* był statkiem, który konstruowano z myślą o pięknym wyglądzie i wygodzie pasażerów, nie zaś o odporności na tak brutalne traktowanie. Korporacyjny pilot, mający doświadczenie wyłącznie z kontenerami, którym niestraszne są żadne przeciążenia, nie wyobrażał sobie nawet, z jak kruchym dziełem ma do czynienia.

Napędzany potężnymi silnikami pchacz wbił się momentalnie w górną część obłej rufy *Ianthy McDonald*. Wszedł w wycieczkowiec jak nóż w masło i parł dalej, niszcząc kolejne grodzie, przebijając się przez pokłady, miażdżąc całe przedziały. Sam w tym starciu także musiał ucierpieć, nic więc dziwnego, że dosłownie trzy sekundy później majestatyczny transsystemowiec spęczniał nagle w dolnej części śródokręcia, a potem... eksplodował. Nie był to wybuch tak silny jak te, które podczas bitew unicestwiały pancerniki. Reaktor pchacza miał całą sieć mechanizmów zabezpieczających przed wybuchem, lecz pomniejsze eksplozje zbiorników tlenu i paliwa na obu jednostkach zrobiły swoje.

*Ianthy McDonald* przełamał się w pół. Jego lśniące burty zostały przy tym rozdarte w wielu miejscach; poszycie z helonu rozciągało się i pękało jak papier pod wpływem działania sił, których nawet pancierz największego okrętu wojennego nie byłby w stanie wytrzymać. Z wnętrza tryskały na wszystkie strony strumienie rozprężającego się błyskawicznie gazu, czemu towarzyszyło



wyrzucanie w przestrzeń miriadów odłamków.

– Patrz! – Burescu odwrócił się do obiektywów holokamer nad stanowiskiem komunikatora. – Patrz uważnie, Konradamie. Niemal każdy z tych czarnych punkcików, które tam widzisz, był jeszcze przed chwilą zrozpaczonym, lecz pełnym nadziei człowiekiem. To mężczyźni, kobiety i dzieci... Wszyscy mogli przeżyć, gdybyś tak desperacko nie pragnął trafić do podręczników.

– Zamknij się – mruknął oszołomiony takim obrotem zdarzeń komandor.

Major zaśmiał się tylko, choć bez typowej dla niego wesołości. Nie cieszyło go to moralne zwycięstwo. Wolałby przegrać spór z tym zdrajcą. Nawet dwadzieścia tysięcy razy, jeśli tylko to by odmieniło los wycieczkowca. Nie zamierzał jednak milczeć.

– Miej świadomość, że każdy dyplom, który dostaniesz, będzie wypisany krwią ofiar; każdy medal, który zawieszysz na twojej piersi, będzie zrobiony z metalu pochodzącego ze szczątków *Ianthony'ego McDonalda*. Kiedy targniesz się na własne życie, a uwierz mi, nie pociągniesz długo z tak wielkim poczuciem winy, przed oczami będziesz miał ten właśnie widok: mrowie ciał...

– Zamknij mordę! – ryknął w końcu Fahrid, jednakże w jego głosie było więcej słabości niż gniewu.

– Jak sobie życzysz, Konradamie. Jak sobie życzysz.

**Część pierwsza**

**AKADEMIA**

# JEDEN

*System Anzio, Sektor Sierra,*

*04.03.2355*

– Wypełniony ekskrementami worek z ludzkiej skóry! – warknął z odrazą Farland, gdy hologram w jego gabinecie zgasł po zakończeniu rozmowy.

Rutta milczał. Rozumiał gniew przyjaciela. Od pewnego czasu on także odczuwał rosnący niepokój, ilekroć pion łączności przysyłał powiadomienie o nawiązaniu łączności kwantowej z Ziemią. Każda kolejna rozmowa z Modo – albo Xiao – była nie krokiem, lecz susem w kierunku przysłowiowej przepaści. Oparty na zwykłym szantażu kruchy sojusz, który wielki admirał zdołał uzyskać w wyniku twardych negocjacji z panią kanclerz, mógł się rozpaść w każdej chwili. I to tak naprawdę z niczyjej winy.

Sto dni spokoju, o jakie poprosiła w początkach grudnia Modo, dobiegało właśnie końca, a po sondach, którymi flota zainfekowała t'iru, nadal nie było śladu. Nie tak to miało wyglądać, pomyślał z goryczą Farland, wspominając pamiętny tydzień po pyrrusowym zwycięstwie, gdy niesiony falą sukcesu postawił się Radzie i odnotował kolejny sukces, zmuszając polityków do tego, by zagwarantowali połączonym flotom przetrwanie najgorętszego okresu tej wojny.

Układ wydawał się prosty. Modo przedstawi opinii publicznej dalekosiężne plany związane z wprowadzeniem do służby okrętów piątej generacji i poprosi opozycję o zwyczajowe sto dni na ich realizację, dzięki czemu nie dojdzie do

zdziętkowania sił przestrzennych Federacji w szeregu bezsensownych – zarówno ze strategicznego, jak i taktycznego punktu widzenia – bitew, a będący aktualnie u władzy politycy zachowują do wiosny stanowiska i co ważniejsze, głowy.

Przystając na ten układ, wielki admirał i pani kanclerz byli święcie przekonani, że hybrydowe sondy wrócą do znanej człowiekowi przestrzeni nie później niż po miesiącu od zainfekowania uszkodzonej jednostki Obcych, co powinno umożliwić ludziom spokojne przeprowadzenie modernizacji uzbrojenia. Problem jednak w tym, że przewidywania najtęższych głów Federacji okazały się, oględnie mówiąc, zbyt optymistyczne, nazywając zaś rzecz po imieniu: zupełnie nietrafione. Nic więc dziwnego, że im więcej czasu upływało, tym atmosfera robiła się bardziej nerwowa, a członkowie Rady i sztabowcy trzeciego metasektora traktowali się coraz nieprzychylniej. Na Ziemi zaczęto nawet przebąkiwać o potencjalnym fiasku operacji: albo ma'lahn dzięki swej przewadze technologicznej zdołali wykryć znajdujące się na ich okrętach obce obiekty, albo sondy hybrydowe zostały poważnie uszkodzone czy nawet zniszczone podczas infekowania t'iru.

Pod koniec stycznia Modo i Xiao zaczęli dyplomatycznie naciskać na Farlanda, próbując wy badać, czy niepowodzenie operacji zaważy na jego stanowisku. Wielki admirał pozostał jednak nieugięty. Pierwsze okręty piątej generacji, budowane w stoczniach każdego metasektora Federacji dzięki funduszom uzyskanym z nacjonalizacji trzech megakorporacji, mogły wejść do służby już na początku lutego – oczywiście pod warunkiem, że flota skróci okres testów przestrzennych do niezbędnego minimum. Przy regulaminowym podejściu do sprawy pancerniki zdolne nawiązać równorzędną walkę z t'iru powinny osiągnąć pełną sprawność bojową parę tygodni później, niespełna dobę czy dwie przed upływem stu dni, o które prosiła Modo.

Na czym więc polegał problem?

Ze względów czysto propagandowych Ziemia nalegała, by podjąć działania zaczepne natychmiast po sformowaniu zespołów uderzeniowych, natomiast

dowódca trzeciego metasektora upierał się, żeby respektować przedstawiony przez niego terminarz, ponieważ samym sprzętem wojen się nie wygrywa, czego admiralicja i Rada zdawały się nie brać pod uwagę. Modo odparła jego zarzuty, przywołując dostarczone przez Xiao raporty, z których wynikało, że od kilku miesięcy we wszystkich najlepszych akademiach kadeci ćwiczą wyłącznie na symulatorach sprzętu nowej generacji, by bez trudu przesiąść się na wprowadzane do służby jednostki, ledwie te opuszczą doki.

I jak tu wytłumaczyć przekonaniom o własnej wyższości zabiurkowym weteranom, gotowym oddać ostatnią kroplę krwi swoich podwładnych, oraz walczącej o stolki jeszcze bardziej cynicznej cywilbandzie, że posyłanie na wojnę dzieciaków, nawet jeśli zostały doskonale wyszkolone, nie tylko nie zagwarantuje sukcesu, lecz wręcz może przynieść porażkę? Jak namówić decydentów, by nie podejmowali zbędnego ryzyka? Jak przekonać polityków i wspierających ich admirałów, żeby po stu dniach okresu ochronnego odczekali jeszcze kilka tygodni, aż wytypowani przez sztab trzeciego metasektora oficerowie i marynarze ukończą kursy przystosowujące ich do służby na okrętach nowej generacji?

Na te pytania wielki admirał nie znał odpowiedzi, za to każda kolejna rozmowa z Modo utwierdzała go w przekonaniu, że porozumienie raczej nie jest możliwe. Milczeniem pomijano uwagi rzucone przez Farlanda – między innymi o tym, że pierwsza przegrana z udziałem okrętów piątej generacji złamie i tak już mizerne morale floty, co może mieć straszne skutki dla dalszych losów tej wojny.

Wielki admirał jako praktyk doskonale wiedział, czym skończy się wysłanie na front żółtodziobów znających tajniki walki wyłącznie z symulatorów, i z tego względu ani myślał przystać na którąkolwiek z wysuwanych przez polityków propozycji, choć te pojawiały się coraz częściej i były coraz bardziej kuriozalne. Najpierw Modo i Xiao podejmowali próby renegocjowania układu, później zaczęło dochodzić do niemal codziennych słownych utarczek z Ziemią. Początkowe prośby i sugestie zmieniły się z czasem w żądania, a nawet otwarte

groźby, jednakże to Farland miał lepsze karty.

Niestety zaakceptowany przez obie strony okres spokoju kończył się już trzynastego marca o północy. Po upływie setnego dnia Rada rozpocznie bezpardonową walkę nie tyle o Rubieże, ile o zachowanie stołków. A zagrożony polityk nie powstrzyma się przed popełnieniem błędu, nawet gdy ceną będzie kompletna zagłada Federacji... Tymczasem człowiek, którego Modo i Xiao mylnie identyfikowali jako przeciwnika, trzymał w szachu tylko jedno z nich.

Farland nie wątpił, że współpracownicy poświęcą panią kanclerz, nie przejmując się tym, że wraz z jej głową spadnie też parę innych, choć już mniej ważnych czerepów. W ich świecie bowiem liczyła się tylko realna władza. Utraciwszy ją, obecni członkowie Rady przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie i będą musieli ustąpić miejsca, co dla nich będzie po stokroć gorsze niż najbardziej bolesna śmierć u steru. Zwłaszcza że sukces mieli już tak blisko, prawie na wyciągnięcie ręki...

– Dwa pieprzone tygodnie! – rzucił wielki admirał, spoglądając nieobecny wzrokiem gdzieś w przestrzeń. – Tyle nam zabraknie do zrealizowania planu!

– Ja bym nie tracił nadziei... – zaczął Rutta, ale sam umilkł, uświadomiwszy sobie, że jakiegokolwiek próby pocieszenia przyjaciela są z góry skazane na niepowodzenie.

– Słyszałeś takie powiedzenie: nadzieja jest matką głupich? – zadrwił w odpowiedzi wielki admirał.

– Słyszałem – przyznał generał. – Co nam jednak pozostaje?

– Modlić się o to, by sondy nie wróciły aż do setnego dnia? – Farland odwrócił się do zastępcy. Choć jego słowa zabrzmiały jak żart, minę miał nadal zaszępioną.

– A czy to by coś zmieniło?

– Zyskalibyśmy trochę czasu. Wiesz dobrze, że pełnej analizy danych z kilku miesięcy obserwacji nie zrobisz w tydzień, co oznacza, że w takiej sytuacji nie musielibyśmy walczyć o przesunięcie terminu.

– Theo, zapominasz, że im chodzi przede wszystkim o przejęcie całkowitej

kontroli nad tymi pancernikami.

Obaj wiedzieli, że argument z kadetami ma na celu nie tylko przyśpieszenie debiutu piątej generacji. Admiralicja napierała na oddanie nowych okrętów w ręce narybku, ponieważ w razie ewentualnych problemów wszystkie załogi najpotężniejszych jednostek staną murem po stronie Ziemi, której zawdzięczają niemal wszystko, i zdecydowanie odrzucą ofertę przyłączenia się do buntu samozwańczego watażki z Rubieży. Natomiast zespoły uderzeniowe obsadzone niemal wyłącznie weteranami ostatniej kampanii mogłyby zagrozić obecnej władzy bardziej niż podbijający znaną przestrzeń Obcy.

– Nie zapominam. Uwierz mi... – Farland spuścił głowę. – Wiem, że to głupie, ale coś jednak każe mi wierzyć, że nie mamy do czynienia z samobójcami. Ci ludzie nie zaszliby tak wysoko, gdyby nie mieli instynktu samozachowawczego. Na pewno w końcu zrozumieją, że...

– Oni rozumieją tylko jedno. – Rutta wykorzystał wahanie przyjaciela, by wpaść mu w słowo. – Aby pozostać u steru, muszą się nas pozbyć. I są na to gotowi, ponieważ to ludzie pozbawieni skrupułów.

– Otóż, przyjacielu, nie do końca – obruszył się wielki admirał. – Przecież...

– Ja mówię o tym, jak oni postrzegają swoje położenie – skontrował generał. – Czują się zagrożeni i za wszelką cenę pragną nas zneutralizować. Kto wie, czy ciebie nie boją się bardziej niż Obcych, których prędzej czy później pokonają, wprowadzając do służby kolejne pancerniki piątej generacji na miejsce zniszczonych. Nawet gdyby mieli zbudować ich setki. Dziś, po nacjonalizacji, stać ich na taki wydatek.

– A załogi? Kilka niepowodzeń i zabraknie chętnych do udziału w straceńczych misjach...

– Nie oszukuj się, Theo. Skuteczną propagandą wypiorą miliony mózgów. To chyba jedyne, w czym są naprawdę dobrzy.

Farland pokręcił głową niezmiernie powoli, jakby ruch ten sprawiał mu trudność albo ból.

– Zatem cokolwiek zrobimy, mamy przesrane. To chciałeś powiedzieć?

– Jeśli nie zdarzy się jakiś cud... – Rutta zamilkł, widząc, że komunikator sygnalizuje nadejście połączenia.

Nad biurkiem dowódcy trzeciego metasektora pojawiło się holograficzne popiersie Święckiego.

– Obawiam się, że mamy jedną – zameldował zwięźle generał major, nie zwracając sobie głowy regulaminem. – Otrzymaliśmy meldunek, że OPFF *Miecz* wykrył sygnał sondy na Harare.

– No nie.

Farland zbladł. Rutta westchnął ciężko. Ich reakcja nie uszła uwagi Henryana. Wielki admirał nie dzielił się z nim refleksjami po każdej rozmowie z Ziemią, lecz nie trzeba było geniusza, by zrozumieć, dlaczego admiralicja nawiązuje ostatnimi czasy tak częste kontakty ze sztabem trzeciego metasektora. A Święcki do głupców nie należał. Poza tym Rutta przedyskutował z nim otwarcie kilka najważniejszych kwestii.

– Jeśli można... – dodał, otoczywszy się uprzednio polem ochronnym.

Generał zerknął na przełożonego, ale ten był zbyt przybity wiadomością, by to zauważyć.

– Myślę, że to nie najlepsza pora... – spróbował uniku Rutta.

– Chyba wiem, co powinniśmy w tej sytuacji zrobić.

Wielki admirał podniósł wzrok, lecz nie było to pełne zainteresowania spojrzenie, jakiego Henryan się spodziewał.

– Największy bohater Federacji chce nas uraczyć kolejną życiową mądrością? – rzucił kąśliwym tonem.

Nie miał nastroju na pogaduszki z podwładnymi. Jego plany właśnie legły w gruzach, podobnie jak kariera, a kto wie, czy nie życie. Musiał się z tym faktem uporać, i to najlepiej w samotności.

– Raczej chce pomóc w rozwiązaniu najbardziej palącego problemu – odpowiedział Święcki, nie reagując na zaczepkę.

Rutta położył dłoń na ramieniu Farlanda, widząc, że ten lada moment eksploduje. Udało mu się powstrzymać detonację przyjaciela, ale na pewno go



nie rozbroił. Wielki admirał skrzywił się, jakby musiał przełknąć kęs czegoś wyjątkowo kwaśnego.

– Na jakiż to pomysł wpadł tym razem najszybciej awansujący oficer Galaktyki? – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Szczerze mówiąc, to nie jest mój pomysł, tylko generała...

Henryan kłamię w żywe oczy, pomyślał Rutta, lecz nie zaprotestował. Wyczuł bowiem, że prosty wybieg Świąckiego ma pomóc wyłożyć sprawę.

– Ten, o którym rozmawialiśmy wczoraj czy dzisiaj rano? – zapytał, podejmując grę.

– Chodzi o ten drugi, dotyczący kadetów – odparł bez mrugnięcia okiem Henryan.

– Streszczajcie się, generale majorze – rzucił zniecierpliwiony Farland.

Głos miał już spokojniejszy, a prawa dłoń przestała mu drżeć, co świadczyło o tym, że napad furii powoli mija, jednakże jego rozmówcy zdawali sobie sprawę, iż wystarczy zaledwie iskierka, by wyzwolić reakcję łańcuchową, która skończy się śmiertelnośnym wybuchem.

– Tak jest. – Świącki spojrział przełożonemu prosto w oczy. – Mamy spore szanse na ośmieszenie Xiao i jego projektu obsadzenia pancerników piątej generacji kadetami.

– Jak? – zapytał przez wciąż ściśnięte gardło wielki admirał.

– Chcą wojny, dajmy im wojnę – wypalił bez namysłu Henryan.

– Czyli?

– Program Feniks.

Farland przytaknął machinalnie, jakby wypuścił to stwierdzenie drugim uchem, po czym zaśmiał się chrapliwie.

– Na symulatorach?

– Nie. Zapakujemy ich na *Odyna*.

– Xiao nigdy na to nie pozwoli – rzekł przygaszonym tonem Rutta po kilku sekundach milczenia.

– Admiralicja nie musi o niczym wiedzieć... – Świącki uśmiechnął się

krzywo, w charakterystyczny dla niego sposób.

Cisza się przedłużała. Farland i Rutta musieli sobie przemyśleć rzuconą propozycję.

Pierwszy odezwał się wielki admirał:

– Powiedzmy, że zrobimy to za plecami admiralicji. Co dalej?

Henryan nie potrzebował dodatkowej zachęty.

– Wybierzmy najlepszą uczelnię, to znaczy taką, na której kadeci osiągnęli ostatnio na symulatorach najwyższą średnią. Dzięki temu admiralicja nie będzie mogła podważyć wyników testu, twierdząc na przykład, że poszliśmy po linii najmniejszego oporu. Jest taka w drugim metasektorze, kilka pasów stąd. Szkoła admirała Atanasio.

– Przesłużyłem z tym starym draniem dwie dekady. – Farland potrząsnął zdecydowanie głową, jakby nie spodobał mu się ten pomysł. – Straszny służbista z niego. Nigdy nie pójdzie na taki numer.

– Jestem innego zdania – wtrącił Henryan.

– O, znacie go lepiej niż ja, choć nigdy wcześniej o nim nie słyszeliście! – Wielki admirał znów zaczynał się irytować.

– Nie muszę go znać...

– Naprawdę?

– Naprawdę. Wystarczy, że jego też nie wtajemniczymy w nasz plan.

Farland zaczerpnął tchu, jakby zamierzał wygłosić dłuższą przemowę, ale zaraz zamknął usta i opadł ciężko na oparcie fotela.

– Genialne – rzucił moment później, nie kryjąc sarkazmu. – Widzę tylko jeden słaby punkt.

Święcki posłał mu zdziwione spojrzenie.

– Przemyślałem wszystko bardzo dokładnie... – zaczął ostrożnie.

– Nawet to, że nikt nigdy nie dowie się o naszej śmiałej akcji, ponieważ admiralicja utajni jej wyniki na... powiedzmy... wieczność, niezwłocznie po tym, jak wszyscy trzej zostaniemy rozstrzelani za udział w spisku mającym na celu obalenie Rady?

Rutta poczuł na plecach ciarki, lecz Henryn tylko uśmiechnął się zagadkowo.

– Ma pan całkowitą rację, sir. Dlatego musimy przeprowadzić ten test przed obiektywami największych mediów.

Farland, który popijał właśnie wodę, parsknął tak głośno, jakby się zadławił. Rutta zrobił wielkie oczy.

– Wszystko pięknie, ale wyjaśnijcie mi, jak zamierzacie wkręcić w tę akcje media, które... o czym wszyscy doskonale wiemy... chodzą na pasku Modo? – zapytał generał, gdy przyjaciel odtrącił jego dłoń.

– To zadanie w sam raz dla największego bohatera Federacji – zażartował Święcki, ale zaraz spoważniał, widząc posiniałe policzki Farlanda. – Dzięki wysiłkom propagandystów zostałem także „symbolem nadziei”, jak nazwała mnie ostatnio Loisabelle Lane z „Daily Planet”. Wykorzystajmy ten fakt.

– W jaki sposób?

– To bardzo proste. Proponuję...

# DWA

*System Cydonia, Sektor Echo,*

*05.03.2355*

Pancerniki piątej generacji.

O tych okrętach krążyły legendy, nic więc dziwnego, że przedstawiciele najważniejszych mediów przybyli tak tłumnie na Gammę Cydonii, do największej stoczni orbitalnej w trzecim metasektorze. Rutta, sprawdzając listę obecności, zauważył jednak pewne – jego zdaniem bardzo ciekawe – odstępstwo od dotychczasowej reguły. Tym razem akredytowanym ekipom towarzyszyli szefowie lub przynajmniej główni prezenterzy stacji. Fenomenowi tego nie dało się wytłumaczyć zwykłą chęcią ujżenia na własne oczy najnowocześniejszych okrętów. Skoro pojawiły się takie szychy, musiało chodzić o coś innego.

Generał uśmiechnął się pod nosem. Święcki jak zwykle miał rację: obowiązujący od połowy stycznia zakaz kontaktów z największym bohaterem Federacji, wydany mediom przez panią kanclerz, zemścił się teraz na niej, i to podwójnie. Nieliczne wywiady Henryana były często retransmitowane, lecz choć trafiały do najdalszych zakątków wszystkich pięciu metasektorów, praktycznie nikt prócz najbardziej zaufanych – czytaj: najbardziej zależnych – dziennikarzy nie miał bezpośredniego dostępu do młodego generała majora. Modo dołożyła starań, by legendy Święckiego nie obrócono wniwecz jednym niewygodnym pytaniem, jedną niezręczną wypowiedzią czy niefortunną wpadką. Właśnie dlatego Henryan mógł brać udział wyłącznie w starannie

wyreżyserowanych spotkaniach, podczas których każde słowo i każdy gest były z góry ustalane i po wielokroć powtarzane aż do osiągnięcia satysfakcjonującego efektu.

Chcąc nie chcąc, Święcki stał się ostatnią linią obrony Rady. Wyjmowano go z pudełka, gdy tylko pojawiały się jakieś problemy, i zaraz z powrotem ukrywano, żeby nie doszło do dewaluacji cennego aktywu. Z podobnego powodu Henryan od prawie miesiąca nie wziął udziału w żadnej misji bojowej, choć wielokrotnie o to zabiegał zarówno w admiralicji, jak i u samej pani kanclerz. Był zbyt cenny dla polityków, by pozwolili mu ryzykować życie. Co ciekawe, nieróbstwo nie zahamowało jego kariery. Wręcz przeciwnie, od przykucia do sztabowego biurka otrzymał dwa kolejne awanse i sześć odznaczeń, w tym jeden wysoko ceniony order, a wszystko to rzecz jasna za zmyślane zasługi.

O tym, jak wygląda prawda, wiedziało tylko kilkanaście osób, z których zdecydowana większość przebywała w kompleksach rządowych na Ziemi. W sztabie trzeciego metasektora Święcki miał więc identyczny status jak w koloniach – był niemal półbogiem, a co najmniej herosem. Gdy „znikał” na parę dni, wyruszając na kolejne rzekome i ściśle tajne misje, ludzie zawsze trzymali za niego kciuki, o czym można było się przekonać, słuchając marynarzy i oficerów rozmawiających w okrętowych mesach.

Ta niezwykła – i całkowicie niezasłużona – popularność Henryana miała jednak i ciemne strony. Na przykład Farland okazywał pupilowi Rady coraz większą niechęć, obawiając się, że pani kanclerz może mieć wobec niego znacznie bardziej dalekosiężne plany. Na przykład zechce wykreowanym przez siebie bohaterem zastąpić człowieka uznawanego za największą przeszkodę. A im silniej zaogniała się sytuacja, tym prawdopodobniejszy wydawał się scenariusz, w którym Rada usuwa dowódcę trzeciego metasektora, i to bynajmniej nie w cywilizowany sposób.

Trzymiesięczna nieprzerwana rejterada wypaliła resztki entuzjazmu, jaki zrodził się w ludzkich sercach po serii komunikatów obwieszczających

rozgromienie Obcych na Sankt Petersburgu. Rutta musiał przyznać, że propagandystom udało się wycisnąć z tego raczej medialnego niż rzeczywistego sukcesu wszystko, a nawet więcej. Generał zdawał sobie jednak sprawę, że nic nie trwa wiecznie, zwłaszcza gdy mowa o fikcji kreowanej wyłącznie na podstawie pobożnych życzeń.

Sytuacji nie mogło uratować nawet znaczne wzmocnienie sił ewakuacyjnych, dzięki któremu niezależni demaskatorzy już na początku pięćdziesiątego piątego roku stracili najbardziej nośny temat, jakim była krytyka wysokiego odsetka strat wśród mieszkańców odległych kolonii. Także sukcesy akcji dezinformacyjnej, w której wyniku t'iru traciły cenne godziny i dni na to, by niszczyć coraz liczniejsze fałszywe kolonie, nie były w stanie odwrócić wspomnianej tendencji. Fakt, że trzecia flota zyskała możliwość przegrupowania sił i opóźnienia postępów Obcych, już dawno przestał ekscytować utrzymywaną w niewiedzy opinię publiczną.

Wszyscy czekali na kolejne zwycięstwa.

Generała nie dziwiło więc, że Rada ukrywa przed obywatelami Federacji fakt ukończenia budowy kilkunastu pancerników piątej generacji. Utrzymywano całą rzecz w sekrecie, by zwykli ludzie nie zaczęli się niecierpliwić i pytać: czemu najnowocześniejsze okręty wojenne stoją bezczynnie na kotwcowiskach odległych stoczni, zamiast gromić wroga, który każdego dnia odbiera ludzkości kolejne, zakładane z takim trudem kolonie. Tego nie dałoby się przecież logicznie wytłumaczyć, nie zdradzając przy okazji jednej z największych tajemnic tej wojny. Oficjalna wersja zdarzeń nie wspominała bowiem ani słowem o odkryciu załogi *Nomady*, sondach hybrydowych i oczekiwaniu na ich powrót. Obcy, z którymi nie udało się jak dotąd nawiązać kontaktu, nadal pozostawali nieodgadnioną zagadką. Modo osobiście zadbała, aby prawda nie wyszła na jaw.

Nike trafił już w grudniu do ściśle tajnej placówki badawczej gdzieś w piątym metasektorze, niewiele się różniącej od „szpitala” na Delcie, w którym przetrzymywano go wcześniej na zlecenie Dreade’a. Jedyne różnica polegała na

tym, że nie był więźniem, choć nazywanie go człowiekiem w pełni wolnym byłoby nadużyciem. Do tego samego obiektu przeniesiono też wszystkich naukowców i techników, którzy mieli z nim styczność. Gdyby coś poszło nie tak... Rutta zaczerpnął głębiej tchu, jakby ta myśl zdjęła go grozą. Miał świadomość, że najgorszy scenariusz jest wciąż bardzo prawdopodobny. Jeden rdzeń kinetyczny zatarłby wszystkie ślady po badaniach nad Obcymi.

Nie, nie wszystkie, poprawił się w duchu generał i wysiłkiem woli uspokoił oddech. Trzeba by również dokonać drugiego chirurgicznego cięcia w odległym trzecim metasektorze. Co być może nie byłoby wcale takie trudne, wystarczyłoby przecież...

Przymknął na moment oczy. Te elementy tworzyły tak skomplikowaną łamigłówkę, że jej ułożenie wydawało się niemożliwe.

Przynajmniej do wczoraj.

Rutta uśmiechnął się w duchu, spoglądając na siedzącego w sąsiednim fotelu Święckiego.

\* \* \*

W ciągu ostatnich trzech miesięcy Henryan nauczył się, jak być celebrytą. Kiedy trzeba, robił dobrą minę do złej gry. Nieodmiennie szczerzył się do otaczających go holokamer. Ścisnął z wigorem spocone dłonie ludzi, którymi szczerze gardził. Firmował własną twarzą i własnym nazwiskiem najdziwniejsze inicjatywy Rady.

Tego wymagali od niego przełożeni i sytuacja. W połowie lutego wyraził zgodę na wycofanie jego jednostki z linii frontu, tym samym porzucając na dobre akcję ewakuacyjną. Bez słowa protestu godził się także na kolejne medialne szopki oraz wiążące się z nimi wyróżnienia, a nawet kolejne awanse. Zdawał sobie sprawę, że taka postawa może sugerować bezwarunkową kapitulację wobec systemu, lecz miał to gdzieś, ponieważ ta zmiana, ta pokora, była tylko mimikrą potrzebną mu, by mógł toczyć własną cichą wojnę z decydentami, którzy skazali na śmierć ratowanych przez niego kolonistów.

Wojnę, której najbliższą bitwę stoczy już dzisiaj, tutaj, na Cydonii.

– Bardzo panów przepraszam. – Kokon pola ochronnego rozwiął się, odsłaniając siedzącego na fotelu naprzeciw obu generałów szczupłego mężczyznę w mundurze admirałskim. – Musiałem odpowiedzieć na pilne wezwanie z Ziemi.

Szef stoczni uparł się, że przed spotkaniem z mediami osobiście zaprezentuje delegatom sztabu trzeciego metasektora przyszlą dumę floty. Wyruszyli więc we trzech jego służbowym wahadłowcem, by po krótkiej inspekcji pancernika przycumować na najwyższym poziomie orbitalnego doku, skąd po wygłoszeniu zdawkowego oświadczenia Świącki miał wystrzelić pojemnik z najprawdziwszym ziemskim szampanem i w ten staromodny sposób ochrzcić najnowocześniejszą jednostkę Federacji.

– Nic się nie stało, admirale Eddings. Ostatnimi czasy też coraz częściej odbieram takie niespodziewane połączenia – zapewnił go uprzejmie Rutta.

– Na pewno nie takie. – Eddings uśmiechnął się znacząco.

To podsyciło ciekawość Rutty.

– Dobre wieści?

– Można tak powiedzieć. Przynajmniej z naszego punktu widzenia... Zostawmy to jednak na później. Jesteśmy na miejscu.

Rutta zerknął na pogrążonego w myślach protegowanego.

– Gotowy?

– Jak zawsze. – Świącki natychmiast podniósł głowę.

Admirał Eddings strzepnął wymaginowany pyłek z baretek na piersi, po czym teatralnym gestem opuścił palec wskazujący na wirtualny klawisz osobistego komunikatora.

– Wizja!

Górna część przedziału osobowego wahadłowca stała się w mgnieniu oka przezroczysta jak sama próżnia. Dla ludzi mniej obytych z lotami międzyplanetarnymi tak nagła zmiana mogła wydać się dezorientująca, a nawet szokująca, lecz na pokładzie należącego do stoczni promu nie było nikogo, kto



zwracałby uwagę na podobne szczegóły.

A jednak obaj goście sapnęli z podziwem, ledwie kopuła nabrała kryształowej przejrzystości. Ich oczom ukazał się niesamowity widok. W czerni pustki, na tle mrowia gwiazd wisiał nowo wybudowany pancernik, przyszła chluba floty i Federacji.

Gigantyczny dok stoczni – składająca się z ośmiu segmentów podkowa, do której podczepiono „wykańczany” wciąż okręt – miał niemal sześćset metrów długości i sto szerokości, ale i tak wydawał się za ciasny dla gargantuicznej jednostki.

– Robi wrażenie, nieprawdaż? – Admirał uśmiechnął się tryumfalnie i pusząc się z dumy, dodał: – Najpotężniejsze narzędzie zniszczenia, jakie kiedykolwiek zostało zbudowane.

– Przez człowieka – dopowiedział półgłosem Święcki, nie spuszczać wzroku z pancernika.

– Przez człowieka – przyznał lekko urażonym tonem szef stoczni.

Rutta, chcąc rozładować powstałe napięcie, wtrącił:

– Z bliska wydaje się jeszcze bardziej imponujący niż na przekazach.

– Rzeczywiście – przytaknął Eddings. – Człowiek aż pokornieje w obliczu takiej potęgi.

Wahadłowiec sunął powoli wzdłuż błyszczącej burty gigantycznego okrętu wojennego oświetlonej nie tylko mrowiem reflektorów, ale też blaskiem nieodległego czerwonego karła. Pancerniki czwartej generacji były o niemal sto metrów krótsze od tego potwora. Różniły się także kształtem kadłuba. Najprościej mówiąc, dawne jednostki tej klasy przypominały prastare ziemskie sterowce. Konstruktorzy z pionu naukowego admiralicji uznali bowiem, że w przestrzeni, gdzie pojęcia dołu czy góry, do których odnoszono się dawniej w lotnictwie, przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie, i gdzie każdy kierunek jest równie ważny, idealnym rozwiązaniem będą okręty o kulistych kadłubach, lecz ostatecznie po wielu gorących dyskusjach z praktykami przyjęli nieco inną koncepcję, decydując się na kształt cygara, który wprawdzie ustępował kuli

funkcjonalnością, ale pozwalała za to na bezpieczne oddzielenie załogowych przedziałów kadłuba od części maszynowej. Taka konstrukcja, z niewielkimi tylko modyfikacjami, była w przemyśle zbrojeń przestrzennych standardem przez niemal dwa stulecia, aż do teraz.

Projektanci okrętów piątej generacji odstąpili od tradycji. Ich dzieła – nadal bardzo smukłe – nie miały gładkiego walcowatego kadłuba. Nowy pancernik floty Federacji podzielono na kilka przenikających się wzajemnie elipsoidalnych segmentów, w efekcie zewnętrzne poszycie wybrzuszało się płynnie w wielu miejscach, w tym na dziobie i śródokręciu, nadając jednostce opływowy, a zarazem niezwykle piękny kształt. Ta ewidentnie dobrze przemyślana i skomplikowana konstrukcja pozostawiała daleko w tyle wszystkie historyczne dokonania stoczniovców Federacji.

Eddings miał rację. Pancernik robił wrażenie, zwłaszcza gdy patrzyło się na niego z odległości zaledwie paru kilometrów, mając w tle kilka czekających na kotwiczowisku kolosów czwartej i trzeciej generacji, które ostatnimi czasy przydzielano do zespołów uderzeniowych i modernizowano na potęgę, by nie odstawały zbyt od nowych standardów.

– Niebo i ziemia – podsumował Rutta, kiedy wahadłowiec dotarł do dziobu pancernika, zatrzymał się dzięki dyszom manewrowym, po czym ruszył pionowo w górę, wchodząc między spadzistą ścianę podkowy doku a wrzecionowaty kadłub.

Znaleźli się kilkadziesiąt metrów od okrętu.

– Spójrzcie tam, panowie! – Admirał wskazał obły zarys dziobnicy.

Nad głowami obserwatorów, na błyszczącym nowością helonowym pancerzu, pyszniły się rubinowe cyfry numeru taktycznego i znajdujące się tuż obok litery tej samej barwy, tworzące jedno krótkie słowo: ODYN.

– A to co? – zapytał Rutta, wskazując chmary mikroskopijnych w porównaniu dron, od których się roilo nad czarnymi kształtami domalowywanymi po obu stronach wybrzuszenia kryjącego główne dziobowe stanowiska bojowe.

– Hugin i Munin – odpowiedział mechanicznie Henryan, uprzedzając

rozpieranego dumą admirala.

– Czyli co? – Zdezorientowany generał spojrział pytająco na szefa stoczni.

– Czyli kruki – pośpieszył z odpowiedzią Eddings.

– A te „kruki” to...

– Takie ptaki, znaczy latające zwierzęta, które żyły kiedyś na Ziemi.

– No tak. – Rutta skinął głową, jakby tylko mu przypomniano o szczególe, który wyleciał mu z pamięci, i szybko spróbował zatuszować ten blamaż. – Moim zdaniem pojedyncze oko na dziobie byłoby czytelniejszym symbolem.

Szef stoczni spojrział na niego dziwnie.

– Nasi styliści uznali, że Myśl i Pamięć są stosowniejsze, ale jeśli uważa pan, że...

– Nie, nie. – Generał machnął lekceważąco ręką, zadowolony, że udało mu się zatrzeć złe wrażenie. – Niech tak zostanie. Zresztą czas nas goni. Konferencja zaczyna się za kwadrans, a Farland kazałby nas obedrzeć ze skóry, gdyby doszło do najmniejszego choćby opóźnienia. Nie ma mowy o żadnych zmianach na ostatnią chwilę.

– Oczywiście. – Eddings odetchnął z wyraźną ulgą.

Przy panującej biurokracji nawet tak nieistotna ingerencja wymagałaby poczynienia ustaleń z admiralicją. Poza tym upamiętnianie kalectwa Wszechojca wydało mu się w tej sytuacji co najmniej nieodpowiednie.

– À propos czekającego nas spotkania... – zagaił po chwili milczenia, gdy prom rozpoczął procedurę dokowania.

– Tak?

– Niedawno otrzymałem bardzo ciekawą informację, która może się panom przydać...

– Słuchamy. – Rutta, który wyczuł podekscytowanie rozmówcy, zachęcił go uśmiechem.

– *Asgard* trafi do naszej stoczni.

– Modo przysłała do was eskadrowiec? – Święcki i Rutta nie kryli zdziwienia.

Tak naprawdę ogarnęła ich obawa. Skierowanie eskadrowca do trzeciego

metasektora mogło bowiem oznaczać, że decyzja już zapadła i Rada rozpoczęła przygotowania do przyspieszonej ofensywy.

– Owszem – potwierdził szef stoczni.

– Dlaczego nikt nas o tym wcześniej nie poinformował? – obruszył się generał.

– Wie pan, jak jest. Stan wojny, wszystko ściśle tajne łamane przez poufne. Ściany mają sensory. Nikt nikomu nie ufa. My także dowiedzieliśmy się o tym transferze w ostatniej chwili. – Spojrzał teatralnie na timer. – *Asgard* przyleci z Bisonium za mniej więcej godzinę.

– Takie decyzje nie powinny zapadać bez wiedzy dowództwa trzeciego metasektora! – zaczął się pieklić Rutta. – Admiralicja powinna była nas uprzedzić. Zmodyfikowalibyśmy odpowiednio plan prezentacji... – Odwrócił się do Świąckiego. – Musimy włączyć tę jednostkę do pokazu, koniecznie. Na przykład aranżując próbne podjęcie *Odyna*. – Oczy mu zapłonęły. – Już widzę ten przekaz...

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – wpadł mu w słowo Eddings, który nawet się nie domyślał powodów uniesienia generała.

– Dlaczego?

– *Asgard*... jak by to powiedzieć... nie jest w pełni funkcjonalny.

– O czym pan mówi? – Świącki wtrącił się do rozmowy przełożonych. – Przecież to jeden z przejętych przez Radę rdzeniowców korporacji Arashi. Ich przeróbki zakończono ponad miesiąc temu.

– To prawda, ale... – Eddings zawiesił głos. – Pewien nasz młody projektant przedstawił mi jakiś czas temu szalony z pozoru pomysł... Iście szatański. Długo się wahałem przed przekazaniem go wyżej, ale zrobiłem to koniec końców i... Admiralicja dała zielone światło. Panowie, *Asgard* nie jest już zwykłym rdzeniowcem przewożącym zespół uderzeniowy floty, lecz pełnoprawnym okrętem wojennym.

– Dlaczego sztab trzeciego metasektora nic o tym nie wie? – Generał Rutta zwerbalizował oburzenie swoje i Świąckiego.

Eddings zrobił zakłopotaną minę.

– Pani kanclerz osobiście nalegała, by nie nagłaszać tej sprawy – wydukał w końcu.

– Modo i te jej gierki!... – Rutta posłał szefowi stoczni karcące spojrzenie i ponownie otworzył usta, by zbesztać admirała za tę niesubordynację nie tyle wobec niego, ile wobec Farlanda, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. Modo była zwierzchnikiem sił zbrojnych Federacji, mogła więc wymusić na Eddingsie, co tylko chciała. Poza tym wołał, by szef stoczni pozostał nieświadomy tego, że jego goście mają nieco inne plany niż te podane w oficjalnym komunikacie.

Naczelnik stoczni wykorzystał ten moment wahania rozmówcy i powiedział:

– Moim zdaniem utrzymanie prac w tajemnicy wynikało raczej z obawy, że zaproponowane przez nas modyfikacje okażą się niewypałem.

– Niech zgadnę. Znowu porwaliśmy się z motyką na słońce? – do rozmowy włączył się Święcki. I jeden, i drugi oficer posłał mu zdumione spojrzenie. – Chciałem powiedzieć, że porwaliście się na niemożliwe – wyjaśnił z westchnieniem Henryan, nie wdając się w bardziej szczegółowe tłumaczenia.

– Oglądając plany przeróbek, właśnie tak sobie pomyślałem, ale po zastanowieniu... – Eddings sprawdził godzinę. – Chcecie panowie rzucić okiem na ten projekt?

– A zdążymy przed ceremonią? – zapytał Rutta.

W hali medialnej doku numer sześć zebrały się same rekiny branży, osoby bardzo wpływowe, które z pewnością nie lubią czekać.

– Mamy jeszcze ponad dziesięć minut, a nie musimy nigdzie się ruszać. Wszystkie materiały są na miejscu. – Szef stoczni postukał palcem wskazującym w wyświetlacz naręcznego komunikatora.

– W takim razie chcemy – zdecydował generał.

Sklepienie zmatowiało błyskawicznie, ale w kabinie nie zrobiło się wiele ciemniej; upiornie błądy blask znad centralnej konsoli rozświetlał każdy kąt ciasnego przedziału załogowego. Przed mężczyznami pojawił się znajomy połyskujący kształt. Czasza ochronna, sterczący spod niej długi rdzeń,

prostopadłościan łącznika i potężny zespół napędowy. Proporcje nowego transportowca zostały zachowane, zwiększyły się tylko jego wymiary, a jedyną istotną różnicą były dodane detale.

Najmasywniejsze komercyjne rdzeniowce, jakich do tej pory używano, miały niespełna trzyipółkilometrowe korpusy nośne. Ten gigant, od dziobu po wyloty dysz, liczył pięć tysięcy sześćset siedemdziesiąt dwa metry. Walcowaty rdzeń centralny o średnicy niemal stu osiemdziesięciu metrów wyposażono w dziesiątki chwytaków, tyle że ustawionych nie w rewolwerowe rozety jak w tradycyjnych wersjach komercyjnych, lecz rozmieszczonych nierównomiernie, choć w ściśle określonym porządku, i zaopatrzonych w składane teleskopowe ramiona, by przenoszone okręty wojenne mogły aktywować napędy jeszcze przed uwolnieniem. Najbardziej jednak rzucały się w oczy kuliste segmenty widoczne w kilku sektorach tej konstrukcji. Trzy znajdowały się tuż za czaszą dziobowej osłony ułożone w kiść, dwa kolejne przecinały śródkręcie, a trzy ostatnie umieszczono na samej rufie, już za łącznikiem.

– Na diabła mu tyle reaktorów? – zdziwił się Święcki.

Eddings obrócił obraz i zrobił zbliżenie, dzięki czemu zobaczyli czaszę od przodu.

– Zauważacie panowie coś niezwykłego?

Obaj przytaknęli niemal równocześnie. To nie był zwykły parasol, jak nazywano tę część rdzeniowców w przestrzennym żargonie. Idealnie pośrodku dostrzegli koliste wklęsnięcie przypominające zabezpieczony właz. Oprócz niego zauważyli także liczne dziwne wybrzuszenia biegnące w jednakowych odstępach od punktu centralnego grzybkowatej konstrukcji czaszy aż do jej krawędzi.

– To, na co panowie teraz patrzycie, jest po prostu genialne! – rzucił rozentuzjasmowany szef stoczni.

Okręt na hologramie stał się nagle przezroczysty, jakby go prześwietlono.

– Co to jest, u licha? – Rutta podszedł krok bliżej, szybkim ruchem ręki

powiększył obraz jeszcze bardziej. – No nie...

– Ależ tak. To największe działo laserowe, jakie panowie widzieliście w życiu.

– Jaką to cudo ma moc? – zapytał półgłosem Święcki.

– Pięćset osiemdziesiąt gigawatów. To więcej niż pełna salwa z dwóch takich pancerników. – Eddings wskazał ścianę kabiny, za którą przed momentem znajdował się *Odyn*. – I to za optyką. Impuls, uwaga, nawet do osiemnastu mikrosekund!

– Niemożliwe. – Rutta pokręcił z niedowierzaniem głową.

– A jednak prawdziwe. Mówiłem, że to genialny pomysł?

– Czym są te... żebrowania? – Święcki wskazał na zauważone wcześniej wyrzuszenia, których było co najmniej trzydzieści.

– To przewodnice teleskopowych ramion emiterów pola ochronnego – wyjaśnił admirał. – Dzięki nim średnica tarcz czaszy dziobowej może zostać powiększona w ciągu minuty z niespełna ośmiuset do tysiąca pięciuset metrów. Okręty zespołu uderzeniowego będą chronione przed minami i innym kosmicznym śmieciem także na w pełni wysuniętych wysięgnikach.

Gdy to mówił, obraz rdzeniowca uległ znacznemu zmniejszeniu, by goście mogli zobaczyć na własne oczy, jak to rozwiązanie wygląda w praktyce. Z czaszy wysunęło się trzydzieści sześć długich na niemal czterysta metrów pałkowatych ramion. Zamontowane na nich emitery pola siłowego rozciągnęły stopniowo ekran czołowy, zwiększając jego pole czterokrotnie.

– Proste, ale zarazem bardzo efektywne – przyznał Rutta.

– Sprytne – poparł go Henryan.

– Pięćset osiemdziesiąt gigawatów... – Generał wrócił do kwestii mocy. Pancerniki pierwszej generacji mogły odpalić dziewięćmikrosekundową salwę o mocy zaledwie osiemdziesięciu gigawatów, i to podzielonej na dwanaście baterii. Ten potwór dysponował siłą ognia siedmiu takich okrętów, w dodatku skupioną w jednym tylko dziale. Nie mówiąc już o tym, że emitowany przez nie promień będzie raził wroga dwukrotnie dłużej, co miało jeszcze większe

znaczenie. – Niewyobrażalna moc – szepnął Rutta.

– Teraz już pan wie, generale, dlaczego zdecydowałem się na przekazanie tego projektu dalej.

Szef sztabu trzeciego metasektora pokiwał głową.

– Sam bym to zrobił na pańskim miejscu – zapewnił.

– Te trzy reaktory, które widzicie panowie pod kryzą czaszy, są przeznaczone wyłącznie do obsługi osłon energetycznych. Dzięki nim pole depletacyjne chroniące zewnętrzną część czaszy będzie w stanie wytrzymać huraganowy ogień. Mówię tutaj o dziesiątkach, a nawet setkach równoczesnych trafień rdzeniami kinetycznymi. A to jeszcze nie wszystko... – dodał, pęczniejąc z dumy.

Szybkim ruchem ręki powiększył obraz do maksimum, następnie przesunął go tak, by w centrum znalazł się fragment poszycia między wyrzuszeniami. Przy takim zbliżeniu goście zobaczyli dziesiątki sześciennych pokryw, które wyglądały jak...

– Wyrzutnie pocisków kinetycznych? – zapytał zdumiony Święcki.

– Tak. W liczbie pięćdziesięciu na każdy z trzydziestu sześciu sektorów.

– Tysiąc osiemset wyrzutni?

– Tysiąc osiemset – potwierdził Eddings. – Daliśmy *Asgardowi* siłę ognia trzystu niszczycieli.

– Jedno jest pewne. – Rutta wraził palce w holograficzny obraz, zniekształcając go na moment. – Ten eskadrowiec zmieni oblicze wojny. Wspomnicie moje słowa.

– Gdybyśmy mieli takie dwa, już byśmy odbierali paradę zwycięstwa – zgodził się z nim admirał.

– Ale nie mieliśmy – zgasił ich milczący od dłuższej chwili Henryan. – I nadal nie mamy, nieprawdaż?

To wystarczyło, by uśmiech zniknął z twarzy admirała.

– No tak... Nasi koledzy ze stoczni na *Bisonium* natknęli się podczas prac na kilka pomniejszych problemów technicznych. Właśnie dlatego pani kanclerz



nakazała przerzucenie *Asgarda* do nas.

– Czyli... jeśli dobrze rozumiem... – Rutta spojrział admirałowi prosto w oczy  
– ...nic z tego nie działa?

– Ekrany są w pełni sprawne, lecz... Projekt nie zakładał dalszego zwiększania mocy lasera. Niestety inżynierowie z *Bisonium* chcieli się wykazać przed pionem naukowym admiralicji i zignorowali ten fakt. W efekcie poległ na całej linii, że tak powiem... – Admirał zamilkł na moment. – Testy przestrzenne nie przebiegły po ich myśli.

– Wystąpiła awaria?

Eddings przytaknął.

– Uszkodzeniu uległo kilka przeciążonych generatorów.

– Mówiąc po naszymu: doszło do serii eksplozji – uściślił Święcki.

– Tak. – Szef stoczni wzruszył ramionami. – Rdzeń eskadrowca został poważnie uszkodzony w trzech miejscach.

– Nic dziwnego, że *Modo* oddała projekt w wasze ręce – stwierdził Rutta takim tonem, jakby mu ulżyło.

Eddings zerknął na niego zaskoczony.

– Nie chcę wydać się arogancki, ale... Mamy tu w stoczni kilku prawdziwych geniuszy. Szef naszego pionu badawczego zapoznał się już z dokumentacją i obiecał, że w ciągu najbliższych pięciu dni *Asgard* zostanie doprowadzony do pełnej gotowości operacyjnej. Oczywiście przy zachowaniu parametrów uzbrojenia. Ta wiadomość z pewnością ucieszy Ziemię.

– Jak znam życie, będzie to raczej kilka tygodni. – Święcki westchnął ciężko. Obaj z Ruttą wymienili znaczące spojrzenia.

– Wierzę moim ludziom. To bardzo kompetentni... – zaczął Eddings, ale dowódca trzeciego metasektora nie pozwolił mu dokończyć.

– Na pańskim miejscu podszedłbym do sprawy bardziej asekuracyjnie. Admirałicja pokłada w was wielkie nadzieje, należy się więc liczyć z tym, że każde opóźnienie potraktuje jak akt sabotażu.

– A nawet zdradę – wtrącił Henryan.

– Jeśli mogę coś panu doradzić jak kolega koledze... – kontynuował Rutta. – Na tym etapie lepiej podać odleglejszy i zarazem bezpieczniejszy termin, niż nie dotrzymać obietnicy.

Święcki poparł przełożonego skinieniem głowy.

– Naprawicie *Asgarda* szybciej, dostaniecie nagrodę. Spóźnicie się, polecą głowy. Serio. Przećwiczyliśmy to u nas w sztabie. Wielokrotnie.

W tym momencie ożył komunikator admirała. Eddings zerknął na kod, przeprosił gości i znów zniknął za złocistym kokonem pola ochronnego.

Rutta, świadom, że mogą być obserwowani, nie pogratulował podwładnemu przytomności umysłu. Skinął tylko głową, jakby uznał temat za zakończony, po czym korzystając z chwili przerwy, wyszukał w holoprojektorze plany *Odyna* i zaczął uważnie się przyglądać pancernikowi ze wszystkich stron. Święcki, nie mając wyjścia, także wodził wzrokiem po połyskującym blado przekroju wielkiego okrętu.

– Dlaczego uważa pan, że oko byłoby lepszym symbolem niż Hugin i Munin?  
– zapytał po chwili, gdy obracający się wolno hologram ukazał wirtualny dziób jednostki.

– Te całe, jak im tam, kurki, to przecież jakieś pozostałości po dinozaurach, jeśli dobrze kojarzę – odparł Rutta. – Bo ptaki były latającymi gadami?

– Raczej ich dalekimi potomkami...

– Mniejsza z tym. Do mnie o wiele bardziej przemawia fakt, że Odyn pokonał tego jednookiego olbrzyma.

Henryan spojrział na niego zdziwiony.

– Jakiego znowu jednookiego olbrzyma?

– No przecież, że Polifema. Odyn najpierw powiedział mu, że nazywa się Nikt, aby...

Święcki z trudem powstrzymał się od śmiechu.

– Chyba pomylił pan Odyna z Odysem, generale.

# TRZY

– Panie i panowie, generał major Świącki! – Rutta odsunął się od mównicy, ustępując miejsca młodszemu koledze.

Mimo że obaj spodziewali się żywiołowego przyjęcia, zdumiał ich aplauz, który się rozległ. Przedstawiciele mediów zerwali się z miejsc, wiwatując, wrzeszcząc i gwizdząc, jakby nie uczestniczyli w konferencji prasowej sztabu trzeciego metasektora, lecz zasiadali na trybunach Circus Galaxicus, obserwując finał ligi mistrzów, w którym ich ulubiony zawodnik strzelił właśnie zwycięskiego gola.

Henryan odczekał kilka sekund. Stał ze spuszczoną głową, jakby chłonał pozytywną energię bijącą od pozdrawiającego go tłumu, ale gdy tylko dotarło do niego, że wrzaski same z siebie nie umilkną, spojrział na audytorium i uniósł ręce, prosząc tym gestem o ciszę. Nie wszyscy zareagowali od razu. Hałas cichł bardzo wolno, etapami, wzmagając się kilkakrotnie, ilekroć co zapalczywsi widzowie postanowili dać znów upust przepelniającej ich radości. Świącki stanął więc na palcach i uniósł ręce jeszcze wyżej, tym razem wykonując nimi bardziej zdecydowane ruchy.

Skłamałby, gdyby powiedział, że reakcja tych ludzi nie łechce jego ego, lecz cały czas miał gdzieś w tyle głowy myśl, że przecież to nie on jest obiektem uwielbienia, ale fikcyjna postać stworzona przy wydatnej pomocy mediów. Starał się o tym nie zapominać zwłaszcza w takich momentach, gdy emocje brały górę. Pamiętał też, po co przyleciał z Ruttą na Cydonię.

– Dziękuję! – zawołał, mimo że jego głos był wzmacniany przez sieć

neuronadajników, a raczej nikt z obecnych w gigantycznej sali nie oszczędzał na medialnych wszczepach. – Naprawdę dziękuję!

Opuścił uniesione ręce jeszcze dwukrotnie, coraz łagodniejszym ruchem. Gwar przeszedł w szmer, zdecydowana większość dziennikarzy siedziała już na swoich miejscach.

Kujmy żelazo póki gorące! pomyślał Święcki, prostując plecy, by nabrać tchu. To także było wyuczone zachowanie, które podpatrzył u speców od wizerunku. Człowiek dawał w ten sposób znać, że zamierza zabrać głos. Najwyraźniej wizerunkowcy znali się na rzeczy, gdyż w końcu zapadła cisza.

– Wiem, że moja obecność tutaj jest dla większości z was kompletnym zaskoczeniem... – Odpowiedział mu zgodny pomruk, ale on już mówił dalej, jak go uczono. – Wielki admirał i szef jego sztabu – tutaj wskazał na stojącego obok generała – nalegali, abym został ojcem chrzestnym *Odyna*. – Wycelował kciukiem w kopułę z plastali, która wciąż pozostawała nieprzenikniona. – Jak wszyscy wiecie, rzadko mam czas na takie przyjemności. – Ludzie zaczęli potakiwać i mrużyć pod nosem, zgadzając się z tą oficjalną wersją, ponieważ innej nie znali. – Na szczęście akcja ewakuacyjna wkroczyła w tak zaawansowaną fazę, że już co czwarty system radzi sobie świetnie beze mnie – zażartował dla rozluźnienia atmosfery, zgodnie ze scenariuszem. Widownia zarżała radośnie. Henryan cierpliwie poczekał, aż znów zapadnie cisza. – Panie i panowie, z pewnością się domyślacie, że zaprosiliśmy was tutaj nie tylko na chrzest pierwszego w pełni gotowego do walki pancernika piątej generacji... – Zawiesił głos na cztery uderzenia serca, które wbrew okolicznościom było nadzwyczaj wolno. – Dowództwo trzeciego metasektora przygotowało dla was niesamowitą niespodziankę, jednakże – pokazał wyprostowany palec wskazujący – o tym za chwilę. Najpierw spełnię obowiązek, który jest dla mnie ogromną przyjemnością.

Na jego znak kopuła stała się przejrzysta i zebrani ujrzeli nad głowami płaszczyznę centralnego segmentu doku, za nią zaś bezkresną czerń przedzieloną w pionie, dokładnie pomiędzy oboma ramionami kosmicznej pochylni,

widmowo pięknym pejzażem Drogi Mlecznej. Był to kolejny szczegółlik opracowany przez piarowców, którzy zadbali o wszystkie elementy, tak aby nie mogło być mowy o wpadce.

Dok numer sześć został ustawiony w takiej pozycji, by blask oddalonego o pięć minut świetlnych czerwonego karła wyłuskiwał szczytową część uwalnianego z chwytaków *Odyna*. Pancernik wyłonił się właśnie zza płaskiego jak stół korpusu doku, lśniąc niczym wschodząca gwiazda. Był piękny i wielki, zapierał dech w piersiach starych żołnierzy, a co dopiero mówić o zwykłych cywilach.

– Pięćset siedemdziesiąt sześć metrów długości, osiemdziesiąt dziewięć metrów średnicy w najszerszym miejscu kadłuba, dwieście czterdzieści sześć tysięcy ton wyporności. – Choć zbrojenia w przestrzeni miały zupełnie inny charakter niż ich historyczny morski odpowiednik, flota kultywowała wiele tradycji wywodzących się z okresu, gdy człowiek walczył wyłącznie w obrębie atmosfery swojej macierzystej planety. Jednym z takich anachronizmów było podawanie tonażu jednostek, które niczego nie musiały wypierać, skoro poruszały się w próżni. – Oto najpotężniejsze narzędzie zniszczenia, jakie człowiek kiedykolwiek zbudował. Oto okręt, który będzie w stanie nie tylko stawić czoło *Obcym*, ale także ich pokonać.

*Odyn* wysunął się już z cienia rzucanego przez podkowę doku. Jego dziób, ozdobiony dwoma czarnymi jak sama przestrzeń krukami, sunął wolno w stronę kopuły. Wydawać się mogło, że lada moment uderzy w krystalicznie przezroczystą ścianę, ale to było tylko złudzenie. Piloci testowi wiedzieli, co robią; kilka drobnych korekt kursu wykonanych za pomocą dziesiątków dysz kierunkowych uniosło gargantuiczny pancernik nad szczyt instalacji, gdzie zawisł na moment w bezruchu, by poruszyć się znowu, tym razem wykonując powolny obrót wokół podłużnej osi.

– Szesnaście baterii laserowych o łącznej mocy dwustu osiemdziesięciu gigawatów – wymieniał dalej Świącki. – Siedemdziesiąt dwa działa elektromagnetyczne, każde zdolne do wystrzelenia trzech rakiet albo rdzeni

kinetycznych na sekundę, trzysta siedemdziesiąt pięć hipersonicznych stanowisk systemu bezpośredniej obrony aktywnej. Panie i panowie, ten potwór może wystrzelić w ciągu sekundy więcej amunicji, niż okręt flagowy admirała Tahomeya użył w ciągu całej bitwy o Nowe Rouen. Gdybym chciał opisać to w bardziej obrazowy sposób, powiedziałbym... – Henryan rzucił uśmiech, którego zerkający w zoomery dziennikarze na pewno nie przeoczą – ...że w sekundę wypełniłby tę kopułę pociskami od podłogi po sklepienie. Oczywiście po uprzedniej ewakuacji szanownych gości, ponieważ za nic byśmy nie chcieli, żebyście poczuli się przytłoczeni – dodał niezbyt wysokich lotów żart wpisany do scenariusza.

Kimkolwiek byli spin doktorzy, którzy pomagali Farlandowi w organizacji tego spotkania, na pewno znali się na swojej robocie. Widownia ryknęła śmiechem, jak zakładano, co dobrze wróżyło ciągowi dalszemu przedstawienia.

Henryan zadarł głowę, sugerując, by wszyscy także to uczynili. *Odyn*, który obracał się w górze, jakby nadziano go na niewidzialny rożen, zaczął się nagle kręcić również wzdłuż osi poprzecznej. Po wykonaniu przezeń pełnego obrotu plastal kopuły – muśnięta w kilku miejscach gazami wylotowymi dysz kierunkowych – zmatowiała na moment, czemu oczywiście towarzyszył głośny jęk.

– Panie i panowie, nie ma się czego bać! – rzucił uspokajającym tonem Święcki. – Od pustki dzieli nas niemal metrowa ściana najczystszej plastali. Trzeba czegoś więcej niż zwykły strumień gazu, by ją przebić. Wierście mi, bo wiem, co mówię: więcej niż raz sprawdziłem na własnej skórze, jak odporne jest poszycie wykonane z tego niesamowitego metalu.

W czasie, gdy generał major rozwiewał obawy dziennikarzy, pancernik wykonał kolejną ewolucję, unosząc się na wysokość niemal trzystu metrów ponad szczyt kopuły, by tam dokonać ostatniego zwrotu. Niecałą minutę później wisiał już dziobem w dół, gotowy do ceremonii chrztu. Jego pękata dziobnica, ozdobiona smołowatymi wizerunkami Pamięci i Myśli, znalazła się niespełna dziesięć metrów nad przezroczystym sklepieniem.

Wszyscy obecni sapnęli chóralnie z wrażenia.

Henryan nie dziwił im się specjalnie. Ludzie ci rzadko mieli okazję obcować z otwartą przestrzenią, a jeszcze rzadziej z wielkimi okrętami wojennymi. Większość oglądała czerń pustki tylko przy wsiadaniu na pokłady liniowych konekterów, którymi poruszali się – zapewne nie częściej niż raz na kilka miesięcy – w obrębie rodzimych systemów. Zrozumiało więc, że w tej chwili – mając nad głową kilkaset tysięcy ton plastali – poczuli strach. Wystarczyłby przecież jeden niewielki błąd, aby wszyscy, jak tutaj siedzą, w mgnieniu oka zamienili się w zamrożoną na kość krwawą miazgę.

– Czujecie to, prawda? – zapytał Henryan, opuszczając wzrok na rzędy milczących ludzi. Mało kto patrzył w jego kierunku, za to wielu gapiło się z otwartymi szeroko ustami w górę. Pora na drobne odstępstwo od scenariusza, uznał. – Uczucie, które was ogarnęło, panie i panowie, to strach. Strach, który poczują także ma... – Ugryzł się w język, zdawszy sobie sprawę, że omal wypowiedział nazwę, której cywile nie mieli prawa poznać. Zamaskował gafę głośnym kasznięciem, po czym poprawił się szybko: – ...który poczują także nasi wrogowie.

Rutta posłał mu wściekłe spojrzenie, które Święcki całkowicie zignorował, nie pozwalając sobie nawet na wzruszenie ramion, by nikt nie dopatrzył się na nagraniach z ceremonii dialogu prowadzonego mową ciała. Na jego szczęście widownia skupiała uwagę wyłącznie na kolosie. Na pancernik skierowana była też większość holokamer.

Oby montażyści uznali, że to było tylko drobne potknięcie, które należy wyciąć i o którym można zapomnieć, pomyślał lekko spanikowany Henryan.

Dla pewności powtórzył zaimprovizowaną kwestię, tym razem bezbłędnie, na potrzeby montażu. Miał nadzieję, że fachowcy prawidłowo odczytają jego intencje, w końcu im także powinno zależeć, aby relacja wypadła idealnie.

– Pokonuj przestrzeń i wroga, sławiąc imię Federacji. Nadaję ci imię... *Odyn!*

Na wewnętrznej ścianie kopuły, wokół nieruchomego wciąż dziobu okrętu, pojawiły się ogromne wyświetlacze, by zebrani mogli obserwować zbliżenie

miejsca, o które rozbije się wystrzelony właśnie z doku pojemnik zawierający najprawdziwszy ziemski szampan. Drugi, identyczny cylinder z krystalitu stał po przeciwnej stronie sali obok stołów zastawionych zwyczajowym poczęstunkiem. Alkohol posłużył do dalszego rozluźnienia atmosfery.

Lot stulitrowej „butelki” trwał tylko kilkanaście sekund. Nadano jej wystarczającą prędkość, by roztrzaskała się o poszycie między dwiema dziobowymi bateriami laserowymi. W próżni, przy temperaturze zera absolutnego, nie było mowy o pianie i rozbryzgach. W momencie uderzenia gruby na dwadzieścia centymetrów krystalit rozprysł się w miriady odłamków, podobnie jak zmrożony alkohol, którego w zdecydowanej większości białe grudki poszybowały we wszystkich kierunkach, także w stronę kopuły, by odbić się od niej i zniknąć ostatecznie w bezbrzeżnym mroku.

Piloci *Odyna* wykonali kolejny zwrot, poziomując jednostkę względem doku, po czym rozpoczęli dynamiczne wznoszenie. Popychany dziesiątkami dysz pancernik malał w oczach równie szybko jak wrażenie przytłoczenia odczuwane przez przedstawicieli mediów.

– Skoro część oficjalną mamy już za sobą – rozpromieniony Święcki odezwał się dopiero wtedy, gdy sklepienie zmatowiało – chciałbym przypomnieć o niespodziance, jaką dowództwo trzeciego metasektora przygotowało dla tutaj zgromadzonych. Albowiem to jeszcze nie koniec pokazu. – Uczynił pauzę dla emfazy. – Kto chce wsiąść na pokład tego cudu techniki i polecieć z nami na wyprawę życia?

Tak samo jak organizatorzy tego spotkania wiedział, że w normalnych okolicznościach nie narzekałby na brak chętnych. Jednakże okolicznościom daleko było do normalności, a żeby plan się powiódł, trzeba było zapakować na *Odyna* tyle ekip, ile się tylko da, i to zanim ich szefowie przypomną sobie, że powinni najpierw zapytać o zgodę mocodawców, czyli polityków. Święcki zdawał sobie też sprawę z tego, że każdy zaproszony przez Farlanda redaktor zgłosił ten fakt swemu oficerowi prowadzącemu albo nawet komuś z Rady. Dziennikarze chodzili na pasku Modo, byli od niej całkowicie zależni –



zwłaszcza teraz, gdy wciąż trwały czystki ponacjonalizacyjne obejmujące również media należące wcześniej do koncernów – i raczej nie zamierzali podpaść swoim nowym panom. O ile udział dowództwa trzeciego metasektora w tej konferencji prasowej nie wzbudził większego niepokoju na Ziemi – w gruncie rzeczy był to jeden z elementów postulowanej przez Radę kampanii medialnej, którą politycy zamierzali poprzedzić rozpoczęcie kontrofensywy – o tyle rozwinięcie imprezy o nieplanowany rejs mogło już zrodzić podejrzenia.

Dlatego Henryan musiał uciec się do podstępu.

– Panie i panowie – zagał przymilnie. – Jak wiecie, lada dzień rozpoczynamy kontrofensywę... To może być ostatnia okazja do rozmowy twarzą w twarz...

Kobieta siedząca w pierwszym rzędzie, wysoka brunetka o pociągłej twarzy i arystokratycznym nosie, podniosła rękę niczym pilna uczennica zgłaszająca się do odpowiedzi. Zauroczona bohaterem Federacji Loisabelle Lane, największa gwiazda „Daily Planet”, uczyniła to, co zasugerował jej podczas niedawnej prywatnej rozmowy.

– Tak? – Święcki uśmiechnął się przyjaźnie.

– Czy podczas lotu udzieli nam pan wywiadu?

– Właśnie o tym mówię. Będę do waszej wyłącznej dyspozycji przez całą następną dobę.

Zanim skończył mówić, większość obecnych zerwała się z miejsc.

# CZTERY

*System Cicero, Sektor Theta,*

*05.03.2355*

– Dlaczego nie latamy już myśliwcami?

Henryan westchnął, ale tylko w duchu, by siedzące na wprost niego dzieci tego nie zauważyły. Od godziny odpowiadał na podobne, czasami naprawdę głupie pytania. Dał się wrobić w tę pogadankę, ponieważ uznał, że nic tak nie uspi czujności rektora akademii jak pełna dyspozycyjność i spełnianie wszystkich, nawet niezbyt sensownych żądań.

Po kilkugodzinnym dyżurze w centrum treningowym, gdzie był świadkiem pełnej serii testów (zdanych, rzecz jasna, na niemal sto procent), oraz po późniejszym posiłku w mesie (zjedzonym, rzecz jasna, w towarzystwie dziewczyn i chłopaków, którzy w symulatorach dawali z siebie wszystko) stanął przed prostym wyborem: albo półtorej godziny odpoczynku przed spotkaniem z kadrą akademii, albo spotkanie z kadetami pierwszego rocznika. Wystarczyło jedno spojrzenie w oczy „delegatów” stojących karnie za wychowawczynią, by największy bohater Federacji ogłosił natychmiastową i bezwarunkową kapitulację.

– To proste... Danthony. – Aktywna soczewka kontaktowa, z której powodu lewe oko Henryana łzawiło coraz mocniej, zidentyfikowała twarz dziesięciolatka, trzeciego syna głównego mechanika kopalni liteonu na Deimosie IX i jednego z ośmiuset sześćdziesięciorga dzieciaków, które zostały

w tym roku przyjęte do akademii na Cicero. – Wiem, że każde z was marzy o tym, by zasiąść za sterami jednoosobowej maszyny. Niestety walka w przestrzeni kosmicznej toczy się dzisiaj w innych realiach, do których myśliwce zupełnie nie pasują.

– Ale mój praprapra... – dziewczynka siedząca w przedostatnim rzędzie musiała policzyć na palcach, by podać prawidłowe określenie przodka – ... pradziadek latał takim myśliwcem podczas wojny domowej.

– Właśnie ta wojna uzmysłowiła nam, jak bardzo anachronicznym sprzętem są myśliwce. – Henryan spostrzegł zaniepokojenie w spojrzeniu jednego z wychowawców.

Spokojnie, pomyślał, uśmiechając się pocieszająco. Nie zamierzał wyjawiać tym dzieciakom całej prawdy. Nie powie im przecież o katuszach, które przeżywali piloci zestrzelonych w próżni maszyn, dryfujący godzinami, a czasami całymi dniami nie w kapsułach ratunkowych – na nie brakowało miejsca w niewielkich myśliwcach – lecz w ich ersatzach, jakimi były wzmocnione nieco kokony foteli wyposażone w najprostsze systemy podtrzymywania życia. Horroru, jaki przeżywali ci ludzie, nie mogąc i nie chcąc zapaść w stazę, nie sposób przecież opisać. Wystarczy powiedzieć, że tylko sześć procent tych, którzy wyszli cało z opałów, zdecydowało się na powrót do służby.

– Wyjaśnię wam to najprościej, jak umiem – podjął. – Myśliwce straciły rację bytu w chwili wynalezienia ekranów energetycznych trzeciej generacji. Ich niewielkie rozmiary wykluczały w tamtych czasach użycie silniejszych reaktorów, a te standardowe nie produkowały wystarczająco dużo energii, by działka laserowe osiągały moc zdolną zagrozić atakowanym jednostkom. Z tego powodu dowództwo floty podjęło decyzję o zarzuceniu produkcji i zaprzestaniu dalszego używania myśliwców. Od tamtej pory stawiamy na znacznie potężniejsze okręty, takie jak choćby *Odyn*. – Wskazał pancernik wiszący obok walcowatego korpusu stacji orbitalnej, doskonale widoczny na każdym z ośmiu wielkich wyświetlaczy, którymi ozdobiono salę.

– Na tym musimy zakończyć nasze spotkanie z generałem majorem Świątkim, największym bohaterem Federacji. – Siedzący obok Henryana zastępca rektora wstał pośpieszenie, widząc las unoszących się rąk.

Te dzieciaki, prawdziwie zafascynowane legendą stworzoną na potrzeby maszyny propagandowej, mogłyby maglować znamienitego gościa przez wiele godzin, niestety harmonogram pobytu w akademii był bardzo napięty i nie pozwalał na przeciąganie nawet tak drobnych przyjemności. Świątki zerknął ukradkiem na komunikator. Rutta jak dotąd nie podesłał mu umówionego sygnału, co oznaczało, że urabianie admirała wciąż trwa.

– Myślę, że znajdę dodatkowe pięć minut na zrobienie pamiątkowego holo – rzucił, budząc aplauz nie mniejszy niż na Cydonii.

\* \* \*

– Spóźniłeś się całe pięć minut! – wysyczał Rutta, oczywiście przez wszczep interkomu, gdy tylko Świątki pożegnał eskortę odprowadzającą go aż do bocznego wejścia auli.

– Wiadomość przyszła w samym środku sesji holo – usprawiedliwił się Henryan. – Nie zdołałbym wyjść z tego tłumu, nawet gdybym bardzo chciał.

– To miała być zwykła rozmowa z pierwszakami – ofuknął go wkurzony generał. Według oficjalnej wersji pozostał w stoczni na Cydonii, by dokończyć inspekcję. W rzeczywistości przebywał na zamkniętym dla gości pokładzie *Odyna*, w ten sposób unikając przypadkowego nadziania się na zwiedzających okręt kadetów i dziennikarzy. Ta misja miała być solowym popisem jego protegowanego. Z tego właśnie powodu tak nerwowo reagował na każde odstępstwo od planu. – Nie powinienes angażować się w nic więcej.

– Jest dobrze? – zapytał półgębkiem Świątki, poprawiając na sobie mundur.

– Trudno powiedzieć – warknął Rutta. – Farland zrobił, co mógł, teraz wszystko zależy od ciebie.

Henryan nie odpowiedział, gdyż włąz rozsunął się przed nim z prawie

niesłyszalnym sykiem, odsłaniając pogrążoną w łagodnym półmroku poczekalnię. W ciasnym wnętrzu stało kilku mężczyzn w galowych mundurach. Atanasio i jego świta.

– Przepraszam za spóźnienie – rzekł Henryan, ledwie oddał przepisowy salut.

– Niestety...

– Nic się nie stało. – Łysy jak kolano rektor-admirał wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Dziękuję, generale majorze, za ten gest dobrej woli. Dla kadetów pierwszego rocznika będzie to z pewnością niesamowite wspomnienie. Nie mówiąc już o tym, jak korzystnie wpłynie na morale wszystkich uczniów. – Spojrzał uważniej na gościa. – Wszystko w porządku? Nie wygląda pan najlepiej – skomentował, skupiając wzrok na zaczerwienionym oku.

– Chyba coś jest nie tak z moją aktywną soczewką... – odparł Świącki. Widząc, że Atanasio zaczyna się rozglądać, dodał szybko: – Ale dam radę odbębnić i to spotkanie.

– Jest pan pewien?

– Absolutnie.

– Świetnie. – Admirał poklepał go po ramieniu.

Zachowywał się zbyt poufale jak na kogoś, kto zamienił z Henryanem tylko parę słów, jednakże sytuacja wymagała, by pozwolić mu na podobne gesty. Dlatego Świącki nie zareagował, choć miał wszelkie prawo to zrobić. Rektor akademii popisywał się przed towarzyszącymi mu oficerami, dla których Henryan – sądząc po minach – był kimś w rodzaju ożywionego bożka.

Niech mu będzie, pomyślał Świącki, kwitując nadmierną poufałość przyjaznym uśmiechem. Im bardziej Atanasio się odsłoni, tym trudniej będzie mu zablokować nieuchronny cios.

Weszli wspólnie na podest, stanęli przed morzem głów wypełniających aulę. Zebrano w niej chyba wszystkich wykładowców i pracowników tej akademii.

Tym razem nie było wiwatów, gwizdów ani radosnych podskoków. Trzysta dwadzieścia osób oddało w grobowej ciszy sztywny salut, po czym na znak rektora opadło na fotele. Wtórzący ich ruchom szelest nowo wydrukowanych

mundurów rozbrzmiał w wysoko sklepionym pomieszczeniu jak szum dwu kolejnych fal przyboju. Następnie na kilka długich sekund zapadła kompletna cisza, jakby kadra bała się nawet oddychać. Nikt nie kaszlnął, nie pociągnął nosem, nie westchnął. Kazano im uczynić na gościu wrażenie profesjonalistów, robili więc co w ich mocy, by tak właśnie wypaść.

\* \* \*

Pół godziny przemówień, nudnych jak mantry wkuwanych na wykładach wzorów, potem czas na pytania z sali – zadawane, rzecz jasna, bez cienia spontaniczności przez z góry ustalone osoby. Słowa wypowiedane nie z potrzeby serca, lecz recytowane z pamięci. Henryan odpowiadał na wszystkie bez wahania, czekając cierpliwie na to jedno jedyne, które da się wykorzystać do przejścia inicjatywy. Miał nadzieję, że ludzie admirała Atanasio ułatwią mu sprawę, nakierowując rozmowę na właściwe tory, choć liczył się także z koniecznością zagajenia tematu, gdyby spotkanie potoczyło się nie po jego myśli. Wreszcie, pod koniec trzeciego kwadransu tury pytań, dosłownie na minuty przed zamknięciem spotkania, o głos poprosiła drobna kobieta w mundurze pionu technicznego. Wyglądała na bardzo spiętą, musiała przełknąć ślinę raz, potem drugi, ale i tak pytanie zadała ochrypłym szeptem.

– Komandor Felicjanna Koenig... wykładowca mechaniki... dla klas średnich – przedstawiła się z jękaniem świadczącym o zzerającej ją wciąż tremie. – Co pan, generale majorze, jako praktyk biorący udział w kilku bitwach z Obcymi, sądzi o przygotowaniu naszych kadetów?

Bingo!

Na to właśnie czekał.

– Pani komandor – odpowiedział, przybierając bardzo poważną minę. – Jestem pełen podziwu dla tych młodych ludzi. Naprawdę. To, co zobaczyłem dzisiaj w centrum treningowym, wbiło mnie w ziemię. Szczerze panu gratuluję, panie rektorze – odwrócił się do admirała Atanasio, po czym spoglądając znów

na zebranych, dodał: – Odwaliliście kawał dobrej roboty. Aż mi się serce kraje na samą myśl, że... – Urwał, lekko na siebie wściekły, że wyszło to zbyt teatralnie.

Nagle dotarło do niego, że spotkanie z pierwszakami wcale nie było tak dobrym pomysłem, jak początkowo sądził. Zmęczenie zaczynało brać nad nim górę. Po kilkunastu godzinach lotu, w trakcie których nie zdołał zmrużyć oka, drugie tyle czasu spędził na aktywnej wizytacji akademii. To musiało odbić się negatywnie na jego samokontroli, i to pomimo zażycia końskiej dawki stymulantów.

Na szczęście kadra akademii skupiła się na szokującej treści przekazu, nie jego formie.

– Nie bardzo rozumiem... – wyjąkała zaskoczona Koenig.

Henryan zaczerpnął głęboko tchu, jakby szykował się do dłuższej przemowy, lecz tylko westchnął ciężko, co znów wypadło, przynajmniej jego zdaniem, niezwykle sztucznie.

– Nie będę owijał w bawełnę, ponieważ wszyscy zasługujecie na prawdę. Rada i sztab trzeciego metasektora toczą ostatnio ostry spór o to, kim obsadzić nowe pancerniki. Byłem świadkiem, jak wielki admirał Farland przekonuje panią kanclerz MODO, że kadeci mimo znakomitych wyników na testach nie dadzą sobie rady podczas prawdziwej bitwy. Chce zatem nowo powołane do służby piątki obsadzić głównie członkami załóg tych jednostek, które brały już udział w walkach. Oczywiście po przeprowadzeniu stosownych szkoleń. Takie kursy trwają już od ponad dwóch miesięcy, to też wiem z pierwszej ręki. Co więcej, lada dzień sztab trójki przedstawi Radzie dalsze argumenty, które mogą przeważać szalę na waszą niekorzyść.

Atanasio przyglądał mu się z otwartymi ustami, podobne miny mieli też pozostali oficerowie siedzący za stołem prezydyjnym. Wywalił im bolesną prawdę prosto w oczy, czego z pewnością nie spodziewali się w tak radosnej chwili. Poza tym był przecież podwładnym Farlanda...

– Jakie argumenty...? – Pobladła komandor nie zdołała wydusić z siebie nic

więcej.

Kobieto, kocham cię, pomyślał Święcki, zachwycony jej żywą reakcją. Tego właśnie mi trzeba. Oby jak najwięcej twoich kolegów i koleżanek miało podobne odczucia.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Wbrew obiegowym opiniom nie należę do kręgu najbardziej zaufanych współpracowników wielkiego admirała. Można nawet powiedzieć, że ostatnimi czasy nie cieszę się jego względami.

Przynęta została zarzucona.

\* \* \*

Niecałą godzinę później, po tym jak Henryan odwiedził ambulatorium, by zrobić porządek z zaczerwienionym, świerzbiącym okiem, honorowa eskorta kadetów ostatniego roku odprowadziła go aż pod włącz kwatery gościnnej, gdzie mógł w końcu odpocząć.

Zrobił, co do niego należało, a nawet więcej – teraz mógł już tylko czekać. Opadł więc na proste krzesło (na tej stacji nie widział jeszcze niczego, co kojarzyłoby się z komfortem) i siedział nieruchomy jak posąg z kubkiem szybko stygnącej odżywki w dłoni, wbijając natarczywe spojrzenie w konsolę terminala. Czekał ponad kwadrans, z przymkniętymi oczami modląc się w duchu, by brzęczyk komunikatora przerwał w końcu tę męczącą grobową ciszę. Niestety urządzenie uparcie milczało.

To musi potrwać, uznał po chwili zastanowienia. Atanasio potrzebuje czasu na przemyślenie sytuacji, a do odlotu *Odyna* zostało...

Sprawdził czas na wyświetlaczu. Dochodziła czternasta, ceremonię pożegnalną zaplanowano na siedemnastą trzydzieści. To oznaczało, że admirał ma co najmniej dwie i pół godziny.

Jeśli komunikator nie odezwie się do szesnastej trzydzieści, postanowił w duchu Święcki, wezmę sprawę w swoje ręce i rozpocznę realizację planu B.

Opuścił niewygodny posterunek przed terminalem, wziął bardzo długi gorący



prysznic, o którym marzył od postawienia nogi na pokładzie stacji orbitalnej, po czym padł jak kłoda na wąską koję, by zdrzemnąć się choć chwilę w półmroku spartańsko urządzonej kajuty. Ledwie przymknął powieki...

...poczuł, że pikanie sprzętu znajdującego się zaledwie pół metra od niego rozdziera mu bębenki w uszach.

Henryan zerwał się na równe nogi. Potrzebował kilku sekund, by oprzytomnieć. Zaklął pod nosem, gdy jego wzrok spoczął na wyświetlaczu terminala. Szesnasta trzydzieści! To nie admirał dzwonił, lecz budzik. Przespał prawie dwie i pół godziny, choć wydawało mu się, że dopiero co padł na twarde posłanie.

Atanasio się nie odezwał.

To zły znak, pomyślał Henryan, dopinając mundur.

Musiał się śpieszyć, jeśli chciał przekonać tego upartego drania. Przejrzał się w lustrze, strzepnął pyłek z kieszeni na piersi, wyrównał stójkę pod szyją, poprawił czapkę.

Bohater Federacji musi świecić przykładem. Musi oślepić dowództwo akademii...

Gdy ruszył w kierunku wjazdu, płyty z plastali rozsunęły się niemal bezgłośnie, wpuszczając do zaciemnionego wnętrza snop światła przecięty smugą cienia. Ktoś stał w korytarzu na wprost wejścia. Świećki zmrużył nawykłe do półmroku oczy. Kiedy odzyskał ostrość widzenia, zobaczył wyprężonego jak struna kadeta. Automatycznie odpowiedział na jego sztywny salut.

– Generale majorze, rektor przesyła pozdrowienia i prosi o jak najszybsze przybycie do jego gabinetu! – wyrecytował postawny chłopak, a w zasadzie już mężczyzna, wystrojony w wydrukowany specjalnie na tę okazję galowy mundur. Na piersi miał co najmniej tuzin błyszczących prostokątnych odznak. Jeden z prymusów, bez wątpienia, aczkolwiek jego twarz nic Henryanowi nie mówiła. Tyle się ich naoglądał w centrum treningowym, że żadna nie utkwiała mu w pamięci.

– Prowadź zatem – odparł zwięźle, ukrywając zadowolenie. Może nie było tak

źle, jak do tej pory przypuszczał? – Mam nadzieję, że nie czekałeś długo – dodał, tknięty nową myślą.

– Nie, sir – odparł posłaniec. – Tylko półtorej godziny.

– Dlaczego nie zameldowałeś się wcześniej?

– Rektor zabronił pana budzić, generale majorze. Kategorycznie.

\* \* \*

W gabinecie admirała Atanasio na Świąckiego czekało troje ludzi – siedzący za zabytkowym biurkiem rektor oraz dwoje jego zastępców: wiceadmirał Denisenko odpowiedzialny za pion szkoleń bojowych i kontradmirał Nunez szefująca pionowi medycznemu. Henryan powitał ich przepisowo, stając na baczność krok za progiem. Ze swego miejsca posłał zarządcom akademii pytające spojrzenie, jakby nie rozumiał, dlaczego wezwano go tutaj, czy może raczej poproszono, za ledwie na godzinę przed odlotem. Zgodnie z planem już za niespełna czterdzieści minut w doku numer siedemnaście powinna rozpocząć się ceremonia pożegnania. Trafia na nią wszyscy kadeci, wykładowcy i wychowawcy, których nie zatrzymają inne obowiązki.

– Proszę wybaczyć, generale majorze – Atanasio trafnie odczytał minę gościa – ale wyniknęły pewne okoliczności... – Zawiesił głos, zerkając w stronę podwładnych.

– Stało się coś? – Świącki udał zaniepokojenie.

Czuł znajome mrowienie w karku. Był niemal stuprocentowo pewien, co za moment usłyszy. Gdyby nie uważne spojrzenia całej trójki, pozwoliby sobie na tryumfalny uśmiech. Chwycili przynętę, bez dwóch zdań, lecz żyłka była naprawdę cienka, a zdobycz wielka, wolał więc nie świętować przedwcześnie sukcesu.

– Niezupełnie – odparł rektor, wskazując mu wolny fotel ustawiony przy stole, naprzeciw siedzisk zajmowanych przez jego zastępców. – Chcielibyśmy przedyskutować z panem pewien pomysł.

– Rozumiem. – Święcki zajął miejsce i popatrzył na rozmówców wyczekująco. – Prosiłbym tylko, abyśmy się streszczali. Za dwadzieścia minut powinienem zameldować się na mostku *Odyna*.

– To chyba nie będzie konieczne – stwierdził ze stoickim spokojem admirał.

– Słucham?!

Tym razem Atanasio naprawdę zaskoczył gościa.

– Po spotkaniu z kadrą zwołałem odprawę zarządu, na której podjęliśmy kilka ważnych decyzji. Między innymi dzięki panu.

– Nie rozumiem... – Święcki wodził rozbieranym wzrokiem po twarzach całej trójki.

– Proszę dać mi chwilę, generale majorze, a wszystko stanie się jasne – zapewnił go rektor. – Zanim jednak przejdę do szczegółów, chciałbym pana o coś zapytać.

– Słucham.

– Dlaczego przyleciał pan na Cicero?

– Przecież już o tym mówiłem. Wybrałem pańską akademię, ponieważ mieliście najlepsze wyniki w tym metasektorze i...

– Pan wybrał? To nie był rozkaz wielkiego admirała?

Henryan przełknął ślinę. Nie dlatego, że rozmówca zbił go z tropu. Odpowiedzi na to pytanie i szereg podobnych znał na pamięć, mógł je wyrecytować nawet tuż po wybudzeniu ze stazy. Jednakże aby nie wzbudzać podejrzeń, powinien ich udzielić dopiero po głębokim zastanowieniu.

– Tak, ja.

– Wbrew woli przełożonego? – naciskał na niego Atanasio.

Święcki spuścił na moment wzrok, jakby go przyłapano na nieregulaminowym zachowaniu.

– Admirale, nie rozumiem, do czego pan zmierza, ale...

– Proszę odpowiedzieć, generale majorze.

Henryan usiadł prościej, zupełnie jak podwładny, który został wezwany na dywanik.

Taka uległość powinna im się spodobać, pomyślał.

– Otrzymałem rozkaz udziału w konferencji, dzięki której sztab trzeciego metasektora będzie mógł rozpocząć nowy etap... – zawahał się celowo – ... kampanii propagandowej. Oczywiście zgodnie z najnowszymi wytycznymi Rady – dodał, aby podkreślić, że chodzi o absolutnie rutynowe czynności postulowane nie przez sztab, lecz polityków. – Zapoznawszy się ze szczegółowymi planami misji, zaproponowałem, by nie ograniczać się do konferencji prasowej i wizytacji pancernika. Postulowałem wysłanie *Odyna* w krótki rejs pokazowy, podczas którego będziemy mogli zaprezentować mediom coś więcej niż tylko reklamowe holo okrętów piątej generacji. Generał Rutta, z którym poleciałem na Cydonię, wyraził zgodę... za wiedzą wielkiego admirała, z tego co mi wiadomo.

– Farland zgodził się wysłać *Odyna* do nas?

– Niezupełnie, admirale – odparł asekuranckim tonem Święcki. – Sztab trzeciego metasektora wyraził jedynie zgodę na dwudobowy rejs pokazowy. Przedłożono mi zatwierdzoną listę docelowych systemów, na której znajdował się również system Cicero. O tym, że wielki admirał nie życzy sobie wizyty w tej akademii, dowiedziałem się dopiero po przylocie. Poinformowano mnie o tym w bardzo obcesowy sposób.

– Rozumiem.

– A ja nie do końca, admirale. Odwiedziny w pańskiej uczelni wydawały mi się sensownym posunięciem, skoro lada moment mamy rozpocząć kampanię wojenną, w której uczący się tutaj kadeci wezmą mniejszy lub większy udział. Jak już wcześniej wspomniałem, staram się zachować jak największą bezstronność w starciach pomiędzy sztabem a politykami. Może mi pan wierzyć, zebrałem solidny opieprz za podjęcie tej decyzji najpierw od generała Rutty, a później od samego wielkiego admirała, ale nie mogłem jej cofnąć, ponieważ *Odyn* zdążył już dolecieć na Cicero. Poza tym przedstawiciele mediów zostali poinformowani, że złożymy wizytę w najlepszej akademii metasektora. Gdybym nagle nakazał zmianę kursu... – nie dokończył, pozwalając, by sami doszli do

odpowiednich wniosków.

– Skoro Farland nie chciał, żeby *Odyn* trafił do tej akademii, dlaczego nasz system znalazł się na liście? – zapytał Denisenko, niski, wychudzony jak szczapa i co ciekawe, białoskóry Noworosjanin.

– Nie mógł nas pominąć. – Nunez ubiegła Henryana. – Gdyby Modo zobaczyła, że nie ma nas w spisie docelowych systemów, potraktowałaby to jako akt złej woli, co z pewnością nie pomogłoby staraniom wielkiego admirała. Gramy o naprawdę wysoką stawkę, panowie – dodała znacząco. Jej okrągła, płaska twarz o ciemnooliwkowej karnacji pozostała nieprzenikniona, jakby rozmawiali o czymś tak mało ważnym jak wybór napoju do obiadu.

– Tak... – Atanasio pokiwał głową w zamyśleniu. – Zatem wybrał nas pan tylko dlatego, że byliśmy najlepsi – podsumował, spoglądając Świąćkiemu w oczy.

– Tego nie powiedziałem – odparł Henryan po kilku sekundach mierzenia się wzrokiem z rektorem.

– Ale sprzyja nam pan?

– Ja, admirale, nikomu nie sprzyjam. Robię to, co uważam za słuszne.

– Jak na bohatera przystało.

– Mówiąc szczerze – wypalił Świąćki, markując oburzenie – to mam już dosyć tych bzdur o moim heroizmie. Zrobiłem, co należy, gdy wszyscy wpadli w panikę, a bohaterem zostałem tylko dlatego, że Rada potrzebowała wzoru dla pokrzepienia serc. Gdyby to ode mnie zależało, oddałbym wszystkie odznaczenia i awanse, byle móc normalnie służyć na pierwszej linii, zamiast wykonywać pokazowe misje, dzięki którym ktoś na Ziemi utrzyma stołek. To jest cholerna wojna o przetrwanie, nie jakieś tam przygodowe holo!

– Spokojnie, generale majorze. – Rektor uniósł ręce w obronnym geście. – My także staramy się robić, co do nas należy. Problem w tym, że pańskie pojawienie się na Cicero... Cóż, można by powiedzieć, że spadł nam pan z nieba, ale ja, skoro już stawiamy na szczerłość, w cuda niespecjalnie wierzę. Dlatego wolę dopytać, jak do tego doszło.

– Jeśli chce pan znać całą prawdę, to nie wybrałem tego systemu przez przypadek. Powiedzmy, że darzę wielkiego admirała takim samym szacunkiem jak on mnie. Nie zamierzam mu pomagać w walce o utrzymanie stołka, ponieważ znam paru lepszych od niego dowódców, którzy bardziej by się nadawali na to stanowisko.

Święcki włożył w ostatnią wypowiedź cały swój kunszt aktorski, aby uciąć tę część dyskusji. Wcześniejsze stwierdzenia admirała Atanasio sugerowały, że zarząd akademii zupełnie poważnie rozważy podjęcie działań, które ułatwią mu wykonanie zadania. Musiał więc utrzymać rektora na tym kursie, i to za wszelką cenę. Nawet jeśli będzie to oznaczało kolejne kłamstwa.

– Śmiałe wyznanie, generale majorze. Wie pan, że służyłem kiedyś z Theodoreginaldem? Jedno moje słowo i...

Henryan wybuchnąłby śmiechem, gdyby nie grali o tak wysoką stawkę. Na szczęście udało mu się zachować kamienną twarz.

Atanasio nie powinien siadać do pokera, pomyślał, bo nawet zwykli kadeci umieją blefować lepiej od niego. Oczy, oczy zdradzą wszystko, jeśli człowiek nie potrafi kłamać jak z nut. Gdyby nie dziesiątki godzin instruktażu najlepszych spin doktorów, zapewne byłbym tak samo przejrzysty jak on teraz...

– Nie poinformowano mnie o tym fakcie, ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Stałem się zbyt ważnym trybikiem w maszynie propagandowej, by wielki admirał stanowił dla mnie realne zagrożenie. A może mi pan wierzyć: gdyby mógł mi zaszkodzić, już dawno zostałbym zdegradowany albo i wydalony ze służby.

– Tak... – Rektor opadł na oparcie prostego fotela. – Święta racja. Dla miliardów ludzi jest pan dzisiaj najbardziej rozpoznawalnym symbolem naszego oporu.

– O co nigdy nie prosiłem – mruknął Henryan.

– A już za chwilę do listy pańskich zasług zostanie dopisana jeszcze jedna pozycja – poinformował go rozbawiony Atanasio.

– Mogę zapytać jaka?

– Ender, mówi to panu coś?

– Ender? To jakieś imię?

– Ender – poprawił go rektor. – Nie imię, tylko protokół.

– MDR? To ekstremalny poziom testu bojowego. Maksymalna Doza Realizmu, jeśli dobrze pamiętam.

– Tak, to jedyny test, jakiego nie byliśmy w stanie przeprowadzić bez pomocy sztabu trzeciego metasektora. Dzięki panu zyskaliśmy dzisiaj taką możliwość. – Atanasio wskazał głową panoramiczne okno, za którym widać było pobliską martwą planetę i jedno z ramion dokujących akademii, do którego przycumowano *Odyna*.

– W pół godziny nie zdołacie niczego zorganizować ani przeprowadzić, a tylko tyle zostało do naszego planowego odlotu.

Rektor uśmiechnął się szeroko.

– Właśnie o tym chciałem z panem porozmawiać, generale majorze.

– Wykluczone! – Henryan zerwał się z fotela. – Nie mogę zmienić planu lotu. To byłoby złamanie rozkazu przełożonego.

– Bez obaw, generale majorze. Niczego nie będziemy łamali. Proszę zobaczyć.

Wystarczyło lekkie skinienie głowy, by na stole pojawił się czytnik. Nunez aktywowała go muśnięciem kciuka. Holograficzny dokument był niezwykle krótki.

– Nie możecie przejść *Odyna*, to okręt należący do trzeciej floty – wymamrotał Święcki po przeczytaniu kilku zdań, pod którymi widniał zamaszty podpis Xiao. – Poza tym ten dokument nie został kontrasygnowany przez wielkiego admirała.

– Myli się pan, generale majorze – zapewnił go rektor, uśmiechając się tryumfalnie. – *Odyn* nie trafił oficjalnie do rejestru, zatem pozostaje w gestii admiralicji, a ta przychyliła się do naszej prośby i udostępniła go nam na czas potrzebny do przeprowadzenia testu Feniksa w trybie EmDeEr.

– W takim razie nie rozumiem, po co było to... to przesłuchanie. – Święcki

tym razem odegrał zranioną niewinność, jednakże udawanie przychodziło mu z coraz większym trudem.

Usłyszał właśnie, że zarządcy akademii uczynią to, co zaplanował, i to w taki sposób, że cała wina spadnie na nich, nie na sztab trzeciego metasektora.

O ile testy przebiegną zgodnie z przewidywaniami Farlanda i Rutty.

– Mimo zgody admiralicji nie byłem pewien, czy powinniśmy skorzystać z tej okazji – wyznał Atanasio. – Jak już wspomniałem, niespecjalnie wierzę w cuda.



# PIĘĆ

*System Cerber VII, Sektor Theta,*

*09.03.2355*

– Alarm bojowy!

Zanim Henryan zdążył dokończyć rozkaz, w każdym pomieszczeniu pancernika zawyły syreny alarmowe. Światła w ciągach komunikacyjnych, przygaszone do niezbędnego minimum ze względu na umowną porę nocną, zapłonęły natychmiast pełnym blaskiem, jakby te dwa krótkie słowa miały moc przyśpieszania czasu.

Święcki wpatrywał się w wyświetlacze, którymi otoczono stanowisko dowodzenia. Na ponad dwudziestce wirtualnych ekranów mógł obserwować wszystkie ważne łączniki głównych korytarzy na pokładach bojowych. Na żadnym jednak nie widział żywej duszy, jakby załoga porzuciła *Odyna* albo została ewakuowana.

Gdy Atanasio poruszył się nerwowo, przypominając o swojej obecności, generał major posłał mu krzywy uśmiech.

– To naprawdę duży okręt, admirale. Ludzie muszą mieć czas na włożenie kombinezonów, dotarcie do właściwych wind...

– Cholerny EmDeEr – mruknął wciąż podenerwowany rektor. – U nas testy zaczęły się w momencie zamknięcia kokonu.

– Nic złego się nie dzieje. Jak pan zapewne pamięta, w przestrzeni trzeba się czasem mocno wynudzić, zanim dojdzie do starcia – zażartował Święcki. –

A my czekamy dopiero... dwadzieścia sekund. Jeszcze chwila i... – Zamilkł, wskazując palcem jedno z okienek, na którym zobaczył grupkę kadetów. Połowa z nich dopinała w biegu kombinezony. – Szybcy są – mruknął z uznaniem. – Mniej niż pół minuty, no, no.

Atanasio sapnął głośno, wypuszczając zbyt długo wstrzymywane powietrze. Odprężył się nieco, ale tylko nieco, słysząc z ust Henryana niewątpliwą pochwałę. Zrobił wszystko, by jego uczniowie wypadli jak najlepiej, jednakże zdawał sobie sprawę, że bieżący test jest inny. Uczestnicy muszą być przekonani, że stają naprzeciw najprawdziwszego wroga. Na tym właśnie polegał protokół Maksymalnej Dozy Realizmu.

Dwa dni wcześniej wszyscy kadeci ostatniego rocznika otrzymali karty powołania i związane z nimi przydziały na różne jednostki drugiej oraz trzeciej floty, przy czym mieli tylko dwie godziny na spakowanie swoich rzeczy i pożegnanie się z kolegami. O tym, że nadesłane przez admiralicję „bilety” nie są prawdziwe, wiedzieli wyłącznie członkowie zarządu akademii, w sumie pięć osób. Żadna z nich nie pisnęła ani słowem, gdy żegnano podekscytowanych, ale też lekko wystraszonych uczniów, ponieważ jednym z elementów testu były obowiązkowe badania neurografem, wykonywane rzecz jasna już po zaliczeniu – bądź niezaliczeniu – sprawdzianu, aby wykluczyć wszelkie próby ingerencji w wyniki. Atanasio liczył się z tym, że Farland, próbując uniknąć ewentualnego upokorzenia, zażąda przebadania wszystkich uczestników, i dlatego zadbał, by kadeci nie mieli najmniejszych podejrzeń co do prawdziwości misji, w której przyjdzie im wziąć udział.

Rekruci zostali sprawnie podzieleni na oddziały, następnie zaś zapakowani na podstawione transportowce, gdzie niemal natychmiast trafili do komór kriogenicznych. Przespali w nich niemal dwie doby, lecz po wybudzeniu timery w ich komunikatorach, podobnie jak systemy jednostek, którymi byli przewożeni, wskazywały, że okres stazy trwał ponad czterokrotnie dłużej. Ta drobna mistyfikacja miała uwiarygodnić podróż do odległego sektora w jeszcze odleglejszym pasie, chociaż tak naprawdę trafili zaledwie trzy parseki od

rodzimej akademii.

Dwustu dwudziestu sześciu rekrutów trzymano w uśpieniu przez prawie czterdzieści osiem godzin, to jest znacznie dłużej niż to konieczne, by po wybudzeniu odczuć skutki długotrwałego wyziębienia, tak charakterystyczne dla wieloskokowych podróży. Gdyby staza trwała krócej, ktoś spostrzegawczy mógłby zauważyć brak pewnych symptomów, a co za tym idzie, domyślić się, że coś tu jest nie tak. Święcki i Atanasio nie mogli sobie pozwolić na wpadkę przez tak trywialny błąd.

Kolejnym etapem testu było zaokrętowanie, klasyczny proces przebiegający dokładnie według regulaminu floty. Wszyscy członkowie podstawowej załogi *Odyna*, których główne zadanie polegało na wprowadzeniu zamustrowanych w nowe obowiązki, zostali wcześniej zapoznani z tajnikami protokołu Feniks, a także uprzedzeni, jakie konsekwencje grożą temu, kto słowem lub uczynkiem przyczyni się do wypaczenia wyniku. Święcki akurat nie żywił większych obaw w tym zakresie, ponieważ w ten rejs zabrał naprawdę odpowiedzialnych oficerów i marynarzy, przede wszystkim instruktorów pracujących wcześniej na *Thorze* i *Baldurze*, czyli piątkach służących do szkolenia załóg w głównych bazach trzeciego metasektora.

Kadeci, którzy musieli mieć zagwarantowany czas na oswojenie się z nowymi przydziałami, dostali ponad trzydzieści godzin względnego spokoju, przerwane tylko trzykrotnie ogłoszeniem rutynowych ćwiczeń. Po upływie wyznaczonego czasu w samym środku nocy pokładowej rozbrzmiały syreny czwartego, tym razem „prawdziwego” alarmu bojowego.

Admirał Atanasio przybył na *Odyna* przed dwiema godzinami – później, niż zakładał protokół – tak więc jego reakcja na ślamazarność kadetów udających się na pokłady bojowe była całkowicie zrozumiała. Mimo że przyjął do wiadomości wyjaśnienia Święckiego, tak naprawdę uspokoił się dopiero wtedy, gdy generał major podparł się stosownymi wykresami. Dla rektora-admirała ten test był najważniejszym egzaminem w dotychczasowej karierze, być może nawet w życiu. Henryan czuł się podle, spoglądając na człowieka, którego

jedyną winą było to, że nieświadomie wziął udział w wyścigu o być albo nie być setek tysięcy ludzi.

Syreny wyły przez okrągłe trzy minuty, po czym umilkły równie nagle, jak się odezwały. Do tego czasu wszyscy oficerowie i marynarze podstawowej załogi *Odyna* zdążyli się znaleźć na stanowiskach bojowych. Dwustu dwudziestu sześciu prymasów akademii, których wyniki miały być brane pod uwagę, zniknęło w kokonach foteli i rozpoczęło procedury kontrolne podległych im baterii, wyrzutni i dział. Święcki, podobnie jak rektor, nie spuszczał wzroku z przepływających po wirtualnych ekranach rzędów cyfr, które zastąpiły widok ciągów komunikacyjnych pancernika. Wszystkie ikonki były idealnie zielone, co oznaczało, że rekruci postępują zgodnie z harmonogramem, bez niepotrzebnych przestojów i większych pomyłek. Naturalnie nie obyło się bez błędów, lecz okazały się one niewiele znaczące dla końcowych rezultatów.

– Dziewięćdziesiąt osiem koma sześć procent. – Święcki pokiwał głową z uznaniem. – Doskonały wynik, admirale.

– O ile gorszy od osiągniętych w trójce?

Henryan zaśmiał się w duchu. Staruszek wciąż wietrzył podstęp, a do tego próbował go poddać równoległemu testowi.

– Mam dostęp jedynie do wyników zwykłych symulacji – odparł generał major, udając, że skupia się na analizie napływających danych i nie zauważa podchodów rozmówcy. – A tych chyba nie ma co porównywać.

– Fakt – mruknął rektor z wyczuwalnym zawodem w głosie.

– Kapitanie van Houten, proszę zainicjować trzeci etap protokołu Feniks – polecił Święcki, kierując te słowa do „testowego” dowódcy *Odyna*.

– Transfer danych rozpoczęty – zameldował niski mężczyzna o czysto semickich rysach twarzy, którego wybrano na to odpowiedzialne stanowisko spośród tuzina kandydatów.

Od tej pory kontrolę nad przebiegiem ćwiczeń będą miały wyłącznie komputery.

Henryan odsunął fotel od konsoli. Wstał nieśpiesznie, spoglądając na

komunikator. Synchronizacja sprzętowa z protokołem została zakończona. Timer zaczął odliczać czas do kontaktu bojowego. Wyświetlacz, zamiast półtorej setki indywidualnych okienek, pokazywał teraz panoramiczny obraz mostka bojowego i – na kolejnym wirtualnym ekranie – widoczną z niego przestrzeń. Wokół *Odyna* roilo się od okrętów wojennych. W centrum ścisłego szyku leciało sześć pancerników – w tym cztery piątki – wokół nich zaś rozstawiono osiem eskadr krążowników, za którymi znajdowały się zaznaczone tylko ikonkami formacje jednostek eskorty.

– Imponujące – skwitował admirał, wiedząc, że na Cerberze VII przebywają w chwili obecnej tak naprawdę tylko dwie jednostki: *Odyn* i towarzyszący mu krążownik *Termopile*, na którym zainstalowano rejestrujące przebieg testu ekipy medialne.

Aby iluzja była pełna, kadeci musieli ujrzeć na własne oczy potężną flotę, która miała walczyć u ich boku. I zobaczyli ją dzięki doskonałej symulacji przygotowanej na potrzeby protokołu Feniks.

– Wiem, admirale, że dla pańskich ludzi to naprawdę stresujący moment – Świącki spojrział na towarzyszącego mu rektora – niemniej sugeruję, aby udał się pan teraz do kajuty, odpoczął, odświeżył się albo coś zjadł.

Atanasio spojrział na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

– A test?

– Następna faza protokołu rozpocznie się dopiero za trzy godziny standardowe. – Henryan wskazał timer. – Jak EmDeEr, to EmDeEr.

\* \* \*

Oczekiwanie to najgorsza część przygotowań do walki. Im dłużej czekasz na nadchodzącą bitwę, tym bardziej obciążasz nerwy, tym większy odczuwasz strach. Wie o tym każdy, kto trzymał broń w dłoniach, kuląc się przed szturmem w okopie albo za burtą amfibii sunącej ku odległej plaży. Przeniesienie wojny w przestrzeń niczego nie zmieniło, ba, wręcz pogorszyło sprawę. Gargantuiczne

rozmiary okrętów wojennych, niemal dwukrotnie większych od archaicznych lotniskowców, które uznawano swego czasu za szczytowe osiągnięcie techniki militarnej, nie były w stanie zrekompensować stresu, jaki przebywający na ich pokładach oficerowie i marynarze przeżywali, wyczekując godzinami na rozpoczęcie starcia.

Podczas bitwy człowiek musi działać, nie ma więc czasu na rozważania ani zastanawianie się, czy podjęta właśnie decyzja poskutkuje jego śmiercią. Każdy robi wszystko, by przetrwać. Jednakże wcześniej, zanim dojdzie do walki, umysł ulega powolnej destrukcji, żywcem pożerany przez bezlitosną bestię składającą się z sumy wszystkich lęków i obaw.

Z takiej próby wychodzą cało tylko ci, którzy mają nerwy ze stali – bądź są kompletnie pozbawieni wyobraźni. Zdecydowana większość kadetów nie zaliczała się do żadnej z tych grup. Obrazowały to dobitnie odczyty automedów; wystarczyło pół godziny, by wszystkie okienka najpierw pożółkły, a potem zaczęły stopniowo czerwienieć. Atanasio pocił się równie obficie jak jego uczniowie zamknięci w szczelnych kokonach i uspokoił się dopiero wtedy, gdy system zaczął dozować rekrutom łagodne relaksanty, których zadaniem było okiełznanie szalejących umysłów, choć nie ich otępienie, ponieważ najłżejsza utrata koncentracji w trakcie walki mogła przynieść katastrofalne skutki.

Mimo że większość systemów uzbrojenia była w pełni zautomatyzowana, to jednak kluczowe decyzje podejmowali walczący ludzie – od nich i tylko od nich zależał wybór strategii; oni i tylko oni przydzielali stanowiskom ogniowym priorytetowe cele, obserwując bacznie przebieg starcia.

Dawno temu, jeszcze przed wojną domową, rozpoczęto prace nad stworzeniem w pełni zautomatyzowanych okrętów, lecz każda próba wprowadzenia ich do służby kończyła się widowiskowym niepowodzeniem. Sztuczna inteligencja zawodziła na całej linii. Jeśli zaimplementowano do systemu zbyt prymitywne oprogramowanie, AI nie radziła sobie z oceną sytuacji, przegrywała też z żywymi ludźmi liniowością podejmowanych decyzji i często popełniała karygodne błędy wynikające z błędnej interpretacji, które

prowadziły do nieuchronnej zagłady. Jeśli natomiast software był zbyt rozbudowany, po prostu odmawiała walki bądź robiła wszystko, by jej uniknąć. Intelktowi nieskazonemu czynnikiem ludzkim – i jak widać po działaniach ma'lahn, także Obcym – nie mieściło się w neuronach, że można zabijać innych i samemu przy tym ginąć. Z tego właśnie powodu robotyzacja pola walki utknęła na dość wczesnym etapie, w związku z czym nawet w połowie XXIV wieku nadal stosowano rozwiązania hybrydowe, gdzie człowiek wspomagał pracę komputerów nieszablonową, intuicyjną oceną taktyki wroga.

I takie było główne zadanie kadetów biorących udział w teście Feniksa: mieli stać się nie tylko oczami i uszami systemu, ale też jego korą mózgową. Od szybkości ich reakcji i skojarzeń będzie zależał wynik bitwy oraz czynnik taki jak wysokość strat.

Atanasio uważnie przeglądał napływające nieprzerwanie dane, sprawdzając, czy automedy nie popełniają błędów – czytaj: czy nie zostały przeprogramowane przez ludzi Farlanda, by sabotować wyniki testu. Chociaż bardzo się przyłożył, nie wykrył żadnych nieprawidłowości. Nie wiedział, biedaczysko, że ta gra została ustawiona na zupełnie innym poziomie. I to bynajmniej nie przez wielkiego admirała.

Dowództwo trzeciego metasektora nie musiało manipulować przy wynikach Feniksa, wielki admirał bowiem miał niezachwianą pewność, że kadeci, którzy nigdy wcześniej nie brali udziału w walce i przez to nie zyskali odpowiedniego doświadczenia, a co za tym idzie odporności psychicznej, zwyczajnie załamią się pod presją. Farland wyłożył to prosto: młodych ludzi pokona świadomość, że nie siedzą w symulatorze, z którego mogą w każdej chwili wyjść, by rozważyć powody porażki i przystąpić do kolejnej próby. Sparaliżuje ich myśl, że biorą udział w walce na śmierć i życie.

Na razie jednak nic nie wskazywało, by dowódca trzeciego metasektora miał rację. Reakcja kadetów, choć nerwowa, nie odbiegała specjalnie od normy. Mediana generowana przez komputer na podstawie odczytów ze wszystkich dwustu dwudziestu sześciu stanowisk wychyliła się w początkowym stadium

testu, lecz z czasem jej wektor ponownie zbliżył się do uśrednionych zapisów z prawdziwej akcji. Świącki zwrócił uwagę rektora na ten fakt, aby go pocieszyć. Sam – choć odczyty mogły mu się wydać niepokojące – obserwował je ze stoickim spokojem, ponieważ nie zapomniał słów Farlanda, który podczas ostatniej odprawy stwierdził stanowczo, że nie ma się co ekscytować połowicznymi wynikami, gdyż kluczowy moment nadejdzie nie prędzej niż na kwadrans przed rozpoczęciem bitwy.

W chwili, gdy rejestratory sondy hybrydowej wychwyciły pierwsze anomalie przy studniach grawitacyjnych, automedy wstrzyknęły wszystkim kadetom kolejną porcję farmaceutyków. Tym razem były to środki stymulujące, które powszechnie stosowano na polu walki celem wyostrenia zmysłów żołnierzy. W tym wypadku problem polegał na tym, że kadeci nie nawykli do działania pod wpływem silnego stresu z jednej strony, a z drugiej sztucznego pobudzenia, które potęgowało wszelkie odczucia, także te negatywne.

Wielki admirał liczył więc, że bilans, który zazwyczaj wychodzi na zero, tym razem okaże się niekorzystny. O tym, czy się nie przeliczył, Atanasio, Świącki, Rutta i czekający w nie mniejszym od nich napięciu przedstawiciele mediów przekonają się już za kilka chwil, gdy system uruchomi decydującą fazę starcia.

Trzy minuty do kontaktu.

Interkom ożył.

– Rozpocząć usuwanie atmosfery z przedziałów bojowych – rozkazał dowódca okrętu.

– Wszystkie pompy aktywne – zameldował dyżurny z pionu inżynierskiego. Po kilku sekundach odezwał się ponownie, dodając: – Proces wypompowywania powietrza zakończony.

– Rozpocząć wtłaczanie argonu.

– Wszystkie pompy aktywne. Proces wpompowywania argonu zakończony.

– Zamknąć wszystkie grodzie. – Kapitan kontynuował przygotowania do bitwy, nie okazując żadnych emocji.

– Grodzie zamknięte.



- Test hermetyczności.
- Wykonany. Szczelność przedziałów potwierdzona.
- Usunąć atmosferę z sektorów wewnętrznych.

Ta procedura stanowiła nowość zarówno dla poddawanych testowi kadetów, jak i dla członków podstawowej załogi. Dotychczas nie usuwano powietrza z wnętrza idących do boju jednostek i nie zastępowano go obojętnymi, niepalnymi gazami, co miało zminimalizować ryzyko wystąpienia pożaru w tych sekcjach, które po trafieniu nie uległy rozhermetyzowaniu. Był to jednak krok w dobrym kierunku, zwłaszcza że wszyscy członkowie załogi biorący aktywny udział w starciu trafili wcześniej do szczelnych kokonów, które w razie zagrożenia lub rozkazu ewakuacji opadały natychmiast do tuneli łączących stanowiska bojowe z najbliższymi kapsułami ratunkowymi. Mimo to zamknięty w ciasnym jak trumna pojemniku człowiek odczuwał niepokój na samą myśl, że w sytuacji podbramkowej, takiej jak uszkodzenie czy zakleszczenie fotela, nie zdoła go opuścić w tradycyjny sposób.

Wychylenia, które pojawiły się także na części kontrolnej wykresów monitoringu, dowodziły, że biorący udział w teście kadeci nie stanowią pod tym względem wyjątku.

Dwie minuty do kontaktu.

Henryan i Atanasio przybrali wygodniejszą pozycję, by kokony ich foteli mogły się domknąć, jak wymagały tego procedury. Od tej chwili będą widzieć i czuć tylko to, co pozostali uczestnicy testu – z wyjątkiem narastającego stresu, rzecz jasna.

Na wirtualnych ekranach pokazały się fale odzwierciedlające odkształcenia grawitacyjne towarzyszące wyjściu obiektów z nadprzestrzeni. Jedna, druga, trzecia... W sumie sześć. Charakterystyka typowa dla masy liniowców Obcych.

Van Houten wszedł na główny kanał. Przemówienie, które wygłosił, było krótkie, utrzymane w tonie dodającym otuchy. Zgodnie z ustaleniami poczynionymi z Farlandem składały się nań wyłącznie te słowa, którymi kapitan zagrzewał swoich ludzi do walki na Sankt Petersburgu.

– Mówi kapitan. Za chwilę uderzymy na znieawidzonego wroga. Za chwilę pokonamy go i rozgromimy, rozpoczynając zwycięski pochód ludzkości. Nie miejcie litości. Wyślijcie tych drani prosto do piekła, gdzie ich miejsce.

Ekran ożyły. Znajdujące się po bokach studni zgrupowania eskorty odpaliły kolejno pięć salw rdzeni kinetycznych, a lecące prosto na punkt skoku krążowniki wysłały w ślad za tymi pociskami mrowie rakiet. Była to wierna kopia działań, jakimi powitano t'iru podczas poprzedniej bitwy. Jedyna taktyka mogąca się sprawdzić w obliczu przeważających na każdym polu Obcych.

Święcki sprawdził ponownie odczyty. Linia, którą z rosnącym niepokojem obserwował od niemal trzech godzin, zaczynała odrywać się od mediany, lecz... jego skromnym zdaniem niewystarczająco.

Pierwszy liniowiec wyszedł z nadprzestrzeni prosto w chmurę nadlatujących pocisków kinetycznych. Ekran w okamgnieniu zapełniły się masą okienek. Diagramy statystyk, wykresy, ciągi liczbowe zaczęły przelewać się przez nie lawinowo. T'iru zdołał zachować osłony chroniące kopułę dziobową. Nawała rdzeni znacznie je osłabiła, ale rakietom nie udało się dosięgnąć guzowatego kadłuba. Trzy sekundy później jednostka Obcych weszła w pole rażenia ciężkich okrętów pierwszej linii i znów zniknęła za mleczną zasłoną rozgrzanych do białości pól siłowych. Połowa baterii turbolaserów otworzyła ogień w tym samym momencie w synchronicznej próbie zlikwidowania osłon, by drugie tyle promieni śmierci mogło rozpruć szary pancerz, torując drogę głowicom nuklearnym.

Emisja promieni trwała zaledwie kilka mikrosekund, oko ludzkie nie było więc w stanie niczego zarejestrować, lecz skutki działania niszczycielskiej mocy skoncentrowanego światła nie mogły umknąć uwadze obserwatorów. Zanim pierwszy liniowiec przedarł się przez pole ostrzału, w jego masywnym dziobie ziało kilkanaście otwartych ran. Metal, którym osłonięto cielsko symbiotycznej istoty, topił się i parował wszędzie tam, gdzie lasery sięgnęły grubego poszycia. Niestety sukces ten został drogo okupiony. W przestrzeni rozkwitło i zgasło paręnaście obłoków plazmy, w którą zamieniły się jednostki broniące tego

systemu. Sekundę po pierwszym starciu rozpoczęło się drugie, potem kolejne, jednakże im załoga *Odyna* nie mogła już poświęcić uwagi.

Czołowa jednostka Obcych zdążyła wejść w pole rażenia drugiej linii obrony, składającej się z trzech pancerników i trzydziestu sześciu krążowników. Ekran ożyły, gdy systemy zaczęły wykonywać rozkazy zatwierdzone wcześniej przez kadetów. Baterie turbolaserów otworzyły ogień, koncentrując się na uszkodzonych sektorach, w kierunku wroga pomknęły kolejne rakiety i rdzenie.

T'iru eksplodował, zanim wydostał się poza zasięg broni ludzi. *Odyn* wyszedł z tego starcia bez jednego draśnięcia, lecz nie było czasu na świętowanie. Kolejny wrogi okręt już otwierał ogień, a mgnienie oka później pojawił się następny. Oba zostały zniszczone bądź uszkodzone na tyle poważnie, że wypadły z gry, jednakże na tym skończyły się dobre wieści. Dalsze t'iru wychodziły z nadprzestrzeni w dłuższych odstępach czasu, niż zakładali strategowie. Różnica wynosiła zaledwie kilka milisekund, niemniej to wystarczyło, by ogień zaporowy nie spełnił swego zadania. Większość pocisków kinetycznych chybiła, trafiając – nomen omen – w próżnię.

Tym razem obrońcy ponieśli poważne straty. W ciągu zaledwie osiemnastu sekund przepadły dwa pancerniki i niemal trzydzieści krążowników walczących w pierwszej linii. Przez to czwarty t'iru wszedł w pole rażenia *Odyna* tylko z lekko osłabionymi osłonami i nienaruszonym arsenałem.

Święcki, który znał scenariusz tej bitwy na pamięć, zerknął znów na wyświetlacze. Niebieska linia, będąca wizualizacją wyniku przeprowadzanego testu, oddaliła się od mediany jeszcze bardziej, aczkolwiek nie aż tak bardzo, jak przepowiadał Farland.

Pancernik zadrżał mocno raz i drugi, gdy nastąpiła symulacja pierwszego trafienia. Henryan nie spuszczał wzroku z wykresu. Uśmiechnął się, widząc, że rozstęp zwiększył się, i to skokowo, a przecież był to dopiero początek prawdziwego testu. Święcki aktywował wybrane kanały i z głośników popłynęła kakofonia nakładających się na siebie jęków i wrzasków.

– Straciliśmy dwójkę! – darł się ktoś z obsługi dziobowych baterii

turbolaserów. – Straciliśmy dwójkę!

– Skurwyklony, skurwyklony! – powtarzał inny kadet.

– Czwórka mel...! – Kolejny wstrząs, jeszcze mocniejszy.

– Andremy?! – zawył jakiś kobieczy głos.

– Piątka, skupcie się na walce. – Spokojny głos van Houtena kontrastował z wrzaskami panikujących kadetów.

– Skurwyklony zabiły Andremy’ego! – rozległ się przenikliwy krzyk.

– Piątka, to ostatnie ostrze... – Kapitan podniósł głos, ale nie zdołał dokończyć. Jego komunikator zamilkł, co spotęgowało panikę.

Chaos narastał.

Henryan nie odrywał spojrzenia od odczytów. System symulował eliminację ledwie pięciu stanowisk bojowych, lecz co najmniej dwadzieścia innych nie zaangażowało się tym razem w wymianę ognia z przelatującym wrogiem. Kadeci pękali jeden po drugim...

Przedostatni liniowiec minął zdziesiątkowaną pierwszą linię obrony, wychodząc z tego starcia w jeszcze lepszym stanie niż jego poprzednik. Dzięki temu, że miał mniej celów do namierzenia, mógł skupić ogień na pancernikach. *Odyn* wierzgał, jakby ktoś nim potrząsał. Sto dwanaście kolejnych trafień. Gdyby to działa się naprawdę, z sześćsetmetrowego giganta pozostałaby chmura stygnącej plazmy.

Henryan zerknął na zestawienie. Osiemdziesiąt dwa stanowiska bojowe nie oddały na tym etapie bitwy ani jednego strzału, mimo że tylko trzydzieści osiem z nich zostało „trafionych”.

Tymczasem nadlatywał szósty niemal nietknięty t’iru.

# SZEŚĆ

*Ziemia, Sektor Alfa,*

*09.03.2355*

– Nie, nie, nie, nie! – Holoprojektor zgłupiał, gdy pięść rozwścieczonej pani kanclerz przemknęła przez trzy wirtualne klawisze naraz. Obraz nad stołem konferencyjnym najpierw powiększył się dwukrotnie, potem obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, a po chwili ściemniał i zgasł. Niewykluczone, że to nie Modo zakończyła połączenie, lecz przerażony jej wybuchem rozmówca z admiralicji. – Dawać mi tego skurwyklona Farlanda! – wysyczała moment później przywódczyni Rady. – Już!

Kaup sięgnął do własnej klawiatury, ale zatrzymał rękę w pół ruchu.

– Nie wolisz najpierw ochłonać? – zapytał ostrożnie. – Nikt nie powinien cię widzieć w takim stanie, a już zwłaszcza on.

Modo wyprostowała się dumnie w fotelu. Zaczepnęła tchu, a następnie zrobiła naprawdę dłuugi wydech.

– Jestem oazą spokoju – rzuciła tonem, przy którym temperatura pustki kosmicznej wydawałaby się wyjątkowo ożywcza.

– Skoro tak mówisz... – Juliusain wybrał kanał ogólny. – Prześlijcie na Anzio sygnał wywoławczy, pani kanclerz chce rozmawiać z wielkim admirałem. Natychmiast – dodał.

– Otwieram połączenie – odparł pośpiesznie dyżurny z centrali łączności.

– Co?

Członkowie Rady zdębieli na widok holograficznego popiersia dowódcy trzeciego metasektora. Łączność kwantowa pozwalała na kontaktowanie się z innymi systemami w ułamku sekundy, a nawet szybciej, ale najpierw trzeba było wysłać sygnał wywoławczy; nawiązać właściwe połączenie dało się dopiero po otrzymaniu potwierdzenia, co w najlepszym razie zabierało dyżurnym pół minuty. Hologram Farlanda pojawił się w okamgnieniu, zupełnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kaup potrzebował kilku sekund, by zrozumieć, dlaczego tak się stało.

Sztab pierwszy zażądał rozmowy.

– Szanowna pani kanclerz! – Wielki admirał wykorzystał niezrozumiałe dla niego zaskoczenie polityków i od razu przystąpił do szturmu. – Mam w rękę niezbite dowody na to, że plany admiralicji nie mogą i nie powinny być realizowane. Nie pozostaje wam więc nic innego, jak przystać na proponowane przeze mnie rozwiązania.

Modo zbladła. W sprawach technicznych nie była tak biegła jak sekretarz obrony, dlatego jej zaskoczenie uległo dodatkowemu pogłębieniu, gdy dotarło do niej, że Farland dowiedział się o wszystkim równie szybko jak ona, a może nawet szybciej. To oznaczało, że w admiralicji jest szpieg, więcej nawet: zdrajca... Ktoś, kto pracuje na rzecz sztabu trzeciego metasektora. I to nie byle pionek czy technik, lecz osoba dopuszczona do wewnętrznego kręgu wtajemniczonych.

Albo... Ta myśl zmroziła ją kompletnie. Albo dowódca trzeciej floty zdobył jakimś cudem technologię pozwalającą na deszyfrację przekazu sondy.

Muszę grać na zwłokę, muszę minimalizować straty, uznała, gorączkowo próbując znaleźć sposób, dzięki któremu mogłaby przejąć inicjatywę. A że najlepszą bronią jest atak...

– Czy pan oszalał? – wypaliła.

Farlanda zatkało. Spojrzał na nią z takim niedowierzaniem, jakby niespodziewanie obnażyła przed nim wdzięki, i kompletnie wytrącony z równowagi wymamrotał:

– Słucham?

– Jak pan to sobie wyobraża w zaistniałej sytuacji? – Zadowolona z efektu Modo odzyskiwała powoli rezon.

– Normalnie. Daje nam pani czas na dokończenie programu szkoleń, obsadzamy pancerniki...

– A jak ja wytłumaczę obywatelom, że po raz kolejny muszą uzbroić się w cierpliwość? I to na tak długo! Ma pan w zanadru jakieś sensowne wytłumaczenie? Proszę się nie krępować, chętnie go wysłuchamy. Przypomnę jedynie, że do setnego dnia został nam zaledwie tydzień z okładem.

Wielki admirał uśmiechnął się wyniośle.

– Prawdę mówiąc, generał Rutta podrzucił mi ostatnio pewien pomysł – powiedział, obdarzając ją krzywym uśmiechem.

– Słuchamy zatem. – Kaup przejął pałeczkę, widząc, że Modo zaczyna tracić uzyskaną z takim trudem przewagę.

– Czas rozliczyć Rwanę – oznajmił zwięźle Farland.

– Nie chce pan chyba ujawnić rozmiarów poniesionych tam strat! – Modo zrobiła wielkie oczy. – To byłoby samobójstwo!

– Nie tylko dla nas – dodał znacząco sekretarz obrony.

Wiadomość o zdziesiątkowanych zespołach uderzeniowych i setkach utraconych okrętów w jednej tylko bitwie – w dodatku przegranej – osłabiłaby morale ruszających do walki załóg, a wśród ludności cywilnej wywołałaby niewyobrażalną panikę. Z tego też powodu Rada, admiralicja i sztabowcy trzeciego metasektora doszli już dawno do porozumienia i zdecydowali, że opinia publiczna nie może się dowiedzieć o prawdziwym wyniku tej bitwy. Dzięki temu kryzys został zażegnany sprawnie i skutecznie, choć jak widać, tylko przejściowo. Karmieni propagandowymi kłamstwami oficerowie i marynarze trzeciej floty nadal święcie wierzyli, że utraczone zgrupowania walczą w najbardziej oddalonych sektorach, opóźniając marsz Obcych. W tym przekonaniu utwierdzały ich częste komunikaty o ponoszonych – na szczęście niewielkich – stratach. W ciągu trzech miesięcy, które upłynęły od klęski, udało

się tym sposobem „uwiarygodnić” śmierć około dziesięciu procent faktycznych ofiar z Rwandy, nie rujnując przy tym morale i nie wywołując najmniejszych oznak paniki.

– Przekonujecie mnie od dłuższego czasu, że obywatele Federacji żądają podjęcia natychmiastowej ofensywy. Skoro tak, dajmy im ją – kontynuował Farland pewnym siebie tonem, jakby nie zauważył niezbyt zawołanej groźby sekretarza obrony. – W ciągu najbliższych tygodni trzecia flota stoczy na Rubieżach całą serię zwycięskich potyczek. Bilans strat oczywiście wzrośnie, i to znacznie, ale... – Zawiesił głos, uśmiechając się tryumfalnie.

– To może się udać – przyznał Kaup po chwili zastanowienia.

– To musi się udać. – Wielki admirał promieniał. – Wystarczy pokazać w mediach kilka ujęć uszkodzonych na Sankt Petersburgu t’iru, a zyskamy tak potrzebny nam wszystkim czas.

Jako że dotąd nie odtajniono żadnych nagrań z tamtego starcia, materiału propagandowego, którym można by karmić złąknionych krwi widzów, było sporo.

– Z drugiej strony – skontrował Kaup – to działanie tylko na krótką metę. W dalszej perspektywie...

Wielki admirał nie dał mu dokończyć.

– Spokojnie. Mówimy przecież o niespełna dwóch tygodniach.

– Zaraz... – Modo spojrzała uważniej na połyskujący błękitem hologram. W końcu dotarło do niej, że ta rozmowa wcale nie dotyczy interesującego ją tematu. – Wróćmy na moment do początku pańskiej wypowiedzi. O jakich dowodach pan mówił?

– Właśnie otrzymałem wyniki testu Feniksa przeprowadzonego dzisiaj w akademii na Cicero. To była totalna porażka. Czterdzieści siedem procent skuteczności. Czterdzieści siedem! Czyli mniej niż zero. A pewnie byłoby jeszcze gorzej, gdyby Święcki nie przeforsował najprostszego wariantu scenariusza ćwiczeń. – Farland wyprostował się dumnie. – Moi ludzie osiągnęli w tym samym czasie osiemdziesiąt dwa procent przy znacznie wyższym stopniu



trudności testu. Nie możecie powiedzieć, że was przed tym nie ostrzegałem. Gdyby Xiao pospołu z admirałem Atanasio nie próbowali mnie wyrolować, przejmując podstępnie kontrolę nad *Odynem*, za kilka dni cała Rada pożegnałaby się ze stołkami. Rwanda przy tej katastrofie byłaby niczym.

Modo pozwalała mu się wygadać, ponieważ z każdym jego słowem wracała jej pewność siebie, której tak potrzebowała.

Ten dureń o niczym nie wie, skonstatowała w duchu z zadowoleniem. Rozgrywa swoje nic nieznaczące gierki z Xiao, nie mając bladego pojęcia, jak naprawdę wygląda sytuacja.

– Dość! – uciszyła go w końcu, unosząc władczo rękę. – Jeszcze wczoraj wzruszyłabym się do łez pańskimi wysiłkami na rzecz ocalenia mojej kariery, ale dzisiaj... – Wzruszyła przesadnie ramionami. – Mam dla pana bardzo przykrą wiadomość. Nasi technicy dokonali właśnie pełnej analizy nagrań dostarczonych przez przejętą sondę. – Zauważyła, że kpiący uśmiezek znika z twarzy Farlanda. Ona sama odetchnęła z ulgą. Świadomość, że ktoś jeszcze mógłby kontrolować tak doskonałą metodę inwigilacji, wydała jej się boleśnie nieznośna. – Za moment prześlemy do sztabu trzeciego metasektora wybór najważniejszych fragmentów nagrania. Macie dobę na zapoznanie się z materiałem i przygotowanie się do odprawy. Jedną... dobę! – powtórzyła dobitniej, oddzielając oba wyrazy znaczącą pauzą. – Oczekuję naprawdę konkretnych propozycji. Bez odbioru. – Przerwała połączenie zdecydowanym ruchem, nie czekając na odpowiedź ani nie siląc się na zwyczajowe uprzejmości. – Widziałeś? – Uśmiechnęła się tryumfalnie do Kaupa. – Oaza spokoju. Zimny głąz.

Juliusain przytaknął w zamyśleniu. Gdy ona gasiła wielkiego admirała, on sprawdzał, o co chodzi z tym testem Feniksa.

– Wygląda na to, że nasz przyjaciel Tadam rzeczywiście dał ciała – rzucił kilka sekund później, przesyłając ściągnięte pliki na jej komunikator.

Modo przejrzała je pobieżnie.

– Nie pierwszy raz – odparła, sadowiąc się wygodniej w fotelu.

– Chcesz...

– Nie. Xiao jest odpowiednim człowiekiem na odpowiednim miejscu. Skończonym idiotą łatwiej kierować niż prawdziwym fachowcem.

– Aczkolwiek ryzyko, jak widać, czasem przerasta potencjalne zyski. Tym razem nadzieją nas na niezłą minę. Co zamierzasz z tym fantem zrobić?

– A powinnam coś zrobić?

– Myślę, że tak.

– Dobrze. W takim razie skrócę mu smycz. I to naprawdę znacznie... – Zamilkła na moment, a potem spojrzała uważniej na Kaupa. – Nie możemy oddać pełnej kontroli nad piątkami w ręce Farlanda. Zwłaszcza w tej sytuacji.

Sekretarz obrony siedział ze spuszczoną głową, bębniąc nerwowo palcami o blat.

– A może... – Wyprostował się wolno, przerywając milczenie. – Co byś powiedziała na zawarcie przymierza z wielkim admirałem?

– Chyba żartujesz.

Pokręcił głową.

– Mówię poważnie, Gerdanielle.

– Nie ma takiej opcji.

– Posłuchaj mnie...

– Nie. Nie! – powtórzyła głośniej, widząc, że Juliusain nie zamierza się poddać. – Nie i jeszcze raz nie!

Przeczekał jej wybuch, po czym podjął jakby nigdy nic:

– Wybierzmy mniejsze zło. Nie stać nas teraz na równoczesną walkę z Obcymi i Farlandem. A skoro nie możemy go usunąć...

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – Modo nadal była wzburzona.

– Bardzo prosto. Przystań na jego warunki. Pozwól mu wygrać tę cholerną kampanię. Daj awans, order i należne miejsce w historii. Niech nawet zostanie najwyższym admirałem, skoro tego tak pragnie, ale... nie za darmo.

– Mów dalej! – fuknęła wciąż poirytowana pani kanclerz.

– Koniec z wzajemnymi podchodami. Załadamy od Farlanda bezwzględne

posłuszeństwa, oczywiście z wyjątkiem kwestii militarnych, na których zna się lepiej niż jakikolwiek członek Rady. Jeśli dobrze to rozegramy...

Z każdym wypowiedzianym przez niego zdaniem Mado kręciła głową mocniej.

– A jeśli mimo wszystko coś pójdzie nie tak? Mam żyć ze świadomością, że ten... ten skurwyklon w każdej chwili może mnie zniszczyć?

– Farland odgryzł ci się tylko dlatego, że zamierzałaś się go pozbyć. Jeśli zniknie to zagrożenie, nie będziesz musiała się go obawiać.

– Naprawdę? – zakpiła, ale już nieco mniej agresywnie.

– Naprawdę, Gerdanielle. Im dłużej trwa impas, tym silniejsze są jego obawy i tym bardziej staje się nieprzewidywalny. On doskonale wie, że prędzej czy później dobierzesz mu się do dupy, i dlatego tak desperacko próbuje się bronić.

– Raczej próbuje się stawiać.

– Tak to może wyglądać, przynajmniej na pierwszy rzut oka, ale zauważ, że rozwiązania, przy których się upiera, zazwyczaj wychodzą nam na dobre. Moim zdaniem za wszelką cenę chce nam pokazać, jak bardzo jest przydatny, i odwieść nas od pomysłu pozbycia się go.

– Ale ja go zwyczajnie nie lubię! – ucięła pani kanclerz, posyłając Kaupowi wiele mówiące spojrzenie.

– Kojarzysz Stalina, tego dwudziestowiecznego przywódcę jednego z ówczesnych mocarstw?

– Kojarzę.

– Wiesz, że przed drugą wojną światową kazał wymordować większość oficerów swojej armii?

– Nie przeszkodziło mu to w jej wygraniu – skontrowała.

Juliusain zaśmiał się bez cienia radości.

– Owszem, wygrał, ale za jaką cenę. I jak marnie potem skończył.

– Cel uświęca środki.

– Naprawdę chcesz być wymieniana jednym tchem z nim i Bukowskim?

– Nie – zaprzeczyła krótko, krzywiąc się na wspomnienie kanclerza odpowiedzialnego za wybuch wojny domowej, jedyne go człowieka, którego

nazwisko i wizerunek na zawsze zniknęły z alei chwały.

– Zatem wygramy tę wojnę bez niepotrzebnego narażania miliardów obywateli Federacji. Pamiętaj, masz budzić głównie szacunek, nie sam strach. I uwierz mi, wielki admirał przyjmie ułaskawienie z pocałowaniem ręki. Założę się, że przystanie na każde warunki, jeśli tylko podasz mu głowę Xiao, i to niekoniecznie na złotej tacy.

Modo zastanawiała się dłuższą chwilę. Zamarła przy tym, jakby głębokie skupienie wymagało wyłączenia wszystkich funkcji motorycznych.

– Usunięcie Xiao to akceptowalna cena – przyznała w końcu. – Jeśli jednak się mylisz...

– Nie myślę się, ponieważ będziemy trzymać się wzajemnie w szachu. – Juliusain posłał jej zwycięski uśmiech. – Pograżając ciebie, zniszczyłby też siebie. Przed zawarciem przymierza mógłby pójść na wymianę ciosów, gdyż niewiele by przez nią stracił, ale po wygranej wojnie, gdy zostanie idolem tłumów, gdy postawimy go na piedestale... – Uniesieniem ręki powstrzymał Modo przed odebraniem mu głosu. – Wystarczy Farlandowi to uświadomić. Wystarczy sprawić, że zobaczy przed sobą świetlaną przyszłość. Metoda kija i marchewki, pamiętasz?

– Święcki i te jego archaiczne powiedzonka – prychnęła. – A skoro już o nim mowa...

– Tutaj nie widzę potrzeby żadnych zmian. Nadal uważam, że w jego przypadku dobry bohater to martwy bohater. – Juliusain pokiwał ze smutkiem głową. – Wynieśmy go na jeszcze wyższe szczyty, a potem dajmy ludziom to, co lubią najbardziej. Dramat i krew. Uronisz łzę na jego uroczystym pogrzebie, rozrzucisz prochy z trybun nad Pentagonem... Ludzie pokochają cię za to jeszcze bardziej.

– Nie wszyscy.

Spojrzał na nią, nie kryjąc zaskoczenia.

– Jak to: nie wszyscy?

– Zapominasz o naszym przyjacielu Draccosie.

– Nie zapominam – odparł z przekąsem. – Kto powiedział, że to muszą być jego własne prochy?

Modo się roześmiała.

– Gdybyś tego nie powiedział, uznałabym, że ktoś mi cię podmienił na niezbyt udanego klona – rzuciła rozbawiona do łez.

– Ze względu na to, co mówiłem o Farlandzie?

– Tak. Szczerze powiedziawszy, bardzo mnie zaskoczyłeś. Przez moment bałam się, że zaczynasz czuć dla niego szacunek.

Teraz to Kaup wybuchnął szczerym śmiechem.

– Nasz wielki admirał jest tylko kolejnym narzędziem. Znacznie użyteczniejszym w obecnej sytuacji niż ta miernota Xiao. Zbyt wiele wysiłku kosztowało nas zatuszowanie dotychczasowych wpadek, by pozwalać sobie na nowe, zgodzisz się ze mną?

– A właśnie, co ze sprawą tej tam...

– Truffaut? Kompletna cisza. Od znalezienia tego tam... uciekiniera z Rwandy – nie przejął się, że nie pamięta miana człowieka, którego kazał stracić – nie zanotowaliśmy ani jednej próby wyszukania jej nazwiska. Jak kamień w wodę. Nasz bohater albo zapomniał o sprawie, albo uznał, że nie warto za nią umierać. Dlatego jestem zdania, że nie musimy się śpieszyć. Świątki jest ostatnio cholernie użyteczny. Chyba nawet zaczął w końcu odwzajemniać uczucia wielkiego admirała. Nasz agent z akademii przekazał niedawno bardzo ciekawy raport. Masz go w załączniku.

Modo nie przeniosła spojrzenia na wyświetlacz. Cały czas patrzyła Kaupowi prosto w oczy.

– A ty?

– Co: ja?

– Jaka będzie twoja rola w tym wszystkim?

– Cóż... – Juliusain wzruszył ramionami, po czym opadł ciężko na oparcie fotela. – Pozwól mi dokończyć budowę tarczy chroniącej Ziemię. Niech ona będzie dziełem mojego życia. Niech nosi moje imię. To mi w zupełności

wystarczy.

– Naprawdę? – Zaśmiała się chrapliwie.

– Daj spokój, Gerdanielle. Człowiek z zewnętrznych metasektorów nigdy nie zostanie przywódcą Rady. Oboje o tym wiemy. Jeszcze wiele czasu musi upłynąć, by zaakceptowano tak daleko idące zmiany. Stanowisko sekretarza obrony to szczyt moich marzeń. Nie, wróć! – wyszczerzył zęby. – Wyżej jesteś tylko ty.

– Pochlebca.

– Raczej realista. Zaszedłem najwyżej, jak mogłem, i to musi mi wystarczyć. Ty zostaniesz obrończynią Federacji, mnie ludzie zapamiętają jako tego, który uczynił Ziemię niezdobytą. O ile załatwisz mi finansowanie ostatniego etapu tej inwestycji – dodał szybko.

Dotknął sedna problemu. Im bardziej zbliżał się do Gerdanielle, tym większy opór napotykał ze strony Giancarlouisa. Skarbnik Rady dawał im chyba do zrozumienia, jak bardzo nie podoba mu się obecny układ sił.

– Po wyskoku Farlanda nie mam już tak dużego wpływu na Benadetto. – Pani kanclerz zmrużyła oczy. – Ten zimny skurwyklon dystansuje się od nas coraz bardziej, ponieważ nie ma pewności, czy mimo wszystko nie przegram starcia z wielkim admirałem. Znasz go, za żadne skarby nie chciałby należeć do przegranej frakcji.

– Moim zdaniem to raczej zazdrość – skontrował Kaup. – Nasz przyjaciel liczył chyba na coś więcej niż poklepywanie po galaretowatym ramieniu. Zauważyłaś, jak na ciebie patrzy podczas przyjęć?

– Nie.

– Pożera cię wzrokiem.

– Nic na to nie poradzimy.

– Nie byłbym taki pewny.

Zaciekawił ją tym stwierdzeniem.

– Kolejny genialny pomysł?

Juliusain przytaknął.

– Obłaskawmy go w podobny sposób jak wielkiego admirała. Zaproś go, rzuć kilka aluzji, niech poczuje, że wraca do gry.

– Jego tak łatwo nie zwiedziemy.

– Nawet jeśli powiesz mu wprost, że wykorzystujesz mnie, durnia z największego zadupia ramienia, tylko dlatego, że jestem w tobie szaleńczo zakochany? Daj mu do zrozumienia, że wodzisz mnie za nos, że tak naprawdę o niczym nie decyduję, że podpisuję w ciemno, co tylko mi każesz. Jeśli będzie trzeba, parę razy zrobię z siebie durnia, abyś miała powód do usunięcia mnie w większy cień. Publicznie, rzecz jasna.

– Poszedłbyś na to?

– Jasne. Ten tłuścioch nie jest wcale taki cwany, za jakiego się uważa. Ma ego bardziej rozdęte od brzucha, możesz mi wierzyć. Wystarczy je umiejętnie połechtać, a ten wór tłuszczu będzie ci jadł z ręki.

– Przestań – poprosiła, krzywiąc się z odrazy, której wcale nie musiała udawać. – To taka niesmaczna wizja... ale jakże kusząca.

– Poza tym... czy to nie kolejny argument na rzecz pojednania z wielkim admirałem?

# SIEDEM

*System Cicero, Sektor Theta,*

*10.03.2355*

Święcki rzucił czapkę na koję, po czym sam opadł ciężko na jedyny fotel. Trudno powiedzieć, co głośniej jęknęło: on czy mebel.

Koniec przedstawienia! Wreszcie mogę odpocząć, pomyślał z niekłamaną ulgą, obserwując na ściennym wyświetlaczu zwijane powoli rękawy łączników, którymi dosłownie przed chwilą ewakuowali się rozczarowani kadeci i towarzyszący im wciąż struty rektor-admirał. Dwa kanciaste transportowce, na które przeniesiono uczestników nieudanego testu, wykonywały już ciasny zwrot, by jak najszybciej oddalić się od uruchamiającego główny napęd pancernika.

*Odyn*, przekazany ponownie ludziom Farlanda, ruszał na Anzio, skąd po krótkim postoju miał polecieć dalej, już bez gości na pokładzie, by służyć oficerom i marynarzom trzeciej floty w charakterze jednostki szkoleniowej. W najbliższych dniach test Feniksa przejdzie na nim kilkuset innych kandydatów, ludzi, którzy jakiś czas temu stanęli oko w oko z wrogiem i nie tylko przetrwali, ale też zwyciężyli, nieświadomie mszcząc poległych w sąsiednim systemie towarzyszy broni.

Henryan pochylił się nad blatem, aktywował kabinowy dispenser – proszę, proszę, takimi cudeńkami będą dysponowali członkowie załóg służących na okrętach piątej generacji! – a gdy naprzeciw niego pojawiło się niezbyt rozbudowane wirtualne menu, w zamyśleniu zaczął wodzić palcem po liście



dostępnych napojów. Wybór miał o wiele mniejszy niż w mesie, lecz to nowatorskie rozwiązanie oferowało wygodę, o jakiej ludzie na starszych okrętach mogli jedynie pomarzyć. Urządzenie proponowało mu wodę w kilku odsłonach; nie tylko tę odzyskiwaną z pokładowych skraplaczy, lecz również prawdziwą filtrowaną asteroidówkę, zwykłą i gazowaną, a do tego roztwór multiwitaminowy w dwóch smakach: owocowym i warzywnym.

Życ nie umierać, pomyślał, skusiwszy się na ten ostatni produkt. Wystarczyło, że musnął lśniący klawisz, a natychmiast otworzyło się mniejsze okienko z trzypozycyjnym menu: marchew-seler, brokuł-pietruszka, ogórek-pomidor.

Na bogato, ucieszył się, wybierając pierwszy zestaw.

Mina mu zrzędała, kiedy skosztował przygotowanego przez automat napoju.

Każda bajka ma swój kres, westchnął. Ta konkretna skończyła się – co widać i czuć – na możliwości wyboru. Chyba że chemiczny smak ciągnącej się jak zużyty olej brei należy złożyć na karb dziewiczości samej instalacji...

Święcki chciałby w to wierzyć, lecz w głębi duszy czuł, że oficer, który zajmie tę kajutę w niedalekiej przyszłości, odniesie bardzo podobne wrażenie, i to za każdym razem, gdy tylko sięgnie po drukowany kubek, by zaspokoić uczucie pragnienia.

Przełknął pośpiesznie kilka łyków gęstej mazi, zmiął naczynie, rozejrzał się za utylizerem, a gdy nie dostrzegł znajomego opływowego kształtu ani pod stołem, ani przy terminalu, przyjrzał się uważniej wyświetlanemu menu.

Kolejny wynalazek...

Znalazł odpowiedni klawisz i po aktywowaniu wbudowanego w dyspenser atomizera postawił niepotrzebne już naczynie w samym środku podświetlonego pola. Kubek, otoczony niewiele większym od niego kokonem pola siłowego, zniknął w asyście niebieskawego błysku i cichego syknięcia.

Pora na zasłużony prysznic, uznał Święcki, odpinając po drodze do kajuty pierwszy guzik przepoconej bluzy.

Pora na rozmowę, oznajmił brzęczyk dobiegający od strony kajutowego komunikatora.

– Porzućcie wszelką nadzieję, ci, którzy tutaj służycie – wymamrotał generał major, zmieniając kierunek, by zasiąść przy narożnej konsoli.

Nie chciał korzystać z centralnego holoprojektora, ponieważ musiałyby znów ustawiać natężenie oświetlenia, co z niezrozumiałych dla niego względów trzeba było robić przy każdym użyciu, zupełnie jakby projektanci celowo mścili się na przyszłych użytkownikach za to, że kazano im ślęczeć nad dodatkowymi udogodnieniami.

Może podły smak napojów to także element ich zemsty? zastanowił się Henryan, uśmiechając się pod nosem, ale zaraz spoważniał.

System zaanonsował połączenie z komunikatorem w kajucie Rutty. Świetnie. Od ostatniego kontaktu przez autoryzowany sprzęt generała minęła prawie doba. W tym czasie mogła nadejść kolejna wiadomość od Seiferta. Ostatnimi czasy haker meldował się bardzo regularnie, co najmniej raz w tygodniu, a przesyłane przez niego pliki zawierały naprawdę ciekawe informacje.

– Generał major... – zaczął oficjalnie, ale przełożony wpadł mu w słowo.

– Jak ty wyglądasz? – Rutta był wyraźnie poirytowany, co zdziwiło Henryana.

Test przebiegł przecież po ich myśli. Więcej nawet, ostateczny wynik okazał się niższy o kilkanaście procent od spodziewanego. Nic, tylko się cieszyć...

Zdezorientowany Święcki wskazał kabinę prysznicą.

– Padam z nóg. Zamierzałem właśnie...

– Za pięć minut na mostku! – przerwał mu ponownie Rutta. – Farland ma nam coś ważnego do przekazania.

– Oby to były wyłącznie gratulacje – rzucił wciąż rozluźniony Henryan.

– Przypuszczam, że wątpię – burknął generał. – Wydrukuj sobie nowy mundur, walnij podwójną dawkę stimezu i zapieprzaj w podskokach na stanowisko dowodzenia.

Hologram zgasł.

Święcki nawet nie drgnął. Siedział w bezruchu przez dłuższą chwilę, wpatrując się uważnie w opalizujący prostokąt wyświetlacza. Czekał. W końcu, w prawym dolnym rogu wirtualnego ekranu, pojawiła się migająca uspokajającą

zielenią ikonka. Skimmer założony w komputerze Rutty wykonał zadanie. Plik z wiadomością od Seiferta został podzielony na miliony minipakietów i przesłany w strumieniu sygnału wizyjnego, a po zakończeniu transmisji wykasowany z urządzenia nadawcy. Sama wiadomość musiała jednak poczekać.

– Lustro! – Henryan przejrzał się pobieżnie.

Rutta miał rację, koniecznie powinien wydrukować sobie nowy mundur, gdyż ten, który miał na sobie, wyjęty z maszyny zaledwie dwie doby wcześniej, wyglądał, jakby używano go jeszcze za poprzedniej wojny.

\* \* \*

To była naprawdę krótka rozmowa. I zgodnie z przypuszczeniami Rutty nie padło w niej ani jedno słowo, które można by uznać za próbę okazania wdzięczności. Wielki admirał streścił w trzech zdaniach niedawną rozmowę z panią kanclerz Modo, po czym przesłał na *Odyna* kopię otrzymanych od niej plików, nakazując podwładnym zapoznanie się z nimi w ciągu najbliższych dwunastu godzin – co było dość napiętym terminem, ponieważ materiału dostali naprawdę sporo, z czego wiele ujęć wymagało wielokrotnego odtworzenia, jeśli człowiek chciał zrozumieć, na co patrzy.

Farland nie zamierzał słuchać żadnych wymówek. Potraktował obu generałów tak samo jak Modo jego. Powiedział swoje, po czym zakończył połączenie, zostawiając ich sam na sam z problemem.

– Co go ugryzło? – mruknął Henryan, zanim towarzyszący mu Rutta zdążył dezaktywować otaczające ich pole ochronne.

Palec przełożonego zawisł centymetr nad klawiszem.

– To jego być albo nie być – odparł w końcu Rutta, uważnie dobierając słowa.

Theodoreginald zabronił mu rozmawiać na ten temat z kimkolwiek, a już zwłaszcza ze Święckim. Przed podwładnymi udawał bowiem niezłomnego twardziela, który układa się z najważniejszymi politykami Federacji jak równy z równym, i nigdy przenigdy nie okazywał w ich obecności choćby cienia

przepełniającej go frustracji. Prawdziwą twarz odsłonił jedynie przed starym przyjacielem, którego coraz częściej traktował jak osobistego psychoanalityka, a nie towarzysza broni. Rutta nie protestował ani nie wymigiwał się od tego niewesołego obowiązku, wiedział bowiem, że poza nim Farland nie ma nikogo, komu mógłby powiedzieć, jak naprawdę wygląda jego sytuacja, w związku z czym niewątpliwie już dawno strzeliłby sobie w łeb. Ilekroć Rutta zdobywał się na szczerść z samym sobą, przyznawał, że nie może mieć pewności, czy jego pomoc uchroni wielkiego admirała od prób rychłej ucieczki w niebyt. Zwłaszcza że Modo pogrywała z nimi oboma coraz ostrzej, jakby przestała się obawiać ujawnienia niebezpiecznych dla niej nagrań.

Święcki o tym wszystkim nie wie, a przynajmniej nie powinien wiedzieć, poprawił się w myślach generał. Znał swojego protegowanego na tyle, by mieć świadomość, że ten umie kojarzyć fakty jak mało kto.

– Rozumiem, że ostatnio działa pod ogromną presją – zaczął ponownie Henryan – ale proszę mi wytłumaczyć jedno, generale: dlaczego on mnie tak nie lubi?

Rutta spojrzał mu prosto w oczy. Może nadeszła wreszcie chwila prawdy?

– Boi się – wyznał.

– Mnie? – Święcki zrobił wielkie oczy.

– Tak. Uważa, że politycy przekupują cię awansami i odznaczeniami.

– Trudno nie zauważyć tej tendencji, ale co to ma wspólnego z nim?

– Stajesz się idealnym kandydatem na przyszłego dowódcę trzeciej floty...

– Ja? – Henryan wybuchnął szczerym śmiechem.

– Jego zdaniem tak.

– To jakiś żart? Wkręca mnie pan?

– Bynajmniej.

Święcki spoważniał w momencie.

– Może mi pan nie uwierzyć, generale, ale jedziemy na jednym wózku. To znaczy ja i wielki admirał. Kto wie, czy nie mam nawet bardziej przechlapane niż on.

– O czym ty mówisz, u licha? – zdziwił się dla odmiany Rutta.

Henryan przygryzł wargę. Nie skorzystał z rady generała i nie wstrzymał sobie kolejnej dawki stymulantów, ponieważ idąc na mostek, nie miał pojęcia, że Farland zleci im kolejne wyczerpujące zadanie. Sądził, że po krótkiej i raczej przyjemnej rozmowie wróci do przydzielonej mu kajuty, pobierze z dyspensera prosty posiłek – oprócz napojów urządzenie oferowało także dwa rodzaje pasty smakowej – a potem padnie jak kłoda, by spać, spać, spać. Wobec tego planu faszeringowanie się specyfikami na pobudzenie nie było najlepszym pomysłem. Niestety zmęczony jak chyba nigdy dotychczas nie kontrolował się całkiem i właśnie palnął o jedno zdanie za dużo.

– Długo by opowiadać, generale – spróbował uniku, choć z góry wiedział, że to niewiele da.

– Nie mamy wprawdzie za wiele czasu, ale chętnie posłucham skrótowego wyjaśnienia. – Rutta faktycznie nie zamierzał odpuścić.

– Dobrze. Powiedzmy, że mam informatora, kogoś związanego z kręgami władzy, człowieka, który ma dostęp do naprawdę ciekawych materiałów – skłamał po chwili zastanowienia. – Od niego wiem, że Modo kreuje mnie na wielkiego herosa, ponieważ potrzebuje męczennika, którego tragiczną śmierć da się wykorzystać w odpowiednim momencie, na przykład do odwrócenia uwagi opinii publicznej od innych ważnych wydarzeń.

– Co ty pieprzysz? – Rutta nie próbował nawet kryć niewiary.

– Dobry bohater to martwy bohater. Tak powiedziała. Chce pan posłuchać nagrania, na którym kilkakrotnie parafrazuje pewne stare powiedzenie?

Rutta nie odpowiedział, spoglądał tylko ze smutkiem na protegowanego, któremu do tej pory szczerze zazdrościł. Nigdy by nie pomyślał, że szybka kariera może mieć drugie, i to tak mroczne, oblicze.

– Wierzę ci na słowo – rzucił, naciskając klawisz dezaktywacji ekranu izolującego.

\* \* \*

Dali sobie pół godziny na to, by wziąć prysznic, zjeść porządny posiłek i odbyć najkrótszą sesję regeneracyjną w automedycznym centrum odnowy biologicznej. Ta ostatnia propozycja wyszła od Rutty, który widział, że jego podwładny jest potwornie zmęczony, i miał świadomość, że zlecona praca będzie od nich wymagać pełnej koncentracji, nie wspominając o jasności umysłu.

Święcki pognał więc do najbliższej mesy, pobrał posiłek, wciskając się bez kolejki – co akurat nie było trudne, ponieważ wszyscy i tak chętnie ustępowali mu miejsca – po czym wrócił do kajuty, wziął szybki prysznic i niespełna dziesięć minut po opuszczeniu mostka zasiadł przy stole z włączonym naczelnikiem na głowie. Kryształ z wiadomością od Seiferta trafił do gniazda, gdy Henryan ugryzł pierwszy kęs stygnącej już, twardej jak podeszwa pieczonej wołowiny. Pokładowe namnażalnie oferowały kilka rodzajów mięsa, dałoby się więc znaleźć coś smaczniejszego, w tym wypadku jednak najbardziej liczył się czas. Z powodu pośpiechu Święcki zdecydował się na danie, które zdoła zjeść bez patrzenia i używania sztuczków. Rozmiary ściągniętego pliku sugerowały bowiem, że będzie miał do czynienia nie ze zwykłym tekstem, lecz z kolejnym nagraniem, na szczęście niezbyt długim.

Żując powoli włókniste, mocno doprawione mięso, pogrążył się w kompletnym mroku. Sekundę później ujrzał pomieszczenie równie ciasne jak przydzielona mu kajuta, choć znacznie bardziej zaniedbane, z wyraźnymi śladami wieloletniego użytkowania. W obiektywie holokamery, z której przekaz płynął prosto do receptorów jego mózgu, widać było cztery osoby. Trzech czarnych i siedzącego naprzeciw nich mężczyznę w pozbawionym oznaczeń korporacyjnych mocno podniszczonym kombinezonie ochronnym.

– Nazwisko? – rzucił jeden z czarnych, siedzący pośrodku oficer w stopniu porucznika.

– Musimy przechodzić przez to wszystko po raz trzeci? – obruszył się przesłuchiwany.

Nie był skuty, nie nosił pomarańczowego wdzianka, wszystko więc

wskazywało, że wszedł do tego pomieszczenia jako wolny człowiek.

Czy wyjdzie o własnych siłach, to już inna sprawa, pomyślał Święcki, wiedząc, jak bardzo wubecy nie lubią, gdy ktoś im się stawia, a taka odpowiedź i taki ton wykaczały poza skalę wubeckiej tolerancji.

– Nazwisko! – Warknięcie czarnego potwierdziło obawy Henryana. Żarty się skończyły.

Na szczęście dotarło to także do przesłuchiwanego, który westchnął tylko i zwieszając ramiona w geście rezygnacji, odpowiedział:

– Gruner. Adamadeus Gruner.

– Wiek, zajęcie.

– Sześćdziesiąt siedem lat, ostatnio zatrudniony przez korporację EB na stanowisku kierownika ekipy terraformującej Deltę Ulietty.

Na dźwięk znajomej nazwy Święcki przestał poruszać szczękami. Zaczynał rozumieć, dlaczego Seifert przesłał mu nagranie. Gruner mógł znać Ninadine. Może nawet wiedział, co się z nią stało.

– Z dokumentacji wynika, że czwartego listopada ubiegłego roku ewakuowano cię na Rwanę w Sektorze Sierra. – Siedzący po prawej czarny wywołał jakiś hologram, zapewne manifest pokładowy jednostki przewożącej ewakuowanych kolonistów.

– Zgadza się. Tak jakby... – Gruner się zawahał. – Trafiliśmy do tej niby-kolonii na Alfie.

– Dlaczego nazywasz ją niby-kolonią? – odezwał się trzeci wubek.

– Przecież już to wyjaśniłem.

– Odpowiedz na pytanie!

Przesłuchiwany zeszywniał. Zaniepokoił go podniesiony głos szefa czarnych, jak również fakt, że ten po prawej wstał.

– Panowie... – Gruner podniósł ręce w obronnym geście. – Dajcie spokój, przecież ja nic nie zrobiłem.

– Naprawdę? – zaśmiał się porucznik. – Włamanie do rządowej drukarki nie jest według ciebie wykroczeniem?

– Nie miałem wyjścia.

– Sugerujesz, że ktoś cię zmusił do próby sabotażu? – podchwycił ten z lewej.

– To nie tak, panowie – bronił się płaczącym tonem mężczyzna. – Sytuacja mnie do tego zmusiła. Czy wy nadal niczego nie rozumiecie? – Pochylił się do przodu, opierając dłonie na blacie. – Trzeci raz już to powtarzam. Zostawiono nas tam na pewną śmierć. Gdybym nie znalazł tej pieprzonej drukarki, wszyscy byśmy zginęli! Sto dwadzieścia osób! Sto dwadzieścia... – Para z niego uszła, zanim którykolwiek wubek zdążył mu przerwać.

Porucznik skwitował krótko te wyjaśnienia:

– Bardzo wygodna bajeczka, przyjacielu.

– Ja nie kłamię, możecie to sprawdzić. Wystarczy...

– Myślisz, skurwyklonie, że tego nie zrobiliśmy? – Stojący wubek walnął pięścią w stół z taką siłą, że włączony wciąż hologram zafalował. Widać było, że drań żałuje utraconej przed momentem okazji.

– Myślę... – zaczął ostrożnie Gruner, ale nie dali mu dokończyć.

Ten z lewej wywołał kolejny dokument.

– Czytaj!

Przesłuchiwany przebiegł wzrokiem treść, po czym zgarbił plecy. Wyglądał raczej na zmieszanego niż przestraszonego.

– Nie rozumiem... Siedzieliśmy tam tak długo, bez możliwości nawiązania kontaktu...

– Może mieli wam jeszcze podstawić nadajnik kwantowy, żebyście sobie pogawędzili z kumplami w innych systemach? – zakpił ten niewyżyty.

– Chcieliśmy nawiązać kontakt z kimkolwiek. Nawet na tej złanej kwasem planecie. Siedzieliśmy pośrodku jakiejś pieprzonej atrapy kolonii. W pustej skorupie habitatu. Dano nam tylko dyspenser i najprostszą drukarkę... – kontynuował Gruner płaczącym tonem.

– Dziwi cię to? – huknął porucznik. – Wiesz, ile kosztuje cała ta jebana ewakuacja? Wiesz, do ilu systemów musimy przerzucać ludzi i jak długo czekają tam na dalsze tranzyty? Ciesz się, że mieliście co zjeść i gdzie srać. Rada



zafundowała wam prawie miesięczne wakacje, a ty jeszcze kręcisz nosem?

– Wystarczyło powiedzieć słowo, zamiast ot tak porzucić nas na jakimś syfiastym kamieniu i...

– Polecenie było jasne: mieliście czekać na kolejny transport.

– Nikt nam nic nie powiedział.

– A może to ty nie chciałeś nic słyszeć? – atakował dalej porucznik.

– Ja nie kłamię! – zaczął buńczucznie Gruner, ale zaraz spokorniał, przypominając sobie nerwową reakcję stojącego o krok od niego czarnego. – Możecie to sprawdzić na neurografie!

– Dobra rada – zaśmiał się ten po lewej. – Tylko że nie musimy aż tak się wysilać, aby dojść prawdy. Która wygląda tak, że kiedy ty sabotowałeś pracę drukarki, twoja macierzysta korporacja szykowała ewakuację.

– Coś długo jej to zajęło – prychnął Gruner.

– A nie przyszło ci na myśl, przyjacielu, że to musi potrwać? – Wubek zamilkł, dając przesłuchiwanemu szansę na odpowiedź, a gdy ten nie zareagował ani słowem, ani gestem, sam dodał kpiącym tonem: – Ewakuacja takiej masy ludzi ma sens wyłącznie wtedy, jeśli przerzuca się ich tam, gdzie nie będą przeszkadzać i do czegoś się przydadzą. Czyli bardzo, bardzo daleko. EB ściągało transportowce z pozostałych metasektorów, ponieważ trzecia flota zarekwirowała każdą jednostkę z ościennych pasów, by móc ewakuować kolonistów ze wszystkich zagrożonych systemów. Nic więc dziwnego, że konwój wysłany przez twoją korporację z Terytoriów Zewnętrznych potrzebował aż kilku tygodni na pokonanie dwóch tysięcy stu... – sprawdził coś na komunikatorze – siedemdziesięciu dwóch lat świetlnych, jakie dzieliły go od Rwandy.

– Ja... nie miałem pojęcia...

– Właśnie. Nie miałeś pojęcia o niczym, ale to nie przeszkodziło ci drzeć mordy, jakoby ktoś pozostawił was na pewną śmierć! – zgromił go ten z lewej. – Wiesz, gnoju, ilu oczerniłeś ludzi, którzy z takim poświęceniem próbowali was ratować?!

– A może w ogóle wymyśliłeś całą tę historyjkę, bo cię przyłapano w sprzeczcie należącym do trzeciej floty, którego logów nie mogłeś zhakować, dzięki czemu wiemy, że przekierowałeś część wiertni do poszukiwania niezwykle rzadkich i cholernie cennych pierwiastków – zakończył z naciskiem na ostatnie słowa stojący wubek.

– Przecież tłumaczę, że potrzebowaliśmy tych surowców do zbudowania nadajnika.

– Trzy tony liteonu, pół tony neodymu, tona baneckitu? Z takiej ilości surowców można by zbudować parę tysięcy nadajników i jeszcze starczyłoby na zapewnienie dostatniego życia kilku pokoleniom przyszłych Grunerów.

– To nie tak, panowie... – Przerażony mężczyzna wodził wzrokiem po twarzach rozbawionych jego reakcją wubeków. – Wiertni nie da się przecież zaprogramować na zebranie kilograma urobku. Możecie to bez problemu sprawdzić. Poza tym większość tego, co kazałem wydobyć, nadal spoczywa w zbiornikach magazynowych drukarki.

– Może na tym zasadał się twój plan? – zasugerował porucznik. – A może rozkaz ewakuacji cię zaskoczył, zanim zdążyłeś zrealizować wcześniejsze zamierzenia?

– Panowie, ja naprawdę byłem przekonany, że zostaliśmy porzuceni na Rwandzie. Do ostatniej chwili miałem łączność z habitatami... – Zamilkł, jakby coś nagle do niego dotarło. – Dziwne... Nie dostałem żadnego sygnału o przylocie wahadłowców...

– Nie ma w tym nic dziwnego. Jeśli porównasz harmonogramy ewakuacji sprzętu i ludzi, zauważysz, że transportowiec EB rozpoczął operację, gdy przejęta przez ciebie drukarka była już na orbicie.

Znów okazali mu jakieś dokumenty.

– Wtedy nie mogłem tego wiedzieć – tłumaczył się coraz bardziej niezbornie. – Dlatego byłem święcie przekonany, że jesteśmy wabikami na Obcych.

Czarni zamarli, jakby z jego ust padło bluźnierstwo.

– Skąd wiedziałeś o inwazji Obcych? Personel korporacyjny niższego stopnia

nie miał o niczym pojęcia. Jako oficjalny powód ewakuacji Ulietty podano rzekomy wybuch supernowej.

Gruner przełknął głośno ślinę.

– Od mojej zwierzchniczki na Alfie. Wyjawiała mi prawdziwy powód ewakuacji po tym, jak doszła do wniosku, że zostaliśmy porzuceni na pastwę losu.

– Mówisz o... – porucznik przejrzał notatki – ...Ninadine Truffaut.

– Tak. To ona mi o wszystkim opowiedziała – przyznał Gruner.

– Hmm...

– Ona... Ona... – Gruner podjął łamiącym się szeptem, ale zajęci rozmową czarni nie zwracali na niego uwagi. Sięgnął więc po holoprojektor i zaczął przeglądać wyświetlone dokumenty. W pewnym momencie drgnął, jakby go razili prądem, i spojrzał na wubeków w taki sposób, że nawet Henryan poczuł mrowienie na karku. – Skąd macie ten manifest pokładowy? – zapytał tonem zdradzającym wielką ekscytację.

Tym razem przerwali toczoną półgłosem dyskusję.

– Z archiwum admiralicji – odparł porucznik.

– Ciekawe...

– Nie ma w nim nic ciekawego. – Porucznik odchylił się na fotelu.

– Przeciwnie. – Gruner powiększył okienko szybkim ruchem i wskazał jedną pozycję. – Ta lista to jakaś ściema.

Czarni zerknęli na zapis, potem przenieśli pytające spojrzenia na siedzącego naprzeciw nich mężczyznę.

– Z czego to wnioskujeś, przyjacielu?

– Z tego, że na liście ewakuowanych jest nazwisko Ninadine Truffaut.

Święcki w okamgnieniu zrozumiał, o co chodzi. Wubecy jednak nadal gapili się bezmyślnie na Grunera, co mogło świadczyć o tym, że albo nie mają bladego pojęcia, w czym biorą udział, albo należą do wcale nie tak wąskiego grona wyjątkowo nierozgarniętych funkcjonariuszy.

– Raczysz nam wyjaśnić, dlaczego miałoby go tam nie być? – zapytał

w końcu porucznik. – Z naszych dokumentów wynika, że Ninadine Truffaut odleciała jak wszyscy pozostali ewakuowani pracownicy. Osobiście autoryzowała wejście na pokład...

– Jakoś wątpię, by w ciągu niespełna pół godziny zdołała wspiąć się na ponadkilometrowy klif, z którego na moich oczach spadła, a w zasadzie zeskoczyła, na moment przed startem drukarki.

Wubecy zaniemówili. Sekundę później drzwi pomieszczenia rozsunęły się z głośnym hukiem. W progu stanął masywny facet o nalanej czerwonej twarzy i posturze atlety. Nie miał na sobie munduru, lecz wszystko, od wyglądu po władczy głos, sugerowało, że należy do wydziału bezpieczeństwa.

Gruba ryba, pomyślał Henryan. Ktoś, kto rzadko brudzi sobie ręce.

– Wyłączyć sprzęt! – rozkazał, wskazując kamerę, i na tym przekaz się skończył.

Święcki odczekał chwilę, licząc na jakiś komentarz bądź dodatkowe informacje, jednakże otaczająca go czerń pozostała nieprzenikniona. Zerwał więc naczolnik z ociekających potem skroni, nadal nie chcąc i nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

# OSIEM

*System Anzio, Sektor Sierra,*

*10.03.2355*

Farland spojrział z niepokojem najpierw na nowe okno wyświetlacza, potem na znajdujący się nieco wyżej timer. Od ostatniej rozmowy z panią kanclerz upłynęło zaledwie siedemnaście godzin, co oznaczało, że do wyznaczonego przez nią terminu pozostało jeszcze całe siedem godzin. Skąd więc ten nieoczekiwany sygnał wywoławczy z Ziemi?

Chyba że ta suka znów zmieniła plany, pomyślał wielki admirał, wysyłając oficerowi dyżurnemu kod akceptacji.

Znając Modo, mógł być pewien, że czeka go kolejna ciężka przeprawa, a kto wie, czy nie ostateczna konfrontacja. W ciągu minionych tygodni stoczył wiele potyczek z przedstawicielami admiralicji i Rady, odrzucając każdy idiotyczny pomysł, na który wpadli geniusze od zabiurkowej logistyki i domorośli strategów, znający wojnę wyłącznie z archiwalnych holo. Nie była to jednak negacja programowa – gdyby otrzymał sensowną propozycję, na pewno by ją rozważył i wdrożył, ale po protegowanych Xiao trudno było się spodziewać profesjonalizmu.

Facet wyznający zasadę, że podwładny nie może być inteligentniejszy od przełożonego, sam będąc przeciętnym oficerem, od wielu lat otaczał się samymi miernotami, karierowiczami, klakierami. Jeśli nawet był wśród nich ktoś niegłupi, przegrywał z faworyzowanymi włazidupami. Politycy chcieli słyszeć

wyłącznie pochlebstwa, i to bez względu na to, czy mieli rację czy nie. Prawda kłuła ich w oczy, a nawet równała się wypowiedzeniu wojny, o czym Farland przekonał się już dawno temu. Gdyby nie nagrania, którymi zdołał zaszantażować Modo, pewnie gnąłby od kilku miesięcy w jakiejś kolonii karnej albo spalał się właśnie w koronie czerwonego karła, wokół którego orbitowała stacja Anzio.

Ta ostatnia wizja, wbrew pozorom, wydała mu się szczególnie miła. Miał już dość niekończącej się walki z przełożonymi i ich mocodawcami. Gdyby dano mu wybór, wolałby zniknąć, nawet przestać istnieć. Lepsze to od patrzenia w bezsilnej złości, jak debile niszczą wszystko, co zbudowały wśród gwiazd setki pokoleń. Tocząca się wojna musiała przynieść zagładę jednej ze stron. Albo ma'lahn usuną z mapy wszechświata ostatni ślad istot, które nielegalnie powołali do życia, albo sami odejdą w niebyt.

Dlaczego ci durnie tego nie pojmują? pieklił się w duchu, wkładając galowy mundur, aby zasiąść przed terminalem we własnej kajucie. Dlaczego z uporem maniaka ciągną nas ku horyzontowi zdarzeń, za którym jest tylko nicość? Przecież sami także zginą, jeśli dojdzie do najgorszego. Nie dzisiaj ani jutro. Może uda im się dożyć późnej starości, co z tego jednak, skoro skazą na śmierć swoje potomstwo i całą ludzkość.

Nie czekał długo. Skomunikowanie nadajników zajęło niespełna czterdzieści sekund, wliczając w to ich rozgrzanie. Sztab trzeciego metasektora dysponował kilkoma potężnymi reaktorami, z których na przykład te obsługujące tarcze energetyczne nie miały w czasie pokoju pełnego obciążenia, tak więc nawet bardzo długie połączenia kwantowe nie nadwierały najbardziej witalnych systemów stacji. Ale także gdyby było inaczej, Modo nie przejmowałaby się wyrzeczeniami, jakie przez jej rozkazy muszą ponosić oficerowie i marynarze. Pod tym względem przypominała ma'lahn – ludzi traktowała jak śmieci.

– Pani kanclerz – rzucił oschle Farland, gdy holoprojektor umieszczony nad blatem jego biurka wyświetlił naturalnej wielkości popiersie niemłodej już kobiety.

– Wielki admirał – odpowiedź była równie zwięzła, aczkolwiek mniej zimna niż przy każdej wcześniejszej okazji do rozmowy.

Zauważywszy to, Farland – choć wiedział, że Modo nie zniża się do kontrolowania postępów zleconych prac – zaczął ostrożnie:

– Do wyznaczonego terminu...

– Proszę się nie martwić – szybko weszła mu w słowo, jak to miała w zwyczaju, lecz tym razem powściągnęła charakteryzującą ją napastliwość, co wydało mu się dziwne, a nawet niepokojące. Czyżby pewna zwycięstwa zamierzała pójść na konfrontację...? – Nie w tej sprawie dzwonię. Mam do pana inną, nie mniej ważną kwestię – dodała, jeszcze bardziej pogłębiając jego zdenerwowanie.

– Słucham.

– Chodzi o nasze wzajemne relacje – oświadczyła.

Nigdy się nie dowiedziała, jaki szok wywołały w nim te słowa, ponieważ wspomagany relaksantami i kilkoma szklaneczkami whisky Farland zdołał zachować kamienną twarz, choć przyszło mu to z ogromnym trudem.

– Przykro mi – odpowiedział po krótkim namyśle – że musiałem uciec się do szantażu, ale inaczej doprowadzilibyście do istnej katastrofy.

– Wiem.

Wielki admirał zdębiał.

Modo się ze mną zgadza? zapytał się w duchu. Nie, to musi być jakiś podstęp.

– Wie pani? – wybąkał.

– Tak. – Modo zaczerpnęła tchu, lecz choć rozchyliła usta, nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wyglądało to tak, jakby słowa utknęły jej w krtani. W końcu, siląc się na obojętność, wycedziła: – Mam dla pana propozycję. Zawrzyjmy układ...

– Jeden już zawarliśmy – przypomniał jej.

– Nie nazwałabym naszych wzajemnych relacji mianem układu, a już na pewno nie porozumienia – skontrowała rozeźlona raczej tym, że jej przerwał, niż przypomnieniem szantażu.

– W tych warunkach porozumienie nie wchodzi w grę – rzucił może zbyt hardo jak na ton tej rozmowy, ale nadal czuł się niepewnie i wypatrywał ciosu, którego spodziewał się w każdej chwili.

– Pełna zgoda, wielki admirale. W tych warunkach nigdy się nie dogadamy. Dlatego chcę zaproponować...

– Zamieniam się w słuch. – Farland poruszył ręką, jakby chciał sięgnąć po kubek z wodą, lecz zrezygnował w ostatniej chwili, by Modo nie zobaczyła, jak bardzo mu drżą dłonie.

– Pójdźmy na kompromis. Jeśli na najbliższej odprawie przedstawi pan konkretny plan działania, uwzględniający wszystkie nowe okoliczności, osobiście zadbam o to, by Rada przekazała w pańskie ręce pełne dowodzenie rozpoczynającą się ofensywą.

– A co z Xiao? – wtrącił.

– Najwyższy admirał został przed godziną oskarżony o zdradę stanu – odparła. – Niestety nie stanie przed trybunałem, ponieważ zdążył odebrać sobie życie.

Tym razem Farland osłupiał i nawet się z tym nie krył.

Usunęła Tadama? rozmyślał gorączkowo. Ta wiadomość ogłuszyła go jak dobrze wymierzony sierpowy w skroń. I zaraz pojawiła się obawa. Czy i ja skończę podobnie, jeśli wejdę z nią w układy?

– Samobójstwo? – wymamrotał. – Niewiarygodne...

– Ja także nie zwykłam negocjować z szantażystami, tymczasem jak widać... – Ugryzła się w język. Chciała powiedzieć: „Tymczasem jak widać, zniżam się do tego”, ale uznała, że to by niepotrzebnie zaogniło sytuację. – Jestem skłonna puścić co złe w niepamięć – dokończyła bardziej ugodowo.

– Nie szantażowałbym pani, gdyby nie groźby wysuwane wcześniej pod moim adresem – nie pozostał jej dłużny.

– Wiem, że to był tylko gest samoobrony – przyznała. – I doskonale pana rozumiem. Sama użyłam niedawno tej metody, by pozbyć się pewnego przeciwnika, niemniej... Chyba zdaje pan sobie sprawę, że gdyby doszło do



starcia między nami, oboje byśmy ucierpieli.

– Owszem – przytaknął. – Chociaż ja chyba bardziej. Abstrahując od wszystkiego, to moje ubezpieczenie na wypadek, gdyby naszły mnie nagle myśli, po których Damian i Tadam sięgnęli po broń.

Wbił jej tę szpilę celowo. Jeśli pogrywała, jak to miała w zwyczaju, powinna wiedzieć, że z nim nie pójdzie jej tak łatwo jak z Xiao i wcześniej z Dreade-Ravenore’em, który – Farland był tego niemal całkowicie pewien – bynajmniej nie padł ofiarą chwilowej depresji.

Jeśli natomiast mówi szczerze, w co naprawdę trudno mi uwierzyć... Nie dokończył myśli.

– Tak, wiem, że te nagrania nie znikną ot tak – odezwała się spokojnie, zamiast wybuchnąć, czego się po niej spodziewał. Co ciekawe, w jej głosie było więcej żalu niż nienawiści. – Mimo to proponuję panu układ opierający się na wzajemnym zaufaniu... – Zamilkła na moment i rozważyła coś w duchu. – Nie, wróć. Po tym, co zaszło, wątpię, aby chciał mi pan zaufać, a i ja nie jestem pierwsza naiwna. Zawrzyjmy ten układ z rozsądku. Jak przywódcy dwudziestowiecznych imperiów. Każda ze stron może jednym naciśnięciem klawisza zniszczyć życie drugiej, ale tego nie robi, gdyż sama by przez to zginęła. Wygrajmy wspólnie tę cholerną wojnę, zapewnijmy gatunkowi ludzkiemu przetrwanie, zapiszmy się trwale na kartach historii. To chyba dzisiaj ważniejsze niż osobiste animozje.

– Jakoś nie sądzę, abyśmy mieli zostać przyjaciółmi, lecz... Mogę dać słowo honoru, że nie użyję tych nagrań, jeśli pani pierwsza nie wykona wrogiego ruchu.

– Nie zamierzam udawać, że zależy mi na nawiązaniu z panem przyjaznych relacji – zrewanżowała się Modo. – Niemniej historia uczy, że nie trzeba się lubić, by skutecznie współpracować. Alianci wygrali drugą wojnę światową, choć różniło ich więcej niż nas teraz i naprawdę niewiele brakowało, by sami się powybijali.

– Fakt – przyznał. – Mógłbym przytoczyć kilka równie adekwatnych

przykładów współpracy w imię wyższych celów, ale ten wybrany przez panią wydaje mi się idealny. Na coś takiego jestem gotów przystać bez wahania.

– Pójdźmy zatem ich śladem.

– Pójdźmy... – Farland spojrzał jej prosto w oczy – ...ale najpierw ustalmy parę szczegółów.

– Mianowicie?

– Kto będzie moim nowym przełożonym?

– Nikt.

– Jak to?

– Otrzyma pan awans na najwyższego admirała. Oczywiście pod warunkiem, że dojdziemy do pełnego porozumienia.

Zaskoczony po raz kolejny Farland przestał się dziwić, jakim cudem ta kobieta wspięła się tak wysoko.

– Rozumiem. A co z admiralicją?

– Ma pan wolną rękę. Dopóki będziemy odnosić zwycięstwa, nie interesuje mnie, jakich cięć i zmian pan dokona. I nie, nie musi pan się przenosić z Anzio. Wystarczy, że przyśle pan na Ziemię swojego zastępcę.

– Zatem mogę działać po swojemu?

– Tak, ale tylko w kwestiach militarnych.

– Pozostaje jeszcze ostatnia sprawa: jak konkretnie widzi pani naszą współpracę? Bo to chyba jasne, że nie będę drugim Xiao.

– Co do tego nie mam złudzeń. Gdyby był pan tylko kolejnym pionkiem, nie rozmawialibyśmy teraz. Jeśli zaś chodzi o konkrety... Dam panu pełną swobodę przy opracowywaniu strategii. I zagwarantuję bezwarunkowe wsparcie Rady, w zamian za co będę oczekiwać realizacji celów. Sto dni spokoju właśnie się kończy, a oboje doskonale wiemy, co oznacza dalsze zwlekanie z podjęciem działań. W zamian za pełną swobodę działań na polu walki da mi pan wyniki, których nie dał mi Xiao. Szybkie i satysfakcjonujące... oczywiście obie strony – uściśliła, widząc, że Farland zamierza protestować.

– Z tą szybkością może być problem – ostrzegł, mając w pamięci raporty

Rutty i Świąckiego, które nie odbiegały znacznie od jego oceny sytuacji.

– Wiem – zapewniła go, zanim rozwinął myśl. – Dlatego będziemy potrzebowali bardziej kreatywnego podejścia. Weźmy choćby pański pomysł „rozliczenia Rwandy”. Żebyśmy się dobrze zrozumieli: to nie mnie musi pan tym razem kupić, tylko opinię publiczną.

– Zrobię co w mojej mocy.

– To za mało.

– Jestem wojskowym, nie cudotwórcą. Żąda pani niemożliwego, i to na wczoraj. Tak się nie wygrywa wojen.

– Co pan zatem proponuje?

– Czy możemy przełożyć tę odprawę?

– Za trzy dni muszę stanąć przed senatem z gotowym planem działania.

– To daje nam co najmniej dwie kolejne doby na jego dopracowanie.

Modo zmierzyła go twardym spojrzeniem.

– Jeśli pan zawiedzie, nie będzie czasu...

– Nie zawiodę. Podejrzewam, że już dzisiaj mógłbym przedstawić plan, który zadowoliliby większość pani przeciwników, ale... – postukał palcem o blat, szukając właściwego określenia – ...ale opieralibyśmy się w dużej mierze na domysłach, co znaczy, że moglibyśmy popełnić błędy.

– Korekta planów nie jest niczym nagannym – stwierdziła. – Zmienialiśmy je już kilkakrotnie.

– Ja mówię o kardynalnych błędach wynikających z naszej obecnej niewiedzy. O czymś, czego nie da się naprawić zwykłą korektą, a co może nas naprawdę drogo kosztować. Krótko mówiąc, potrzebuję więcej danych.

Modo popadła w zamyślenie.

– Dobrze – odezwała się w końcu. – Skoro rozmawiamy jak równi sobie partnerzy, możemy się pokusić o kompletną szczerść. Chcę poznać najczarniejsze scenariusze. Chcę poznać prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, nawet jeśli ma być dla mnie bolesna. Poza tym jednak muszę dostać także coś, czym zatkam gęby opozycji i pracujących dla niej pospolitych krzykaczy. Zdaje

sobie sprawę, że przy ocenie obecnej sytuacji pośpiech nie jest wskazany, dam więc panu te dwie dodatkowe doby na dopieszczenie planów, a także dostęp do wszystkich analiz pionu naukowego.

– Dziękuję, pani kanclerz. – Farland zasalutował, uświadomiwszy sobie, że rozmowa dobiegła końca.

**Część druga**

**DEMONY PRZESZŁOŚCI**

# JEDEN

*System Anzio, Sektor Sierra,*

*12.03.2355*

Sztab trzeciego metasektora dysponował tylko jednym pomieszczeniem nadającym się do przeprowadzenia tej odprawy. Farland i jego zespół mieli bowiem gościć – wirtualnie rzecz jasna – nie tylko panią kanclerz oraz obu jej najważniejszych zastępców, ale też pół tuzina innych senatorów, w tym troje parlamentarzystów nienależących do Rady.

Obecność tych ostatnich była warunkiem, który wielki admirał wymógł na Modo zaledwie dzień po pamiętnej rozmowie rozpoczynającej zupełnie nowy rozdział ich współpracy. Przewodnicząca Rady najpierw głośno protestowała, gdyż nie mieściło jej się w głowie, że w spotkaniu, podczas którego zapadną decyzje przesądzające o losach tej wojny, mogą wziąć udział także przedstawiciele opozycji. Posunęła się nawet do stwierdzenia, że wyciągnięcie ręki do krnąbrnego dowódcy trzeciej floty było jednym z największych błędów w jej karierze. Farland powstrzymał się od podobnych inwektyw. Nawiązał łączność z Ziemią dwanaście godzin przed wyznaczonym terminem, ponieważ wpadł na genialny w swej prostocie pomysł, jak uratować sytuację. Doszedł mianowicie do wniosku, że włączenie w proces decyzyjny liderów konkurencyjnych frakcji utnie wszelkie dyskusje na temat dalszych opóźnień, które były niestety nieuniknione – o czym wiedział stąd, że im bardziej wraz z zespołem wgłębiał się w problem, tym gorzej wszystko wyglądało.

Właśnie z tego powodu robił, co mógł, by uniknąć konfrontacji. Pragnął przedstawić pani kanclerz argumenty przemawiające za powyższą propozycją i pozwolić jej rozważyć je na zimno, co jednak przy wrogim nastawieniu Modo nie było wcale takie łatwe. Z początku musiał milknąć co chwilę i wysłuchiwać wybuchów pani kanclerz, lecz im dalej brnął w wyjaśnienia, tym słabszy opór u niej zauważał. Ta kobieta była wredna, ale nie głupia, a on naprawdę rozsądnie uzasadniał konieczność włączenia w rozmowy przeciwników politycznych obecnej Rady.

Krótko mówiąc: to właśnie ci ludzie mogli zamienić najbliższe miesiące jej rządów w piekło, czego jednak mogła uniknąć, dzieląc się z nimi częścią odpowiedzialności.

Farland zaproponował, by odprawa została podzielona na dwie części: otwartą prezentację, okrojoną o te elementy, których żadne z nich nie zamierzało upubliczniać, i następujące po niej uszczegółowienie planów tylko dla wybranych. Dał też rozmówczynie czas na zastanowienie. Nie żądał natychmiastowej odpowiedzi, ponieważ zdawał sobie sprawę z rozmiarów przepaści, jaka dzieliła w tych dniach rywalizujących ze sobą polityków. Poza tym liczył na to, że kobieta, która zdołała dotrzeć na absolutne szczyty władzy, pójdzie po rozum do głowy, mimo iż w trakcie rozmowy była na nie.

Wielki admirał nie pomylił się – Modo zaakceptowała jego propozycję kilka godzin później, przesyłając do trzeciego metasektora zdawkową wiadomość tekstową, jakby osobiste przyznanie mu racji było dla niej zbyt wielkim wyzwaniem.

Farlandowi to nie przeszkadzało. Najważniejsze, że przeforsował swój punkt widzenia i jedyne – przynajmniej jego zdaniem – rozwiązanie patowej sytuacji.

Teraz wszystko zależy od analiz przygotowanych przez Rutkę, pomyślał, zajmując miejsce przy okrągłym stole. Powinny one wyrzucić na trzymany w niewiedzy politykach odpowiednie wrażenie...

Przyszedł ostatni, na niespełną minutę przed nawiązaniem łączności z Ziemią. Nie dlatego, by zademonstrować czekającym w sali odpraw podwładnym, jak

bardzo gardzi politykami; powód jego opieszałości tym razem był bardziej prozaiczny. Wielki admirał postanowił wesprzeć się przed przełomowym spotkaniem stymulantami, które najlepiej działały bezpośrednio po podaniu. Jako że nie miał szans wstrzyknąć sobie po kryjomu porcji farmaceutyków w trakcie odprawy, zdecydował się na szybką wizytę w pobliskim ambulatorium. Automed zaaplikował mu odpowiedni koktajl, po czym neuromed podkreślił nieco ustawienia wszczepu, aby do maksimum przedłużyć działanie stymulantów.

Umieszczone pod niskim sklepieniem ramiona holoprojektorów poruszyły się kilka sekund po tym, jak Farland usiadł i aktywował obie konsole stanowiska. Moment później naprzeciw piątki oficerów – prócz wielkiego admirała, Rutty i Święckiego w odprawie mieli wziąć udział: szefowa pionu naukowego trzeciej floty profesor komandor Rosabrina van Dijk i wiceadmirał Allandreas Duarte koordynujący prace analityków wywiadu – pojawiły się hologramy członków Rady. Centralne miejsce na wprost wielkiego admirała zajęła rzecz jasna Modo; po jej prawicy zasiadł sekretarz obrony, po lewicy zaś skarbnik.

Obok Kaupa usadzono Danieliasa Nbotu, dobiegającego setki, chudego jak patyk drągala o wyjątkowo bladej piegowatej twarzy i resztkach rudego owłosienia nie tylko na skroniach, ale także wokół ust, co było w tych czasach prawdziwą rzadkością. Skośnooka zastępczyni lidera zjednoczonej opozycji, Olgala Yilmaz, była o prawie pół wieku młodsza, choć jej wygląd sugerował znacznie większą różnicę. Wywodząca się z kręgów finansjery aktywistka nie żałowała pieniędzy na walkę ze skutkami upływu czasu, wychodząc zapewne z założenia, że lepiej dmuchać na zimne, niż się później sparzyć. Trzecim przedstawicielem opozycji został czarny jak sama przestrzeń Adrianselm Sotomayor, pierwszoligowy polityk w dwudziestym pokoleniu, a przy tym jedyny lider partii nienależącej do zjednoczonego bloku opozycyjnego i noszącej nazwę Partii Wolności.

Miejsca za Benadetto należały do mniej ważnych członków Rady. Za sąsiadkę miał profesor Ritamarę Szlomo, szefową pionu naukowego Federacji, również



piękną jak wyniosłą brunetkę o pociągłej twarzy, która urodziła się przed minioną wojną i kto wie, czy nie pamiętała towarzyszących jej wydarzeń. Za nią usadzono sekretarza infrastruktury Imrenego Bhaduriego, mężczyznę otyłego jak skarbnik Federacji, lecz niższego od niego o głowę. Ostatnim członkiem delegacji był Jacinto Gołubcew, ponaddwumetrowy łyśy jak kolano Noworosjanin, którego skóra wydawała się tylko o jeden odcień jaśniejsza od cery Sotomayora.

Spośród czterestu osób zasiadających w tym pomieszczeniu zarówno w fizycznej, jak i w wirtualnej postaci zaledwie troje ludzi miało zadecydować o dalszych losach toczącej się wojny. Pozostali – choć na pewno byli przeświadczeni o swej wyjątkowości – pełnili funkcję milczących świadków wiekopomnego wydarzenia, co nie zmieniało faktu, że ich nazwiska także trafią do annałów i przez potomnych będą wymieniane w jednym z szeregu z Modo, Kaupem i Farlandem. Na tym właśnie zasadzał się plan dowódcy trzeciego metasektora.

– Pani kanclerz... Panie i panowie senatorowie... – Wielki admirał powitał zdawkowo gości.

– Wielki admirale. – Modo skróciła zwyczajową formułkę jeszcze bardziej, pokazując, kto tu się liczy. – Wszyscy wiemy, po co się tutaj zebraliśmy, myślę więc, że możemy od razu przejść do rzeczy. – Udała, że nie zauważa urażonych min oficerów, tak samo jak Farland przed chwilą zignorował jej koleżanki i kolegów z senatu.

– To właśnie zamierzałem zaproponować – przejął pałeczkę tak sprawnie, jakby przeciwiczyli otwarcie spotkania ze sto razy. – Generale majorze – odwrócił się do siedzącego po jego prawej stronie Święckiego.

Henryan aktywował znajdujący się nad stołem holoprojektor.

– Zrekapitulujmy sytuację – zagaił po wojskowemu, zupełnie jakby za stołem siedzieli nie politycy, lecz dowódcy jednostek frontowych. – Nagrania sondy hybrydowej pozwoliły nam na zlokalizowanie bazy wypadowej Obcych.

Muśnięcie klawisza odtwarzania uruchomiło pierwszą projekcję. Nad stołem

pojawił się trójwymiarowy wizerunek Drogi Mlecznej. Szybkie zbliżenie zredukowało pokazywany obszar do sporej części ustawionego w pionie Ramienia Oriona: tuż nad blatem znajdowała się Ziemia, pod sufitem widać było charakterystyczne rozwidlenie, czyli sławetny łącznik z Ramieniem Perseusza. Kolejny ruch ręki Święckiego i w obracającej się wolno mapie tej części Galaktyki zapłonął czerwony punkt. Większość zebranych miała go na wysokości oczu. Ciche westchnienia dobiegające od strony polityków opozycji uświadomiły prelegentowi, że MODO bardziej niż oszczędnie dysponowała posiadanymi informacjami.

– Miejsce, z którego operuje wróg, znajduje się tysiąc trzysta lat świetlnych od ostatniego pasa Rubieży Wewnętrznych – uściślił Henryan.

– Jak to możliwe? – zapytał podejrzliwym tonem Nbot, zerkając w kierunku pani kanclerz.

– Takiej odległości nie da się pokonać w czterdzieści godzin! – dodała Yilmaz, posyłając pytające spojrzenie profesor Szlomo.

– Szanowni państwo – odezwał się Święcki, nie podnosząc głosu. – Szczegółowych wyjaśnień udzielimy po wstępnej prezentacji. Nie możemy poruszać wszystkich kwestii naraz.

– Rozumiem. – Nbot ponownie skupił wzrok na mówcy. – Przepraszam w imieniu swoim i koleżanki. To się już nie powtórzy. Proszę kontynuować, generale majorze.

– Dziękuję. – Henryan raz jeszcze powiększył mapę Galaktyki. Tym razem zebrani ujrzeni mniejszy wycinek Ramienia Oriona, zaczynający się mniej więcej w pasie N Rubieży, a kończący się kilkadziesiąt lat świetlnych za teraz jeszcze lepiej widocznym czerwonym punktem. – Dane zostały sprawdzone wielokrotnie, zarówno przez wojsko, jak i przez pion naukowy Federacji. – Posłał kurtuazyjny ukłon profesor Szlomo. – Dzięki temu margines błędu wynosi zaledwie pięć lat świetlnych. W ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin standardowych powinniśmy osiągnąć jeszcze bardziej precyzyjny wynik, który wskaże nam konkretny system – dodał, kierując wzrok na siedzącą obok

Rosabrinę van Dijk.

– System, w którym sonda dokonała nagrania, namierzamy poprzez ustalenie pozycji katowej trzydziestu czterech znanych nam pulsarów – wyjaśniła szefowa pionu naukowego trzeciej floty. – Do tej pory komputery zdążyły przeliczyć dane dotyczące dwudziestu trzech z nich. Za dwie doby będziemy dysponowali kompletem wyników, ale tak naprawdę to niewiele zmieni. Wskażemy po prostu jedną z dwunastu wytypowanych gwiazd.

Chwilowe megazbliżenie pozwoliło gościom przyrzeć się dokładnie zabarwionemu na czerwono kulistemu obszarowi, w którego wnętrzu znajdował się wspomniany tuzin systemów.

– Bez względu na to, w którym z nich ukryli się Obcy – Henryan przejął płynnie pałeczkę – stoimy w obliczu bardzo poważnego problemu. Dotarcie w tamten rejon zajmie naszym zespołom uderzeniowym co najmniej osiemset godzin...

– Przepraszam. – Tym razem przerwał mu Sotomayor. – Wiem, słyszałem, co przed chwilą obiecali moi szanowni koledzy, niemniej... – Uniósł ręce w charakterystycznym geście. – Z całym szacunkiem, ale choć ukończyłem studia naprawdę dawno temu, dysponuję wciąż wiedzą pozwalającą mi na zakwestionowanie pańskich wyliczeń, generale majorze.

– Których? – zapytał spokojnie Świącki, zauważając nerwowe poruszenie pani kanclerz.

Dla niej była to nie tylko odprawa z najważniejszymi dowódcami, lecz także próba sił, konfrontacja z wewnętrznym wrogiem. Każda wpadka ludzi Farlanda mogła odbić się na jej notowaniach, a opozycja tylko czekała, by przyłapać wojskowych na kłamstwie albo przeinaczeniu faktów.

– Nie mam zastrzeżeń do metod namierzania bazy wypadowej Obcych – zaczął ostro przewodniczący Partii Wolności – ale wiem jedno: nie jesteście w stanie określić czasu trwania takiej wyprawy, i to nawet w dużym przybliżeniu. Mówimy o locie mierzonym w kilkudziesięciu, jeśli nie stu skokach, w dodatku przez niezbadane do tej pory terytoria, co oznacza

każdorazowe szukanie właściwej drogi metodą prób i błędów, a tych może być tak wiele, że miną miesiące, a może wręcz lata, zanim nasze okręty dotrą do tej gromady kulistej. – Wskazał skupisko gwiazd, pośrodku którego widniała maleńka czerwona sfera.

– Myli się pan, senatorze – zapewnił go Święcki, sięgając do klawiatury. – Gdyby pozwolił mi pan dokończyć, dowiedziałby się pan o Programie Kometa, w ramach którego nasz korpus badawczy wysłał sondę w kierunku łącznika z Ramieniem Perseusza. Dotarcie do celu zajęło jej trzy lata i osiem miesięcy...

– Niesłychane! – wtrącił się Nbotó, który zwietrzył okazję do dokopania obecnie rządzącym. Tak naprawdę powinien milczeć, ponieważ mierzył nie w MODO, lecz w kanclerza z własnego ugrupowania, który stał na czele Rady, gdy rozpoczynano i kończono wyprawę poza granice znanego wszechświata. – Dlaczego zatajono przed opozycją tak ważne informacje?

– Może dlatego – odparła lodowatym tonem obecna przewodnicząca Rady – że misja nie ujawniła niczego, czym można by się pochwalić, a pańska partia bardzo nie lubi rozliczać się z chybionych inwestycji.

– Co takiego?! – Mało brakowało, a stary polityk zerwałby się z fotela.

– Proszę sobie przypomnieć, kto rządził w roku 2306, kiedy wdrażano Program Kometa – warknęła gniewnie pani kanclerz. – Mogę pana zapewnić, że na pański wniosek przyjrzymy się skrupulatnie tej sprawie. Kto wie, co jeszcze zamietliście pod dywan.

– Możemy wrócić do właściwego tematu? – poprosiła ugodowym tonem Yilmaz.

– Nie widzę przeszkód. – Tryumfująca MODO machnęła ręką w kierunku wojskowych.

– Dziękuję. – Henryan nacisnął klawisz, aktywując kolejną animację.

Pośród gęstwiny lśniących zółcią punkcików pojawiła się cienka niebieska linia, która posuwała się od gwiazdy do gwiazdy, za każdym razem rozszczepiając się na moment jak najprawdziwsza błyskawica, lecz po chwili już tylko jeden z odcinków był aktywny, pozostałe, oznaczające ślepe zaułki, gasły

szybko. Trasa sondy sięgała coraz dalej, wreszcie minęła w nieznaczonej odległości czerwoną sferę, by jakiś czas później dotrzeć do krańca wyświetlanego wycinka ramienia.

– Jak państwo widzicie, posiadamy bardzo dokładny plan studni grawitacyjnych wiodących do pasów sąsiadujących z interesującą nas gromadą kulistą. – Świątki powiększył mapę tak, by zebrani widzieli wyłącznie przestrzeń bezpośrednio otaczającą czerwoną sferę. – Podana przeze mnie liczba ośmiuset godzin uwzględnia czas potrzebny na dotarcie do systemów znajdujących się w pobliżu namierzonej bazy Obcych oraz szacunkowe wyliczenia długości poszukiwań dalszej drogi, wymagających wykonania około stu pięćdziesięciu skoków, które to poszukiwania dzięki zestawowi najprostszych sond będzie można prowadzić równolegle, skracając tym samym czas ich trwania do niespełna dwustu czterdziestu godzin.

Sotomayor skinął sztywno głową, jakby zaakceptował te wyliczenia, lecz nie przeprosił Henryana za przerwanie wywodu.

– Teraz druga kwestia... – Farland wykorzystał moment ciszy, by zapowiedzieć następny element prezentacji. – Jakim cudem liniowce Obcych docierają do nas w niecałe czterdzieści godzin?

Rutta uruchomił przekaz znany wszystkim uczestnikom tego spotkania, z wyjątkiem opozycjonistów rzecz jasna.

Mapa zniknęła i zastąpił ją panoramiczny obraz poboju, w jakie zamieniła się strefa skoku na Sankt Petersburgu. W polu widzenia przez dłuższą chwilę znajdował się wrak jednego ze zniszczonych pancerników. Jego wrzecionowaty kadłub został rozpruty dziesiątkami bezpośrednich trafień promieniem lasera. Większość cięć była długa i głęboka. Wtórne eksplozje rozwarły niektóre rany szeroko, doprowadzając do tego, że smukły i niegdyś piękny okręt przeistoczył się w bezkształtną masę złomu, który dryfował w pustce otoczony z wolna rozpraszającymi się obłokami drobniejszych szczątków.

Nboto posłał pytające spojrzenie najpierw w kierunku Modo, a potem

wielkiego admirała.

– To początkowy fragment nagrania sondy hybrydowej – wyjaśnił Rutta, gdy tylko zauważył reakcję senatora. – Za moment uszkodzona jednostka Obcych opuści pole bitwy – dodał, uprzedzając fakty. Obraz nagle się rozmył, zniknęło wszystko, pozostała wyłącznie czerń. – Tutaj następuje cięcie – poinformował generał. – Nie będziemy was zanudzać relacją z trwającego niemal czterdzieści godzin lotu przez trzy kolejne systemy. Skupimy się za to na finalnym etapie tej podróży, a w zasadzie na jego końcówce... – Zamilkł, by zebrani mogli przyjrzeć się w spokoju reszcie przekazu.

Na hologramie znów zapłonęło mrowie gwiazd. Na pierwszym planie znajdował się owal jakiejś planety – sądząc po kolorystyce i niesamowitych, wręcz abstrakcyjnych kształtach pokrywających jej powierzchnię, musiał to być gazowy olbrzym.

– Patrzymy na Deltę Utopii VII – wyjaśnił Rutta. – Z tego systemu Obcy wyruszyli do ataku na Rwandę. Proszę teraz o uwagę! – Palcem wskazał lewy skraj ekranu.

W oddali pojawił się dziwny kształt. T'iru zaczęły zmieniać kurs, by do niego podejść. Cięcie. Tym razem obiekt był widoczny ze znacznie mniejszej odległości i sprawiał naprawdę dziwne wrażenie. Rutta zatrzymał projekcję, by zaprezentować kolejny element animacji. Gwiazdy zniknęły, na ich miejscu senatorowie zobaczyli obracający się powoli model obcej jednostki, która wyglądała jak bardzo długi prostopadłoscian. Im dłużej na nią patrzyli, tym bardziej byli pewni, że mają przed sobą idealną bryłę geometryczną.

– Nazwaliśmy go *Oumuamua*, na cześć odkrytej ponad trzy wieki temu asteroidy, która wprowadziła ówczesnych mieszkańców Ziemi w podobne zdziwienie. Właśnie ze względu na intrygujący, podłużny, choć znacznie mniej regularny kształt. – W osobnym oknie pojawił się na moment wizerunek wspomnianego ciała niebieskiego. Świąćki zadbał o to, by przedstawieniu nic nie zabrakło. – Jednostka ta jest odpowiednikiem naszego rdzeniowca, czy też eskadrowca, jak nazywamy okręty tej klasy używane obecnie przez flotę –

kontynuował tymczasem Rutta. – Za chwilę zobaczycie państwo moment dokowania, niestety mało widowiskowy, ponieważ sonda hybrydowa przywarła do bocznej części kadłuba, a liniowce łączą się z nosicielem pod kątem prostym. – Senatorowie zerknęli na symulację omawianego procesu. – A teraz najciekawsze – odezwał się znów Rutta, nie kryjąc ekscytacji. Przestrzeń otaczająca *Oumuamua* i przyczepione do niego t'iru uległa zmianie. Zdumieni politycy wzdrygnęli się, gdy dotarło do nich, że na miejscu gazowego olbrzyma, zajmującego do tej pory niemal trzecią część wyświetlacza, pojawił się gęsty kobierzec gwiazd. – Tak właśnie Obcy docierają do swojej bazy. Czterdzieści godzin zabiera im lot od transportowca do celu albo powrót. Resztę dystansu pokonują w mgnieniu oka.

Generał cofnął nagranie i puścił ostatni fragment raz jeszcze, spowalniając odtwarzanie tysiąckrotnie, by tym razem każdy mógł przyjrzeć się naprawdę dobrze. Przestrzeń pomiędzy tarczą planety a korpusem sąsiedniego t'iru upstrzona była gwiazdami, które nie drgnęły przed rozlewającym się wokół sondy błyskiem, a ten, nawet przy tak wielkim spowolnieniu, trwał nie dłużej niż przysłowiowe okamgnienie. Gdy ekran wyświetlacza ponownie ściemniał, w tle znajdowały się zupełnie inne konstelacje, a po gazowym gigancie nie pozostał nawet ślad.

– Nie mamy bladego pojęcia, na jakiej zasadzie działa ten napęd. – Grobową ciszę, która zapadła po tej części prezentacji, przerwała dość bezceremonialnie Rosabrina van Dijk. – Mówię to z prawdziwą przykrością, jako naukowiec z trzydziestoletnim stażem i osoba, która współpracowała z profesorem Dicksonem nad trzecią generacją napędu nadświatelnego.

Profesor Szlomo kiwnęła głową. Nie musiała nic mówić, by stało się jasne, że powołany przez nią zespół także nie doszedł do żadnych sensownych wniosków.

– Niemniej otrzymaliśmy dowód, że Obcy dysponują technologią pozwalającą im na błyskawiczne przerzucanie okrętów – podjął Rutta. – Nie wiemy, na jakiej zasadzie działa ten napęd, nie wiemy, jaki ma zasięg, ale możemy założyć jedno: to technologia... obca nawet dla Obcych.

Po drugiej stronie stołu zawrzało. Zaskoczenie okazali nie tylko opozycjoniści, ale też wtajemniczeni członkowie Rady. Nawet Modo drgnęła, jakby coś ją ukłuło. Rutta musiał przyznać, że pani kanclerz jest doskonałą aktorką.

– Proszę o odrobinę cierpliwości, zaraz wyjaśnię, skąd to przekonanie. – Generał odczekał, aż politycy się uspokoją. – Proszę raz jeszcze spojrzeć na kształt tej jednostki i porównać ją z każdym okrętem Obcych, jaki udało nam się przechwycić bądź zaobserwować.

Wokół hologramu „rdzeniowca” pojawiły się wizerunki przeróżnych statków – od tych najmniejszych, zdobytych na Ulietcie, przez te znane ze szkiców Nike’a, po t’iru i wszystko to, co zaobserwowano na Zerze (jak nazwano roboczo nienamierzony jeszcze system).

Prelekcję podjęła na dyskretny znak Rutty profesor komandor van Dijk.

– Jak państwo zauważyliście, to całkowicie odmienna konstrukcja. Same kąty proste, absolutny minimalizm. To naprawdę ciekawe, ponieważ każda inna jednostka, jaką dysponują Obcy, pasuje do wspólnego wzorca.

System wyciął z prezentowanych okrętów – oczywiście oprócz samego *Oumuamua* – po sześć elementów, które następnie nałożył na siebie, by uwydatnić podobieństwa konstrukcyjne.

– Analiza spektralna także wykazała szereg istotnych różnic – oznajmił Rutta, dodając do wyświetlanych obrazów stosowne wykresy. – To bez wątpienia dzieło innej, znacznie bardziej zaawansowanej cywilizacji.

– Czy mogę? – Sotomayor spojrzał na Farlanda.

– Proszę – mruknął niechętnie wielki admirał.

– Chce pan powiedzieć, że wkrótce możemy mieć do czynienia nie tylko z tymi Obcymi, ale także z inną, znacznie bardziej od nich zaawansowaną cywilizacją?

– To możliwe – przyznał Rutta, wyręczając przełożonego – chociaż naszym zdaniem bardzo mało prawdopodobne.

– Skąd takie przypuszczenie? – zainteresował się Nbotó.



– Doszlibyśmy do tego w dalszej części prezentacji, ale myślę, że wcześniejsze wyjaśnienie poruszonej przez pana kwestii wyjdzie nam tylko na dobre – odparł spokojnie generał. – Sonda dostarczyła nagrania dokumentujące jej trzymiesięczny pobyt w Systemie Zero, jak roboczo nazwaliśmy lokalizację bazy Obcych. Wszystkie przekazy zostały dokładnie sprawdzone przez zespoły najlepszych analityków admiralicji i sztabu trzeciego metasektora, jak również przez najbardziej zaawansowane systemy komputerowe, jakimi obecnie dysponujemy. Wszystko to w tym celu, aby wykluczyć możliwość przeoczenia choćby najdrobniejszego szczegółu. Dzięki tym wysiłkom uzyskaliśmy absolutną pewność, że w ciągu dziewięćdziesięciu dni do obserwowanego systemu nie dotarła żadna jednostka, jeśli nie liczyć wracających z naszego terytorium liniowców. Pomijając warstwę wizualną nagrań, nie wykryliśmy ani jednej anomalii grawitacyjnej, ani jednego rozbłysku promieniowania charakterystycznego dla skoków podprzestrzennych, nie było też punktowych odkształceń czasoprzestrzeni towarzyszących odlotom i przyłotom nowo odkrytej jednostki. Nie wiemy jeszcze dlaczego, ale wszystko wskazuje na to, że Obcy nie chcą, by inne cywilizacje dowiedziały się o ich zaangażowaniu w konflikt z nami.

W tym punkcie Rutta skłamał, ponieważ Modo zażądała, by nie ujawniać jej politycznym rywalom informacji na temat prawdziwych powodów wybuchu tej wojny. Dla nich, podobnie jak dla opinii publicznej, miała istnieć tylko jedna, oficjalna wersja zdarzeń, w której ludzkość nie ma pojęcia, dlaczego jest atakowana.

Farland, przemyślawszy sprawę, poparł panią kanclerz, choć nie bez zastrzeżeń. Jego zdaniem wyjawienie prawdy ułatwiłoby zawarcie porozumienia ponad podziałami, niemniej rozumiał, skąd się bierze chorobliwa wręcz podejrzliwość przewodniczącej Rady. Z jej perspektywy ta wojna toczyła się na co najmniej dwóch frontach – do niedawna nawet trzech – zatem dawanie przewagi wrogom, którzy od chwili zawarcia nowego sojuszu byli także jego przeciwnikami, nie miało większego sensu, a co więcej, z pewnością nie było

konieczne.

– Nadal uważam, że wysuwacie zbyt daleko idące wnioski – upierał się Sotomayor.

– A ja twierdzę, że specjaliści z zespołu profesor komandor van Dijk, podobnie jak ludzie profesor Szlomo, mają w tym przypadku rację – odparł hardo wielki admirał. – Proszę wysłuchać generała do końca, potem będzie czas na dyskusję.

– Dobrze, ale wrócimy do tego tematu – zastrzegł szef Partii Wolności.

– Jak pan sobie życzy. Generale...

– Dziękuję, wielki admirale.

Rutta przeszedł do kolejnego punktu prezentacji. Wizerunki jednostek zniknęły, zastąpił je widok tej części systemu, którą sonda „widziała” podczas holowania do doku. Konstrukcję tę nazywano orbitalnym dokiem tylko dlatego, że pełniła podobną funkcję jak instalacje w stocznich budowanych przez człowieka, ale na tym wszelkie podobieństwa się kończyły. Gigantyczny obiekt składał się z kulistego centrum o średnicy około kilometra i pęku wyrastających z niego grubych odnóży zakończonych wklęsłymi czaszami idealnie pasującymi do dziobowych części t’iru.

Sonda, zgodnie z planem, oddzieliła się od kadłuba uszkodzonego liniowca, zanim ten zespolił się – takiego określenia użyła van Dijk – z dokiem. Przez kolejne dziesięć tygodni orbitowała razem ze stoczną, okrążając pobliską planetę, by powrócić na swoje miejsce, gdy skomplikowany remont dobiegł końca. Warto nadmienić, że proces naprawy, określany przez naukowców z obu zespołów mianem regeneracji, wyglądał naprawdę niesamowicie. Ledwie dziób t’iru przyłgął do czaszy doku, z jej kryzy wysunęły się dziesiątki węzowatych, mechanicznych macek, które wijąc się nieustannie, omiatały uszkodzenia znajdujące się w środkowej i tylnej części kadłuba. Dość szybko stało się jasne, że ramiona te są odpowiednikami federacyjnych drukarek – w każdym razie zasada ich działania wydawała się bardzo podobna.

Każde z tych urządzeń namnażało komórki pancerza, dążąc do zasklepienia

wypalonych turbolaserami szczelin i wybitych eksplozjami otworów. Proces regeneracji był niezwykle żmudny, ale mniej więcej po tygodniu kadłub uzyskał ponownie pełną szczelność. Jednakże naprawiony t'iru nie wrócił w przestrzeń. Pozostał w doku przez kolejne siedemdziesiąt dwa dni, nieruchomy, jakby martwy. Orbitująca w pobliżu doku sonda rejestrowała stan nosiciela dzień po dniu aż do momentu odcumowania, który nastąpił po wielu tygodniach. Dzięki temu naukowcy zyskali sporo materiału pozwalającego im na rozwikłanie zagadki.

– Prawidłowa interpretacja tego etapu prac nastęczyła nam problemów – wyznał Rutta. – Z czasem zyskaliśmy pewność, że liniowce Obcych muszą być hybrydami. Widzieliście państwo przed chwilą, jak uszczelniano ich zewnętrzne szkielety, lecz proces regeneracji zaczął się tak naprawdę w momencie wycofania ramion drukarek. Proszę spojrzeć tutaj... – Holoprojektor wyświetlił zbliżenie jednego z zasklepionych miejsc, na linii łączenia nowego i starego poszycia. Powiększenie rosło systematycznie, pozwalając zebrany dostrzec różnice w wyglądzie obu stron. Aby nie marnować czasu, projekcję przyśpieszono tysiąckrotnie. – Zwracam państwa uwagę na barwę namnożonej części pancerza. Ciemniej ona bardzo powoli, wręcz niezauważalnie, nic więc dziwnego, że można to spostrzec dopiero przy wielkim przyśpieszeniu... – Odczekał dłuższą chwilę, by każdy z polityków wypatrzył zmiany w kolorze, o których mówił, po czym zakończył dobitnie: – Uwolnienie remontowanego t'iru z doku nastąpiło wtedy, gdy jego poszycie nabrało jednolitego odcienia. – Zatrzymał nagranie, kiedy powierzchnia liniowca wydawała się idealnie tej samej barwy.

– One nie mają metalowego poszycia? – zdziwił się Nbotó.

– Mają, ale... – zaczął Rutta, jednakże zaraz zamilkł. Zabrakło mu słów, by wyjaśnić ten fenomen.

Wyřęczyła go van Dijk.

– To jest organiczny metal.

– Nie ma czegoś takiego jak organiczny metal – zaprotestował Sotomayor.

– Nie ma też napędu, który pozwala na pokonanie setek lat świetlnych w ciągu sekundy – wtrącił rozbawiony uwagą przedmówcy Bhaduri. – Zapewniam pana, senatorze, że patrzy pan na związek łączący w niezrozumiały dla nas sposób cechy klasycznego metalu i żywej tkanki.

– Niemożliwe!

– A jednak prawdziwe. – Rutta udostępnił szefowi Partii Wolności wyniki niektórych badań, by zamknąć temat. – Nie skupiajmy się na tym problemie, proszę – dodał szybko. – To naprawdę najmniej istotny aspekt sprawy. Proszę spojrzeć na to...

Hologram przedstawiał teraz owal planety tlenowej i otaczającą ją przestrzeń. System podświetlił jeden z punktów wyglądających jak najzwyklejsza, choć dość jasna gwiazda. Szybkie kilkustopniowe powiększenie tego wycinka kosmosu uświadomiło tym, którzy tak pomyśleli, jak bardzo się mylą. Na orbicie Alfy Zero znajdowała się jeszcze jedna stocznia, bliźniaczo podobna do tej, w której remontowano uszkodzone na Sankt Petersburgu t'iru. Jedyne różnica polegała na tym, że we wszystkich jej osiemnastu dokach widać było kadłuby liniowców.

– Oni walczą nie tylko z nami? – wymamrotała zaskoczona Yilmaz.

– Niezupełnie – odparł rozbawionym tonem Farland.

Zastępczyni Nbotu posłała mu zdziwione spojrzenie.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, że to wy zadaliście im tak wielkie straty.

– To nie są uszkodzone liniowce – poinformował ją Rutta, sięgając do klawiatury. System wybrał jeszcze trzy punkty, które po powiększeniu okazały się identycznymi instalacjami. – To inkubatory...

– Mówiąc po ludzku, patrzycie państwo na budowane... czy też raczej hodowane przez wroga okręty wojenne. – Van Dijk wpadła w słowo generałowi.

– Czy to znaczy... – wydukał z trudem Nbotu.

– Tak – odpowiedział Farland. – Sądząc po barwie panczerzy tych jednostek, za niespełna dwa miesiące Obcy rzucą przeciw nam ponad pięćdziesiąt nowych liniowców, a to jeszcze nie koniec niespodzianek. Przeszukując dokładniej

przestrzeń wokół Alfry, wypatrzyliśmy dwa kolejne inkubatory, na nasze szczęście jeszcze nieczynne, ale radzę pamiętać, że sonda dała nam podgląd na zaledwie czterdzieści sześć procent przestrzeni otaczającej tę planetę. Nie mamy zatem bladego pojęcia, ile tam jeszcze jest takich inkubatorów ani ile z nich działa. Niewykluczone, że Obcy już wkrótce rzucą przeciw nam dwa, a może nawet trzy razy tyle okrętów co na początku.

– Dwieście liniowców... – jęknął Sotomayor.

– Albo trzysta – przebił Farland. – Tak, panie i panowie senatorowie. Dotychczasowe ataki są zaledwie przedsmakiem koszmaru, jaki Obcy szykują Federacji – dokończył zimnym jak stal tonem, przyglądając się uważnie siedzącym naprzeciw politykom.

Wierchuszka Rady wiedziała o tym odkryciu, poczynionym już jakiś czas temu przez pracujący dla Modo zespół analityków, wielki admirał nie dziwił się więc zbytnio jej chłodnym przyjęciem tej akurat informacji. Zaskoczeniem dla niego była natomiast reakcja reszty zabranych, którzy bardzo szybko wzięli się w garść. Farland błyskawicznie zrozumiał, że ma przed sobą prawdziwych zawodowców, podstępnych twardzieli, którzy zjedli zęby na uprawianiu polityki. Chociaż świadomość rozmiarów zagrożenia musiała ich przytłaczać, zdołali ukryć swoje uczucia za maskami kamiennych twarzy.

– Skoro mamy już pełną jasność w tej materii, może przejdziemy do najważniejszego pytania – zaproponowała Modo, trzymając się wcześniej ustalonego planu. – Czy w obecnej sytuacji jesteśmy w stanie podjąć jakiegokolwiek skuteczne działania przeciwko wrogowi?

– Tak, pani kanclerz, mamy szansę na odniesienie zwycięstwa – zapewnił ją Farland. – Niezbyt wielką, ale zawsze... Generale majorze.

Święcki uruchomił projekcję.

– Po szczegółowej analizie dostarczonych nam materiałów osiągnęliśmy konsensus, że jedynym sposobem na pokonanie wroga będzie zniszczenie jego bazy – zdradził plan dowództwa. – Zacznijmy jednak od porównania sił. Obcy posyłają na nasze terytorium od trzydziestu sześciu do czterdziestu dwóch

liniowców naraz. Kolejne sześć do dwunastu pozostaje w Systemie Zero, powiedzmy, że w rezerwie. W sumie nasi przeciwnicy posiadają ponad pięćdziesiąt okrętów wojennych tej klasy, nie licząc tych, które znajdują się w inkubatorach. Federacja natomiast dysponuje w chwili obecnej szesnastoma pancernikami piątej generacji, czterdziestoma dwoma czwórkami i czterdziestoma trójkami. Tak to wygląda z perspektywy czystej statystyki. Prawda niestety jest nieco bardziej bolesna. Gdybyśmy ściągnęli na Rubież Wewnętrzne wszystkie sprawne pancerniki trzeciej i czwartej generacji, co jest praktycznie niewykonalne, na front trafiłoby tylko dwadzieścia sześć czwórek i dwadzieścia jeden trójek. To niemało, lecz... – zawiesił znacząco głos – ...lecz musimy pamiętać, że prawie jedna trzecia tych okrętów nie sprostałaby wymogom pola walki. Mówiąc wprost, to najzwyklejsze kupy złomu, których nie wycofano dotąd z użytku, ponieważ wciąż nadają się do brania udziału w okolicznościowych paradach.

Henryan umilkł i potoczył wzrokiem po zebranych, jakby chciał się upewnić, że przekazane przez niego informacje przebiły się do ich świadomości.

– Kolejna sprawa – podjął po chwili milczenia. – Zapowiadany z takim szumem program modernizacji okrętów czwartej generacji dopiero startuje. Do dzisiaj stocznie zdążyły wyremontować zaledwie siedem pancerników, kolejne osiem stoi w dokach, a reszta bądź przechodzi ewaluację, bądź czeka na swoją kolej. Podsumowując... – Wyświetlił stosowną tabelę. – Gdybyśmy chcieli zmienić bieg tej wojny już teraz, ponieśliśmyby sromotną klęskę. Na zlecenie wielkiego admirała przeprowadziliśmy około tysiąca symulacji zakładających użycie wszystkiego, czym dysponujemy, i to w rozmaitych zestawieniach, jednakże żadna z nich, podkreślam: żadna nie zakończyła się choćby połowicznym sukcesem Federacji.

– Czy moglibyśmy zapoznać się z tymi symulacjami? – rzucił zaczepnym tonem Sotomayor.

– Oczywiście. – Rutta wpisał szybko komendę, po czym na komunikatorach zebranych pojawiły się pliki z zapisami wszystkich symulacji, o których była

mowa.

Modo spodobał się pomysł zaprezentowania rywalom tysiąca godzin pogromów, jakie t'iru mogą urządzić obecnym siłom Farlanda, nawet jeśli te zostaną wzmocnione kontyngentami z sąsiednich metasektorów.

Niech się napatrzą, pomyślała nienawistnie, niech poczują, co to strach.

– Dziękuję... – wymamrotał polityk, który nie spodziewał się, że ktoś spełni jego prośbę. Ilekroć bowiem zwracał się do admiralicji o podobne materiały, zawsze słyszał stanowczą odmowę. A tu proszę, dostał wszystko, natychmiast.

– Zapewniam, że zapoznamy się z tymi materiałami w dogodniejszym terminie. – Nboto wykorzystał zmieszanie kolegi. Zwracając się zaś do Farlanda, dodał: – Proszę kontynuować. Jestem ciekaw szczegółów pańskiego planu, wielki admirale.

– Generale majorze! – Farland przekazał pałeczkę podwładnemu.

– Tak jest. – Święcki strzelił obcasami. – Jeśli chcemy zwyciężyć, musimy podzielić nasze siły na dwa zgrupowania. Zadaniem pierwszego będzie uderzenie na System Zero w czasie, gdy większość liniowców wyruszy na Rubieżę. Drugie zgrupowanie, podzielone na osiem flotylli, zaatakuje równocześnie wrogie eskadry operujące na naszym terytorium. – Przed twarzami zasłuchanych polityków wykwitły nowe zestawienia. – Na System Zero musimy wysłać co najmniej dwa eskadrowce, ponieważ z nagrań dostarczonych przez sondy wiemy, że Obcy trzymają w odwodzie od sześciu do nawet dwunastu okrętów, nie licząc rzecz jasna remontowanych jednostek i tych, które znajdują się w inkubatorach. Dwa eskadrowce to absolutne minimum. Jeśli do bazy wypadowej Obcych trafią mniejsze siły, grozi nam klęska na całej linii. – Zacerpnął tchu. – Co nam zatem zostanie do obrony Rubieży? Cztery piątki, piętnaście czwórek, z czego tylko siedem zmodernizowanych, i siedemnaście trójek. Jeżeli podzielimy je na osiem zespołów, jak wymaga strategia, sytuacja zrobi się nieciekawa.

– Sugeruję zapoznanie się z przebiegiem symulacji numer siedemset cztery do siedemset osiemdziesiąt dwa – wtrącił Rutta.

– To nagrania najlepiej obrazujące skalę problemu – poparł go Święcki. – Proszę sobie wyobrazić: w każdym zespole uderzeniowym mamy jedną piątkę, jedną czwórkę i dwie trójki bądź dwie zmodernizowane czwórki i dwie trójki. To stanowczo za mało, jeśli chcemy nawiązać równorzędną walkę z czterema lub nawet pięcioma liniowcami wroga naraz. Gdybyśmy zaangażowali większość posiadanych krążowników i niszczycieli, to i tak... – Ugryzł się w język, powstrzymując cisnące mu się na usta słowa o rzeczywistej wysokości strat.

Oficjalnie obie formacje radziły sobie nadzwyczaj dobrze, co politycy z pewnością wytkną, gdy zaczną zadawać pytania. Henryan przygotował się jednak na taką ewentualność.

– Panie i panowie senatorowie – zwrócił się ponownie do swego audytorium. – Zespoły analizujące naszą obecną sytuację, zarówno z ramienia admiralicji, jak i sztabu trzeciego metasektora, doszły do jednobrzmiących wniosków: w chwili obecnej nie mamy najmniejszych szans na powstrzymanie inwazji. Z tego też powodu chcielibyśmy zasugerować następujące rozwiązanie: trzeba maksymalnie przyśpieszyć prace nad budowanymi i remontowanymi jednostkami, a także bezwarunkowo przerzucić wszystkie w pełni sprawne pancerniki poprzednich generacji z innych metasektorów, co pozwoli na wyśrubowanie liczebności zespołów uderzeniowych. Jeśli Rada wyrazi zgodę na oba te posunięcia, za czterdzieści dwa dni będziemy gotowi do podjęcia skutecznego kontruderzenia.

– To ma być wasz plan? – zapytała oschłym tonem Modo.

– Tak – odparł Farland. – Przedstawiliśmy jedyne rozwiązanie, które gwarantuje nam szansę na zwycięstwo.

– To, o co pan prosi, wielki admirale, jest niewykonalne – oznajmił po chwili wymownego milczenia Kaup. – Przerzucenie wszystkich sprawnych pancerników na Rubieże Wewnętrzne pozostawi znaczną część naszego terytorium bez należytej osłony.

– Metasektory w zewnętrznej części ramienia nie są przecież atakowane – obruszył się Farland. – Mówimy o systemach leżących trzy tysiące lat



światłych od obecnego pola walki. Obcy nie dotrą tam nawet za dekadę.

– Nie tylko oni stanowią realne zagrożenie dla integralności Federacji. – Modo łypnęła na siedzących opodal konkurentów. – Przekonaliśmy się o tym bardzo boleśnie podczas wojny domowej.

– Z całym szacunkiem, pani kanclerz – zachnął się Nbotó – ale nie jesteśmy samobójcami. Jeśli obraz namalowany przez sztab trzeciej floty odpowiada prawdzie, a nie wątpię, że tak jest, nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie próbował sabotować waszych wysiłków.

– Słowa. Puste słowa – prychnął Benadetto. – Zmienieć zdanie, gdy tylko wyczujecie krew.

– Przepraszam, ale chyba pomylił mnie pan ze swoimi partyjnymi kolegami – odciął się jadowicie Sotomayor.

– Ty skur... – warknął skarbnik, ale nie dokończył, zmiażdżony ostrym spojrzeniem Modo.

– Dość! – Pani kanclerz powiodła wzrokiem po zebranych. – Jeśli przegramy tę wojnę, nie będzie czym rządzić, więc uprzejmie proszę, abyście przestali bez przerwy sprawdzać, który ma większe przyrodzenie.

Nbotó usadził szykującą się do riposty koleżankę:

– Skoro obawiacie się ciosu w plecy, mogę dać wam słowo honoru, że powstrzymamy się od wszelkich działań godzących w Radę aż do zakończenia działań bojowych, o których tu mówimy... Myślę, że mój szanowny kolega z Partii Wolności postąpi podobnie – dodał, odwracając się do Sotomayora.

– Oczywiście.

– Zanim jednak złożymy jakiegokolwiek obietnice, chcielibyśmy zadać wielkiemu admirałowi kilka pytań – doprecyzował lider zjednoczonej opozycji.

– Proszę bardzo. Wyjątkowo nie mamy tym razem nic do ukrycia – zakpił Kaup.

– Słowa. Puste słowa – skomentowała Yilmaz, zanim ktokolwiek zdołał ją uciszyć.

– Panie i panowie senatorowie, proszę! – Farland po raz pierwszy podniósł

głos, ucinając dojrzewającą właśnie awanturę. – Jeśli nie dojdziemy dzisiaj do porozumienia ponad podziałami, za kilka miesięcy żadne z nas nie będzie miało kim ani czym rządzić.

– Celem Obcych jest wymazanie ludzkości z mapy wszechświata – dodał pośpiesznie Święcki. – Nie wyręczajmy ich w tym niewdzięcznym zadaniu.

– Zadziwiająco mądre słowa jak na tak młodego człowieka – przyznał Nbotó, którego także poirytowało zachowanie skośnookiej zastępczyni. – A skoro już rozmawiamy, generale majorze, proszę mi powiedzieć, dlaczego czterdzieści dwa dni, a nie... powiedzmy... pięćdziesiąt pięć albo trzydzieści siedem?

– Dokładne wyliczenia znajdzie pan w załączniku numer 3487/3/55.

– A mówiąc żołnierskim skrótem?

– To najwcześniejszy, a zarazem najpóźniejszy termin możliwego ataku. Najwcześniejszy, ponieważ do tego czasu zdążymy zmodernizować kolejne szesnaście czwórek, a także ściągnąć wszystkie jednostki operujące obecnie w ostatnich pasach Rubieży Zewnętrznych. Najpóźniejszy, ponieważ nasi analitycy wyliczyli, że liniowce podłączone obecnie do inkubatorów uzyskają pełną gotowość bojową za nie więcej niż czterdzieści pięć dni.

– Oceniono to na podstawie zmian odcienia ich pancrzy? – uściślił polityk.

– Tak. Niestety nie dysponujemy obecnie lepszą metodą weryfikacji tych danych.

– A jeśli się mylicie? Co się stanie, gdy nasze eskadrowce dotrą do celu i natrafią na kilkadziesiąt liniowców wroga?

– Moi ludzie zawsze wykonują powierzone im zadania. – Farland uniósł się honorem. – Nawet jeśli nie będą mieli szans na wygraną, spróbują zniszczyć tyle jednostek wroga, ile się da w tej sytuacji, a co ważniejsze, unicestwią część albo nawet wszystkie doki.

– Czy wycofanie tych eskadrowców nie byłoby sensowniejsze? – zainteresował się lider opozycji.

– Po pierwsze – odpowiedział mu Święcki – nie mamy żadnej pewności, że wróg nie przejmie ich podczas lotu powrotnego. Błyskawiczne przerzucanie

dużych sił w dowolny punkt pomiędzy Systemem Zero a Rubieżami daje Obcym taką możliwość, dlaczego więc nie mieliby z niej skorzystać? Po drugie tylko eliminacja doków, czy też inkubatorów, da nam nadzieję na zminimalizowanie dalszych strat. Pięćdziesiąt, a może i sto nowych liniowców, które pojawią się na Rubieżach już za niespełna dwa miesiące, pozwoli wrogowi na znaczne zwiększenie zasięgu i tempa ataków.

– Rozumiem. – Nboto złożył dłonie w piramidkę, jakby się nad czymś zastanawiał. – Jeszcze jedno pytanie, jeśli można.

– Słuchamy.

– Dlaczego musimy koniecznie zaatakować wszystkie liniowce, które trafią na nasze terytorium? Nie wystarczy uderzyć na kilka takich eskadr i na pewno je rozgromić, zamiast ryzykować utratę wielu okrętów bez zadowalających efektów? – Polityk wskazał okno komunikatora, na którym wyświetlane były statystyki podsumowujące jedną z symulacji.

– To proste – odparł Święcki. – Nie możemy dopuścić, by te liniowce powróciły na System Zero.

– Zniszczcie ten ich rdzeniowiec, a utkną po naszej stronie na długie miesiące – zaproponował Sotomayor.

– Gdyby to było takie łatwe, jak się panu wydaje... – Henryan westchnął ciężko. – Jest pan cywilem, senatorze, spróbuję zatem wyjaśnić problem w zrozumiałym dla laika sposób. Wyjdziemy z nadprzestrzeni dwadzieścia osiem minut świetlnych od bazy Obcych. Przy odrobinie szczęścia wykryją naszą obecność dopiero po pół godzinie, choć bardziej prawdopodobne jest, że monitorują strategicznie ważne obszary systemu, tak jak my to robimy. W najkorzystniejszym dla nas przypadku będą mieli ponad sto dwadzieścia minut na ewentualną reakcję. Eskadrowiec czasoprzestrzenny, jak go roboczo nazwaliśmy, potrzebuje co najwyżej minuty na wykonanie skoku. Tak to przynajmniej wygląda na nagraniach dostarczonych przez sondę. Nie widzę więc możliwości, abyśmy zdołali go zniszczyć. A jeśli odleci i podejmie wracające z akcji liniowce, nasze zespoły uderzeniowe znajdą się w matni. Stracimy je bez

dwóch zdań...

– Proszę nie przesadzać. Te pancerniki mogą w każdej chwili wykonać skok podprzestrzenny – zauważyła przytomnie Yilmaz.

– Owszem, mogą uciec z zagrożonego systemu, ale co dalej? Wystarczy, że Obcy zablokują kilkanaście pobliskich stref skoku. Założyliśmy taki właśnie scenariusz w symulacjach od siedemset osiemdziesiątej trzeciej wersja B do osiemset drugiej wersja B. Jedynym sposobem na ocalenie tych okrętów byłoby wycofywanie ich niekończącą się serią skoków podprzestrzennych, lecz to potrwałoby ze dwa lata, jeśli nie dłużej. Do tego czasu może nie być dokąd i po co wracać.

– Słuszna uwaga, generale majorze – przyznał Nbotó. – Najbardziej nurtuje mnie jednak inna kwestia. Tak mało wiemy o tych istotach, a wydajecie się panowie bardzo pewni swoich kalkulacji.

– Opieramy się na wszystkich dostępnych informacjach i na ich podstawie...

– Wiem, wiem. – Lider opozycji nie pozwolił Henrynanowi dokończyć. – Robicie, co do was należy, i robicie to dobrze, ale ja mówię o czymś zupełnie innym. Skąd pewność, że po zniszczeniu tej bazy Obcy zaprzestaną ataków? To dopiero może ich rozwścieczyć, o ile współdzielą z nami takie uczucia jak złość i gniew.

Farland zerknął ukradkiem na Modo. Rozmowa zaczynała niebezpiecznie zbaczać z ustalonego wcześniej kursu. Odpowiedź na to pytanie wymagała ujawnienia większej ilości informacji o ma'lahn, niż pierwotnie planowano, a każda z pozoru niewinnie brzmiąca wzmianka mogła nakierować zebranych na kolejne pytania wymagające dalszego zdradzania sekretów, na co pani kanclerz z pewnością się nie zgodzi.

Tym sposobem dojdziemy do ściany, pomyślał wielki admirał. A jeszcze przed momentem...

– To bardzo skomplikowane kwestie, senatorze. – Farland drgnął, gdy usłyszał spokojny głos Święckiego. – Ma pan absolutną rację: niewiele wiemy na temat Obcych, ale naszemu wywiadowi udało się co nieco ustalić. To jednak ściśle

tajne informacje, których nie mogę panu wyjawić bez zgody zwierzchników.

– Wydawało mi się, że stawiamy dzisiaj na całkowitą otwartość i szczerść. –  
Nboto przeniósł wzrok na panią kanclerz.

Ku zaskoczeniu wielkiego admirała Modo uśmiechnęła się tylko.

– Proszę kontynuować, generale majorze – rzuciła zaskakująco obojętnym tonem.

– Tak jest.

Henryan pochylił się nad konsolą, jakby szukał jakichś plików. Zanim jednak przed politykami pojawiły się nowe okienka, Farland otrzymał zwięzłą wiadomość od Ruty.

### SPOKOJNIE. CHŁOPAK WIE, CO ROBI.

Skoro tak...

– Panie i panowie senatorowie... – zaczął Święcki i odchrząknął. – Obserwujemy poczynania Obcych od dłuższego czasu. Dysponujemy nagraniami z niemal wszystkich ataków, dzięki czemu udało nam się odkryć kilka interesujących wzorców. Co więcej, szczegółowe analizy materiałów dostarczonych przez sondę hybrydową pozwoliły ustalić ponad wszelką wątpliwość, że ataków na nasze terytorium dokonują wyłącznie liniowce stacjonujące w Systemie Zero. Proszę spojrzeć na pierwszy załącznik. To lista zidentyfikowanych do tej pory jednostek Obcych. Są na niej czterdzieści dwie pozycje. Teraz zapraszam do przyjrzenia się załącznikowi numer dwa. Mamy na nim listę pięćdziesięciu dwóch liniowców, tyle bowiem znalazło się przez te trzy miesiące w obiektywach naszej sondy. Porównajmy oba dokumenty... – Okna nałożyły się na siebie płynnie. – Czterdzieści dwa trafienia. Każdy atakujący nas okręt wroga startował z tej bazy.

– To może również oznaczać, że do tej pory Obcy nie widzieli potrzeby zaangażowania większych sił.

– Albo że te pięćdziesiąt dwie jednostki to wszystko, czym dysponują.

Nboto zaśmiał się w głos.

– Nigdy nie uwierzę, że ludzkość została napadnięta przez garstkę kosmicznych piratów... Bo coś takiego chce mi pan wmówić, jeśli się nie mylę?

No i proszę, pomyślał Farland bez cienia satysfakcji, ponieważ nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzała ta wymiana zdań.

– Piratów? – zdziwił się Święcki. – Obawiam się, że mamy zupełnie inną wizję tego konfliktu. Motywy Obcych pozostają dla nas tajemnicą, to fakt, ale badając ich zachowania, odkryliśmy kilka naprawdę dziwnych zależności. Po pierwsze Obcy atakują, nie próbując nawiązać kontaktu, a powinni, przyzna pan, choćby po to, by wezwać nas do bezwarunkowej kapitulacji. Po drugie operują, a raczej dotąd operowali z jednej odizolowanej bazy, w dodatku bardzo ograniczonymi siłami, jakby chcieli ukryć przed kimś swoją działalność. Po trzecie ich działania mogą na pierwszy rzut oka wydawać się niezrozumiałe, zapewniam pana jednak, że zauważyliśmy wiele podobieństw z zachowaniami człowieka, co może sugerować, że te istoty wcale nie są bardzo różne od nas. To nie pierwsza rasa rozumna, jaką napotkaliśmy w kosmosie – dodał, zanim politycy zdążyli się odezwać. – Tak, wiem, Suhurowie i Gurdowie to zupełnie inna liga, ale czy w ich przypadku nie mieliśmy także do czynienia z pewnymi uniwersalnymi zachowaniami? Zwłaszcza gdy mowa o wojowaniu. Ich budowa i postęпки były niepojęte dla przeciętnego przedstawiciela gatunku *Homo sapiens*, ale gdy wziąć pod uwagę broń i jej stosowanie... Ichniejsze wojny można by bez trudu przenieść na antyczną Ziemię. Organizacja armii, przebieg bitew, wykorzystywana przez obie strony taktyka... Zaryzykuję twierdzenie, że każdy z naszych oficerów z łatwością poprowadziłby Wojowników Kości do zwycięskiego boju, gdyby zaszła taka potrzeba. Atakujące nas istoty, choć nie znamy ich wyglądu ani nazwy, także używają w walce podobnych uniwersalnych wzorców. Dlatego jesteśmy niemal pewni, że właściwie interpretujemy ich zachowania.

– Z kim zatem mamy do czynienia, skoro nie są to piraci ani też bandyci? – nie odpuszczał Nboto.

– Nie umiem odpowiedzieć na pańskie pytanie. Może to naukowcy, którzy z jakiegoś powodu utracili kontrolę nad przeprowadzanym w odległym zakątku Galaktyki ściśle tajnym eksperymentem?

– Tym eksperymentem, jeśli dobrze rozumiem, mamy być my, ludzie? – zażartował szczerze rozbawiony Sotomayor.

– Przedstawiłem tylko pierwszą lepszą sugestię. Równie dobrze możemy mieć do czynienia z odpowiednikiem naszych korporacji, które wzorem firm z antycznej Ziemi wyniszczają rdzenną ludność przed zagarnięciem jej terytoriów – odparł niezrażony jego reakcją Święcki. – Kimkolwiek Obcy są, likwidacja bazy w Systemie Zero zlikwiduje przynajmniej na jakiś czas bezpośrednie zagrożenie.

– Skąd ta pewność?

– Choćby stąd, że wiemy, jak zareagowali na pierwszą porażkę.

– Czyli?

– Nie pobiegli do nikogo ze skargą. Nie wezwali pomocy. Po prostu zwiększyli liczebność eskadr.

– I czego to dowodzi?

– Tego, że nie zamierzają wciągać nikogo innego w ten konflikt.

– Tego nie wiemy.

– Wręcz przeciwnie. W ich bazie nie pojawił się ani jeden okręt innej cywilizacji. Nie wysłali też nigdzie żadnej ze swoich jednostek. To musi o czymś świadczyć.

– Może pochodzą z tak daleka, że ściągnięcie posiłków musi potrwać dłużej, niż nam się wydaje – zasugerowała Yilmaz.

– Wątpię – zbył jej przypuszczenia Henryan. – Są w stanie pokonać setki, a może nawet tysiące lat świetlnych w sekundę.

– A jeśli mimo wszystko się mylicie? – zapytał mniej bojowym tonem lider opozycji. – Ktoś przecież może się zainteresować ich losem. Ktoś o wiele potężniejszy i od nas, i od nich.

– W takim wypadku zginiemy – odpowiedział Rutta ze wzruszeniem ramion.

– Wszyscy jak tu siedzimy, i to raczej wcześniej niż później.

– Aha. – Nboto opadł na oparcie fotela. – Nie macie zatem żadnego planu B.

– Jeśli mówi pan o niedawnej propozycji senatora O'Malleya – odparła Modo, nie kryjąc pogardy – który postulował na ostatnim posiedzeniu, aby położyć maksymalny nacisk na mnożenie fałszywych kolonii, intensyfikując równocześnie podbijanie przestrzeni od strony Rubieży Zewnętrznych, to może być pan pewien, że nie. Zwłaszcza w świetle ostatnich odkryć. Za rok będzie nas atakować czterysta liniowców. Za dwa lata zostaniemy zmuszeni do stawienia oporu tysiącowi tych okrętów albo i dwóm tysiącom, ponieważ nikt nam nie zagwarantuje, że Obcy nie zainwestują w kolejne inkubatory. Z początku zyskalibyśmy trochę czasu, nie przeczę, porządzilibyśmy sobie jeszcze przez parę lat, ale efekt końcowy by się nie zmienił. Obcy wypleniliby nas jak chwasty.

– Uważnie przeanalizowaliśmy propozycję senatora O'Malleya – dodał pośpiesznie Święcki, chcąc zapobiec kolejnej kłótni polityków. – Proszę spojrzeć na wyniki symulacji numer dziewięćset czternaście, wersje A i B. Uwzględniono w nich istnienie odkrytych na Zerze inkubatorów. Pierwsza przedstawia udany atak. Druga ukazuje naszą sytuację w razie niepodjęcia działań zaczepnych. – Dziewięć osób spojrzało z zainteresowaniem na wskazane dokumenty, choć tylko dla sześciorga były one nowością. – A teraz proszę zapoznać się z wersją C – dorzucił Henryan. – To wariant, w którym zakładamy, że Obcy rozbudowują swój potencjał w postępie geometrycznym...

Po kilku sekundach wymownej ciszy, kiedy to politycy zapoznawali się z dokumentami, Nboto wyłączył komunikator zamaszystym gestem.

– Nie mam więcej pytań – oświadczył. – Poprę wniosek Rady o udzielenie wotum zaufania i przełożenie ataku na proponowany przez sztab trzeciego metasektora termin.

– Ja także to zrobię. – Sotomayor musiał się dostosować, ponieważ wiedział, że gdyby nawet zgłosił weto, na co w świetle przedstawionych mu faktów nie miał najmniejszej ochoty, to i tak zostałby najpierw zakrzyczany, a potem



przegłosowany przez obie wielkie frakcje, które zdominowały obecny parlament.

# DWA

*Ziemia, Sektor Alfa,*

*12.03.2355*

Oficjalne pożegnanie nie oznaczało zakończenia rozmów, dlatego Farland i jego podwładni pozostali na sali odpraw. Gdy połączenie zostało wznowione, Modo miała przy sobie tylko obu wtajemniczonych zastępców.

Zwracając się w kierunku holograficznych sylwetek oficerów, rzuciła:

– Wszystko wskazuje na to, że udało się panu, wielki admirał, odroczyć moment przystąpienia do walki, proszę mieć jednak świadomość, że za półtora miesiąca pańscy ludzie i tak będą musieli umierać za Federację.

– Z całym szacunkiem, pani kanclerz – odparł wyniośle dowódca trzeciego metasektora. – Bynajmniej nie walczyłem o to, by moi podwładni stawili czoło Obcym jak najpóźniej.

– Ach tak? – zdziwiła się Modo.

– Dałbym głowę, że przez cały czas właśnie o tym rozmawialiśmy – wtrącił pośpiesznie Kaup, aby podlizać się przełożonej.

– Mój plan daje cię szansy na zwycięstwo, dlatego za nim lobbowałem – wyjaśnił wielki admirał. – W każdym innym wypadku poświęcenie moich marynarzy nie miałoby najmniejszego sensu. A ja nie mam w zwyczaju szafować życiem moich ludzi niepotrzebnie. Na Rwandzie i Sankt Petersburgu zginęło ponad osiemdziesiąt tysięcy osób. Ubolewam nad tym, lecz nie podaję w wątpliwość zasadności tamtego ataku. Gdyby nie on, wasze sondy nie

zostałyby wprowadzone do akcji i nie dokonałyby później rozpoznania, a co za tym idzie, nie otrzymalibyśmy szansy na powstrzymanie ma'lahn.

– Dajmy temu spokój, wielki admirale – poprosiła Modo. – Czas nagli, a mamy do omówienia kilka naprawdę istotnych kwestii.

– Tak jest. Chciałem tylko...

– Przyjęliśmy pańskie słowa do wiadomości – przerwała mu, by już po chwili przejść do interesującego ją tematu. – Pierwsza sprawa. Jak mam rozbroić opinię publiczną?

– Może pani powiedzieć ludziom to samo co swoim oponentom. Skoro oni uznali moje wyjaśnienia za wystarczające...

– Nasi oponenti nie muszą porzucać w panice własnych domów ani ginąć w atakowanych koloniach – zauważył przytomnie Kaup. – Przypominam panu, wielki admirale, że w strefie zagrożenia przebywa obecnie ponad sześć miliardów ludzi, a następne siedem znajdzie się w niej przed upływem terminu kolejnego moratorium...

– Pozwolisz? – Modo przerwała mu równie bezceremonialnie jak przed momentem Farlandowi. – Wielki admirale, upiera się pan przy twierdzeniu, że wywiad ma'lahn nie zasługuje na wzmiankę, ale to może się zmienić w każdej chwili. Na razie umiejętnie ich spychamy do najrzadziej zamieszkanym sektorów, kto nam jednak zagwarantuje, że w najbliższych czterdziestu dwóch dniach nie przejrzą naszej taktyki dezinformacji? Już dzisiaj setki sond Obcych przeczesują zaatakowane pasy. Jutro mogą ich być tysiące. Wkrótce strategia wroga może ulec znaczącej zmianie.

– Na razie ma'lahn zachowują się bardzo przewidywalnie – zapewnił ją Rutta.

– Co nie znaczy, że tak będzie zawsze. Klęska na Rwandzie niczego was nie nauczyła? – zapytała jadowitym tonem pani kanclerz.

Farland zastanawiał się nad odpowiedzią przez dłuższą chwilę.

– Ma pani rację – przyznał w końcu. – Wszystko wskazuje na to, że ma'lahn przygotowują się do rozszerzenia strefy działań. Dziś dekonspiracja nam nie grozi, ale nie możemy być pewni, co stanie się za miesiąc, gdy liniowce Obcych

dotrą do... – przywołał jakieś zestawienie, sprawdził kilka zapisów – ... systemów w co najmniej kilku sektorach pasa E. Jeśli choć raz zбочą z tras, na które zamierzamy je kierować, może powstać ryzyko przechwycenia nadawanych w chwili obecnej transmisji.

Umilkł i posłał Duarteemu wściekłe spojrzenie. Dlaczego nikt z pionu wywiadu nie zwrócił wcześniej uwagi na ten aspekt sprawy? Przez to on musiał teraz świecić oczami przed politykiem. Przed cywilem!

Modo udała, że nie dostrzega interakcji między wojskowymi.

– Zapytam jeszcze raz – powiedziała spokojnie. – Jak mam rozbroić opinię publiczną i wytłumaczyć kolejne opóźnienie kontrataku? Boję się, że te wasze pozorowane bitwy uspokoją nastroje na tydzień, może dwa, ale później znów się podniosą niezadowolone głosy. Nie spowolnimy tymi komunikatami tempa ataków Obcych, a...

– Jeśli dojdzie do niepokoju, opozycja z pewnością poczuje krew – wpadł jej w słowo milczący do tej pory skarbnik Rady. – Nboto to szczwany lis, może nam jeszcze wyciąć niezły numer. A Sotomayor... Ta gnida zrobi wszystko, by go przebić.

– Obaj zadeklarowali chęć współpracy – skontrolował natychmiast Kaup. – Choćby nawet stawali na głowie, nie będą mogli się wycofać z dzisiejszych postanowień. Klamka zapadła.

– Władza nagle znajdzie się w zasięgu ich rąk – upierał się Benadetto. – To ich zaślepi.

– Rozumiem twoje obawy, Giancarlouis – Modo odwróciła się do otyłego zastępcy – ale ich nie podzielam. Dzięki bardzo przekonującemu występowi naszych wojskowych napędziliśmy opozycji niezłego stracha, a ja mam zamiar kuć żelazo póki gorące. Za dwie godziny rozpocznie się nadzwyczajne posiedzenie senatu, na którym oficjalnie ogłoszę, że zawarliśmy ostateczne porozumienie ponad podziałami. Doprowadzę do podpisania wspólnej deklaracji. Po czymś takim dwa razy się zastanowią, zanim wystąpią przeciw nam. Będą wiedzieli, czym to grozi.

– Tacy jak Nbotto działają najsprawniej w chwilach zagrożenia – przypomniał jej Benadetto. – A im ono jest większe, tym bardziej oni są zdesperowani.

– Wiem. Dlatego musimy się postarać, by Nbotto do samego końca nie nabrał żadnych podejrzeń. Wielki admirał, słucham, jaka jest pańska odpowiedź? – Przeniosła wzrok na hologramy oficerów.

Farland milczał, Rutta także nie rwał się do głosu. Rozczarowana Modo nabrała tchu, lecz ubiegł ją Święcki.

– Mamy pewien pomysł, ale lojalnie uprzedzam, że może wam się nie spodobać.

– Mimo to chętnie go wysłuchamy, generale majorze.

Henryan spojrział na wielkiego admirała, który z wyraźną niechęcią skinął przyzwalająco głową.

– Ogłóście program naboru do kolonii na odzyskanych planetach tlenowych...

– Święcki zamilkł, widząc, że twarz pani kanclerz purpurowieje. – Dwie takie loterie powinny wystarczyć, może nawet jedna – dodał szybko, nie rozumiejąc, skąd u Modo aż tak negatywna reakcja.

– To jest myśl! – wyrwał się ucieszony Kaup, zaskakując zarówno swoich towarzyszy z rządu, jak i wojskowych.

– Nic tak nie zajmie ludzi jak nadzieja na życie w warunkach zbliżonych do ziemskich – podchwycił Rutta, aby zatuszować fakt, że Henryan improwizował dla ratowania sytuacji. – Mamy kilkanaście miliardów kolonistów, których trzeba będzie ewakuować z Rubieży. Możemy zaoferować podobną liczbę miejsc w loterii. To musi się udać.

– Tak! – Sekretarz obrony się zaśmiał. – Każdy, kto zacznie się nas publicznie czepiać, zostanie zagryziony przez pełen nadziei ogół. Przejeliśmy aż osiem planet tlenowych, z czego pięć znajduje się po przeciwnej stronie naszego terytorium, czyli w najbezpieczniejszej strefie. Oddanie plebsowi jednej albo nawet dwu takich planet nikogo nie zaboli.

Modo nadal oddychała ciężko, ale jej policzki stopniowo bladły. Pomysł Święckiego – wiedziała, że to był jego pomysł, na który wpadł tutaj i teraz pod

wpływem chwili – nie przypadł jej do gustu z bardzo prostego powodu. Taki dar trafiał się raz w życiu. Pani kanclerz wiedziała, co powinna zrobić z odzyskanymi planetami tlenowymi, to znaczy wiedziała, jak za ich cenę uzyskać bezwarunkowe poparcie najpotężniejszych patrycjuszowskich rodów, którego tak bardzo potrzebowała do realizacji następnej fazy własnych planów.

Dochodziła do siebie dłuższą chwilę, a że nie była głupia, znalazła w tym czasie rozwiązanie, dzięki któremu mogła pogodzić ogłoszenie loterii z pierwotnym pomysłem. Wystarczyło, że wybierze najmniej ważnego sojusznika spośród potężnej ósemki i zaproponuje mu renegocjację układu: planeta na własność w zamian za osiedlenie na niej określonej liczby ludzi, oczywiście wybranych przez podległe rodowi struktury, co powinno osłodzić gorycz utraty wyłączności.

To da się zrobić, każda wcześniejsza loteria też była w mniejszym czy większym stopniu ustawiona, pomyślała, wychodząc z założenia, że patrycjusze z pewnością zastosują podobne chwytaki, by wynagrodzić i jeszcze bardziej związać ze sobą co cenniejszych wasali oraz popleczników. A jeśli jeszcze na to nie wpadli, zyskam w ich oczach kolejny punkt za ciekawą sugestię...

Modo była najbardziej wściekła o to, że dała się zaskoczyć, a co więcej, odsłoniła się nie tylko przed Farlandem, ale także przed swoimi najbliższymi współpracownikami.

I jeszcze ten dureń Kaup...

– Tak, to propozycja warta przemyślenia – rzuciła po chwili namysłu, siląc się na obojętność. – To z waszej strony wszystko czy macie jeszcze jakiś genialny plan? – Poprawnie odczytawszy milczenie wielkiego admirała, przeszła płynnie do następnego punktu rozmów. – Poproszę o rzeczywiste wyniki ostatnich symulacji.

Rutta przesłał jej żądane pliki. Było ich tylko dwadzieścia, ponieważ w ich wypadku – w odróżnieniu od symulacji przygotowywanych na użytek polityków z opozycji – analitycy pracowali na konkretnych danych, tak że niewiadomych było naprawdę niewiele.

– Mówiąc wprost: to będzie bardzo ryzykowna operacja – stwierdził Farland, gdy trójka polityków oderwała wzrok od wykresów i tabel.

– Właśnie widzę – przyznała oschle Modo. – Cóż, nic na to nie poradzimy. Dałabym wam więcej czasu, lecz sami wiecie, że go nie mamy. Boję się nawet, że te czterdzieści dwa dni to za długo. Jeśli popełniłście choć jeden błąd w ocenie stopnia zaawansowania budowy nowych t'iru...

– Zapewniam panią, że nasi analitycy bardzo się przyłożyli do swojej pracy. Ich zdaniem mamy co najmniej pięćdziesiąt dni do zakończenia procesu inkubacji. Stąd zaproponowany przeze mnie taki, a nie inny termin ataku. Te osiem dni przyspieszenia to znacznie więcej, niż wynosi potencjalny margines błędu. Wierzę, że uderzymy na Alfę Zero, zanim ma'lahn będą w stanie rzucić przeciw nam dodatkowe liniowce.

– Oby miał pan rację, wielki admirale.

– Bardziej niepokoi mnie sytuacja drugiego zespołu uderzeniowego – wyznał Farland. – Podział jego sił na osiem podformacji jest szalenie ryzykowny. Przy tak małej liczbie pancerników grozi nam seria bolesnych porażek, a całkowicie odmienić losy bitwy o Alfę Zero może powrót tuzina uszkodzonych liniowców Obcych.

– Musicie zatem znaleźć sposób na wyeliminowanie tego ich rdzeniowca – rzuciła zdecydowanym tonem pani kanclerz. – Nie wyczaruję wam przecież dodatkowych pancerników.

– Wiem, że nie mamy co liczyć na więcej piątek, ale może dałoby się zmodernizować choć jeszcze kilka czwórek. Nasze wyliczenia pokazują, że nie angażujemy całego potencjału produkcyjnego Federacji.

– Niech mi pan wierzy, wielki admirale – odpowiedział mu Kaup – że każda stocznia zdolna do budowy okrętów wojennych wdrożyła program modernizacji floty.

– Ale ja nie mówię tylko o stoczniach należących do sił zbrojnych, lecz także o przejętych ostatnio instalacjach korporacyjnych – uściślił Farland. – Niektóre z nich to ogromne i bardzo nowoczesne zakłady orbitalne. Inne nie zdołałyby

wypuścić tak zaawansowanych technologicznie rdzeniowców.

– Nie wiem, skąd pan czerpie te wyliczenia – warknęła Modo – ale zapewniam, że modernizacją okrętów wojennych zajmuje się każda korporacyjna stocznia orbitalna dysponująca odpowiednim potencjałem. Resztę staramy się zaadaptować na nasze potrzeby. Problem jednak w tym, że wydatna część znacjonalizowanych instalacji nie spełnia minimalnych wymagań floty, a zaradzenie temu potrwa dłużej niż czterdzieści dwa dni.

– Gdybyśmy zrezygnowali z ukończenia dwu ostatnich jednostek nowej generacji – nie ustępował wielki admirał – zyskalibyśmy czas i środki na przeprowadzenie generalnego remontu co najmniej czterech czwórek. Niby niewiele, ale zawsze coś.

– To akurat możemy panu obiecać – zgodził się sekretarz obrony.

– Przepraszam, że się wtrączę, ale moim zdaniem nie powinniśmy tego robić – odezwał się niespodziewanie Rutta, który dotąd przysłuchiwał się tej wymianie zdań z coraz bardziej niepewną miną.

– A to dlaczego? – zdumiał się jego przełożony. – Przecież te zespoły będą walczyły na naszym terytorium. Nie musimy ich nigdzie przerzucać, więc zachowają rezerwę mocy.

– W czasie pobytu na Cicero admirał Eddings pokazał mi przygotowany w jego stoczni projekt przeróbek rdzeniowca – wyjaśnił generał. – Myślę, że gdyby zastosować zaproponowane rozwiązania na budowanych wciąż jednostkach, zyskalibyśmy więcej niż na modernizacji czwórek.

Kaup pokręcił głową z dezaprobatą. Farland obrzucał podwładnego coraz bardziej wściekłymi spojrzeniami. Czego jak czego, ale ciosu z tej strony zupełnie się nie spodziewał.

– Ten pomysł z megadziałem laserowym to straszny niewypał – stwierdził po chwili milczenia sekretarz obrony. – Z tego, co tu widzę – wskazał na wyświetlacz własnego komunikatora – w zeszłym tygodniu doszło do serii eksplozji i poważnego uszkodzenia *Asgarda* podczas rutynowych testów polowych.



– Zgadza się – przyznał Rutta. – Jednakże jeśli sprawdzi pan przyczynę, okaże się, że do wybuchu doprowadziła kompletnie niepotrzebna próba wyciśnięcia dodatkowej mocy. Wszystko działało jak trzeba, dopóki projektanci z Bisonium nie spróbowali przebić osiągnięć kolegów z Cicero.

– Moment... – Kaup zaczął wyszukiwać kolejne dokumenty. – Faktycznie, wygląda na to, że nasi przyjaciele chcieli przedobrzyć.

– Moc znamionowa tego działa jest wystarczająca – zapewnił go generał. – Pięćset osiemdziesiąt gigawatów, osiemnaście mikrosekund. W jednym impulsie.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem? – obruszył się Farland.

– To projekt, który nie wszedł w fazę szerszej realizacji z powodu wypadku na Bisonium. Sam dowiedziałem się o nim przypadkiem przy okazji odbioru *Odyna*. Nie wiem nawet, czy *Asgard* został już naprawiony... – Rutta przeniósł spojrzenie na Kaupa.

– Prace remontowe powinny zostać zakończone za cztery dni, przynajmniej według najnowszych raportów ze stoczni – poinformował sekretarz obrony.

– Jeżeli kolejne próby polowe przebiegną pomyślnie, proponuję, aby projekt trafił do pozostałych stoczni, w których budowane są eskadrowce. Nie wiem, jak to wygląda czasowo, ale w razie problemów moglibyśmy zrezygnować z planów instalacji rozszerzaczy ekranów czaszy i setek wyrzutni, skupiając się wyłącznie na działach.

Wielki admirał oderwał wzrok od plików przesłanych mu przez Kaupa.

– Mamy w budowie pięć takich jednostek, nie licząc oczywiście remontowanego *Asgarda*. To znaczy, że moglibyśmy wzmocnić dzięki nim siłę uderzeniową aż czterech pozostałych na naszym terytorium zespołów... – Farland kalkulował na głos. Mało kto znał się na tych sprawach tak jak on. Mało kto miał tak duże doświadczenie taktyczne. – Tak. To o wiele lepszy pomysł. Zaskoczmy ich kompletnie. Pięćset osiemdziesiąt gigawatów...

– Za optyką – uściślił Rutta.

– Czy ktoś przeliczał skuteczność takiego impulsu? – zainteresował się Kaup.

– Przy bezpośrednim trafieniu co najmniej dziewięciomikrosekundowym impulsem tej mocy powinniśmy zdjąć ekrany t'iru, a potem przepalić go na wylot – przyszedł przełożonemu z pomocą Święcki. – Oczywiście teoretycznie, bo jak to będzie wyglądało w praktyce, trudno powiedzieć.

– Jeśli wyślemy tylko jeden przerobiony w ten sposób rdzeniowiec na Zero, będziemy mogli wzmocnić pięć z ośmiu flotylli na Rubieżach... – Wielki admirał się zamyślił. – Tak, ten pomysł podoba mi się znacznie bardziej. Pytanie tylko, czy zdążymy zamontować i przetestować te działa?

– Eddings potwierdził właśnie, że ma w magazynach gotowe elementy trzech takich dział – poinformował Kaup. – Wyprodukował je, zanim otrzymał rozkaz przeniesienia projektu na Bisonium. Po nieudanych przeróbkach zarzucił dalsze prace i przeznaczył wyprodukowane podzespoły do recyklingu, ponieważ bał się, że zostanie oskarżony o marnotrawstwo materiałów i środków. Na szczęście wciąż czekają na utylizację.

– Zatem to wykonalne? – zainteresowała się Modo.

– Myślę, że tak. – Sekretarz obrony znów zaczął czytać jakieś dokumenty. – Co więcej, jak już zajmiemy się tymi przeróbkami, możemy równolegle zamontować pozostałe udoskonalenia. Te wysuwane ramiona i wyrzutnie da się wstawić szybciej niż same działa.

– A co z kosztami? – zapytała pani kanclerz.

– Są pomijalne przy skali wydatków poniesionych na konwersję rdzeniowców – zapewnił ją Benadetto.

– Zatem postanowione. Coś jeszcze? – Sztabowcy pokręcili zgodnie głowami.

– Świetnie. W imieniu Rady dziękuję za udaną prezentację. Wielki... – podniosła głos i zamilkła teatralnie, by wszyscy zwrócili uwagę na jej dalsze słowa – ...przepraszam, najwyższy admirał, może pan wydać rozkaz wydrukowania nowych insygniów. Za chwilę otrzyma pan podpisaną przeze mnie i sekretarza Kaupa nominację. Gratuluję awansu i liczę na dalszą, równie owocną współpracę. Będziemy w kontakcie. Bez odbioru.

\* \* \*

– Mało brakowało – mruknął Benadetto, gdy w końcu znalazł się sam na sam z panią kanclerz.

Stało się tak, ponieważ Kaup połączył się ze sztabem trzeciego metasektora ze swojej kwatery na Księżycu. Ostatnimi czasy przebywał tam coraz częściej i dłużej, oprócz tych chwil, kiedy musiał walczyć jak lew o kolejne transze funduszy na nieukończoną wciąż tarczę orbitalną lub brał udział w posiedzeniach Rady.

– Mówisz o Nbotu czy Farlandzie? – zapytała Modo, nie podnosząc się z fotela.

– W obu przypadkach mieliśmy cholerne szczęście – stwierdził skarbnik. – Niepotrzebnie ryzykujesz, Gerdanielle.

– Bez ryzyka nie ma zabawy – odpowiedziała sentencjonalnie. – A poza tym... nie ryzykując, stoisz w miejscu.

– Ja tam nie narzekam – zaśmiał się, aż zadrgały mu wszystkie podbródki.

Nie odpowiedziała w żaden sposób, ponieważ była to prawda. Giancarlouis dotarł na szczyty władzy, trzymając się w cieniu innych. Nieustannie spiskował i bez skrupułów wbijał noże w plecy prominentnych wrogów, a nierzadko także mniej lojalnych sojuszników. Nigdy jednak nie zostawił choćby poszlaki wskazującej na jego osobę. To właśnie dzięki tej skrupulatności i nieprzeciętnej inteligencji zdołał przetrwać wiele kryzysów, które już dawno powinny usunąć go ze sceny politycznej, jak stało się to z niemal wszystkimi jego byłymi współpracownikami.

Oprócz bezwzględności cechowała go też nie powszednia zaleta, którą zjednał sobie przychylności obecnej przewodniczącej Rady. Był bezgranicznie lojalny wobec tych, którzy szanowali go i nie oszukiwali – o ile, rzecz jasna, miał w tym jakiś interes. Modo zadbała więc, by trzymając jej stronę, mógł wiele zyskać, a za to jeszcze więcej stracić w razie ewentualnego konfliktu. Poza tym traktowała go jak równego sobie, co także miało niemałe znaczenie, ponieważ

Benadetto, cokolwiek mówił, wywodził się z politycznych nizin.

Jego ród, choć bogaty i znany, nigdy wcześniej nie miał godnej reprezentacji w parlamencie. Ambasadorowie, wiceministrowie, doradcy – od nich uginały się gałęzie drzewa genealogicznego Giancarlouisa, lecz nie zdarzyło się jeszcze, by jakiś Benadetto zasiadał w pierwszych ławach senatu, nie wspominając o piastowaniu stanowiska w Radzie. Co tu dużo ukrywać – ten człowiek został skarbnikiem wyłącznie dzięki osobistemu wstawiennictwu potężnej mentorki, co opłaciło się obu stronom, gdyż – w odróżnieniu od paru innych protegowanych pani kanclerz – Giancarlouis umiał się odwdzięczyć. Na przestrzeni minionych lat wspólnie doprowadzili do upadku większości tych, na których wcześniej się zawiedli, ponieważ oboje wyznawali zasadę, że nic tak nie cieszy jak serwowana na zimno zemsta i ostateczne poniżenie wroga.

– Mam prośbę. – Modo zmieniła temat. – Chcę, żebyś przestał blokować fundusze na tarczę.

– Mam odpuścić temu pokurczowi? – zdziwił się Benadetto.

– Tak. Zrobił swoje, pora zepchnąć go na boczne tory. Jeśli dostanie pieniądze, zaszyje się na tym swoim Księżycu na dobre i przestanie nam wchodzić w paradę.

– Psujesz mi zabawę – poskarżył się, smutniejąc niczym rozkapryszone dziecko, z którym nie powinno się go mylić.

– Wiem, że niespecjalnie go lubisz, ale nie możesz zaprzeczyć, że okazał się bardzo użyteczny. Daj mu te pieniądze. Lepiej, żeby znalazł sobie zajęcie. Widziałeś, jak się podniecił propozycją Święckiego?

– Widziałem. – Giancarlouis pokiwał głową ze zrozumieniem. – Dobrze. Zrobię to dla ciebie, Gerdanielle, choć muszę zaznaczyć, że wcale mi się to nie podoba. Zwłaszcza w świetle tego, co mówił o mnie podczas waszego ostatniego spotkania w cztery oczy.

– Zadbaliśmy o to, by poczuł się pewnie, nie powinieneś być więc zdziwiony jego atakami. Zaciśnij zęby, wytrzymaj, to już niedługo.

– Tak, wiem, nie będzie lepszego kozła ofiarnego niż ten baran. – Benadetto

zaśmiał się z własnego żartu.

– Żebyś wiedział. Wodzę go za nos od miesięcy. Nic nie wie, nic nie może, robi, co mu każemy, a mimo to uważa się za szarą eminencję.

– Skoro już o tym mowa, skontaktowałaś go z Draccosem?

– Oczywiście. Spotkali się kilkakrotnie, dogadali szczegóły. Nie muszę chyba dodawać, że pod czujnym okiem jednej z sond. Jak tylko wojna dobiegnie końca, pułkownik oczyści dla nas scenę. Mam już nawet pomysł na bardzo widowiskowe zamknięcie tego rozdziału.

– I nie podzielisz się ze mną tą wspaniałą wizją? – obruszył się Benadetto.

– Wszystko w swoim czasie, mój drogi. Wolę nie zapeszyć.

– Raczej nie chcesz wyklądać wszystkich kart na stół.

Zmierzyła go surowym spojrzeniem.

– Mylisz się. Osiągnęliśmy tak wiele dzięki temu, że nie ukrywamy niczego przed sobą wzajemnie i gramy uczciwie. Nie zdradzę ci mojego pomysłu, ponieważ jest na to za wcześnie. To na razie tylko mglista wizja, nie plan. Daję słowo, nic więcej się za tym nie kryje. Jak dopracuję szczegóły, ty pierwszy się o nich dowiesz.

– Pierwszy? – zarechotał.

– I jedyny – doprecyzowała.

– Ja myślę. Gdyby ktoś jeszcze dowiedział się, co zamierzamy... – Zawiesił znacząco głos, a potem zmienił temat. – Dopuszczenie Farlanda do wewnętrznego kręgu może nam się odbić czkawką, wiesz? Ten drań jest zbyt cwany.

Modo westchnęła.

– Mam tego świadomość. Dzisiaj też napędził mi niezłego stracha.

– Na szczęście nie dałaś nic po sobie poznać. Niestety twoja reakcja na propozycję Święckiego...

– Nawet mi nie przypominaj! – fuknęła.

– Wybacz, nie chciałem cię urazić, ale naprawdę musisz się bardziej pilnować.

Wszyscy widzieli, jak poczerwieniałaś na twarzy, i na pewno teraz zastanawiają

się, co mogło być tego przyczyną.

– Atak duszności związany z nawrotem mojej przypadłości – rzuciła po krótkiej chwili zastanowienia. – Zaraz udam się do centrum medycznego i wydam oficjalny komunikat.

– Dobrze kombinujesz – pochwalił ją. – Wracając do Farlanda... Sądysz, że jego uwaga na temat mocy przerobowych naszych stoczni była tylko niewinnym wtrętem?

– Coś sugerujesz? – Spojrzała na niego uważniej.

– Po prostu wydało mi się to podejrzane.

– Nie, on nic nie wie. – Potrząsnęła stanowczo głową. – Jestem tego całkowicie pewna.

– Na jakiej podstawie?

– Gdyby znalazł jakikolwiek dowód na to, że wybudowaliśmy w sekrecie drugie tyle pancerników piątej generacji i że zatailiśmy ten fakt nawet przed senatem, nie rzucałby zawołanych aluzji ani nie robiłby podchodów. Mając twarde dowody w ręku, rozpętałby piekło. Można o nim powiedzieć wiele złego, ale drań ma zasady i trzyma się ich jak mało kto w tych czasach.

– Mówisz o nim tak, jakbyś zaczynała go szanować.

Modo zaśmiała się, grożąc mu palcem.

– O nie, mój drogi. Robię, co mogę, by uwierzył w swoje szczęście, to fakt, jednakże ledwie przestanie być nam użyteczny, trafi tam gdzie cała reszta, czyli do grobu albo jeszcze lepiej, na wieczne wakacje w jednym z nowych resortów pułkownika Draccosa.

# TRZY

*System Anzio, Sektor Sierra,*

*16.03.2355*

Lecące w zwartej formacji niszczyciele znikwały czwórkami w niewidzialnym dla człowieka wylocie studni grawitacyjnej. Forpoczta zespołu uderzeniowego numer jeden wyruszyła kilka dni przed oboma eskadrowcami, aby usunąć sondy Obcych z utraconych wcześniej systemów, w tym na trasie, którą przelatywać będą główne siły udające się na Zero. Ponad tysiąc osiemset jednostek eskorty towarzyszących zazwyczaj dużym okrętom tym razem miało za zadanie stworzyć jak największy zamęt, nie tylko na trasie gigantycznych rdzeniowców przenoszących po cztery pancerniki i trzydzieści dwa krążowniki, ale też na wielu innych wektorach podejścia, by wróg do samego końca nie przejrzał prawdziwych zamiarów ludzi.

W najbliższych tygodniach te niszczyciele i korwety odwiedzą setki systemów w podbitych pasach, wykrywając i niszcząc każdy obiekt pozostawiony tam przez ma'lahn, po czym wrócą najkrótszą drogą do ośmiu wysuniętych baz, w których gromadzono siły mające wykonać synchroniczne uderzenie na t'iru.

Była to taktyka obliczona przede wszystkim na oślepienie wroga, by nie zdołał wykryć formacji lecącej w kierunku jego bazy, aczkolwiek Farland nie ukrywał, że liczy również na inny, nie mniej ważny efekt tych działań. Jego zdaniem zaskoczeni masowym kontratakiem Obcy powinni zwolnić tempo

marszu – przynajmniej do chwili ponownego opanowania sytuacji, czyli odzyskania pełnej kontroli nad zajętymi terytoriami, co zdaniem analityków miało nastąpić najprędzej po czternastu dniach od rozpoczęcia akcji. Te dwa tygodnie – inne szacunki mówiły nawet o dwudziestu dniach – powinny oszczędzić flocie masę roboty. Nie trzeba będzie ewakuować kilkudziesięciu kolonii. Parę milionów ludzi pozostanie w swoich domach i zachowa dobytek. Załogi wycofanych z pierwszej linii okrętów dostaną tysiące osobogodzin dodatkowego czasu, który będą mogły poświęcić na niezbędne szkolenia i manewry.

– Kości zostały rzucone – mruknął Rutta, gdy system zameldował o wykryciu ostatniej fali odkształceń.

– Tak... – Farland opadł ciężko na oparcie fotela. – Pierwsze z wielu, przyjacielu, pierwsze z wielu.

Generał po chwili zapytał:

– Czy... podjąłeś już decyzję?

– Chcesz wiedzieć, czy ją zmieniłem? – zaśmiał się najwyższy admirał.

– Tak.

– Nie – odpowiedź była równie krótka jak stanowcza. – I nie zmienię jej bez względu na to, ile razy jeszcze zapytasz.

– Theo, to ty powinieneś stać na czele zespołu dokonującego najważniejszego uderzenia – upierał się przy swoim Rutta mimo czytelnego ostrzeżenia. – Nie rezygnuj z tego zaszczytu. Przejdź do historii.

– Z niczego nie rezygnuję – zapewnił go Farland. – I możesz mi wierzyć, że przejdę do historii, ale jako dowódca, który wygrał wojnę, a nie tylko jedną z bitew, choćby nie wiem jak była ważna.

Zapadła cisza. Słowa, które każdemu innemu człowiekowi wydawałyby się jak najbardziej sensowne, w uszach Rutty zabrzmiały fałszywie. Za tą odmową wyruszenia w daleką przestrzeń musiało kryć się coś jeszcze. Coś znacznie ważniejszego niż rzekoma potrzeba nadzorowania wszystkich etapów operacji. Pełen ogład sytuacji dało się uzyskać w bardzo prosty sposób: zabierając na Zero



jedno albo nawet dwa centra łączności, dzięki którym głównodowodzący miałyby dostęp do kwantowego streamingu danych z pozostałych pól bitew, a co za tym idzie, mógłby podejmować ważne ze strategicznego punktu widzenia decyzje w czasie rzeczywistym.

Najwyższy admirał żywił jednak pewne wątpliwości. Chociaż otrzymał upragniony awans i zawarł sojusz z Radą, obawiał się – tak, to właściwe określenie, ponieważ w grę na pewno nie wchodził strach – że pani kanclerz mimo poczynionych ostatnio daleko idących ustępstw nie ma czystych intencji. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegał go bez ustanku, by pod żadnym pozorem nie wierzył tej kobiecie i koniecznie zachował ostrożność. W tym duchu nie zgodził się na jej propozycję, aby osobiście poprowadzić dwa eskadrowce do decydującego ataku na bazę ma'lahn. Nie dlatego, że mógłby zginąć w Systemie Zero. Chodziło raczej o to, że wróciwszy później na Anzio, nie miałyby możliwości zapobiec niepomyślnemu rozwojowi wypadków. Nie potrafił sprecyzować, skąd u niego te czarne myśli. Ale ufał instynktowi, a ten nakazywał mu pozostanie na miejscu i szykowanie się do stoczenia kolejnej, być może jeszcze bardziej niebezpiecznej walki.

Milczenie pierwszy przerwał Rutta.

– Zatem przynajmniej nie zrzucaj tego obowiązku na moje barki – poprosił, zmieniając nieco podejście.

– Padło na ciebie – odparł zwięźle najwyższy admirał. – Nie twierdzę, że zasługujesz na trafienie do annałów – zażartował. – Ja... tylko tobie mogę w pełni zaufać.

– Popadasz w paranoję.

– Tak uważasz? – zaśmiał się Farland.

– Nie zapominaj, że masz do czynienia z politykami. Z ludźmi, którzy uczynią wszystko, by utrzymać się przy władzy. To jednak nie są głupcy. Zrozumieli w końcu, że kogoś takiego jak ty lepiej mieć po swojej stronie. Długo im to zajęło, ale jak pamiętasz, od samego początku byłem pewien, że kiedyś przyznają ci rację.

– Daj spokój, Franciscollin, nie możesz być aż tak naiwny. Pogrzebałem trochę w archiwach, naszych i wywiadu. Modo nikomu jeszcze nie odpuściła, a ja... wybacznosc obszernosc tego określenia... złapałem ją za jaja.

– Nawet jeśli, nikt inny o tym nie wie. A czysty pragmatyzm każe jej puścić tę scysję w niepamięć. Wygrasz dla niej wojnę, zrobisz to, obaj o tym dobrze wiemy...

– Tak, wygram, i co dalej? Myślisz, że pozwoli mi nacieszyć się sławą i dożyć w spokoju późnej starości? O nie, przyjacielu, nawet jeśli poczeka z zemstą kilka lat, tak potworna zniewaga nie ujdzie mi na sucho. Naprawdę wierzysz, że Damiandreas popełnił samobójstwo?

– Nie, ale dopóki dysponujesz nagraniami, Modo nie tknie cię palcem. Szachujecie się wzajemnie, zrozum to wreszcie – ciągnął Rutta, zadowolony z tego, że przyjaciel podpowiedział mu nieświadomie kolejny, kto wie, czy nie decydujący argument w tej dyskusji. – Pomyśl tylko, dzięki błyskawicznemu zwycięstwu oboje staniecie się największymi bohaterami w historii Federacji. Po fakcie niektórzy politycy będą próbowali umniejszyć twoje zasługi, to więcej niż pewne. Dlatego niezwykle ważne jest, abyś zapisał się w historii nie tylko jako bardzo sprawny strateg, ale też odważny dowódca, który niejednokrotnie ryzykował życie w obronie cywilizacji. Nie ukrywaj się za zasłoną łańcucha dowodzenia, przyjacielu, stój zawsze na pierwszej linii. Planuj śmiało posunięcia i prowadź ludzi do ataku. Łam konwencje... Bądź jak Święcki. – Zająknął się, gdy dotarło do niego, że chyba przeszarżował. – Leć na Zero, Theodoreginaldzie. Zmiażdż ma'lahn. Zrób z tego pokazówkę. Ja dopilnuję, by po tej stronie wszystko poszło jak należy, masz moje słowo.

– Nie.

– Przemyśl moją propozycję, o to tylko cię proszę.

– Daj spokój, podjąłem już decyzję.

– Owszem, ale jak chyba widzisz, nie jest to najlepsza decyzja w tych okolicznościach. Oddając dowodzenie komuś innemu, sam się marginalizujesz. Stracisz przez to rozpoznawalność, która w tej sytuacji jest najważniejsza, nie

licząc samego zwycięstwa. Zrozum to wreszcie. Kogo ludzie wymieniają, gdy ich zapytać o bohaterów wojny domowej? Najczęściej Tahomeya. A czego dokonał ten geniusz? – Rutta przerwał na chwilę, by wyrzucić z siebie na jednym tchu serię pytań: – Zaplanował zwycięską kampanię, skracając krwawą wojnę o całe lata, jak Reley? Doprowadził do przecięcia szlaków zaopatrzeniowych najważniejszych sektorów w pasach opanowanych przez separatystów, jak Girou? – Pokręcił zamasyżycie głową. – Nie, pan admirał raczył prowadzić do boju kolejne floty, odnosząc głównie pyrrusowe zwycięstwa i dziesiątkując podwładnych. O tym jednak nikt nie pamięta, ponieważ po każdej bitwie to jego parszywa mordą szczyrzyła się z publikatorów i to jemu przypinano hurtowo order.

– Nie będę jak Święcki – syknął rozeźlony Farland.

Wściekł się, ponieważ ostatni argument Rutty – nie dość, że sensowny – trafił także w jego czuły punkt.

Jeśli Modo coś knuje, pomyślał najwyższy admirał, o wiele łatwiej będzie mi się przed nią obronić, mając silną pozycję i szacunek obywateli. Przykład Xiao najlepszym dowodem na to, że mój stopień niczego tak naprawdę nie gwarantuje. Tadam zniknął w jednej chwili, ledwie uznano, że bardziej może zaszkodzić politycznym mocodawcom, niż im pomóc. Bohatera, który ocalił ludzkość, wielokrotnie narażając przy tym własne życie, nie dałoby się usunąć w cień niepopartym dowodami oskarżeniem. Zwłaszcza gdyby był to człowiek, który nie wytracił przy okazji oficerów i marynarzy, aby przypodobać się cywilnym zwierzchnikom. Żołnierze mają długą pamięć, a ich opinia w społeczeństwie nadal się liczy...

– Bądź sobą – wyrwał go z zamyślenia Rutta. – Bądź takim oficerem, jakim byłeś kiedyś. To wystarczy.

Farland posłał przyjacielowi twarde spojrzenie.

– Dobrze – powiedział już spokojnie. – Zastanowię się nad tym ponownie, ale nie ciesz się jeszcze – zastrzegł szybko – bo niczego nie obiecuję.

Generał już otwierał usta, aby zapewnić, że na nic więcej nie śmie liczyć,

jednakże nie zdążył się odezwać. Sięgnął do klawiatury komunikatora, by uciszyć natrętny brzęczyk sygnalizujący, że ktoś chce uzyskać pilne połączenie ze stanowiskiem dowodzenia, lecz zawahał się w ostatniej chwili i zatrzymał palec milimetry nad wirtualnym wyświetlaczem.

– To pion łączności. Nadszedł sygnał wywoławczy z Ziemi.

– Modo?

– Tak.

– Ciekawe, czego chce tym razem... Niech łączą tutaj – zdecydował Farland, włączając ekran izolujący podwyższenie od reszty mostka.

\* \* \*

– Najwyższy admirał... Generale... – Tym razem przewodnicząca Rady nie pominęła zwyczajowych formułek.

– Pani kanclerz – odpowiedzieli unisono, odwzajemniając tę grzeczność.

– Co możecie mi powiedzieć o kolapsarach? – Modo przeszła od razu do rzeczy.

Spojrzeni po sobie zdziwieni tym pytaniem.

– To kondensatory grawitacyjne, których Korpus Utylizacyjny używa do zbierania śmieci z pól bitew w tak zwanych dołkach Lagrange’a. – Rutta maksymalnie uprościł odpowiedź, ale nadal nie był pewny, czy stała się przez to w pełni zrozumiała dla cywila.

– Nadają się na broń? – Drugie pytanie zdumiało ich jeszcze bardziej.

– Raczej nie... – bąknął niepewnie Farland.

Powiedział to bez głębszego zastanowienia, lecz faktem było, że nigdy wcześniej nie słyszał, by ktokolwiek rozważał zastosowanie kolapsarów na polu walki. Osiągnięcie pełnej mocy wymagało w ich wypadku mnóstwa czasu, a przy skali prędkości osiąganych w przestrzeni reakcje mierzone w ułamkach sekund wydawały się często wiecznością.

– Raczej czy na pewno? – naciskała pani kanclerz.

– Zależy, do czego mielibyśmy je wykorzystać – odezwał się Rutta.

– Na przykład do zablokowania punktów skoku.

Najwyższy admirał zaklął pod nosem. W przypadku stawiania blokady czas rozgrzewania generatorów nie grał roli. Można je było włączyć na długo przed bitwą.

– A niech mnie! – sapnął, pochylając się nad konsolą. Wpisał kilka poleceń, przejrzał wyskakujące w kolejnych okienkach dane, poprzierzucał część z nich do osobnego folderu i przesłał go dalej. – To znakomity pomysł, kto na niego wpadł?

– Nasz przyjaciel z załogi *Nomady*. Skontaktował się ze mną przed niespełną godziną. Jego zespół także otrzymał komplet nagrań z sondy. Miałam nadzieję, że porucznik Stachursky spojrzy na nie pod innym kątem i że dzięki temu uda mu się dostrzec coś jeszcze, ale prawdę powiedziawszy, nie dowiedziałam się niczego nowego. Za to, już po pobieżnym zapoznaniu się z planami kampanii, podrzucił mi pomysł wykorzystania kolapsarów, a co więcej, wyraził także chęć wzięcia udziału w wyprawie na Zero. Stwierdził, że może wam się przydać, jeśli dojdzie do ewentualnych negocjacji. Moim zdaniem ma to sens. Stachursky jest jedynym człowiekiem, który miał kontakt z przedstawicielem tej obcej rasy i przeżył.

– Obawiam się, że nie będzie to możliwe – zaprotestował najwyższy admirał.

– Biorące udział w tej misji eskadrowce wyruszą z Anzio już za cztery dni, a z tego, co wiem, umieściła go pani w tajnej placówce znajdującej się gdzieś w Systemach Centralnych. Aby pokonać tak wielki dystans, trzeba kilku tygodni, nie dni.

– Jestem tego świadoma – przyznała Modo. – Mogę jednak zapewnić, że trzymamy go bliżej linii frontu, niż pan podejrzewa. Porucznik Stachursky i jego zespół badawczy przebywają niespełna osiemset lat świetlnych od Anzio. Poza tym, o czym oboje doskonale wiemy, po dotarciu do celu będziecie musieli poczekać w sąsiednim systemie na dogodny moment, co zajmie nawet kilka dni. Stachursky nie będzie wam potrzebny od samego początku misji, dlatego może

dolecieć na Zero choćby z tygodniowym opóźnieniem.

– Przepraszam, pani kanclerz – wtrącił Rutta, widząc, że jego przyjaciel zaczyna kiwać głową, jakby miał wyrazić zgodę na proponowane rozwiązanie – ale to zbyt ryzykowne.

– Dlaczego? – zdziwiła się Modo.

– Nie wiemy, jak szybko Obcy odzyskają kontrolę nad systemami, przez które będzie musiał przelecieć przewożący go konwój – wyjaśnił generał. – Jeśli te jednostki zostaną zauważone w trakcie któregośkolwiek tranzytu, ma'lahn mogą się domyślić, co kombinujemy.

– Tego nie wzięłam pod uwagę... – Modo była wyraźnie rozczarowana. – Szkoda.

– My też żałujemy, lecz może jeszcze nie wszystko stracone... – Farland zawiesił głos.

Obaj oficerowie dostrzegli na twarzy przewodniczącej Rady cień nadziei. Wydało im się to dziwne, gdyż zazwyczaj nie pozwalała sobie na okazywanie uczuć.

Czyżby naprawdę zdobyła się na szczerą? zastanowił się Rutta, obserwując ją uważniej, kiedy słuchała następnych słów najwyższego admirała.

– Zamierzamy zabrać na Zero dwa najnowocześniejsze centra komunikacyjne. Dzięki nim będziemy mogli utrzymywać niemal ciągłą łączność kwantową z pozostałymi zespołami uderzeniowymi... i oczywiście z Ziemią – dodał szybko. Generał nadstawił uszu, uznawszy, że jego przyjaciel jest bliski zmiany zdania w sprawie swojego uczestnictwa w bitwie. – Jeśli ośrodek, w którym pracuje Stachursky, dysponuje wystarczająco mocnymi reaktorami, będziemy mogli się z nim łączyć, ilekroć zajdzie taka potrzeba. W innym razie proszę przerzucić porucznika i jego ludzi na Anzio. Udostępnimy im poziom w sektorze naukowym stacji, zadbamy też o odpowiedni stopień izolacji i ochrony.

– Pomyślę o tym – obiecała, ale obaj dali by głowę, że wyczuli zawód w jej głosie. – Wracając do kolapsarów, w jakim czasie mogę liczyć na opracowanie stosownej korekty planów?

– Chwileczkę. – Farland sprawdził coś na komunikatorze. – Za moment otrzymam wstępną analizę.

– Tak szybko?

– Mamy wszystkie dane w systemie. Wystarczy włączyć je do algorytmu.

– Rozumiem. – Modo usiadła wygodniej. – Zatem czekam.

– A tak przy okazji – zagadnął najwyższy admirał, przerywając niezręczną ciszę – czy mogłaby mi pani wyjaśnić, ale tak szczerze, dlaczego nie ujawniamy opinii publicznej całej prawdy o ma'lahn?

Zaśmiała się, głośno i radośnie, jakby usłyszała naprawdę przedni żart.

– Proszę mi powiedzieć: naprawdę chce pan być zapamiętany jako dowódca, który poprowadził zjednoczone floty Federacji przeciw garstce galaktycznych farmerów hodujących ludzi na mięso? Czy może woli pan uchodzić za pogromcę niezwykle zaawansowanej, potężnej i agresywnej cywilizacji, o której mimo starań nic nie wiemy? Ja wybrałam tę drugą opcję. Panu też to radzę.

– Przedstawia pani fakty w zbyt dużym uproszczeniu. To dużo starsza od nas rasa... rasa niemal nieśmiertelnych istot, które setki tysięcy lat temu dokonały zmian w genomie naczelnych, tworząc nas. Walczymy z bogami.

– Pan tak to widzi, ja także, ale do szarych mas trafiają wyłącznie uproszczenia. – Modo pochyliła się w kierunku holokamery. Jej twarz ponownie zamieniła się w kamienną maskę. – Ci „bogowie” wyprzedzają nas technologicznie, aczkolwiek nie tak znów bardzo, skoro pancerniki piątej generacji zaczynają dorównywać ich liniowcom. Obcych jest przy tym tylko garstka. Przeciwnicy polityczni mojego rządu z pewnością zadbają o to, by rozpowszechnić wersję zdarzeń, która najmniej nam będzie odpowiadać. Nam, czyli Radzie i zarządzanej przez pana admiralicji.

– Jednakże prawda...

– Prawda jest następująca: od miesiący wmawiamy ludziom, że jesteśmy atakowani przez przeważające siły wroga. Że musimy się cofać, walcząc i oddając najeźdźcom coraz to nowe kolonie. Chce pan wiedzieć, jak zareagują obywatele Federacji, gdy się dowiedzą, że ma'lahn podczas tej inwazji

dysponowali niespełna pięćdziesięcioma okrętami? Że nie walczył pan z całą potężną obcą flotą, lecz z garstką pieprzonych outsiderów?

– Wystarczy ujawnić nagrania z Rwandy, a ludzie zrozumieją...

– Na to, drogi panie, jest już za późno – przypomniała mu jadowitym tonem. – W momencie, w którym ukryliśmy rozmiary porażki, utraciliśmy możliwość wykorzystania jej do jakichkolwiek celów. Nie wspominając już o tym, że opublikowanie nagrań z Rwandy narazi pana i mnie na lincz ze strony popleczników Sotomayora i Nbotu. Oni tylko czekają na nasze potknięcia.

Farland zacisnął szczęki. Modo przypomniała mu po raz kolejny o największym błędzie, jaki popełnił, zgadzając się na zatajenie klęski. Wprawdzie przyznanie się do tamtej porażki z pewnością kosztowałoby go utratę stanowiska, a co gorsze, zaufania podwładnych, a on postawiony pod ścianą postanowił zwyczajnie wybrać mniejsze zło. Czy to był błąd, pokaże dopiero przyszłość.

– Mamy już dane. – Rutta wybawił go z przykrego obowiązku udzielenia odpowiedzi. Nad blatem pomiędzy panią kanclerz a oficerami pojawił się szereg okienek zawierających tabele i wykresy. – Jest dobrze, a nawet lepiej – rzucił generał, przestudiowawszy zawartość trzech pierwszych plików.

– Może zechce pan się ze mną podzielić szczegółami – poprosiła Modo. – Ale tak po ludzku.

– Oczywiście, pani kanclerz. – Rutta powiększył szybkim ruchem jedno z okienek. – Flota ma na stanie tysiąc dwieście osiemdziesiąt sześć kolapsarów, z czego ponad dziewięćset posiada moc wystarczającą do wyrządzenia szkód przelatującej w ich pobliżu jednostce.

– O jakich szkodach mówimy? – zainteresowała się Modo.

– Jeśli t'iru wejdą głęboko w pole działania kolapsara, zostaną poddane niewyobrażalnemu przeciążeniu. Gdyby nie były chronione ekranami, mogłyby nawet zostać rozerwane.

– Możecie najpierw pozbawić je tych osłon?

– W tych warunkach nie – odparli unisono.



– Dlaczego?

– Zastawienie pułapki powiedzie się tylko wtedy, gdy aktywujemy kolapsary w bezpośrednim sąsiedztwie wylotu studni grawitacyjnej. To ta sama taktyka co w przypadku stawiania pól minowych. Wychodzące z nadprzestrzeni t'iru wpadną w sidła, zanim ich systemy nawigacyjne zdołają zareagować na zagrożenie. W tym momencie będą jednak chronione tarczami energetycznymi, jak zawsze od czasu Sankt Petersburga.

– A co z ostrzałem? – zapytała Modo. – Moglibyście tak zsynchronizować ogień zaporowy, żeby najpierw wpadli na rdzenie...

– Jak pani to sobie wyobraża? – naskoczył na nią Farland, zanim zdał sobie sprawę, że rozmawia z cywilem niemającym pojęcia o takich rzeczach. Zreflektowawszy się, zabrał się do wyjaśnień: – Przecież te urządzenia to miniaturowe czarne dziury. Przyciągają wszystko, co znajdzie się w ich zasięgu. Jeżeli ostrzelamy sektor, w którym zostaną rozmieszczone, zmienią tor lotu każdego pocisku i przejmą wszystkie rdzenie lecące w ich kierunku.

– No tak... – Modo nie kryła zawodu. – Czyli mamy kolejny dobry pomysł, z którego nic nie będzie.

– Niekoniecznie... – Rutta prznosił dane z okna do okna, zestawiał wyniki. – Proszę spojrzeć – przesłał obojgu nowy plik. – Możemy zablokować punkt skoku, rozstawiając co najmniej dwie linie najsilniejszych kolapsarów, sto pięćdziesiąt urządzeń powinno wystarczyć, aby powstała gęsta sieć, przez którą nadlatujące t'iru będą musiały się przebić. Jeśli skoordynujemy atak w taki sposób...

Uruchomił symulację, na której liniowiec wpada w pole działania dwóch kolapsarów osłabiających jego osłony, co redukuje ich moc o ponad dziewięćdziesiąt procent, by sekundę później nadzieć się na salwę rdzeni kinetycznych kończących dzieło. Drugi t'iru dostaje się w pole działania urządzeń w chwili, gdy docierają do nich te pociski, które nie trafiły w cel. Mgnienie oka później kolapsary przestają istnieć.

– ...w najlepszym razie zredukujemy tarcze wrogiej jednostki o jakieś

pięćdziesiąt procent, co pozwoli na ich zniszczenie przy maksymalnym zagęszczeniu drugiej fali ognia zaporowego.

– Rozumiem, że to dobrze.

– Tak. Zdecydowanie. Porucznik Stachursky podpowiedział nam genialne rozwiązanie. Przy odrobinie szczęścia zredukujemy wartość bojową eskadry ma'lahn o jedną trzecią, i to zanim zdążą się zetrzeć z naszymi pancernikami. Jeśli dodamy do tego działa laserowe z eskadrowców... – Rutta przeniósł wzrok na Farlanda. – Będzie dobrze!

Najwyższy admirał nie miał tak radosnej miny.

– W czym tkwi problem? – zapytał go Rutta.

– Nie zapominajcie, że wszystkie kolapsarowce korpusu zajmują się teraz odzyskiwaniem helonu z wrakowisk. Jeśli ściągniemy je do naszego metasektora, możemy zapomnieć o kilku milionach ton surowca potrzebnego do produkcji następnych okrętów piątej generacji. A na to zwyczajnie nas nie stać.

Znów zapadła cisza, tym razem jeszcze bardziej wymowna.

– Coś za coś – rzuciła w końcu Modo.

– Nie musimy ich wycofywać – podpowiedział moment później Rutta.

– Tylko one są przystosowane do przenoszenia i aktywowania kolapsarów – przypomniał mu Farland. – To wysoce specjalistyczne jednostki.

– Owszem – zgodził się generał – ale nie wszystkie zostały wysłane w teren.

– Niemożliwe.

– Ale prawdziwe. *Nomada* wciąż jest na Anzio.

– Faktycznie... – Najwyższy admirał sprawdził zapisy dotyczące objętej kwarantanną jednostki, o której w ferworze walki wszyscy zapomnieli. – Potrzebujemy tylko nowej załogi, lecz... może nam zabraknąć czasu – zastrzegł.

– Jeden kolapsarowiec nie obleci tylu systemów w czterdzieści dwa dni.

– Będzie operował z Anzio. Dostarczmy na niego potrzebny sprzęt. Każmy załogom innych jednostek Korpusu Utylizacyjnego zabezpieczyć wszystkie nieużywane kolapsary i wyślijmy po nie transportowce. *Nomada* zajmie się tylko ich rozmieszczeniem.

– Widzę, że wojaczka bywa czasami równie ekscytująca jak uprawianie polityki – zaśmiała się pani kanclerz. – Póki pamiętam, dajcie też jakieś ciekawe zajęcia Świąckiemu, media potrzebują kolejnego heroicznego czynu.

Rutta poruszył się niespokojnie.

– To chyba nie najlepszy moment – stwierdził, zerkając niepewnie na Farlanda.

– Wręcz przeciwnie, generale. To idealny moment na podkreślenie jego oddania dla sprawy. Człowiek, który parę godzin po otrzymaniu wiadomości o śmierci ukochanego ojca wyrusza, by ratować życie innych... – zawiesiła znacząco głos. – Niczego więcej nam nie trzeba. Na razie.

# CZTERY

*Nadprzestrzeń między pasem L a M,*

*18.03.2355*

Henryan wykonał dany mu dzień wcześniej rozkaz z mieszanymi uczuciami. Był zły, był wkurzony, wrzał pod kamienną maską pozornej obojętności i gdyby nie fakt, że Rutta przekazał mu polecenie zdalnie – w dodatku nie osobiście, ale na nagraniu – zapewne nie zdołałby się powstrzymać i wybuchłby, wypluwając z siebie wszystkie żale prosto w twarz przełożonego. Zrobiłby to bez względu na konsekwencje, a te mogłyby być poważne, skoro generał pełnił tylko rolę posłańca.

Z drugiej strony Świącki czuł sporą ulgę. Tak długo chciał się wyrwać z tej stacji, by sprawdzić informacje przekazane mu przez Seiferta, że pragnienie wylotu stało się dlań prawdziwą obsesją. Gotów był oddać wiele, bardzo wiele, za szansę wizyty w atakowanych obecnie systemach, a ten rozkaz umożliwiał mu to, więcej nawet, pozwalał na zbadanie kilku fałszywych kolonii i co wielce prawdopodobne, zebranie naprawdę twardych dowodów na zbrodniczą działalność Rady.

Okazję tę zawdzięczał samej Modo, lecz cena, jaką przyszło mu zapłacić, okazała się wygórowana. Wiele to wiele, ale jednak nie wszystko. Jego skromnym zdaniem rezygnacja z opłakiwania w spokoju śmierci własnego rodzica nie mieściła się w skądinąd pojemnym zbiorze wyrzeczeń. Mimo to zacisnął zęby, zasalutował mniej sprężyście niż zazwyczaj i spuściwszy wzrok,

rozłączył się, by spakować najpotrzebniejsze rzeczy i dotrzeć na czas do doku.

Początkowa wściekłość topniała z każdym krokiem, który przybliżał go do mostka *Rogernesta Grimbergena*, krążownika czwartej generacji, którym miał od tej pory współdowodzić. Święcki uspokoił się tak szybko, ponieważ zrozumiał, że żałoba odbywana w trakcie lotu będzie się niewiele różnić od tej przeżywanej na stacji. Nigdzie nie miałby całkowitej prywatności. Ba, w czasie rejsu, zwłaszcza po wejściu w nadprzestrzeń, być może zdoła odciąć się od towarzyszy skuteczniej, niż byłoby to możliwe w sztabie, gdzie bez przerwy musiał się kontaktować z dyżurnymi, stawiać się na spotkania, przygotowywać analizy. Na Anzio nie dałby nawet rady zjeść posiłku w samotności, bo dyspensery znajdowały się wyłącznie w strefach socjalnych, a tam bez względu na porę zawsze panował tłok.

Może więc dobrze się stało, że pani kanclerz postanowiła wykorzystać śmierć mojego ojca do zarobienia kolejnych kilku punktów procentowych w sondażach, pomyślał Henryan. Pokazała mi po raz kolejny swoją prawdziwą twarz, dała jeszcze jeden dowód bezduszności, utwierdzający mnie w przekonaniu, że warto poświęcić naprawdę wiele, byle ją dopaść. Co też uczynię już wkrótce, pod warunkiem że Gruner mówił prawdę. Wystarczy tylko odpowiednio zaplanować trasę wypadu na linię frontu... Odzyskał spokój ducha, zanim minęła pełna doba od wylotu. Komandor Felipedro Gustafsson, jego tymczasowy partner, wykazał się większą empatią niż wszyscy politycy i admirałowie razem wzięci. Dzięki jego wsparciu nowy współdowódca, zaraz po obowiązkowej prezentacji i przejęciu obowiązków, mógł się zaszyć we własnej kajucie i tam pozostać do końca podróży. Dyżurni dostarczali mu co kilka godzin posiłki, zostawiając tace i znikając bezszelestnie jak duchy, za co był im równie wdzięczny jak temu, kto ich instruował.

Kilkanaście godzin pełnej izolacji pozwoliłoby mu na pełne odzyskanie równowagi. I tak właśnie by się stało, gdyby nie pewne, dość zaskakujące odkrycie...

Ryanthony Święcki, skromny nauczyciel historii z peryferyjnego systemu na

Terytoriach Zewnętrznych, zginął w wyniku tragicznego wypadku. Pech chciał, że na osobistą kapsułę kolejki miejskiej, którą jak co dzień wracał z pracy, spadł uszkodzony platformer. Prawdopodobieństwo, że do awarii grawitronu olbrzymiej maszyny transportowej dojdzie dokładnie nad skrzyżowaniem z linią kolejki łączącej osiem dzielnic mieszkalnych miasta z leżącymi w sąsiednim kraterze terenami przemysłowymi, było wielokrotnie mniejsze od ryzyka, jakie Henryan podejmował niemal codziennie, wyruszając w przestrzeń. A już możliwość trafienia jednej z ponad miliona kapsuł osobistych, które przemieszczały się nieprzerwanym strumieniem po magnetycznych torach, wydawała się tak mikroskopijnie mała, że równie dobrze można ją było pominąć w kalkulacjach. Do pomniejszych awarii tego wydajnego systemu transportowego dochodziło dwa, trzy razy w roku. Groźniejsze wypadki zdarzały się raz na kilka lat, a ofiary śmiertelne z całej historii istnienia kolejki można było zliczyć na palcach jednej ręki. Mimo to doszło do tragedii, która ze wszystkich ludzi zamieszkujących to ramię Galaktyki dotknęła właśnie jego, jakby losowi nie spодobało się zafundowane mu przez polityków pasmo awansów i sukcesów. Jakby jakaś wyższa siła pokazywała mu miejsce w szeregu, mówiąc: coś za coś.

Na godzinę przed wyjściem z kolejnego tunelu czasoprzestrzennego pogodził się z faktem, że jest ostatnim żyjącym członkiem rodziny. Po matce i jedynym bracie utracił także ojca, którego szczerze kochał, lecz z którym nie spotkał się osobiście od ponad dziesięciu lat. Ostatni raz „widzieli się” wkrótce po tym, jak Henryan opuścił kolonię karną. Admiralicja wyraziła wtedy zgodę na trzyminutową rozmowę przez łącza kwantowe bazy, w której przygotowywał się do misji na Xanie 4, co miało stanowić swoiste zadośćuczynienie za krzywdy doznane podczas niesłusznej odsiadki. Zważywszy jednak na fakt, że dzięki tej uprzejmości mógł zobaczyć i usłyszeć ostatniego krewnego, i to przebywającego niemal trzy tysiące lat świetlnych od stacji, gdzie go zakwaterowano, nie była to wcale tak mała przysługa, jak mogło się wydawać. Wojsko bardzo rzadko udostępniało łącza nadświatłne do rozmów prywatnych, ponieważ sekunda

takiej rozmowy kosztowała bająnskie sumy.

Od tamtej pory kontaktowali się tylko trzykrotnie, już tradycyjną drogą, przez statki kurierskie i stacje przesyłowe. Nie było w tym złej woli żadnej ze stron, po prostu nagrania potrzebowały aż osiemdziesięciu dni, by dotrzeć do adresata. Przestrzeń ujarzmiona w ostatnich stuleciach przez człowieka rozciągała się tak daleko, że trudno ją było ogarnąć nie tylko uzbrojonym w teleskop okiem, ale też rozumem. Przelot z jednych rubieży na drugie trwał mniej więcej tyle, ile piętnastowieczne wyprawy Krzysztofa Kolumba do Ameryki. Tyle że statki z napędem nadświatlnym pokonywały nie wody oceanu, lecz bezkresną pustkę kosmosu.

Wiadomość o tragicznej śmierci ojca wywołała u Henryana ogromny szok, tym większy, że nadeszła niespełna tydzień po ostatnim nagraniu dostarczonym regularną pocztą. Zwykle porównanie dat wystarczyło, by zrozumieć, że Rynthony Świącki zginął tego samego dnia, w którym nagrał wiadomość. Nie można było wykluczyć, że zrobił to dosłownie na chwilę przed feralnym zderzeniem...

Henryan przymknął zaczerwienione wciąż oczy. Myśl o tym, że ojciec uległ wypadkowi, bo na przykład został w pracy chwilę dłużej, by nagrać i nadać przesyłkę, wydała mu się tak realna, że musiał użyć całej swojej siły woli, aby wyrzucić ją z głowy, a przynajmniej usunąć sprzed oczu. Nie miał żadnego dowodu, że tak to właśnie przebiegło, nie zamierzał też wysłać prośby o sprawdzenie wszystkich logów, a tylko tym sposobem mógłby dotrzeć do faktycznej godziny nadania.

Może kiedyś, ale na pewno jeszcze nie dziś, zdecydował, wodząc wzrokiem po przesłanych mu rzeczach.

Nie było tego wiele; patrzył głównie na pamiątki rodzinne, dokumenty, kilka bibelotów zapamiętanych z dzieciństwa. Rozłożył je wszystkie na blacie niewielkiego stołu, w równym szeregu, jakby szykował się do okazania dowodów podejrzanemu. Pokręcił ze smutkiem głową. Jakże często widział Liambrose'a, który właśnie w taki sposób przygotowywał się do czekających go

przesłuchań. Dzięki niemu poznał wiele metod pracy czarnych, ale nigdy przenigdy nie przyszło mu do głowy, że jego brat, człowiek, którego szczerze podziwiał, mógł mieć coś wspólnego z tymi, którzy przesłuchiwali go brutalnie najpierw przed skazaniem, a potem na Xanie 4.

Dlaczego o tym teraz pomyślałem? zaczął pytać się w duchu. Skąd to skojarzenie?

Nie chciał się zadręczać, dlatego poprzesuwał szybko rzeczy po ojcu, wprowadzając ponownie chaos.

Pierścionek zaręczynowy i obrączka matki, jedyna biżuteria, jakiej ojciec nie sprzedał po jej przedwczesnej śmierci. Trzy czytniki z osobistymi dokumentami, które utraciły wszelką wartość po wypadku. Garść pamiątkowych hologramów, na których są najpierw wszyscy czworo, nieodmiennie roześmiani, a potem już tylko we trójkę: ojciec i dwaj niemal dorośli synowie. Patrząc na ułożone obok siebie chronologicznie hologramy, dostrzegał ciekawą zależność. Widniejący na nich ludzie mieli coraz poważniejsze miny. Ich uśmiechy bledły, jakby przeczuwali, że najlepsze już za nimi, choć tak naprawdę wtedy nie mogli tego jeszcze wiedzieć.

Odłożył ramki z hologramami i sięgnął po stożkowaty memoriał. Sądząc po ornamentyce i stanie, ten kawał metalu musiał pamiętać czasy sprzed poprzedniej wojny, może nawet wcześniejsze. Henryan podniósł urządzenie, zważył je w dłoni. Na kryształach schowanych pod obudową kryły się nagrania robione od kilku pokoleń. Pamiętał nabożeństwo, z jakim ojciec uruchamiał je przy specjalnych okazjach, aby mogli zobaczyć galerię przodków. Trafili do niej rozmaici ludzie: brzydki i ładni, szczupli i grubi, mówiący rzeczy mądre albo... zabawne. Każdy opowiadał część historii składającej się na sagę rodziny, która przed dwoma wiekami wyruszyła w gwiazdy, aby tam szukać lepszego, godniejszego życia. Czy je tam znalazła, to już inna sprawa.

Rozmyślając o przeszłości, Święcki przyłożył kciuk do aktywizatora. Zrobił to bezwiednie, niemalże odruchowo. Zdziwił się jednak, gdy poczuł na opuszcze bardzo lekkie, znajome mrowienie. Cofnął szybko palec, nie kryjąc zaskoczenia.



Czytnik DNA? W tym tandetnym złomie?

– Górne oświetlenie pełna moc! – rzucił wciąż zdziwiony tym odkryciem.

Przyjrzał się uważnie panelowi, w którym osadzono prostokątny klawisz o lekko zaoblonych rogach. Wszystkie części miały identyczny odcień, liczba rys i ich ułożenie także się zgadzały, nie mogła to więc być niedawna przeróbka. Ten memoriał został wyposażony w czytnik DNA dosyć dawno, a może nawet miał go od nowości... Henryan odwrócił urządzenie w dłoniach, obejrzał je uważnie ze wszystkich stron. Zwyczajny archiwizator, jaki można spotkać w niemal każdym domu, dlaczego więc ktoś zabezpieczył go w tak wyrafinowany sposób?

Czytniki DNA montowano zazwyczaj na spustach broni, aby tylko prawowity właściciel mógł jej użyć. W normalnym, cywilnym użytku rzadko się je spotykało, a jeśli już, trafiały do naprawdę wpływowych, zamożnych osób, które miały coś do ukrycia. Nowy sprzęt tego typu, zwłaszcza lepszej jakości, czytywał kod genetyczny w sposób niewyczuwalny, ale ten staroć był albo za mocno wyeksploatowany, jak panele dotykowe zamków na niektórych stacjach orbitalnych, albo zaczynał szwankować. Właśnie dzięki temu Świącki zdołał wyczuć, z czym ma do czynienia.

Usiadł prościej, nie wypuszczając memoriału z ręki. Przed wojną domową takie rejestratory były absolutną nowinką technologiczną. Nie kosztowały dużo, tak więc bardzo szybko rozpowszechniły się we wszystkich metasektorach. Nikt ich jednak nie zabezpieczał w równie skomplikowany i drogi sposób. Nie wspominając już o tym, że w tamtych czasach zminiaturyzowany czytnik kodu genetycznego musiał być wart fortunę. Do tego egzemplarz Świąckich był niesamowicie szybki, skoro ojciec uruchamiał go niemal natychmiast. Tak to przynajmniej pamiętał Henryan. A może to tylko złudzenie, wyidealizowany obraz, jak większość wspomnień obrabianych przez mózg dziesiątkami lat?

Memoriał spoczął ponownie na stole. Henryan pochylił się nad nim, przysunął kciuk do panelu, ale zaraz cofnął dłoń.

Ktoś musiał mieć dobry powód, aby tak się wykosztować, pomyślał,

przygryzając nerwowo dolną wargę. A może... Czy to przypadkiem nie kolejna wiadomość od Seiferta?

Docisnął opuszkę kciuka do powierzchni chłodnego metalu. Wspomnienia nie były wyidealizowane – czytnik działał błyskawicznie. Już po sekundzie Henryan zobaczył, jak szpic stożka jaśnieje i nad blatem pojawia się plątanina świetlnych linii układających się w zarys ludzkiej sylwetki.

– Wyłącz górne oświetlenie! – polecił systemowi.

Gdy kajuta pogrążyła się na powrót w głębokim półmroku, ujrzał wyraźnie twarz człowieka, który przed ponad stu laty spoglądał w obiektywy holograficznego rejestratora. Był to mężczyzna postawny i barczysty, ubrany w kombinezon charakterystyczny dla tamtej ery: wydrukowany z grubszego tworzywa, bardziej obcisły, za jaskrawy jak na dzisiejsze czasy. Najdziwniej jednak wyglądały jego włosy. W odróżnieniu od pozostałych mieszkańców kolonii z początków dwudziestego trzeciego stulecia miał gęsty zarost wokół ust, a do tego bujną kruczoczną czuprynę sięgającą od linii karku przez ciemną aż do krzaczastych brwi, jakby pochodził z...

– Jeśli mnie widzisz, to znaczy, że udało ci się uruchomić zabezpieczony kanał mnemonizera, a to z kolei oznacza, że nosisz moje DNA – odezwał się melodyjnym głosem mężczyzna z hologramu. – Nazywam się Robert Bukowski i tak, oczy cię nie mylą, jestem tym Pielgrzymem. Mam prośbę, wysłuchaj tego, co chcę ci po...

Święcki wyłączył memoriał, odskakując od stołu. Zamarł dopiero wtedy, gdy przywarł plecami do grodzi. Musiał przymknąć oczy, by zapanować nad przerażeniem i kłębiącym się w jego głowie wirami myśli.

Robert Bukowski, kapitan pierwszego statku-arki, który odleciał z Układu Słonecznego na długo przed odkryciem napędu podprzestrzennego i całe stulecie przed dokonaniem udanego skoku w studnię grawitacyjną. Legendarny Pielgrzym, który razem z trzystoma innymi śmiałkami zgłosił się do misji kolonizacyjnej odległego o niespełna dwadzieścia pięć lat świetlnych systemu gwiazdowego. W tamtych czasach był to akt niemałej odwagi. Podróż na tak

niewielką – oczywiście w dzisiejszej skali – odległość miała bowiem trwać równe sto siedemdziesiąt lat, które załoga powinna głównie przespać, spoczywając w komorach hibernacyjnych będących prymitywniejszą wersją kokonów stazy.

*Mayflower*, jak nazwano wspomniany statek, już po roku rozpędzania miał rozwinąć prędkość maksymalną, czyli .15 świetlnej. W rzeczywistości udało się go rozpędzić do niespełna .14 świetlnej, co spowodowało, że do celu dotarł z kilkunastoletnim opóźnieniem, budząc przy tym niemałe zdziwienie kolonistów zamieszkujących podówczas Betę i Deltę Centuriona, ponieważ był to jak do tamtej pory jedyny statek z napędem podświetlnym, który doleciał gdziekolwiek, a wysłano ich w dwudziestym pierwszym stuleciu dziesiątki, jeśli nie setkę.

Jeszcze większe zdumienie czekało wybudzanych tuż przed celem podróży astronautów, którzy stwierdzili, że dziewicza planeta tlenowa, jedna z pierwszych, jakie odkryli dwudziestopierwszowieczni naukowcy, okazała się zamieszkała przez... ludzi będących ich dalekimi potomkami. Niewiarygodny postęp techniczny, a zwłaszcza oba przełomy pozwalające na pokonanie bariery światła, pozwoliły ludzkości na swobodne przemieszczanie się w kosmosie i docieranie na odległości sięgające już nie pojedynczych parseków, lecz znacznie, znacznie dalej. Pięćdziesiąt lat po starcie *Mayflower* dokonano pierwszego udanego skoku podprzestrzennego, a kolejne sześć dekad później eksperymentalna sonda pokonała w niespełna siedemnaście godzin tunel czasoprzestrzenny dzielący Układ Słoneczny od potrójnego systemu Centaura, co zmieniło po raz kolejny i na razie ostateczny obraz podróży kosmicznych.

Centuriona, będącego celem zaginionej na niemal dwa stulecia wyprawy, zasiedlono niedługo po odkryciu tego pierwszego napędu, zatem gdy *Mayflower* zbliżył się po stuosiemdziesięciotrzytyletnim locie do peryferii systemu – napęd klasyczny wymagał, aby arka zdążała do celu, omijając heliosferę leżących po drodze gwiazd – na obu planetach rodziło się już czwarte pokolenie ziemskich kolonistów. Ludzi bardzo podobnych, a jednak różniących się szczegółami

wyglądu od wybudzonych antenatów. Niemal dwa wieki ewolucji sprawiły na przykład, że człowiek zyskał sporo na wzroście, ale stracił też większość owłosienia. Bujne włosy na głowie oraz zarost na policzkach, na brodzie i pod nosem widywano już tylko na archiwalnych nagraniach, dlatego Pielgrzymi – poza krótkim okresem zapoczątkowanej ich wyglądem mody na wszczepianie włosów – wyróżniali się z tłumu wszędzie tam, gdzie trafili.

Obie strony nie kryły zdziwienia, gdy doszło do pierwszych kontaktów. Pielgrzymi byli zszokowani faktem, że ich poświęcenie nie miało sensu, koloniści zaś nie potrafili zrozumieć, jak ktoś przy zdrowych zmysłach mógł się zdecydować na to, by spędzić wiele dziesiątek lat w komorach hibernacyjnych, ryzykując przy tym utratę zdrowia, a nawet życia – ten konkretny lot przetrwało tylko stu siedemnastu z trzystu członków załogi – aby dotrzeć tam, gdzie oni dolatywali po kilku godzinach rutynowego rejsu.

Robert Bukowski płakał jak bóbr, kiedy wsadzono go kilka dni później na pokład nowoczesnego okrętu, by złożyć wizytę na Ziemi. Podróż ta, wraz z trzema transferami wewnątrzsystemowymi, zajęła mu bowiem niespełna piętnaście godzin, zdążył więc wrócić do swoich towarzyszy już następnego dnia, licząc rzecz jasna w standardowych miarach czasu, ponieważ na Alfie Centuriona doba trwała nieco ponad sześćdziesiąt cztery ziemskie godziny.

Po nagłośnieniu sprawy przez media i polityków Pielgrzymi stali się wielkimi celebrytami. Tylko kilkunastu z nich zdecydowało się na powrót na Ziemię, gdzie zostali podjęci z ogromnymi honorami i dożyli późnej starości wśród praprapraprapraprapraprawników. Reszta kontynuowała w tej lub innej formie podróż do gwiazd, rozkoszując się zasłużoną sławą i popularnością. Teraz mogli pokonywać przestrzeń dzięki najnowocześniejszej technologii, co umożliwiło im dotarcie aż do granic terytoriów zajętych przez człowieka. Przy okazji krzewili wiedzę o wcześniejszych stadiach podboju kosmosu.

Choć wszyscy Pielgrzymi byli na swój sposób sławni, tylko jeden z nich zapisał się na kartach historii w szczególny sposób. Robert Bukowski, kapitan *Mayflower* uznawany powszechnie za nieformalnego przywódcę tej grupy,

kilkanaście lat po wybudzeniu stanął na czele rewolty kolonistów, która zapoczątkowała wojnę domową, a gdy wśród buntowników doszło po jakimś czasie do rozłamu, opowiedział się za odrzuceniem forsowanych przez Ziemię porozumień i stworzył tak zwaną frakcję separatystów, do której należeli ludzie odmawiający jakichkolwiek pertraktacji i dążący do całkowitego oderwania objętych rebelią terytoriów od powstającej właśnie Federacji.

Wtedy to doszło do gwałtownego zaognienia konfliktu, który zakończył się długą serią niewyobrażalnych zbrodni i rzezi. Bukowski także postradał życie. Nic więc dziwnego, że gdy tylko wojna dobiegła kresu, został uznany przez zwycięskich integrystów za prowodyra i głównego winowajcę, który o mały włos nie doprowadził ludzkości na skraj zagłady. Wyrok Trybunału Międzymetasektorowego skazał go na pośmiertne wyklęcie po wsze czasy.

Zburzono oba postawione mu jeszcze przed odnalezieniem się *Mayflower* pomniki, ten na Ziemi i ten na Becie Centuriona, oraz każdą tablicę pamiątkową i każde popiersie – a tych były już tysiące – jakie ufundowano w okresie dzielącym przybycie do celu jego arki i wybuch rewolty. Usunięto też z oficjalnych archiwów wszelkie pozytywne lub choćby neutralne wzmianki na jego temat, a bardzo dalecy krewni – bliższych bowiem nie posiadał – wyrzekli się go publicznie i jak najbardziej dobrowolnie, choć kilka lat wcześniej szczycili się tak znanym przodkiem.

Rząd powstającej właśnie Federacji zadbał też o to, by nie pozostał po Bukowskim żaden materialny ślad, co miało również miejsce w przypadku ponad tuzina innych zbrodniarzy wojennych, należących (co naprawdę ciekawe) do obu stron konfliktu. Jedyne źródło informacji, w którym po latach nadal można było znaleźć wzmianki o Robercie Bukowskim, stanowiły zapisy popełnionych z jego inspiracji przestępstw.

Aż do chwili obecnej historycy wydawali się także zgodni co do jednego: że nie pozostawił on po sobie żadnego potomka.

Święcki przyglądał się stojącemu na stole urządzeniu, nie wiedząc, co powinien zrobić. Szok, którego doznał zaledwie dzień wcześniej z powodu

wiadomości o tragicznej śmierci ojca, był niczym w porównaniu z ciosem, jaki spadł mu na głowę w momencie aktywacji memoriału czy też mnemonizera, jak nazywano to urządzenie w czasach Pielgrzymów. Henryan nie potrafił uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

Mam być potomkiem, i to w linii prostej, największego zbrodniarza wszech czasów? znów katował się pytaniami. Człowieka odpowiedzialnego za rozpętanie dantejskiego piekła aż w dwóch metasektorach?

Nagle dotarło do niego, że oboje jego rodzice musieli o wszystkim wiedzieć. Czyż nie dlatego tylko ojciec włączał memoriał, a matka nigdy go nie tykała? Tak, to zaczynało się układać w logiczną całość. W zupełnie nowym świetle stawało także przedwczesne odejście matki... Czyżby nie wytrzymała konfrontacji z prawdą?

Pytania mnożyły się z każdą sekundą. Wracały wspomnienia z dzieciństwa i młodości, wyrwane z kontekstu wypowiedzi, których znaczenia wtedy nie rozumiał, lecz które teraz idealnie pasowały do jego podejrzeń. Ojciec wielokrotnie powtarzał jemu i bratu, że kiedy dorosną, powinni z dumą nosić brzemień własnego dziedzictwa, ale dla nich było to tylko czcze gadanie. Uważali, że staruszek wspomina co najwyżej dziadka matki, który stoczył się najpierw, a potem przepił i przetracił cały majątek. Podówczas nikt nie wiedział, co spowodowało jego nagłe załamanie, ale wystarczył jeden rzut oka na błyszczący stożek, by Henryan zrozumiał motywy, które popchnęły jego pradziadka do zgubnej w skutkach autodestrukcji. Jeżeli dowiedział się prawdy o własnych rodzicach w podobny sposób, miał wszelkie prawo się załamać.

Wtedy, niecałe dwadzieścia lat po wojnie, która dotknęła osobiście niemal każdą rodzinę, ludzie biorący udział w niekończących się walkach bądź będący ich świadkami nieporównywalnie silniej przeżywali traumy związane z będącym ich udziałem koszmarem, nic dziwnego więc, że informacja o bliskim pokrewieństwie z człowiekiem odpowiedzialnym za ogrom popełnionych zbrodni mogła ich zabić. Nawet dzisiaj, trzy pokolenia później, choć wojna domowa przeszła już do historii, nadal budziła demony, czego przed chwilą

Henryan doświadczył na własnej skórze.

– Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś?... – wyszeptał ze skargą w głosie, kierując te słowa do hologramów przedstawiających jego i ojca.

Głupie pytanie. Doskonale wiedział, czemu Ryanthony Święcki milczał jak grób. Taka wiadomość złamałaby ich jak wcześniej jego. Henryan w końcu pojął, dlaczego ojciec, tak dobrze zapowiadający się naukowiec, porzucił uniwersytet i zaszył się wkrótce po ślubie na największym zadupiu. Dlaczego w pewnym momencie stracił apetyt na życie. Dlaczego przestał się uśmiechać...

Z zamyślenia wyrwało go brzęczenie komunikatora.

– Święcki, słucham.

– Generale majorze, za pięć minut opuścimy nadprzestrzeń – usłyszał głos współdowódcy krążownika.

– Będę na czas – obiecał.

# PIĘĆ

*System Monroe, Sektor Gamma,*

*18.03.2355*

Operacja zaplanowana przez admiralicję i panią kanclerz jako jego kolejny bohaterski wyczyn miała polegać na ocaleniu orbitalnej kopalni i przetwórnicy liteonu dryfującej obecnie w kierunku centrum Systemu Nimbus 7, leżącego jeden skok od układu planetarnego, w którym obecnie przebywał *Rogernest Grimbergen*. Henryan poprosił więc komandora, aby ten powiadomił go ze stosownym wyprzedzeniem o wyjściu z nadprzestrzeni, ponieważ System Monroe także znajdował się na potencjalnym szlaku Obcych, a co za tym idzie, w tutejszej – fałszywej i wciąż jeszcze rozbudowywanej kolonii – mogli znajdować się ludzie pełniący rolę żywej przynęty.

Święcki nie mógł jednak poprosić Felipedro Gustafssona, aby ich okręt zboczył z kursu, dzięki czemu przyjrzeliby się z bliska każdej z trzech planet, na których wciąż pracowały przemysłowe drukarki floty. Taka aktywność musiałaby zostać odnotowana w dzienniku pokładowym krążownika, co – zwłaszcza w razie niepowodzenia podjętych poszukiwań – bez wątpienia nie uszłoby uwagi agentów wydziału kontrolujących przebieg misji i zakończyłoby się bolesną wpadką, gdyż Henryan nie znalazłby sensownego wytłumaczenia swoich działań, a powiadomiona o nich Modo z pewnością nie miałaby najmniejszych wątpliwości, co zamierzał osiągnąć.

Wątpił też, by porzuceni w tym systemie koloniści – jeśli rzeczywiście istnieli



– mieli dostęp do sprzętu pozwalającego im na nadanie wezwania, na które mógłby zareagować, jak nakazywało prawo. Zresztą nawet gdyby udało im się zbudować nadajnik, jak miałyby odróżnić prawdziwe wołania o pomoc od tych, które wpisano w program maskujący operację zwodzenia wroga? Nasłuchał się od marynarzy wracających z poszukiwania sond, iż transmisje odbierane z fałszywych kolonii wyglądały tak autentycznie, że służący w strefie frontowej łącznościowcy blokowali dostęp do każdej cywilnej częstotliwości.

Czy doświadczony dowódca pokroju Gustafssona dałby się przekonać do podjęcia akcji ratunkowej na podstawie odsłuchania jednego z takich komunikatów? Raczej nie... Świącki, nie posiadając tej wiedzy, którą zdobył dzięki Seifertowi, także wyśmiałby każdego, kto by do niego przyszedł z podobnymi rewelacjami. Właściwie to nadal nie do końca wierzył w to, co zdawał się sugerować Gruner, zanim nagranie zostało przerwane. Henryanowi nie mieściło się w głowie, że Rada czy też admiralicja mogłaby świadomie skazać na śmierć setki tysięcy ludzi – albowiem o takim rzędzie należało teraz mówić. To była zbrodnia tak niesłychana, że jej ujawnienie powinno wysadzić z siodła każdego, kto wiedział o tym procederze, więcej nawet: stawiała tych drani w jednym szeregu z wyklętymi separatystami...

Na samo wspomnienie Bukowskiego zrobiło mu się zimno, bardzo zimno. Siedzący tuż obok komandor musiał to zauważyć, ponieważ nachylił się w jego stronę, pytając z niepokojem w głosie:

– Wszystko w porządku, generale majorze?

– Nie spałem zbyt dobrze minionej nocy – wymamrotał Świącki, podając pierwszy lepszy powód swojej niedyspozycji.

– Rozumiem. – Gustafsson wyprostował się w fotelu, niespecjalnie przekonany. – Może powinien pan coś zażyć – zaproponował, zniżając głos. – Za niespełna siedem godzin znajdziemy się w docelowym systemie.

– Tak zrobię – obiecał Henryan, byle zakończyć tę rozmowę.

Po raz kolejny pozwolił sobie na wielką nieostrożność. Bynajmniej nie z powodu zmęczenia ani braku stymulantów w krwioobiegu. W jego żyłach

krażyła podwójna porcja koktajlu serwowanego przez automaty, a mimo to wciąż nie umiał sobie poradzić z lękami nawiedzającymi go za każdym razem, gdy tylko pomyślał o memoriale. Świadomość, że coś go łączy z Bukowskim, rozbijała go dosłownie na atomy. Właśnie dlatego potrzebował aż kilku sekund, żeby odzyskać równowagę. Właśnie dlatego dał się przyłapać siedzącemu obok komandorowi, który – co zrozumiałe – odtąd nie spuszczał z niego oka.

Mieć za współdowódcę największego bohatera Federacji, w dodatku przechodzącego tak trudny moment, to musiało być naprawdę coś zarówno dla Gustafssona, jak i dla załogantów. Przyglądając się dyskretnie stanowiskom wokół, Henryan zauważył zaciekawione miny i zbyt często rzucane w jego stronę ukradkowe zerknięcia. Pewnie był przewrażliwiony, ale ci ludzie poświęcali mu zdecydowanie za dużo uwagi, aby mógł czuć się komfortowo.

Niedobrze, pomyślał. Potrzebuję nieco więcej swobody, jeśli mam mieć szanse na realizację planu.

Tak, miał plan. Mimo dołu i rozbicia zdołał wymyślić, jak oszukać wewnętrznego wroga. Pochylił się nad konsolą, wprowadził szereg komend, odhaczył kolejne raporty. Zrobił to, co należało do jego podstawowych obowiązków. System każdego okrętu floty – rzecz jasna z wyjątkiem wprowadzanych obecnie do służby piątek – był wyposażony w identyczny interfejs główny, Święcki zatem nie miał najmniejszego problemu z poruszaniem się po bankach danych *Grimbergena*. Schody zaczynały się dopiero przy grzebaniu w funkcjach przypisanych wyłącznie do tej klasy okrętów, ale dla oficera z jego doświadczeniem nie powinna to być zbyt poważna przeszkoda. Niemniej poświęcił za mało czasu na to, by zapoznać się z unikalnym oprogramowaniem, i w tym konkretnym momencie mógł sobie tylko pluć w brodę.

– Komandorze, nie będzie miał pan nic przeciw temu, jeśli zarządzę małe ćwiczenia? – rzucił przez ramię po pobieżnym przejrzeniu ustawień.

– Ćwiczenia? – zdziwił się Gustafsson.

– Ta sytuacja z ojcem rozbiła mnie trochę – wyznał Henryan, przybierając

skruszoną minę. – Sam pan widział. Przyda mi się trochę adrenaliny, poza tym chciałbym wyczuć ten okręt, zanim wejdziemy do prawdziwej akcji. To mój pierwszy przydział od dłuższego czasu, boję się, że mogłem nieco zardzewieć za biurkiem.

– Rozumiem. – Komandor uśmiechnął się przyjaźnie. – I nie widzę przeciwwskazań. Z przyjemnością poćwiczę u pańskiego boku, generale majorze.

– Postaram się zaskoczyć pańskich ludzi – obiecał Święcki, zanim ponownie zagłębił się w bankach danych.

Niedawna wpadka, paradoksalnie, mogła przynieść mu korzyść. Gustafsson nie odmówił, choć miał do tego pełne prawo. Harmonogram misji był bardzo napięty, a Obcy nie zamierzali przecież czekać, aż bohater Federacji wyszaleje się w sąsiednim systemie. Mimo to komandor, jako zawodowiec, którym bez wątpienia był, zauważył w mgnieniu oka, że człowiek, od którego rozkazów zależało przetrwanie jego okrętu i załogi, znacznie się różni od herosa wykreowanego przez media. Już przy pierwszym spotkaniu dostrzegł jego chwilową słabość, a że rozumiał jej powody – lub tak przynajmniej mu się wydawało – robił teraz, co mógł, aby uratować sytuację, za co Święcki był mu naprawdę wdzięczny.

Ćwiczenia miały być wybiegiem pozwalającym na spenetrowanie systemu bez zwracania na siebie uwagi. Henryan zaplanował ich przebieg już wcześniej, zanim otrzymał przydział, wiedział bowiem, że to może być jedyny sposób na ustalenie prawdy. W razie niepowodzenia po prostu polecą dalej, ale jeśli biorąca udział w manewrach sonda pozoracyjna, nad którą załoga utraci kontrolę już za chwilę, zdoła odkryć ślady obecności ludzi na Alfie, Becie albo Delcie Monroe...

Święcki uśmiechnął się pod nosem.

Gustafsson nie będzie miał wyjścia, pomyślał ucieszony. Akcja ratunkowa zostanie podjęta, a po jej zakończeniu, gdy wszyscy straceńcy złożą zeznania poparte zdobytym wcześniej nagraniem...

Miał nadzieję, że Modo upadnie z tak głośnym hukiem, że usłyszą to nawet ludzie przebywający w próżni.

– Gotowi? – rzucił przez ramię.

– Już teraz? – W głosie komandora Henryan wyczuł zaskoczenie.

– Tak – odparł z udawanym zapałem. – Przećwiczmy na początek klasyczny scenariusz. Do punktu skoku mamy trzy godziny lotu, zdążymy więc zrobić coś bardziej skomplikowanego tuż przed opuszczeniem tego systemu.

– To mi się podoba! – przyklasnął propozycji Gustafsson.

Jego obawy topniały jak – nie przymierzając – zapasy tlenu w rozhermetyzowanym przedziale. Bohater Federacji z każdą chwilą odzyskiwał wigor, co dobrze rokowało misji. Wbrew pozorom bowiem akcja na Nimbusie 7 mogła być mniej bezpieczna, niż wszyscy myśleli.

Plan admiralicji zakładał, że pchacz jonowy dotrze do unieruchomionej kopalni liteonu niespełna dwadzieścia minut przed nadlatującymi t'iru. Na stabilne przycumowanie do przemysłowego giganta i odpalenie napędu podprzestrzennego trzeba kwadransa – minimum kwadransa – tak więc od ewentualnej porażki będą ich dzielić chwile. Przy tak wąskim marginesie czasu nawet najmniejsze opóźnienie mogło doprowadzić do ogromnej tragedii, dlatego dowodzący operacją oficer od samego początku musiał działać na najwyższych obrotach.

Tymczasem Gustafsson, widząc zaczerwienione oczy i drżące dłonie współdowódcy, poważnie wątpił, czy ów stanie na wysokości zadania. Farmaceutyki bywały przydatne w podobnych sytuacjach, ale nawet one mogły tylko wspomóc rzutki umysł – z wraku człowieka raczej niewiele się wykrzesze, a Święcki wyglądał na totalnie zdruzgotanego.

Komandor nie miał pojęcia, czemu admiralicja zdecydowała się podjąć tak wielkie ryzyko. Tłumaczenie, że chodzi o odwrócenie uwagi Obcych i maksymalne opóźnienie ataku na główną kolonię, nie przekonywało go ani trochę, czuł bowiem, że wróg swoim zwyczajem podzieli siły, zamiast rzucić wszystkie jednostki w pościg za łakomym kąskiem, jakim niewątpliwie była

odholowywana stacja orbitalna tych rozmiarów. Zatrzymał jednak tę opinię dla siebie, ponieważ był karnym oficerem i posłusznie wykonywał rozkazy, choć nie raz miał ochotę polemizować z ich treścią.

W tym wypadku prawdziwą nagrodą była możliwość błysnięcia u boku Święckiego. To był jego moment chwały, którego ani myślał spieprzyć. Druga taka okazja mogła się już nigdy nie nadarzyć, zamierzał więc zrobić wszystko co w jego mocy, by *Rogernest Grimbergen* zapisał się złotymi zgłoskami w annałach floty. Manewry przed właściwą akcją zaś dawały załodze szansę na zgranie się z nowym współdowódcą. Gustafsson był pewien swego okrętu i swoich ludzi, wiedział, że go nie zawiodą bez względu na stopień trudności testu. Sam liczył na naprawdę niełatwe zadanie i dlatego uśmiechał się szeroko, czytając założenia czekających ich ćwiczeń.

– Ogłosić alarm bojowy! – zawołał w kierunku stanowiska pionu łączności.

Z chwilą uruchomienia syren utracił status ważniejszego współdowódcy krążownika. Odtąd miał wykonywać rozkazy generała majora jak każdy inny oficer i marynarz na pokładzie *Grimbergena*.

Święcki przejął płynnie dowodzenie.

– Odpalić pozoratory jeden, dwa, trzy, pięć, sześć, osiem, dziesięć i dwanaście!

Widać było, że wie, co robi. Uniesienie bojowe i związany z nim zastrzyk adrenaliny zmieniły go nie do poznania. Smutek żałoby został wyparty przez profesjonalizm, lęki ustąpiły pod naporem determinacji, wir myśli stał się na powrót zwartym rwącym strumieniem. Nie było czasu na nic poza instynktownym działaniem.

Największe sondy ćwiczebne, zdolne do symulowania jednostek bojowych wielkości korwet, fregat, niszczycieli, a nawet lekkich krążowników, odrywały się kolejno od kadłuba przyśpieszającego *Grimbergena*. Po dziesięciu sekundach wolnego lotu uruchomiły główne napędy, formując dwie identyczne eskadry. Kolejne trzy minuty trwało zajmowanie przez nie pozycji wyjściowych. W tym czasie załoganci musieli dotrzeć na stanowiska bojowe, przeprowadzić testy

pośpiesznie aktywowanych systemów i namierzyć wroga.

Gustafssona rozpierała duma. Wyszkolił swoich podwładnych najlepiej, jak umiał. Dziesięć sekund przed upływem czasu przeznaczonego na ten etap ćwiczeń wszyscy byli gotowi do ataku.

Pora na zaskoczenie, pomyślał Henryan, naciskając kolejny wirtualny klawisz.

Sondy, które dla systemów bojowych *Grimbergena* były teraz najprawdziwszymi okrętami wojennymi, ruszyły w pościg za uciekającym celem, zanim timery odliczyły do końca czas pierwszego etapu ćwiczeń. Praktycznie każdy członek załogi został przez to wytrącony z równowagi. Świątki widział to na przywołanych wcześniej odczytach. W prawdziwym starciu, gdzie człowiek widzi wroga na całe godziny przed nawiązaniem z nim kontaktu bojowego, trudno o jakiegokolwiek zaskoczenie – przynajmniej w początkowej fazie bitwy, kiedy wszystko podporządkowane jest wynikającym z regulaminów przygotowaniom. Jednakże ta wojna była precedensowa. W niepamięć odeszły starcia w punktach Lagrange'a i statyczna walka, do której szkolono załogi od zamierzonych czasów. Nawet nowo wprowadzone zasady mogły w każdej chwili ulec zmianom, ponieważ nic nie wskazywało na to, by Obcy mieli zamiar stosować się do znanych ludziom metod walki.

Chociaż jak dotąd ma'lahn okazali się do bólu przewidywalni, na pewno nie byli głupcami, co udowodnili na Rwandzie i później. Nie sposób więc było przewidzieć, jak bardzo zmienią dotychczasową taktykę, gdy trafią na bardziej zdecydowany opór i zaczną ponosić straty. Henryan już dawno uznał, że skoro w tym równaniu występuje tyle niewiadomych, czas pójść dalej niż przeciwnik. Tylko tak ludzie mogli przejąć inicjatywę, a pierwszym krokiem do tego celu powinna być zmiana przyzwyczajzeń, wprowadzenie na pole bitwy elementu chaosu, z którym trzeba będzie się oswoić na dobre, jeśli plan Farlanda nie wypali.

Porażka wyprawy na Zero może oznaczać długą wojnę na wyniszczenie, pomyślał Henryan. A my nie jesteśmy na nią jeszcze gotowi. Szkoda, że

najwyższy admirał nie chce tego dostrzec i tak sztywno trzyma się zasad.

Święcki, wprowadzając w życie swój plan, zamierzał usmażyć dwa cele jedną emisją promienia. Po pierwsze wytropić „przynęty” Modo, a po drugie udowodnić sztabowcom, jak potrzebne jest nowe spojrzenie na ten element szkolenia. Wiedział, że przebieg tej misji – a więc i ćwiczeń – będzie śledzony nie tylko przez wydział, zatem niejeden myślący człowiek powinien dostrzec rangę problemu po nieuniknionej porażce załogi *Grimbergena*.

Na razie nic jeszcze nie zapowiadało przegranej. Gustafsson wywiązywał się bardziej niż dobrze z roli sternika, kontruując każde posunięcie ścigających go eskadr, lecz i tak dzielący go od wroga dystans malał z każdą chwilą. Jeszcze minuta, dwie, a siądą mu na ogonie, ponieważ mają przewagę prędkości większą nawet od tej, jaką dysponują t'iru, a gdy zrobi się naprawdę gorąco...

Z każdym procentem traconej przewagi rosła nerwowość załogi. Jednym prostym posunięciem Henryan odebrał marynarzom całą pewność, z jaką podchodzili dotychczas do ćwiczeń. Nie musiał robić nic więcej, wystarczyło siedzieć i czekać w spokoju na nieuniknioną katastrofę. Komandor popełnił właśnie pierwszy poważniejszy błąd: zbyt szybko wykonał unik przed pozorowanym oskrzydleniem, przez co pozwolił jednej z eskadr na znaczne skrócenie dystansu. Niemal natychmiast się zorientował, na czym polegał podstęp, ale decyzja, którą podjął w następnej kolejności, doprowadziła do dalszego pogorszenia sytuacji. Wróg nie wycofał się jak powinien, a wręcz przeciwnie, kontynuował wykonywany manewr, czym do reszty zdezorientował Gustafssona. To był początek szybkiego końca tego starcia.

Pół minuty później *Grimbergen* trafił w pole rażenia obu formacji wroga naraz, co zakończyło się jego wyparowaniem w ciągu ułamka sekundy.

– Nie mieliśmy żadnych szans – stwierdził komandor, gdy system obwieścił zagładę jego okrętu.

– Nie mieliście – zgodził się z nim Święcki.

– Osłabianie morale załogi nie wydaje mi się najlepszym pomysłem, generale majorze. Zwłaszcza w przededniu tak ryzykownej misji – dodał urażony

współdowódca.

– Nie chodziło mi o to, by zaszkodzić pańskim ludziom, komandorze.

– To teraz także pańska załoga – przypomniał mu Gustafsson.

– Wiem.

– Jaki zatem był cel tych manewrów?

– Chciałem wam uzmysłwić, że nie możemy polegać na dotychczasowej taktyce. Już niedługo staniemy do walki z Obcymi. Co będzie, jeśli nas czymś zaskoczą?

– Jeszcze nigdy tego nie zrobili.

– I tu się pa... – Święcki w ostatniej chwili ugryzł się w język. Załoganci *Grimbergena* nie mieli pojęcia o Rwandzie, dla nich ta bitwa nigdy nie miała miejsca, a on o mały włos wyjawiłby im największy sekret tej wojny... – Ma pan absolutną rację, komandorze – poprawił się szybko. – Nie znaczy to jednak, że nie powinniśmy się spodziewać niespodzianek. Proszę zauważyć, że po Sankt Petersburgu Obcy stali się ostrożniejsi. Wprawdzie nadal stosują sprawdzoną taktykę, ale zwiększyli liczebność eskadr. Podejrzewam... a nie jestem w swej opinii odosobniony... że dalsze porażki doprowadzą do diametralnej zmiany ich zachowań. Koniec z obroną raz na zawsze taktyką. Im częściej będziemy ćwiczyć różne sytuacje, tym elastyczniejsze będą załogi w trakcie prawdziwej walki.

– To... ma sens – przyznał Gustafsson. – Niemniej...

Nie zdążył dokończyć. Na głównym ekranie pojawiła się pulsująca czerwienią ikonka.

– Co się dzieje? – zapytał Święcki, podnosząc głos.

– Melduję, generale majorze, że utraciliśmy kontakt z jedną sondą! – zameldował mocno podenerwowany dyżurny z pionu uzbrojenia.

– Jak to: utraciliśmy kontakt?

– Jej transponder jest nieaktywny. Systemy nie reagują na nasze wezwania. Nie zawróciła jak pozostałe siedem sond.

Henryan powiększył sektor wyświetlacza, na którym znajdowała się czerwona



ikonka. Sprawdził szybko wszystkie odczyty.

– Dziwne – mruknął. – Nie było żadnego komunikatu o awarii. – Odwrócił się do współdowódcy. – Możemy zboczyć z kursu, żeby ją podebrać?

Gustafsson pokręcił głową.

– Niestety nie. Nie mamy na to czasu.

– Szlag. To draństwo jest warte kupę pieniędzy.

– Fakt. Intendentura obedrze nas ze skóry za pozostawienie jej tutaj.

– Chyba że... – Świącki sprawdził coś jeszcze, po czym uśmiechnął się tryumfalnie. – Jeśli dokonamy niewielkiej korekty planu, możemy wrócić przez ten system. Wtedy ją podbierzemy. Na spokojnie. I będzie okazja do przeprowadzenia kolejnych ćwiczeń, tym razem już bez niespodzianek – obiecał.

# SZEŚĆ

*System Nimbus 7, Sektor Gamma,*

*19.03.2355*

Jakiż to był gigant!

Orbitalna kopalnia i zarazem przetwórnia liteonu należała do największych instalacji tego typu, jakie kiedykolwiek pracowały na Rubieżach. Jej walcowaty korpus miał ponad trzy kilometry długości i niemal osiemset metrów średnicy, a był to zaledwie wycinek faktycznych rozmiarów, gdyż do stanowiącego trzon tej stacji kadłuba przylegało aż czternaście niewiele mniejszych członów – zespołów wydobywczych, siłowni, magazynów, przetwórni, doków. Całość wyglądała pokraccznie, jak zabawka poskładana przez dziecko z niepasujących do siebie elementów, lecz to nie przeszkadzało byłym i obecnym właścicielom zarabiać na niej grube miliardy, a to dlatego że pierwiastek pozyskiwany z górnych warstw atmosfery tutejszego gazowego olbrzymia osiągał zawrotne ceny.

W normalnych warunkach na *Enterprise* pracowało ponad szesnaście tysięcy ludzi, z czego obecnie pozostało tylko pięciuset, ponieważ tyle osób musiała liczyć podstawowa obsada, bez której ten kolos nie drgnąłby z miejsca. Problem polegał na tym, że choć akcję ewakuacyjną rozpoczęto z większym wyprzedzeniem niż trzeba, nie udało się jej doprowadzić do końca – wysłużony zespół napędowy raczył odmówić posłuszeństwa, zanim kompleks osiągnął maksymalną prędkość przelotową.

Admiralicja zarządzana przez Farlanda nie zlekceważyła wołania o pomoc, jak by to się stało za czasów Xiao. Szybko rozpoznano sytuację i zareagowano adekwatnie, wysyłając jeden z najpotężniejszych i najnowocześniejszych pchaczy floty. Niestety ta powolna, zarekwirowana korporacji jednostka potrzebowała aż trzech dni na przelot przez osiem pasów, a pech chciał, że stacja monitorowania strefy skoku na Nimbusie 7 umilkła niemal dwie doby przed spodziewanym pojawieniem się Obcych.

Rozpoczął się dramatyczny wyścig z czasem. Dalsze holowanie giganta nie wchodziło w grę. Rejs w kierunku gwiazdy centralnej zakończyłby się równie tragicznie jak pamiętna akcja kapitanów gazowców, przyjęto zatem, że jedynym sposobem na ocalenie tak cennej instalacji i nie mniej od niej cennego urobku będzie skok w podprzestrzeń, wykonany natychmiast po scaleniu z pchaczem.

Henryan zdawał sobie sprawę, że jego obecność na Nimbusie 7 jest całkowicie zbędna. *Rogernest Grimbergen* nie mógł ani przyśpieszyć operacji, ani przeszkodzić wrogowi w jej ewentualnym przerwaniu. Skoro jednak kazano mu się pojawić na pierwszej linii, uczynił to. Skoro polecono mu asystować przy ostatnim etapie ewakuacji, zaraz po powrocie do normalnej przestrzeni ustalił kurs pozwalający na dotarcie w pobliże dryfującej stacji, aczkolwiek dopiero po minięciu jedynej planety tego systemu, na której człowiek nie zginąłby marnie natychmiast po wylądowaniu. Tak się bowiem składało, że zbudowane tam ostatnio kolonie interesowały go znacznie bardziej niż właściwy cel tej misji, na który i tak nie miał najmniejszego wpływu.

*Rogernest Grimbergen* wszedł do zagrożonego atakiem systemu trzydzieści sześć godzin po zniszczeniu przez Obcych stacji monitorującej strefę skoku. To znaczyło, że do rozpoczęcia potencjalnego ataku pozostało od czterech do sześciu godzin. Niby niewiele, ale wystarczająco dużo, by Święcki miał czas na zrealizowanie następnego etapu obmyślonego przez siebie planu.

„Awaria” sondy na Monroe pozwoliła mu wdrożyć kilka procedur kontrolnych własnego pomysłu. Jedną z nich było odpalenie kolejnego urządzenia, oczywiście po wcześniejszej pełnej diagnostyce przeprowadzonej

przez najlepszych inżynierów i techników z załogi Gustafssona. Henryan polecił skierować sondę na niską orbitę planety, obok której mieli przelatywać, aby tam przetestować wszystkie systemy w możliwie trudnych warunkach. Komandor nie sprzeciwiał się ani temu pomysłowi, ani oddaniu pełnego nadzoru nad operacją Świąckiemu, ponieważ też był świadom faktu, że jego okręt pełni rolę przysłowiowego kwiatka do kożucha, jak obrazowo ujął to w jednej z rozmów generał major.

W gruncie rzeczy komandor cieszył się, że odzyskujący pełnię sił bohater Federacji nie zamierza urządzać bezsensownych pokazów, szarżując w świetle holokamer na przeważające siły Obcych i narażając *Grimbergena* na niepotrzebne ryzyko. Obu im zależało na powodzeniu misji, lecz nie mając najmniejszego wpływu na jej przebieg, mogli co najwyżej zabijać czas szukaniem powodów dziwnej awarii sondy. Dla miliardów widzów, którzy za jakiś czas zobaczą relację z akcji ratunkowej, nie będzie miało znaczenia, czy krążownik ze Świąckim na pokładzie był sekundę czy minutę świetlną od wroga, chyba że dojdzie do najgorszego i pchacz nie zdoła wyrzucić cennego ładunku w podprzestrzeń.

To ostatnie było jednak mało prawdopodobne. Składający się z trzech reaktorów i pięciu dysz zespół napędowy sunął gładko ku dryfującej stacji. Znajdował się już o trzy godziny i czterdzieści minut lotu od celu, zatem gdyby nawet Obcy pojawili się na *Nimbusie 7* w tym momencie, zdążyłby spokojnie przycumować i odpalić pełny ciąg.

Timer odliczający na wszystkich wyświetlaczach czas operacji właśnie zyskał dublera. Drugi ciąg cyfr biegł jednak we właściwym kierunku, wskazując rosnący nieustannie zapas czasu. Minuta, dwie, pięć, dziesięć, piętnaście.

– Wygląda na to, że media nie dostaną tym razem dobrego materiału – zażartował Gustafsson, gdy margines bezpieczeństwa zwiększył się do pół godziny.

– Obawiam się, komandorze, że za mało pan wie o realiach takich misji – odparł Świącki z lekkim opóźnieniem, ponieważ orbitująca czterdzieści

kilometrów nad Epsilonem Nimbusa 7 sonda zaczynała właśnie aktywować kolejne systemy.

Zaniepokojony tą uwagą współdowódca oderwał wzrok od swojej konsoli, na której obserwował zupełnie inny wycinek przestrzeni.

– To znaczy?

– Wolałbym się mylić, ale mam przeczucie, że za moment wydarzy się coś nieprzewidzianego.

– Na przykład?

– Na przykład pchacz zacznie zwalniać.

– Bzdura. Nikt przy zdrowych zmysłach nie... – Gustafsson zamilkł w pół słowa, gdy przewidywania generała majora się urzeczywistniły. – Ale...

– Rozkaz admiralicji – rzucił obojętnym tonem Henryan. – Dowództwo naprawdę potrzebuje tego materiału dla propagandystów Rady.

– Przecież to czyste szaleństwo! – zaperzył się komandor. – Ryzykujemy utratę instalacji wartej biliony kredytów!

– Przede wszystkim ryzykujemy życie ponad pięciuset ludzi, którzy zginą, jeśli ktoś popełni najmniejszy błąd. Ale ma pan rację: to szaleństwo, którego nie pochwalam.

– Nie możemy nic zrobić? – zapytał po chwili wymownego milczenia Gustafsson.

– Obawiam się, że nie. – Święcki starał się, jak mógł, by nie okazywać radości z powodu rosnącego opóźnienia.

Każda minuta utracona przez załogę pchacza oznaczała dodatkowy czas na przeczesywanie planety. Jeśli zyska jeszcze kwadrans, sprawdzi sto procent zabudowań bez potrzeby zmuszania współdowódcy *Grimbergena* do jeszcze jednej zmiany kursu – a konfrontacji, która mogłaby wzbudzić podejrzenia co do jego prawdziwych intencji, wolał uniknąć za wszelką cenę.

– Nasza stacja zarejestrowała drgania w punkcie skoku – przerwał im wachtowy z pionu nawigacyjnego. – Jedna fala, dwie, trzy, cztery. Cztery obiekty o masie liniowca Obcych! Interwał standardowy!

– Dziękuję, bosmanie. – Komandor aktywował główny ekran, by mogli oglądać transmisję kwantową ze strefy skoku.

Do przylotu Obcych pozostały cztery minuty.

Nie ma lekko, pomyślał Henryan, gdy do niego dotarło, że jednak będzie musiał kombinować.

– Komandorze, chciałbym zasugerować pewne odstępstwo od planu – rzucił, starając się zachować profesjonalnie obojętny ton. – Testy sondy potrważą jeszcze czternaście minut, proszę zezwolić na ich zakończenie i podebranie urządzenia.

– Złamiemy rozkazy, jeśli to zrobimy – zaprotestował Gustafsson. – I to na mojej wachcie!

– Co najwyżej nagniemy – uspokoił go Świącki.

Irytował się coraz bardziej, gdyż uzyskane dotąd wyniki nie wskazywały na żaden ślad obecności człowieka.

Spokojnie, to dopiero jedna czwarta roboty, powtarzał w duchu, ale nie na wiele się to zdało.

– Łatwo panu mówić, generale majorze. Pan jest idolem, ja tylko pionkiem. To, co panu ujdzie na sucho, dla mnie może być końcem kariery.

Ma rację, westchnął wewnątrz Świącki. Farland rozwłóczy jego flaki po całym sztabie, jeśli coś pójdzie nie tak, a logi wykażą, że przyłożył do tego rękę.

– Dobrze. Zrobimy tak: proszę wywołać mostek pchacza. Kwantówką. – Rozkaz był nieformalny, gdyż do ogłoszenia alarmu bojowego okrętem dowodził Gustafsson.

– Wykonać! – rzucił komandor, dając przyzwolenie na uruchomienie sprzętu.

– Możemy nie rejestrować przebiegu tej rozmowy? – poprosił Świącki, zanim dyżurny podoficer zdążył wprowadzić wszystkie kody.

– Możemy, ale...

– Proszę, komandorze. Gramy o naprawdę wysoką stawkę.

Gustafsson skinął powoli głową.

– Dobrze. Łączcie na kanale technicznym! – polecił wachtowym.

Po czterdziestu sekundach na głównym wyświetlaczu pojawiło się upiornie blade oblicze jakiegoś przyszczatego chudzielca o haczykowatym nosie i wyłupiastych oczach.

– Kapitanie Phan – powitał go zwięźle Henryan – mówi generał major Święcki.

– Poznaję, poznaję... – Dowódca pchacza wyszczerzył się w przymilnym uśmiechu. – Czym mogę służyć bohaterowi Federacji?

– Natychmiast zwiększcie ciąg, kapitanie.

– Tego nie mogę zrobić. – Phan momentalnie spowaźniał.

– To rozkaz.

– Tak jest! – Kapitan drgnął, jakby stawał na baczność, ale niemal natychmiast opuścił ramiona. – Problem w tym, że pański rozkaz stoi w sprzeczności z poleceniem wydanym bezpośrednio przez admiralicję.

– Ja tu dowodzę – przypomniał mu Święcki.

– Owszem, ale oni tam mają w sumie więcej gwiazdek, co znaczy, że dowodzą panem – umiejętnie odbił piłeczkę dowódca pchacza.

Henryan zerknął na timer. Minęła kolejna minuta, lecz to go najmniej teraz cieszyło. Ci ludzie zginą, a wraz z nimi cała załoga stacji, jeśli nie zdoła przekonać tego wypłosza do swoich racji. Niestety musiał to zrobić, nie ujawniając prawdy.

– Zadam wam jedno proste pytanie...

– Zamieniam się w słuch.

– Czy macie stuprocentową pewność, że zdołacie przycumować do stacji za pierwszym razem?

Phan prychnął głośno, jakby poczuł się urażony.

– Ja pana nie uczę, jak wojować – odparł zaczepnie, jak każdy zmobilizowany cywil, którego zaczynają pouczać mundurowi.

– Ja was także nie zamierzam uczyć, jak macie pracować. Chcę tylko wiedzieć, czy jesteście w stu procentach pewni, że wykonacie zadanie za pierwszym podejściem.

Kapitan wyszczerzył się ponownie.

– Tak, generale majorze. Mam dwustuprocentową pewność, że wykonam standardowy manewr za pierwszym razem i w przewidzianym czasie.

– Poinformowaliście o tym admiralicję?

– Nie, no skąd. Oni nie pytali o takie głupoty.

– Świetnie. W takim razie mam do was gorącą prośbę... – Święcki zamilkł na moment, by coś sprawdzić. – Przepraszam, ale nasza sonda w punkcie skoku została właśnie zniszczona, co oznacza, że Obcy już tu są. Obaj wiemy, że otrzymaliście rozkaz zmniejszenia ciągu, aby stworzyć wrażenie, że nie zdążymy ewakuować stacji, co ma odwrócić uwagę wroga, ściągnąć liniowce na nas i w efekcie umożliwić dokończenie ewakuacji kolonii.

– Tak właśnie uzasadniono ten rozkaz – przyznał Phan.

– Wiem. Ale widzicie... Admiralicja utraciła kontrolę nad sytuacją w chwili, gdy liniowce zniszczyły naszą stację monitorowania. Ani ja, ani tym bardziej wy nie zobaczymy ich jeszcze przez... czternaście minut – podliczył szybko. – Nasi przełożeni nie wiedzą, co się tu teraz dzieje, i nie dowiedzą się, jeśli my im tego nie zameldujemy. Nie będą więc w stanie odwołać wydanego wam rozkazu, nawet jeśli coś pójdzie nie tak. Na przykład jeśli t'iru rozwiną większą prędkość, niż zakładaliśmy w symulacjach.

– Założono w nich maksymalną prędkość tych tam, liniowców – odparł kapitan pchacza, choć już z mniejszą pewnością siebie.

– Nie, kapitanie. Założono maksymalną znaną nam prędkość tych jednostek, a to spora różnica. Ile razy mieliście z nimi do czynienia?

– Nigdy.

– A ja wielokrotnie. I niemal za każdym razem dowiadywałem się o nich czegoś nowego, na przykład że w sytuacjach kryzysowych mogą przyspieszyć bardziej, niżbyśmy sobie tego życzyli. Tak, kapitanie, gdybym ślepo wierzył w wyliczenia admiralicji, dzisiaj pewnie już bym nie żył.

– Nie możemy nie wykonać rozkazu... – Phan nie był w stanie bardziej zblednąć, mimo że naprawdę się starał.



– Możecie, kapitanie. Zaraz wyjaśnię wam dlaczego... – Henryan zawiesił głos. – Nie jesteście w dwustu procentach pewni, że uda wam się zacumować przy pierwszym podejściu, nie jesteście tego pewni nawet w stu procentach, dlatego poinformowaliście mnie o swoich wątpliwościach, a ja wydałem wam rozkaz próbnego podejścia, które wykonaliście, oczywiście bez powodzenia.

– No nie wiem...

– Człowieku, na pokładzie tej stacji jest pięciuset ludzi, którzy zginą wraz z wartym tryliony kredytów ładunkiem, jeśli nie zrobisz tego, o co proszę.

– A co z ewakuacją kolonii? – zapytał przytomnie Phan.

– Zakończyliśmy tę operację kwadrans temu. Obcy sami nam na to pozwolili, przylatując trzydzieści minut później.

– Aha.

– Odpalajcie te cholerne silniki, póki macie jeszcze czas! – Święcki podniósł głos. – Jeśli Obcy łyknęli przynętę, już lecą w waszym kierunku z prędkością, która gwarantuje im dopadnięcie celu!

Wynajęty do tej roboty cywil zaczynał się łamać. Rozmówca z admiralicji musiał go zdrowo nastraszyć, skoro nawet perspektywa śmierci nie wpłynęła na natychmiastową zmianę stanowiska. Strach miał jednak wielkie – i wyłupiaste w tym wypadku – oczy. Utrata sondy w strefie skoku faktycznie odebrała ludziom możliwość ujrzenia liniowców i wyliczenia ich aktualnego kursu, zatem dowódca pchacza mógł w tym momencie liczyć wyłącznie na własną wyobraźnię.

Oby była jak najbogatsza, pomodlił się Henryan, celowo przedłużając złowieszczą ciszę.

– Ma pan rację, generale majorze – odpowiedział po kilku sekundach Phan. – Przesadziłem odrobinę z tą pewnością. Jak ja to widzę... nie sto, ale dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Góra.

– Zatem włączcie niezwłocznie pełen ciąg i przygotujcie się do próby cumowania. Jeśli coś pójdzie źle, a obaj wiemy, że w tak nerwowej atmosferze łatwo o prosty błąd, będziemy mieli czas na drugie podejście.

– Tak jest!

– Świetnie. Wykasujcie tę rozmowę z logu swojej jednostki. Za chwilę połączę się z wami jeszcze raz, by usłyszeć odpowiedzi zgodne z prawdą. Tą prawdą, do której doszliśmy. Zrozumiano?

– Tak jest!

Henryan opadł na oparcie fotela, odczekał trzydzieści sekund, po czym spojrział wyczekująco na komandora.

– Łączyć! – warknął Gustafsson.

\* \* \*

Okno wyświetlacza ściemniało na moment, potem obraz Phana zastąpił widok przestrzeni i wiszącej pośrodku w pozornym bezruchu kopalni. Dysze pchacza, wydającego się na jej tle pyłkiem, znowu płonęły oślepiającą bielą. Timer w rogu miał krwistoczerwoną barwę. Odliczał już nie minuty, a sekundy. Trzydzieści pięć, trzydzieści cztery...

W miejscu, gdzie przed mgnieniem oka majaczyły pokraczne kształty instalacji przemysłowej, teraz świeciły gwiazdy. Jedna z nich była jaśniejsza i większa od pozostałych. System oznaczył ją żółtą ikonką.

Liniowiec, który odłączył się od eskadry atakującej Epsilon, spóźnił się o zaledwie pół minuty, ale nie przerwał szarży, zmieniając jedynie jej wektor, by dopaść znajdujący się nieco dalej krążownik.

– Niedoczekanie twoje – mruknął Gustafsson, wprowadzając kolejną komendę.

Przez moment nic się nie działo. Wachtowi zamarli na stanowiskach, wszyscy spoglądali na zmieniające się w zastraszającym tempie cyfry.

007, 006, 005, 004, 003, 002... Ciemność. Kompletna czerń.

– To było ryzykowne, komandorze – stwierdził Święcki, ledwie wypuścił z płuc powietrze i ponownie nabrał tchu.

– Nie przesadzajmy. Dwie sekundy to może nie wieczność, ale musieliśmy

nieźle wkurzyć tych tiru. – Gustaffson zaśmiał się w głos.

Henryan spojrział na niego dziwnie.

– Co pan powiedział?

– Tiru – powtórzył komandor. – Czy nie tak nazwał pan Obcych w rozmowie z Phanem?

Święckiego zatkało. Sypnął się w najmniej spodziewanym momencie i nawet tego nie zauważył. Wszystko przez te nerwy, napięcie... Zbyt wiele się działo, opuścił gardę na mgnienie oka...

Muszę się bardziej pilnować w przyszłości, pomyślał. Tego rodzaju wpadki mogą mnie drogo kosztować.

– To nie jest prawdziwa nazwa, lecz akronim – wyjaśnił. – Analitycy w sztabie trzeciego metasektora używali w raportach bardzo skomplikowanych określeń na wszystko, co było związane z Obcymi, uprościliśmy je dla wygody. Proszę tylko nie pytać, co kryje się za tym dziwacznym skrótem, bo naprawdę nie pamiętam – dodał przeproszającym tonem.

– Szkoda, bo nawet ładnie brzmi.

– Ja tam wolę oficjalną wersję.

– Oczywiście. Jak poszły testy sondy? Znalazł pan coś ciekawego?

– Nic – odparł Święcki, nie musząc nawet udawać zawodu. – Wszystkie odczyty w normie, a sprawdziłem je trzykrotnie. Nie mam bladego pojęcia, co mogło być przyczyną awarii. Na szczęście po powrocie na Monroe dobierzemy się do tego złomu na spokojnie.

– Na to liczę, generale majorze. Na to liczę.

# SIEDEM

*System Monroe, Sektor Gamma,*

*21.03.2355*

Podróżowanie za pomocą ciągu skoków podprzestrzennych nie należało do najwygodniejszych ani najszybszych form przemieszczania się między systemami. *Rogernest Grimbergen* potrzebował dwu pełnych dób na pokonanie zaledwie sześciu lat świetlnych, które dzieliły Nimbusa 7 od Monroe. W dodatku znalazł się na obrzeżach tego systemu, w odległości ponad siedmiu godzin świetlnych od strefy skoku.

Phan, jak się okazało, miał nieco więcej szczęścia; transportowana przez niego stacja orbitalna wyszła z podprzestrzeni prawie trzy miliardy kilometrów bliżej gwiazd centralnych niż krążownik. I znalazła się tam ponad pięć godzin wcześniej, dzięki czemu skanery mogły ją wykryć natychmiast po zakończeniu ostatniego skoku.

– Nie dogonimy ich przed strefą skoku – uznał Gustafsson, gdy tylko system krążownika przedstawił dokładniejsze wyliczenia. – Wejdą do studni prowadzącej na Kundun trzydzieści sześć minut przed nami, nawet jeśli zrezygnujemy z prób odzyskania sondy.

– Nie musimy ich ścigać – uspokoił go Święcki. – Teraz są już bezpieczni, a my chyba nie chcemy, żeby intendentura miała powody do postawienia nam zarzutów? – dodał niby żartobliwym tonem.

– W takim razie bierzmy się do roboty.

Zajęli się wytyczeniem trasy pozwalającej na jak najszybsze przejście dryfującego urządzenia. Transponder sondy nie działał, ale wszystkie pozostałe systemy były wciąż aktywne, nie mieli więc problemu z namierzeniem jej obecnej pozycji. Co ciekawe – przynajmniej dla komandora – urządzenie znajdowało się teraz ponad dwadzieścia minut świetlnych od miejsca, w którym je zostawili. Jego ruchy były jednak bardzo chaotyczne, jakby wciąż wykonywało jakiś skomplikowany program, symulując na zmianę naloty i uniki.

– Coś tam się zdrowo popieprzyło – stwierdził Gustafsson.

– Na nasze szczęście kieruje się teraz mniej więcej na strefę skoku – zauważył Henryan, zadowolony z tego, że urządzenie zrealizowało nadpisane przez niego cele.

– Oby to się nie odmieniło – mruknął komandor. – Nie chciałbym ganiać za tym złodem po całym systemie.

Święcki nie miał takich obaw. Sonda trafiła dokładnie tam, gdzie powinna. Ponadto – na co wskazywała jej obecna pozycja – wykonała zadanie, najpierw przeprowadzając skrupulatne skanowanie kolonii na trzech planetach, a potem wracając na dawny wektor lotu, by ponownie wejść w dryf. Za mniej więcej półtorej godziny, gdy kolejny ciąg sygnałów z *Grimbergena* dotrze do jej skanerów, wirus zaimplementowany przez Henryana wyda rozkaz usmażenia całego rdzenia głównego, aby wyłączona wcześniej sztuczna inteligencja naprawdę przeszła w niebyt. Było to brutalne i ryzykowne posunięcie, lecz wyłącznie ono gwarantowało, że nie dojdzie do demaskacji. Wysyłając zakodowany sygnał, Święcki miał tylko nadzieję, że niczego nie spieprzył i banki danych, w których uległy zgromadzeniu zapisy poszukiwań, pozostaną nienaruszone. Gdyby i one uległy dezintegracji, straciłby ostatnią okazję poznania prawdy.

Musiał zmodyfikować plany, ponieważ Modo wysyłała go na kolejną misję.

Nowe rozkazy odebrali, ledwie Gustafsson zgłosił się do bazy po wykonaniu pierwszego skoku. Zamiast wracać na Anzio, jak to było wcześniej ustalone, mieli udać się najkrótszą trasą do pasa F, aby tam dołączyć do konwoju lecącego

na Zero. To komplikowało sprawę z punktu widzenia Henryana, gdyż czasu na przelot było naprawdę mało, a wektor najkrótszej trasy prowadził przez galaktyczne zadupia, na których flota z pewnością niczego nie budowała, nawet fikcyjnych kolonii. Zapisy z Monroe były więc ostatnią nadzieją na zdobycie dowodów obciążających Modo.

Tyle dobrego, że nic już nam nie przeszkodzi w dotarciu do uszkodzonej sondy, pomyślał Henryan, zapoznając się z treścią poleceń admiralicji. Tym samym mam szansę się dowiedzieć, jakich odkryć dokonała.

\* \* \*

Długi lot w przestrzeni wewnątrzsystemowej należy do najnudniejszych przeżyć, jakie mogą spotkać człowieka w kosmosie. W tej kategorii mogą z nim rywalizować jedynie skoki podprzestrzenne, ale te dzielą się chociaż na wiele etapów, podczas których wymagany jest cykliczny wysiłek ze strony załogi.

Święcki nie skarżył się jednak na nadmiar wolnego. Poprosił Gustafssona o takie ustawienie wacht, by miał jak najwięcej czasu dla siebie. Nadal czuł się paskudnie. Nie pogodził się jeszcze z nagłym odejściem ojca, a do tego wciąż prześladowały go demony przeszłości, które wypuścił niechcący z odziedziczonego w spadku memoriału. Dwie doby spędzone w kajucie, przeważnie na gapieniu się w metalowy stożek, nie rozwiązały problemu ani nie ukończyły dojmującego bólu. Nie pomogły także farmaceutyki. Zaczynał się nawet zastanawiać, czy to przygnębienie jest wynikiem przeżytej traumy czy raczej niemożności poradzenia sobie z nową rzeczywistością.

Henryan był człowiekiem czynu. Kiedy trzeba, błyskawicznie podejmował decyzję. Działał równie szybko, instynktownie. Dokonywał najlepszych lub prawie idealnych wyborów nawet wtedy, gdy znajdował się pod wpływem ogromnego stresu, ale teraz... Ta sytuacja po prostu go przerosła. Stał przed szczytem, którego nie da się zdobyć, wisiał na jednym palcu nad przepaścią bez dna. Po raz pierwszy w życiu nie widział żadnej drogi, żadnego rozwiązania.

I choć godziny uciekały jedna po drugiej, wciąż nie zbliżał się do celu. Co więcej, przerażała go perspektywa niekończącego się lotu. Ta doba poprzedzała kolejne dwa dni skoków do pasa F, z którego natychmiast wyruszy w głąb Ramienia Oriona. Modo skazała go na miesiąc zabójczej w jego sytuacji bezczynności, a odsiadywanie wyroku właśnie się zaczęło.

Siedem razy naciskał klawisz memoriału, lecz nigdy nie wytrzymał dłużej niż kilka sekund. Ani razu nie odtworzył słów, które tak go przerażyły. Bez końca przesuwiał to draństwo na płytkę atomizera, ale pomimo determinacji i chęci nie był w stanie opuścić palca na połyskujący w półmroku przycisk aktywacji. Zniszczenie tego gówna niczego nie zmieni, uznawał nieodmiennie, poddając się po co najwyżej krótkiej walce. To, czego już wysłuchał, na zawsze pozostanie w jego głowie. Podobnie jak świadomość, że każda jego komórka nosi nie tylko znak firmowy ma'lahn, ale także piętno największego zbrodniarza w historii ludzkości.

Kilkoro jego bliskich przypłaciło tę wiedzę zdrowiem albo nawet życiem. Czy rodzice owego nieszczęsnego pradziadka nie odeszli z tego świata za sprawą nagrania? Czy jego rodzona matka naprawdę przegrała z nieuleczalną chorobą? Nagle dotarło do niego, że nie zna przypadłości, której obecna medycyna nie byłaby w stanie wyleczyć. Trzydzieści lat temu musiało być podobnie.

Ukrył twarz w dłoniach.

Szlag by to wszystko trafił! zaskowyczał w duchu. Dlaczego żaden dureń nie pozbył się tego syfu, nie rozbił go na atomy, żeby jego potomkowie nie musieli przechodzić tej samej traumy co on! Dlaczego ja nie umiem tego zrobić?

Przesunął stożek palcem, niedużo, zaledwie kilka centymetrów. Powtórzył tę czynność. Raz, drugi, trzeci. Po chwili memoriał znalazł się znów w obrębie czerwonego kręgu atomizera. Zsunął dłoń z blatu, zaczął ją opuszczać w kierunku klawiatury. Wolno, bardzo wolno. Robił sobie przerwy, podczas których zaciskał mocno powieki i powtarzał w myślach: „Bądź tym, który to zakończy!”, a potem, przewyciężając opór wazącej tonę ręki, ruszał dalej. Tylko milimetry dzieliły go od sukcesu. Jeszcze jeden, ostateczny wysiłek. Już!

Muśnięty opuszką wirtualny klawisz zmienił barwę. Z wbudowanego w stół głośnika dobiegł cichy dźwięk. Święcki otworzył oczy. Na wyświetlaczu dyspensera pojawił się wypisany czerwonymi literami komunikat.

DEKOMPOZYCJA NIEMOŻLIWA.  
MASA PRZEDMIOTU PRZEKRACZA  
MAKSYMALNE OBCIĄŻENIE URZĄDZENIA.

Szlag.

Zawył na cały głos, potem cisnął memoriałem o ścianę. Ciężki rejestrator odbił się od wyciszającego panelu, zostawiając widoczne wgłębienie, a następnie wyładował z hukiem pośrodku podłogowej kratownicy. Potoczył się po niej w jedną stronę, potem w drugą i jeszcze raz. Zamarł w końcu, dostrajając się do całej reszty kajuty.

Henryan poruszył się dopiero po dłuższej chwili. Podeszedł do wnęki sanitarnej, otarł twarz jednorazowym ręcznikiem, po czym spojrzął z wyrzutem w lustro. Mimo półmroku zauważył, że jest równie blady jak kapitan pchacza podczas ostatniej rozmowy. Oczy miał podkrążone, po jednym policzku ciekła mu łza.

Czterdzieści dni takiej męki, pomyślał.

– Nie dam rady, po prostu nie dam rady!

Brzęczyk komunikatora przerwał przygnębiającą ciszę, jaka zapanowała po tych słowach. Włączył urządzenie, ale tylko na kanale fonicznym.

– Święcki, słucham.

– Generale majorze, właśnie otrzymaliśmy prośbę o ustanowienie połączenia kwantowego.

– Z admiralicji? – zdziwił się.

Dopiero co rozmawiali z dowództwem. Zameldowali się zaraz po przybyciu na Monroe.

– Nie, generale majorze. Z pchacza.



– Zaraz tam będę – odparł, sięgając po bluzę mundurową.

\* \* \*

– Kapitanie Phan – powitał dowódcę zarekwirowanej przez flotę jednostki.

– Generale majorze – odparł tamten równie oficjalnym tonem.

– Cóż takiego się dzieje, że musieliście skorzystać z łącza kwantowego? – zapytał go Gustafsson.

– Chciałem podziękować.

– Mogliście to zrobić w normalny sposób.

– Chciałem podziękować osobiście. Twarzą w twarz.

– Za co? – zdziwił się Święcki.

– Za pańską sugestią, generale majorze.

– Którą?

– Gdyby nie pańska interwencja, wszyscy byśmy tam poginęli – powiedział Phan po chwili zastanowienia.

– Tego nie wiemy.

– Zaręczam panu, że tak by było. Nie udawaliśmy przy pierwszym podejściu.

– Otarł pot z czoła jakąś szmatką. – Ta stacja to pieprzona kupa złomu! Nie dziwię się, że jej napęd padł. W życiu nie widziałem tak zapuszczonego sprzętu.

– Zrobiłem, co do mnie należało.

– O nie. Zrobił pan znacznie więcej, generale majorze. Teraz już wiem, dlaczego ludzie pana uwielbiają.

– Jacy znowu ludzie? – Ta rozmowa zaczynała irytować Henryana.

– Wszyscy. Na tej pieprzonej stacji postawili panu chyba więcej ołtarzyków niż wszystkim bogom razem wziętym.

– Na tym chyba zakończymy tę zenującą... – Święcki pochylił się, by przerwać połączenie, ale zamarł w pół ruchu, gdy usłyszał wycie syreny alarmowej. – Co się dzieje?

– Stacja monitorująca wykryła drgania przestrzeni w strefie skoku –

zameldował wachtowy. – Przejście z Neretwy. Dwa obiekty. Ich masa odpowiada wielkości naszej korwety.

– Albo to t'i... – Henryan ugryzł się w język. – Albo to liniowce wroga.

Przysłuchujący się pilnie ich rozmowie Phan rzucił przez ramię kilka rozkazów. Jego jednostka nie posiadała sprzętu pozwalającego na komunikację z sondami, zatem jeszcze przez pół godziny nie miały szans na ujrzenie okrętów, które zbliżały się do wylotu studni grawitacyjnej.

– Nie rozłączajcie się, kapitanie – polecił mu Święcki.

– One pojawią się na Monroe dopiero za cztery minuty – obruszył się Gustafsson.

– Nie szkodzi, mamy ogromny zapas mocy, jakby co – zapewnił go dowódca pchacza.

– Wy może tak... – burknął komandor, sprawdzając poziom zapasu energii *Grimbergena*.

– Pozostańcie na linii, kapitanie – powtórzył Henryan. – Znikniemy na moment, ale zgłosimy się ponownie, jak tylko zidentyfikujemy nadlatujące jednostki.

– Chyba że tak. – Współdowódca krążownika uspokoił się nieco.

Jednostronne wyłączenie urządzenia nie zrywało komunikacji, pod warunkiem że druga strona nie zrobiła tego samego. Przy tym poborze energii i jej cenach mało kto zawieszał połączenie kwantowe, niemniej było to jak najbardziej możliwe.

Wyłupiaste oczy zniknęły z głównego ekranu komunikatora, ustępując miejsca mrowiu gwiazd. Stacja monitorująca znajdowała się w odległości pięciu sekund świetlnych od miejsca, w którym pojawią się nadlatujące jednostki. To powinno wystarczyć do ich identyfikacji, nawet jeśli Obcy zaatakują ją natychmiast po wyjściu z nadprzestrzeni.

Czas upływał zadziwiająco szybko. Zanim obaj współdowódcy dokonali rutynowego sprawdzenia sprzętu, z niebytu wychynął najpierw jeden t'iru, a potem drugi. Niespełna dwadzieścia sekund później stacja monitorująca

umilkła.

– Kapitanie Phan! – Święcki wznowił połączenie. – To Obcy. Musicie się przygotować do kolejnego skoku w podprzestrzeń. Tylko bez paniki. Oni dopiero weszli do tego systemu, macie więc co najmniej dwie i pół godziny na ucieczkę.

– To dziesięć razy więcej, niż potrzebujemy – ucieszył się Phan.

– I nie musicie tym razem robić próbnych podejść – dodał Henryan.

– Grzejcie reaktory i spadajcie stąd jak najprędzej. Dostaliście zastępcze koordynaty?

– Tak jest.

– Świetnie. Wybierzcie najkrótszą trasę do celu numer trzy. My przed odlotem skontaktujemy się z admiralicją i załatwimy wam odpowiednie wsparcie.

– Dziękuję. – Kapitan przejrzał pliki, sprawdzając, dokąd tym razem poleci. – Do zobaczenia na Lotosie 34. Phan, bez odbioru.

Połączenie zostało ostatecznie przerwane.

– Czy to jest normalne? – zapytał komandor, zanim plecy Święckiego zetknęły się z oparciem fotela.

– Nie – odparł Henryan. – Obcy jeszcze nigdy nie posłali liniowców do systemu, którego wcześniej nie spenetrowali. A przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo.

– Ciekawe.

– Teraz już pan rozumie, dlaczego wprowadziłem tamtą zmianę do programu ćwiczeń?

– Tak – skinął głową komandor. – Przyznaję, że to miało sens.

\* \* \*

Zobaczyli t'iru jakiś czas później, gdy do czujników dotarły fale świetlne przelatujące przez strefę skoku w momencie przybycia Obcych. Oba liniowce zwolniły zaraz po wyłonieniu się z nadprzestrzeni, a dziewięćdziesiąt minut

później, gdy *Enterprise* wykonał skok, jeden zmienił kurs, robiąc ostry zwrot, aby wrócić do wylotu studni grawitacyjnej, drugi zaś znacznie łagodniejszym łukiem skierował się ku dryfującej w pobliżu uszkodzonej sondzie. Dopadł ją niespełna kwadrans później, a po kolejnych dziewięćdziesięciu minutach dołączył ponownie do lecącego połową ciągu towarzysza i obaj zniknęli równocześnie w nadprzestrzeni. Ich odlot nie anulował jednak alarmu, ponieważ liniowce zostawiły ludziom niespodziankę. Po strefie skoku rozlewał się właśnie rój mniejszych jednostek, podobnych do tych, które eskadra Święckiego przejęła na Ulietcie. Z tym że tutaj było ich kilkakrotnie więcej. Prócz platform bombardujących i orbitalnych dział laserowych systemy zidentyfikowały trzy inne typy pojazdów pasujących do szkiców zrobionych przez Stachursky'ego. Dwa z nich były większe od przejętych niedawno maszyn, lecz ich przeznaczenia można się było jedynie domyślać.

– Widział pan kiedyś coś takiego? – szepnął Gustafsson, gdy skanery zrobiły niemal maksymalne zbliżenie tamtego sektora przestrzeni.

– Tak – odparł zwięźle Henryan, bardziej wkurzony utratą potencjalnych dowodów niż nietypowym zachowaniem wroga.

– Serio?

– W czasie akcji ratunkowej na Delcie Ulietty przejęliśmy kilka podobnych – doprecyzował przez zaciśnięte zęby Święcki.

– Zatem to nic niebezpiecznego?

– Tego nie powiedziałem... Na orbicie Deltę miałem do dyspozycji wiele okrętów, a Obcy zostawili tam tylko kilkanaście takich jednostek.

– W takim razie marnie to widzę – jęknął Gustafsson.

– Ja także – przyznał generał major, biorąc się w garść. – Proszę wywołać sztab trzeciego metasektora. Chcę mówić z generałem Ruttą.

– Przecież jest środek nocy – zaprotestował komandor.

– I co z tego?

– Mamy czas, nie musimy nikogo budzić.

– Człowieku, jest wojna, a my właśnie zaobserwowaliśmy nietypowe

zachowanie wroga! – nie wytrzymał Święcki. Widząc minę współdowódcy, dodał znacznie łagodniejszym tonem: – Aktywujcie łącze na moją odpowiedzialność.

Domyślił się, że Gustafsson miał nieraz do czynienia z ekipą Xiao, a w starej admiralicji takie numery z pewnością nie były mile widziane.

– Proszę przekazać mi dowodzenie, wezmę to na siebie – zapewnił, nie doczekawszy się żadnej reakcji.

Komandor zerwał się z fotela, zaszalutował i pośpiesznie opuścił mostek.

– Mamy odpowiedź na wywołanie, generale majorze – zameldował dyżurny, zanim włąz zasunął się za plecami wychodzącego współdowódcy. Chwilę później wachtowy dorzucił: – Mamy potwierdzenie przyjęcia żądania. Czterdzieści sekund do aktywacji zwrotnej!

Henryan usiadł prościej. Obrzucił wzrokiem bluzę munduru, ale zrezygnował z jej poprawiania. Była tak wymięta, że nic by to nie pomogło.

– Aktywacja za trzy, dwie, jedną... – odliczył wachtowy z pionu łączności.

– Generale.

Rutta nie wyglądał wiele lepiej. Oczy miał przekrwione, wory pod nimi dorównywały barwą i wielkością tym, które zdobiły twarz Święckiego. Pomimo późnej pory nie wyglądał też na rozespanego.

– Generale majorze.

– Przepraszam, że kontaktuję się o tak nietypowej porze, ale mamy tu do czynienia z bardzo dziwną sytuacją.

– Nic się nie stało. Przed momentem skończyliśmy odprawę dowódców wylatujących na Zero. Meldujcie.

– Musi pan coś zobaczyć, generale.

Przesłał nagranie ukazujące ostatnie chwile pobytu t'iru na Monroe. Rutta zaklął, gdy tylko zobaczył, co się dzieje.

– Polecili tam za wami?

– Raczej za stacją – poprawił go Święcki.

– Nigdy wcześniej nie blokowali strefy skoków... – Generał obejrzał nagranie

jeszcze raz. – Może to jest ich odpowiedź na naszą kontrę?

– Niewykluczone, ale chciałbym zwrócić pana uwagę na inny aspekt tej sprawy.

– Słucham.

– Tym razem... – zerknął w kierunku patrzących na niego wachtowych – ... Obcy wysłali liniowce na Monroe przed zniszczeniem stacji monitorującej.

– Faktycznie... – Rutta złożył dłonie przy ustach. – Jeśli to jest ich nowa taktyka, stracimy jedyną przewagę. – Wprowadził kilka komend. – Ciekawe, żadna z naszych eskadr nie natknęła się do tej pory na podobne blokady...

– Trzeba przyspieszyć akcję ewakuacyjną – zaproponował Święcki, ignorując ostatnią uwagę. – Musimy być o krok przed nimi, jeśli nie chcemy ponownego wzrostu strat wśród kolonistów... – Zamilkł raptownie, jakby coś go tknęło. – A jeśli oni chcą ich w ten sposób odciąć?

– Kogo?

– Nasze jednostki oczyszczające trasę konwoju. Jeżeli zablokują wszystkie pasy pomiędzy siłami, które wysłaliśmy na odebrane nam terytoria, a bazami, każda powracająca eskadra nadzieje się na taką niespodziankę...

Rutta przytaknął machinalnie, ale szybko otrzeźwiał.

– Kurwirtual! Musimy wysłać ostrzeżenie. Zaraz się tym zajmę – obiecał, sięgając do klawiatury komunikatora.

– Proszę się nie rozłączać, generale! – Święcki podniósł głos. – To jeszcze nie wszystko.

Rutta zamarł w pół ruchu.

– Słucham.

– Mogę mieć problem z wykonaniem ostatnich rozkazów. – Henryan wskazał na chmurę pojazdów ma'lahn. – W pojedynkę nie przebiję się przez tę blokadę.

– Wyślemy wam odpowiednie wsparcie. Ile okrętów będzie potrzebnych do rozbicia takich sił wroga?

– Co najmniej dwadzieścia niszczycieli, ale dla pewności wysłałbym dziesięć kluczy.

– Dziesięć kluczy... Zaraz... Jeśli zrezygnujemy z oczyszczenia szerszego wycinka tego sektora, mogę zebrać takie siły w... czternaście godzin. Prędzej się nie da, musimy je przerzucić z bardzo odległych systemów.

– Aby ta akcja miała sens, musielibyśmy zlikwidować blokadę w ciągu najbliższych dwunastu godzin. – Świącki sprawdził własne wyliczenia. – Tak, to nieprzekraczalny termin.

Generał nie odpowiedział od razu. Sprawdził raz jeszcze obecne położenie sił biorących udział w akcji oczyszczania przedpola.

– W takim czasie na Monroe zdołają dotrzeć tylko trzy klucze – rzucił przez zaciśnięte zęby.

– Pod warunkiem że nie napotkają po drodze żadnych niespodzianek – dopowiedział Henryan.

– Tak... Powinniśmy brać pod uwagę i taką ewentualność.

– Wręcz musimy, generale. Gdyby chodziło tylko o *Grimbergena*... – zająknął się ponownie – ...Obcy zostawiliby na Monroe tylko kilka platform bombardujących i dział orbitalnych, a sam pan widzi... – Świącki wskazał na zapętlone nagranie.

– Fakt. To wygląda na część znacznie większego planu.

– Wydaje mi się, że trzeba nie tylko jak najprędzej ostrzec naszych, ale też nakazać im zmianę strategii. Nie mogą wracać w pojedynek.

– Zgoda. Jeszcze dzisiaj wyznaczymy nowe punkty zborne.

– Najlepiej w jak najdalszych pasach.

– Nie musi mi pan podpowiadać takich oczywistości, generale majorze – obruszył się Rutta.

– Przepraszam. To się nie powtórzy.

– Wiem. I proszę nie brać tego do siebie. Obaj staramy się znaleźć idealne rozwiązanie, a sytuacja jest niewesoła, oględnie mówiąc.

– Zwłaszcza moja... Wszystko wskazuje na to, że nie zdążę dotrzeć na punkt zborny przed planowym wylotem konwoju.

– Farland nie będzie na was czekał, to pewne – zgodził się generał.

- Właśnie dlatego zgłaszam problem już teraz.
  - Jakież propozycje?
  - Możemy lecieć za *Enterprise*. Będziemy monitorować sytuację w razie wystąpienia kolejnych zagrożeń. To tylko cywile.
  - Jak chcecie ich odnaleźć? Z tego systemu mogli polecieć do trzech innych.
  - Wiemy, jaką trasę wybrali. Rozmawiałem z kapitanem Phanem tuż przed pojawieniem się Obcych. – Tym razem pamiętał, jakiej nazwy użyć. – Proszę skierować wsparcie na Lotosa 34. Dotrzemy tam za jakieś... dwadzieścia sześć godzin. Do tego można spokojnie doliczyć kilkanaście kolejnych, potrzebnych na dotarcie do strefy skoku. Czasu na zebranie odpowiednich sił będzie więc aż nadto.
  - Wiem, co mam robić. – Rutta machnął ręką, widząc, że Święcki otwiera usta, by znów się usprawiedliwiać. – Czas przeznaczony na dotarcie do pasa L proszę wykorzystać na odpoczynek, bo wygląda pan jak psu z dupy wyjęty.
  - Z gardła, generale.
  - Niech będzie, że z gardła. A teraz do rzeczy. Anuluję wydane panu uprzednio rozkazy. Obecnym zadaniem *Grimbergena* jest odeskortowanie ewakuowanej stacji do pasa L. Tam otrzymacie dalsze instrukcje.
  - Tak jest. – Święcki wyprężył się jak struna.
- Może jeszcze nie wszystko stracone, pomyślał.
- Niespodziewany ruch ma'lahn sprawił, że zyskał kolejną szansę na dopadnięcie Modo.



# OSIEM

*System Heraklion, Sektor Gamma,*

*24.03.2355*

Nic, nic i nic.

Oddawszy *Enterprise* pod pieczę flotylli wysłanej przez Rutę, Henryan tak ustawił trasę powrotną, by *Grimbergen* zahaczył o trzy kolejne zagrożone systemy. Namówił też Gustafssona, by w każdym z nich przeprowadzić „gruntowne testy” pozostałych sond. Wcześniej uzgodnili, że wyłgają się ze straty sprzętu, zrzucając całą winę na Obcych – co nie było do końca kłamstwem, skoro to właśnie t’iru zniszczył uszkodzoną sondę – jednakże Święcki i tak nalegał, by znaleźć wadę, która doprowadziła do tak poważnej usterki. Jeśli coś jest nie tak z oprogramowaniem, argumentował, problem może się powtarzać, a każdy, kto zidentyfikuje jego źródło, zanim flota poniesie z tego powodu kolejne, być może pokaźne straty, zyska w oczach przełożonych, i to znacznie. Nie omieszkał przy tym dodać, że w razie sukcesu usunie się w cień, aby to dowódca pionu nawigacyjnego mógł przypisać sobie wszystkie zasługi. Był skłonny do takiej wspaniałomyślności, ponieważ wiedział, że choćby rozłożyli te sondy na części pierwsze, i tak niczego nie znajdą.

Komandor łykał te kłamstwa jak wygłodniała czarna dziura materię. Przemykał też oko na dziwne jego zdaniem ustawienia kolejnych testów – a generał major po sprawdzeniu w głębokiej przestrzeni tego samego zestawu manewrów, z którego korzystali podczas ćwiczeń na Monroe, posyłał sondy

w kierunku mijanych planet, tłumacząc to potrzebą przetestowania reszty modułów pozoracyjnych.

Wszystkie te starania poszły jednak na marne, gdyż w żadnej z budowanych na potęgę fałszywych kolonii czujniki nie wykryły ani śladu obecności człowieka. Martwe globy, pokryte szkieletami zabudowań i przeznaczonym na złom sprzętem – tak jawiły się miejsca, które mogły dostarczyć dowodów winy Modo i jej popleczników.

Kiedy stało się jasne, że dalsze poszukiwania nie dadzą lepszego efektu, Święcki postanowił odpuścić. Zdawał sobie sprawę, że jego kolejne naciski na Gustafssona zaczną budzić podejrzenia. Ta sprawa nie była warta aż tak wielkiego wysiłku, zwłaszcza że zrzucenie winy na ma'lahn załatwiało kwestię odpowiedzialności.

Koniec poszukiwań oznaczał jednak powrót do kajuty i czających się w niej demonów. Od Anzio dzieliła ich jeszcze ponad doba lotu, podczas której miało się już nic nie wydarzyć – wracając z misji, zagłębili się na kilka skoków w przestrzeń należącą do Federacji – Henryan więc szybko popadł w apatię. Z bólem po utracie ojca jakoś się pogodził. Nie było to łatwe, lecz w czasach, kiedy wokół ginęło tylu ludzi, myśl o nieuchronnej, nieraz gwałtownej śmierci była do pewnego stopnia oswojona. Skłamałby, gdyby powiedział, że udało mu się zakończyć żałobę. Ilekroć zbłądził wzrokiem na przekazane mu rzeczy, odczuwał niemal fizyczny ból czy też wrażenie pustki wewnątrz klatki piersiowej, wystarczyło jednak, że zacisnął zęby i wzięwszy się w garść, przełknął kolejny kęs posiłku albo napisał następne zdanie w raporcie, by zrozumiał, że życie toczy się dalej.

Z drugim demonem szło mu niestety znacznie gorzej.

Mnemonizer Bukowskiego trafił na dno worka, ale nawet stamtąd przyzywał Henryana równie mocno jak pierwszego dnia. Parę kolejnych prób pozbycia się tego gówna spełzło na niczym. Święcki za każdym razem tchórzzył w ostatniej chwili i albo rzucał ciężkim przedmiotem, robiąc kolejne wgniecenia w błyszczących panelach, albo ścisnął go w dłoniach, jakby miał nadzieję, że

zmiażdży grubą na kilka milimetrów warstwę plastali.

Dlaczego nie jestem w stanie pozbyć się jedyne go przedmiotu, który łączy mnie z tym potworem? wyrzucał sobie raz po raz.

Były co najmniej dwa powody takiego stanu rzeczy.

Po pierwsze urządzenie to nosiło historię wielu pokoleń jego rodziny. Gdyby je uruchomił, zobaczyłby nagrania przedstawiające życie ludzi, dzięki którym przyszedł na świat. Zniszczenie memoriału byłoby równoznaczne z wyrzeczeniem się wszystkiego, wymazaniem całej przeszłości, zapomnieniem nadziei i marzeń tych, którzy odeszli.

Po drugie jego antenaci: pradziadek i dziadkowie ze strony matki, jak również ona sama, wszyscy zapoznali się z treścią nagrania, choć wiele ich to kosztowało. Święcki czuł więc potrzebę pójsia w ich ślady. Pragnął tak jak oni nacisnąć zabezpieczony czytnikiem DNA klawisz, spojrzeć raz jeszcze w oczy Bukowskiego i poznać prawdę, zakładając oczywiście, że ten człowiek powiedział choć jedno słowo niebędące kłamstwem.

Po wielu godzinach podobnych rozważań Henryan zdecydował, że nie jest jeszcze gotowy na ostateczną konfrontację z historią, odrzucił także opcję definitywnego pozbycia się memoriału. Miał wojnę do wygrania, a nawet dwie, zatem ta najbardziej osobista musiała poczekać na swoją kolej.

# **Część trzecia**

## **ODWET**

# JEDEN

*System Zero, Sektor X,*

*22.04.2355*

Miesiąc po wyruszeniu oba zespoły uderzeniowe Farlanda trafiły na pozycje wyjściowe. *Asgard* i *Olimp* zawisły w odległości sekundy świetlnej od wylotu studni grawitacyjnej wiodącej na oddalone o zaledwie pół roku świetlnego Zero. Nie towarzyszyły im jednak chmary jednostek eskorty – tym razem starcie miało być bowiem prowadzone według nowych zasad i z zastosowaniem całkiem innej taktyki.

Gigantyczne pancerniki najnowszej generacji zetrą się z liniowcami w bezpośredniej walce, dając eskadrom krążowników szansę na równoległe zaatakowanie inkubatorów oraz innych instalacji znajdujących się na orbicie Alfy Zero. Szykowało się jedno, za to bardzo mocne uderzenie, po którym rozpocznie się szturm wszystkich sił na główną bazę wroga, czyli rozległy kompleks zabudowań leżących w głębi najmniejszego z trzech kontynentów dziewiczej planety tlenowej.

Sygnał do ataku nadejdzie z Anzio zaraz po tym, jak eskadry t'iru wpadną w zastawione na nie pułapki. Niestety Święcki miał rację – ma'lahn w reakcji na oczyszczanie przedpola zmienili taktykę, choć nie posunęli się aż tak daleko, jak początkowo sądził generał major. Nie zrezygnowali z rozpoznania, ale przestali sygnalizować atak z tak dużym wyprzedzeniem. Ich sondy pojawiały się teraz w docelowych systemach na zaledwie cztery do sześciu godzin przed liniowcami

– nadal jednak wystarczająco wcześnie, by móc przesłać znajdującym się w sąsiednich strefach skoku eskadrom informacje o sytuacji i ewentualnych zasadzkach.

Choć może wyda się to paradoksalne, utrudnienie to pozwoliło ludziom zastawić jeszcze doskonalszą pułapkę. Węższy margines błędu pozwalał bowiem na precyzyjniejsze ustalenie momentu, w którym nastąpi atak. Wystarczyło więc tak pokierować ruchami wroga – poprzez piętrzenie przeszkód na jednych kierunkach i usuwanie ich na innych – by zwabić go mniej więcej w tym samym czasie do szeregu wybranych wcześniej systemów, do których czekające w sąsiednim pasie zgrupowania miały o wiele bliżej niż Obcy.

Gdy wszystkie zespoły uderzeniowe trafiły na pozycje wyjściowe, pozostało tylko czekać na zamilknięcie stacji monitorujących. Najwyższy admirał i tymczasowo pełniący obowiązki dowódcy trzeciego metasektora Rutta nie spoczęli jednak na laurach. Do ostatniego dnia sprawdzali raz po raz każdy detal planu i nanosili dziesiątki mniej lub bardziej istotnych poprawek. Mimo to do samego końca nie byli pewni, czy czegoś nie przeoczyli.

Zespoły analityków pracujące bez ustanku w siedzibie admiralicji i sztabie trzeciego metasektora przeprowadzały na zlecenie dowództwa tysiące symulacji, których celem było dokonanie takiego podziału dostępnych sił, aby każde z ośmiu zgrupowań dysponowało niemal identyczną liczebnością. Tam, gdzie trafiały kolapsarowce, główne siły uderzeniowe otrzymywały mniejszą liczbę najnowocześniejszych okrętów. Tam, gdzie w składzie znajdował się w pełni przerobiony eskadrowiec, mniej liczna mogła być eskorta. Tam zaś, gdzie spodziewano się przybycia co najmniej pięciu t'iru, przerzucano wzmocnienia. Z kolei jednostki z kontyngentów pozostałych flot, do ostatniego dnia nadlatujące z przeciwległych Rubieży, klasyfikowano i rozsyłano z marszu – nikt bowiem nie przykładał do tego zadania większej wagi, ponieważ stanowiły one ułamek sił, a poza tym w przeważającej części były okrętami najstarszych generacji.

Modo dotrzymała danego Farlandowi słowa i przypilnowała, aby zwiększono

nakłady na modernizację czwórek, dzięki czemu w dniu poprzedzającym kontratak na pierwszej linii mogły pojawić się trzy pancerniki więcej, niż zakładano pierwotnie. Nawet bez ich udziału ludzie mieliby ponad siedemdziesiąt osiem procent szans na zwycięstwo (tak przynajmniej wynikało z symulacji), jednakże Rutta wiedział, że każda bateria nowoczesnych turbolaserów będzie nieocenionym wsparciem, i dlatego – gdy tylko rzeczony okręty pojawiły się na Anzio – zaczął wprowadzać kolejne zmiany w rozmieszczeniu sił.

Drugą stroną medalu były braki w wyszkoleniu załóg. Najlepsi z najlepszych polecili na Zero, Farland zaproponował więc, by na każdy nowy czy modernizowany pancernik kierować także po kilkudziesięciu wyróżniających się kadetów. Stawiał zwłaszcza na tych, którzy przeszli feralny test Feniksa. Atanasio wychodził bowiem ze skóry, aby jego podopieczni zmasakrowali plamę na honorze akademii. Wprawdzie nie wszystkie pomysły rektora-admirała okazały się sensowne, lecz admiraliczka nie miała wyjścia: zamiast obeznanymi ze sprzętem, ale nieostrzelanych kadetów można było zamustrować marynarzy i oficerów przenoszonych z czwórek po zaledwie podstawowym przeszkoleniu, co także nie rokowało najlepiej.

Na szczęście chodziło o zaledwie trzy tysiące ludzi, zatem w ostatecznym rozrachunku nie wyglądało to tak źle, jakby mogło się wydawać. W przededniu wznowienia walk osiemdziesiąt cztery procent załogi każdego pancernika stanowili weterani poprzednich starć lub załoganci mający za sobą dłuższą służbę na pierwszej linii. Choć ryzyko zostało w dużym stopniu zminimalizowane, przebywający daleko poza granicami znanej przestrzeni Farland wolał dmuchać na zimne, zwłaszcza że każdy najmniejszy nawet błąd popełniony na terytorium Federacji mógł doprowadzić do klęski i w efekcie zagłady obu jego eskadrowców.

Analitycy byli zgodni tylko co do jednego: wszystkie wyliczenia wskazywały na to, że dwudziestego drugiego kwietnia Obcy powinni się pojawić w wybranych systemach. W związku z tym dzień wcześniej ogłoszono

najwyższy stopień alarmu bojowego, a oba centra kwantowej łączności zabrane do gromady kulistej pracowały odtąd na zmiany, utrzymując nieprzerwany kontakt ze sztabem trzeciego metasektora, a za jego pośrednictwem także z Ziemią. Od północy wskazanego dnia najwyższy admirał zgłaszał się co godzinę, by osobiście wysłuchać raportu zastępcy. Przedstawiciele Rady także nie odchodziłi od własnych przekazańników.

Czas płynął leniwie jak zwykle, lecz wraz z upływem kolejnych godzin w każdym z dziewięciu systemów robiło się coraz goręcej...

– Nienawidzę czekania – stwierdził Farland podczas dziesiątej tego dnia rozmowy, którą rozpoczął niemal natychmiast po wizycie w pokładowym ambulatorium.

– Nikt z nas tego nie lubi – zgodził się Rutta, który także musiał wspomóc organizm „koktajlami” – ale nie mamy wyjścia, musimy czekać na ich ruch.

– Tkwimy tutaj już dobę dłużej, niż przewidywaliśmy – dodał najwyższy admirał. – Na szczęście ci durnie chyba naprawdę nie znają się na sztuce wojennej. Ja bym umieścił sondy w sąsiednich systemach, żeby nie dać się podejść. To, że tego nie zrobili, wydaje mi się w sumie najbardziej niepokojące – dodał.

– Nie demonizuj – poprosił Rutta.

– Jeśli jajogłowi wprowadzili nas w błąd, gorzko tego pożałują! – odwarknął Farland.

Jedyną niewiadomą, z jaką ludzie musieli się w tym momencie liczyć, był wybór właściwej studni grawitacyjnej. Dotarli do systemu oddalonego o zaledwie pół roku świetlnego od Zera, w którym strefa skoku składała się aż z pięciu tuneli czasoprzestrzennych. Każdy z nich prowadził do innej gwiazdy, ale który gdzie się kończył, naukowcy nie byli już w stanie ustalić ze stuprocentową pewnością. Po długich debatach wskazali jedną ze studni, jako tę najprawdopodobniejszą, w efekcie czego główne siły zgromadzono naprzeciw niej. Niemniej najwyższy admirał wolał się zabezpieczyć, zwłaszcza że niepokoiło go coś jeszcze. Mimo niewielkiej odległości nie udało im się do tej



pory wykryć choćby najslabszego sygnału dochodzącego z Zera, zupełnie jakby ma'lahn nie komunikowali się ze sobą albo otoczyli cały system sferą Dysona. Oba wyjaśnienia były bezsensowne – sensory dalekiego zasięgu pozwalały dostrzec gwiazdy centralne Zera, a nawet krążące wokół nich planety, tak więc problem musiał wynikać z czegoś innego.

Farland rozkazał, by eskadra zwiadowcza udała się do każdej studni grawitacyjnej bezzwłocznie po otrzymaniu sygnału. Ta, która trafi na Zero, wezwie eskadrowce. Pozostałe zmapują teren, sprawdzając, czy nie ma innych dróg dostępu do celu, aby w razie czego wycofać jednostki alternatywnymi trasami.

– Na twoim miejscu bardziej bym się martwił tym ich rdzeniowcem – powiedział Rutta.

Najwyższy admirał nie zareagował od razu. Zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł:

– Przedyskutowaliśmy waszą ostatnią propozycję i raczej nie podejmiemy się tego zadania.

– Moim zdaniem to gra warta izotopu.

– Nie. To zbyt ryzykowne. Lepiej wyeliminować *Oumuamua* przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Mamy zniszczyć urządzenie, które umożliwiłoby nam dokonanie niewyobrażalnego skoku technologicznego? Najtęższe umysły pionu naukowego dałyby się żywcem pokroić za okazję do jego zbadania.

– Droga wolna. Ma'lahn wypatroszą ich z wielką radością zaraz po tym, jak dotkną tego kanciaka.

– Nie kpij. Macie wszystko, czego trzeba, by spróbować go przejąć.

– To jeden z najdurniejszych planów Świąckiego! – Farland machnął lekceważąco ręką.

– Być może, ale pomyśl, jak wiele byśmy zyskali, gdyby się powiódł.

– Ja myślę raczej o tym, ile stracimy, jeśli to gówno odleci i ściągnie nam na głowy dziesiątki mniej lub bardziej uszkodzonych t'iru. Nie masz żadnej

pewności, że prawidłowo wytypowaliśmy wszystkie osiem systemów.

– Nie mam – przyznał Rutta – ale od tego jest przecież plan B. Pozostałe t’iru dopadniemy, jak będą wracały.

– O ile to skurwykłość nie pojawi się tam, dokąd poleciecieli, nie podejmie ich i nie przetrzuci w okamgnieniu na Zero – wyliczył najwyższy admirał. – Tylko zniszczenie *Oumuamua* gwarantuje nam powodzenie.

– Zrobisz, jak uważasz – podsumował generał. – Ja tylko proszę, abyście podjęli choć jedną próbę abordażu. Jeśli coś pójdzie nie tak, po prostu go rozwalicie.

– Możemy nie mieć na to czasu – przypomniał Farland.

– Z takim negatywnym nastawieniem chcesz ruszać do bitwy? – zażartował Rutta. – Cały czas jesteś na nie.

– Wolę dmuchać na zimne. Nie walczymy o sławę, lecz o przetrwanie.

– Też racja.

– Generale – przerwał im wachtowy. – Właśnie straciliśmy sygnał na Kolumbii 5.

– Kurwirtual! – zaklęli unisono.

Obcy zamierzali zaatakować jeden z systemów, których nie obstawili.

– Nieciekawie się zaczyna – jęknął Farland.

\* \* \*

Po niespełna dwu godzinach w nadprzestrzeni zniknęło aż siedem z ośmiu zespołów uderzeniowych. Ma’lahn zaatakowali równocześnie w dziewięciu miejscach, z których dwa nie znajdowały się na liście potencjalnych celów, choć stworzono ją z wyjątkową starannością, modyfikując nadawane transmisje wabikowe tak, by Obcy uznali systemy-pułapki za wyjątkowo ciekawe i warte zniszczenia w pierwszej kolejności. To był kolejny dowód na to, że podczas tej wojny nie można w pełni polegać na logice, a przynajmniej na jej ludzkiej wersji.

Rutta zaraz po zakończeniu rozmowy z najwyższym admirałem zagonił ludzi do przepracowywania planów. Po pierwsze należało wytypować zespoły, które zaatakują wracającą z akcji eskadrę t'iru numer dziewięć – z ósemką sprawa była prostsza, w drodze powrotnej przejmie ją wolny zespół, który wyruszał właśnie, aby zablokować strefę skoku na Mykenach 39. Nadprogramowa eskadra Obcych mocno skomplikowała sytuację, mimo że już wstępna analiza holomapy sektora podpowiadała najrozsądniejsze rozwiązanie. Siły walczące na Kipu i Kronosie mogły dotrzeć na Minotaura 3, skąd nadleciały dodatkowe t'iru, wykonując zaledwie jeden skok, ale czy to wystarczy, aby powstrzymać cztery w pełni sprawne liniowce, których załogi – o ile Święcki nie miał racji co do AI – zostaną jednak powiadomione przez zaatakowanych towarzyszy broni o nowym zagrożeniu? Obecnie nikt nie był w stanie przewidzieć, jakim wynikiem zakończą się pozostałe starcia i czy – w razie wygranej ludzi – nie będą to w większości pyrrusowe zwycięstwa. Zdziesiątkowane zespoły uderzeniowe mogą okazać się zbyt słabe, by powstrzymać wycofującego się wroga.

Rutta szukał więc dalej, zliczając transfery i trasy, dosłownie stawał na głowie, aby znaleźć najlepsze rozwiązanie. Po niespełna godzinie miał już wstępne wyniki i nowy dylemat. Jeśli t'iru z Kalisto 5 nie zawrócą natychmiast po otrzymaniu ewentualnego ostrzeżenia, flota zdoła zgromadzić okręty, które przetrwają starcia na Kruggerze, Kipu i Kronosie, co – jeśli symulacje dotyczące tych bitew nie kłamały – powinno wystarczyć przynajmniej do tego, by uszkodzić wszystkie jednostki wroga, z którymi przyjdzie im się zmierzyć. Problem polegał na tym, że generał nie miał żadnej pewności, jak zachowa się dziewiąta eskadra. Jej wcześniejszy odwrót przekreśliłby szanse na blokadę Minotaura, może więc rozsądniej będzie zaplanować ją pas dalej, na Nikozji 7, przy użyciu okrętów walczących wcześniej na Katanii 12, Kobe 9, Kalisto 5 i Kiwushu 2. Te jednostki bowiem powinny zdążyć na czas, nawet jeśli t'iru zawrócą chwilę po rozpoczęciu walki w pozostałych systemach.

Tak, to rozwiązanie wydawało się o wiele sensowniejsze, choć było także

bardziej ryzykowne, gdyż angażowało zespoły, które stoczą najcięższe boje, ponieważ mają bronić dostępu do najbardziej rozbudowanych przynęt.

– Może najrozsądniej będzie zastawić obie pułapki – podpowiedział generałowi Świącki, gdy jego zespół przeprowadził ostatnie zlecone symulacje.  
– Jeżeli dopadniemy drani na Minotaurze, a im uda się jednak przebić, to i tak zadamy im wymierne straty – wykladał spokojnie swój punkt widzenia – natomiast każde uszczuplenie sił dziewiątki ułatwi zadanie eskadrom czatującym na Mykenach 39.

– Racja – przyznał Rutta. – Jeśli nasi nie zdążą zablokować punktu skoku na Minotaurze, po prostu zawrócą. Przygotujcie pakiety rozkazów.

Henryan zasalutował i natychmiast się rozłączył. Rutta raz jeszcze przejrzał krótką podsumowującą symulację, by upewnić się, że podlegli mu analitycy nie pominęli żadnego istotnego szczegółu, po czym zatwierdził plany i opadł ciężko na oparcie fotela.

W centrum dowodzenia sztabu wrzało jak w ulu. Setki wachtowych oblegały ustawione rzędami stanowiska kontroli. Na dziewięciu wielkich oknach panoramicznego wyświetlacza widać było na razie wyłącznie czerń, lecz timery umieszczone w rogu każdego z nich odliczały już tylko minuty lub wręcz sekundy dzielące okręty floty Federacji od ponownego pojawienia się w przestrzeni euklidesowej. Machina wojenna została wprawiona w ruch, teraz wszystko zależało od sprawności załóg i... szczęścia.

– Krugger na wizji! – zakomunikował podekscytowany oficer nadzorujący zespół numer cztery.

Jeden z ekranów ożył. W jego górnej części widać było skraj jasnopomarańczowego słońca, w prawym dolnym rogu, pomiędzy gwiazdami, coś błysnęło i niemal natychmiast zgasło.

– *Partenon* dokonuje zrzutu!

– *Mars* melduje o zniszczeniu stacji monitorującej Obcych!

– *Katania 12* na wizji! – rozległ się kolejny komunikat.

– *Heliopolis* dokonuje zrzutu!

– Kobe 9 na wizji!

– Ozyrys melduje o zniszczeniu stacji monitorującej Obcych...

Głosy zaczynały się nakładać. Meldunki z trzech systemów płynęły strumieniami. Zespoły uderzeniowe dotarły na miejsce z dużym wyprzedzeniem, jak planowano. Żaden z nich nie powinien mieć więc problemu z zajęciem wyznaczonych pozycji, zanim nadlecą t'iru. Timery dawały im na to od dwu do trzech i pół godziny. Rozpoczął się najbardziej obciążający psychicznie moment starcia. Oczekiwanie na wroga.

– Zero na wizji!

Rutta drgnął.

– Która eskadra?

– Czwórka!

– Tak. – Generał zacisnął mocno prawą dłoń. – Świetnie.

Pomimo obaw Farlanda naukowcy nie popełnili błędu. *Asgard* i *Olimp* znajdowały się idealnie naprzeciw właściwej studni grawitacyjnej. Opóźnienie będzie minimalne, liczone w minutach.

Czujniki korwet jeszcze przez kilka sekund gromadziły dane, by przesłać je do oczekujących w sąsiednim systemie centrów łączności, za których pośrednictwem nagrania trafiły następnie do sztabu trzeciego metasektora. Potem okno kanału Zero na powrót ściemniało, lecz Rutta wiedział, że jednostki zwiadu nie przestaną meldować się co minutę, przesyłając kolejne skondensowane do mikrosekund transmisje z aktualizacjami. W ciągu kwadransa potrzebnego na przerzucenie tam reszty sił niewiele się jednak zmieni, ponieważ Alfa znajdowała się dokładnie dwadzieścia sześć minut świetlnych od korony największej z trzech gwiazd tego systemu i prawie dwa razy dalej od strefy skoku leżącej w samym środku grawitacyjnej pułapki.

– Kiwushu 2 na wizji!

Tymczasowy dowódca trzeciego metasektora nawet nie spojrział na kolejne ożywające okno. Znacznie bardziej interesowały go przepuszczane przez systemy dane z Zera, nad którymi ślęczeli analitycy Święckiego.

– Proszę na to spojrzeć, generale! – Henryan nie zameldował się przepisowo, lecz od razu przeszedł do rzeczy. W jego głosie dało się wyczuć ogromne napięcie.

Nad konsolą pojawił się wycinek przestrzeni ze znanym już kształtem inkubatora. W szesnastu czasach spoczywały hodowane czy też budowane t'iru. Widok nie różnił się specjalnie od ujęć dostarczonych miesiąc wcześniej przez sondę hybrydową. Tyle że tym razem orbitalny dok był pokazywany z nieco innej perspektywy.

– Coś jest nie tak?

– Owszem, i to bardzo – odparł Henryan, robiąc większe zbliżenie.

Teraz w oknie wyświetlacza widać było tylko jedno z ramion zakończonych czaszą i wystający z niego kadłub liniowca, na którego tle...

– Kurwirtual! Musimy powiadomić o tym Farlanda! Natychmiast! – Rutta odwrócił się do klawiatury komunikatora, ale na tym poprzestał. Oba eskadrowce weszły przed momentem w nadprzestrzeń. – Szlag, szlag, szlag!

Jedyne, co mógł zrobić w tej sytuacji, to przygotować nagranie z odpowiednim komentarzem i ustawić folder na czele priorytetowej kolejki wiadomości.

– Dlaczego nie zauważyliśmy tego wcześniej? – zapytał z wyrzutem, odwracając się do Święckiego.

– Kwestia perspektywy – odparł zwięźle generał major. – Na żadnym z ujęć zarejestrowanych przez sondę nie widzieliśmy t'iru przelatującego w pobliżu tych inkubatorów, a proporcje wielkości doku w stosunku do rozmiaru kadłubów budowanych jednostek są identyczne jak w przypadku instalacji remontującej uszkodzone przez nas liniowce. To nas zmyliło.

Rutta przyjął wyjaśnienie zdawkowym skinieniem głowy, nie spuszczać wzroku z nagrania ukazującego t'iru na tle budowanej jednostki, która musiała być od niego co najmniej czterokrotnie większa.

– Te dranie tworzą liniowce wielkości naszych pancerników – wyszeptał.

– Albo i większe – potwierdził Henryan. – Nie sposób sprawdzić, w jakiej

odległości od inkubatora przelatuje ten liniowiec.

– Szlag, szlag, szlag...

– Ale mam także dobrą wiadomość, generale – dodał pośpiesznie Święcki, powiększając obraz maksymalnie. – Proszę spojrzeć na kolor pancerza, jest nadal o wiele jaśniejszy niż w wypadku w pełni operacyjnych jednostek.

– Jaką mamy pewność, że to cokolwiek znaczy, skoro oni budują zupełnie inne okręty?

– Szczerze powiedziawszy... niewielką, żeby nie powiedzieć: żadną – wyznał Święcki. – Skoro jednak te liniowce są większe, to może ich budowa czy też hodowla musi potrwać dłużej. Tak to widzę. Ma'lahn czekają na rozrost symbionta, aby wypełnił gigantyczny kadłub.

– A jeśli pakują ich tam po kilka naraz?

– W takim razie mamy przesrane, generale, bo nic, co poleciało na Zero, nie może się z tym skurwykłoństwem równać. Pan zamelduje o tym Radzie czy ja mam to zrobić?

# DWA

*Ziemia, Sektor Alfa,*

*22.04.2355*

– Święcki to cudotwórca! Zaprawdę powiadam wam, nie ma większego od niego bohatera. Gdyby nie on, pięciuset ludzi i sto miliardów metrów sześciennych czystego liteonu poszłoby w... czerń najmasywniejszej dziury, jaką znacie – perorował rozentuzjasmowany Phan, nie dając dojść do głosu przeprowadzającej z nim wywiad kobiecie.

– Ten facet jest tak prostacko genialny, że gdyby nie istniał, powinien zostać wymyślony – zaśmiała się Modo, nagarniając na siebie więcej piany. – Choć ja bym go troszeczkę podretuszowała – dodała po chwili, mierząc krytycznym wzrokiem unoszący się nad marmurową wanną wyświetlacz.

– Fakt – mruknął siedzący naprzeciw niej Benadetto. – Ja bym mu zmienił uszy, oczy, usta, nos, brodę, czoło i policzki, ale masz rację, poza tym jego twarz wygląda całkiem, całkiem. – Zarechotał, sięgając po lewitujący tuż nad powierzchnią wody kieliszek wina.

– Nie każdy może być tobą albo mną – odparła, zanosząc się szczerym śmiechem.

Przetrwali najtrudniejsze chwile. Nboto i Sotomayor dotrzymali, o dziwo, danego słowa i nie próbowali wykorzystać tych czterdziestu dni, by zaszkodzić Radzie. Prezentacja Farlanda, jak i późniejsze uzupełniające spotkania wystraszyły ich do tego stopnia, że dali się zapędzić w kozi róg, czyli tam, gdzie



chciała ich widzieć. Ten dzień, a w zasadzie najbliższe kilka godzin będzie decydujące. Jeśli najwyższy admirał spełni pokładane w nim nadzieje i rozgromi wroga, Modo jeszcze tego wieczoru rozpocznie przygotowania do realizacji finalnego etapu swojego planu.

– Pani kanclerz, otrzymaliśmy właśnie informację, że Obcy zniszczyli pierwszą stację monitorującą w pasie K – zameldowała mocno wystraszona asystentka pracująca kilkadziesiąt pięter niżej w biurach monady przewodniczącej senatu.

Okno tego jednostronnego połączenia pozostało czarne i martwe jak międzygalaktyczna pustka. Zarówno asystentka, jak i pozostali podwładni byli przekonani, że Modo pracuje teraz ciężko nad dopięciem budżetu.

– Zaczyna się. – Benadetto odstawił opróżniony kieliszek, jakby zabierał się do wyjścia z wanny.

– Mamy jeszcze ponad cztery godziny – uspokoiła go, dolewając sobie rubinowego trunku, co wymagało wychynięcia na moment z ciepłej wody. – Nie musimy się nigdzie śpieszyć. Reszta tego robactwa pełnie już do nas – dodała, mając na myśli członków Rady, z którymi zamierzała obserwować przebieg starć.

– Naprawdę się nie denerwujesz? – zapytał skarbnik Federacji, mierząc ją podejrzliwym, ale i głodnym spojrzeniem.

– Nie – odparła, opadając powoli w pianę. – Najgorsze jest już za nami.

– A jeśli coś pójdzie nie tak? Jeśli Farland mimo wszystko przegra? – Benadetto westchnął i wyciągnął się z powrotem w ciepłej wodzie.

– Wątpię, aby do tego doszło, ale śpieszę cię zapewnić: będziemy górą nawet w razie jego porażki, pod warunkiem że ten prostak zdoła zadać ma'lahn wystarczająco duże straty, co jest więcej niż pewne. – Upiła spory łyk wina. – Szósta flota z łatwością dokończy dzieła.

– O ile opozycja nie rozszarpie cię wcześniej za ukrycie tych okrętów. – Prychnął pogardliwie. – Nie przyszło ci na myśl, że mogą...

– ...zarzucić mi zdradę stanu? – wpadła mu w słowo.

– Na przykład.

– Mój drogi... – Uśmiechnęła się do niego protekcjonalnie. – Nic mi nie zrobią, ponieważ tę flotę nominalnie stworzył nasz przyjaciel Kaup. Oczywiście w sekrecie, szykując przewrót, którego plany odkrywamy... a może raczej ty odkryjesz, jak tylko coś pójdzie nie tak.

– Zaczynam się ciebie bać, Gerdanielle.

– Daj spokój. Sama nie podołam temu zadaniu. Jesteśmy na siebie skazani... mój cesarzu – dokończyła, mocniej akcentując ostatnie słowo.

– Wiesz... – Benadetto delektował się przez moment myślą o wieńcu laurowym na skroniach. – Czasami, jak wszystko tak gładko nam się układa, zaczynam się zastanawiać, czy nie tkwię przypadkiem w Sen-sacji.

Rozbawił ją tym stwierdzeniem do łez. Potrzebowała kilku sekund, żeby opanować oddech, po czym powiedziała:

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię... DreamTeam miała jedną zasadę. W żadnej symulacji nie istniała technologia przypominająca jej wynalazek. Gdybyś teraz żył-śnił, na pewno nie wiedziałbyś o jego istnieniu.

– Na wszystko masz wyjaśnienie?

– Nie, ale ten temat to dla mnie pestka. Mój pierwszy doktorat dotyczył kwestii etycznych związanych z technologiami zawieszzonego życia. Ale nawet gdybym nie posiadała tak rozległej wiedzy, byłabym pewna, że ktoś taki jak ty nigdy nie skorzystałby z Sen-sacji. Jesteś zbyt rozsądny – nie użyła słowa „tchórzliwy”, choć bardzo ją korciło, żeby to zrobić – by poddać się tak szkodliwej procedurze.

– To prawda. Nie rozumiem, jak ludzie mogli zatracać się w życio-śnieniu. Zwłaszcza nielegalnie, po tym jak już poznano jego skutki.

– Wracając do tematu... – Przybrała wygodniejszą pozycję, zsuwając się aż po brodę do przyjemnie ciepłej wody. – Jeśli Farland przegra, po prostu przyśpieszymy bieg spraw. W ciągu godziny Kaup wprowadzi stan wyjątkowy na terenie całej Federacji. Aresztuje każdego, kto będzie jątrzył, dzięki czemu pozbedziemy się opozycji. A wszystko to na oczach i przy aprobacie tłumów.

– Nie byłbym tego taki pewny. Nboto ma całkiem spory elektorat.

– Ale nie ma armii! – Zachichotała. – Ani okrętów z lojalnymi załogami. Jeśli nikt nie wywęszy istnienia szóstej floty, wszystko pójdzie jak z płatka. Obiecamy przestawienie całej gospodarki na nowe tory i błyskawiczną odbudowę potencjału. On nas z pewnością wyśmieje, ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że w kilka tygodni zdołamy posłać na Zero kolejne zespoły uderzeniowe. Ale my to zrobimy. Nadludzkim wysiłkiem, ale dokonamy cudu.

– A w razie gdy dojdzie do wcześniejszego przecieku – dokończył za nią – zrzucimy całą winę na sekretarza obrony i jego plany przewrotu snute w tajemnicy. Genialne. Prawie tak dobre, jak ten trik z próbą otrucia.

– Trzeba grać ostro, by zejść daleko.

– Kiedyś przeszarżujesz – ostrzegł ją, uśmiechając się szerzej.

– Być może – przyznała obojętnym tonem – ale na pewno nie dzisiaj. Bądźmy dobrej myśli. Nasz nowy wódz naczelny dobrze to sobie wykombinował. Wierzę, że pokona wroga, a kiedy już odtrąbi sukces, my zaś rozpoczniemy przygotowania do uroczystości celem jego uczczenia, przyjdzie nam przełknąć gorzką pigułkę... – Zdmuchnęła z dłoni kłęb piany. – Na *Asgardzie* wszystko jest takie nowe, niesprawdzone. Kto by pomyślał, że napęd ulegnie awarii w najmniej spodziewanym momencie...

– To da się w ogóle zrobić? – zapytał, pochylając się mocno, to znaczy na tyle, na ile pozwalał mu wielki brzuch.

– Tak. Okręt, który znajdzie się w nadprzestrzeni bez włączonego napędu nadświatlnego, nie ma najmniejszych szans wyjść samodzielnie z tunelu czasoprzestrzennego. Wielu naprawdę oddanych ludzi zginęło, abyśmy mogli zyskać tę pewność.

– Zdziwiasz mnie – stwierdził z uznaniem. – Nie słyszałem o tych eksperymentach.

– Może dlatego, że nigdy nie miały miejsca, przynajmniej oficjalnie. Ale możesz być pewien, że *Odyn* dołączy za kilka dni do sporej liczby jednostek,

które zostały potraktowane w podobny sposób i nigdy nie dotarły do celu.

– Szkoda tylko, że nie udało nam się wysłać z nim Świąckiego. Upieklibyśmy dwie pieczenie przy jednym ogniu – zacytował jedno z archaicznych powiedzonek generała majora.

Zapamiętał je, ponieważ dotyczyło jedzenia. I tym razem okazało się na tyle obrazowe, że natychmiast poczuł głód. A może trzeba to było raczej złożyć na karb wypitego przed momentem wytrawnego wina?

– Szkoda – zgodziła się z nim. – Tak pięknie to zainscenizowaliśmy. Cierpiący bohater wyrusza w kolejną trudną misję, odnosi spektakularny sukces, ale pomimo żałoby nie ustaje w wysiłkach, udaje się poza granice znanej przestrzeni i ginie na polu chwały... Pośmiertny awans, pomniki, wzmianki w podręcznikach historii. Wymarzony koniec kariery dla kogoś, kto jeszcze kilka lat temu był nikim.

– Tak powstają legendy – dokończył rozmarzonym tonem Benadetto.

– Żebyś wiedział. Wszystko sobie zaplanowałam... Kazałam zainscenizować wypadek, zleciłam wylot na misję tuż po przekazaniu informacji o śmierci ostatniego krewnego, podesłałam tego skończonego barana. – Wskazała na zastopowane nagranie z Phanem. – Wyobraź sobie, że poleciłam nawet wywieźć wszystkie przynęty z sektora, do którego miał polecieć. Gdzie zatem popełniłam błąd?

– Nigdzie, Gerdanielle. Nikt nie mógł przewidzieć, że ma'lahn zmieniła taktykę i zaczęła blokować strefy skoku, w których operujemy. Nie popełniłaś błędu. Gdybym miał podać powód, powiedziałbym, że to ingerencja siły wyższej.

– My jesteśmy siłą wyższą tej rzeczywistości – stwierdziła ostro, wstając.

Na jej ciele nie pozostało wiele piany, Giancarlouis mógł więc się w końcu przypatrzeć jej posągowej sylwetce. Choć nie była już młoda, inwestowała w siebie bardziej niż Olgala Yilmaz. Niejeden mężczyzna zaśliniłby się na jej widok, ale ona rezerwowała sobie tylko dla wybrańca. Jedyne go współnika potrzebnego do osiągnięcia celu. Bez koneksji i funduszy Benadetto nie zaszłaby

daleko, dlatego usidlała go przy każdej okazji, robiąc to z zimną krwią i rozgrzanym do czerwoności łonem.

– Chodź, mój cesarzu – szepnęła, wyciągając do niego dłonie. – Zanurz się w świątyni rozkoszy twojej przyszłej żony.

\* \* \*

Wiadomość o pilnym wywołaniu ze sztabu trzeciego sektora nadeszła, gdy Modo i Benadetto zjeżdżali windą z wiszącego aneksu do głównej części monady. Pani kanclerz wysłuchiwała krótkiego komunikatu na moment przed tym, nim otoczona polem siłowym kabina z przezroczystej plastali wynurzyła się z tunelu, odsłaniając zapierającą dech w piersiach panoramę stolicy. Terra, z tej wysokości, przy tak pięknej pogodzie, wyglądała jak cud natury, choć wszystko w niej było dziełem człowieka. Spośród zbitego kobierca szmaragdowych koron drzew wyrastały niebosiężne wieżowce, połączone pajęczynami kanałów i rozlewisk. Szerokie piaszczyste plaże okalały rozległą zatokę, za którą rozciągał się bezmiar oceanu.

Trzy sekundy później opadająca winda została pochłonięta przez szczytowe piętro jednej z największych budowli tego miasta. Kolejne sto sześćdziesiąt pięter pokonała w niespełna dwie minuty, dzięki czemu Modo i jej towarzysze mogli dotrzeć do sali łączności, nie przyśpieszając specjalnie kroku. Transmisję z Anzio rozpoczęto, ledwie Modo zasiadła w fotelu, przybierając władcą pozę.

– Generale.

– Pani kanclerz. – Rutta był spocony, wyglądał też na podenerwowanego.

– Stało się coś? – zapytała, zanim zdążył otworzyć usta.

Poczuła lekki niepokój na widok jego niepewnej miny. Nie rozumiała, co mogło go wyprowadzić z równowagi, przecież mieli jeszcze sporo czasu do pojawienia się Obcych, a siedem z dziewięciu zespołów na pewno przejmie eskadry wroga. Nie miała nic przeciwko temu, by dwie ostatnie przedarły się na Zero. Śmierć Farlanda podczas bitwy wzbudziłaby znacznie mniej podejrzeń niż

zaplanowany przez nią wypadek.

– Jeszcze nie – odparł Rutta, przełknąwszy głośno ślinę – ale wyszły właśnie na jaw nowe fakty, które mogą... – Nabrał tchu. – Proszę zobaczyć.

Drgnęła, gdy Giancarlouis pochylił się nad jej ramieniem, by lepiej widzieć przesłane nagranie.

– Na co patrzymy? – zapytał, jakby zapomniał, że na razie jest jedynie skarbnikiem Rady.

Nie ofuknęła go za to, nie zamierzała urządzić scen przed obcymi, ale zapamiętała tę zniewagę i postanowiła, że rozmówi się z przyszłym cesarzem, gdy tylko Rutta się rozłączy.

– To nagranie z korwety zwiadu, przedstawiające jeden z inkubatorów i przelatujący przed nim t'iru.

Teraz pochylili się oboje. Dwa identyczne liniowce, z tym że ten w tle był o wiele większy od znajdującego się na pierwszym planie, a to oznaczało...

– Dlaczego nie wykryto tego wcześniej? – Ucisnęła spoczywającą na jej ramieniu dłoń Benadetto, by przypadkiem nie powtórzył błędu. Generał na jej szczęście był zbyt zdenerwowany, żeby zwracać uwagę na takie szczegóły.

– Na nagraniach z sondy nie ma ani jednego ujęcia, na którym coś przelatuje obok doków. – Wyjaśnienie było zwięzłe i zrozumiałe.

– Jak duże są te nowe jednostki? – zapytała, zniżając głos prawie do szeptu.

Zaczynała się bać. Po tym wszystkim, co zrobiła, by wspiąć się na szczyt, po latach wyrzeczeń i knowań była już tylko o krok od sukcesu, miała go na wyciągnięcie ręki, ale mimo tej pozornej bliskości mogła wciąż wszystko stracić. Uzmysłowała sobie właśnie, że zwycięstwo nie zależy wcale od niej, że nawet jeśli zrobi wszystko co w jej mocy, albo i więcej, może przegrać, ponieważ nie zna całej prawdy, ba, nie ma żadnych szans, by ją poznać. Takie przeoczenie, taki błąd z niczyjej winy, jak ten z blokadą Monroe czy też odkrycie wylęgarni gigantycznych liniowców, może zakończyć jej sny o potędze.

– Nasi analitycy szacują, że mają nie mniej niż kilometr długości, ale mogą

się mylić, gdyż nie ustalono jeszcze, w jakiej odległości od inkubatora przelatywał ten t'iru.

– Mogą być jeszcze większe? – jęknęła, tracąc do reszty kontrolę nad sobą.

– Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć, ale zakładamy, że tak.

– Czy możemy je pokonać? – Benadetto wykorzystał moment rozkojarzenia, by zadać kolejne pytanie, które jej także cisnęło się na usta.

– Tu też muszę gdybać... – zaczął Rutta, ale umilkł w pół słowa. – Nie. Nie będę owijał w bawełnę. Jeśli któryś odłączy się od doku i ruszy do walki, przegramy. Zostaniemy rozniesieni na strzępy. Każdy z tych gigantów może mieć siłę ognia naszego eskadrowca.

– Mówimy o samym rdzeniowcu czy... – zająknęła się lekko.

– O całym zespole uderzeniowym – przerwał jej generał. – Przepraszam, pani kanclerz. Właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że *Olimp* i *Asgard* wyszły z nadprzestrzeni. Muszę pilnie skontaktować się z najwyższym admirałem.

– Rozumiem. Bez odbioru.

Rozłączyła się, aby generał nie widział, jak drżą jej ręce. Zerknęła przez ramię na dyszącego jej w kark Giancarlouisa. On także był blady, broda trzęsła mu się, jakby miał zacząć płakać.

– Jest źle – wymamrotał, prostując plecy.

– Może być źle – poprawiła go, czytając uważnie załączony do przekazu plik tekstowy. – Święcki wydaje się pewny, że te superliniowce nie są jeszcze gotowe. Oby miał rację...

# TRZY

*System Anzio, Sektor Zebra,*

*22.04.2355*

Farland przyjął informację zdawkowym skinieniem głowy, ale Rutta mógłby przysiąc, że w jego oczach dostrzegł rezygnację. Ta wiadomość mogła zmienić nie tylko przebieg bitwy o Zero, ale i losy całej wojny. Powstrzymanie kilku liniowców tej wielkości wymagałoby zgrupowania wszystkich sił floty, a ma'lahn produkowali je przecież dziesiątkami. Korwety, dysponujące lepszym sprzętem i dryfujące w większej odległości, wykryły na orbicie Alfy sześć kolejnych inkubatorów, z czego dwa wyglądały, jakby dopiero były budowane.

Wszyscy w sztabie trzeciego metasektora, podobnie jak obsada mostka *Odyna*, śledzili z zapartym tchem kanały, na których widać było obrazy z doków. Ma'lahn z pewnością zdążyli już zareagować na pojawienie się nieproszonych gości, lecz światło niosące informacje o ich ruchach potrzebowało jeszcze sześciu minut, by ludzie zrozumieli, czy jest sens walczyć.

– Zaatakujemy, nawet jeśli zaczną odłączać te giganty – zdecydował Farland, gdy przeanalizowano wszystkie nowe informacje. – Ucieczka w tej sytuacji mija się z celem. Teraz albo nigdy. Drugiej takiej okazji nie będzie, zresztą wolę polec w nierównej walce, niż patrzeć, jak te skurwyklony wyrzynają nas pas po pasie. Przy takiej nierównowadze sił za dwa lata będzie po wszystkim. Co ja mówię! Jeden ich superliniowiec na system. Będziemy tracili pas w ciągu tygodnia. A jeśli za trzy miesiące podwoją swoje siły, wzrośnie także tempo



podboju. Ziemia upadnie jeszcze tej jesieni, a potem...

Rozmawiali na zamkniętym kanale, otoczeni kokonami pola ochronnego, nikt więc nie mógł usłyszeć tych gorzkich słów. To nie zmieniało jednak faktu, że najwyższy admirał wydawał się podłamany, co więcej, zachowywał się, jakby stracił wiarę w zwycięstwo. To bardzo źle rokowało rozwojowi wydarzeń.

– Weź się w garść, Theo – poprosił go Rutta. – Twój ludzie nie mogą cię zobaczyć w takim stanie. Nie przegraj tej bitwy przed oddaniem pierwszej salwy.

– Zrobię, co do mnie należy – odwarknął Farland. – Ale... Jesteś jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać otwarcie. Boję się tego, co nastąpi. Nie samej walki, nawet nie tego, że mogę zginąć, lecz świadomości, że jeśli zawiedziemy, nie będzie już ratunku.

– Mamy kontakt! – wydarł się ktoś w głębi mostka. Nieprzepisowo, panicznie, co świadczyło o tym, że nastroje wśród załogi *Odyna* są nie mniej podłe.

Usłyszeli go na kanale technicznym, ponieważ wciąż byli odcięci polem izolującym.

– Zapanuj nad nimi, Theo!

Farland rozłączył się bez słowa. Rutta nie mógł zobaczyć ani usłyszeć tego, co wydarzyło się chwilę później na mostku flagowca, jednakże sądząc po minie, z jaką najwyższy admirał sięgał do klawiatury, wolałby nie być w skórze człowieka, który przed momentem złamał regulamin. Sam przeniósł wzrok na środkową część panoramicznego wyświetlacza, gdzie można było obserwować przekazy z Systemu Zero. Po tym, jak reszta sił wyszła z nadprzestrzeni, ciężar transmitowania danych przejęły na siebie oba centra łączności – olbrzymie latające reaktory, których jedynym zadaniem było komunikowanie się ze sztabem.

Na razie niewiele się działo. T'iru przebywające w strefie tak zwanego kotwicowiska formowały szyk. Było ich sześć; dwa kolejne, znajdujące się w innych sektorach orbity, przyśpieszały gwałtownie, by jak najszybciej dołączyć do głównych sił. W tym tempie powinny zająć miejsce w szyku na pięć

minut przed wejściem w pole rażenia.

Osiem na osiem. Szanse były wyrównane, nawet jeśli liczyć wsparcie ze strony dział eskadrowców. Rutta wybrał wycinek przestrzeni wokół żółtej ikonki. Powiększał obraz, dopóki nie zobaczył wyraźnie inkubatora i wiszących wokół jednostek. Żadnej zmiany, żadnego ruchu. Gigantyczna konstrukcja szybowała nad widoczną w oddali planetą jakby nigdy nic.

Nie ciesz się, to nic nie znaczy, napomniał się generał.

– Stacja monitorowania na Kruggerze zarejestrowała drgania – zameldował wachtowy odpowiedzialny za obserwację tego systemu. – Cztery obiekty wielkości liniowców, interwał jedna sekunda.

– Dajcie przekaz na kanał główny! – rozkazał Rutta. – I meldujcie o każdym ruchu w reszcie systemów.

\* \* \*

Na Kruggera wysłano piątkę, dwie czwórki (w tym jedną zmodernizowaną), dwie trójki i dwie dwójki. Wsparcie zapewniało im sto szesnaście krążowników, niestety w zdecydowanej większości starych. Podzielona na pięć flotylli eskorta liczyła na szczęście ponad dziewięćset jednostek. Największym atutem tego zespołu uderzeniowego numer osiem wydawał się jednak *Partenon*, jeden z czterech w pełni przerobionych eskadrowców, które pozostały na Rubieżach.

Wiceadmirał Takashi, któremu powierzono dowodzenie tym zespołem, był niezwykle dumny, że to jemu pierwszemu przypadnie zaszczyt użycia nowej broni, jednakże jako wytrawny praktyk nie pozwolił sobie nawet na jeden uśmiech, gdy nadszedł komunikat o przybyciu wroga.

Ustawił okręty naprzeciw punktu wyjścia, w odległości trzech sekund świetlnych od miejsca, w którym powinny pojawić się t'iru. Tym razem admiralicja postanowiła, że w pierwszej linii stanie piątka i obie czwórki, ponieważ to właśnie te okręty, jako najbardziej wytrzymałe, miały przyjąć na siebie ciężar głównego uderzenia. Za nimi w odległości jednej piątej sekundy

światłej leciały dwie trójki wsparte dwudziestoma czterema krążownikami trzeciej generacji. W identycznej odległości za nimi rozmieszczono pozostałe, najstarsze pancerniki otoczone pierścieniem sześćdziesięciu ośmiu krążowników. Ostatnie dwadzieścia cztery krążowniki miały za zadanie chronić znajdujący się na tyłach rdzeniowiec.

Rutta nie chciał powielić taktyki z Sankt Petersburga, ponieważ zależało mu na zminimalizowaniu strat. Miał nadzieję, że pancernik piątej generacji wytrzyma znacznie dłużej niż jego starsze odpowiedniki i że dzięki temu z każdą wymianą ognia siły Federacji będą zyskiwać przewagę.

– Trzy minuty do kontaktu!

– Kanał główny! – rozkazał wiceadmiral. Odczekał kilka sekund z palcem nad klawiszem aktywatora, a gdy dostrzegł plamkę zieleni na pulpicie, zaczął przemowę. – Bracia i siostry, ja, Tojohn Takashi, któremu przypadł zaszczyt poprowadzenia was dzisiaj do boju, uroczyście przysięgam, że Kruggera nie opuści ani jeden liniowiec Obcych! Istoty, które przybyły tutaj, by nas zniszczyć, same zostaną unicestwione! Nie okazujcie im litości, ponieważ na nią nie zasługują! Za Federację! – Rozłączył się, aby zaczerpnąć tchu.

Wykrzyczał te kilka zdań na jednym oddechu, charakterystycznym dla niego chrapliwym tonem, jakim zwykł wydawać rozkazy i łajać podwładnych.

– Dwie minuty do kontaktu!

– Falanga numer jeden do pięć, otworzyć ogień zaporowy według wskazań systemu! – rozkazał Takashi, kierując te słowa do dowódców jednostek eskorty.

Siłami wsparcia musiały kierować systemy, inaczej nie udałooby się zsynchronizować obsługi tyłu wyrzutni. Bardzo istotny był także czas odpalenia pocisków, w tym wypadku skuteczność zależała od pełnej koordynacji działań i wykonywania rozkazów dosłownie w ułamkach sekund. Jako że dzisiaj nikt nie zamierzał ryzykować, niszczyciele zgromadzono w znacznie większej odległości niż zazwyczaj, aby zdążyły wystrzelić w stronę nadlatujących t'iru aż tuzin skoncentrowanych salw. Niech dranie udławią się gradem helonu i zużyją mnóstwo energii, zanim dotrą na odległość strzału od piątek.

– Pierwszy liniowiec pojawi się za trzy, dwie, jedną, już! – zameldował wachtowy, dublując głosem wskazania timera.

T'iru wyłonił się z niebytu idealnie pośrodku pola rażenia.

Choć ci Obcy są o wiele bardziej zaawansowani niż my, ich okręty także nie mogą łamać praw fizyki, ucieszył się w duchu wiceadmirał.

Nie wiedział jeszcze o istnieniu dziwnego transportowca, którym t'iru są dostarczane w pobliże terytorium Federacji. Admiralicja nie dzieliła się swoimi odkryciami, i słusznie, gdyż wiedza ta mogłaby się odbić negatywnie na morale dowódców poszczególnych zespołów, a tego w przededniu walki nikt nie chciał. Tak czy inaczej liniowce wykorzystywały bardzo podobne napędy nadprzestrzenne jak te, które stosowano na okrętach wojennych Federacji, dzięki czemu wyliczenie ich pozycji wyjściowych było stosunkowo łatwe. Schody zaczynały się później, ponieważ jednostki przybywające z nadprzestrzeni mogły mieć rozmaite wektory wyjścia, przez co szanse na ich trafienie malały z każdym ułamkiem sekundy.

Lata ćwiczeń nie poszły jednak na marne. Systemy wyliczyły z bardzo dużą precyzją, kiedy rdzenie mają zostać odpalone. Dziesiątki tysięcy kilogramowych prętów z czystego helonu pomknęły ku strefie skoku. Fala za falą. Rój obok roju. Nie zabrakło wśród nich mających większe pole manewru rakiet, których zadaniem będzie rażenie sektorów kadłuba osłabionych bądź odsłoniętych przez uderzające w ekrany wroga pociski kinetyczne.

Okręt Obcych trafił na pierwszą falę pocisków niespełna sekundę po wyjściu z nadprzestrzeni, zanim jego komputery zdążyły namierzyć i oznaczyć wszystkie cele. Rdzenie nie nadlatywały tym razem tylko od czoła, jak podczas poprzednich starć. Każda salwa tworzyła czasę o maksymalnym odchyleniu na krawędziach o pełne trzydzieści stopni. To było pewne novum w stosunku do wcześniejszej taktyki. Zużycie amunicji rosło drastycznie, celność malała, ale unikano ważnego mankamentu, jakim było ryzyko przestrzelenia.

Tego dnia walczono nie o zwycięstwo, lecz o przetrwanie, zatem admiralicja nie zamierzała oszczędzać na amunicji i kosztach, wiedząc, że tylko w ten

sposób da się zminimalizować ewentualne – a raczej nieuniknione – straty w sprzęcie i ludziach.

Takashi kazał aktywować systemy działa. Oto kolejne odstępstwo od dotychczasowej taktyki. Gargantuiczny transportowiec, będący środkiem przenoszenia całego zespołu uderzeniowego, dysponował bronią, o jakiej mogli tylko pomarzyć dowódcy walczący na Sankt Petersburgu. Emiter turbolaserowy o mocy tak niewyobrażalnej, że nawet konstrukcje Obcych nie powinny wytrzymać konfrontacji z jego osiemnastomikrosekundowym impulsem. Niestety *Partenon* będzie miał tylko jedną szansę na oddanie strzału... Takashi musiał więc najpierw zadbać o to, by znaleźć się wystarczająco blisko pola walki, ażeby siła ognia jego okrętu wspomogła pancerniki w najbardziej kluczowym momencie starcia.

Właśnie teraz!

Lecący na czele wrogiej formacji t'iru zniknął za ścianą plazmy, w którą zamieniały się roje rdzeni kinetycznych uderzających w jego potężne ekrany czołowe. Przebił się przez pierwszą salwę, przebił się przez drugą i cztery następne. Zanim jego systemy obronne przejęły inicjatywę, zdążył utracić ponad sześćdziesiąt procent mocy osłon. W tym momencie ożyły jego baterie, siódma salwa została więc przetrzebiona w znacznym stopniu, a ósma jeszcze bardziej. Po przejściu przez dziewiątą liniowiec miał wciąż dwadzieścia dziewięć procent sprawności osłon.

I to wtedy flagowiec Takashiego otworzył ogień. Osiemnaście mikrosekund to czas tak krótki, że człowiek nie jest nawet w stanie zarejestrować oślepiającego błysku, którym promień łączy wylot emitera i namierzony cel. Z tego właśnie powodu dopiero późniejsze analizy pozwoliły na podsumowanie skutków. Działo *Partenona* było niewyobrażalnie potężne, miało jednak swoje ograniczenia, w tym pewną ogromną wadę. Nie można nim było poruszać jak normalnymi bateriami turbolaserów. Aby oddać celny strzał, rdzeniowiec musiał się ustawić w idealnej pozycji, dziobem do celu. W przestrzeni, gdzie obiekty poruszają się z niesłychanymi prędkościami, było to możliwe tylko

w wyjątkowych okolicznościach: na przykład w pobliżu studni grawitacyjnych, i to po dokładnym wyliczeniu, w którym miejscu pojawi się wróg, oraz pod warunkiem że przeciwnik nie wykona natychmiast manewru unikowego. Przy tak olbrzymim dystansie wystarczył ułamek stopnia odchylenia, by energia prawie sześciuset gigawatów skupionego światła pomknęła w bezkresną próżnię.

Takashi miał jednak szczęście, głowę na karku i żelazne nerwy. Dzięki temu pierwszemu znalazł się w idealnej pozycji strzeleckiej, drugie pozwoliło mu dokonać stosownych korekt najszybciej jak to możliwe, a trzecie wyczekać na odpowiedni moment. Lecący na czele wrogiej formacji t'iru zniknął w kuli plazmy zaraz po tym, jak nadział się na dziesiątą falę rdzeni. Ekspłodował niespodziewanie, jakby jego wszystkie reaktory zostały przeciążone. Do tego drugi okręt w linii utracił niemal trzecią część czaszy, jakby cała jej połać została odcięta gigantycznym niewidzialnym nożem. Sekundę później on także zniknął w chmurze eksplozji po zderzeniu z nadlatującymi pod kątem rdzeniami. To był jego koniec. Rakiety z jedenastej i dwunastej fali wgryzały się dziesiątkami w otwartą laserem ranę, posyłając w przestrzeń ogromne bryły spalonego i zmrożonego symbionta.

Z czterech t'iru zostały tylko dwa, ale ludzie także stracili najważniejsze atuty. Działo rdzeniowca nie mogło być użyte po raz wtóry, dopóki generatory nie zostaną ponownie naładowane, co z pewnością potrwa dłużej niż to starcie. Eskorta po odpaleniu zakładanej liczby pocisków wykonała skok w podprzestrzeń, jak było to wcześniej ustalone, zatem na nią tym bardziej nie można było już liczyć. Teraz wszystko zależało od pancerników.

Ustawione w równoboczny trójkąt piątka i obie czwórki weszły właśnie w pole rażenia wroga. Same mogły otworzyć ogień sześć setnych sekundy później. Z punktu widzenia wiceadmirala przestrzeń zapłonęła w czterech miejscach naraz. Prawie nienaruszone ekrany trzeciego t'iru i nieco tylko ustępujące im mocą tarcze pancerników zamieniły się w korony miniaturowych gwiazd, przyjmując energię wielu laserowych trafień.

Dwie sekundy przerwy to stanowczo za mało, aby można ogarnąć pole walki,

zarazem jednak wystarczająco dużo, by komputery zdążyły skompilować napływające z sensorów dane. Piątka i obie czwórki przetrwały. Nadal mknęły przez pustkę, lekko tylko uszkodzone, aczkolwiek ich segmentowe tarcze nie chroniły już niemal trzeciej części z sześćdziesięciu sektorów. Mimo to blisko dziewięćdziesiąt procent stanowisk bojowych było wciąż sprawnych albo uszkodzonych w tak nieznacznym stopniu, że nadawały się do dalszego użytku. Zastąpienie tlenu obojętnym gazem sprawdzało się znakomicie. Meldunki o pożarach w pechowych przedziałach można było policzyć na palcach jednej dłoni. Ostatnia czwórka, co mogło wydawać się dziwne, niewiele pod tym względem ustępowała nowocześniejszemu okrętowi. Ustawienie pierwszej linii było idealne: pojedynczy liniowiec musiał rozproszyć ogień, by zaatakować trzy cele zamiast dwóch albo jednego, a to diametralnie zmieniało układ sił.

O trzecim t'iru nie dało się na razie wiele powiedzieć, gdyż komputer oceniał jego stan wyłącznie na podstawie obserwacji wizualnych, jednakże Takashi i tak się uśmiechnął na widok wstępnych szacunków. Siedemdziesiąt dwa procent – o tyle została uszczuplona siła rażenia liniowca. Wzięty w krzyżowy ogień piątka i obu czwórek ucierpiał najmocniej. A już dobiegały się do niego trójki i chroniące je znacznie liczniejsze zgrupowania krążowników.

Oby szcze... Tyle zdążył pomyśleć wiceadmirał, zanim zobaczył kolejne wyniki.

Liniowiec przetrwał i to starcie, lecz trójki też wciąż trzymały się w szyku. W tej wymianie ognia Takashi stracił sześć krążowników, niecałą dziesiątą część stanu.

W tym samym czasie piątka i czwórki zwały się z ostatnim t'iru. Tym razem poszło im nieco gorzej, czego należało się spodziewać. Przed starciem z trójkami pięćdziesiąt sześć procent stanowisk bojowych wrogiej jednostki nadal mogło prowadzić ogień. Piątka miała niemal identyczną sprawność, zmodernizowana czwórka oberwała jeszcze mocniej, ale również była w stanie walczyć. Za to stara czwórka ponownie zaskoczyła wiceadmirała. Okazała się niemal nietknięta. Może dlatego, że Obcy skupiali się na próbach zniszczenia

najgroźniejszych jednostek ludzi?

Trzeci liniowiec starł się właśnie z dwójkami i... poległ. Ostatni zdołał poważnie uszkodzić jeden z najstarszych i najsłabszych pancerników Federacji, po czym wydostawszy się poza ostatnie zgrupowanie bojowe wroga, wykonał niezbyt ostry zwrot. Na mostku *Partenona* rozbrzmiały syreny alarmowe. Takashi z kamienną twarzą wpatrywał się w wektor jednostki Obcych. Liniowiec szedł kursem na przejęcie. Dowódca t'iru wiedział już, że nie ma wielkich szans na przetrwanie. Podobnie jak jego towarzysz broni z Sankt Petersburga wysłał w przestrzeń wszystkie automatyczne platformy bombardujące i inne małe jednostki, aby go osłaniały. Skoro miał odejść, chciał zabrać ze sobą sprawcę tej porażki.

– Zwrot wyrównujący! – rozkazał wiceadmirał.

– Jest zwrot wyrównujący!

Dysze kierunkowe poruszyły giganta, ustawiając go dziobem do nadlatującej jednostki.

– Wzmocnić ekrany czołowe!

– Jest wzmocnić ekrany czołowe.

Gigantyczna czasza chroniąca rdzeń rozjarzyła się jeszcze bardziej, od centralnego wylotu emitera po końce pałkowatych ramion.

– Ogień zaporowy, maksymalna gęstość i moc!

– Jest ogień zaporowy...!

Setki wyrzutni wypluły w przestrzeń roje rdzeni kinetycznych. Ich magazyny nie były tak małe jak na niszczycielach, zatem w pustce między szarżującym liniowcem a poruszającym się ociężałym rdzeniowcem pojawiła się gruba na dwadzieścia cztery warstwy ściana helonu. Czternaście tysięcy kilogramowych rdzeni. Wszystkie, jakimi dysponował eskadrowiec. Tysiąc dwieście rakiet, w tym sześćdziesiąt cztery przenoszące taktyczne głowice nuklearne.

To była ostatnia linia obrony Takashiego. Nikt nie mógł przyjść mu z odsieczą, a trzydzieści sześć procent sprawności bojowej wroga wystarczało, by rozwalić flagowiec ósmego zespołu uderzeniowego w drobny mak. Z tym że



t'iru miał tylko jedną szansę na zniszczenie nowej broni ludzi i aby z niej skorzystać, nie mógł zejść z obranego kursu. Dlatego jego dowódca, żywa istota albo sztuczna inteligencja, musiał zaryzykować przebicie się przez kolejną falę ognia zaporowego. Ocalałe z wcześniejszego pogromu baterie laserowe znowu ożyły, posyłając w przestrzeń setki najkrótszych możliwych impulsów. Nadwerężone tarcze czołowe zostały wzmocnione kosztem mniej narażonych burt i rufy. Ten okręt miał szansę się przebić i zamierzał tego dokonać.

Ile mamy energii w rezerwie? Takashi zerknął na wskaźniki. Tylko szesnaście procent. Mało, ale musi wystarczyć, uznał, naciskając klawisz aktywacji działa. Automatyczny sternik już wcześniej ustawił *Partenona* dziobem do atakującego t'iru, aby można było odpalić pociski kinetyczne, dlatego rdzeniowiec nie potrzebował dodatkowych korekt.

Impuls miał tylko cztery mikrosekundy, był też o trzydzieści procent słabszy od poprzedniego, ale to wystarczyło, by zdjąć do reszty osłonę czołowe uszkodzonego liniowca i rozpieprzyć go na miliardy stygnących szybko odłamków. Lawina rozpędzonych do .2 światłnej szczątków zderzyła się najpierw z prawie dziewięcioma falami rdzeni, potem trafiła w pole rażenia rakiet, a to co z niej zostało, zamieniło się w kulę szybko parującej plazmy na tarczy czołowej rdzeniowca.

\* \* \*

– Generale...

W pobocznym oknie wyświetlacza Rutta zobaczył twarz Święckiego.

– Tak?

– Widział pan, co zrobił wiceadmirał Takashi?

– Owszem – potaknął tymczasowy dowódca trzeciego metasektora. – Drań miał cholerne szczęście.

– To prawda. I dlatego myślę, że powinniśmy zrewidować podejście do tego elementu naszej strategii.

– To znaczy?

– Wiemy już, że pełny impuls jest zbyt mocny przy ataku na pojedyncze jednostki, może więc każemy pozostałym dowódcom eskadrowców, by skrócili emisję do pięciu mikrosekund. Według moich wyliczeń to powinno wystarczyć, żeby zdjąć ekrany i poważnie uszkodzić t'iru.

– To by dało eskadrowcom możliwość oddania trzech strzałów zamiast jednego. – Rutta się zadumał. – Będą mieli szansę na poprawkę, jeśli nie trafią za pierwszym razem...

– I nie będą musieli liczyć na szczęście, jeśli zachowają trzy mikrosekundy w zapasie – dodał Henryan.

– Kapitanie Soren! – Generał wywołał oficera nadzorującego dział łączności. – Zaraz prześlę panu plik z nowymi rozkazami. Proszę je rozesłać do wszystkich zespołów, które dysponują eskadrowcami.

Zerknął na timery. Lada moment rozpocznie się starcie na Kiwushu 2. Tamtejszy zespół nie dysponował niestety rdzeniowcem, zatem nie dało się dzięki niemu sprawdzić skuteczności nowej taktyki.

Był to jeden z trzech systemów, w których cudowną bronią ludzkości miały być kolapsary.

\* \* \*

Konradmirał Belajosz Litwinienko zaliczał się do najstarszych i najczęściej odznaczanych dowódców trzeciej floty. Nigdy jednak nie miał pod swoimi rozkazami jednostek Korpusu Utylizacyjnego. Więcej nawet: sama myśl o współpracy z zakałami floty była mu naprawdę niemiła. Jeszcze tydzień temu wybuchnąłby śmiechem, gdyby ktoś mu powiedział, że kapitanowie kolapsarowców zasiądą przy tym samym stole co dowódcy pancerników i na równi z nimi będą brać udział w odprawie taktycznej przed jedną z najważniejszych bitew w historii ludzkości.

– Są jakieś pytania? – rzucił na koniec retoryczne, jak mu się wydawało,

pytanie.

– Jeśli można, szefie.

Hobescu. Iandre Hobescu. Nic mu to nazwisko nie mówiło, a system okazał się w tym wypadku mało pomocny. „Dowódca *Tuarega*, osiemnaście lat służby, żadnych odznaczeń ani wyróżnień, za to nagana i trzy upomnienia wpisane do akt”. Czy taki człowiek może zadać sensowne pytanie?

– Udzielam głosu kapitanowi Hobescu – powiedział, widząc podobny niesmak na wirtualnych obliczach elity, jaką stanowili dowódcy pancerników i krążowników. – Tylko proszę się streszczać. Do przewidywanego przylotu Obcych zostało nam raptem dwadzieścia minut.

– Jasne, szefie. – Iandre się zaśmiał. – Same konkrety, zero pieprzenia... – Zamilkł na moment, by wyszukać jakąś symulację.

Przed zebranyimi pojawiła się holomapa strefy skoku z zaznaczonym położeniem rozmieszczonych już kolapsarów. Pułapka na t'iru wyglądała jak ścięty u góry stożek. Każde z ustawionych warstwami urządzeń otaczała jaśniejsza sfera, którą zaznaczono strefy działania grawitacji. Aby osiągnąć ten kształt, w każdej kolejnej warstwie (licząc od wylotu studni grawitacyjnej) rozmieszczono większą liczbę kolapsarów. Przy tym powiększeniu mogło się wydawać, że sfery stykają się ze sobą, ale było to tylko złudzenie, w rzeczywistości bowiem urządzenia utylizacyjne zlokalizowano tak, by znajdowały się jak najbliżej siebie, lecz by pod żadnym pozorem nie weszły ze sobą w interakcję.

– Patrząc na ten wykwit myśli sztabowej, powiem tak: wy chyba nie do końca wiecie, z kim tańczycie – przerwał krótkie milczenie Hobescu.

– Zapewniam, kapitanie, że nad tym planem pracowali znacznie lepsi fachowcy niż pan – zganiał go cierpkim tonem Litwinienko.

Nie podobał mu się nonszalancki ton tego oficera i to lekceważenie wypisane na okrągłej, płaskiej twarzy. Tacy jak on byli tolerowani we flocie tylko z tego powodu, że porządni ludzie nie palili się do wykonywania najbardziej parszywej roboty.

– Naprawdę? – uśmiechnął się Hobescu. – Czy któryś z nich służył choć przez rok, miesiąc albo nawet dzień w Korpusie Utylizacyjnym bądź widział na własne oczy działający kolapsar? Przypuszczam, że nie sędzę.

– Żaden z nich nie ma też w aktach tyłu upomnień co pan – zakpił poirytowany kontradmirał. – Jeśli ma pan coś do powiedzenia poza inwektywami, proszę dalej. W przeciwnym razie odbiorę panu głos.

– Jasne, już przechodzę do rzeczy. Moim zdaniem ludzie, którzy opracowali ten plan, gównem wiedzą o naszej robocie...

– Co powiedziałem?! – Kontradmirał podniósł głos. – Dość tego, udzielam panu nagany z wpisaniem do akt!

– Pan się nie denerwuje, szefie. – Hobescu nie wyglądał na poruszonego groźbą, która niejednemu z tu obecnych oficerów złamałaby karierę. – Ja tu tylko próbuję ratować wam życie. – Włączył wyświetlaną symulację.

Kolapsary w strefie skoku zaczęły się do siebie zbliżać. Otaczające je sfery zapłonęły ostrzegawczą żółcią, gdy pola grawitacyjne wniknęły jedno w drugie.

– Czyś pan oszalał? – Litwinienko nie wytrzymał po raz drugi. – One zniszczą się wzajemnie!

– Owszem, ale dopiero po osiemnastu sekundach od zainicjowania interakcji – odparł ze stoickim spokojem dowódca *Tuarega*.

Dłoń kontradmirała zatrzymała się milimetry od klawisza wykluczającego Hobescu z grona obecnych. Osiemnaście sekund? To wystarczająco długi czas, by wszystkie liniowce przeszły przez zagęszczoną strefę rażenia. Czyżby analitycy naprawdę popełnili błąd?

– Co nam to da? – zapytał już o wiele spokojniejszym tonem.

– Tego do końca nie wiem, szefie, ale doświadczenie podpowiada mi, że jeśli doprowadzimy do splecenia tak silnych pól grawitacyjnych... a mówimy tu o najpotężniejszych dziewczynkach, jakimi dysponujemy... to ktokolwiek wpadnie do wora, ten dowie się w najboleśniej sposób, co znaczy dotknąć gołą dupą horyzontu zdarzeń.

Wykresy towarzyszące krótkiej symulacji były bardzo wymowne.

– Jest pan tego pewien, kapitanie? – odezwał się komandor Koenig, nowo mianowany dowódca *Belenusa*, jedynej piątki w tym zespole uderzeniowym.

– Nie – odparł z szelmowskim uśmiechem Hobescu. – Nikt nigdy nie próbował czegoś takiego, więc wszyscy jesteśmy jak te przysłowiowe dzieci we mgle. Nikt z nas nie może mieć pewności, czy pułapka grawitacyjna w ogóle zadziała. Poza tym ci dranie przejdą przez strefę rażenia w mgnieniu oka z ogromną prędkością. Jajogłowi sądzą, że to wystarczy do osłabienia ich osłon, ale to przecież też tylko teoria. Ja wam jedynie pokazałem, jak możecie uszczelnić pułapkę, żeby te skurwyklony nie trafiły... przypadkiem albo celowo... w strefy mniejszego ciążenia. Bo przy takim rozstawieniu, jak pierwotnie zakładano, znaleźliby ich około mnóstwo. – Wyszczrzył zęby w tryumfalnym uśmiechu.

Kolejna wizualizacja przedstawiała kolapsary w pierwotnym ustawieniu, tyle że pomiędzy sferami pojawiły się w miarę proste wektory ledwie zahaczające o ich zewnętrzne warstwy, gdzie działanie grawitronów będzie najslabsze.

Litwinienko przyglądał się temu obrazowi tylko przez chwilę. Czuł ogromną odrazę do tego prostaka, lecz był też zawodowcem, który wiedział, co robi, i znał się na wojaczce jak mało kto. Ten pomysł wart był zastanowienia, przemyślał więc szybko wszystkie za i przeciw. Miał na to naprawdę mało czasu, ponieważ od rozpoczęcia starcia dzielił ich już tylko kwadrans.

– Jak długo panu zajmie dokonanie stosownych korekt? – zapytał.

– Jakieś pięć sekund – odparł zadowolony z siebie Hobescu. – Wam wykombinowanie, co zrobić, zajęłoby pewnie ze dwa dni.

– Wykonać! – Kontradmirał zignorował zaczepkę.

– Tajest, szefie! A co do tej nagany...

– Powiedzmy, że zważywszy na okoliczności, została anulowana – warknął Litwinienko, po czym z niechęcią dodał: – A jeśli wasz plan wypali, niewykluczone, że dostaniecie w końcu pochwałę lub medal.

– Jaki tam medal, szefie. Jeśli już macie mnie nagradzać, wolałbym awansik albo jeszcze lepiej, solidną podwy... – zaczął Hobescu, lecz nie dokończył, gdyż

kontradmiral wyłączył jego kanał.

Do kontaktu z wrogiem pozostało niespełna czternaście minut. Wszystkie okręty znalazły się już na pozycjach wyjściowych. W pierwszej linii Litwinienko ustawił trzy okręty, podobnie jak zrobił to Takashi: piątkę i dwie zmodernizowane czwórki. Druga linia, oddalona o jedną piątą sekundy świetlnej, składała się również z trzech pancerników: jednej trójki i dwu dwójek. Trzecią i ostatnią linię zbudowano z dziewięćdziesięciu sześciu krążowników podzielonych na cztery zgrupowania, z których każde tworzyło poczwórną, głęboką na osiem jednostek formację. To także był eksperyment, poparty wprawdzie setkami symulacji, ale nigdy wcześniej niesprawdzony w boju. Dzięki takiemu rozmieszczeniu lżejszych jednostek wzmocniono siłę ich rażenia, lecz przy okazji zmniejszono im szanse na przetrwanie.

Siedemset dwadzieścia okrętów eskorty kończyło właśnie ostatni zwrot, by utworzyć czaszę podobną do tej zastosowanej na Kruggerze. One też miały za zadanie posłać w przestrzeń wszystko, czym dysponowały, ale tym razem z nieco większym opóźnieniem, tak aby rdzenie nie trafiły masowo w pole oddziaływania grawitronów. Narażenie ognia zaporowego na zmasowany ostrzał wroga było zdaniem admiralicji lepszym rozwiązaniem niż pozbycie się jedyne go atutu, jakim dysponował kontradmiral.

Litwinienko nie miał wielkiego wyboru, musiał dostosować posiadane środki do warunków, a komputery raczej nie kłamały. Jeśli chciał pokonać wroga, tak wyglądało najefektywniejsze ustawienie okrętów. Reszta spoczywała w rękach nieodpowiadającego do tej pory na jego modły Boga albo zwykłego szczęścia.

Ostatnie dziesięć minut kontradmiral spędził na ponownej dokładnej analizie każdego etapu finalnej symulacji. Chciał mieć absolutną pewność, że niczego nie przeoczono, ponieważ ewentualna porażka, z którą nadal się liczył, nie mogła i nie powinna nastąpić z jego winy. Jeśli wróg okaże się silniejszy, jeśli kolapsary zawiodą, celem tych okrętów i ludzi będzie zadanie Obcym jak największych strat, zanim dojdzie do zagłady całego zespołu. Nie musiał tego mówić kapitanom pancerników, nie zająknął się też słowem podczas odprawy

dla oficerów dowodzących krążownikami. Sam jednak nie umiał wygnać z głowy myśli o klęsce. Bał się nadchodzącej bitwy, gdyż w równaniu ją opisującym znalazło się zbyt wiele niewiadomych. W dodatku – ponieważ Federacja nie dysponowała obecnie większą liczbą okrętów – był zdany wyłącznie na swoje siły.

– Stacja monitorowania zarejestrowała anomalie – zameldował wachtowy, odrywając dowódcę zespołu od niewesołych myśli. – Chyba mamy cztery obiekty. – Kolejny raport był daleki od regulaminowych wymagań.

– Co znaczy: chyba? – Irytacja natychmiast powróciła.

– Pola grawitacyjne tak wielu włączonych kolapsarów zakłócają pomiary – wyjaśnił odpowiadający za łączność chorąży – ale jesteśmy niemal pewni, że nadlatują cztery liniowce.

Litwinienko wywołał mostek *Tuarega*. Kolapsarowiec znajdował się bardzo blisko strefy skoku. Pozostałe cztery jednostki tego typu, które przydzielono do zespołu uderzeniowego numer dwa, zostały już wycofane z systemu. Ich załogi zrobiły swoje, zatem dalsze ich narażanie nie miało sensu.

– Jesteście gotowi, kapitanie?

– I zwarci też, szefie! – zapewnił go Hobescu.

Tym razem nie miał głupkowatego uśmiechu na twarzy. Realizacja planu wymagała, by *Tuareg* do samego końca pozostał w bezpośrednim sąsiedztwie pułapki, a to dlatego, że jej aktywacja była bardzo skomplikowana, sekwencyjna. Nikt w drugim zespole nie znał się na kolapsarach tak dobrze jak ten prostak. Mimo to Hobescu mógł się uważać za szczęściarza. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jego okręt zniknie w podprzestrzeni dwie sekundy przed pojawieniem się pierwszego liniowca Obcych.

Dwie sekundy, niby mgnienie oka, a z drugiej strony cała wieczność. W takim samym przedziale czasu dojdzie do dwukrotnej wymiany ognia. Polegną setki, a może nawet tysiące ludzi.

– Do wyjścia, trzy, dwa, jeden, już!

W miejscu, gdzie znajdował się jeszcze przed momentem *Tuareg*, teraz widać

było charakterystyczną czasę okrętu Obcych. Dwie stacje monitorujące przekazywały obraz ze strefy skoku. Obie znajdowały się tuż poza przewidywanym polem rażenia wroga, aby uniknąć natychmiastowego zniszczenia i przekazać na pokład lecącego w drugiej linii *Emanuelona Muska* tyle danych, ile się da, dzięki czemu admiralicja zdoła przeanalizować na spokojnie przebieg starcia, a zwłaszcza wpływ kolapsarów na t'iru. Tę samą taktykę miały bowiem zastosować jeszcze dwa zespoły czekające na swoją kolej w pasie K.

Litwinienko obserwował tylko jeden z przekazów, ten nadawany przez bliższą stację. Tempo wyświetlania zostało znacznie spowolnione na moment przed pojawieniem się liniowca, aby ludzie mogli się pobieżnie przyjrzeć wydarzeniom z połowy sekundy, bo tyle mniej więcej potrzebowały jednostki wroga na wyrwanie się z pułapki grawitacyjnej. Czołowy liniowiec zniknął właśnie w bąblu rozgrzanej do białości plazmy, której warstwa była tak gruba, że po wyrwaniu się z pułapki Obcy pozostali ślepi i głusi. T'iru leciał prosto na trzy wystrzelone pod kątem czterdziestu pięciu stopni salwy rdzeni, nie reagując w żaden sposób ani nie osłaniając się ogniem zaporowym, tak więc biel – zamiast przygasnąć – znów zyskała na mocy. Sytuacja uległa zmianie dopiero w chwili wejścia w pole rażenia pancerników. Tam ożyły pierwsze lasery i wyrzutnie wroga. Nie był to jednak skoordynowany ani gęsty ogień, większość impulsów przeniosła albo została skierowana w zupełnie inną stronę niż trzeba. Załogi piątki i obu czwórek nie miały czasu na zastanawianie się, czemu zawdzięczają to szczęście, nie zrewanżowały się więc wrogowi podobnym gestem. Lawina ognia laserowego przebiła osłabione poważnie ekrany; co najmniej połowa impulsów i niemal wszystkie rakiety spenetrowały kopułę czołową i burty, ryjąc w tych ostatnich długie na dziesiątki metrów szramy.

W tym samym czasie drugi liniowiec przebijał się przez jeszcze bardziej zagęszczone pole kolapsarów, co przydało tej scenie dramatyzmu. Staranował dwa grawitrony, na które nadział się bezpośrednio, zatem gdy opuszczał pułapkę, był nie tylko ślepy i głuchy, ale też całkowicie pozbawiony czołowych



deflektorów. Pancerniki zmasakrowały go w ułamku sekundy, nie ponosząc przy tym żadnych strat. Gdy wstrząsany serią wewnętrznych eksplozji liniowiec zaczął zwalniać, dwójki wchodziły w wymianę ognia z jego poprzednikiem, który wciąż zachowywał się dziwnie, siejąc laserami na wszystkie strony, jakby jego załoga postanowiła ukarać próżnię za udział w tej zasadzce.

Zagęszczona pułapka grawitacyjna pomimo uczynionych w niej wyrw była teraz jeszcze bardziej zwarta. Hobescu wiedział, co robi – Litwinienko przyznał to później, kiedy przeanalizował już dokładnie każdą wprowadzoną zmianę. Kolapsary przyciągały się z rosnącą wykładniczo prędkością, przy czym stożek wykonywał równoczesny obrót wokół własnej osi, co sprawiło, że kolejny t'iru nie miał wcale lżej.

Systemy wyliczyły, że trzeci liniowiec, a raczej to, co z niego zostało, wynurzył się z pułapki o siedem setnych sekundy później, niż powinien, co kontradmirałowi wydało się w pierwszej chwili dziwne, lecz gdy tylko ujrzał sunącą w przestrzeni odkształconą kopułę, zrozumiał, że aż tak skondensowane pole grawitacyjne okazało się zbyt potężne nawet dla technologii Obcych. To już nie był okręt, tylko zmiażdżony wrak. Czwarty t'iru, o ile istniał, nie opuścił wnętrza miniaturowej czarnej dziury, w którą na mgnienie oka zamieniła się część strefy skoku. Kolapsary, pożerając same siebie, przestały istnieć w zlewającej się w jedno megaeksplozji.

\* \* \*

– Niewiarygodne – szepnął Rutta, oglądając na maksymalnym spowolnieniu powtórkę końcówki tego starcia.

Rozesłał plan Hobescu do pozostałych zespołów, ale tylko siódemka miała szansę na jego realizację. Czwórka właśnie odliczała ostatnie sekundy do przybycia Obcych. Pułapka na Kobe 9 nie mogła więc zostać wzmocniona, a zespół admirała Loisadory McMaster, nieznacznie tylko liczniejszy od sił Litwinienki, musiał się liczyć ze znacznie większymi stratami.

\* \* \*

Pierwszy liniowiec z czterech, które miały się pojawić na Kobe 9, wszedł w skrajny sektor grawitacyjnego stożka, kosząc po drodze aż trzy kolapsary. Potężne eksplozje pracujących z pełną mocą reaktorów wstrząsnęły rozpędzonym i targanym falami grawitacyjnymi kadłubem, zmieniając jeszcze bardziej wektor wyjścia tej jednostki.

McMaster ustawiła swoje okręty zgodnie z najnowszym zaleceniem trójkami, wystawiając w pierwszej linii piątkę i dwie zmodernizowane czwórki, w drugiej zwykłą czwórkę i dwie trójki, a w trzeciej trzy najsłabsze dwójki i towarzyszącego im brzemiennego, który był dla zespołu raczej obciążeniem niż atutem. Jediną modyfikacją tego szyku było umieszczenie stu dwudziestu krążowników wsparcia pomiędzy drugą a trzecią eskadrą pancerników, aby zminimalizować ryzyko zniszczenia najstarszych okrętów, zwłaszcza w razie niepowodzenia zasadzki.

T'iru został uszkodzony, i to poważnie. Przejście przez centra kilku sfer grawitacyjnych zmieniło wektor jego kursu o całe trzy stopnie, a co za tym idzie, miał minąć pancerniki pierwszej linii od zewnętrznej strony, nie mówiąc już o tym, że uniknął wszystkich czternastu fal rdzeni kinetycznych.

Takiego obrotu sprawy nikt się nie spodziewał. Ludzie nie mieli więc szans na odpowiednią reakcję. Ich formacja znajdowała się zbyt blisko punktu skoku, by ociążałe pancerniki mogły wykonać zwrot kompensujący zmianę kursu Obcych. Na pewno nie było to możliwe w ciągu kilku sekund, w czasie których ta bitwa powinna zostać rozstrzygnięta.

Drugi liniowiec wypadł spomiędzy kolapsarów mniej więcej właściwym kursem. Jego ekrany jarzyły się oślepiającą bielą, lecz stanowiska bojowe ożyły kilka dziesiątych sekundy później, w czasie przebijania się przez trzecią salwę ognia zaporowego. Część impulsów była przy tym skierowana za rufę, prosto w środek pułapki. Kilkanaście kolapsarów eksplodowało po bezpośrednich

trafieniach bądź w wyniku kolizji ze szczątkami wyrwanymi z pierwszego okrętu Obcych, przez co w stożku pułapki pojawiła się spora wyrwa.

Równocześnie pierwszy t'iru wszedł w kontakt bojowy z piątką, wymiana ognia była jednak ze zrozumiałych względów bardzo chaotyczna i zakończyła się niemal zerowym efektem. Obcy odchodzili pod ostrym kątem od drugiej i trzeciej linii, nie mając żadnych szans na zmianę kursu, ponieważ ich napęd został poważnie uszkodzony przez grawitrony. Mogli jedynie rzucić do walki wszystko, co mieli mobilnego, i to właśnie zrobili, wypuszczając w przestrzeń chmary platform bombardujących, orbitalnych dział i kilka rodzajów innych pojazdów, które ruszyły szeroką ławą ku zewnętrznej flance formacji ludzi.

McMaster dostrzegła problem od razu, zareagowała również bardzo szybko.

– Eskadry siedem do dwanaście – rozkazała, wchodząc na główny kanał – opuścić stanowiska i zlikwidować jednostki wroga znajdujące się na lewej flance!

Dwadzieścia cztery krążowniki z przedostatniej linii obrony powinny załatwić sprawę, uznała, choć wcale jej się nie podobało, że musi osłabić siłę ognia głównej formacji.

W tym czasie z nadprzestrzeni wyszedł trzeci liniowiec, trafiając, jakżeby inaczej, w sam środek wyrwy stworzonej przez opuszczające wcześniej nadprzestrzeń jednostki. Jego poprzednik, który wchodził właśnie pomiędzy trzy pancerniki, zbierał ostre ciągi. Zmodernizowane czwórki nie mogły równać się z piątką, lecz w porównaniu z okrętami starszych generacji wydawały się niewyobrażalnie silne. Wspólnymi siłami unicestwiły więc nadwerężone w pułapce grawitacyjnej ekrany wroga, doprowadzając do szeregu poważnych uszkodzeń poszycia i niszcząc co najmniej siedemdziesiąt procent namierzonych stanowisk ogniowych. To powinno wystarczyć, by dwie kolejne eskadry dokończyły dzieła.

Nie obyło się jednak bez strat własnych. Choć t'iru musiał walczyć z trzema przeciwnikami naraz, siła jego ognia pozostała znacząca. Tarcze piątki ledwie wytrzymały, niestety *Tirnanog* nie miał tyle szczęścia. Spora część jego

bakburtowych przedziałów bojowych została kompletnie zniszczona. Tyle dobrego, że okręty tej generacji walczyły już w trybie rotacji, dzięki czemu w ciągu sekundy, jaka dzieliła kolejne wymiany ognia, *Tuareg* zdążył obrócić się wokół swojej osi podłużnej o całe szesnaście stopni, a to sprawiło, że nie był już tak bezbronny, jak mogło się wydawać. Zamiast dwunastu baterii turbolaserów mógł korzystać tylko z dziewięciu, lecz i to wystarczyło, w połączeniu z lawiną rdzeni, aby urządzić wrogowi niemiłą niespodziankę. Trzeci t'iru stracił ekrany czołowe, odsłaniając się na kolejne ciosy, jakie spadną na niego ze strony krążowników, trójek i dwójek.

Czwarty okręt Obcych przedarł się przez kolapsary z podobną dozą szczęścia co jego poprzednik, zatem i tym razem czołowa formacja ludzi musiała się liczyć z ostrą przeprawą. Trzecia wymiana ognia uszczupliła siły Federacji o jeden pancernik. *Tirnanog*, uszkodzony już wcześniej, otrzymał dalsze, śmiertelne rany, ale wbrew obawom jego reaktory nie eksplodowały, a przynajmniej nie zamieniły wraku w kulę plazmy, zanim przeprowadzono ewakuację ocalałych członków załogi.

Obcy stracili w tym czasie drugi liniowiec – zgodnie z oczekiwaniami nie zdołał się on przebić przez lecące jedna za drugą formacje krążowników i starszych pancerników. Przemieszczający się tuż za nim trzeci t'iru dotarł znacznie dalej, niszcząc też po drodze więcej jednostek floty, lecz i on musiał dać za wygraną, gdy nietknięte jeszcze dwójki skoncentrowały na nim ogień.

Czwarty, mając do czynienia tylko z uszkodzoną w lekkim stopniu, ale nieposiadającą już tak dużej siły ognia piątką oraz znacznie słabszą od niej czwórką, parł naprzód niczym taran. Obrywał, ale i sam zadawał potężne razy, co skończyło się wykluczeniem z boju drugiej zmodernizowanej czwórki. W przeciwieństwie do *Tirnanoga*, który zamienił się w dryfujący wrak, ta ostatnia jednostka nie została zniszczona całkowicie.

Piątka zachowała czterdziestosześciprocentową sprawność bojową, ale gdyby na Kiwushu 2 pojawił się jeszcze jeden przeciwnik, zapewne zostałaby rozniesiona na strzępy, ponieważ jej ekrany – przy uszkodzeniu trzech z ośmiu

generatorów – nie stanowiły już należytej osłony. Na szczęście czwarty t'iru był też ostatnim w linii.

Następna linia drugiego zespołu po przejściu trzeciego t'iru też nie wyglądała najlepiej, ale co trzy okręty to nie jeden. Starsze pancerniki w pojedynkę nie byłyby w stanie zagrozić w pełni sprawnemu liniowcowi, lecz tego dnia walczyły w parze, mając wsparcie ze strony niezmodernizowanej czwórki. Co więcej, ich załogi wiedziały, że to już ostatni akt tej bitwy, i użyły przeciw wrogowi każdej dostępnej broni, wyzwalając impulsy maksymalnej mocy. To musiało zboleć i zabolą. Obcy stracili w tej wymianie ognia ponad trzy czwarte aktywnego uzbrojenia, nie zadając nawet w połowie tak wysokich strat. Przetrzebione krążowniki zredukowały liczbę czynnych wyrzutni i emiterów o kolejne osiem procent, a załogi wciąż prawie nietkniętych dwójek dodały do tego jeszcze dziesięć.

Na tym zakończyło się inicjujące starcie, ale niestety nie bitwa.

Admirał McMaster zaklęła, gdy system flagowca podliczył straty. Piątka mogła jeszcze walczyć, ale tak naprawdę nadawała się już tylko do poważnego remontu, jedna czwórka została zniszczona, dwie następne były poważnie uszkodzone. Trzydzieści osiem krążowników zamieniło się w chmury szczątków, dwadzieścia pięć dalszych dryfowało, powoli wypadając z szyku, a z pozostałych tylko jednaście pozostało nietkniętych. Dwa liniowce wroga zostały unicestwione. Trzeci przypominał raczej wrak niż budzącą grozę jednostkę bojową, a czwarty, najmniej uszkodzony, choć pozbawiony głównego napędu, wszedł w dryf i oddalał się cały czas od pola bitwy i strefy skoku.

Eskadra Obcych nie uległa definitywnemu rozbiciu, należało się więc liczyć z tym, że zdoła przetrwać kilka następnych dni. Niemniej jedno wydawało się niemal pewne: zespół uderzeniowy numer sześć osiągnął zakładane cele: okręty wysłane na Kobe 9 nigdy nie wrócą na Zero.

\* \* \*

– Hobescu zasłużył na coś więcej niż tylko medal – rzucił Święcki, gdy do sztabu trzeciego metasektora napłynęły raporty.

W czterech bitwach flota rozgromiła wroga, nie ponosząc znaczących strat. Dwie pułapki grawitacyjne, ulepszone przez dowódcę *Tuarega*, uszkodziły przelatujące przez nie t'iru w takim stopniu, że dobitcie ich było tylko formalnością. Na Kipu zespół uderzeniowy numer jeden przy wsparciu eskadrowca powtórzył sukces wiceadmirala Takashiego, aczkolwiek w tym wypadku straty po stronie ludzi były większe niż na Kruggerze, choć i tak niskie w porównaniu z tymi, jakie poniosła szóstka.

Na razie wszystko szło po myśli ludzi. Do boju szykował się już tylko zespół uderzeniowy numer trzy, blokujący strefę skoku na Katanii 12, i szturmujące Zero eskadrowce Farlanda. Admirał Bonetti będzie obgryzał paznokcie jeszcze przez prawie pół godziny, lecz o niego Rutta był zadziwiająco spokojny. Katania 12 należała do podrzędnych celów, ale i tak wzmocniono ją przed paroma godzinami ostatnią z nadesłanych czwórek, zatem wynik starcia – pomimo braku eskadrowca i kolapsarów – wydawał się z góry przesądzony.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sytuacja korpusu ekspedycyjnego najwyższego admirała. Wprawdzie gigantyczne t'iru nie drgnęły nawet, ale czy pozostaną w dokach po tym, jak Farland rozprawi się ze zwykłymi liniowcami, trudno było powiedzieć. Na razie Obcy nie przejawiali większej ochoty do walki. Ich okręty po początkowej szarży najpierw zwolniły, a potem wykonały ostry zwrot, wycofując się bliżej Alfy. Baza na powierzchni została w tym samym czasie osłonięta kilkoma kopułami pola siłowego, jakby ma'lahn spodziewali się oblężenia.

– Generale? – Rutta dopiero teraz zauważył, że jego protegowany wciąż jest na linii.

– Tak?

– Ja w sprawie próby przejęcia tego ich transportowca... – zaczął niepewnie Święcki.

– Farland powiedział, że tego nie zrobią – odparł zdziwiony generał. –

Myślałem, że już to sobie wyjaśniliśmy.

– Wspominał pan o tym – przyznał Henryan. – Ale ja mam nowy pomysł.

Rutta zerknął na timer; mógł poświęcić minutkę albo dwie na rozmowę. Perspektywa ta wydała mu się nawet kusząca, ponieważ nie chciał obgryzać paznokci, czekając w milczeniu na rozpoczęcie decydującego starcia, a niewiele więcej był w stanie zrobić.

– Słucham.

– Moglibyśmy przejąć go tutaj, po naszej stronie – zagaił Święcki, podsyłając generałowi plik z gotową symulacją. – Mieliśmy zadbać o to, aby żaden t'iru nie wrócił na Zero, ale możemy przecież zrobić wyjątek dla kilku wyjątkowo pokiereszowanych jednostek.

Rutta odpalił holograficzny zapis hipotetycznego starcia. Henryan wykorzystał plan blokady strefy skoku na Mykenach 39. Formacja Obcych wysłana na Kolumbię 5 zawróciła po tym, jak eskadrowce Farlanda pojawiły się w Systemie Zero. Tamtejsze sondy pokazywały wydarzenia z mniej więcej pięciominutowym opóźnieniem, ponieważ znajdowały się z dala od strefy skoku, ale to, co nadały, świadczyło niezbicie, że zespół numer dwa ma niewiele czasu na zastawienie pułapki.

– Proszę mówić dalej – rzucił, zapoznając się z dołączonymi dokumentami.

– Na krążownikach czwartej generacji mamy niewykrywalne wahadłowce szturmowo-desantowe – poinformował Święcki. – Moglibyśmy ich użyć i zainfekować uszkodzone t'iru, tak jak to zrobiliśmy z sondami Modo.

– Nie zapomniał pan przypadkiem, że tamte sondy były hybrydowe i tylko dlatego udało im się uniknąć wykrycia?

– Nie zapomniałem, generale. Dlatego proponuję, by te maszyny zostały zniszczone zaraz po udanym podejściu.

– Co znaczy: zniszczone? – zdumiał się Rutta.

– Proszę spojrzeć... – Henryan uruchomił kolejną symulację. – Moja propozycja jest następująca. Odpalimy dodatkową salwę ognia zaporowego, która spadnie na nadlatujące t'iru pomiędzy drugą a trzecią linią pancerników.

Dzięki temu wahadłowce będą mogły dokonać awaryjnego lądowania na najbardziej uszkodzonych połączeniach czaszy, tam gdzie nie przetrwały żadne czujniki. Z punktu widzenia ma'lahn będą tylko kolejnymi pociskami, zwłaszcza gdy wyłączą wszystkie systemy, także reaktory.

– No dobrze, a co z ludźmi? Bez elektroniki nie przetrwają w takich warunkach.

– Wiem, dlatego musimy posłać ich tam w najprymitywniejszych skafandrach, jakie zdołamy wydrukować. Sprawdziłem, mamy kilka takich projektów w archiwach.

– A co z tlenem?

– Będą go potrzebowali na maksymalnie czterdzieści godzin. Wystarczy, że zamontujemy w przedziałach załogowych odpowiednio duże zbiorniki ciśnieniowe, a nawet pełna drużyna przetrwa w nich pięć razy dłużej. Podejrzewam jednak, że tym razem podwózka będzie czekała bliżej. Rdzeniowiec opuścił Zero kilka minut po wykryciu obecności naszych okrętów. T'iru broniące bazy przegrupowują się, jakby czekały na wsparcie wycofywanych z Rubieży jednostek. Reakcje ekipy z Kolumbii 5 też potwierdzają moje przypuszczenia. Oni chcą jak najszybciej wrócić na Zero. Jeśli zamiast zniszczyć ich na Mykenach 39, zaledwie uszkodzimy w takim stopniu, by nie mogli przechylić szali zwycięstwa na swoją stronę, nie tylko nie narazimy eskadrowców Farlanda, ale też możemy zyskać dużo więcej, niż początkowo sądziliśmy. Generale, ta technologia warta jest każdego ryzyka.

– Gdyby Obcym faktycznie zależało na czasie, podebraliby te t'iru na Kolumbii 5.

– Może nie chcą ryzykować utraty tak cennej jednostki, ponieważ to ich największy atut? Kolumbia 5 to przecież strefa wojny, podobnie jak sąsiadujące z nią systemy w pasie M. Sankt Petersburg nauczył ma'lahn ostrożności, generale. Sądzę, że zdążyli powiadomić wszystkie eskadry i zorientowali się, że dostają łupnia na innych frontach. Ja na ich miejscu przyczałbym się ze dwa pasy dalej. To maksymalnie sześć godzin spóźnienia, a są tam o wiele bardziej



bezpieczni.

– Zostawmy na moment to gdybanie. Mamy ludzi na t'iru, pozostali niewykryci i co dalej?

– Po dotarciu do Systemu Zero drużyny szturmowe opuszczą wraki i przemieszczą się w te rejony poszycia *Oumuamua*... – Na hologramie liniowca pojawiły się jaśniejsze kręgi. – Zajmie to chwilę, ponieważ wahadłowce będą oddalone zaledwie o kilka metrów od miejsca połączenia t'iru z transportowcem. A kiedy chłopcy przejdą na kanciaka, zauważeni czy też nie, spróbują przebić się do wnętrza tutaj albo tutaj – wskazał dwa punkty. – Skanowanie ujawniło, że w tych miejscach pancierz nie jest jednolity, zupełnie jakby tę część – niewielki wycinek kadłuba został podświetlony – można było odłączać bądź wysuwać. To może być śluza czy właz.

– Spowodowanie zbyt mocnego wybuchu lub podłożenie materiałów w niewłaściwym miejscu może doprowadzić do nieodwracalnego zniszczenia technologii, którą z takim poświęceniem chce pan zdobyć, generale majorze – przypomniał mu Rutta.

– To prawda, ale nie robiąc nic, na pewno jej nie zdobędziemy. Moim zdaniem warto zaryzykować, nawet jeśli możemy doprowadzić do zniszczenia *Oumuamua*. Poza tym taki właśnie jest plan B.

– No dobrze, w takim razie ostatnie pytanie. Skąd weźmiemy ludzi do tej samobójczej misji?

– Proszę sprawdzić załącznik numer sześć. Ma pan tam długą listę ochotników z dwójki. Jest ich kilka razy więcej, niż wymaga sytuacja, a zaręczam panu, że to wcale nie samobójcy.

– No nie wiem...

– Proszę pomyśleć, jaką ci chłopcy mają alternatywę? Mogą siedzieć na macierzystych jednostkach, licząc na to, że nie wyparują po kolejnym trafieniu, co czeka prawie trzecią część naszych krążowników, albo zrobić to, za co im płacimy, czyli zaatakować wroga tam, gdzie najmniej się tego spodziewa.

# CZTERY

*System Zero, Sektor X,*

*22.04.2355*

Farland przyjrzał się po raz kolejny ciągowi symulacji dołączonych do raportu Rutty. Jediną wadą tego planu, jaką widział, była konieczność przypisania autorstwa Święckiemu. Próba przemycenia komandosów na transportowiec Obcych załatwiała – oczywiście w razie powodzenia operacji – kilka bardzo istotnych spraw.

Po pierwsze: *Oumuamua* zostanie albo przejęty, albo zniszczony, czego zespoły uderzeniowe nigdy by nie dokonały, ponieważ Obcy na pewno nie okazaliby się tak głupi, aby przypadkiem wlecieć w pole rażenia dział eskadrowców czy też baterii pancerników, a innej opcji dopadnięcia tego skurwykłoństwa najwyższy admirał nie widział. Po drugie: defensywna postawa Obcych w końcu przestawała być problemem.

W dodatku Farland wiedział, czego może się spodziewać – Rutta obiecywał, że na Zero trafią tylko trzy liniowce, i to na tyle uszkodzone, by nie stanowiły większego zagrożenia dla operujących tam okrętów. Ma'lahn wciąż mieli nadzieję na odzyskanie całej eskadry, a że do jej powrotu na Mykeny 39 pozostało sporo czasu, pozwolili ludziom na swobodne dotarcie w pobliże Alfy, gdzie sami czekali po przegrupowaniu sił, licząc zapewne na to, że wycofywane z Rubieży jednostki zmienią układ sił na ich korzyść.

Najwyższemu admirałowi to pasowało, ponieważ ani myślał uderzać na

chronioną przez osiem t'iru i ekrany energetyczne bazę. Jego prawdziwym celem były orbitalne doki, w których nadal spoczywały gigantyczne liniowce. Te okręty spędzały mu sen z powiek, odkąd o nich usłyszał. Nie zamierzał pozwolić, by choć jeden taki potwór uzyskał gotowość operacyjną, gdyż to mogłoby zmienić koleje wojny, w ostatnim momencie odbierając ludzkości niemal pewne zwycięstwo. Decyzję podjął już dawno; przez długi czas miał zamiar doprowadzić do unicestwienia wszystkich instalacji orbitalnych, nawet gdyby sam miał przy tym zginąć, teraz zaś zyskał szansę na wcielenie swoich planów w życie.

Kilka godzin wcześniej przemówił do załóg, aby wszyscy mieli świadomość powagi sytuacji. Ujawnił to, co dla wielu wciąż było tajemnicą – nie wspominając rzecz jasna o kwestiach utajnionych przez polityków. Uzmysłowił podwładnym rozmiary zagrożenia, jakie dla ludzkości stanowią nowe jednostki Obcych. Uświadomił oficerom i marynarzom, jak wysoka jest stawka tej bitwy, aby nie wahali się oddać życia, jeśli zajdzie taka potrzeba. Starał się przy tym sprawiać wrażenie pewnego siebie, jakby był urodzonym zdobywcą, wodzem, który przybywa, aby rządzić i dzielić. Skupiał się wyłącznie na jasnych stronach misji. Budował wizję decydującego zwycięstwa, żeby nie zastraszyć, lecz zmotywować podlegających mu ludzi.

Zrobił wszystko, co dowódca powinien uczynić w takiej sytuacji. Pozostało mu już tylko jedno: wydać rozkaz do ataku.

– Do wszystkich jednostek: wykonać manewr Kraken Jeden – rzucił do komunikatora, gdy oba eskadrowce dotarły na wyznaczone pozycje.

Aż do tej pory ludzie lecieli kursem na przejęcie bazy, ale teraz mieli ujawnić odległemu o sześć minut świetlnych wrogowi swoje prawdziwe zamiary. Farland nie mógł przeprowadzić ataku według pierwotnych planów, które zakładały stoczenie bitwy z obrońcami Systemu Zero w pobliżu strefy skoków. Gdyby Obcy nie przerwali szarży, pancerniki floty starłyby się z nimi już dawno, a niebiorące udziału w tej wymianie ognia krążowniki ruszyłyby kursem na synchroniczne przejęcie wszystkich instalacji orbitalnych. Ich nadrzędnym

zadaniem byłoby uszkodzenie napędów budowanych jednostek, aby wyeliminować ryzyko ich ewakuacji. Tym sposobem ocalałe z bitwy pancerniki oraz towarzyszące im eskadrowce mogłyby dotrzeć na orbitę Alfę i dokończyć dzieła, zanim rozpocznie się właściwy szturm na bazę ma'lahn.

Najwyższy admirał musiał postawić wszystko na jedną kartę. Nie zamierzał przy tym oddawać inicjatywy wrogowi. Skoro t'iru nie chciały podjąć walki przed otrzymaniem posiłków, postanowił je do tego zmusić. Jego okręty nie zwolniły nawet na moment, wymuszając dalsze skrócenie jednostronnego zawieszenia broni, a gdy znalazły się wystarczająco blisko planety, zmieniły kurs, obierając za cel najbliższą z instalacji orbitalnych.

To zmusiło ma'lahn do wyczekiwanej przez ludzi reakcji. Liniowce przerwały dryf i ruszyły wektorem pozwalającym im przejąć atakującą formację prawie milion kilometrów przed przeznaczonym do zniszczenia inkubatorem. Farland tylko na to czekał. Gwoli prawdy, nie był wolny od obaw. Jak dotąd, starcia z Obcymi trwały ułamki sekund, ponieważ okręty obu stron mijały się z niewyobrażalną prędkością, jednakże na Zerze dojdzie do znacznie dłuższej wymiany ognia, gdyż kurs t'iru będzie niemal zbieżny z tym, który obrali ludzie. System floty obliczył, że przy zachowaniu obecnej prędkości obu zgrupowań walka może potrwać nawet do trzech sekund. Tyle czasu minie bowiem od wejścia w pole rażenia pierwszego t'iru do chwili, gdy ostatni znajdzie się zbyt daleko, by sięgnęły go wiązki promieni turbolaserów.

To wymagało całkowitej zmiany taktyki. Sztab metasektora na polecenie najwyższego admirała opracował kilka wariantów ustawienia okrętów, z czego po serii symulacji wybrano ten najkorzystniejszy. Oba zespoły uderzeniowe miały utworzyć ścianę składającą się z czterech par pancerników otoczonych liczącymi po osiem jednostek eskadrami krążowników. Przenoszące jednostki wsparcia rdzeniowce zlokalizowano tak, by ściana okrętów wojennych oddzielała je od nadlatujących w klasycznej linii t'iru. Komputery były zgodne, że to najefektywniejszy sposób wykorzystania własnych sił, dający ponad osiemdziesiąt procent szans na odniesienie miażdżącego zwycięstwa.

Farland jednak nie byłby sobą, gdyby nie zaczął szukać dziury w całym. Bo choć dotychczasowe działania ma'lahn potwierdzały wysuniętą przez Świąckiego tezę o marnej wiedzy strategicznej Obcych, raz czy dwa udało im się zaskoczyć ludzi (jak choćby na Rwandzie). Tutaj z pewnością nie zdołają zmienić zasad pola walki aż tak jak podczas pamiętnej masakry, lecz nikt nie mógł zagwarantować, że nie spróbują czegoś niestandardowego.

Centra łączności i współpracujące z nimi korwety zwiadu nie wykryły do tej pory ani jednego sygnału nadanego przez ma'lahn, jednakże synchroniczne reakcje poszczególnych formacji na Zerze i na Rubieżach sugerowały, że jakaś komunikacja między ich okrętami istnieje, tyle że człowiek nie umie – na razie! – jej wykryć. To dawało Obcym pewną przewagę, ponieważ skutecznie ukrywali przed ludźmi swoje zamiary. Nie trzeba było bowiem wielkiego geniusza, by domyślić się, że samo nasilenie komunikacji między t'iru zwiastuje nadchodzącą zmiany szyku albo kursu.

Siły Farlanda mogły co najwyżej reagować na ewentualne ruchy przeciwnika, i to z dużym – czasem nawet za dużym – opóźnieniem. Tak też było tym razem, gdyż przecucia najwyższego admirała ziściły się co do joty. Na niecałą minutę przed wejściem w kontakt t'iru zmieniły ponownie kurs, zwiększając – zamiast zmniejszyć – kąt zbieżności, oraz co jeszcze gorsze, rozpoczęły równoległe drugi manewr, ustawiając się w pary, podobnie jak ludzie.

Farland zaklął, widząc nowe wyliczenia. Szanse na wygranę tej bitwy zmalowały z osiemdziesięciu do nieco ponad sześćdziesięciu procent. To wciąż było niemało, ale starcie przestało być tak jednostronne, jak wydawało się jeszcze przed chwilą. Do tego w tak krótkim czasie ludzie nie byli w stanie wykonać proponowanych przez komputery kontrposunięć. Zresztą gdyby nawet mogli to zrobić, najwyższy admirał nie wydałby rozkazu dalszej koncentracji sił i skrócenia linii, ponieważ odsłoniłby oba eskadrowce przenoszące wciąż wszystkie jednostki wsparcia, w tym transportowce szturmowe z sześcioma dywizjami zmechanizowanymi na pokładach, a na coś takiego nie mógł sobie pozwolić.

Nie wiedział wprawdzie, czy ma'lahn zwarli szyki, przygotowując dla ludzi jeszcze jakąś niespodziankę, czy po prostu skopiowali jego ruchy, by zwiększyć własne szanse na wygraną. I wolał nie brać za pewnik tego drugiego rozwiązania, choć wydawało się kusząco logiczne.

Jeśli nie chodzi im o wyrównanie szans, co jeszcze szykują? zastanawiał się w duchu, patrząc uporczywie na timer. Dlaczego zwiększyli kąt natarcia, zamiast go zmniejszyć?

Wtem zrozumiał, co może się za tym kryć.

– Do wszystkich jednostek! – rzucił pośpiesznie do komunikatora. – Skupić cały ogień na liniowcach numer dwa, cztery, sześć i osiem! W razie zniszczenia pierwotnego celu automatycznie przenieść ogień na kolejny. Bez odbioru.

Odetchnął głęboko – po części aby uniknąć hipowentylacji, po części zaś by się uspokoić.

Dwadzieścia sześć sekund powinno wystarczyć na przekalibrowanie wszystkich stanowisk bojowych... Dopiero ta myśl ukoła nieco jego nerwy. Obym się nie mylił...

T'iru miały przewagę prędkości, i to sporą, ponieważ zespoły uderzeniowe musiały już jakiś czas temu rozpocząć hamowanie, aby zyskać czas na zniszczenie branych na cel instalacji orbitalnych.

– Dziesięć sekund do kontaktu – zameldował któryś z wachtowych, podnosząc głos, by przekrzyczeć swoich kolegów obwieszczających wykonanie kolejnych regulaminowych czynności.

Farland zamknął kokon ochronny, podobnie jak reszta obsady mostka *Odyna*. Pompy błyskawicznie odessały tlen, zastępując go argonem. To był ostatni etap przygotowań do bitwy.

Wszystkie piątki wirowały już wokół podłużnej osi, a mogły to robić o wiele szybciej od zmodernizowanych czwórek, dzięki czemu rozłożenie potencjalnych trafień było większe i nie pozwalało wrogowi na taką koncentrację ognia, jakiej by sobie życzył, a to w walce jeden na jeden mogło mieć niebagatelne znaczenie.

Trafiane impulsami laserów tarcze energetyczne lecącego w ostatniej parze *Tyra* i towarzyszącego mu *Hefajstosa* rozjarzyły się w wielu miejscach, mimo że ostrzał nie był tak gęsty, jak można się było spodziewać. Za to przestrzeń wokół pancerników zapłonęła, gdy krążowniki z eskadry chroniącej obie piątki przyjęły na siebie zadziwiająco dużą część ciężaru uderzenia.

Wiedziałem, zdążył pomyśleć Farland, zanim jego okręty odpowiedziały zgodnie z rozkazem, koncentrując się na jednym tylko przeciwniku.

Ostrzelany przez nie t'iru wszedł niemal natychmiast w pole rażenia drugiej pary pancerników. *Baldur* i *Atena* zdołały przebić jego nadwerężone ekrany czołowe w kilku sekcjach i zadać Obcym poważne rany, zanim same utraciły większość eskorty. W tym właśnie momencie ma'lahn rozpoczęli kolejny manewr; ich jednostki wykonały ostry zwrot, wchodząc na kursy kolizyjne z pancernikami.

Farland sapnął tylko, gdy odezwały się syreny alarmowe. Przeczucie go nie myliło, ale to wiedział już od ponad sekundy. Obcy naprawdę zamierzali dokonać samobójczego ataku. Na szczęście – przynajmniej dla załóg dwóch pancerników – przewidział taką możliwość. Rozkaz koncentracji ognia na jednym tylko celu pozwalał na szybsze wyeliminowanie co najmniej dwóch liniowców. Pozostałe okręty z atakowanej linii także mogły przy okazji oberwać na tyle mocno, że nie zdołają skompensować manewru unikowego piątek, lecz to niestety nie było tak pewne jak fakt, że cztery jednostki zespołu uderzeniowego zostały skazane na niemal pewną zagładę.

Dowódcy pancerników nie mieli czasu, by okazać strach czy wpaść w panikę. Ba, do samego końca wypełniali wydane im rozkazy. Żadna bateria nie oddała strzału w kierunku czterech nietkniętych t'iru. Ani jeden pocisk nie spłonął w ich ekranach energetycznych. A mgnienie oka później było już po wszystkim.

Pięć gigantycznych erupcji rozerwało sztyk połączonych zespołów uderzeniowych. Siła kolizji była tak niewyobrażalna, że atakujący i atakowani wyparowali bez śladu. Gdy rozszerzające się błyskawicznie kule plazmy zgasły i rozplynęły się w przestrzeni, po liniowcach i pancernikach nie pozostały nawet

szczątki.

Farland obrzucił wzrokiem te ekrany, na których system zliczał straty. Samobójczy atak przetrwały trzy pancerniki: *Odyn*, *Thor* i *Baldur*, który chyba tylko cudem uniknął zderzenia z potwornie uszkodzonym liniowcem. Jak wykazała późniejsza analiza nagrań, wiceadmiral Jones zawdzięczał życie swojemu wieloletniemu przyjacielowi, dowódcy *Hefajstosa*, który w ostatniej sekundzie starcia przekierował ogień własnych baterii na trzeci w linii t'iru, co skumulowało uszkodzenia tej jednostki do tego stopnia, że nie zdołała zakończyć w porę manewru i dosłownie o włos minęła idącego w górę *Baldura*.

Najwyższy admirał utracił także pięćdziesiąt dziewięć spośród sześćdziesięciu czterech krążowników. Czterdzieści osiem spośród nich przestało istnieć, dalsze jedenaście zostało tak poważnie uszkodzonych, że nie było w stanie kontynuować lotu i walki. Wraki tych dumnych niegdyś okrętów mknęły nadal za ocalałymi pancernikami, ale już po pierwszym zwrocie nakazanym przez Farlanda wypadły z mocno przerzedzonego szyku i kontynuując podróż ku nieskończoności, pokoziołkowały w wieczny mrok.

Farland odetchnął, chociaż nie czuł cienia ulgi. Ten etap bitwy o Zero został wygrany, lecz było to prawdziwie pyrrusowe zwycięstwo. Walkę mogły kontynuować zaledwie trzy pancerniki i cztery krążowniki, co jednak powinno wystarczyć do osiągnięcia głównego celu, jakim było zniszczenie orbitalnych doków.

Sprawdził, która z mniejszych jednostek jest najpoważniej uszkodzona.

– *Daleopold Lansitter*, zezwalam wam na opuszczenie szyku. Przechwyćcie kapsuły ratunkowe, które mają problemy z napędem. Rozstawcie znaczniki punktów ewakuacyjnych. Wrócimy po naszych, jak tylko rozprawimy się z resztą tych drani.

– Odmeldowujemy się, najwyższy admirale! – odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

– Jak wygląda sytuacja na Mykenach 39? – zapytał Farland, ledwie połączył się ze sztabem.



Zrobił to, by nie musieć rozmawiać z Rutta o ostatnich wydarzeniach na Zerze. Nie miał na to chęci ani czasu. Wolał się skupić na tym co najistotniejsze.

– Wszystko poszło zgodnie z planem – zameldował generał ponurym tonem. Widział przebieg starcia, czuł się więc nie mniej zdruzgotany wysokością strat. – Pozwoliliśmy uciec trzem t'iru, z których dwa zostały uszkodzone w co najmniej sześćdziesięciu procentach, a trzeci, zainfekowany, jest praktycznie biorąc latającym złomem.

– Ale napęd ma wciąż sprawny? – upewnił się Farland.

– Tak.

– Świetnie. Nie ma wątpliwości, że ma'lahn spróbują drugiego samobójczego ataku, ale przy takiej redukcji ekranów i uzbrojenia powinniśmy dać sobie radę – dodał z niekłamaną satysfakcją. – Ile czasu nam zostało?

– Macie co najmniej cztery godziny do ich przylotu.

– Chyba że *Oumuamua* przyleci na Mykeny 39...

– Nie sądzę – wyraził swoją opinię generał. – Nasi siedzą uciekinierom na ogonach, zgodnie z rozkazem. Odpuszczają kolejno. Ostatni dadzą im spokój dopiero na chwilę przed skokiem, więc raczej nie musisz się obawiać szybszego ataku.

– Cztery godziny... – mruknął Farland. – Do tego czasu powinniśmy zakończyć rajd po orbicie.

Rutta spojrział mu w oczy, zanim odezwał się ponownie:

– Gdybyś nie wydał tego rozkazu...

– Nie gdybajmy – uciął natychmiast najwyższy admirał. – Mamy wojnę do wygrania.

– Po naszej stronie nic już się nie wydarzy – obiecał generał.

Starcie na Mykenach 39 zamknęło ciąg bitew o Rubieże. Każda z nich zakończyła się mniejszym bądź większym sukcesem. Najmocniej oberwał zespół admirał McMaster, ale dwa inne przetrwały starcia z wrogiem w niewiele lepszym stanie. Ludzie stracili ogółem siedem pancerników, dalsze osiem nadawało się co najwyżej do kapitalnego remontu, a każdy z pozostałych

wymagał poważnych napraw. Do tego należało dodać prawie dwieście dwadzieścia zniszczonych i pięćdziesiąt cztery uszkodzone krążowniki. Nie była to jednak zbyt wysoka cena jak na skalę odniesionego zwycięstwa.

Obcy zdołali wycofać z Rubieży tylko trzy uszkodzone liniowce. Czterdzieści jeden pozostało w przestrzeni należącej do ludzi, lecz tylko dwa z nich mogły kontynuować walkę. Dano im na razie spokój i przystąpiono do zbierania sił przed decydującym atakiem, ponieważ Rutta nie chciał tracić więcej okrętów. Zamierzał przerzucić na Kobe 9 kilka najmniej uszkodzonych piątek, które stworzą zespół zdolny do bezproblemowej likwidacji uszkodzonych t'iru. Teraz, gdy wszystko było już jasne, miał na to czas.

– A mnie czeka jeszcze masa roboty – rzekł Farland.

Aluzja była czytelna.

– Bez odbioru. – Generał natychmiast się rozłączył.

Niedobitki obu zespołów uderzeniowych znajdowały się zaledwie dwie minuty lotu od najbliższego inkubatora. Nadeszła więc pora na wykonanie kolejnego manewru.

– Formować szyk Kraken. Otworzyć ogień natychmiast po wejściu celu w pole rażenia! – rozkazał najwyższy admirał, krzywiąc się z niesmakiem.

Podległe mu okręty, a była ich teraz garstka, wykonały synchroniczny obrót, aby ustawić się sterburtami do kierunku lotu i dziobami do pobliskiej planety. Manewr ten umożliwił otwarcie ognia także działom eskadrowców, które stały się teraz głównym orężem atakujących. Pierwsze uderzenie, zgodnie z pierwotnym planem, zostało skierowane na ogromne zespoły napędowe budowanych superliniowców. Trzeba było aż trzech pełnych salw, by osiągnąć zadowalający efekt, mimo że kosmicznego doku nie chroniło pole siłowe.

Drugim etapem ataku było zniszczenie samego inkubatora. To zadanie powierzono obu eskadrowcom. Ich działa wypaliły równocześnie, już za pierwszym trafieniem roznosząc kulisty kadłub stoczni na strzępy. Energii wystarczyło jednak na odpalenie ośmiu impulsów, zatem kolejne salwy skierowano na dryfujące teraz w przestrzeni unieruchomione t'iru. Siedem

z nich skończyło wybebeszonych od rufy aż po śródokręcie. Trzy rozpadły się po odcięciu sporych fragmentów kadłuba, a te, które promień tylko spenetrował, dobiły nieprzerwaną kanonadą pancerniki i krążowniki.

Zespół uderzeniowy przemknął nad zgliszczami orbitalnego doku, nie przestając strzelać, dopóki ostatnie wraki nie znalazły się poza zasięgiem turbolaserów. Następny cel miał wejść w zasięg baterii dopiero za osiemnaście minut, dlatego Farland, złapawszy chwilę oddechu, zarządził staranne przeskanowanie zaatakowanej dopiero co instalacji. Najbardziej interesowały go odsłonięte wnętrza wybebeszonych superliniowców. Czujniki *Odyna* i sondy wysłane na pobojuwisko przez pozostałe jednostki zgromadziły petabajty danych, lecz najwyższy admirał za najciekawsze uznał bezpośrednie przekazy holo, na których mógł się uważnie przyjrzeć szczątkom zniszczonych gigantów.

– A niech mnie – mruknął, wpatrując się w długi na prawie osiemdziesiąt metrów ułomek rufowej części kadłuba, odcięty przez działą *Asgarda* pod bardzo ostrym kątem. Cała przestrzeń pod poszyciem tej części t'iru była kompletnie pusta.

Czyżby aktywna biomasa symbionta, o której opowiadał Stachursky, nie zdołała dotrzeć do tej części kadłuba? zastanowił się Farland, polecając sondzie odnalezienie reszty wraku tego samego superliniowca.

Chwilę później patrzył na identyczną elipsoidalną ranę ziejącą w zrytym licznymi kraterami trafień walcu śródokręcia. Tu także nie dostrzegł zbyt wiele szarej materii i dopiero gdy sonda wleciała do przepastnego wnętrza okrętu, oczom najwyższego admirała ukazała się ściana pomarszczonej ciastowatej masy wypełniającej szczelnie dziobową część wraku.

Tak, uznał najwyższy admirał, ten superliniowiec potrzebował jeszcze wiele czasu na dojrzanie czy jak tam zwać proces jego produkcji.

Skierował sondę bliżej otworu w poszyciu, nakazując jej wyszukanie znajdujących się tam stanowisk bojowych. W pierwszej kolejności zobaczył rozmieszczone gęsto komory z uzbrojeniem; jedna z nich była przecięta impulsem jak eksponat na wystawie w muzeum techniki, dzięki czemu mógł

przyjrzeć się z bliska zamontowanemu w niej emiterowi, wcale nie tak różnemu od tych, które miał okazję wizytować na pokładzie *Odyna*, ale co jeszcze ważniejsze, dzięki tej obserwacji doszedł szybko do wniosku, że ta potężna broń nie nadaje się do użytku. T'iru był martwy, zanim został zniszczony, albowiem w jego wnętrzu nie zainstalowano jeszcze reaktorów zasilających stanowiska bojowe, napęd i wszystkie pozostałe systemy.

To była bardzo pocieszająca konstatacja. Farland właśnie zyskał pewność, że Obcy nie zdołają posłać tych okrętów do walki, nawet jeśli tego dnia coś pójdzie nie po myśli ludzi.

Nie zamierzał jednak kusić losu i sprawdzać, ile jeszcze czasu trzeba, aby te gargantuiczne liniowce otrzymały fuzyjne serca i ożyły jak potwory tego tam, Frankosztajmesa. Uśmiechnął się zawadiacko, zwracając spojrzenie ku powierzchni jakże nieodległej planety, z której skrzydlaci oprawcy mogli się jedynie przyglądać zagładzie ich cudownej broni.

Na was też przyjdzie kolej, pomyślał z satysfakcją. Ale najpierw rozpieprzę w drobny mak każdy inkubator, który zostawiliście na orbicie.

\* \* \*

Rutta się mylił.

Kanciasty transportowiec Obcych trafił na Zero dopiero po siedmiu godzinach, długo po tym, jak Farland zamienił w perzynę ostatnie budowane dopiero doki. Orbita Alfy przypominała w tym momencie jedno z największych pobojuwisk wojny domowej. Wraki dziesiątków zniszczonych gigantów tworzyły zaczątki pierścienia, który musiał być widoczny nawet z kompleksu stanowiącego ostatnią linię obrony ma'lahn.

Farland umieścił swoje okręty tuż nad bazą, ale na nieco niższej orbicie, żeby ukrywający się pod kopułami pól siłowych Obcy mogli zobaczyć, co zrobi z ich ostatnimi okrętami. Miał też nadzieję, że skrzydlaci wrogowie będą naocznymi świadkami zniszczenia przez ludzi ich najcenniejszej jednostki. W możliwość

zdobycia jej szczerze bowiem wątpił.

*Oumuamua* pojawił się z nienacka zaledwie pół minuty świetlnej od pozycji zajmowanych przez ludzi. Do jego kanciastego kadłuba przytwierdzone były tylko trzy liniowce, w tym jeden ledwie tylko przypominający bliźniacze okręty. Proces ich odcumowania trwał parę sekund, z daleka wyglądało to tak, jakby zostały odepchnięte od kanciastego rdzenia. T'iru szybowwały obok siebie w ciasnym szyku, obracając się równocześnie wokół podłużnej osi. Kilka szybkich kontr dysz manewrowych ustabilizowało ich lot – choć ten element manewru stracił akurat urok przez kompletny brak synchronizacji spowodowany różnym stopniem uszkodzenia poszczególnych jednostek.

Najwyższy admirał przyglądał się temu pokazowi siły z umiarkowanym zainteresowaniem. Wiedział już, do czego zmierzają Obcy, a że miał czas, to przygotował się lepiej niż poprzednim razem. Jego pancerniki ruszyły kursem na przejęcie, lecąc w zwartym szyku z oboma eskadrowcami; krążowniki w tym czasie zajęły się akcją ratunkową, ponieważ pierwszą bitwę przeżyło tak wielu rozbitków, że załoga *Lansittera* nie była w stanie ich wszystkich podjąć. Plan był prosty. Zespół skontruje każde posunięcie t'iru, aby mieć je do samego końca przed sobą, dzięki czemu *Asgard* i *Olimp* będą mogły pokazać swoją wyższość nad technologią stworzoną przez ma'lahn.

Liniowce, dotarwszy na odległość dwu sekund świetlnych od wroga, wzmocniły ekrany czołowe do maksimum, po czym włączyły dopalacze. Dwa mniej uszkodzone t'iru zostawiły w tyle zmasakrowanego towarzysza, co nie zdziwiło nikogo na mostku *Odyna* ani w sztabie metasektora, dokąd oba centra łączności kwantowej transmitowały przebieg bitwy. Dziesięć sekund przed wejściem w pole rażenia wydarzyło się jednak coś jeszcze, co zaskoczyło Farlanda i jego podwładnych. Oba liniowce zaczęły wykonywać manewry unikowe, i to znacznie bardziej skomplikowane, niż można by sądzić. Żadna żywa istota nie wytrzymałaby takich przeciążeń, ale jeśli Święcki miał rację – a wszystko na to wskazywało – te okręty prowadziła sztuczna inteligencja i to ona skopiowała zachowania ludzi, adaptując je do obecnej sytuacji.

– Zezwalam na otwarcie ognia! – rzucił najwyższy admirał, gdy tylko zrozumiał, co się święci.

Działa eskadrowców miały o wiele większy zasięg niż najpotężniejsze nawet baterie turbolaserów, mogły więc razić jednostki przeciwnika na długo przed tym, nim mógł odpowiedzieć ogniem. W tym wypadku jednak Obcym udało się zniwelować tę cenną przewagę, a przynajmniej tak im się wydawało.

Wiceadmirał Lustbader, doświadczony oficer dowodzący *Olimpem*, nie otworzył ognia od razu jak jego kolega z *Asgarda*, który zaczął od zniszczenia najbardziej oddalonej, zdezelowanej jednostki, a potem spudłował trzy razy z rzędu. Dowódca flagowca wyczekał pełne sześć sekund, aby jego systemy nawigacyjne zdążyły wykryć i opisać wzorzec stosowanych przez t'iru uników. To wystarczyło, by zauważył pewną prawidłowość i zaryzykował.

Pierwszy strzał, oddany pół sekundy przed wejściem liniowca w pole rażenia pancerników, rozniósł na strzępy namierzoną jednostkę. Drugi rozciął kadłub wykonującego właśnie skomplikowany boczny unik t'iru na jednej trzeciej długości kopuły. Impuls nie dosięgnął reaktora, ale przebił rufę na wylot, niszcząc trzy z pięciu dysz, przez co sterujące szarżującym okrętem komputery utraciły kontrolę nad systemami nawigacji. T'iru wszedł w ruch wirowy i zboczył z kursu, nie na tyle jednak, by uciec przed ogniem pozostałych jednostek zespołu uderzeniowego ludzi.

– Admirale Lustbader! – Wywołując dowódcę eskadrowca, Farland nie krył zadowolenia. – To było genialne!

– Dziękuję, sir.

– Mówiąc admirale, miałem na myśli... – zaczął naczelny dowódca floty, ale zamilkł w pół zdania, widząc kolejny komunikat.

W czasie, gdy jego ludzie zajmowali się ostatnimi t'iru, komandosi przeprowadzili abordaż *Oumuamua*. Chyba udany, sądząc po tym, że właśnie w tym momencie wykryty przez analityków właz otworzył się, wypuszczając z wnętrza rdzeniowca sześcienne kapsułę, która zmierzała prosto ku planecie.

– Przejąć ją albo zniszczyć! – odezwał się ponownie, przełączając wizję na

tamten sektor przestrzeni.

Dwa z trzech pancerników wykonały obrót wokół osi poprzecznej i rozpoczęły awaryjne schodzenie w górne warstwy atmosfery planety. Dowódcy obu rdzeniowców także wydali rozkaz wykonania podobnego zwrotu, lecz w wypadku ich jednostek musiało to potrwać nieco dłużej. Kapsuła ewakuacyjna mogła ominąć zgrupowanie ludzi szerokim łukiem albo nawet okrążyć Alfę, ale jeśli ten, kto ją prowadził, chciał dotrzeć do znajdującego się dokładnie pod zespołem uderzeniowym kompleksu, musiał znaleźć się choć przez moment w polu rażenia systemów broni orbitalnej. A jeśli Obcy opuszczą choć na moment osłony...

Farland skrzywił się, gdy usłyszał sygnał wywołania.

– Czego? – warknął do Ruty.

– Melduję, że nasi ludzie przejęli wrogi rdzeniowiec – poinformował go niezrażony tym chłodnym powitaniem generał. – Podziękuj za to aniołkowi, który zwiął w tej kapsule, gość tak się śpieszył, że nie zdążył zamknąć za sobą drzwi.

# PIĘĆ

*Ziemia, Sektor Alfa,*

*11.05.2355*

– Ile jeszcze mamy czekać? – wypaliła Modo, ledwie nawiązano połączenie.

– Tyle, ile będzie trzeba – odparł ze stoickim spokojem Farland.

Przywykł już do jej wybuchów, od ponad dwóch tygodni nie usłyszał zwyczajowego powitania, a rozmawiał z panią kanclerz co najmniej raz dziennie, za każdym razem odpowiadając na to samo pytanie.

– Wychodzimy na głupców, ale pan ma to gdzieś, jak widzę – syczała jak wąż, niezdolna pogodzić się z gigantyczną kompromitacją, w jaką zmieniła się kampania przeciw Obcym, którą prawie trzy tygodnie temu uznała za zakończoną, obwieszczając sukces całemu światu.

Wszyscy byli pod wrażeniem skali tego zwycięstwa. Nawet opozycja spotulniała, kiedy media pokazały ze wszystkimi detalami cały ciąg bitew stoczonych nie tylko na Rubieżach, ale i w odległym Systemie Zero, gdzie zespoły uderzeniowe nie dość, że przetrwały zdradziecki samobójczy atak, to jeszcze zdobyły niezwykle cenny transportowiec Obcych, którego napęd mógł zrewolucjonizować podróże międzygwiazdne. Do kompletu zabrakło jednego – zniszczenia bazy znajdującej się na powierzchni Alfy i zabicia bądź schwytania istot odpowiedzialnych za niewyobrażalne cierpienia miliardów kolonistów.

Co z tego, że wysiedleni mogli wracać na swoje planety? Co z tego, że Rada wysłała do odbudowywania zniszczonych kolonii wszystkie zarekwirowane



drukarki, aby postępy prac były naprawdę znaczące? Co z tego, że Modo osobiście zainicjowała loterię, dzięki której dwa miliardy osób trafią na Deltę Ulietty? Jakie to wszystko miało znaczenie, skoro ma'lahn nadal bronili swojej bazy, a oblegający ją Farland nie wiedział, jak przełamać ten impas, aby mogła ustanowić Dzień Zwycięstwa, na co czekał każdy obywatel Federacji.

– Dwadzieścia dni! – wycharczała rozwścieczona do białości jego obojętnością. – Dwadzieścia dni i nic!

– Jeśli zna pani sposób pozwalający na usunięcie tych ekranów, proszę mi go zdradzić, jeśli nie, proszę po prostu nie przeszkadzać – odpowiedział Farland, znów z pełnym spokojem.

– W czym panu przeszkodziłam? – zakpiła. – W późnym śniadaniu czy może oglądaniu jakiegoś pasjonującego holo?

– O, przypomniała mi pani, że dzisiaj jeszcze nic nie jadłem, a już prawie... – zerknął na komunikator – ...standardowa szesnasta.

Szydził z niej w żywe oczy. Pluł jej w twarz, ale ona nie musiała udawać, że to deszcz pada. Nie tutaj, nie teraz.

– Mam gdzieś, czy pan coś jadł, czy też urządza pan sobie pokazowe głodówki. Macie zdobyć tę bazę, i to natychmiast! Na jutrzejszym posiedzeniu senatu mam zamiar ogłosić oficjalne zakończenie kampanii. Ludzie mają dość czekania na pozytywne wieści z Systemu Zero...

– Proszę uprzejmie. Może pani ogłosić też, że od jutra należy panią tytułować cesarzową Galaktyki, mnie zaś nadwornym klaunem czy jak tam się nazywa ten gość w śmiesznej czapce.

– Błazen – podpowiedziała instynktownie, zaskoczona słowami najwyższego admirała.

Czy to był przypadek, czy daje mi do zrozumienia, że przejrzał nasze plany? struchlała w duchu.

– O właśnie, błazna. Mam... to... gdzieś! – zakończył dobitnie.

– Ale... – zająknęła się, wciąż nie mając pewności, czy nie została rozpracowana.

Farland nie kontynuował jednak tematu. Zamilkł, spoglądając na nią z tą samą pogardą co wczoraj, przedwczoraj i dzień wcześniej.

– Mając do dyspozycji tylko te siły, które mi pozostały, nie jestem w stanie zapewnić pani szybkiego zwycięstwa – dodał, zanim odzyskała głos. – Proszę się z tym pogodzić. Posiłki z trzeciego metasektora dotrą na Zero dopiero za dwa tygodnie. Wtedy przypuścimy bardziej zdecydowany szturm i być może dokonamy wreszcie wyłomu. Jeśli chce pani ogłosić zwycięstwo wcześniej, nie widzę problemu, ale proszę pamiętać, że przeciwnicy mogą panią na tym kłamstwie przyłapać i wstyd będzie jeszcze większy.

– Najwyższy admirał, powinien pan zrozumieć jedno – wtrącił milcząco do tej pory Kaup. – Zawarliśmy z opozycją układ, który utracił już ważność. Nboto i Sotomayor zaczynają podnosić głowy. Coraz częściej słyszymy z ich strony zarzuty niekompetencji, złej woli albo wręcz celowego opóźniania zakończenia wojny. Musimy coś zrobić, w przeciwnym razie wypadniemy z siodła, a pan zleci na zbity pysk razem z nami. Następna ekipa raczej nie zechce mieć pana pod swoimi skrzydłami.

– O sobie jestem spokojny – zapewnił go Farland.

– Doprawdy? – warknęła Modo, lecz szybko umilkła, czując na przedramieniu dłoń sekretarza obrony.

– Nboto ma trzech kandydatów na pana stanowisko. Mówi o tym otwarcie nawet w mediach, może pan to bez problemu sprawdzić. Ci ludzie wyczuli już krew. Zrobią wszystko, by wydrzeć nam władzę, a panu zwycięstwo.

– Niby jak chcą to zrobić?

– W bardzo prosty sposób. Jeśli nasz rząd upadnie, zanim na Zero dotrą posiłki, które zdobędą wreszcie tę bazę, bardzo możliwe, że już po pierwszym szturmie ostateczne zwycięstwo nad Obcymi zostanie przypisane oficerowi, który poprowadzi te siły do ataku, a jedno jest pewne: nie pan nim będzie! Naprawdę tak trudno zrozumieć, że ośmieszają pana przed mediami i opinią społeczną? Pokażą, że w jeden dzień dokonali tego, czego pan nie mógł zrobić przez ponad miesiąc?

– Wystarczy sprawdzić, jakimi siłami... – zaczął Farland.

– A kogo to będzie obchodziło? Myśli pan, że media pokażą jakieś analizy? Nie, dla tych hien będą się liczyć tylko zgliszcza i trupy, najlepiej skrzydlate, a że kto inny będzie kontrolował media, ludzie zobaczą tylko to, co będzie pasowało nowej władzy.

Modo zauważyła, że najwyższy admirał przełknął głośno ślinę.

Chyba zaczyna tracić rezon, pomyślała ucieszona.

– My damy sobie jakoś radę, zapewniam pana. Może nie zostanę cesarzową Federacji – zakpiła, dolewając oliwy do ognia, by sprawdzić jego reakcję – ale co najwyżej przeczekaam jedną albo dwie kadencje w ławach opozycji. Pan natomiast i pana ludzie znikniecie, jakbyście nigdy nie istnieli. Nikt nie każe was zabić, co to, to nie, zostaniecie za to zmarginalizowani, zaszczuci, zniszczeni, ponieważ nie należycie do nowego dworu, a pozostawienie was na dotychczasowych stanowiskach przypominałoby ludziom, że poprzednicy także odnosili sukcesy.

– Krótko mówiąc: radzę zastanowić się nad naszymi słowami – dokończył z przymilnym uśmiechem Kaup. – Musi pan pokonać wroga, zanim dotrą tam ludzie Nbotu.

– Zastanawianie się nie wzmocni siły rażenia mojego zespołu, a raczej tego, co z niego zostało. Nie mam żadnych szans na przełamanie tego impasu.

– To pański problem. My jutro ogłaszamy koniec wojny – stwierdziła Modo, wstając.

# SZEŚĆ

*System Zero, Sektor X,*

*11.05.2355*

– A jak ty to widzisz, przyjacielu? – zapytał najwyższy admirał, gdy połączenie z Ziemią zostało przerwane.

Rutta przysłuchiwał się rozmowie z politykami przez drugie łącze, sztabowe, zatem teraz, gdy zostali sam na sam, mógł odpowiedzieć na pytanie Farlanda.

– Nie kłamali, a w każdym razie nie do końca – odparł po chwili namysłu.

– Chcesz powiedzieć, że po tym wszystkim, co osiągnąłem, jestem znowu na wylocie? – jęknął Farland.

– Chcę powiedzieć, że Nbotó wrócił do gry. Rozejm dobiegł końca. Obsuwa na Zerze dodaje mu skrzydeł, a im dłużej trwa impas, tym ostrzej on atakuje Radę. Modo nie suszy ci głowy tylko dlatego, że niespecjalnie cię lubi. Właśnie zrozumiała, że ten swąd, który czuje od dwóch tygodni, to jej skwierczący na żywym ogniu tyłek.

– Rozumiem, ale Kaup chyba przesadził z tymi trzema kandydatami.

– Tu masz rację – przyznał generał, po czym zaraz dodał: – Jeśli wierzyć ostatnim doniesieniom mediów, opozycja ma jednego, ale za to naprawdę mocnego kandydata...

– Kogo? – Farland aż podskoczył.

– Nie zgadniesz.

– Święckiego?

– Dajże ty spokój temu chłopakowi! Opozycja uważa go za najwierniejszą kukiełkę Modo. Na razie nie tkną bohatera Federacji, bo stał się zbyt popularny, ale uwierz mi, po zmianie u steru władzy skończy jako dowódca przewspaniałej eskadry niszczycieli, co najwyżej drugiej generacji, patrolując największe zadupia ramienia i do usranej śmierci wypatrując wyimaginowanego powrotu Obcych. Oczywiście pod naszym światłym przewodem, o ile nowa władza pozwoli nam zachować mundury.

– W takim razie o kim mowa? – zirytował się najwyższy admirał. – Xiao przecież nie żyje. A...

Rutta postanowił skrócić jego męki.

– Litwinienko.

– Kto?

– Litwinienko.

– Przecież on jest nikim.

– Zależy, jak na to patrzeć – stwierdził asekuracyjnie generał.

– Miałem na myśli: w porównaniu ze mną albo z tobą – uściślił Farland.

– Naprawdę?

– A czegoż takiego niby dokonał?

– Zastanów się...

– Nie idź tą drogą co Modo! – ostrzegł go przyjaciel, który nie miał najmniejszej ochoty na podobne gierki.

– Gdzieżbym śmiał. Proszę cię tylko, żebyś się zastanowił, kim jest twój ewentualny konkurent.

– To jeden z moich podwładnych. Dobry dowódca, ale nikt wybitny.

– Przypomnij mi, kim był podczas bitwy na Sankt Petersburgu.

– Dowodził jednym z naszych pancerników.

– Zgadza się. I został odznaczony, przez ciebie, platynowym orderem Galaktyki.

– Jak kilku innych dowódców.

– Na Rubieżach także poradził sobie wyśmienicie. Jego zespół poniósł

najmniejsze straty w walce z wrogiem.

– Tylko dlatego, że kapitan Hobescu pokazał mi, jak zagęścić pole grawitacyjne pułapki.

– Kto?

– Ho... – Najwyższy admirał umilkł, gdy dotarła do niego aluzja.

– Pozwól, że przypomnę ci coś jeszcze... Litwinienko dowodził także połączonymi siłami, które rozgromiły dziewiątą eskadrę t'iru na Mykenach 39, uniemożliwiając jej dokopanie ci w Systemie Zero.

– Szlag.

– Co więcej, wszyscy komandosi, którzy brali udział w akcji przejęcia *Oumuamua*, pochodzili z krążowników jego zespołu i to on osobiście poparł pomysł Święckiego, zanim przedstawiłem go tobie.

– Kurwirtual!

– Sam widzisz. Lista jego medialnych sukcesów w tej wojnie jest dużo dłuższa niż twoja. Pamiętasz naszą wcześniejszą rozmowę o tym, kto stał się symbolem wojny domowej? Nie czarujmy się, to on jest nowym wcieleniem Tahomeya. Dlatego Nbotu od kilku tygodni może kreować go na herosa pokroju Święckiego. Jeśli Litwinienko zdobędzie tę bazę, i to za pierwszym uderzeniem, zrobi z ciebie pośmiewisko.

– I tu się mylisz. Każdy dureń zrozumie, że nie miałem szans na sukces, dysponując tylko ułamkiem sił, jakie jemu przydzielono.

– Każdy dureń, który zdoła poznać fakty, a tych na palcach jednej ręki ryby zliczysz.

– Ryby? Ej, one chyba nie mają...

– Otóż to. Jeśli Modo wypadnie z gry, nowa władza przejmie kontrolę nad mediami, a te pokażą wszystko, tylko nie prawdę. Tak jest zresztą i dzisiaj.

– Zdymisjonuję drania! – uniósł się Farland.

– Za co?

– Za spiskowanie celem pozbawienia mnie dowództwa.

– Na jakiej podstawie?

– Sam przecież mówiłeś...

– Co powiedziałem? Że masz oficera, który odznaczył się w tej wojnie i wygrał kilka bitew z rządu? Spróbuj go tknąć. To dopiero będzie jazda.

– Co mi w takim wypadku pozostaje? – Najwyższy admirał oklapł. – Nie pójdę na dno z tą bandą polityków.

– Musisz wygrać tę wojnę, zanim do Systemu Zero przybędą posiłki.

– Dzięki, naprawdę mi pomogłeś. Teraz już wiem, od czego są przyjaciele. Nikt tak jak oni nie wykopie ci stołka spod nóg, gdy stoisz pod szubienicą.

– Nie dramatyzuj. Kaup cię ostrzegął, ja tylko doradzam.

– Jak mam pokonać te pola siłowe? – Farland wskazał na wyświetlacz i widoczne na nim połyskujące kopuły. – Nie widziałeś, co robiliśmy przez ostatnie dwadzieścia dni? Napieprzaliśmy w nie bez ustanku; najdłuższe impulsy, sto dziesięć procent mocy i... nic. Nic, człowieku! Doprowadziliśmy do paru erupcji okolicznych wulkanów, bo to ma'lahniańskie skurwykłoństwo jest absorpcyjne, jakbyś jeszcze nie zauważył. Im więcej energii dostarczamy, tym więcej jej odprowadza do ekosystemu Alfy! Koniec, kropka! Żeby przesterować tak potężne generatory, musielibyśmy użyć dziesięciokrotnie, a może nawet dwudziestokrotnie większej mocy. Litwinienko będzie nią dysponował, ja na pewno nie.

– Posłuchaj... – zaczął Rutta po chwili milczenia. – Szef ekipy pracującej nad *Oumuamua* twierdzi, że udało mu się rozgryźć system sterowania tym okrętem.

– Nie zaryzykuję utraty tak cennego znaleziska – zaprotestował Farland. – Wiesz, co by się stało, gdybym pozwolił na uruchomienie napędu, a ci głupcy wpieprzyliby się w jakąś planetę albo gwiazdę?

– Wiem.

– Sam widzisz. To byłby ostatni gwóźdź do mojej trumny.

– Którą i tak już zabito wszystkimi innymi gwoździami – przypomniał mu Rutta.

– Odpuść, proszę.

– To ja cię proszę: wysłuchaj Rawlingsa. Tym razem facet ma coś

konkretnego do powiedzenia i jeśli się nie myli, wygrasz tę wojnę, zanim Litwinienko pojawi się na Zerze.

– Niby jak?

– Święcki wpadł na...

– ...kolejny genialny pomysł. Zgadłem?

– Nie.

– O! – zdziwił się Farland.

– Na skurwykłońsko genialny pomysł. – Generał się zaśmiał. – Gwiazdki ci pospadają z epoletów, jak usłyszysz, o co chodzi.

– Chcesz mi powiedzieć, że on wie, jak zneutralizować te ekrany?

– Myślę, że tak.

– Człowieku, ozłocę cię, jeśli to prawda.

– To nie mój pomysł – przypomniał mu Rutta.

– Wiem. Mów!

– Pamiętasz Suhurów?

– Kogo?

– Te istoty z Xana 4.

– Te od zbierania kości?

– No... w sumie tak.

– Pamiętam, ale... To jakiś żart?

– Poczekaj. Ma'lahn okopali się po twoim przylocie. Siedzą pod tymi kopułami od trzech tygodni i nie odpowiadają na żadne wezwania.

– Zgadza się.

– Niszczą każdy sprzęt, jakim próbujesz się do nich dostać albo im dokopać.

– Owszem, rozwalili już ponad tuzin wiertni. Mają jakiś pieprzony radar, który wykrywa je nawet setki metrów pod ziemią. Nie da się podejść skurwyklonów od żadnej strony.

– Wykrywają wszystko, co jest mechaniczne albo elektroniczne.

– Tak. Nie ma sprzętu, który by dotarł bliżej niż sto metrów od krawędzi ich ekranu.



– Ale na odcinku północno-zachodnim zanotowaliście, i to wielokrotnie, że miejscowa fauna podchodzi do samej bariery.

– No... tak.

– Widzisz, przyjacielu, Suhurowie to całkowicie naturalna forma życia. Nie mają wszczepów, nie posługują się niczym, co można uznać za wytwory technologii. I co chyba najważniejsze, w niczym nas nie przypominają. Jeśli sprowadzisz ich na Alfę i sam stamtąd odlecieś, imitując odwrot, te mordercze skurwyklony wykonają robotę za ciebie, bez gigawatowych laserów, bez metaczołgów i bez wiertni z głowicami atomowymi.

– A jak ich do tego namówisz? – zakpił Farland.

– Żartujesz? Tak się składa, że mamy w sztabie jednego z ich największych bogów.

\* \* \*

– Profesorze Rawlings.

– Najwyższy admirał.

– Słyszałem, że ma pan dla mnie jakąś niezwykle ważną informację.

– Ja? – zdziwił się naukowiec.

– Pan. Tak w każdym razie twierdził generał Rutta.

– No, tak, tak... – Rawlings przełknął nerwowo ślinę.

– Zatem słucham.

– Ja... to znaczy... – Na wydatnym czole naukowca pojawiły się pierwsze krople potu. Jego wąska żuchwa poruszała się spazmatycznie, jakby utracił nad nią kontrolę. Wodniste, błękitne oczy, tak kontrastujące z czarną jak heban cerą, zwięzały się nieustannie, jakby powieki zdecydowały, że czas zamykać ten interes.

– Z pańskiej miny łatwo wywnioskować, że nie wyciągnął pan właściwych wniosków z poprzedniej wpadki i zlekceważył zakazy – przerwał mu Farland, świadom tego, że jego rozmówca rozsypie się za moment. – To już wiemy.

Pomińmy zatem etap tłumaczeń i przejdźmy do sedna. Nie mam czasu na podchody.

– To nie tak, najwyższy admirał. – Profesor mimo to próbował się tłumaczyć.

– Co udało wam się odkryć?

– Chyba wiemy, jak uruchomić to чудо – wydukał pobladły Rawlings, który jakimś cudem zapanował nad niesforną dolną szczęką, ale wciąż walczył o odzyskanie kontroli nad oczodołami.

– Chyba? – Najwyższy admirał spojrzał na niego groźnie.

Kilka dni wcześniej zespół badaczy, których Farland zabrał ze sobą na Zero, powiadomił go o sukcesie, jakim miało być rozpracowanie głównego panelu *Oumuamua*. Niestety miny jajogłowych zrzędky, gdy zamiast aktywować mostek, transportowiec Obcych wpadł w dziwne wibracje, których nikt nie był w stanie stłumić przez ponad kwadrans, dopóki same nie wygasły. To właśnie stało się przyczyną kategorycznego zakazu uruchamiania kolejnych urządzeń na pokładzie przejętego transportowca, który to rozkaz – jak widać – został niezwłocznie złamany przez antybohaterskiego profesora.

– Nie, najwyższy admirał – zapewnił go spocony jak mysz Rawlings. – Tym razem jesteśmy tego całkowicie pewni.

Skinienie głowy wystarczyło, by jeden z asystentów, siedzący na brzegu wielkiego fotela z dziwnymi wgłębieniami w oparciu, nacisnął jeden z elipsowatych klawiszy zdobiących centralną konsolę.

Zaciemniona do tej pory sterownia transportowca rozbłysła mrowiem świateł. Pośród okrągłym blatem a podobną formacją pod sklepieniem pojawił się świetlisty słup hologramu przedstawiającego nieregularną błyszczącą masę.

– Zatem umiecie już włączać światło – rzucił Farland szyderczo, czekając na dalszą część pokazu. – Niezłe osiągnięcie jak na ponad dwa tygodnie intensywnych badań.

– Ustaliliśmy już, że to główny mechanizm nawigacyjny – wyjaśnił Rawlings, ignorując przytyk. – Udało nam się jeszcze ustalić, jakie funkcje są przypisane do sporej części klawiszy, ale resztę też rozgryziemy, to tylko kwestia czasu! –

zapewnił żarliwym tonem.

– I twierdzi pan, że jesteście w stanie uruchomić ten złom?

– Najwyższy admirał! To nie jest złom! To technologia stworzona przez cywilizację, która wyprzedza nas o całe epoki, nie dziesięciolecia, jak ci tam, Obcy, których pan pokonał. Zespół Cavendisha ma proste zadanie. Szczątki liniowców zawierają urządzenia, których przeznaczenie znamy. Więcej nawet, możemy je odtworzyć albo skopiować przy obecnym stanie wiedzy. To natomiast – zatoczył szeroki łuk rękoma – czysta zagadka. Nikt w Federacji nie ma bladego pojęcia, co to naprawdę jest, może mi pan wierzyć. Konsultujemy z najlepszymi uniwersytetami każdą teorię, na jaką wpadniemy. Słuchamy uważnie opinii największych autorytetów, naukowców o prawie tak wielkim dorobku jak mój. – Wyprężył się dumnie. – Musi pan jednak przyjąć do wiadomości, że być może nigdy nie dowiemy się, jak działa ten napęd, to znaczy... na pewno nie rozgryziemy go przez kilka najbliższych stuleci...

– Przepraszam, że przerwę panu tę fascynującą przemowę, ale zadałem konkretne pytanie. Umiecie uruchomić ten wyprzedzający nasze czasy złom czy nie?

– Umiemy – zachnął się profesor. – To znaczy jesteśmy tego niemal pewni, ale bez sprawdzenia w praktyce...

– Proszę zademonstrować, co już wiecie.

– To holomapa ramienia. – Rawlings wskazał świetlisty słup łączący konsolę ze sklepieniem sterowni. – Różni się od naszych, ale to tylko kwestia stosowanej symboliki. My poszliśmy w uproszczenia graficzne, twórcom tej aparatury nie przeszkadzało bogactwo szczegółów. Być może ich zmysły są tak różne od naszych, że...

– ...że uwielbiają wysłuchiwać co chwilę dygresji – zgasił go ponownie Farland. – Niestety ja jestem inaczej skonstruowany, proszę więc przejść do sedna.

– Tak, tak. Dobrze. – Profesor znów zaczynał się pocić. – Jak już wspomniałem, to rodzaj holomapy. Zagęszczenia świetlne, które tu widzimy, to

gwiazdy. Widać to lepiej, gdy dokona się odpowiedniego powiększenia... – Na dany znak asystent przesunął dłonią po podłużnym klawiszu w centralnej części konsoli. Nakładające się na siebie plamy światła zostały odseparowane od siebie, teraz w każdej z nich, choć niekoniecznie w centralnym miejscu, znajdował się jaśniejszy punkt albo dwa... albo trzy. – Widzi pan?

– Tak.

– To jest... – Rawlings skierował na holomapę jakiś czujnik, po sekundzie sprawdził odczyt – system Gekkon 29, w sektorze Kappa Rubieży Wewnętrznych.

Gekkon 29? To przecież pas G. Daleko poza terytorium odebranych Federacji.

– Chwileczkę. Sugeruje pan, że oni mają zmapowane całe Rubieże?

– Z tego, co do tej pory widziałem, to jest to szczegółowa mapa nie tylko Ramienia Oriona, ale całej Drogi Mlecznej.

– Jak to ramienia...? – Farland skupił się na mniej szokującym, lecz ważniejszym z jego punktu widzenia elemencie.

Rawlings machnął ręką i holomapa uległa pomniejszeniu. Tym razem zaczęła się także przesuwac w dół, ukazując dalsze odcinki rurkowatej masy, która w pewnym momencie zaczęła się zwężać czy też rzednąć, aż została z niej zakończona szpicem mgiełka.

– Na tyle, na ile udało się to sprawdzić, jest tu każdy znany nam system i miliardy tych, do których jeszcze nie dotarliśmy.

– Przecież to nie ma najmniejszego sensu – wymamrotał osłupiały Farland. – Skoro znali położenie każdej gwiazdy, czemu dawali się wodzić za nos, zamiast uderzyć tam gdzie najbardziej nas to zboli?

– Myślę, że i to mógłbym wyjaśnić – stwierdził profesor – aczkolwiek mówilibyśmy tylko o teorii.

– Słucham. Tylko proszę się streszczać.

– Oczywiście. Mamy do czynienia z istotami, dla których pojęcie czasu w takiej skali jak nasza jest absolutnie nieistotne. Czy pan miałby problem z tym, że zaprowadzenie porządku w jakimś systemie potrwa pięć minut albo

godzinę?

– Raczej nie.

– Właśnie, a w ich przypadku ta wojna będzie trwać kilkanaście sekund, jeśli przeliczymy te miesiące czy też lata na skalę czasu odpowiednią dla ma'lahn.

– To zaczyna mieć sens. – Farland kiwnął głową.

– Wracając do tematu. Cywilizacja, która zbudowała ten transportowiec, zmapowała wcześniej całą Galaktykę. Być może miliony lat temu...

– Zaraz. Gdyby ta mapa miała miliony lat, rozmieszczenie systemów odbiegałoby od znanego nam. Galaktyka to gigantyczny kocioł, w którym materia bez przerwy wrze. Nawet taki głąb jak ja to wie.

– I to jest najpiękniejsze w ich technologii. Ta mapa uwzględnia wszelkie zmiany. Oni umieli je przewidzieć i wyliczyć!

Najwyższy admirał rzucił Rawlingsowi niedowierzające spojrzenie. Twórcy tej technologii i tego napędu musieli być równi bogom. Jakim cudem ktoś taki jak ma'lahn wszedł w posiadanie tego cudu techniki? Nie zadał tego pytania na głos, ponieważ żaden naukowiec nie miał na to satysfakcjonującej odpowiedzi. Trzeba będzie poszukać na Alfie...

– Dobrze. Przejdźmy do sterowania.

– I tu zaczynają się schody, najwyższy admirał – przyznał Rawlings z ociąganiem. – Nie wiemy jeszcze, jak ma'lahn wybierali cele, ale nam udało się tego dokonać bardziej prymitywną metodą – dodał, szczerząc się z dumą.

Asystent znów cofnął mapę do początkowego ustawienia, zrobił maksymalne powiększenie jakiegoś wycinka przestrzeni, po czym wstał, sięgnął do hologramu i dotknął palcem jednej z gwiazd. Farland zobaczył opalizującą linię biegnącą od podstawy do zaznaczonego celu. Mapa samoistnie zmieniła też skalę, tak by punkt startowy i docelowy znalazły się w polu widzenia.

– I już?

Profesor skinął głową.

– Tak.

– Jesteście gotowi do wykonania skoku? – zapytał najwyższy admirał.

– Tak.

– Jaki cel wybraliście?

– Anzio.

– Świetnie. Zmieńcie go na... – wyszukał z pamięci nazwę niezamieszkanego systemu w sąsiednim pasie – NS-B-alfa165345756.

Rawlings zrobił wielkie oczy, ale wykonał polecenie. Nie trwało to zbyt długo, ponieważ nowy cel znajdował się o jeden skok od starego.

– A teraz proszę mnie posłuchać, profesorze. Polecicie do pasa B i poczekacie tam na pewnego oficera. Od podjęcia tego człowieka przejdziecie pod jego rozkazy.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale, profesorze. I jeszcze jedno: to ściśle tajna misja zlecona przez Radę. Jeśli ją wykonacie, osobiście wystąpię do sekretarza pionu naukowego o odpowiednie uhonorowanie waszego wkładu w badania nad technologią Obcych. Zrobię to pomimo niesubordynacji, której się dopuściliście, zrozumiano?!

# **Część czwarta**

## **BÓG**

# JEDEN

*System Xan 4, Sektor X-ray,*

*12.05.2355*

Na orbicie Bety nie było już wielkiej stacji, oba orbitalne kotwicowiska opróżniono, a z mrowia satelitów, które obiegały wcześniej planetę dwu ras, został tylko „wygospodarowany” przez Henryana sprzęt. Mimo tak sporych zmian i pustki wokół powrót na Xana 4 budził wiele wspomnień. Tych dobrych i tych nie najlepszych.

Święcki, stojąc na mostku transportowca szturmowego, którym przybył do tego systemu w mgnieniu oka dzięki wykorzystaniu rewolucyjnego napędu czasoprzestrzennego Obcych, przyglądał się zawieszonemu w nieskończonej czerni globowi, na którym nigdy jeszcze nie postawił nogi, a mimo to stał się bogiem setek tysięcy istot zamieszkujących północne krańce mniejszego kontynentu.

O ile Suhurowie zdołali przetrwać, poprawił się w myślach, nie mając pewności, czy jego ingerencja na dobre powstrzymała tłący się od wieków konflikt.

Ostatnie wieści z Bety dotarły do niego przed kilkoma miesiącami, potem zatracił się całkowicie w nowej wojnie i do reszty stracił zainteresowanie losem prymitywnych wyznawców. Nie miał do siebie o to żalu – nowe wyzwania okazały się ważniejsze, nowi wrogowie zaś groźniejsi, i to zarówno ma’lahn, wcale nie mniej obcy od Gurdów i Suhurów, jak i niektórzy ludzie, których miał



do tej pory za braci...

Drgnął, gdy usłyszał ciche pikanie. System powiadomił go o wykryciu innej jednostki na znacznie niższej orbicie. Niewielki znacznik oderwał się właśnie od rozmytej krawędzi lśniącej złotem atmosfery Bety. Ikonka miała uspokajająco zieloną barwę. To musiał być statek badawczy, o którym wspominał Rutta. Godbless nie zrezygnowała z projektu swojego życia. Wróciła na Betę, ledwie udało jej się pokonać stawiane przez biurokratów i stan wyjątkowy bariery. Było to możliwe, ponieważ Xan 4 leżał naprawdę daleko od linii frontu, a i od granicy zablokowanego przez Radę metasektora dzieliło go niemal sto lat świetlnych. Tutaj nikt nie odczuwał skutków toczonej wojny. Transporty z uchodźcami – te, którym pozwalano opuścić terytoria Rubieży – omijały sektor X-ray szerokim łukiem, gdyż było to najprawdziwsze zadupie zadupia podbitego ramienia, zbadane przez sondy wyłącznie z obowiązku podczas mapowania pasa X Terytoriów Wewnętrznych.

Komunikator ożył kilka sekund później, kiedy załoga statku badawczego odkryła obecność przybysza.

– Proszę, proszę!

Święcki natychmiast rozpoznał ten głos. Sama Godbless pofatygowała się, by go powitać.

– Pani doktor – odpowiedział, kłaniając się sztywno zgodnie z protokołem.

– Coś ci powiem, chłopczyku. Dla wszystkich innych możesz być największym bohaterem Federacji, możesz nawet mienić się zasranym bogiem Suhurów, ale dla mnie na zawsze pozostaniesz fiutkiem w śmiesznej czapeczce z gwiazdkami, który zniweczył lata pracy wielu mądrych ludzi.

– I ja panią pozdrawiam – odparł, nie okazując irytacji, choć ta narastała w nim z każdym wypowiedzianym przez kobietę słowem.

Doktor Godbless umiałaby wyprowadzić z równowagi samego Buddę i nie zajęłoby jej to więcej niż kilka sekund.

– Czego tu chcesz? – warczała, rozjuszona jego pozorną obojętnością. – Mało ci jeszcze, w chudą dupę kopany niszcycielu światów? Myślisz, że ten numer

z obwołaniem się bogiem cokolwiek zmienił?

– Nie myślę. Widzę.

– Naprawdę? Przypatrz się zatem dobrze, ogwiazdkowany ćwoku. Nikogo nie ocaliłeś. Niczego nie zmieniłeś. Co najwyżej udało ci się odwlec nieuniknione o kilka lat albo dekad. Los Suhurów został przypieczętowany już dawno, ty ulepiony z gówna herosiku. Twoje panowanie skończy się, zanim ukradzione flocie sondy wyczerpią paliwo.

– Zmieniłem, i to wiele. – Zaśmiał się nagle. – Niewykluczone, że moja decyzja uratowała kogoś więcej niż tylko te biedne istoty.

– Wmawiaj to sobie, nierozgarnięty chłystku.

– Sama pani zobaczy. Już niedługo. A teraz proszę wybaczyć, mam obowiązki wobec moich wyznawców.

Zrobiła wielkie oczy.

– Zamierzasz jeszcze bardziej nabruździć?

– Owszem – potaknął, wytrącając ją do reszty z równowagi. – Z pani punktu widzenia tak to będzie wyglądało.

Zaniemówiła. Spurpurowiała, na czole i szyi wystąpiły jej powrozy żył, lecz nie wydała z siebie nawet jednego artykułowanego dźwięku. Jęk, który Henryn usłyszał, mógł oznaczać wszystko – od przerażenia po bezbrzeżną nienawiść. Rozłączył się bez słowa. Nie widział większego sensu w kontynuowaniu rozmowy z tą kobietą. Rutta uprzedzał go, i miał niewątpliwie rację, że nikt spoza pionu naukowego nie zdoła przemówić jej do rozumu, a już na pewno nie mundurowy.

Godbleś była apodyktyczna do granic, okazywała też skrajną pogardę każdemu, kogo uważała za głupszego od siebie, czyli niemal wszystkim ludziom, z którymi się stykała. On zaś znajdował się na samym szczycie listy jej zaprzysięgłych wrogów, ponieważ jednym posunięciem zdołał zniweczyć efekty wielu lat ciężkiej pracy zespołu naukowego, któremu przewodziła. Tak się jednak złożyło, że w tej sytuacji admiralicja nie mogła i nie chciała przysłać tutaj nikogo innego. To on został nowym bogiem tych istot i to jego rozkazów

powinny one słuchać. Nie było czasu na podchody i przekonywanie ani Suhurów, ani obserwujących ich naukowców.

Henryan powiększył okna wyświetlaczy ukazujących obrazy z powierzchni planety. Znajome, ale jakże odmienne widoki. Brzeg Adal Vin, rzeki, na której ustanowił nieprzekraczalną granicę, świecił pustkami. Dzikie niegdyś równiny, pełne dziwnego zwierza i jeszcze dziwniejszej roślinności, teraz przecinał wysoki lśniący mur przypominający muszłowate skorupy gurdyjskich miast. Wijąca się wraz z korytem rzeki konstrukcja nie miała początku ani końca. Mimo że spoglądał na nią z wysokości kilkunastu kilometrów, nie znalazł choćby jednej przerwy. Bursztynowa kreska wylaniała się spomiędzy gór na północy i niknęła hen na horyzoncie po przeciwnej stronie globu.

Gurdowie wykonali jego rozkazy, lecz najwyraźniej nie zaufali danym przez niego gwarancjom. Woleli zabezpieczyć zdobyte terytorium w znany sobie sposób, odcinając znaczną część kontynentu od wojowniczych prymitywnych sąsiadów. Świątki skierował obiektywy sond dalej na zachód. Tu także zaszły niewiarygodne zmiany. Błękitnokrwieści nie marnowali czasu. Na podbitych ziemiach wyrosły spirale wielkich miast. Całe połączenie lądu zostały zrehabilitowane i obsadzone hijaszem, który stanowił podstawę wyżywienia czworonogich istot.

Świątki pokręcił głową, spoglądając na bezkresne pola o czerwono-brązowej barwie, przez które spora część mniejszego kontynentu przypominała poszycie prastarego, zaniechanego okrętu. Zupełnie jakby to sama Beta zaczynała rdzewieć... Ta myśl sprawiła, że zwątpił. Godbless mogła mieć rację. Cokolwiek uczyni, efekt będzie ten sam. Kleksy i zwierzaki zetrą się ze sobą, gdy którejś stronie zabraknie przestrzeni życiowej. A sądząc po tym, co zobaczył w dole, mógł być pewien, że ten moment nastąpi, i to raczej prędzej, niż ktokolwiek się spodziewał.

Kolejne wywołanie. Zerknął na komunikator. Znowu ona? Nie, tym razem w oknie pojawiła się twarz jakiegoś mężczyzny. Hm...

– Generale majorze – powitał go naukowiec, może nie przyjaznym, ale

przynajmniej neutralnym tonem.

– Doktorze Nagata – odpowiedział Henryan, szcztując informacje o nieznanym mu do tej pory rozmówcy z belki w dolnej części ekranu.

– Odnoszę wrażenie, że moja porywcza koleżanka mogła odrobinę przeszarżować, ale wie pan, jaka ona jest.

– Niestety wiem – przyznał Święcki. – Miałem wątpliwą przyjemność zetknąć się z nią kilkakrotnie podczas mojej służby w tym systemie. Jeśli mam być szczery, odlatując stąd, cieszyłem się, że będę mógł ją wyprzeć ze swoich myśli na zawsze.

– Nie dziwię się... Chociaż nie cała wina spoczywa na doktor Godbless.

– Nie twierdę, że jestem kryształowy, ale pańska...

– Zostawmy ten temat – poprosił naukowiec, wpadając mu w słowo. – Obaj doskonale wiemy, z kim mamy do czynienia. Skupmy się na obecnej sytuacji.

– Chce pan zapewne wiedzieć, po co tu przyleciałem?

– Między innymi. Pion naukowy Federacji twierdzi, że nie został uprzedzony o pańskiej wizycie na Xanie. Więcej nawet, jest nią zaskoczony. Admiralicja natomiast nabrała wody w usta, jak ma to w zwyczaju. Zbyto mnie stwierdzeniem, że to ściśle tajna misja.

Święcki powiódł wzrokiem po panoramie odmienionej Suhurty.

– Doktorze, nie będę z panem pogrywał, bo dysponuje pan narzędziami, które pozwolą na obserwację każdego mojego kroku... zwłaszcza na pograniczu. Przyleciałem na Xana 4, ponieważ muszę skorzystać z moich boskich uprawnień, aby zabrać stąd kilka garstni Wojowników Kości.

– Czy to naprawdę konieczne?

– Proszę mi wierzyć, że tak.

– Rozumiem. – Zastępca Godbless zasepił się jeszcze bardziej. – Skoro nie da się pan odwieść od tego pomysłu, może pójdziemy na pewien kompromis. Proszę to zrobić w jak najmniej ostentacyjny sposób, na przykład porywając ich, jak my to robiliśmy w dawnych czasach.

– Obawiam się, że charakter misji, którą mam im zlecić w imieniu Federacji,

wymaga boskiej interwencji.

– Taka ingerencja wypaczy ich jeszcze bardziej! – W głosie Nagaty dało się wychwycić nie tylko głęboki żal, ale i smutek.

Dziwna reakcja jak na człowieka, który zachowałby całkowitą obojętność, przyglądając się wyrznięciu słabszej z dwu inteligentnych ras, jakie zamieszkiwały tę planetę. Czyżby tak naprawdę bolała go świadomość, że straci wyniki kolejnych kilku miesięcy badań? Tak, chyba o to właśnie chodziło.

– Ujmę to tak: niepowodzenie mojej misji może doprowadzić do niewyobrażalnych szkód, przy których zmiany zachowań Wojowników Kości wydadzą się panu i pańskim przełożonym nic nieznaczącym szczegółem. Z całym szacunkiem dla tego, co tu robicie.

Nagata popatrzył na niego ze zdziwieniem, a później wyraźnie się zaniepokoił. Nie był głupcem, umiał więc czytać między wierszami.

– Nic nie rozumiem. Przecież Rada dopiero co ogłosiła oficjalne zakończenie stanu wyjątkowego. Wojna dobiegła końca.

– Powiedzmy, że pani kanclerz oszczędnie dzieli się prawdą.

– Domyślam się, że nie może pan odpowiedzieć na moje pytanie, ale i tak je zadam. Czy to znaczy, że nadal nie udało nam się pokonać Obcych?

– Słusznie się pan domyśla, doktorze – odparł w bardzo dwuznaczny sposób Henryan.

Nagata się uśmiechnął.

– W takim razie nie mam dalszych pytań... – Zawahał się. – Może tylko jedną prośbę: niech pan narobi jak najmniej szkód.

– Postaram się, doktorze. – Świącki zasalutował przepisowo, po czym zakończył połączenie.

\* \* \*

Z różowawych wód Valt Aram naprzeciw kościanych ołtarzy wyrosła opalizująca, na wpół przezroczysta, dwunożna postać. Moment później

odprawiający modły kapłani i posługujący im densha przypadli do ziemi, gdy równina zadrżała od boskiego hurkotu.

– Hen Ra-Yan przybywa do was ponownie, by w nagrodę za wierną służbę zabrać do gwiazd dziesięć najlepszych garstni, ażeby najdzielniejsi z dzielnych łowców mogli dodać do klanowych totemów kości, jakich ten świat jeszcze nie widział! Zapamiętajcie: gdy Thub oderwie się znów od szczytów gór, tutaj, pomiędzy ołtarzami, spoczną dwie latające tarcze, którymi zabiorę wybrańców na święte łowy! Niech do tego czasu każdy klan przyśle do mnie swoich najdumniejszych wojowników. Niech nikt nie śmie walczyć o prymat. Ja sam dokonam ostatecznego wyboru, zaś tych, którzy mnie zawiodą, przeklnę na wieczność, spopielając ich sadyby i rozbijając w pył totemy!

Horu Neki-Tono, opiekun chramu Bóstwa Sięgającego Nieba, podniósł się pierwszy. On był tu najważniejszy, zaraz po Hen Ra-Yanie, zatem to na jego hurgot czekali pozostali kapłani.

– Zanieście tę wspaniałą wieść do każdego Najwyższego Suhura, jakiego znajdziecie do chwili, gdy Thub ucałuje horyzont!

\* \* \*

Święcki dał Suhurom ponad czternaście godzin na wykonanie boskiego rozkazu. Tyle powinno wystarczyć, by rozesłali wici do wszystkich sadyb leżących na płaskowyżu Hurub Teh. Zdawał sobie sprawę, że pozostałe klany mogą być zawiedzione, skoro zostały pominięte w boskich planach. Niewykluczone też, że niektórzy Najwyżsi Suhurowie poczują się tym dotknięci do tego stopnia, że spróbują wziąć odwet na szczęśliwcach. Przyglądając się wyruszającym gońcom, zanotował w pamięci, że musi temu w jakiś sposób zapobiec. Może wystarczy zapowiedź niezbyt rychłego powrotu po kolejnych wybrańców, tym razem rekrutowanych z innych obszarów? Było to wprawdzie tymczasowe, lecz wystarczająco satysfakcjonujące rozwiązanie, które naprowadziło Henryana na jeszcze ciekawszy pomysł.

Mając w pamięci niedawne słowa doktor Godbless i przygnębiające widoki Suhurty, zastanawiał się całkiem poważnie nad tym, czy mógłby uczynić coś, co odmieni los Wojowników Kości. Na przykład dając im we władanie ziemię obiecaną, na której nie będzie innych inteligentnych istot. Tak, to rozwiązałoby problem raz na zawsze. Przeniesienie reszty Suhurów do Systemu Zero oddałoby Betę w niepodzielne władanie Gurdów. Wilk byłby syty i owca cała... Tylko wściekły owczarek zaszczekałby się na śmierć. Uśmiechnął się na myśl o zawodzie, jaki niewątpliwie przeżyłaby Godbless, gdyby udało mu się przekonać Radę, że ten exodus byłby odpowiednią nagrodą dla wojowniczej rasy, która ocaliła panią kanclerz i jej przydupasów.

Spodziewany dźwięk wyrwał go z zamyślenia.

Ciekawe, czy to ona czy on?

Jednak Nagata. Przywitali się jak poprzednio, grzecznie i spokojnie, choć naukowiec miał tym razem nieco bardziej rozbiegany wzrok.

– Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, że chwilowy transfer tych istot na inną planetę niesie ze sobą ogromne niebezpieczeństwo – wypalił, ledwie jego rozmówca zdążył dokończyć zwyczajową formułkę.

– Owszem, jestem świadom wiążących się z tym zagrożeń, ale zapewniam pana, że przed podjęciem decyzji zapoznaliśmy się szczegółowo z waszymi raportami, a także zasięgnęliśmy opinii najlepszych fachowców pionu naukowego Federacji.

– Sprawdziliście też, jak rozumiem, czy Suhurowie zdołają przetrwać w nowym środowisku? – uściślił Nagata.

– Tak – potwierdził Henryan.

– Świetnie, a czy dokonaliście również stosownych analiz, co się wydarzy, kiedy ci wojownicy wrócą na Betę, przenosząc w sobie mikroflorę z zupełnie odmiennego ekosystemu? Wiecie, jak takie patogeny mogą wpłynąć nie na superodpornych Suhurów, lecz na całe tutejsze środowisko naturalne? W tym na Gurdów żyjących w wielkich skupiskach?

Święcki przełknął głośno ślinę.

Gdybym tylko miał więcej czasu... westchnął w duchu, ale zaraz przyznał się sam przed sobą. Nie, nawet wtedy nie pomyślałbym o tym wszystkim, a w każdym razie nie odpowiednio wcześniej.

– Doktorze, bardzo dziękuję, że zwrócił mi pan uwagę na tak istotny aspekt tej sprawy – odparł, wzięwszy się w garść.

– Mam nadzieję, że da to panu do myślenia, generale majorze. Naprawdę radzę, by odstąpił pan od swojego szalonego pomysłu, póki nie jest za późno.

– Niestety to niemożliwe. – Święcki spuścił głowę. – Ale jedno mogę panu obiecać: wybrańcy nie wrócą na Betę, zanim się nie przekonamy, że nie ucierpi na tym ekosystem ich planety.

– Pewności nigdy nie będziecie mieli.

– W takim razie uczynię wszystko co w mojej mocy, by otrzymali we władanie planetę, którą dla nas zdobędą.

Oni i wszyscy pozostali Wojownicy Kości, dodał w myślach.

\* \* \*

Pierwsze garstnie pojawiły się na równinie za ołtarzami jeszcze przed zmrokiem. Do świtu zebrało się tam ponad pięćdziesiąt takich oddziałów, a kolejne nadciągały nieprzerwanie, idąc w kompletnych ciemnościach z północy, wschodu i południa. Każdy klan, do którego dotarło wezwanie Bóstwa Sięgającego Nieba, wybrał najlepszych łowców i wojowników, aby zadowolić Hen Ra-Yana, najsprawiedliwszego ze sprawiedliwych, tego, który poskromił w pojedynkę zawistnego Koreda i podstępного Thuba.

Święcki przyglądał się temu tłumowi z orbity, wciąż wściekły na siebie, że tak okrutnie postąpi z istotami, które oddają mu cześć. Wstępne analizy zleczone przez Ruttę nie pozostawiały jednak złudzeń. Drobnoustroje obecne na Zerze nie zabiją Wojowników Kości, lecz ich wpływ na ekosystem Bety może być katastrofalny. Z tego też powodu admiralicja, obszcze kiwana bez wątpienia przez samą Godbless, zdecydowała, że wybrane garstnie nie zostaną



ewakuowane z Alfy nawet po pomyślnym wykonaniu zadania.

Co z tego, skoro Henryan nie mógł już cofnąć wyhurkotanych nad Valt Aram słów. Nie mógł także zawieść przełożonych. Musiał brnąć w to bagno, choć czuł się przez to jeszcze bardziej parszywie.

Dwa wahadłowce szturmowe podchodziły właśnie do lądowania. Maszyny zostały uprzednio zakamuflowane, by sprawiać wrażenie większych niż w rzeczywistości. Holograficzne dodatki upodobniły je kształtem do tarcz, jakich używali ruszający na wroga Wojownicy Kości. Henryan zadbał o takie szczegóły, ponieważ chciał, by Suhurowie odnieśli w kontaktach z ludźmi wrażenie swojskości. I żeby stres, któremu zostaną poddani w nadchodzących dniach, był jak najmniejszy. Od tego, jak się sprawią, zależał bowiem los wielu dobrych ludzi. I kilkorga złych przy okazji.

Oba promy wylądowały gładko, zawisając nad różowawymi wodami przy samym brzegu, dokładnie pomiędzy strzelistymi kościanymi budowlami.

Gdy trapy opadły, łącząc równinę z ciemnymi czeluściami obco wyglądających maszyn, Henryan ponownie aktywował projektor. Sięgająca chmur postać o jego twarzy spojrzała z góry na pokraczne istoty, które z trudem można było nazwać cywilizowanymi, chociaż czasami niewiele się różniły od ludzi.

– Zadowoliliście mnie, Wojownicy Kości! – zahurkotał z taką mocą, że oddający mu cześć mieszkańcy Bety odnieśli wrażenie, iż po bezchmurnym niebie przetaczają się niewidzialne gromy. – Stawiliście się licznie, ale na pierwsze łowy, jak obiecałem, mogę zabrać tylko dziesięć garstni. Ci jednak, których pomnę, nie powinni się smucić, albowiem ich kolej nadejdzie, i to już wkrótce! A jeśli uznam, że wszyscy jesteście godni nagrody, otrzymacie ode mnie przebogatą krainę wiecznych łowów, po wielokroć większą i zasobniejszą od wszystkich ziem, w które kiedykolwiek wbito arady!

Gigantyczna prześwitująca ręka przeniknęła przez chmury, opadając wolno ku ziemi. Henryan nie miał bladego pojęcia, kogo wskazuje, był jednak pewien, że klany posłusznie wysłały nad rzekę najlepszych wojowników, co znaczyło, że

nie może popełnić błędu przy wyborze.

\* \* \*

Na przelot i podjęcie wahadłowców trzeba było ponad dwudziestu minut, podczas których Święcki, nie mając nic lepszego do roboty, celowo ignorował kolejne próby kontaktu z chcącym mu przemówić do rozumu doktorem Nagatą. Pozostawał nieosiągalny dla naukowca, gdyż nie mógł się ugiąć bez względu na własne przekonania. Ta misja miała zbyt wielkie znaczenie, by przedłożył los siedemdziesięciu Wojowników Kości nad przyszłość Federacji w takim kształcie, jaki wszyscy znali. Musiał ocalić Modo, gdyż pragnął, by jej upadek stał się jego dziełem, nie przypadkiem.

Seifert powetował mu ostatnio wszystkie straty, i to po wielokroć! Ukrywający się wciąż haker jakimś cudem zdobył logi jednostek, którymi rzekomo przetrucano kolonistów ewakuowanych z Ulietty. Problem w tym, że żadna z nich nie dotarła nigdy do celu. W dokumentach wszystko grało, ale zapisy ze stacji monitorujących wymienione systemy nie odnotowały wejścia ani wyjścia takich jednostek. Gdyby chodziło tylko o kilka takich niezgodności, można by mówić o błędzie systemu, ale Henryan dysponował ponad trzydziestoma udokumentowanymi oszustwami mającymi na celu ukrycie śmierci osób pozostawionych jako przynęta w fałszywych koloniach, do których kierowano ma'lahn. To nie były jednostkowe przypadki; ofiary tego procederu musiały iść w setki tysięcy, może nawet miliony! Prawdziwą liczbę będzie można ustalić dopiero za jakiś czas, gdy specjalna komisja porówna dane ze wszystkich metasektorów.

Święcki zerknął na wyświetlacz. Oba wahadłowce opuszczały właśnie atmosferę Bety. Pora zatem na złożenie raportu. Jednostka, którą przyleciał na Xana 4, nie należała do najnowocześniejszych ani najpotężniejszych, musiał się więc streszczać, mimo że od Anzio dzieliło go zaledwie trzysta lat świetlnych.

– Generale, melduję, że rekrutacja zakończyła się w przewidywanym czasie.

Zgodnie z ustaleniami podebraliśmy siedemdziesięciu Wojowników Kości. Za dwadzieścia sześć minut będziemy gotowi do wykonania skoku.

– Znakomicie. – Rutta nie krył zadowolenia. – Przesyłam koordynaty nowego celu.

Henryan odkodował odebraną wiadomość, przeczytał ją raz, potem drugi.

– Nie lecimy na Zero? – zapytał zdumiony.

– Lecicie, ale nie bezpośrednio – wyjaśnił generał. – Co pomyśleliby sobie nasi skrzydlaci przyjaciele, gdyby zobaczyli, że *Miecz* pojawia się na orbicie Alfy dzięki *Oumuamua*, a niespełna dzień po tym, jak wyładował swój ładunek, ludzie przerywają oblężenie?

– No tak. Zatem to koordynaty jednego z sąsiednich systemów?

– Zgadza się. Stamtąd czeka was tylko godzinny...

Połączenie zostało zerwane. Systemy transportowca przeszły na zasilanie awaryjne. Kilkanaście sekund rozmowy ze sztabem pozbawiło tę kryptę całego zapasu energii, a na jej odnowienie trzeba będzie co najmniej kwadransa. Na szczęście nie był to w tych okolicznościach problem. Zanim wahadłowce dotrą do doków, wysłużona jednostka dojdzie ponownie do siebie.

Święcki opadł na fotel, wyciągnął nogi i podłożywszy dłonie pod głowę, przymknął powieki. Napęd kanciaka był naprawdę niesamowity. Pozwalał w ułamkach sekundy przeprawić się na drugi kraniec znanej przestrzeni, ale miał też jeden ogromny minus: załogi przenoszonych nim okrętów traciły możliwość złapania choć chwili oddechu. Za niespełna pół godziny *Miecz* znajdzie się na skraju odległej gromady kulistej, w systemie, z którego po zaledwie godzinnym skoku doleci na Zero. Najbliższa doba zapowiadała się więc pracowicie...

Ping.

Henryan drgnął. Zerknął na wciąż aktywne okno wyświetlacza.

Nowa wiadomość od Seiferta? ucieszył się. Tak szybko? Ciekawe...

Rozejrzał się po zaciemnionym mostku. Jedyne wachtowe drzemał za konsolą swojego stanowiska. Reszta dziewięcioosobowej załogi przebywała obecnie na pokładzie mieszkalnym w swoich kajutach, tam gdzie ich odesłał, aby nie

napatoczyli się przypadkiem na podejmowanych Suhurów. Uniemożliwienie bezpośredniego kontaktu było chyba najistotniejszym punktem jego planu. Czar nie mógł prysnąć tylko dlatego, że jakiś dureń da się zauważyć. Święcki żywił bowiem poważne obawy, czy dumni Wojownicy Kości zechcą służyć tak mikrym bogom. Najniższy z tych dumnych zabójców miał ponad dwa i pół metra wzrostu i niewiele ustępował masą przeciętnemu ma'lahn. Ludzie przy nich wyglądali jak dzieci albo jeszcze gorzej, karły.

Mam prawie dwadzieścia minut, pomyślał Święcki, otwierając wiadomość. Plik był całkiem spory. Uznał, że ma do czynienia z nagraniem, lecz w rozszyfrowanym folderze zobaczył obok niego także kilka dokumentów tekstowych. Tylko zerknę... Jeśli to coś dłuższego, zostawię sobie oglądanie na czas skoku, zdecydował.

Zgrał plik na kryształ, włączył kokon pola ochronnego – na szczęście ta funkcja stanowiska dowodzenia działała nawet przy zasilaniu awaryjnym – po czym uruchomił naczolnik.

### TAK MI PRZYKRO, BRACIE.

Tylko kilka słów wypaliło się w absolutnej czerni, ale to wystarczyło, żeby Henryan poczuł ciarki. Dlaczego Seifertowi miałyby być przykro?

Nagle wokół zrobiło się przyjemnie jasno. Otaczały go teraz lśniące od wilgoci różowe marmury, jakieś kolumny, częściowo zaparowane lustro. W wielkiej wannie pośród piany siedzieli naprzeciw siebie pani kanclerz i skarbnik Federacji. Oboje, z tego co zauważył, byli nadzy.

– Trzeba grać ostro, by zejść daleko – rzuciła właśnie rozbawiona czymś Modo.

# DWA

*System Zero, Sektor X,*

*13.05.2355*

Posterunek sto siedem umiejscowiono w płytkim, ale za to dość szerokim parowie, którym wieki temu musiała płynąć jakaś rzeka. Zagłębienie to służyło obecnie za przyczółek trzysta trzeciej baterii dział szynowych. Osiem czterolufowych bestii stało w równym rzędzie pośrodku ukrytej za niewielkim wzniesieniem niecki. Wszystkie były prawidłowo okopane i osłonięte indywidualnymi kokonami pola siłowego.

Sierżant Romero uważał to ostatnie zabezpieczenie za grubą przesadę, zwłaszcza że wróg ukryty za znacznie potężniejszymi tarczami nie miał żadnej możliwości rażenia federacyjnego sprzętu. Nauczony życiowym doświadczeniem sierżant wolał jednak nie wyrażać głośno swojej opinii. Skoro góra chce marnować wory kredytów, wolna wola, nie jemu przyjdzie płacić rachunki za energię.

Zerknął w tył, między porowate skały, gdzie wkopano przenośne reaktory, nowiusieńkie modele jedenastej generacji, cuda, do jakich nigdy wcześniej nie miał dostępu. Ta wojna wydusiła z polityków nie tylko wolę zmian, ale i potrzebną do ich zaprowadzenia kasę, dlatego Romero z szacunkiem spoglądał na powód całego tego zamieszania. Dranie musieli zabić wielu kolonistów, by do mgławicowych dziadków na Ziemi dotarło w końcu, że sto lat pokoju nie jest gwarancją niczego prócz zapóźnienia w rozwoju floty. Te działa, te reaktory, jak

i pozostałe elementy wyposażenia trzeciej zmechanizowanej dywizji planetarnej trafiły tutaj prosto z linii produkcyjnej, tak więc chłopaki i dziewczyny musieli wkuwać instrukcje obsługi podczas lotu, a potem trenować na sucho, zamiast spać smacznie w kapsułach stazy, jak głosił regulamin.

– Sierzancie! – Dzięki egzoszkieletowi Romero obrócił się na pięcie zwinnie, jakby jego pancerz ważył pół tony mniej niż w rzeczywistości.

– Tajest! – Wypreżył się jak struna na widok dowódcy plutonu.

– Zaraz otrzymamy kolejny zrzut zaopatrzenia, głównie amunicję – poinformował go porucznik Hrabal, ukryty w podobnej czterometrowej zbroi. – Przydzielcie ludziom zadania, musimy być gotowi do otwarcia ognia w ciągu kwadransa.

– Do otwarcia ognia? – zdziwił się sierżant. – Porąbało ich tam na orbicie?

– Macie jakiś problem?

– Melduję posłusznie, że nie mam. Działa są, amunicja jest, rozkaz wydany, możemy strzelać do usranej śmierci.

– W takim razie po co te durne komentarze?

– Wodzu szczerohelonowy... – zaczął jowialnie Romero. Tutaj, na pierwszej linii, Hrabal pozwalał dowódcom drużyn na pewną dozę poufałości, której żaden jego podwładny nie pomylił jednak z lekceważeniem. Był to po prostu jeden z niewielu wentyli bezpieczeństwa, pozwalających oddziałowi funkcjonować jak doskonale naoliwiony mechanizm. – Jakoś nie widzę sensu dalszego marnowania amunicji i energii. Choćbyśmy napieprzali maksymalnym cyklem aż do wystrzelenia ostatniego pocisku, nie przeciążymy żadnej z tych kopuł. Przetrenowaliśmy to kilkakrotnie w pierwszych dniach oblężenia – przypomniał.

– Wy pólmózgi to wiecie, ja to wiem, więc i do nich tam pewnie też już coś dotarło. – Pancerne ramię wskazało niebo. – Ale rozkaz to rozkaz. Zamknijcie mordę i bierzcie się do roboty.

– Tajest! – Sierżant zasalutował niezgrabnie. Wyrzutnia rakiet umieszczona na przedramieniu egzoszkieletu nie pozwalała na skuteczne zgięcie łokcia.

– I jeszcze jedno. Tym razem dostaniemy przesyłkę specjalną. – Serwomotory

zapiszczały, gdy porucznik zatrzymał się w pół obrotu. – Czynień was za nią osobiście odpowiedzialnymi, sierżancie.

– Nie ma sprawy. Będę się nią opiekował jak moją żoną.

– W takim razie jest sprawa – stwierdził porucznik, ale zanim zdążył dodać, że z tą przesyłką nie będzie rozvodu zaraz po nocy poślubnej, jak to miało miejsce w wypadku jedyne go do tej pory ślubu sierżanta, namierniki obu panczerzy zaczęły głośno popiskiwać, informując o wykryciu nadlatującego transportera. – Zajmijcie się wyładunkiem według tego schematu!

Pliki trafiły na komunikator sierżanta Romero. Tymczasem porucznik nie wrócił do bunkra, jak można było oczekiwać, lecz cofnął się kilka kroków, robiąc przejście zbliżającym się żołnierzom, jakby miał zamiar nadzorować ich pracę. Albo sierżanta...

– Heinlein i Liu! – Romero wskazał chłopaków stojących po prawej. – Wy bierzecie kontenery przeznaczone dla pierwszej półbaterii. Dołączacie je do łańcucha podajnika i wracacie po następne. Biegiem, zrozumiano?! Macie cztery minuty na każde przemieszczenie! Zaczynacie od kontenerów siedemset jedenaście i trzydzieści. Będą na prawej burcie.

– Tajest! – odpowiedzieli unisono szeregowcy, ruszając żwawo w stronę okrągłego lądowiska, nad którym zawisała właśnie kanciasta maszyna transportowa.

– Lanzetti i Czoj balsan. – Platalowy palec wskazał kolejną parę żołnierzy. – Wy bierzecie kontenery przeznaczone dla drugiej półbaterii. Dołączacie je do łańcucha podajnika i wracacie po następne. W podskokach, nie jak ostatnio! Macie pięć minut na każde przemieszczenie! Zaczynacie od kontenerów siedemset osiem i dziesięć. Znajdziecie je na lewej burcie. Lewa to ta – wskazał właściwą stronę.

Romero przydzielił podobne zadania kolejnym czterem drużynom, a potem przeniósł wzrok na porucznika.

– Co mam zrobić z tym nadprogramowym złomem? – zapytał.

– Ustawcie go tam. – Dowódca wskazał stos opróżnionych wcześniej

pojemników na amunicję.

– Ale on jest... – zaczął niepewnie sierżant.

– I pozostanie zamknięty do chwili, gdy opuścimy ten grajdołek, zrozumiano?

– Tajest!

– Mówię poważnie. Nie wiem, co za gówno tym razem nam podesłali, ale rozkazy są jasne. Nikt nie rusza tego kontenera. Nikt do niego nie podchodzi. Nikt na niego nie patrzy. Złamanie powyższych zasad oznacza miesiąc anzła, obcięcie żołdu o pięćdziesiąt procent na okres trzech miesięcy i zakaz promocji na przestrzeni najbliższych dwóch lat. Nieodwołalnie. Tako rzeczą gwiazdki.

– Kurwirtual – jęknął sierżant, zerkając trwożliwie na miejsce, w którym spocznie za moment wspomniany kontener.

– Sam bym tego lepiej nie ujął. Za niecały kwadrans mamy być gotowi do otwarcia ognia. Koordynaty te same co poprzednio. Dostawy amunicji co dwie standardowe godziny. Rozpiszcie warty od razu na całą dobę, żeby mi nie było najmniejszej obsuwy.

– Na całą dobę? – stęknął podoficer.

– Tak. Będziemy napierdalali w tych skurwyklonów do odwołania albo do wyczerpania amunicji, a tej dostaniemy po cztery pełne wiadra na każdą lufę.

\* \* \*

Hrabal nie żartował. Haubice szynowe wypluwały dziesięć salw na minutę, wyrzucając w kierunku kopuły pola siłowego po cztery siedemnastokilogramowe pociski naraz. Już pierwsza z nich wymalowała na połyskującej obłej ścianie kwiat eksplozji, którego oślepiająco białe plazmowe płatki nie zniknęły przez następne kilkanaście godzin, zasilane nadlatującymi raz po raz wyparowującymi w niewyobrażalnej temperaturze bryłami litego metalu.

Romero przyglądał się temu aktowi – jego zdaniem bezsensownej, a nawet bezsilnej – złości, nadzorując równo co dwie godziny rozładunek kolejnych transporterów, które docierały na pierwszą linię z umieszczonych na głębokim



zapleczu zautomatyzowanych wytwórni. Im dłużej trwała kanonada, tym większą irytację odczuwał sierżant, ponieważ odczyty czujników nie kłamały. Nie udało im się podnieść kondensacji tego pola nawet o jeden pieprzony procent, mimo że zużyli ponad półtora miliona pocisków na każde działo. Półtora miliona!

– Co my robimy, sierżancie? – zapytała Lanzetti, skończywszy przenosić kolejną partię amunicji. Opróżnionych pojemników pozbyła się, rzucając je na skraj ogromnej pryzmy.

– Nie wiem – odburknął.

– Po mojemu to nie ma najmniejszego sensu, ale co ja tam wiem – poparł partnerkę Czolibalsan.

– Trzy razy już próbowaliśmy – przypomniała. – Gównu to dało. Teraz będzie tak samo. To widać, słysząc i pewnie czuć.

– Słuchajcie... – Romero zarechotał do własnych myśli. – To będzie dobre i na temat. Dwóch admirałów wsiada do kapsuły kolejki międzymodułowej. To sztabowa stacja orbitalna, jedna z tych większych, więc linii tam mają od cholery i ciut-ciut. Jadą chwilę, ale jednego zaczyna coś niepokoić, więc łączy się z autopilotem. „Czy dojadę tym wagonikiem do doku numer osiem?”, pyta. „Nie”, odpowiada autopilot, „ten wagonik jedzie do doku numer sześć. Aby dotrzeć do celu, musisz się przesiąść”. Jadą dalej, milcząc i kiwając ze smutkiem głowami, aż w końcu drugi admirał robi nagle taką minę, jakby coś go tknęło. Rzuca się do komunikatora i pyta: „A ja dojadę?”.

– To, zdaje się, nie o admirałach było – prychnęła rozbawiona Lanzetti.

– Ale z nimi też jest śmieszne – zbył ją Romero.

– I jakże prawdziwe – dodał Czolibalsan. – Nami chyba dowodzi teraz ten drugi...

– Sierżancie, a co my tam mamy? – zainteresowała się jego partnerka, gdy przestali się już śmiać.

Ruszyła w kierunku stojącego pod stosem opróżnionych pojemników kontenera.

– Widzisz ten czerwony krąg na HUD-zie? Tak, ten przed tobą. To perymetr strefy zakazanej. Jeszcze jeden krok, a zarobisz tyle kar, ile nie dostał w ciągu roku cały nasz pluton – ostrzegł ją Romero.

– Pieprzenie.

– Mówię serio. Porucznik mnie uprzedził, że zamierza otagować wasze pozycjonery. Ty, kwiatuszku ścierwojadku, znajdujesz się dosłownie krok przed linią zawodowej śmierci, ale błagam, nie zwracaj uwagi na moje przestrogi, idź dalej, śmiało. Jestem niezmiernie ciekaw, czy nasz przełożony nie blefował.

– Walcie się na płaski ryj... sierżancie – odpyskowała, ale na wszelki wypadek zmieniła kierunek marszu.

– No! – mruknął, jakby poczuł się zawiedziony. – Ktoś jeszcze ma chęć na bicie niechlubnego rekordu? – zapytał, gdy dołączyli do nich Zacharow i Hernao.

\* \* \*

Osiemnaście godzin. Tyle trwała kanonada, zanim nadszedł rozkaz wstrzymania ognia. Porucznik Hrabal pojawił się na stanowiskach trzysta trzeciej pół godziny później, przynosząc jeszcze bardziej zaskakujące polecenia.

– Zwijamy nasz teatrzyk – oświadczył zmęczonym żołnierzom. – Przygotujcie swoje dziewczynki do odlotu. Transportery powinny się pojawić najpóźniej o siedemnastej zero zero.

– Tak po prostu? – zdziwił się sierżant. – Dobijaliśmy się do drzwi tej chałupy przez prawie całą dobę, a teraz się obrazimy i sobie pójdziemy?

– Możecie zostać, jeśli chcecie, mnie tam wszystko jedno – odburknął porucznik, nie przerywając kontroli odczytów zużycia amunicji.

– A co z tym tam? – Lanzetti wskazała ciekawiący ją wciąż kontener.

– Z czym? – Hrabal spojrzał chyba we właściwą stronę, ale nie była tego pewna, ponieważ wizjer jego hełmu pozostał nieprzejrzysty.

– Z tajemniczym ładunkiem – podpowiedziała.

– Ja tam nie widzę niczego tajemniczego. To tylko stos opróżnionych pojemników na amunicję – zapewnił ją dowódca.

– Nie no, bez jaj – obruszyła się szeregowca.

– Chcecie sprawdzić, czy mówię prawdę? – Porucznik się zaśmiał. – Proszę bardzo. Wejście w zakłęty krąg, zaznaczony na waszych wyświetlaczach, oznacza... – Zawiesił znacząco głos, odwracając się do sierżanta.

– ...miesiąc anzła, obcięcie żołdu o pięćdziesiąt procent na okres trzech miesięcy i zakaz promocji na przestrzeni najbliższych dwóch lat – wyrecytował z pamięci Romero.

– Ktoś jeszcze ma jakieś pytania o to, czego tam nie ma? – Nikt się nie zgłosił ani nie odezwał. – Świetnie. W takim razie szykujcie sprzęt do podwózki. Resztę złomu zostawiamy tam gdzie leży.

Nad horyzontem pojawił się rząd czarnych punktów, które szybko rosły, przybierając kształty szynowych transporterów orbitalnych, pod które podpięte były przemysłowe drukarki i przenośne reaktory podobne do tych zasilających baterię Hrabala. Jedna z maszyn, na której było jeszcze kilka wolnych stanowisk, oderwała się od szyku i zaczęła podchodzić do lądowania. Inna, całkiem pusta, leciała jej śladem, ale nieco innym kursem. To był transporter, na który czekali.

# TRZY

*System Zero, Sektor X,*

*15.05.2355*

Bogowie nas wybrali!

Z tą myślą Rekne Tare-Roho ruszał ku wylotowi mrocznej groty w dziwnej skale, która spadłszy z nieba, zawisała nad leniwie płynącymi wodami Valt Aram. Jego garstnia została wskazana jako trzecia. Gruba górna kończyzna Bóstwa Sięgającego Nieba sunęła wolno nad znieruchomiałymi Wojownikami Kości. Była niesamowicie wielka, a mimo to nie rzucała cienia. Zatrzymywała się tylko na moment, by naznaczyć wybrańców. Klan Trzykrotnie Przebitej Tarczy także dostąpił zaszczytu udziału w pierwszych boskich łowach. Tore Numa-Reh nie mylił się więc, gdy hurgotał do zebranych przed jego szałasem członków klanu, że ci Suhurowie, od których wszystko się zaczęło, mają święte prawo do pierwszeństwa.

Tak wiele się wydarzyło od czasu, gdy Duchy Gór przemówiły. Po tym jak Hen Ra-Yan w pojedynkę zatrzymał marsz armii błękitnokrwistych, Wojownicy Kości ponownie rozkwitli. Na odzyskanych równinach pomiędzy Valt Aram a Adal Vin znów zapłonęły ogniska. W miejsce wybitych w długiej wojnie powstawały nowe klany. Odbudowywano obalone totemy i spalone sadyby. Stawiano jeszcze większe ołtarze. Wyschniętą ziemię rosła tylko krew zabijanych bestii, lecz młodzi wojownicy i tak zdobywali przydomki, dokonując heroicznych czynów. Kapłani ostrzegali jednak, że nadejdzie taki dzień, gdy Hen

Ra-Yan upomni się o to, co mu należne. Nauczali, że zakaz bratobójczych walk to tylko próba, po której zaliczeniu klany będą mogły powrócić do starych obyczajów.

Wezwanie na boskie łowy musiało świadczyć o trafności ich przepowiedni. Tak uważali Najwyżsi Suhurowie i tak myślał każdy zamknięty w mroku latającej skały wojownik.

– Ten kamień jest dziwny – zaświszcział Tilu Koru-Kebe, próbujący od dłuższej chwili wyżłobić ryse w ścianie gładkiej jak powierzchnia wypolerowanej kości. Jego nowe dźgaki były najostrzejsze, a mimo to nie zostawiały na szarej skale żadnych śladów.

– Jest boski jak wszystko, co nas otacza – odpowiedział mu Rekne Tare-Roho, nieustraszony zabójca dwóch hrylli w jednych łowach i niekwestionowany przywódca tej garstni.

Tilu Koru-Kebe skupił wzrok na lekko stępionej broni, która do tej pory przebijała każdą przeszkodę, nawet tak grubą jak skamieniała skóra na brzuchu starego trilkuta.

– Dziwne to jednak uczucie trafić na coś, czego twoja broń nie jest w stanie przebić, a nawet zarysować – wyhurgotał z nabożnym podziwem wojownik należący do którejś z pozostałych garstni znajdujących się we wnętrzu latającej skały.

Rekne Tare-Roho chciał mu wyjaśnić, że od tej chwili można się spodziewać zaskoczenia na każdym kroku, ale nie zdążył tego zrobić. W najdalszym kącie grotu zapłonął dziwaczny ogień. Zimny, płaski, błękitnawy, zajmujący całą ścianę. Wpatrywali się weń z całych sił, lecz nie dostrzegli znajomego kształtu, za to już po chwili usłyszeli głośniejszy od gromów głos boga.

Hen Ra-Yan rozpoczął nauki, które miały ich zaprowadzić do chwalebnego zwycięstwa. Słyszeli go podczas krótkiego pobytu w grocie, a także później, kiedy garstnie opuściły ciasne wnętrza latających skał i trafiły do jaskini większej niż najobszerniejsze podziemne sale Bor Omot. Tam bóg znów im się objawił w całej okazałości. Poleciał garstniom rozdzielić się i zasiąść przed

ustawionymi w półokrąg metalowymi szałasami. Po tym, jak zapłonęły ogniska, Hen Ra-Yan kontynuował nauki, dopóki wszyscy Wojownicy Kości nie pojęli dokładnie, czego od nich wymaga. Nie powiedział im wiele, co nie znaczyło, że łowy miały być łatwe. Dla nich nie było jednak trudu, którego by nie podjęli dla zadowolenia wybawcy klanów. Słuchali więc i zapamiętywali każde słowo, a potem powtarzali boski hurkot rytmicznie, melodyjnie, raz po raz, niczym rytualną pieśń.

Zanim ogniska zdążyły się wypalić, bóg nakazał Suhurom wejść do metalowych szałasów, które jeszcze przez długi czas nie zostały szczelnie zamknięte, by hurkot powtarzającego nakazy boga docierał do wszystkich po równo. A gdy grube wrota zawarły się wreszcie ze złowieszczym trzaskiem, Wojownicy Kości zostali sami. Przemawiająca do nich świetlistość zgasła i odeszła, ale oni nie potrzebowali dalszych pouczeń, albowiem byli już gotowi do wypełnienia misji.

\* \* \*

Stało się, jak zapowiedział Hen Ra-Yan. Najpierw umilkły odległe gromy, zaraz potem Wojownicy Kości przestali odczuwać rytmiczne drżenie ziemi, do którego zdążyli się już przyzwyczaić. Z zewnątrz dobiegał tylko chrzęst, z jakim poruszały się wokół nich nieznane ciężkie stwory, lecz i on ucichł z czasem. Gdy zapadła niczym nieprzerywana cisza, Rekne Tare-Roho dał znak. Jego towarzysze otworzyli oba koliste włazy umieszczone w podłodze szałasów i zaczęli kopać.

Tutejszy grunt był bardziej suchy niż na terytoriach klanów, miał też zupełnie inną barwę, ale poddawał się kopakom równie łatwo jak podczas zwykłych polowań. Wystarczyło parędziesiąt spęcznień błony, by Wojownicy Kości wryli się tak głęboko, że mogli wyjść poza ciasne i mroczne więzienie.

Zamiast to jednak zrobić, czekali – jak im nakazano – wypatrując zapadnięcia ciemności. Przez otwory w powale szałasów, niewielkie, ale za to liczne, sączyło

się coraz bledsze światło. W końcu było tak słabe, że nie mogli go już dostrzec.

– Teraz! – rozkazał Rekne Tare-Roho, zeskakując do jednego z wykopów.

Kilka pociągnięć szerokimi zuchwami muketuli pozwoliło mu się przebić na powierzchnię, tuż obok metalowej ściany. Wysuwał się z dołu bardzo powoli, niczym żerujący zeguter. Podpełzał odrobinę w górę, po czym zamierał, nasłuchując i wypatrując zagrożeń. Dopiero wtedy, gdy uznał, że nic nie czai się w otaczających szalas ciemnościach, przemknął jak cień w głębsze zarośla. Tam, przywarłszy do gąbczastych pni, które rosły dokładnie tam, gdzie miały rosnać wedle Hen Ra-Yana, odważył się wydać pierwszy cichy hurgot.

Na ten znak pozostali wojownicy równie ostrożnie, ale znacznie szybciej opuścili szalas, zabierając wszystkie worki z boskimi darami. Gdy chwilę później zebrali się wokół garstnika, ten wskazał im połyskującą w mroku, sięgającą wysoko w niebo kopułę. Tam znajdowały się pierwsze cele ich boskiej wyprawy.

\* \* \*

Mapa. To określenie zapadło w pamięć Rekne Tare-Roho. Tak prosta, a zarazem tak genialna rzecz. Kilka linii, parę prostych symboli, a poruszał się w obcym dla niego terenie jak po ziemiach własnego klanu. Wiedział, że za wijącymi się na wietrze roślinami musi skręcić, aby iść ku czemuś, co wygląda jak wywrócony do góry brzuchem onkader, którego odnóża mają wiele dziwnych odrostów. Znał zawczasu każdy etap tej drogi tylko dlatego, że bóg pokazał mu, jakie cuda mogą się kryć na zwykłym kawałku wyprawionej skóry.

Lśniąca kopuła, która przesłaniała już niemal pół nieboskłonu, wciąż nie zniknęła, co wydało mu się złym znakiem. Bóg twierdził przecież, że dopóki ta przeszkoda nie zniknie, wojownicy nie dostąpią zaszczytu udziału w boskich łowach, a on nie usunie jej z ich drogi, jeśli będą mu nieposłuszni albo dadzą się zauważyć.

Dlatego więc Hen Ra-Yan nie pozwalał im przejść dalej, skoro wypełnili

każde jego żądanie i pozostali w ukryciu? Rekne Tare-Roho przypuszczał, że podobne myśli muszą zaprzętać wszystkich wojowników jego garstni, skradających się w mroku z dala od siebie ku niebiańskiej zaporze.

Bóg musi być z nas niezadowolony, uznał chwilę później. To niewiarygodne, ale któraś z wybranych garstni splamiła honor klanów, nie wypełniając woli Bóstwa Sięgającego Nieba. Innego rozwiązania nie widział. Bóg nie mógł przecież ich zwodzić jak błękitnokrwisci najeźdźcy. Bóg musiał być czysty jak jego dzieci.

Nagle czerń przed garstnikiem nabrała głębszego odcienia. Nie było już opalizującej ściany, lecz tylko gęsty mrok otulający skałę, która wyglądała jak wbita w ziemię kość giganta. To ona była pierwszym celem tej misji i to ku niej Rekne Tare-Roho skierował swoje kroki, posuwając się ostrożnie od jednego punktu orientacyjnego do drugiego. Dotarł na miejsce na trzy spęcznienia błony przed Betu Zeke-Neme, najmłodszym wojownikiem garstni. Złożyli wspólnie dary, upychając wypełnione nimi worki pomiędzy wiązkami elastycznych ścięgien przylegających do sterczącej w niebo gładkiej kości, po czym spojrzeli na drugą rzecz, którą otrzymali od Hen Ra-Yana. Młody Betu Zeke-Neme pilnował jej jak Najwyższy Suhur arada, gdyż bez niej rozpoczęcie łowów byłoby niemożliwe.

Jeśli mapa była dziełem geniuszu, to jak nazwać ten cud? Rekne Tare-Roho nie rozumiał wprawdzie, na jakiej zasadzie działa klepsydra, ale wiedział równie dobrze jak jego niedoświadczony towarzysz, że gdy umieszczony za przezroczystą jak samo powietrze ścianką piasek przesypane się do końca, musi natychmiast odwrócić boskie urządzenie do góry nogami. Pierwszy obrót wykonali w momencie, gdy umilkły gromy. Bóg nakazał Wojownikom Kości pilnować tych spadających ziarenek pod groźbą wykluczenia z łowów, wyznaczeni z każdej pary dzierżyli klepsydry w szponach, obserwując je nieustannie co najmniej jednym z oczu. Betu Zeke-Neme też był powiernikiem naczynia z piaskiem i trzymał teraz smukłe urządzenie tak, by obaj mogli je widzieć. Szara strużka opadała na uzbieraną w dole okazałą kupkę ziarenek.



Szuuuu, jeszcze chwila i na górze nie zostało już nic.

Garstnik i jego towarzysz sięgnęli równocześnie po sznury łączące ich z pozostawionymi pod gigantyczną kością darami. Zdarli nakładki chroniące zakończenia śmierzących dziwnie plecionek i spojrzeli z zaciekawieniem na pełgające po nich blade ogniki.

To był ostatni etap przygotowań do łowów.

Dobyli broni. Rekne Tare-Roho ścisnął mocno rękojeści bliźniaczych miazdzerów. Były nowe, zdobyte zaledwie jeden księżyc temu, na wyprawie w góry. Hryll, z którego szczęk zostały zrobione, należał do największych, jakie kiedykolwiek widziano nad Valt Aram, ale padł jak każdy inny przedstawiciel jego gatunku, któremu przyszło się zmierzyć z dumnymi Wojownikami Kości. Garstnik obrzucił wzrokiem sunącego za nim jak duch młodzika. Gdyby nie tamte łowy, miałyby dzisiaj przy sobie samych starych druhów, lecz trzej nowo mianowani wojownicy nie powinni im ustępować sprytem ani siłą. Aby dostać się do najlepszej garstni klanu, trzeba było wykazać się czymś więcej niż tylko pokonaniem rywali.

Ryk gromu, który rozdarł ciszę, zanim dotarli do największej gęstwiny pomiędzy wkopanymi kośćmi a dziwaczną wąską górą, i towarzyszący mu wstrząs sprawiły, że obaj Wojownicy Kości przypadli do ziemi. Kolejne erupcje rozświetlały niebo raz po raz, aczkolwiek nierówno, czasem najpierw dalej, a dopiero potem bliżej, ale wszystkie zmieściły się w jednym spęcznieniu błony. Leżący wśród twardych porostów Suhurowie nie byli zaskoczeni, ponieważ na tym właśnie polegał plan.

To był znak rozpoczynający boskie łowy.

\* \* \*

Rekne Tare-Roho wsunął się pomiędzy gąbczaste pnie. Wymazany czerwonym błotem niewiele różnił się barwą od otaczającej go roślinności. Czekał cierpliwie, obserwując przelatujące wysoko kamienie, w niczym

niepodobne do tych, którymi Hen Ra-Yan zabrał go z Suhurty. Te tutaj były o wiele mniejsze, bardziej obłe, jakby powstały w szalaszach istot zajmujących się wyrobem klepsydr. Gdy ostatni kamień zniknął z pola widzenia, na moment zaległa cisza, a potem Wojownik Kości ujrzał w wylocie pobliskiej jaskini obiecaną ofiarę. To coś było wyższe od niego, choć niedużo, ze dwa razy masywniejsze, a chodziło całkiem pewnie na dwu tylko nogach jak Bóstwo Sięgające Nieba, tyle że w odróżnieniu od niego miało na sobie dziwną luźną narzutę zasłaniającą korpus i niemal całe dolne kończyny. Garstnik z niekłamanym żalem wyliczał jego istotne wady budowy, mogące przyczynić się do zbyt łatwego zwycięstwa. Przeciwnik był upośledzony bardziej od czworonogich, to nie ulegało wątpliwości. Nie umiał patrzeć we wszystkich kierunkach naraz, zatem co chwilę musiał się odwracać. Konstrukcja jego stawów także sugerowała duże ograniczenia ruchowe. A słuch? To coś przegapiłoby płasanie swacza! Zajście go od strony zwisających z korpusu wiechci powinno być igraszką.

Istota opuściła jaskinię po krótkim tylko wahaniu, za nią pojawiły się trzy inne, bardzo podobne i niewiele mniejsze. Ta idąca na przedzie musiała być kimś w rodzaju wodza, ponieważ reszta wykonywała jej milczące rozkazy. Wystarczył gest, by drobniejsze nieco istoty ruszyły we wskazanym kierunku, dzierząc w długich i zginających się tylko w jednym miejscu rękach opływowe przedmioty przypominające kształtem Siewcę Gromów. Hen Ra-Yan uprzedził swoje dzieci, że ofiary nie mogą się równać zręcznością ani siłą z żadnym Wojownikiem Kości, lecz dodał, że ich moc tkwi w tych właśnie boskich przedmiotach, którymi mogą razić przeciwników odległych o wiele rzutów włócznią.

Rekne Tare-Roho odczekał jeszcze chwilę. Pozwolił, by wybrana ofiara poczuła się pewniej i odeszła jeszcze dalej od wylotu jaskini, a gdy zastygła na moment, odwrócona do niego wiechciami, wypełził spomiędzy pni i rozpoczął wolne podchody. Istota stała tylko pięć kroków od niego, mógł więc do niej doskoczyć i powalić ją jednym zaskakującym ciosem miazdżera – wiedział

przecież, gdzie uderzać, ponieważ bóg wyjawiał mu każdy sekret przeciwnika. Nie zamierzał jednak korzystać z tak nikczemnego sposobu. Jakiż splendor wynika z pokonania upośledzonego przeciwnika w równie podły sposób? Jaki sens jest w zadaniu mu szybkiej śmierci pozbawionej strachu i cierpienia?

Wojownik Kości zakradł się bezszelestnie za plecy wężącej podejrzliwie istoty, stanął wyprostowany na całą swoją wysokość, uniósł miażdżery do ciosu i zahurgotał. Ofiara najpierw zeszywniała, jakby dopiero teraz wyczuła zagrożenie, następnie zaś obróciła się z zadziwiającą szybkością, wyszarpując krótki lśniący przedmiot ze smukłej pochwy przy pasie. Garstnik nie dał jej szansy na dokończenie tego ruchu. Zagięcie szczęki hrylla wpiło się głęboko w szare przedramię, łamiąc je i rozcinając głęboko. Drugi miażdżer w tym samym momencie sięgnął zewnętrzną, zaostrzoną krawędzią do zwężenia pod wyrastającą z korpusu dziwaczną kulistą wypustką. To tam, zdaniem Bóstwa Sięgającego Chmur, mieściły się receptory najważniejszych zmysłów. Naciął ją więc mniej więcej do połowy grubości. Istota nie zdążyła wydać jednego dźwięku, zanim padła przed oprawcą na kolana, rozczapierzając szeroko oba wiechcie zwane przez Hen Ra-Yana skrzydłami.

Rekne Tare-Roho musiał przyznać, że konając, istota wygląda znacznie bardziej majestatycznie niż jeszcze przed chwilą. Strach przed nieznanym dodał jej splendoru. Cierpienie ją uszlachetniło. Nie miał jednak czasu na sycenie się tymi widokami ani radowanie tryskającą na jego korpus ciepłą posoką. Ominął zaczynające wiotczeć ciało i ruszył ku jaskini, ciesząc się jedną myślą: w głębokich ranach, które otworzył, połyskiwały zapraszająco jasne wielkie kości.

W wejściu do iglastej góry zderzył się z kolejnym skrzydlatym. Obaj wydawali się równie zaskoczeni tym spotkaniem, ale Suhur zawirował szybciej, tnąc tamtego kilkakrotnie w poziomie, najpierw w połowie korpusu, a potem wyżej, aby trzecim pociągnięciem pozbawić go kulistej wypustki. Gdy przestąpił nad ciałem, stając w kałuży czerwonej posoki, dostrzegł w głębi zaciemnionego przejścia dwie kolejne ofiary.

To chyba nie wojownicy, uznał, zwracając uwagę na niezdarność, z jaką istoty wycofywały się w głąb korytarza. Szkoda, pomyślał, przyśpieszając kroku, wolałbym zadowolić Bóstwo Sięgające Nieba bardziej heroicznymi czynami, no ale posoka to posoka, a kość to kość!

# CZTERY

*System Zero, Sektor X,*

*15.05.2355*

Farland wycofał swoje okręty do sąsiedniego, nienazwanego jeszcze systemu, tego, w którym Święcki pozostawił wcześniej *Oumuamua*, zatem jego połączony zespół uderzeniowy mógł wrócić na Zero już po trzech godzinach, jednakże najwyższy admirał nie wydał takiego rozkazu, wiedząc, że musi zapanować nad swoją niecierpliwością i odczekać co najmniej dobę, aby Wojownicy Kości mieli szansę zrealizować zleczone im zadanie. Śledził tylko z zapartym tchem przekazy z Alfą, nadawane z pobliskiego systemu dzięki stacji monitorowania, jednej z dwu, które miały obserwować bazę wroga.

Rutta przez dłuższy czas starał się nakłonić przyjaciela, aby ten nie pozostawił w opuszczanym systemie żadnych urządzeń, ale Farland uparł się – i słusznie. Po pierwsze było to jak najbardziej naturalne zachowanie, które nie powinno zdziwić ma'lahn, a po drugie, dryfujące w odległości ponad pół godziny świetlnej sondy nie mogły nijak zagrozić istotom znajdującym się na powierzchni planety. Ich obecność nie miała prawa wpłynąć na rozwój wypadków, a możliwość obserwacji wydarzeń, nawet z tak dużego dystansu, wydawała się w tym wypadku nieoceniona.

Najwyższy admirał pojawił się na mostku *Odyna* chwilę po tym, jak wachtowi zameldowali, że kompleks *Obcych* znalazł się po drugiej stronie terminatora Alfą, i nie opuścił stanowiska dowodzenia, dopóki nie zobaczył na własne oczy

pierścienia wybuchów wokół centralnej iglicy.

– Profesorze Rawlings! – zawołał moment później, łącząc się z mostkiem *Oumuamua*. – Proszę zabrać nas na Zero. Możliwie najbliżej Alfy.

– Spróbujemy, najwyższy admirale.

Farland skrzywił się z niesmakiem. Cywile... Nie dość, że nie umieją albo nie chcą odpowiadać zgodnie z regulaminem, to jeszcze ta niepewność bijąca z ich głosów. Zmilczał ten nietakt, ponieważ wiedział, że w wypadku naukowców upomnieniami niczego nie wskóra, a bez ich pomocy nie miał przecież najmniejszych szans na wykonanie precyzyjnego skoku zeroczasoprzestrzennego.

Rawlings miał łeb nie od parady i lubił ryzyko, co nie było chyba zbyt częste wśród członków pionu naukowego. Metodą prób i błędów udało mu się rozgryźć kilka kolejnych przydatnych funkcji transportowca Obcych, dzięki czemu *Oumuamua* mógł podjąć oba eskadrowce i towarzyszące im jednostki tuż po tym, jak pojawiły się w normalnej przestrzeni. Połączone zespoły uderzeniowe szybowały teraz w przestrzeni okołogwiezdnej, przypominając z daleka jedną ze starożytnych stacji orbitalnych, które ludzkość wynosiła w kosmos na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego stulecia. Prawie sześciokilometrowe rdzeniowce zostały przycumowane czaszami do przeciwległych burt prostopadłościanu transportowca Obcych, niczym rozłożyste panele słoneczne dawnych konstrukcji. Pancerniki, krążowniki, korwety i centra łączności sterczały z pozostałych ścian obracającego się bardzo powoli *Oumuamua*, tak samo jak ich człony załogowe i laboratoria.

Admirał nie zważał jednak na takie szczegóły. Dla niego ważne było jedno – że kanciasty transportowiec przeniesie na Zero wszystkie ocalałe okręty równocześnie, i to w czasie rzeczywistym.

Gwiazdy w oknach wyświetlacza zmieniły położenie. Zamiast różowopomarańczowego marmuru gazowego giganta pośrodku przestrzeni widać było teraz bardzo odległą, przedzieloną linią dnia i nocy planetę tlenową.

– To według was jest najbliżej jak się da? – warknął najwyższy admirał,

otwierając raz jeszcze połączenie ze sterownią transportowca Obcych.

– Z całym szacunkiem, najwyższy admirał, ale te mechanizmy naprowadzania nie działają w taki sposób jak nasze optymalizery skoków podprzestrzennych. Widział pan holomapę Obcych? No właśnie. Wiemy, jak wybrać właściwą gwiazdę, ale nie mamy bladego pojęcia, co znaczy to białe pole, które ją otacza, i dlaczego wskazanie tego samego punktu prowadzi nas za każdym razem w inne miejsce systemu.

– Za każdym razem? – Farland wyłowił zastanawiające go stwierdzenie.

– Tak, za każdym razem – odparł niezrażony profesor. – Sprawdziliśmy to po wyekspediowaniu na Zero *Miecza*. Wykonaliśmy całą serię powtórnych skoków na Xana 4 i z powrotem. Tu chodzi o jakiś dodatkowy czynnik, którego nie umiemy jeszcze zlokalizować czy też zrozumieć, ale zapewniam pana, że pracujemy nad tym problemem nieustannie.

– Czy to znaczy, że możecie powtórzyć tę sekwencję skoku z lepszym skutkiem? – zapytał najwyższy admirał po chwili namysłu.

– Chodzi panu o skok do tamtego systemu i kolejny powrót na Zero?

– Tak.

– Możemy tak skakać do końca świata, jeśli pan sobie zażyczy.

– Wystarczą mi ze trzy próby – zgasił go Farland. – Albo jedna, jeśli od razu trafimy lepiej.

Zanim skończył mówić, gwiazdy znów zmieniły położenie, i to dwukrotnie. Tym razem Alfa zajmowała ponad połowę ekranów.

– Tak jest dobrze! – ucieszył się Farland, odczytując pomiary. – Rozpocząć procedury odłączenia!

Znajdowali się niespełna dwadzieścia minut lotu od kompleksu ma'lahn, a od rozpoczęcia ataku Suhurów minęła prawie godzina – stacja monitorująca strefę skoku przekazywała obraz spóźniony o niemal czterdzieści pięć minut – zatem operacja naziemna powinna dobiegać końca. Farland poczuł lekkie szarpnięcie, kiedy Rawlings zwolnił pęta, jak nazywał mechanizmy dokujące *Oumuamua*. Rdzeniowce, pancerniki, krążowniki i transportowiec Święckiego oderwały się

od kanciastego rdzenia. Centra łączności i korwety zwiadu pozostawiono na *Oumuamua*. Ustawienie zespołu uderzeniowego w zwartym szyku zajęło kolejne piętnaście minut, lecz to nie miało w tej chwili większego znaczenia. Przebywający w kompleksie Obcy musieli już zauważyć powrót floty, ale na razie – jak widać – nie zareagowali...

Mrok wokół strzelistych wież bazy ma'lahn rozjaśniła nie do końca spodziewana aktywacja opalizujących kopuł, ale tym razem były one pełne dziur, a co więcej, blask falujących osłon energetycznych w jednych miejscach oślepiał, w innych natomiast był ledwie widoczny. Po kilku sekundach na powierzchni planety doszło do serii kolejnych eksplozji, po których znów zapadły ciemności.

– Cudnie – mruknął zadowolony Farland.

– Najwyższy admirale. – W oknie nad konsolą pojawił się Święcki.

– Generale majorze.

– Czy mogę liczyć na wywiązanie się z umowy?

– Obraża mnie pan tym pytaniem! – rzucił rozeźlony dowódca zespołu uderzeniowego.

– Przepraszam, najwyższy admirale. Nie chciałem pana obrazić, ale...

– Macie pełną godzinę na zebranie tych cudaków, potem wkraczamy do akcji.

– Dziękuję, najwyższy admirale. – Henryan zasalutował i rozłączył się błyskawicznie, jednakże na jego miejscu natychmiast pojawił się Rutta.

– Zauważyłeś, jak bardzo się zmienił? – zapytał.

– Kto? Nasz bohater?

– Tak. Nie poznaję go ostatnimi czasy. Zwłaszcza od powrotu z Xana 4. Wydaje się taki... przygaszony.

Farland wzruszył ramionami.

– Dopóki miewa takie pomysły jak ten ze sprowadzeniem Suhurów, nie przeszkadza mi to.

– Mówię poważnie. Coś jest nie tak. Znam tego chłopaka, pracuję z nim od wielu miesięcy. Tam musiało się coś wydarzyć.



– Godbless zniechęciłaby do życia największego optymistę świata – zbył przyjaciela ponownie najwyższy admirał.

– To prawda, ale... Proszę, nie trywializuj tej sprawy. Świącki to jeden z naszych największych atutów. Wolałbym nie tracić takich ludzi przez twoje urojenia.

Farland przestał się uśmiechać. Jeśli Rutta widział powody do obaw, to coś musiało być na rzeczy.

– Co mam według ciebie zrobić? – zapytał.

– Na początek odpuść mu choć trochę. Przynajmniej do czasu, aż wybadam sprawę. On naprawdę nie stanowi dla nas zagrożenia.

– Skoro tak mówisz... Zgoda, odpuszczę mu – obiecał najwyższy admirał, kończąc tę rozmowę.

Obawa przed wykorzystaniem Świąckiego przez polityków zeszła ostatnio na dalszy plan. Obecnie miał tyle atutów w dłoniach, że przestał się bać Modo i jej przydupasów. Co więcej, zamierzał nieźle namieszać, zaskakując domniemanych wrogów.

Zanim jednak będę mógł to zrobić, pomyślał, trzeba zakończyć bitwę o Zero. Na szczęście – sądząc po napływających wciąż raportach – powinna to być tylko formalność.

Sprawdził najnowsze meldunki. *Miecz* ruszył już pełnym ciągiem w kierunku Alfy, by zebrać rozproszonych Wojowników Kości i ewakuować ich z kompleksu przed przybyciem głównych sił, jak to zostało ustalone podczas planowania ataku. Najwyższy admirał dysponował więc co najmniej godziną na przemyślenie sytuacji i dalszych działań. A miał sporo do rozważenia, ponieważ od ostatniej rozmowy z Modo dużo się zmieniło. Pani kanclerz chwilowo przestała na niego naciskać, ale tylko dlatego, że zaprzętały ją inne, bardziej palące problemy. Ogłoszenie oficjalnego zakończenia wojny wymagało od niej znacznie większego zaangażowania politycznego niż wystąpienie przed parlamentem. Rutta twierdził nawet, że następnego kontaktu z Ziemią powinni się spodziewać nie prędzej niż kolejnego standardowego dnia rano, czyli długo

po tym, jak Farland skończy realizować własne plany.

Chciałbym zobaczyć minę tej suki, gdy wreszcie zrozumie, co udało nam się osiągnąć, pomyślał, przebiegając wzrokiem treść najnowszych raportów.

\* \* \*

Wahadłowce *Miecza* wylądowały w umówionych punktach ewakuacyjnych nieco później, niż było to umówione. Ma'lahn stracili osłony, ale wciąż próbowali bronić dostępu do swojej bazy. Rzucili na perymetr wszystko, czym dysponowali, czyli setki platform bombardujących i dziesiątki innych pojazdów, lecz żaden z nich ani wszystkie pospołu nie mogły się równać potędze pancerników czy nawet mniejszych okrętów wojennych Federacji. Farland, zidentyfikowawszy zagrożenie, wysłał na niższą orbitę *Odyna* i *Thora*, osłaniając je wszystkimi ocalonymi krążownikami.

Obcy zbyt późno pojęli, że zatrzymanie swoich jednostek w obrębie dolnych warstw atmosfery to kolosalny błąd. Flota unicestwiła je z zadziwiającą precyzją, jeden po drugim, w zaledwie dwuminutowym starciu, a gdy tylko droga na Alfę stanęła otworem, z pokładu *Miecza* wystartowało dziesięć maszyn. Każda z nich miała podebrać z powierzchni siedmiu Wojowników Kości. To był jedyny sposób na szybką ich ewakuację, tym bardziej że czas dany przez Farlanda właśnie dobiegał końca.

– Najwyższy admirale. – Święcki połączył się raz jeszcze z mostkiem *Odyna*.  
– Mamy niewielkie opóźnienie związane z koniecznością likwidacji ostatnich gniazd oporu wroga...

– Ile czasu potrzebujecie na zakończenie ewakuacji? – Farland bezceremonialnie wpadł mu w słowo.

– Co najmniej piętnaście minut – wykrztusił Henryan przez ściśnięte gardło.

Najwyższy admirał zmierzył go ostrym spojrzeniem.

Święcki zdawał sobie sprawę, że prosi o rzecz prawie niemożliwą. Dowódca floty palił się do wysłania oddziałów na Alfę, by nareszcie przejąć tak długo

obleganą siedzibę ma'lahn i zakończyć tę cholerną wojnę. Rutta wspomniał jakiś czas temu o rosnących naciskach ze strony Rady i ich powodach, dlatego Henryan nie był zaskoczony, gdy na Xanie 4 usłyszał o ogłoszeniu przez Modo oficjalnego końca wojny, mimo że status bazy na Alfie pozostawał niewyjaśniony. Właśnie dlatego był niemal pewien, że usłyszy stanowczą odmowę, ale musiał przynajmniej spróbować.

Jemu także zależało na jak najszybszym powrocie z tej odległej gromady kulistej, ponieważ prywatna wojna, którą toczył z politykami, powoli dobiegała końca. Fakt przyznania się Modo do zabicia jego ojca, w takich okolicznościach i na takim luzie, wstrząsnął nim do głębi. Gdyby znalazł się wtedy, a nawet teraz w jednym pomieszczeniu z tą...

– Słucham? – Wzdrygnął się, kiedy zrozumiał, że w zamyśleniu nie dosłyszał odpowiedzi przełożonego.

– Wkroczymy, jak tylko dacie nam sygnał – powtórzył spokojnie Farland. – Tylko się tam sprężajcie!

– Tak jest! – Zaskoczony Świącki zsalutował, po czym wziął kilka głębszych oddechów, by się uspokoić i otrząsnąć z myśli o pani kanclerz.

Wahadłowce z podniesionymi osłonami wchodziły właśnie w górne warstwy atmosfery, wykonując losowo generowane uniki, ale na razie w ich kierunku nie pomknął żaden pocisk. Wcześniejsze skany kompleksu ma'lahn sugerowały, że nie ma tam instalacji obronnych – oczywiście prócz potężnych pól siłowych – jednakże Świącki podchodził do tych rewelacji ze sporą rezerwą. Nie widział jeszcze bazy, której by mocno nie ufortyfikowano, zwłaszcza gdy mieściło się w niej centrum dowodzenia tak wielką operacją.

Czas jednak mijał, a wróg nie otwierał ognia. Nieniepokozone wahadłowce dotarły do punktów ewakuacyjnych i zawisły tuż nad ziemią, nie opuszczając górnych osłon. Henryan wodził wzrokiem po wszystkich oknach wyświetlaczy ukazujących widoki z holokamer zamontowanych na kanciastych kadłubach.

Są!

Kolejne przekazy wychwytywały wycofujących się Suhurów. Nigdzie jednak

nie widział siedmiu charakterystycznych trójnogich postaci naraz. Skrzywił się na myśl o stratach, ale byłby skończonym głupcem, gdyby wierzył, że ci prymitywni wojownicy bez trudu rozgromią armię istot, które przed setkami milionów stworzyły człowieka. Admiralicja liczyła wyłącznie na uszkodzenie części emiterów pola i w efekcie osłabienie osłon do tego stopnia, by flota mogła je przeciążyć, dając dywizjom zmechanizowanym możliwość przeprowadzenia ostatecznego szturmu. Tymczasem Suhurowie zaskoczyli wszystkich efektywnością. Zamiast części wysadzili niemal wszystkie emiterzy, uszkadzając je tak, że ponowna próba podniesienia pola doprowadziła do katastrofalnej awarii całego systemu. Co więcej, udało im się zapolować na skrzydlatych, i to na tyle skutecznie, że wracający po nich ludzie praktycznie nie napotkali zorganizowanego oporu – platformy bombardujące zostały przecież wysłane na perymetr zaraz po eksplozjach, zanim rozpoczęły się łowy.

Trzydziestu ośmiu Wojowników Kości zasiadło w przedziałach osobowych oczekujących wahadłowców. Każdy z nich był zakrwawiony od stóp po szczyt obłego korpusu. Wielu dźwigało odrażające łupy, którymi były części ciał skrzydlatych najeźdźców zawierające co większe kości. Święcki przemówił do nich, okazując wielkie zadowolenie z udanych łowów, lecz nie wspominając ani słowem o tych, którzy nie wrócili. Jako w chudą dupę kopany niszczyciel światów nie mógł wyjść w oczach wyznawców na mazgaja, a tylko ktoś taki wzruszałby się losem tych, którzy okazali się zbyt słabi, by pokonać wroga i przeżyć. Zwycięzcom obiecał też kolejną nagrodę, jaką miała być ta planeta. Wyjaśnił, że za parę chwil zostaną wysadzeni na terytoriach będących zaczątkiem nowego świata, na który w pełni zasłużyli.

Wojownicy Kości przyjęli te wieści z naturalnym dla nich spokojem, nie przerywając nawet na moment oprawiania zdobytych trofeów. Te istoty były bardzo prymitywne, a przez to bezwzględne i okrutne jak sama natura, ale wielu ludzi mogłoby się od nich uczyć takich pojęć jak honor czy wzajemny szacunek.

\* \* \*

Farland wrócił na mostek po niespełna dwugodzinnym wypadzie na Alfę. Siadając ponownie we własnym fotelu, miał mieszane uczucia. Z jednej strony cieszyło go, że żaden ma'lahn nie przeżył ataku Suhurów, z drugiej był zawiedziony, że ludziom pozostało tylko sprzątanie ciał. Wzięcie jeńców mogłoby dać odpowiedzi na wiele pytań, które nauka i wydział chciałyby zadać Obcym. Począwszy od historii rodzaju ludzkiego, przez życie w kosmosie, które – o czym sam był święcie przekonany – musiało kwitnąć od milionów, jeśli nie miliardów lat, po receptę na nieśmiertelność. On sam dużo by dał za wyjaśnienie kwestii, dlaczego ludzkość nie odebrała po dziś dzień ani jednego sygnału od innej zaawansowanej cywilizacji, mimo że sama zdołała skolonizować mrowie planet na liczącym ponad pięć tysięcy lat świetlnych odcinku Ramienia Oriona.

Wyjaśnień dostarczonych przez Stachursky'ego nie przyjmował na razie za pewnik, choć nie odrzucał ich też całkowicie. Ma'lahn traktowali ludzi jak bydło, dlatego więc jeden z nich miałby wykazać się pełną szczerością w kontaktach z pogardzanym podrzędnym gatunkiem? Można to było tłumaczyć okolicznościami, ale chyba nie do końca...

Na szczęście podwładni Rawlingsa mało się nie posikali z radości, gdy pozwolił im wejść do głównej części kompleksu. Po tej krótkiej wizycie zapewniali go, że nienaruszone urządzenia Obcych mogą stać się Świętym Graalem nauki i że być może uda się z nich wydobyć więcej tajemnic niż z żywych przedstawicieli skrzydlatej rasy. A i zebrane ciała, choć żadne nie było kompletne, także mogą popchnąć medycynę na zupełnie nowe tory, zapewniając przyszłym pokoleniom ludzi podobną długowieczność, a nawet względną nieśmiertelność.

Farland słuchał zapewnień jajogłowych, potakując co chwilę, aczkolwiek znacznie bardziej od ich paplaniny interesowała go surowa architektura kompleksu ma'lahn. Przechodząc przez pokryte kałużami zaschniętej krwi korytarze, z których dopiero co usunięto ciała zaszlachtowanych Obcych, czuł ciarki, ale wcale nie na myśl o stoczony tu walce i wszechobecnej śmierci.

Grozę budziły w nim same ściany, kształty z pozoru znajome, a jednak tak obce jak to tylko możliwe. Technogotyck, takim terminem posłużył się któryś historyk. Strzelistość i epickość w najprostszej geometrycznej formie. Brak jakichkolwiek ozdób, jakby istoty, które wznosiły te mury, nie znały pojęć piękna czy choćby estetyki. Jakby liczyła się dla nich wyłącznie funkcjonalność. Z drugiej strony najwyższy admirał dostrzegał w tych budowlach nieuchwytną głębszą harmonię, coś, co umykało człowiekowi przy pierwszym wejrzeniu, ale zostawało w sercu i duszy i zmuszało do refleksji, do nieco wnikliwszej analizy, ostatecznie wymykając się próbom zrozumienia.

Właśnie dlatego skrócił pobyt na Alfie, pozostawiając jej tajemnice naukowcom i ekipom technicznym. Właśnie dlatego wrócił prosto na pokład *Odyna*.

Nie, to nie do końca prawda. Miał jeszcze jeden ważny powód do przedwczesnej rejterady. Uznał, że nadeszła pora na rozmówienie się z Ziemią. Przygotowania do tej konfrontacji zakończono w czasie, gdy wizytował zdobyty kompleks, mógł więc zaczynać w dowolnej chwili.

– Nadajcie sygnał wywoławczy do siedziby Rady – polecił. – Chcę mówić z panią kanclerz. Natychmiast.

– Najwyższy admirale... – Wachtowy popatrzył na niego z niepokojem. – Teraz jest środek nocy.

– Wiem. Mimo to łączcie.

– Tak jest.

Tak chciała tego sukcesu, niech więc go skonsumuje na świeżo, zaśmiał się do własnych myśli.

– Profesorze – czekając na połączenie z Ziemią, otworzył nowy kanał.

– Najwyższy admirale.

– Pańscy ludzie są gotowi?

– Oczywiście.

– W takim razie niech czekają na mój znak.

Chwila przerwy i...

- Franciscollin?
- Jesteśmy zwarci i gotowi.
- Świetnie.

Sprawdził raz jeszcze, czy nie zasłania widocznej w tle Alfę, poprawił zbyt wystającą fałdkę na idealnie leżącym mundurze.

- Mamy odpowiedź z Ziemi – zameldował wciąż przestraszony wachtowy.
- Doskonale. Zaczynamy, jak tylko aktywują łącze kwantowe.

Sprawiła mu olbrzymi zawód. Nie wyglądała na wyrwaną ze snu; była wprawdzie zmęczona, widział to po oczach, ale makijaż miała jak zwykle nienaganny, a jej wytworna suknia sugerowała, że nie zamierzała jeszcze się kłaść.

– Przynosi pan dobre wiadomości, najwyższy admirał? – zapytała wprost, zanim zdążył otworzyć usta.

– Owszem, właśnie przełamaliśmy opór wroga. Kompleks na Alfie został przejęty bez strat własnych. Infrastruktura ma'lahn pozostała nienaruszona. Obecnie zabezpieczamy wszystko, czym dysponowali.

- Cudownie. – Uśmiechnęła się, zbyt chłodno jak na jego gust. – Poddali się?
- Niestety nie. – W tym momencie zrozumiał, że Modo nie wie jeszcze o planie Święckiego.

– Może to i dobrze – stwierdziła po chwili zastanowienia. – Unikniemy wielu trudnych pytań. Kiedy mogę spodziewać się pełnego raportu?

- Będzie gotowy za kilka godzin.
- Dobrze. Wielka szkoda, że nie będzie pan mógł wziąć udziału w przygotowywanych właśnie uroczystościach.

– Planujecie jakąś większą fetę? – zapytał, udając zainteresowanie.

– Tak. Wczoraj wydałam oficjalny komunikat o zakończeniu wojny, który... dzięki pańskim wysiłkom... przestał być kłamstwem, pozostało nam więc tylko jedno: organizacja uroczystości upamiętniającej ofiary. Sekretarz pionu kultury uważa, że skoro nie mamy szans na urządzenie marszu tryumfalnego, powinniśmy ogłosić zwołanie zgromadzenia pięciu stanów.

Zaskoczyła go tą deklaracją.

– Chce pani zwołać zgromadzenie?

Do tej pory uczyniono to tylko dwukrotnie – po powołaniu do życia Federacji i po zakończeniu wojny domowej. Ta okazja była oczywiście równie dobra, jeśli nawet nie lepsza – i idealnie pasowała do jego planu.

– Moim zdaniem to świetny pomysł – odparła. – Ta uroczystość musi mieć godną oprawę.

– W takim razie nie może mnie na niej zabraknąć – rzucił z pewnym siebie uśmiechem.

– Przykro mi, ale nie możemy opóźnić tak ważnej uroczystości aż o kilka tygodni.

– Nie musicie niczego opóźniać – zapewnił ją, uśmiechając się szerzej.

Jego opuszka musnęła klawisz komunikatora. Minimalny ruch poza polem widzenia holokamery, którego nie mogła dostrzec.

Gwiazdy zmieniły położenie. Zamiast Alfy miał teraz za plecami torusowaty korpus sztabu trzeciego metasektora. Rutta, którego widział na jednym z ekranów przed sobą, uniósł palec w znaczącym geście. Sygnał z *Odyna* został przejęty i przekierowany na Ziemię.

Modo zauważyła zmianę, choć nie od razu, ponieważ towarzyszyły jej krótkie zakłócenia.

– To... – Widać było, że się zdziwiła, ale co ciekawe, wyglądała też na przestraszoną.

– Tak, pani kanclerz. Udało nam się przejąć transportowiec *Obcych*, a nasi naukowcy rozgryźli już system sterowania. Zacząłem rozmowę w Systemie Zero, a kończę ją z Anzio.

– Nie... samowite – sapnęła, z trudem biorąc się w garść. Pokręciła głową i powtórzyła: – Niesamowite. Wygląda na to, że rzeczywiście nie może pana zabraknąć na zgromadzeniu. Zapewniam, że poczynię stosowne przygotowania.

Farland nie wiedział dlaczego, ale ostatnie słowa pani kanclerz zabrzmiały w jego uszach złowieszczo.



# PIĘĆ

*Układ Słoneczny, Sektor Alfa,  
18.05.2355*

– Jesteś tego pewna? – zapytał Benadetto, zerkając przez okno grawiolotu na widoczną w oddali arenę będącą równocześnie obeliskiem ku czci ofiar ostatniej wojny, jaka spustoszyła Ziemię.

Trzy wieki wcześniej w tym właśnie miejscu znajdowała się jedna z najważniejszych budowli na całej planecie będącej kolebką ludzkości. Nie była zbyt piękna, nie oszałamiała także rozmachem, ale to w jej ciasnych wnętrzach zdecydowano o losach państw, a nawet całych kontynentów. Pięciboczny kompleks kilkupiętrowych budynków, zwany Pentagonem, był sercem i mózgiem najpotężniejszej podówczas armii, której potencjał bojowy pozwalał na błyskawiczne i wielokrotne unicestwienie życia na całym globie. Problem w tym, że wrogowie mocarstwa, do którego należały te siły, niewiele mu ustępowali, przynajmniej na polu zbrojeń, zatem gdy doszło w końcu do nieuniknionego konfliktu, miejsce to, podobnie jak leżąca opodal stolica kraju, zostało wypalone nuklearnym ogniem.

Kilka dekad później, kiedy Ziemia podniosła się wreszcie z kolan głównie dzięki pomocy płynącej z kolonii wewnątrzsystemowych, nad skażonym wciąż kraterem i otaczającymi go poczerniałymi kikutami ścian wzniesiono gigantyczny sarkofag, po części odlany z żelazobetonu, a po części skonstruowany z pól siłowych. Projektodawcy nadali powstającemu

monumentowi kształt bryły geometrycznej, od której wzięła się wcześniejsza nazwa tego miejsca. Na początku dwudziestego drugiego wieku przetrzebione narody zamieszkujące pięć stref wpływów, które powstały po wojnie, zawarły nowe, dalej idące przymierze kończące raz na zawsze – a przynajmniej na ponad stulecie – podziały oparte na narodowości czy kolorze skóry, i tak niemające już sensu. Z tygła zmian wyłonił się bowiem nowy porządek, oparty na zupełnie innych, bardziej uniwersalnych wartościach. Wieczna Zima Ludów, jak nazwano masowy exodus na mniej skażone tereny, doprowadził do takiego wymieszania narodowości i ras, że podpisane traktaty były niczym więcej niż prawnym uznaniem zachodzących zmian.

Pentagon miał przypominać tym, którzy przetrwali w Triumwiracie Meusca, Afrosji, Chiranie, Australindiach i Stanach Zjednoczonych Ameryki Południowej, jak niewiele brakowało, by nie tylko sen o podboju gwiazd pozostał niespełnioną mrzonką ludzkości. Wokół głębokiej na prawie siedemdziesiąt metrów centralnej studni, na której dnie, pod grubą warstwą powstrzymującego promieniowanie pola siłowego, znajdowały się ostatnie pamiątki atomowego konfliktu, wzniesiono trybuny amfiteatru. Każdą z jego identycznych naw, mogących pomieścić nawet do pięciu tysięcy osób, oddano jednemu z nowych mocarstw, aby podkreślić równość budowniczych nowego porządku świata.

Kilka lat później zjednoczona ludzkość naprawdę sięgnęła gwiazd. Po dziesiątkach tysięcy wysłanych w nieznane Pielgrzymów do sąsiadujących z Układem Słonecznym systemów ruszyły miliony kolonistów, które dotarły po liczonym w standardowych dobach locie do miejsc nieosiągalnych dla poprzednich pokoleń. Z dwu zamieszkanymi planet i trzech baz satelitarnych zrobiło się nagle sto, dwieście, pięćset tętniących życiem ośrodków, ale to Ziemia pozostała już na zawsze symboliczną stolicą rozrastającego się imperium człowieka. Wyludniona, lecz nie porzucona na pastwę losu, zamieniała się powoli w dostępny tylko nielicznym rajski ogród, siedzibę najwyższych ośrodków władzy nad sporym i wciąż rozrastającym się wycinkiem Galaktyki.

W erze ekspansji stare podziały ostatecznie utraciły sens, tak więc nawy Amfiteatru Zjednoczenia przydzielono nowym właścicielom. Tym razem były to stany czy też kasty społeczne: pierwszą z nich, nazwijmy ją podstawą pięciokątą, zajęła aktualnie rządząca frakcja, po jej prawicy zasiedli politycy opozycji i ich akolici, po lewicy zarezerwowano miejsce dla ekwitów, czyli obecnej arystokracji. Czwarta nawa, zwana lożą floty, należała do służb mundurowych. Piąta... Cóż, po raz pierwszy w dziejach obok wybrańców mieli zasiąść przedstawiciele federacyjnego plebsu, najzwyczajni urzędnicy, ludzie zajmujący się tym, by machina rządowej planety była zawsze dobrze naoliwiona i gotowa do działania. Dokonano tej historycznej zmiany, ponieważ śmietanka korporacjonistów, to znaczy poprzedni dysponenci ostatniej nawy amfiteatru stali się niedawno wrogami publicznymi i jako tacy nie zasługiwali dłużej na taki zaszczyt.

– Dzisiaj albo nigdy – odparła z przymkniętymi oczami, siedząc sztywno, by automed, do którego była podłączona wszczepem, mógł zakończyć operację.

Zaryzykowała podkreślenie kilku funkcji do poziomu wykraczającego lekko poza granicę normy, by tego dnia mieć przewagę nad każdym, kto spróbuje stanąć jej na drodze. Zdawała sobie sprawę z wysokości ceny, jaką przyjdzie jej zapłacić, jeśli przeciągnie ten stan choćby o godzinę, ale nie po to z tak wielką dokładnością przemyślała każdy etap swojego planu, żeby coś miało się nie udać albo opóźnić.

– Niby tak, ale... – zaczął Benadetto i zamilkł, przenosząc wzrok na znacznie już bliższe, wypełnione barwnym tłumem trybuny.

– Nie ma żadnego ale, mój drogi. – Modo odetchnęła z ulgą, gdy igła urządzenia wysunęła się z gniazda na jej karku. W jej oczach, gdy spojrzała na Giancarlouisa, tlił się piekielny żar. Wyglądała w tym momencie jak drapieżnik wpatrujący się w nieświadomą zagrożenia ofiarę. – Sam pomyśl. Mamy ich wszystkich w tym samym miejscu. Wszystkich co do jednego. Nawet ta kanalia Farland pojawi się na trybunach, nie mówiąc o Święckim, co już jest prawdziwym zrzędzeniem losu.

– O! – zdziwił się. – Dopiero co klęśłeś jak szewc, że twój najwyższy admirał wymknął się z pułapki.

– Klęłam tylko dlatego, że nie poukładałam sobie wszystkiego do końca – odparła, sięgając do zawieszki grawitacyjnej podtrzymującej jej kieliszek. – Zrozum coś wreszcie. Czas działa na naszą niekorzyść. Oficjalne zakończenie wojny wytrąciło broń z ręki Nboty, ale na jak długo? Za tydzień zaczną podchody od nowa. Nikt nam nie zagwarantuje, że ta przebiegła gnida nie domyśli się czegoś po którymś z kolei zaaranżowanym wypadku. Ta uroczystość to idealna okazja. Niepowtarzalna. Zadbałam o to, by na trybunach zasiadł każdy, kto może nam zaszkodzić bądź przeszkodzić. Sam zobaczysz, za trzy godziny staniesz na dymiących ruinach Federacji, by ogłosić nastanie nowego porządku. Za trzy godziny, nie trzy miesiące, jak planowaliśmy! – Stuknęli się kryształowymi naczyniami przed ostatnim łykiem liczącego niemal cztery stulecia wina, które trafiło do beczek na rok przed tym, nim pierwszy człowiek postawił nogę na Księżycu.

– Oby... – mruknął przyszyły cesarz, rozkoszując się widokiem gwardzistów otaczających rządowe ładowisko.

Jesteśmy ostatni... albo prawie ostatni, poprawił się w myślach, zauważając trzecie wolne miejsce.

– Kaupa jeszcze nie ma? – Modo także dostrzegła brak grawiolotu sekretarza obrony. – Mogłeś mu odpuścić choć ten jeden raz – posłała Giancarlouisowi ostre spojrzenie.

– Nie mogłem – wyjaśnił, szykując się do wyjścia – właśnie dlatego, że to koniec.

Zablokował dostawę czternastu ostatnich reaktorów, na dwa dni tylko, ale nawet tak niewielka obsuwa sprawiła, że Kaup stracił możliwość obwieszczenia światu na najważniejszej dla Federacji uroczystości, że ukończył tarczę chroniącą Ziemię. To miało być ostateczne upokorzenie tego cienkokościstego zewnętrznika. Bolesny cios przed finalnym strąceniem w niebyt. Pozbawienie kogoś życia wydaje się takie trywialne przy możliwości odebrania mu

największego marzenia, i to dosłownie na moment przed tym, jak je zrealizuje.

Modo sprawdziła najświeższe wpisy na komunikatorze.

– Mamy szczęście – rzuciła wyraźnie rozluźniona. – Jest tuż za nami. Leci prosto z Księżyca, gdzie przez minioną dobę próbował zmienić rozstawienie tego, czym dysponuje, by odpalić tę tarczę pomimo twojej obstrukcji.

– Próbował, próbował, ale mu się nie udało – podsumował bardzo z siebie zadowolony Benadetto.

– Jaka szkoda – zakpiła, dzieląc jego rozbawienie.

– Może nie jestem aż tak podstępny jak ty, moja droga, ale liczyć umiem – dodał skarbnik. – Przyblokowałem go w ostatnim możliwym momencie.

– To mi się w tobie najbardziej podoba – wyznała całkiem szczerze. – Ta nieludzka wręcz precyzja. Niech wydarzenia dzisiejszego dnia będą hołdem dla boskiego cesarza i mojego przyszłego małżonka.

– Wejźmy na tę arenę jako przedstawiciele Federacji – rzucił, prostując się dumnie przed drzwiami pojazdu, za którymi czekał na nich szpaler czarnych i tłumy reporterów. – Opuśćmy ją jako władcy najpotężniejszego imperium, jakim kiedykolwiek władał człowiek.

\* \* \*

Idealnie błękitne niebo, lekki orzeźwiający wietrzyk, dzięki któremu żar wyjątkowo ciepłego jak na maj popołudnia nie był aż tak męczący. Modo wkraczała na jeden z pięciu prawie niewidzialnych pomostów, które prowadziły do wiszących nad centralną studnią mównic, witana brawami z odleglejszych sektorów, a także owacjami na stojąco czterech tysięcy sympatyków i niemal tylu samo żołnierzy. Te sto metrów przepaści pod jej stopami, przepaści, na której dnie wciąż tliła się zabójcza moc będąca przyczyną unicestwienia niemal czterech miliardów ludzi, miało onieśmielać i uczyć pokory przyszłych władców, ale na Modo nie robiło większego wrażenia, mimo że kroczyła nad radioaktywnym wciąż kraterem po raz pierwszy w życiu. Jej myśli zaprzętało to,

co miało się wydarzyć tuż obok dosłownie za chwilę.

Zerknęła w kierunku nawy rządowej. Rozwścieczony Kaup przełykał właśnie kolejne upokorzenie. Przydzielono mu miejsce na samym końcu pierwszego rzędu łóż członków Rady. Oficjalnym powodem tej degradacji był fakt, że pochodzący z Terytoriów Zewnętrznych polityk przybył na tę uroczystość w pojedynkę, a główne loże mogły pomieścić nawet do dwudziestu czterech osób. Przy takiej frekwencji, jakiej się spodziewano, nietrudno było zaaranżować całkiem logiczne dla każdego postronnego obserwatora zesłanie. On sam jednak musiał doskonale wiedzieć, co znaczy ten gest. Po odebraniu mu niewątpliwego splendoru, jakim byłaby możliwość ogłoszenia, że prace nad broniącym dostępu do Ziemi polem siłowym dobiegły właśnie końca, sekretarz obrony nie znajdzie się nawet w obiektywach holokamer rejestrujących przebieg uroczystości.

Modo uśmiechnęła się pod nosem. Głupiec dał się wykorzystywać do samiuśkiego końca, łasił się do niej jak... pies? Nie była pewna, czy nazwa tego pospolitego niegdyś zwierzęcia domowego tak właśnie brzmiała czy może jakoś podobnie. Nieważne. Jeszcze kilka dni temu pozwalała Kaupowi myśleć, że będzie jednym z główniejszych aktorów tego dramatu, była więc pewna, iż dzisiejszy afront jest dla niego ogromnym szokiem. Na szczęście, dla niego rzecz jasna, nie będzie cierpieł dłużej niż pozostałe robactwo.

Dotarła do zawieszanej nad przepaścią mównicy kilka sekund przed resztą głównych bohaterów wyreżyserowanego przez nią dramatu. Zatrzymała się, pewnie spoglądając w przyszłość. Znała na pamięć prawdziwy program tej gali. Zanim jednak dojdzie do mrozącego krew finału, trzeba dać ludziom to, na co od tak dawna czekali, nawet jeśli będą to tylko przeraźliwie nudne jasełka.

Flotę reprezentował stworzony przez nią bohater Federacji, który miał przemówić pierwszy. Po nim głos zabierze przedstawiciel opozycji, nie kto inny, jak szacowny senior Danielias Nbotó. Krótkie spicze przedstawicieli ekwitów i ludu będą tylko formalnością, potem zaś nadejdzie jej kolej – tyle że zanim dotrze do końca podniosłego wystąpienia, wydarzy się coś, co zmieni historię

cywilizacji, popychając ludzkość na zupełnie nowe tory. Patrząc na szykujących się do wystąpień mężczyzn, odetchnęła z niekłamaną ulgą. Długie miesiące knucia były tak wyczerpujące, że na samą myśl o kolejnych tygodniach spiskowania czuła wstręt. Rozwiązanie, które znalazła tak niespodziewanie dla siebie samej, w chwili naprawdę czarnej rozpacz, było genialne! Gdyby ktoś kiedyś mógł poznać całą prawdę o tym dniu, zapewne stworzyłby wychwalający jej czyny epos, porównywalny epickością z „Eddą”, „Gilgameszem” czy „Ramajaną”. Ta myśl pozwoliła jej przetrwać w dobrym humorze przenudne oficjalne wprowadzenie.

– Niech jako pierwszy głos zabierze przesławny bohater Federacji, którego czyny zainspirowały miliony naszych żołnierzy i oficerów. Oto przed wami Heeenryan Świąęccki!

Po tych słowach mistrza ceremonii, jednego z największych gwiazdorów informacyjnej holowizji we wszystkich pięciu metasektorach, stojący po prawicy Modo na niemal identycznym pomoście pełnoprawny już czterogwiazdkowy generał oparł dłonie o wykonany z najprawdziwszego drewna antyczny mebel i nawet nie spojrzawszy na kobietę, która go stworzyła, zagał gromkim głosem:

– Wbrew temu, co możecie sądzić, nie była to najkrwawsza z wojen w naszej historii. Daleko jej choćby do skali zagłady, jaką sami sobie zgotowaliśmy, kiedy jeszcze zamieszkiwaliśmy jedną planetę, tę planetę. – Wyprostowaną ręką pokazał tonącą w półmroku studnię. – Stoimy dzisiaj w miejscu, które jest pomnikiem wystawionym miliardom istnień utraconych w ciągu zaledwie kilku tygodni starć pomiędzy nieistniejącymi już mocarstwami. Przemawiam do was z trybuny, którą wykonano z biurka niegdysiejszego przywódcy tak zwanego wolnego świata... – Pogładził czule lakierowane drewno. – Panu przewodniczącemu Nboto przypadł zaszczyt opierania się o te same deski, na których podpisywał niegdyś dekrety ostatni prezydent Unii Australindyjskiej. Pani kanclerz Modo natomiast przemówi z za pozostałości po najgorszym z ówczesnych imperiów, którego rakiety spopielili także to miejsce.

I zapewniam was, że właściwie odczytujecie ten omen. Ta kobieta jest bowiem spadkobierczynią polityki premiera, czy może raczej sekretarza Wu... – MODO nie wsłuchiwała się w przemówienie, lecz niepokojący dźwięk, który przetoczył się nad nawami po tych słowach Świąckiego, zwrócił jej uwagę. – Tak, mówię to z całą świadomością wagi stawianego zarzutu, albowiem wojna, której ofiary zebraliśmy się tu dzisiaj wspominać, miała zupełnie inny przebieg, niż sądzicie. Nie przesłyszeliście się. Nawet wy – przesunął palcem po rzędach senatorów partii rządzącej – byliście od samego początku karmieni kłamstwami.

– Zapomina się pan, generale – próbowała mu przerwać MODO, ale Świącki nie pozwolił odebrać sobie inicjatywy.

– Mam niezbite dowody na każdy zarzut, jaki zaraz tutaj padnie! – odparł, podnosząc głos. – Opłakujecie poległych, ale nie zdajecie sobie sprawy, że ich liczba mogła być znacznie niższa, gdyby ta kobieta nie myślała wyłącznie o sobie! Tak, panie i panowie. Ponad dwa miliony osób straciło na Rubieżach życie, ponieważ pani kanclerz MODO i jej współpracownicy z zimną krwią kazali uczynić z nich tarcze strzelnicze dla Obcych!

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Świącki uruchomił holoprojektor. Olbrzymie wyświetlacze wiszące nad wewnętrznymi krawędziami pięciu naw wypełniły się zdobytymi przez Seiferta dokumentami i ich dokładnymi opisami. Każdy mógł je teraz ściągnąć – i robiono to masowo, z każdej nawy.

– Przecież to jakieś wierutne bzdury. Zwykle falsyfikaty rozpowszechniane przez wrogi nam środowiska! – MODO się zaśmiała, przeglądając pobieżnie kilka pierwszych plików. Była pewna swego. Osobiście nadzorowała akcję fałszowania dokumentów, zatem teraz z tym większym trudem pohamowała złość, gdy zrozumiała, co sama przeoczyła. Stacje monitorowania w systemach tranzytowych. Było ich zbyt wiele, by wszystkie zostały w porę przeprogramowane, ale jak on mógł na to wpaść, tkwiąc tysiące lat świetlnych od systemów, z których pochodziły te dane?

– Naprawdę? – Świącki także się uśmiechnął. Zimno, okrutnie. – Tak jak to nagranie? – Manifesty pokładowe zniknęły, zastąpił je fragment zdobytego przez



Seiferta przesłuchania. – Tak się składa, że nazwisko człowieka uwiecznionego na tym nagraniu figuruje na liście pasażerów jednostki, która rzekomo przewoziła na Rubieże Zewnętrzne wspomnianą przez niego i znaną mi Ninadine Truffaut, tę samą, która podobnie jak sto pięćdziesiąt tysięcy innych kolonistów uratowanych z Ulietty wyparowała po dotarciu na jedną ze stacji tranzytowych... – Przerwał na moment, by zaczerpnąć tchu i uspokoić nerwy. – Cofnę wszystko, co tu powiedziałem, i oddam się do pani dyspozycji, jeśli przedstawi nam pani tu i teraz tych dwoje ludzi, całych i zdrowych!

– Żaden problem! – wypaliła, zanim pomyślała.

– Zatem proszę! Nawiązanie kontaktu z Atlantą 45 zabierze minutę, choć namierzenie tych dwojga może potrwać dłużej, ale proszę się nie przejmować, pani kanclerz. Będzie pani miała na to wystarczająco dużo czasu, ponieważ to jeszcze nie koniec zarzutów.

Zaczęła gmerać przy komunikatorze, grając na zwłokę. Więcej zarzutów? Ciekawe.

Święcki, nie czekając na to, co zrobi Modo, aktywował kolejne nagranie. Tym razem zgromadzeni ujrzeli marmury i kłęby piany, za którą widać było wyraźnie dwoje członków Rady. Modo zaczynała właśnie wypowiadać kolejną kwestię.

*– Szkoda. Tak pięknie to zainscenizowaliśmy. Cierpiący bohater wyrusza w kolejną trudną misję, odnosi spektakularny sukces, ale pomimo żałoby nie ustaje w wysiłkach, udaje się poza granice znanej przestrzeni i ginie na polu chwały... Pośmiertny awans, pomniki, wzmianki w podręcznikach historii. Wymarzony koniec kariery dla kogoś, kto jeszcze kilka lat temu był nikiem.*

*– Tak powstają legendy – dokończył rozmarzonym tonem towarzyszący jej w kąpielii Benadetto.*

*– Żebyś wiedział. Wszystko sobie zaplanowałam... Kazałam zainscenizować wypadek, zleciłam wylot na misję tuż po przekazaniu informacji o śmierci ostatniego krewnego, podesłałam mu tego skończonego barana. – Modo wskazała na zastopowane nagranie przedstawiające kapitana Phana. – Wyobraź*

*sobie, że poleciałam nawet wywieźć wszystkie przynęty z sektora, do którego miał polecieć. Gdzie zatem popełniłam błąd?*

– Chce pani wiedzieć, gdzie został popełniony błąd? – Święcki spojrzął prosto na nią, z jego oczu biła czysta nienawiść. – Uświadomię to pani bardzo boleśnie. Podpisała pani na siebie wyrok w chwili, gdy wybrała mnie na swoją kolejną ofiarę!

– To oszczerstwo! – Modo udała przerażenie, co przyszło jej z łatwością. Wciąż była w szoku, nie mogła zrozumieć, jak to zero weszło w posiadanie nagrania z jej osobistych apartamentów. Jeden rzut oka na Giancarlouisa uświadomił jej, że to nie robota wspólnika, który chciałby się jej pozbyć tuż przed osiągnięciem sukcesu. Benadetto był równie wystraszony jak ona, poza tym znajdował się na tym nagraniu, zatem i on oberwie rykoszetem, jeśli jej się dostanie. Zaraz, skoro to nie on próbuje mnie usunąć, to kto?!... Gorączkowo zastanawiała się nad źródłem tego przecieku, ale musiała przede wszystkim reagować na bieżąco, zanim ten skurwyklon poczyni dalsze szkody. – Skandal! Zwykła manipulacja! Nigdy nie powiedziałam czegoś podobnego!

– Spisek! – Benadetto może był tchórzem, ale zareagował jak powinien. – Spisek!

Wielu senatorów podchwyciło jego zawołanie.

– Jak pan mógł uwierzyć w te brednie po tym wszystkim, co dla pana zrobiłam!

Oparła się ciężko o pulpit, nie dlatego jednak, że poczuła się słabo. Potrzebowała chwili na sprawdzenie meldunków. Choć trwało to niespełna pół minuty, zaraz pożałowała, że się wyłączyła i znów oddała inicjatywę. Prostując plecy, zauważyła maszerującego w stronę mównicy Farlanda. Najwyższy admirał podszedł do równie zaskoczonego Święckiego i odsunął go na bok zdecydowanym szarpnięciem.

– Jeszcze nie skończyłem! – warknął Henryan, nie wiedząc, czy to akt głupoty przełożonego, który po tym wszystkim, czego doświadczył ze strony Modo,

teraz zamierza jej bronić, i to mimo przedstawionych wszem wobec dowodów.

– Owszem, generale, skończyliście! – Farland nawet na niego nie spojrzał. – Teraz moja kolej!

Święcki cofnął się niepewnie o krok, stanął na baczność, ale nie zasalutował, jak wymagał tego regulamin. Nie opuścił także mównicy.

Jeśli ten skurwyklon spróbuje storpedować moje wysiłki, zdecydował w duchu, odpowie razem z tą suką!

– Pani kanclerz, jeśli dobrze rozumiem, przed chwilą zarzuciła pani mojemu podwładnemu kłamstwo? – zagrzemiał najwyższy admirał głosem nawykłym do wydawania rozkazów.

– Oczywiście! – Zdezorientowana Modo ochoczo chwyciła rzuconą jej linę, nie widząc pętli na końcu. – Pański podwładny należy do wymierzonego we mnie spisku!

– Rozumiem. To wszystko spisek. W takim razie proszę spojrzeć na to nagranie... – Farland przerzucił do holoprojektora własne pliki. Te same postacie, ta sama łaźnia, ta sama piana, tylko teraz jakby było jej więcej.

*– Naprawdę się nie denerwujesz?*

*– Nie. Najgorsze już za nami.*

*– A jeśli coś pójdzie nie tak? Jeśli Farland mimo wszystko przegra?*

*– Wątpię, aby do tego doszło, ale śpieszę cię zapewnić: będziemy górą nawet w razie jego porażki, pod warunkiem że ten prostak zdoła zadać ma'lahn wystarczająco duże straty, co jest więcej niż pewne. Szósta flota z łatwością dokończy dzieła.*

*– O ile opozycja nie rozszarpie cię wcześniej za ukrycie tych okrętów. Nie przyszło ci na myśl, że mogą...*

*– ...zarzucić mi zdradę stanu?*

*– Na przykład.*

*– Mój drogi... Nic mi nie zrobią, ponieważ tę flotę nominalnie stworzył nasz przyjaciel Kaup. Oczywiście w sekrecie, szykując przewrót, którego plany*

*odkryjemy... a może raczej ty odkryjesz, jak tylko coś pójdzie nie tak.*

*– Zaczynam się ciebie bać, Gerdanielle.*

*– Daj spokój. Sama nie podołam temu zadaniu. Jesteśmy na siebie skazani...  
mój cesarzu...*

Farland zastopował nagranie na ujęciu ukazującym wszystkie jej wdzięki, ale zaraz się zreflektował i wyłączył je całkowicie.

– Wyjaśni nam pani, czym jest szósta flota, której istnienie nakazała pani ukryć przed nami wszystkimi? – zapytał.

– Nie wyjaśnię, ponieważ nie mam pojęcia, o czym pan mówi. – Modo trzymała się twardo swojej wersji. Mieli nagranie, ale jeśli rozegra to dobrze, nie przegra tego starcia. Nie takie mistyfikacje miały miejsce w historii, a przy obecnym poziomie techniki nie stanowi najmniejszego problemu spreparowanie nagrań, co udowodni za kilka dni na spokojnie, kiedy ich już nie będzie. Ludzie powinni uwierzyć, że rzucający te kalumnie brali udział w zaplanowanej z dużym wyprzedzeniem próbie zamachu stanu. Czyż to przedstawienie nie jest idealną przygrywką do tego, co się zaraz wydarzy? Tak... Uśmiechnęła się szerzej. Głupcy! Swoimi atakami tylko uprawdopodobnią jej wersję zdarzeń. – To nagranie nie przedstawia mnie ani powszechnie szanowanego skarbnika Rady. Ktoś zadał sobie naprawdę wiele trudu, by je sprokurować. – Spojrzała hardo w kierunku Nboty, ignorując wygrażanie rozwścieczonego Kaupa.

– Wiedziałem, że pani to powie – wypalił w odpowiedzi lider opozycji. – I dobrze, ponieważ ja także mam coś do dodania.

– Chwileczkę, panie przewodniczący... – Najwyższy admirał wpadł mu w słowo. – Pozwoli pan, że dokończę?

– Ależ oczywiście.

– Dziękuję. Wracając do mojego pierwszego pytania. Oskarżyła pani generała Świąckiego o kłamstwo, choć rzucił pani w pysk czystą prawdę... – Zreflektował się, że użył inwektywy, ale podjął przemowę po niemal niezauważalnym potknięciu, nie zwracając uwagi na przesadną reakcję Modo. –

Ta wojna jest jednym wielkim kłamstwem. Powiedzmy to otwarcie. Kłamaliśmy, że nie wiemy, kim są ma'lahn, czyli Obcy. Kłamaliśmy, że nie wiemy, dlaczego nas atakują. Ale to wszystko jest niczym przy tym kłamstwie!

Holoprojektor ukazał próżnię, czekające w niej formacje okrętów, moment pojawienia się wroga i gigantyczne eksplozje, po których zespoły uderzeniowe na Rwandzie przestały istnieć. Zebrani zamilkli, widząc ogrom zniszczeń powodowanych lawiną szczątków rozbitych asteroid.

– Co to ma być? – zapytała Modo, udając zdziwienie.

– Czas ujawnić prawdę o bitwie na Rwandzie – odparł ze spokojem najwyższy admirał. – Prawdę o klęsce, którą wspólnie ukrywaliśmy.

– Chyba pan ukrywał, ponieważ ja nic o tym nie wiem! I proszę nie zniżać się do wyświetlania kolejnych fałszywek! – ostrzegła, akcentując mocno ostatnie słowo. – Wszyscy zostaniecie pociągnięci do odpowiedzialności za ten podły atak na Radę!

Nie rozumiała, dlaczego Farland przypuszcza tak ostry atak, skoro sam w jego wyniku poległ. Jak słusznie zauważył, oboje stali za decyzją ukrycia prawdy o rozmiarach tamtej klęski. On był nawet bardziej winny od niej, czego bezwzględnie dowiodą inne nagrania.

– Podłe, szanowna pani, było to! – Najwyższy admirał wyświetlił cały plik dokumentów. – Oto raporty dotyczące strat w bitwach, które nasze zespoły uderzeniowe stoczyły ostatnio w pasie K – wyjaśnił zebranym, zachęcając ich do pobierania danych. – Może będzie pani uprzejma wyjaśnić zgromadzonym tu politykom i żołnierzom, a zwłaszcza przedstawicielom admiralicji i opozycji, jakim cudem znajdziemy w nich wszystkie jednostki, które zdołały przetrwać starcie na Rwandzie, a potem zostały odizolowane w jednej z baz podlegających wydziałowi bezpieczeństwa?

Święcki w końcu zrozumiał, skąd u Farlanda tak wielkie oburzenie, że wołał on przekreślić własną przyszłość, niż dalej ukrywać prawdę o Rwandzie. Zabicie tylu marynarzy i oficerów przez siepaczy obecnej pani kanclerz, tylko dlatego, by ukryć niewygodne fakty, było zbrodnią, której flota nigdy i nikomu nie

wybaczy. Modo jeszcze tego nie wiedziała, lecz wszystkie jej pozostałe niegodziwości przy tym uczynku wydawały się niczym. Przynajmniej w oczach ludzi noszących mundury mające inny kolor niż czarny.

– O czym pan mówi, u licha? Jaka Rwanda, jaka baza, jakie jednostki? Prosiłam, abyście skończyli z tymi bzdurami! Albo i nie, mówcie dalej, dajcie ludziom więcej dowodów na to, jak bardzo jesteście zamieszani w ten spisek! – Prychnęła z pogardą, skupiając wzrok na liderze opozycji. – Proszę, pańska kolej, panie przewodniczący. Dowiedzmy się, jakim kłamstwem raczy pan poprzeć tę nieudolną próbę przejęcia władzy... – Zamilkła na moment, by potoczyć wzrokiem po wszystkich nawach, a gdy patrzyła na własny sektor, uśmiechnęła się tryumfalnie do bladego jak kreda Benadetto. Patrz, durniu, jak rozgrywa się takie starcia... Omiotła też wzrokiem rozsierzonego Kaupa. Wiesz już teraz, jaką przypisałam ci rolę, ale bez obaw, twoje męki będą krótkie, w odróżnieniu od pozostałych. Zadbaleś o to z pułkownikiem Draccosem, za co pozostanę ci dozgonnie wdzięczna. Ale, ale, czas przejść do ataku... – Gardzę wami, kanalie! – zawołała najpierw w kierunku Farlanda, a potem w stronę nawy opozycji. – Jakim nędznym ochłapem człowieka trzeba być, żeby zepsuć tak ważne święto ludzkości?!

Nboto potraktował ten wybuch ze stoickim spokojem.

– Pani kanclerz z pewnością w tym nie dorównamy, choćbyśmy bardzo się starali – odparł, naciskając klawisz własnego komunikatora.

Modo rozpoznała miejsce, które widniało na nagraniu. Wiedziała też, jakie słowa zaraz padną. Z tej rozmowy już się tak łatwo nie wyłga, zwłaszcza że za moment nastąpi realizacja zamierzeń wyjawionych przez nią komendantowi nowych kolonii karnych, do których mieli trafić wszyscy ważniejsi przedstawiciele opozycji niezalutwieni od razu. Na jej szczęście stary opozycjonista nie gmerał przy ujawnionym mu materiale, lecz puścił nagranie od samego początku, dając jej czas na stosowną reakcję.

Dość tego dobrego, uznała, gdy szczerzący się Draccos stanął w progu jej apartamentu. Pora zacząć właściwe przedstawienie. Spojrzała raz jeszcze na

Giancarlouisa i uśmiechając się tryumfalnie, nacisnęła klawisz aktywujący program „Brutus”.

Kule ognia pochłonęły górny sektor ław rządowych, zajmowany przez plankton należący do jej formacji. Kolejne eksplozje, ustawione w starannie zaprojektowaną sekwencję, rozlały się po nawie... ale... ale nie tak, jak to zaplanowała! Zamiast zniszczyć prawą część, sunęły w dół lewej, i to o wiele szybciej, niż powinny! Zdążyła zrobić wielkie oczy, zanim płomienie pochłonęły sięgającego po aktywator pola ochronnego Benadetto.

Nie! Nie, nie, nie! Ten, kto odpowiada za tę pomyłkę, będzie cierpiał latami, zanim pozwoli mu wyblagać bardzo bolesną śmierć!

Nawa rządowa stała w płomieniach. W zamachu zginęła ponad połowa senatorów jej partii i towarzyszących im rodzin. Wielu było rannych. Kokony osobistych pól siłowych pojawiły się tylko tam, gdzie podłożone ładunki wybuchły na samym końcu. A na tym się nie skończyło.

Wzdrygnęła się, słysząc w oddali ryk następnej eksplozji. Podobnie jak większość zgromadzonych w pozostałych sektorach, odruchowo spojrzała w kierunku monad rządowych. Otoczony kłębamii gęstego dymu lewitujący aneks jej prywatnych komnat spadał właśnie na znajdujący się poniżej kompleks, miażdżąc wszystko, na co natrafił po drodze. Najwyższa budowla Ziemi rozpadała się na jej oczach jak domek z kart, ale zanim zza wzgórz wytrysnęły płomienie świadczące o zakończonym upadku, oczy wszystkich zwróciły się na sąsiednią iglicę Głównych Archiwów Federacji. Tam także doszło do szeregu potężnych detonacji, po których budynek przechylił się mniej więcej w połowie wysokości i majestatycznie runął na przylegające doń kampusy, zupełnie jakby to było holo puszczane w zwolnionym tempie.

Modo nie mogła zrozumieć, czemu miały służyć te ataki, lecz była pewna, że dla tego, kto je zaplanował, niosły głęboki sens. Jej podkręcony umysł pracował na najwyższych obrotach, nie bała się, stłumiła dzięki stymulantom i wszczepowi te uczucia, które mogły jej dzisiaj przeszkodzić w trzeźwej ocenie sytuacji, jednakże ilość napływających bodźców była tak wielka, że zaczynała

się gubić.

Nie, nie, nie, muszę skupić się na tym, co dzieje się tutaj i teraz. Muszę wygrać to starcie. Muszę obrócić wniwecz starania ludzi, którzy próbują dziś ugrać coś dla siebie. Muszę obrócić te zamachy na swoją korzyść... W głowie miała gonitwę myśli.

– Zdrada! – zawyła, jakby ją obdzierano ze skóry. – Zapłacicie nam za to, zdradzieckie śwynie! Straż! Do broni! Opozycja próbuje obalić legalnie wybrane władze! – Wskazała na zaskoczonych takim obrotem spraw Nbotu i zrywających się w panice z miejsc parlamentarzystów innych frakcji. – Brońcie Rady! Brońcie Rady!

Czekający na niższych piętrach amfiteatru gwardziści, którzy zostali tutaj sprowadzeni, by wziąć udział w uroczystej paradzie na zakończenie ceremonii, ruszyli na szczyt budowli już po pierwszych eksplozjach, by sprawdzić, co było ich przyczyną. Ci ludzie, bezwzględnie posłuszni Radzie, nie myśleli, tylko reagowali. Dla nich sytuacja była jasna. Nie znali się na polityce, ale wiedzieli jedno: nikt nie podkłada bomb pod łozami swoich przyjaciół.

To powinna być naprawdę krótka rozprawa. Kilkuset uzbrojonych po zęby i doskonale wyszkolonych żołnierzy przeciw tłumowi opasłych leni, których wyłącznym zajęciem jest gardłowanie na rzadkich sesjach i od święta bicie uległych żon. Modo nie przewidziała tylko jednego. Uprzedzeni o jej zamiarach opozycjoniści nie przyszli do amfiteatru jak owce na rzeź. Ten, kto próbował ją sprzedać w tak podły sposób, zadbał o to, by stronnikom Nbotu nie odebrano przemycanej broni.

Wykradzione jakimś cudem nagranie ze spotkania z Draccosem ujawniało przecież, czym ma się skończyć ta uroczystość. Modo zrozumiała to boleśnie, gdy osłaniające jej mównicę pole siłowe zbiegło z sykiem w kilku miejscach. W sektorze opozycji doszło do regularnej strzelaniny, w której obie strony zasypywały się gradem ognia. Gwardziści, stłoczeni w wąskich przejściach, padali gęściej od jej wrogów. Gotując się ze złości, Modo obserwowała tę bitwę uważnie, aż dostrzegła pewną niepokojącą prawidłowość. W sektorze Nbotu



praktycznie nie było kobiet! Te skurwyklony przyprowadziły wynajętych ochroniarzy zamiast rodzin!

Pewnie sama bym tak postąpiła, gdybym znalazła się na miejscu tego chodzącego trupa, pomyślała. To nieoczekiwana, ale raczej niewielka przeszkoda, uznała po chwili, przypomniawszy sobie, że już za moment w amfiteatrze zaroi się także od czarnych, którzy mieli zająć się wyłapaniem ocalałych z pogromu i dostarczeniem ich na transportowce Draccosa. Nbotó i jego przydupasy nie mieli żadnych szans na ocalenie. Mogli co najwyżej uniknąć wieloletniej katorgi, ups, resocjalizacji. Modo, uśmiechając się pod nosem, zerknęła na nawę floty. Część zaproszonych na uroczystości oficerów przedzierała się właśnie przez pustoszejący już sektor ekwitów. Tuż po pierwszej eksplozji zadziałały automatyczne zabezpieczenia, w tym ekrany dzielące poszczególne nawy. Jeden z nich bronił dostępu do płonącej części amfiteatru.

– Oni też brali udział w tym spisku! – Pani kanclerz wskazała biegnących gwardzistom. – Apeluję do wszystkich członków floty, którzy pozostali wierni ideałom Federacji! – Przeniosła wzrok na tłum niezdecydowanych żołnierzy. – Zabijcie spiskowców! Ocalcie Radę!

Wśród mundurowych powinno zawrzeć po takim płomiennym apelu, lecz oni spoglądali tylko w jej stronę, jakby czekali na rozwój wydarzeń. Ta garstka, która usiłowała się precyzyjnie do najwyższego admirała, została błyskawicznie obezwładniona. Podobnie jak gwardziści, którzy próbowali właśnie wkroczyć do akcji w loży floty. Z weteranami wojny nie mogli poradzić sobie tak łatwo jak z pospolitymi opryszkami chroniącymi wrogich Modo polityków. Stanąwszy przed ścianą ludzi w mundurach trzymających w dłoniach odbezpieczoną broń, woleli dwa razy przemyśleć kolejny krok. W efekcie żaden nie zdecydował się na otwarcie ognia, choć z niższego piętra padały takie rozkazy.

Nie szkodzi, pomyślała Modo. Gdy zginą ci, którzy mieli czelność mnie pomawiać, całą resztę da się spacyfikować albo wybić, jeśli zajdzie taka konieczność.

Przyjrzała się pandemonium, jakie rozpętała.

Nie ma sukcesu bez ofiar, a te padły dzisiaj po obu stronach. Szkoda Giancarlouisa, ale nawet bez niego i jego stronników dam sobie radę, uznała. Czas na ostatni ruch...

Musnęła kciukiem klawisz aktywujący niespodziankę, którą przygotowano na jej osobistą prośbę.

Pole siłowe wokół mównicy Nbotó zamigotało. Ludzie blokujący dostęp do przewodniczącego, a było ich na pomoście kilkudziesięciu, zaczęli uciekać z wrzaskiem, porzucając broń i tratując się wzajemnie, nie mieli jednak najmniejszych szans na ocalenie. Nawet gdyby dotarli na skraj nawy, trafiliby prosto pod ogień przejmujących inicjatywę czarnych i gwardzistów. Modó przeniosła wzrok na nawę floty, by spojrzeć po raz ostatni w oczy Farlanda i Świąckiego. Henryan nawet nie drgnął, gapił się na nią z wyrazem bezbrzeżnej nienawiści także wtedy, gdy pole ustąpiło, strącając go w czeluść. Najbardziej jednak zdziwił ją spokój, z jakim zginął. Tuż przed upadkiem dostrzegła na jego twarzy ogromną ulgę, jakby cieszył go ten nagły koniec. Najwyższy admirał miał więcej szczęścia i rozumu. Gdy tylko zauważył, co się święci, pognał ku nawie. Patrzyła z mściwą satysfakcją, jak próbuje uniknąć losu podwładnego, a potem zachichotała jak dziecko, kiedy jego stopa przed ostatnim odbiciem zamiast w elastyczną powierzchnię trafiła w próżnię i pociągnęła go jak szmacianą lalkę w półmrok wypełniający studnię. Żałowała jedynie, że w tym harmiderze nie usłyszała jego krzyku. Moment później skrzyżowała spojrzenia z Ruttą, który obserwował ją z pierwszego rzędu zbitych w ciasną grupę mundurowych. Drań, nie wiedząc czemu, uśmiechał się od ucha do ucha.

Zrozumiała powody jego radości ułamek sekundy później, gdy sama straciła równowagę.

Nie, to nie tak miało być!

# SZEŚĆ

*Ziemia, Sektor Alfa,*

*20.06.2355*

Rutta spoglądał ze smutkiem na garść leżących przed nim przedmiotów. To było wszystko, co pozostało po Świąckim. Ubrania zabrane z kajuty na stacji sztabowej nakazał zniszczyć w atomizerze już dawno temu, ale pamiątki rodzinne zachował, aby zgodnie z sugestią nowego przewodniczącego Rady przekazać je powstającemu właśnie oddziałowi Muzeum Historii Nowoczesnej, na potrzeby tworzonej tam ekspozycji przedstawiającej ostatniego największego bohatera Federacji, który został zamordowany na oczach miliardów obywateli, po tym jak ujawnił odrażające zbrodnie polityków.

W dwu salach przestronnego gmachu stojącego na wprost majestatycznych piramid, w miejscu, gdzie jeszcze sto lat wcześniej rozciągało się morze ruin zniszczonej nuklearnym ogniem metropolii, będzie można obejrzeć tysiące tekstów, nagrań i hologramów dokumentujących krótkie, ale jakże bogate w wydarzenia życie skromnego chłopaka z Terytoriów Zewnętrznych. Wśród nich znajdzie się niestety tylko parę przedmiotów, które naprawdę należały do niego. Po Świąckim zostało bowiem wyłącznie to, co spoczywało teraz na blacie stołu.

Od czasu aresztowania nie miał domu, a w metasektorze, w którym aktualnie służył, nie mieszkał nikt na tyle mu bliski, by mógł u niego liczyć na przytulny kątek. Henryan nie przejmował się tym jednak, a w każdym razie tego nie

okazywał, żył chwilą, nie przywiązując większej wagi do rzeczy materialnych. Gdy wybuchła wojna, przenosił się na nowe jednostki i stacje, pakując skromny dobytek do zwykłego marynarskiego worka, jakim posługiwali się członkowie załóg każdego okrętu nawet w czasach, gdy ludzkość dopiero marzyła o dotarciu do gwiazd.

Rutta przejrzał raz jeszcze garść pamiątek, które dla jego dawnego protegowanego miały jakieś znaczenie. Wziął do ręki oprawione hologramy, na których młody Świącki stoi u boku niewiele od niego wyższego, szczupłego mężczyzny, trzymającego ręce na ramionach dwóch podobnych do siebie chłopaków. Ojciec i dwaj synowie. Tylko oni, na różnych tłach, w różnym wieku. Im starsi, tym poważniejsi, a może smutniejsi. Franciscollin przyglądał się szczególnie długo najnowszej holografii. Henryan ścisnął na niej brata w pasie, jakby się siłowali. Ojciec stoi za nimi pochylony, niczym trener nad ulubionymi zawodnikami. Wiatr porusza ich rozpiętymi kurtkami, w pewnym momencie wszyscy spoglądają na siebie, lecz na żadnej z trzech twarzy nie drga ani jeden mięsień, zupełnie jakby nie wiedzieli, czym jest uśmiech. Jakby przeczuwali, co ich czeka.

Rutta rzucił pamiątkowy zapis na stos jemu podobnych. Wystarczyło kilka lat, by wszyscy trzej postradali życie w równie tragicznych okolicznościach. By zostali... zamordowani.

Sięgnął po kolejny przedmiot. Ciężki antyczny stożek memoriału; sądząc po wykonaniu, pamiętający czasy sprzed jakże odległej wojny domowej. Rutta po krótkim wahaniu musnął palcem mechaniczny klawisz aktywacji. Urządzenie ożyło, emitując snop jasnego światła, z którego wyłoniło się prymitywne menu. Dziewięć pól to dziewięć pokoleń rodu, który właśnie wygasł. Trzymał w dłoniach wyznania ludzi mających kiedyś nadzieję, że ich słowa i obrazy trafiać będą do potomków aż po sądny dzień. Włączył pierwsze z brzegu nagranie. Kobieta w dziwnie wyglądającym kombinezonie szczebiocze jak najęta, prezentując wnętrze prostego domu. Nic wyjątkowego, ciasne wnętrza, zbyt kontrastowe barwy, przedpotopowe sprzęty, których przeznaczenia trudno

się nawet domyślić. Za oknami błękit nieba... Zaraz, to nie okna, lecz iluzjonery budujące ułudę mieszkania na planecie tlenowej. Kiedyś były bardzo modne... Anulował projekcję i uruchomił inną, nowszą, sądząc po spozycjonowaniu w menu. Robiąc to, miał nadzieję, że zobaczy znajomą twarz, usłyszy dobrze znany głos.

Niestety, choć dobrze kombinował, trafił na ojca Henryana. Wystarczyło kilka pierwszych słów, by sięgnął ponownie do włącznika. Tym razem, w nerwach, nadusił go o wiele mocniej. Projektor zgasł, a on podskoczył jak oparzony, wypuszczając urządzenie.

Spojrzał na wciąż piekącą opuszkę kciuka. Nie mógł się mylić, zbyt dobrze znał to uczucie. Ktoś zabezpieczył memoriał skanerem DNA, i to raczej dawno temu, sądząc po stanie jego zużycia.

– Najwyższy admirał – z zamyślenia wyrwał go głos oficera dyżurnego. – Już czas.

– Dziękuję za przypomnienie, poruczniku. – Wyłączył komunikator, sięgnął po toczący się wciąż po kratownicy memoriał i ustawił go ostrożnie na stole.

Ta zagadka będzie musiała poczekać na rozwiązanie. Zamierzał zlecić złamanie zabezpieczeń, zanim przekaże rejestrator dalej. Dzisiaj miał jednak ważniejsze sprawy na głowie, choć zaintrygował go fakt, że ktoś zadał sobie tyle trudu, by uniemożliwić dostęp do prostego przecież i popularnego urządzenia.

\* \* \*

Kaup opadł powoli na miękki fotel. Uwielbiał Księżyc i jego niższe przyciąganie. Nawet teraz, po przejęciu władzy, przylatywał na jedyne naturalnego satelitę Ziemi, kiedy tylko mógł, choć i tak o wiele rzadziej, niżby sobie tego życzył. Bycie przewodniczącym odbudowywanej z takim mazołem Rady oznaczało, że musiał znosić konieczność przesiadywania w nieskończoność na kolejnych bzdurnych posiedzeniach, brać udział w nudnych do bólu negocjacjach i cierpieć tysiąc innych równie bezsensownych

niedogodności.

Zaczynał rozumieć, dlaczego Modo tak bardzo pragnęła obalenia starego porządku. Gdyby uczyniła tego tłuściocha cesarzem, a potem za niego wyszła i – co miała w dalszych planach – wykończyła, mogłaby się pławić w luksusach władzy absolutnej, nie dbając o to wszystko, co zatruwało najpierw jej, a teraz jego życie.

Modo...

Zaśmiał się pod nosem, wspominając jej minę, gdy zrozumiała, że sama tkwi pośrodku zastawionej z takim mozołem pułapki. Niby taka mądra i sprytna, a dała się podejść jak pierwsza lepsza. Całymi miesiącami udawał, że daje się jej wodzić na pasku. Znosił też z pełną pokorą każde upokorzenie ze strony tej góry tłuszczu, z którą spiskowała. Sprawił, że oboje mieli go za pożytecznego idiotę, podczas gdy to on pociągał za wszystkie sznurki w tym teatrzyku. Podpowiedział jej nawet pod sam koniec, żeby go odsunęła na boczny tor, a ona, głupia, poszła wtedy na całość, dzięki czemu zyskał najciekawsze nagrania. Podrzucone w górę winogrono wirowało równie szybko jak na Ziemi, ale opadało znacznie wolniej w kierunku jego szeroko rozwartych ust. Czekając, aż maleńki owoc zniknie pomiędzy wargami, przypomniał sobie ponownie moment upadku znienawidzonej poprzedniczki.

Idiotka skończyła jak ten słodki kasek...

Załatwił ją z taką łatwością, jakby była pozostawioną bez opieki katatoniczką. Wszyscy oni okazali się durniami albo zbyt ufnymi ślepcami. Karmił Święckiego użytecznymi informacjami, udając schwytanego przed wielu miesiącami hakera, i ani razu nie wzbudził w wielkim bohaterze podejrzeń, że coś może być nie tak. Przesyłał mu garściami dokumenty, których zdobycie przez ukrywającego się chłopaka graniczyłoby z cudem, i nic. Młody generał tak bardzo cieszył się ze zdobywanych dowodów, że przestał się nawet zastanawiać, czy nie posłużą one lepiej komuś innemu.

Farland nie był wiele lepszy od niego. Tak bardzo bał się tej kutej na oba cycki dziwki, że gotów był uwierzyć we wszystko, co mu podrzucano. Kaup

przetestował tę teorię, karmiąc najwyższego admirała bredniami o rzekomym zagrożeniu ze strony Świąckiego, a gdy pomiędzy tymi dwoma zaczęło iskrzyć, nawet MODO zacierała ręce, nie mając bladego pojęcia, że tak naprawdę obserwuje przygotowania do własnej egzekucji. Kto jak kto, ale sekretarz obrony musiał wiedzieć, jakie nastroje panują w podległych mu instytucjach, zatem gdy tylko udało mu się podpowiedzieć przełożonej, że mogłaby bardzo łatwym sposobem pozbyć się wszystkich, którzy za dużo wiedzą, natychmiast przystąpiła do realizacji planu. Wprawdzie sytuacja wyglądała wtedy nieco inaczej, Farland i Litwinienko mieli nie wrócić z wyprawy na Zero, w związku z czym dopisanie szeregu jednostek do listy strat przeszłoby z pewnością niezauważone, a przynajmniej z jej perspektywy tak by się mogło wydawać, lecz fakt pozostaje faktem. Dała mu do ręki każdą broń, jakiej potrzebował. Mógł iść o zakład, że patrząc na zagładę archiwów i własnej siedziby, nie rozumiała, iż chodzi o zatarcie śladów prowadzących do niego. Była tak nieufna, że trzymała wszystkie nagrania pozyskane za pomocą sond hybrydowych w dwóch tylko miejscach. Niszcząc je, Kaup zabezpieczył się przed ewentualnymi przyszłymi wyciekami, które mogłyby pokazać go w nieco innym świetle niż dzisiaj.

Nboto wcale nie okazał się sprytniejszy, choć wielu miało go za mistrza intrygi. Taki stary wyjadacz powinien podejść z naprawdę dużą podejrzliwością do rzekomych przecieków z gabinetu urzędującej pani kanclerz. Trzeba było oddać staruszkowi, że sprawdził dokładnie obie zdobyte przez jego agentów wiadomości, zanim podjął stosowne kroki, ale czyż nie dał się wmanewrować w sytuację bez wyjścia?

Kaup pochwyił winogrono zębami, rozgryzając natychmiast. Sok i złocisty miąższ trysnęły kilkoma strużkami, ale nowy przywódca ludzkości był szybszy i zdołał je wessać, zanim znalazły się poza jego zasięgiem.

Gdyby lider opozycji zachował się ostrożniej i nie kazał uzbroić zabranych na zgromadzenie popleczników, delegalizacja jego partii nie przebiegłaby tak płynnie. Te kilkanaście tysięcy ofiar zamieszek było naprawdę niczym w porównaniu z pierwotnymi szacunkami MODO, idącymi w miliony

zatrzymanych i straconych...

To chyba był najpoważniejszy błąd tej kretyнки, uznał po chwili zastanowienia, wkładając do ust kolejne winogrono.

Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiał, tym głębsze żywił przekonanie, że dążąc do zdobycia władzy, oszczędził cierpień każdej ze stron tego konfliktu. Poniesione ofiary, konieczne w każdym przypadku, okazały się przecież nieporównywalnie mniejsze. Może z jednym wyjątkiem. Gdyby plan Modo się powiódł, działacze opozycji i tak skończyliby w koloniach karnych, masowo i wiecznie resocjalizowani pod troskliwym okiem pułkownika Draccosa, ale już w takiej flocie na pewno przeprowadzono by daleko idące czystki, usuwając ze sceny znacznie więcej oficerów niż ta garstka, która zginęła podczas starć w Pentagonie. Nikt, kto chociażby poznał osobiście Farlanda, nie nosiłby już nigdy munduru. Tak to sobie zaplanowała, wredna suka. Miał wszystko czarno na białym, w przejętych wcześniej osobistych dokumentach i na robionych w tajemnicy nagraniach.

Sondy hybrydowe – jej cudowna broń, której tajemnicy strzegła do samego końca, wiedząc, że moment, w którym ktoś jej wrogi położy na nich łapę, będzie początkiem bardzo bolesnego końca. Miała rację, jak zawsze, dlatego Kaup zrobił wszystko, by wydrzeć jej ten mały sekrecik. Co wcale nie było takie trudne. Nie zdawała sobie sprawy, że od lat otaczał ją swoimi ludźmi, a gdy przyzwyczała się do ich użyteczności i służalczości, właśnie oni trafili stopniowo, choć na pewno nie szybko, do wąskiego kręgu wtajemniczonych, którzy mieli wykonać najbardziej plugawe rozkazy spiskowców.

Dzięki tym agentom udało mu się przejąć aż trzy sondy przeznaczone do zainfekowania t'iru. Wystarczyło, że do nadzorowania transportu z laboratoriów na Hakstirii pani kanclerz wyznaczyła zaufanego porucznika, który pozostawał w pełni lojalny wobec swojego prawdziwego mocodawcy. To ten młody człowiek opróżnił feralne główce podczas długiego rejsu na Anzio i to on po powrocie do Systemów Centralnych przekazał ich zawartość sekretarzowi obrony. Podobnie było z każdym innym etapem przygotowań do obalenia



Federacji. Cokolwiek by zaplanowała, to podstawieni przez niego ludzie mieli wykonać czarną robotę.

Zmiana rozmieszczenia ładunków pod nawą okazała się dziecinnie prosta. Z jednym wyjątkiem... Kaup przypomniał sobie właśnie, ile godzin spędził nad czytnikiem, zaznaczając i odznaczając miejsca, które powinny zostać zniszczone. Uśmiechnął się na wspomnienie momentu, w którym zakreślił łożę tej tłustej świni, skarbnika. Opił ten ruch tym samym winem, którym Modo i jej kochaś raczyli się w drodze na zgromadzenie. Nikt nie miał wątpliwości, że to ona wydała rozkaz odpalenia ładunków, lecz to przecież on wyznaczył wszystkie cele, aby pozbyć się każdego, kto mógłby podważyć jego prawo do sukcesji. Więcej nawet, podpowiedział suce, oczywiście nie wprost, jak mogłaby go upokorzyć, a ona posłusznie usadziła go między najmniej liczącymi się członkami Rady.

Zrobiła to bez zastanowienia, by przypodobać się kochankowi, a dzięki temu skromny sekretarz obrony zyskał szansę na dokonanie heroicznego czynu, jakim było ocalenie znajdujących się wokół niego przerażonych kolegów z ław senatu. Rozpiął parasol wzmocnionego pola ochronnego na tyle szybko, by móc nim objąć ponad dwadzieścia osób, które – tak się szczęśliwie złożyło – miały prawo głosu podczas wyboru nowego przywódcy parlamentu. Jeden, zdałoby się nic nieznaczący ruch, a jaki wielki zysk! Uratowani stali się trzonem jego nowej partii i nowego rządu.

Był jedynym członkiem prezydium Rady, który przeżył zamach, ale jako reprezentant innego metasektora mógłby przepaść w kolejnych wyborach, przegrywając na przykład z nieznanym do tej pory, ale obrzydliwie bogatym i nazbyt ambitnym ekwitą, jakich poznał w ostatnich latach naprawdę wielu. Zadbał więc, by mieć dług wdzięczności u ponad połowy wciąż urzędujących parlamentarzystów, a oni, powołując się na stosowne przepisy, oddalili widmo głosowania, czyniąc go tymczasowym przywódcą Federacji, za co zostali nagrodzeni, jakżeby inaczej, wyjątkowo intratnymi stanowiskami. Do następnych wyborów, których pomimo nacisków ekwitów nie miał na razie

ochoty ogłaszać, będzie mógł rządzić niepodzielnie, stojąc nad garstką wiernych wasali, którzy zawdzięczali mu nie tylko pozycję, ale i życie.

O dalszą przyszłość był spokojny. Jego opus magnum czekało na przedstawienie światu. Tarcza chroniąca Ziemię została uruchomiona z dużym poślizgiem, za co jednak nie mógł winić nikogo poza samym sobą. System był gotów do testów już dwa dni po starciu w Pentagonie, gdy do Układu Słonecznego dotarły ostatnie reaktory, lecz Kaup wolał poczekać, aż opadnie wzniesiony zadymą kurz i wydarzenia znów zaczną biec normalnym, sennym trybem, aby każdy człowiek w Galaktyce docenił wartość tej inwestycji.

Dzisiaj, już za kilka chwil, ludzkość ujrzy potęgę dzieła, które zamierzał pozostawić w darze przyszłym pokoleniom. Tarcza nosząca jego imię przejdzie prawdziwy chrzest bojowy. W przestrzeni, w odległości piętnastu tysięcy kilometrów od włączanych właśnie ekranów, zawisło szesnaście eskadrowców. Kaup ściągnął do Układu Słonecznego wszystkie jednostki tego typu, jakimi dysponowała w obecnej chwili Federacja. Dziewięć z nich przenosiło na rdzeniach po cztery piątki, jak pierwotnie zaplanowano, ale flagowiec Rutty po ostatnich remontach i towarzyszących im przeróbkach dysponował aż ośmioma pancernikami najnowszej generacji.

Słynna szósta flota, o której powstanie Modo zamierzała obwinić swojego sekretarza obrony, po zamachu trafiła w ręce admiralicji, podobnie jak przeznaczone dla niej eskadrowce. Przywódca Federacji nie widział bowiem żadnego sensu w tworzeniu nowych struktur militarnych, skoro miał do obłaskawienia stare. Naczelne dowództwo floty pozostało mu wierne, żaden z admirałów nie podejrzewał bowiem, jaką naprawdę rolę odegrał w niedawnych wydarzeniach. Według oficjalnej wersji zamachu stanu dokonała opozycja, by uprzedzić atak ze strony Modo i jej popleczników, przez których on sam został niecznie wykorzystany. Winni tego stanu rzeczy albo nie żyli, albo drążyli tunele w asteroidach Pasa Sturgeona, on zaś – dzięki ogłoszonej amnestii i abolicji – kupił sobie wsparcie niezaangażowanych graczy, a nawet kilku dawnych przeciwników. Był też całkowicie pewien, że pozornymi ustępstwami

i rozgrywaniem różnych frakcji cementuje władzę szybciej i mocniej, niż udałooby się to Modo w razie ustanowienia cesarstwa.

Ta pewność pozwalała mu na patrzenie z ufnością na przepotężną flotę, w której szeregach zgromadzono niemal wszystkie okręty dwu najnowszych generacji. Czterdzieści cztery piątki. Dwadzieścia cztery zmodernizowane czwórki. Pięćset czterdzieści cztery krążowniki należące do zespołów uderzeniowych i tysiąc sześćset jednostek tej klasy z pierwszej floty. A osłonę jego niesamowitej armadzie zapewniało dwanaście tysięcy czterysta sześćdziesiąt sześć niszczycieli.

Te okręty dysponowały niewyobrażalną siłą ognia, którą skierują już za niespełną godzinę w stronę Ziemi, a raczej orbitującego wokół niej naturalnego satelity. Test miał być prosty. Każdy eskadrowiec, każdy pancernik, krążownik i niszczyciel odpali pełną salwę laserową, raketową i kinetyczną w kierunku jednego tylko sektora tarczy, tego, który osłaniał powierzchnię Księżyca, natomiast on sam, twórca cudu techniki, który powstrzyma tę niewyobrażalną moc, będzie w tym czasie stał tylko w kombinezonie próżniowym pośrodku pokrytego szarym regalitem krateru, aby pokazać mieszkańcom kolebki ludzkości i całej reszcie Federacji, jak doskonałym dziełem jest jego dar dla przyszłych pokoleń.

Ten mały gest człowieka będzie wielkim skokiem ludzkości.

Czy jakoś tak...

\* \* \*

Rutta zasiadł na mostku *Asgarda*, który wyglądał dzisiaj zupełnie inaczej niż po powrocie z Systemu Zero. Główna odmiana polegała na przeniesieniu centrum dowodzenia do innej części rdzeniowca, a raczej poza jego obręb.

Profesor Rawlings i jego ludzie słusznie zapewniali poprzedniego dowódcę floty, że być może nigdy nie uda się rozgryźć tajemnicy dziwnego napędu Obcych. Taka deklaracja mogłaby się wydawać przedwczesna, skoro właściwe

prace badawcze prowadzono dopiero od nieco ponad miesiąca, lecz każdy z naukowców, a tych przewinęły się przez pokład *Oumuamua* setki, mówił to samo: ta technologia wymyka się ludzkiemu pojęciu i z pewnością nie może być skopiowana na obecnym etapie rozwoju technologicznego ludzkości.

Rawlings zaproponował więc inne rozwiązanie. Stocznie na Ciceru przerobiły ostatni człon remontowanego *Asgarda*, przemieszczając jego potężne silniki jonowe, by na ich dawnym miejscu zamontować sekcję rdzenia mieszczącą kanciasty okręt Obcych. *Oumuamua* stał się nowym napędem gigantycznego transportowca, zachowując jednak pełną autonomiczność, na wypadek gdyby zaszła potrzeba szybkiego przerzucenia innych eskadrowców, jak choćby dzisiaj, gdy nowy kanclerz zapragnął sprowadzić je do Układu Słonecznego.

Kanciak mógł przenosić za jednym razem nawet cztery takie giganty, razem z umieszczonymi na ramionach wysięgników okrętami wojennymi, zatem admiralicja nie widziała przeszkód, by zorganizować pokaz dla Kaupa. Godzinę po zakończeniu kanonady ostatni eskadrowiec miał bowiem powrócić do macierzystej bazy, by strzec Rubieży przed kolejnymi, na szczęście niezbyt prawdopodobnymi atakami Obcych.

Najwyższy admirał czuł się dziwnie w tym ciasnym pomieszczeniu. Wolał dawny, przestronny mostek, odpowiadający skalą majestatowi flagowca floty. Teraz niestety był skazany na to, by spędzić kolejne dwie godziny wewnątrz konstrukcji stworzonej przez tajemniczą rasę minimalistów lubujących się w liniach i kątach prostych.

– Najwyższy admirał Rutta – powitał go nawigujący *Oumuamua* naukowiec.

Jako cywil nie do końca rozumiał obowiązującą we flocie tytulaturę, a może zbyt wysoko cenił Farlanda, by zwracać się do jego następcy tymi samymi słowami. W każdym razie dodawał teraz do funkcji nazwisko i mimo wielu próśb i gróźb nie zamierzał zmienić tego przyzwyczajenia.

– Profesorze.

– Zechce pan poświęcić nam chwilkę? – zapytał Rawlings, zanim dowódca floty zajął miejsce w fotelu dostawionym do dziwnego pulpitu.

– Oczywiście. – Do rozpoczęcia testu pozostało jeszcze prawie czterdzieści minut, czas więc nie naglił, a Rutta zawsze z ogromną uwagą śledził postępy naukowców, którzy powoli, lecz sukcesywnie rozgryzali tajniki sterowania tym cudem. – Co tym razem udało się panom odkryć?

– Odkrycie to może za duże słowo – sprostował Rawlings – ale zauważyliśmy coś naprawdę ciekawego. Proszę spojrzeć.

Pośrodku płaskiej konsoli unosił się biały holograficzny słup wyglądający jak kolumna zamrożonego dymu, w rzeczywistości zaś przedstawiający spory wycinek Ramienia Oriona. Budowniczości tego okrętu, kimkolwiek byli, postrzegali przestrzeń zupełnie inaczej niż ludzie. Dla nich była czymś podobnym do niezbyt dobrze rozmieszanego wywaru, w którym roi się od rozmaitych zgęstnień i innych glutów. Tak to przynajmniej wyjaśniał profesor, pytany przez wizytujących to miejsce oficerów. Jedno spojrzenie na stworzoną przez Obcych mapę wystarczało, by zrozumieć, co miał na myśli. Tysiące przenikających się i nakładających się na siebie pasemek rozmaitej grubości tworzyło gąszcz, w którym tylko geniusz albo komputer mógł znaleźć drogę. Na szczęście flota dysponowała znakomitymi umysłami i najdoskonalszymi maszynami, dzięki czemu *Oumuamua*, choć bardzo opornie, zdradzał nowym właścicielom kolejne tajemnice. Tym razem najwyższemu admirałowi pokazano dziwną, połyskującą czystą zieleńią linię biegnącą aż do płotka systemu – takiego określenia używał Rawlings do opisanie każdej białej plamy na mapie – znajdującego się na samym krańcu Ramienia Oriona.

– Na co właściwie patrzeć? – zapytał natychmiast Rutta, ponieważ wiedział, że jeśli tego nie zrobi, nie doczeka się zrozumiałego wyjaśnienia.

Naukowcy, nie wiedząc czemu, zakładali a priori, że ich rozmówcy znają skomplikowany żargon akademicki, i praktycznie od razu zaczęli brnąć w mało zrozumiałe dywagacje. Dlatego Rutta wołał im przypomnieć, że chce usłyszeć najprostsze wyjaśnienie.

– Tego jeszcze nie wiemy – wyznał profesor. – Dzisiaj pierwszy raz natknęliśmy się na tę barwę wektora. Mój asystent dokonał losowego wyboru

trasy hipotetycznego skoku i zobaczył to... – Wskazał na kreskę.

– Zieleń nie wygląda specjalnie groźnie – mruknął najwyższy admirał.

– Nie jest to na pewno oznaka niemożności wykonania takiego skoku – zgodził się Rawlings. – System docelowy znajduje się w zasięgu *Oumuamua*.

Był pewien, że się nie myli, ponieważ transportowiec Obcych traktował wskazanie odleglejszych celów w innych ramionach jak coś normalnego. Nawet dociągnięcie wektora do jednej z gromad kulistych na skraju Andromedy nie spowodowało żadnej zmiany barwy linii łączącej punkt wylotu i przylotu. Ten okręt mógł więc, przynajmniej teoretycznie, przenieść się do sąsiedniej galaktyki. Profesor nie mówił jednak o tym nikomu, ponieważ bał się, że bardziej wpływowi koledzy z pionu naukowego mogą zechcieć odebrać mu możliwość kontynuowania badań nad tym fascynującym napędem. Wielu ostrzyło sobie zęby na zajmowane przez niego stanowisko, ale na szczęście nowy głównodowodzący stał twardo po jego stronie.

– Korci pana, by to sprawdzić? – zaśmiał się Rutta.

– Niespecjalnie – skłamał profesor. – Może gdy przeprowadzimy więcej badań... Pamiętam, że wskazaliśmy ten albo któryś z sąsiednich systemów najwyższemu admirałowi, jeszcze podczas pobytu w Systemie Zero, i wektor na pewno pozostał wielobarwny jak przy normalnym skoku.

– Może dam panu okazję do wykonania kilku testowych lotów w przyszłym tygodniu, kiedy skończycie przerzucać Suhurów z Xana 4 – obiecał niezobowiązująco Rutta – aczkolwiek zalecam daleko idącą ostrożność. Strata *Oumuamua* byłaby dla nas niewyobrażalnym ciosem.

– Wiem, wiem. – Rawlings złożył ręce, jakby się modlił. – Dla nas, naukowców, zapewne jeszcze bardziej bole... – Zamilkł, nie kończąc zdania.

Zamontowane w sterowni Obcych syreny alarmowe wydały z siebie jęśliwe zawodzenie. Rutta i pozostali oficerowie, przysłuchujący się tej wymianie zdań, skoczyli w kierunku przeniesionych do tego pomieszczenia stanowisk operacyjnych. Ekrany wyświetlaczy ożyły. Na jednym z nich pojawiła się twarz oficera łącznikowego z mostka *Asgarda*.

– Co się dzieje, kapitanie? – zapytał Rutta, gdy tylko zapiął pasy.

– Stacja monitorowania z sektora sześć-siedem-cztery zameldowała o pojawieniu się niezidentyfikowanego obiektu.

– Co to znaczy: o pojawieniu się? – warknął poirytowany najwyższy admirał.

– Pokażcie mi ten raport.

Rozmieszczone w całym Układzie Słonecznym stacje nadzorowały liczne szlaki tranzytowe pomiędzy planetami, niemniej komunikaty przez nie nadawane były znacznie precyzyjniejsze niż ten bełkot. Jednostki często wychodziły z pod- i nadprzestrzeni, ale nie „pojawiły się”, jak powiedział przed momentem kapitan Orso.

Przesłany dokument nie wyjaśnił niczego, a nawet jeszcze bardziej zagmatwał sprawę. Systemy stacji monitorowania przekazały do centrum dowodzenia na Marsie informację, że wykryto obecność niezidentyfikowanego obiektu, który „pojawił się” na wskazanych współrzędnych. Czujniki stacji nie zanotowały jednak charakterystycznych zmian towarzyszących skokowi podprzestrzennemu, a wyjście z nadprzestrzeni w tak oddalonym od Słońca miejscu nie wchodziło przecież w rachubę.

– Prześlijcie sygnał wizualny nadawany przez tę stację – rozkazał Rutta, czując dziwne mrowienie w krzyżu.

– Tak jest.

Przed stanowiskiem najwyższego admirała pojawiło się wirtualne okno. Z wypełniającej je czerni system *Asgarda* wyłowił zarys namierzonej jednostki. Wystarczył rzut oka, by najwyższy admirał smagnął dłonią klawisz alarmu bojowego.

– Obcy na orbicie Marsa! – ryknął, strasząc naukowców.

\* \* \*

Kaup wysiadł z łazika mniej więcej w połowie drogi pomiędzy centrum dowodzenia a ścianą krateru Kopernik. Nad głową miał idealną czerń, wokół

wiele odcieni szarości, tak że gdyby nie widoczny nad horyzontem rąbek Ziemi, mógłby uznać, że świat stracił pozostałe barwy.

Odszedł od pojazdu, robiąc spore susy, a kiedy po ostatnim opadł w grubą warstwę sproszkowanego regalitu, ugiął mocno kolana, amortyzując uderzenie, by nie odbić się ponownie. Tutaj stanie, na otwartym terenie na wprost piekielnej lawiny ognia i helonu. Tu zostanie uwieczniony jako ten, który uczynił Ziemię niezdobytą.

– Pole aktywowane, panie kanclerzu – powiadomił go oficer dyżurny. – Dwadzieścia sześć minut do rozpoczęcia próby.

– Dziękuję, majorze. Kontynuujcie.

Zaczerpnął głęboko tchu. Wiedział, że śledzą go setki holokamer, lecz kierujący nimi operatorzy nie mieli nawet ułamka tego hartu ducha co on i woleli zostać po drugiej stronie Księżyca albo gdzieś na orbicie, z dala od nawały, jaka mogłaby zamienić ten krater w... księżycowy krajobraz.

Zaśmiał się z tego porównania.

– Panie kanclerzu, najwyższy admirał na linii.

Teraz? Pewnie chce mnie nakłonić, żebym niepotrzebnie nie ryzykował...

– Łączcie.

– Panie kanclerzu – odezwał się Rutta, jednakże nie było to zwyczajowe powitanie, lecz wstęp, po którym dowódca floty kontynuował wypowiedź, nie kryjąc zdenerwowania. – Jedna ze stacji monitorujących ruch w Układzie Słonecznym wykryła przed momentem pojawienie się jednostki Obcych.

– Ma'lahn wrócili? – Kaup natychmiast zamienił się w słuch.

Jeśli skrzydlaci chcieli znowu rozrabiać, to źle trafili. Tym razem zostaną powstrzymani przez armadę, która rozniesie ich na strzępy, nawet jeśli rzeczona jednostka to któryś z tych superliniowców, które hodowali w inkubatorach w Systemie Zero.

– Nie. To coś zupełnie innego. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy takiego okrętu.

– Dajcie podgląd – poprosił zaintrygowany kanclerz.



Na wyświetlaczu pojawił się trójwymiarowy model czegoś, co wyglądało jak bardzo skomplikowana bryła geometryczna albo... oszlifowany, choć nieprzezroczysty brylant.

- Odebraliście jakieś sygnały? – zapytał.
- Niestety nie. Nie odpowiada także na nasze wezwania.
- Jakiej wielkości jest ten okręt?
- Ma około dziesięciu metrów długości.
- Dziesięć metrów? To jakiś wahadłowiec albo jacht?
- Nie mamy pojęcia, czym jest.
- Pokażcie wektor jego kursu – zażądał Kaup.

Model pojazdu zniknął, zastąpiła go holomapa wycinka Układu Słonecznego obejmująca Marsa, jego księżycy i Ziemię. Czerwona linia biegnąca łagodnym łukiem zza orbity czerwonej planety nie była wymierzona w tę ostatnią. Jeśli Obcy nie zmienią kursu, przelecą w pobliżu strefy skoku, omijając także Wenus i Merkurego.

- Czego oni tu chcą? – szepnął kanclerz.
- Tarcza na stu procentach wydajności – zameldował w tle major.

\* \* \*

– Jakie rozkazy, panie kanclerzu? – zapytał Rutta bardziej natarczywym tonem.

Nie podobał mu się ten tajemniczy stateczek. Może nie tyle on sam, ile dziwne milczenie jego załogi. Chociaż... Ma'lahn komunikowali się między sobą, lecz ludzie nigdy nie zdołali przechwycić choćby jednej z ich transmisji, jeśli więc te istoty posługują się podobną technologią, problem może tkwić w obustronnym niezrozumieniu.

Nie, to nie tak, poprawił się po przemyśleniu sprawy. Przecież sondy kierowały t'iru na największy szum informacyjny, więc to raczej jednostronna głuchota.

- Przygotujcie się do uderzenia prewencyjnego – polecił niezbyt pewnym

tonem Kaup. On także miał wątpliwości.

– Jeśli przylecieli w pokojowych zamiarach, a my ich zaatakujemy... – zaczął najwyższy admirał, ale nie dane mu było skończyć.

Na obrazie przekazywanym przez sondę coś się właśnie wydarzyło. Obiekt wypuł z siebie – tak to wyglądało – jakiś świetlisty przedmiot, który przyśpieszał błyskawicznie, by po niecałej sekundzie zniknąć.

– Pa... – Dalsze słowa utknęły w gardle Rutty.

Ziemia przestała istnieć. Za opalizującą ścianą pola siłowego był tylko Księżyca, do którego zbliżała się niewyobrażalnie wielka chmura szczątków.

– Co u...

Tarcza Kaupa miała tylko jedną warstwę, ale każdy reaktor w sieci otaczającej Ziemię był chroniony sferycznym polem o takiej samej mocy i natężeniu, by żaden atak od wewnątrz nie był w stanie przerwać ostatniej linii obrony. Tylko ta zapobiegliwość Kaupa ocaliła flotę od natychmiastowego zniszczenia. Kanclerz odwalił kawał dobrej roboty, projektując tarczę, która przyjęła na siebie niewyobrażalną moc wybuchu zdolnego unicestwić całą planetę.

– Skaczemy! – wrzasnął Rutta, widząc, że i ta bariera lada moment ulegnie dezintegracji.

– Ale...

– Już!

Asystent Rawlingsa nacisnął elipsoidalny klawisz w momencie, gdy pole puściło, zamieniając całą przestrzeń wokół eskadrowców w istne piekło.

**EPILOG**

**POLA DAWNO ZAPOMNIANYCH**

**BITEW**

Oślepiająca biel ustąpiła czerni, błyskawicznie, jakby eksplozja pochłaniająca *Asgarda* nigdy nie miała miejsca. Syreny nie umilkły jednak, jak można było się tego spodziewać, ale ich modulowane zawrozczenie nie zdołało zagłuszyć napływających lawinowo komunikatów.

- Alarm zbliżeniowy!
- Wykryto obecność niezidentyfikowanych jednostek!
- Tarcze dziobowe osiągnęły maksymalną moc!

Rutta musiał odczekać dwie sekundy, by uszczelniający się właśnie fotel przeszedł w tryb aktywny. To mgnienie oka adrenalina zdążyła zmienić w wieczność udręki. Wirtualne okna wyświetlaczy ożywały tak wolno, że gdyby najwyższy admirał chciał, bez trudu nadażyłby ze sczytywaniem wypełniających je informacji. On jednak wolał skupić całą uwagę na wybranym ekranie.

– Dwadzieścia osiem wykrytych obiektów. Siedemdziesiąt dwa wykryte obiekty. Trzysta dwanaście wykrytych obiektów. – Czujniki na czaszy dziobowej *Asgarda* namierzały mrowie niezidentyfikowanych jednostek. – Tysiąc siedemset czterdzieści jeden wykrytych obiektów. Cztery tysiące trzysta dwadzieścia siedem wykrytych obiektów.

– Profesorze Rawlings, proszę nas stąd ewakuować! – zawołał Rutta, wduszając klawisz interkomu.

Jego własny głos także brzmiał tak, jakby został wielokrotnie spowolniony.

– Ale dokąd? – W równie basowej, choć jakby przyśpieszającej odpowiedzi naukowca wychwycił cień paniki.

– Dokądkolwiek, byle dalej od...

– Ale to nie działa! – wrzasnął przerażony asystent, ten, który zasiadał w fotelu sternika.

– Jak to: nie działa?! – zawył Rutta. Strach zaczął się wkradać i do jego

umysłu.

– Wykonaliśmy skok na kilkunastokrotnie większą odległość niż zazwyczaj – odpowiedział niepewnym tonem Rawlings. – Może to coś musi się zregenerować jak nasze generatory albo...

– Skaczemy, gdy tylko odzyskacie kontrolę nad... – wpadł mu w słowo najwyższy admirał, ale sam zaraz zamilkł, gdy jego wzrok spoczął na innym ekranie. – Stop!

– To co ja mam robić? – zapytał zdezorientowany sprzecznymi poleceniami asystent.

– Siedź na dupie i czekaj na następne rozkazy! – wywarczał Rutta, rozciągając interesujący go przekaz.

– Siedemdziesiąt dwa tysiące pięćset siedemnaście wykrytych obiektów.

System nadal zliczał wykrywane cele, lecz na tworzonej w czasie rzeczywistym holomapie wszystkie ikonki miały pomarańczową barwę, co znaczyło, że żadna z wykrytych jednostek nie stanowi bezpośredniego zagrożenia dla wiszącego w próżni eskadrowca. Najbliższe z nich, a było ich w tym sektorze kilkaset, znajdowały się w odległości ponad czterech sekund świetlnych. Żadna jednak nie zareagowała na pojawienie się gigantycznego okrętu wojennego. Najwyższy admirał nie dostrzegł nawet jednej zmiany wektora kursu ani próby przyśpieszenia czy też zwarcia szyku.

– Trzysta cztery tysiące osiemset sześćdziesiąt pięć wykrytych obiektów.

Ponad trzysta tysięcy obcych jednostek?...

Rutta zamarł, w przenośni i dosłownie, gdy przypomniał sobie, co było powodem niedawnej ewakuacji. Cztery sekundy świetlne to żadna przeszkoda dla tych istot i ich niesamowitej nadświatlnej broni. Sięgnął pośpiesznie do klawiatury interkomu, ale natychmiast cofnął dłoń.

Nie, gdyby to były te same istoty, które zaatakowały Ziemię, już bym nie żył. *Asgard* wisi w przestrzeni euklidesowej od niemal piętnastu sekund. Obcy mieli mnóstwo czasu na wystrzelenie nadświatelnego pocisku, którym unicestwiliby eskadrowiec. Tymczasem do tej pory nie zrobili nic, zupełnie jakby

niespodziewane przybycie ludzi ich nie interesowało.

Przesunął okno z mapą na bok, szukając innego raportu.

Ciekawe... Najnowocześniejsze komputery floty nie umieją sklasyfikować namierzanych celów ani nadawanych przez nie sygnałów. Zaraz, odbieramy nadawane przez nich sygnały?!

– Milion sto siedem tysięcy trzysta czterdzieści dwa wykryte obiekty – zameldował beznamiętnym głosem system.

– Co robimy, najwyższy admirał Rutta? – usłyszał głos Rawlingsa.

– Czekamy – odparł już o wiele spokojniej.

– Na co? – Naukowiec wciąż panikował.

– Na to... – Dowódca *Asgarda* przesłał mu plik, na którym można było zobaczyć jeden z namierzonych przez sensory celów.

– Oj... – jęknął profesor.

Mieli przed oczami nie okręt przestrzenny, lecz jego wrak, a dokładniej rzecz ujmując, niewielką część rozerwanego potężną eksplozją kadłuba. Wszystkie pozostałe obiekty, które najwyższy admirał wybierał, wyglądały podobnie. Powyginane albo poszarpane krawędzie poszycia, stopione grodzie, dryfujące wokół rzadkie już chmury drobniejszych szczątków.

– Gdzie my trafiliśmy, u licha? – wymamrotał zaskoczony tym odkryciem.

– To pytanie retoryczne czy mam na nie odpowiedzieć? – zapytał przerażony asystent profesora.

Rutta zignorował go całkowicie. Mijała trzydziesta sekunda od przylotu, a nadal nie zauważono żadnej reakcji Obcych. Miliony szczątków – w tym momencie system zliczył ich prawie pięć – dryfowały w bliższej i dalszej przestrzeni, tworząc kilka wrakowisk różnej wielkości, ale ich ogromne rozrzedzenie sugerowało, że bitwa, podczas której doszło do masakry na tak niewyobrażalną skalę, zakończyła się wiele dekad temu, a może nawet stuleci.

Rutta anulował blokadę fotela. Kokon otworzył się z cichym sykiem, odsłaniając pogrążone w półmroku pomieszczenie sterowni *Oumuamua*. Wystarczył rzut oka na lśniący filar holomapy, by poznał odpowiedź na zadane

wcześniej pytanie. *Asgard* trafił do ostatnio wskazanego celu, którym był system znajdujący się na samym końcu ramienia. Ten, do którego prowadził dziwny zielony wektor. Rutta rozkazał wykonać skok, nie zastanawiając się nawet, czy obsługujący sterownię człowiek zdąży zmienić poprzednie ustawienia. To było ryzykowne, choć z drugiej strony, gdyby tego nie zrobił, zapewne już by nie żył, jak...

– Wracam na główny mostek – oświadczył, kierując te słowa do zbitych w ciasną grupkę naukowców, do których wiele prawd o tej chwili dotrze ze znacznie większym opóźnieniem niż do ludzi w mundurach. – Niech nikt nie waży się dotknąć tego cholerstwa, dopóki nie wydam takiego rozkazu! – dodał, wskazując elipsoidalne klawisze.

Moment później wsiadał do wagonika kolejki elektromagnetycznej, która łączyła oba mostki. W głowie miał tylko jedną myśl. Czyżby budowniczo *Oumuamua* wiedzieli o tym starciu? Czy miało ono dla nich duże znaczenie?

Z jakiegoś powodu oznaczyli przecież ten system.

\* \* \*

– Panowie, podsumujmy stan naszej obecnej wiedzy – poprosił kwadrans później Rutta, uznając, że zespoły analityków miały wystarczająco dużo czasu na sporządzenie pierwszych, w miarę kompletnych raportów. Zagnał ludzi do roboty, by nie myśleli o tym, co wydarzyło się w Układzie Słonecznym. I żeby wyrwać ich ze stuporu, w jaki wpadli po ujrzeniu zagłady Ziemi. Na rozpamiętywanie tej tragedii przyjdzie czas, kiedyś może nawet na powrót, lecz teraz musieli zająć się identyfikacją bardziej realnych zagrożeń. – Komandorze Nagy?

– W obrębie systemu, do którego przylecieliśmy, zidentyfikowano dziewięć głównych skupisk wraków – referował przybitym wciąż głosem dowódca pionu nawigacyjnego. – Wykryto w nich obecność ponad czternastu milionów obiektów, które są pozostałościami po stu albo nawet dwustu tysiącach jednostek

przestrzennych. Rozrzut jest tak duży, ponieważ to wstępne i bardzo przybliżone szacunki – zastrzegł, słysząc ciche westchnienia kolegów. – Dokładniejsze dane uzyskamy za mniej więcej dwanaście godzin, gdyż mamy do przeliczenia nieprawdopodobną ilość danych.

– Nie wchodźmy w dygresje – napomniał go najwyższy admirał.

– Tak jest. Analizując stopień rozproszenia badanych wrakowisk, doszliśmy do wniosku, że wspomniane jednostki zostały zniszczone od stu pięćdziesięciu siedmiu do stu pięćdziesięciu dziewięciu lat standardowych temu.

– Dziękuję, komandorze. Pułkowniku Weiss? – Rutta wskazał czekającego na swoją kolej szefa komórki wywiadu.

– Nasze czujniki odebrały ponad siedemset dwadzieścia tysięcy indywidualnych sygnałów radiowych, co ciekawe, nadawanych głównie na zarezerwowanych dla floty częstotliwościach.

– Dokładnie na naszych pasmach czy na wartościach zbliżonych? – zapytał admirał Papadopoulos, dowódca *Hajmdala*.

– Dokładnie – odparł pułkownik.

– Dziwne.

– Owszem, ale wcale nie najdziwniejsze – podjął Weiss. – Nie wiemy na przykład, jak zinterpretować fakt, że nasze systemy dekodują fragmenty odbieranych kodów.

Zebrani w sali odpraw dowódcy wymienili znaczące spojrzenia.

– Co zawierają te odczytane fragmenty? – zapytała wiceadmirał Hearne, dowodząca pancernikiem *Syn*.

– Powiedziałem dekodują, nie odczytują – poprawił ją pułkownik. – Komputery rozpoznają fragmenty używanego przez te nadajniki kodu, ale po ich rozszyfrowaniu otrzymujemy nieodmiennie czysty bełkot. Jedno wszakże udało nam się ustalić ponad wszelką wątpliwość. Te sygnały to wywołania namierników kapsuł ratunkowych.

Wprowadził do holoprojektora nowy plik, dzięki któremu oficerowie biorący udział w tej odprawie zobaczyli najpierw podświetlenie obszarów przestrzeni,



z których nadawano odebrane sygnały – głównie bardzo oddalonych. Najbliższe skupisko tych obiektów znajdowało się półtorej godziny od obecnej pozycji *Asgarda*, pomiędzy jedynymi skalistymi planetami czy też raczej planetoidami tego ubogiego systemu. Moment później holomapę zastąpił zdigitalizowany model pojazdu nieprzypominającego jednak żadnej ze stosowanych we flocie kapsuł ratunkowych.

– Tak wygląda zdecydowana większość obiektów, które mają wciąż aktywne nadajniki – wyjaśnił pułkownik.

– Są identyczne?

– Te, które nie zostały uszkodzone podczas bitwy albo później, po kolizjach ze szczątkami wraków, wyglądają bardzo podobnie. Różnice są naprawdę minimalne, powiedzmy, jak pomiędzy naszym sprzętem ratunkowym trzeciej i czwartej generacji.

– Jeśli naprawdę mamy do czynienia z kapsułami ratunkowymi – stwierdził Papadopoulos – to powinniśmy znaleźć w nich odpowiedzi na wiele ważnych pytań.

– To prawda – przyznał pułkownik. – Dlatego zamierzałem postulować, abyśmy rozpoczęli kolejny etap eksploracji tego pola bitwy od przejścia kilku takich kapsuł.

– Zezwalam – rzucił bez namysłu Rutta. – Wyślijmy tam któryś z krążowników, niech podejmie parę kapsuł po uprzednim przeprowadzeniu dokładniejszego rozpoznania.

– Tak jest! – Admirał Ortega, oficer flagowy *Asgarda*, machnął ręką w kierunku oficera dyżurującego na stanowisku pionu bojowego. – Wysunąć ramię siedemdziesiąt cztery A. Przekażcie kapitanowi Bronowickiemu, żeby przygotował się do lotu. Majorze – odwrócił się do wachtowego z pionu nawigacji – wybierzcie wektor najszybszego podejścia do najbliższego z zaznaczonych przez pułkownika Weissa sektorów i przekażcie koordynaty celu na mostek *Munina*.

– Tajest!

– Czy udało się zrekonstruować wygląd któregoś ze zniszczonych okrętów? – zapytał Rutta, gdy podwładni admirała zajęli się przygotowaniem szczegółów misji.

– Tak – potwierdził Weiss. – Do tej chwili odtworzyliśmy kilka jednostek. Zacznijmy od tej, która wydaje nam się najciekawsza.

Wprowadził do holoprojektora kolejne dane.

Miejsce domniemanej kapsuły zajął opływowy okręt; piękny, ale niezbyt podobny do współczesnych konstrukcji człowieka. Jego rozmiary były imponujące; od obłego, nieco spłaszczonego dziobu po zakończoną czymś w rodzaju niskiego pionowego statecznika rufę mierzył ponad dwa tysiące trzysta metrów, lecz najciekawszym i najbardziej zaskakującym elementem jego konstrukcji były... wąskie stateczniki umiejscowione w ostatnim segmencie dolnej części śródokręcia, o ile rekonstrukcja ukazywała tę jednostkę w odpowiednim ustawieniu.

– Czyżby ten gigant mógł latać w atmosferze? – zapytała Hearne, nie kryjąc zaskoczenia.

– Tego nie możemy potwierdzić z całkowitą pewnością, ale wiele na to wskazuje – potwierdził pułkownik.

– Niesamowite.

– Mamy jakieś szanse na znalezienie wraku z dobrze zachowanym sprzętem Obcych na pokładzie? – zainteresował się Papadopoulos.

– Obawiam się, że nie. Ktokolwiek przyłożył rękę do rozbicia tej ogromnej floty, wiedział, co robi. Jeśli nasze szacunki są choć w części trafne, każdy z tych okrętów został rozerwany na ponad sto części. Koledzy, w tym systemie nie doszło do klasycznej bitwy. To była metodyczna masakra.

– Chwileczkę – wtrącił milczący do tej pory wiceadmirał Zacharczenko z *Bragiego*. – Czy wśród tego bezmiaru szczątków wykryto pozostałości jednostek zupełnie innej konstrukcji?

– Tak, mamy tu wraki ponad trzystu rodzajów jednostek – odparł pułkownik.

– Może nieprecyzyjnie się wyraziłem. Chciałbym się dowiedzieć, czy

znaleźliśmy szczątki okrętów należących do floty, która dokonała tych zniszczeń.

– Na tak wczesnym etapie badań nie możemy być pewni, czy... – Weiss zamilkł na moment, jakby zastanawiał się, co powiedzieć. – To także tylko teoria – zastrzegł, gdy zdecydował się na kontynuację wypowiedzi – ale dotychczasowe analizy rozproszenia szczątków sugerują, że wszystkie badane przez nas okręty w chwili ataku przemieszczały się jednym wektorem – wyświetlił stosowną symulację – co może sugerować, że należały do tej samej formacji. Ten, kto je zaatakował, nadleciał znad płaszczyzny ekliptyki systemu, ale nie odkryliśmy do tej pory ani jednego wraku, którego szczątki przemieszczałyby się po pasującej do tego wektora trajektorii.

– Dziwne.

– Nie bardzo – wtrącił Rutta. – Nie zbadaliśmy nawet promila procenta promila otaczających nas szczątków. Na podstawie tak skąpych danych trudno wyciągać jakiegokolwiek wnioski, moi panowie.

– Najwyższy admirał, z całym szacunkiem, ale w tym konkretnym przypadku nie mogę zgodzić się z pańską opinią – zaprotestował Weiss.

– A to niby dlaczego?

– Stosując wspomnianą metodologię analiz, nie musimy badać każdego wraku z osobna. Wystarczy skatalogować wektory skupisk, by wykryć ewentualne odstępstwa od reguł bądź anomalie. W tym przypadku wszystkie wskazania pasują idealnie do jednego tylko schematu. Dotyczy to każdego przebadanego do tej pory skupiska. Te floty zostały zniszczone przez przeciwnika, który albo nie poniósł w trakcie walk żadnych strat, albo zebrał po bitwie wszystkie należące do niego wraki.

– Lub był to jeden okręt dysponujący niewyobrażalną siłą ognia – dodał najwyższy admirał.

Tej wypowiedzi nikt nie skomentował, wszyscy spuścili głowy, wspominając niedawne wydarzenia z Układu Słonecznego.

\* \* \*

Rutta przetarł twarz obiema dłońmi. *Munin* podchodził właśnie do trzeciego z kolei wrakowiska, na którego skraju roilo się od obiektów uznawanych przez Weissa za kapsuły ratunkowe. Dziewięć godzin, jakie minęły od pojawienia się ludzi w tym odległym, tajemniczym systemie, pozwoliło na potwierdzenie zaproponowanych przez pułkownika teorii. Systemy floty, pomimo zaangażowania mocy obliczeniowej wszystkich pancerników i krążowników, nie znalazły nawet jednego wraku, który nie pasowałby do odkrytego przez wywiad schematu. Tezę Weissa potwierdzały nie tylko ich wektory, ale też analizy składu stopów używanych do budowy zniszczonych jednostek oraz charakterystyczne podobieństwa konstrukcyjne. Te okręty wyprodukowała jedna rasa. Koniec, kropka. Wszystkie zostały też zniszczone atakiem z jednego kierunku.

Najwyższy admirał przyjmował raporty omawiające ten temat z umiarkowanym zainteresowaniem. Znacznie bardziej interesowały go materiały dotyczące ostatnich chwil Ziemi. Skanery wszystkich jednostek należących do eskadry *Asgarda* pracowały w trybie pełnej gotowości od ogłoszenia alarmu bojowego, dzięki czemu te kilka minut dramatu zostało udokumentowanych wieloma godzinami nagrań, a system kwantowej wymiany danych pomiędzy eskadrowcami umożliwił Rutcie obejrzenie zagłady Ziemi z pozycji niemal każdej jednostki, jaka znajdowała się w tym sektorze przestrzeni aż do momentu skoku *Asgarda*.

Rutta zapoznał się także, i to wielokrotnie, z materiałami przesłanymi przez stację monitorowania, przy czym za każdym razem wpatrywał się uważnie w mikroskopijną jednostkę Obcych, jakże niepodobną do wszystkiego, czym dysponowali ludzie i ma'lahn. Kimkolwiek byli nowi agresorzy, ich potencjał militarny wykraczał daleko poza zdolności skrzydlatych rzeźników, a nawet – choć tego nie mógł być już pewien – rasy stojącej za stworzeniem *Oumuamua*.

*Diament*, jak ochrzcił na swoje potrzeby intruza, dysponował napędem podobnym do tego, z którego korzystał kanciasty transportowiec Obcych. O tym

mogło świadczyć choćby pojawienie się tego statku w samym środku Układu Słonecznego, i to bez pozostawienia czytelnych sygnatur wejścia, jak to ma miejsce w przypadku skoków podprzestrzennych. Broń, której użyli Obcy, i to trzykrotnie, o czym Rutta dowiedział się dopiero po gruntownej analizie materiałów nadawanych przez stację monitorującą już po zniszczeniu Ziemi, gdy *Asgard* szykował się do ucieczki, była jeszcze bardziej niesamowita. Wypluwane przez okręt Obcych pociski energetyczne – ten proces naprawdę nie przypominał klasycznego strzału – rozpędzały się w niespełna trzy dziesiąte sekundy do prędkości nadświatłowej, by powrócić do przestrzeni euklidesowej tuż przed celem. W przypadku Ziemi systemy zarejestrowały ponowną materializację świetlistej sfery zaledwie sto szesnaście kilometrów od powierzchni planety, daleko za tarczą Kaupa.

W wypadku Marsa, który został zaatakowany cztery dziesiąte sekundy później, sytuacja wyglądała jeszcze ciekawiej. Pocisk przeleciał z prędkością nadświatłową przez znajdującą się na linii strzału Czerwoną Planetę, po czym zmniejszył prędkość i zmiotł z jej orbity stację mieszczącą sztab pierwszego metasektora. Choć cel był miliardy razy mniejszy, Obcy unicestwili go z identyczną precyzją. Trzeci strzał oddano w stronę Jowisza, ale czy jego celem miały być znajdujące się tam instalacje przemysłowe czy ukryta pod lodem kolonia na Europie, tego Rutta nie mógł się niestety dowiedzieć, ponieważ *Asgard* opuścił normalną przestrzeń, znikając z Układu Słonecznego w momencie, gdy pole siłowe chroniące jego dziobową część przyjęło uderzenie pierwszych z wielu kwadrylionów odłamków, które przebiły z pozoru niezniszczalną tarczę Kaupa.

Najbardziej przerażające zaś było to, co odkrył przypadkiem jeden z techników pionu łączności, który w chwili ataku odbierał rutynowy raport wysłany z Anzio. Transmisja została przerwana, co wydawało się zrozumiałe, ale gdy dociekliwy podoficer przyjrzał się uważniej metadany w trakcie obrabiania pliku, dostrzegł zastanawiającą rozbieżność. Kontakt kwantowy utracono siedem tysięcznych sekundy przed tym, nim powinien zaniknąć. To

była naprawdę mikroskopijna różnica, lecz nigdy wcześniej nie doszło do podobnej sytuacji. Urządzenia, za pomocą których kontaktowano się w czasie rzeczywistym z oddalonymi o setki lat świetlnych koloniami, osiągały precyzję nieosiągalną dla zwykłego sprzętu, zatem takiego odstępstwa nie dało się wytłumaczyć niczym, chyba że Anzio zaprzestało nadawania w tym właśnie momencie.

A zamilknięcie nadajnika kwantowego w trzecim metasektorze dokładnie w chwili ataku na Ziemię...

Rutta wolał nie myśleć, co to mogło oznaczać. Długo też zastanawiał się, czy nie zataić tej informacji przed pozostałymi dowódcami, lecz gdy kilku z nich zaraz po pierwszej odprawie zaczęło żądać przerwania badań tego systemu i powrotu na terytorium Federacji, przedstawił wszystkim nie tylko szokujące odkrycie łącznościowca, ale też wynikające z niego wnioski. Wspomniał również o niedogodności, jaką była prawie minutowa niedyspozycja napędu *Oumuamua*. Siedząc na sali odpraw naprzeciw tych ludzi, szybko zrozumiał, że po nominacji na stopień najwyższego admirała dokonał naprawdę dobrego wyboru, kierując tych właśnie, a nie innych oficerów na stanowiska dowodzenia jednostek wchodzących w skład zespołu uderzeniowego *Asgarda*. Dyskusja była żarliwa, to prawda, ale za to bardzo krótka. Po niej wszyscy obecni zgodzili się co do jednego: powrót nie był najlepszym pomysłem, przynajmniej na razie.

– Najwyższy admirał, mamy kontakt z *Muninem* – zameldował wachtowy, wyrrywając go z zadumy.

– Przełączcie transmisję na główny wyświetlacz – rozkazał.

Strop i jedna ze ścian pomieszczenia zostały przesłonięte panoramiconem, dzięki któremu ludzie mogli odnieść wrażenie dryfowania w bezbrzeżnej pustce kosmosu, tym żywsze, że systemy nawigacyjne wzmacniały przekaz, odsłaniając wszystko to, czego ludzkie oko nie zdołałoby wychwycić. Wokół unosiły się szczątki zniszczonych okrętów. Jedne obracały się wokół własnej osi, inne sunęły majestatycznie jak niegdyś okręty, z których zostały wyrwane albo odcięte niepojętą siłą. Te maleńkie, nie większe od kryształka lodu, i te wielkie

jak domy. Rutta momentami odnosił wrażenie, że było ich tam więcej niż gwiazd.

*Munin* opuścił właśnie skraj sferycznego wrakowiska, kierując się na sektor przestrzeni, z którego odbierano najbliższe wychwytywane sygnały. Najwyższy admirał dostrzegł w atramentowej czerni mrowie pojawiających się i znikających w leniwym rytmie czerwonych światełek.

Zadziwiające, pomyślał, te istoty nie tylko używały kapsuł ratunkowych jak my, ale stosowały także identyczne metody ich oznaczania. Montowały nadajniki pozwalające zlokalizować dokładną pozycję rozbitków. Nawet kolor sygnału świetlnego zgadzał się z zapisami regulaminu floty. Nie to co w przypadku enigmatycznych twórców *Oumuamua*...

– Rozpoczynamy pierwsze podejście do celu – zameldował kapitan Bronowicki, gdy sondy dokonały pełnego mapowania namierzonego obiektu. – Poszycie mocno uszkodzone – dodał, nie kryjąc zawodu. – Przechodzimy do kolejnego obiektu.

Dopiero za piętnastym razem udało się znaleźć kapsułę, która nie została rozhermetyzowana podczas eksplozji bądź przy okazji licznych kolizji, do których musiało dojść w trakcie tak długiego lotu przez wrakowisko. W polu widzenia holokamer pojawił się niewielki automatyczny holownik. Jednostka używana do podejmowania z przestrzeni niedużych obiektów, takich choćby jak kapsuły ratunkowe. Metalowy kadłub celu pozwalał na wykorzystanie najprostszej metody przejścia, czyli elektromagnesów. Gdy kolisty przyczepy zetknęły się z poszyciem obłego pojazdu, Rutta pozwolił sobie na kolejną dygresję, oczywiście w myślach. Helon, jak widać, był bardziej powszechnym wyborem istot rozumnych, niż można było przypuszczać po kontaktach z ma'lahn, którzy pokrywali t'iru zadziwiającym tworzywem stanowiącym mieszaninę atomów metali z substancją organiczną albo jeszcze dziwniejszym, wymykającym się wszelkim klasyfikacjom materiałem, z którego wykonano kadłub *Oumuamua*. O *Diamencie* wolał nie wspominać, by nie dekoncentrować się za bardzo w tak kluczowym momencie poszukiwań.

– Przejęcie zakończone. Rozpoczynamy transfer do ładowni numer trzy.

Każda z podejmowanych kapsuł miała trafić do innego doku, by prace nad ich otwarciem można było prowadzić równolegle. Rutta spodziewał się bowiem, że ekipy ratunkowe natkną się na różne problemy natury technicznej, jak to zwykle bywa przy pierwszym zetknięciu z wytworami obcej cywilizacji.

– Rozpoczynamy podejście do obiektu numer dwadzieścia jeden.

Druga nietknięta kapsuła zaraz zostanie podjęta.

– Najwyższy admirał Rutta, chciałbym przedstawić panu... – pomiędzy kolejne meldunki wpasował się głos profesora.

– Nie teraz – ofuknął go Franciscollin.

– Ale...

– Nie widzi pan, co robimy?

– Widzę – zapewnił go naukowiec – i właśnie dlatego powinien pan posłuchać, co mam do powiedzenia.

Rutta oderwał wzrok od przekazu *Munina*. Pewność, z jaką przemawiał do niego Rawlings, była tak nie na miejscu, że natychmiast skupił uwagę na oknie przedstawiającym wnętrze sterowni.

– Ma pan minutę, później...

– Dwie sprawy – rzucił niezrażony chłodnym przyjęciem profesor. – Pierwsza: udało nam się zakończyć przeliczenie wsteczne wektorów i stworzyć teoretyczny model przebiegu tej bitwy.

– Co pan powie – mruknął najwyższy admirał, poirytowany faktem, że znów dał się wrobić w jakieś durne rozmowy. Tak, przebieg bitwy był niewątpliwie bardzo interesujący, ale nie na tyle, by skupiać się na nim teraz, na kilka minut przed próbą otwarcia przejętej kapsuły. – Fascynujące...

– Owszem. Proszę tylko spojrzeć.

Rutta zerknął na otwierające się okno. Holomapa przedstawiała gwiazdę centralną, większą kilkunastokrotnie od Słońca, i obie miniaturowe planety, umieszczone na wyraźnie zaznaczonych orbitach. W pasie pomiędzy nimi znajdowało się dziewięć jaśniejszych sfer podobnej wielkości. Profesor zrobił



powiększenie jednej z nich. Pośrodku masy przeróżnych jednostek, z których część była dopiero rekonstruowana, przez co wyglądały jak przekroje modeli albo nawet szkielety, wisiała gigantyczna, także nieukończona jeszcze konstrukcja. Jej główny walcowaty kadłub miał dwadzieścia sześć kilometrów wysokości i ponad trzy tysiące siedemset metrów średnicy. Dziesiątki ramion dokowisk i trudnych do sklasyfikowania segmentów zwiększały kubaturę tego olbrzyma ponaddwukrotnie. To była stacja orbitalna, bez dwóch zdań. Największa, jaką Rutta kiedykolwiek widział. Nawet Anzio wydawało się przy niej miniaturką albo wręcz dziecięcą zabawką.

– Stacja jak stacja – skwitował, wciąż nie widząc sensu omawiania jej istnienia akurat w tym momencie. – Co w niej takiego ciekawego, prócz rozmiarów?

– Nie zauważa pan niczego znajomego w jej wyglądzie? – zapytał zdziwiony taką reakcją profesor.

Najwyższy admirał przestał zerkać jednym okiem na transmisję z *Munina*. Teraz, gdy Rawlings o tym wspomniał, poczuł coś jakby déjà vu. Może niedokładnie tymi słowami powinien opisać odebrane wrażenie, lecz im dłużej wpatrywał się w szczegóły tej konstrukcji, tym silniejsze miał przekonanie, że widział ją gdzieś wcześniej, może nie całą... ale poszczególne jej elementy wydawały mu się znajome.

Rzeczywiście, fascynujące...

– Jeśli chce mi pan coś powiedzieć, proszę to zrobić wprost – powiedział stanowczo, tym razem raczej zaciekawiony niż poirytowany.

Rawlings nie zareagował od razu, najpierw wprowadził następną komendę. System podświetlił kilkanaście elementów stacji, wybierając te, które wcześniej wzbudziły w Rutcie najsilniejsze skojarzenia.

– Te segmenty zrekonstruowanej stacji są niemal identyczne jak rozwiązania techniczne stosowane przez nas. Mówię niemal, ponieważ każdy z nich został jakby rozbudowany albo... unowocześniony.

Operacja podbierania kapsuł nagle zeszła na plan dalszy.

– Ta stacja nie mogła należeć do ludzkości – zaprotestował Rutta. – Wykonaliśmy skok zeroczasoprzestrzenny na odległość dziesiątków tysięcy lat świetlnych. Znaleźliśmy się w tym systemie mgnienie oka po zaatakowaniu i zniszczeniu Ziemi, trafiając na pole jakiejś dawno zapomnianej bitwy, którą stoczono ponad sto pięćdziesiąt lat temu, w czasach, gdy rozwiązania technologiczne, o jakich rozmawiamy, pozostawały w sferze marzeń. Mówimy o końcu dwudziestego drugiego wieku!

– Też tak pomyślałem, ale wtedy Sauli, to znaczy doktor Deighton, przedstawił mi wyniki swoich badań, które świadczą niezbicie, że spora część rekonstruowanych jednostek wykazuje duże podobieństwa konstrukcyjne do znanych nam okrętów.

– Może trafiliśmy na inną humanoidalną rasę, którą... podobnie jak nas... stworzyli ma'lahn?

– Bardzo interesująca teoria, najwyższy admirał – profesor po raz pierwszy nie wymienił jego nazwiska – ale znam lepszą.

– To znaczy?

– Jeśli połączyć te ustalenia z kolejnym, tym razem moim własnym odkryciem... – Rawlings zawiesił głos, by zmienić wyświetlany materiał. Teraz Rutta patrzył na coraz większe zbliżenie holomapy *Oumuamua*. Naukowiec w tym czasie kontynuował wywód. – Ten zielony kolor wektora nie dawał mi spokoju – mówił z coraz większą ekscytacją – więc zleciłem asystentom prześledzenie trasy powrotnej do Układu Słonecznego i trafiłem na coś takiego.

Wskazał miejsce, w którym płatki systemowe tworzyły dziwny kłęb. Wszędzie indziej były ułożone równolegle, lecz im bliżej kulistego tworu, tym wydawały się bardziej rozciągnięte i zakrzywione. W samym centrum natomiast, tam gdzie spoglądał najwyższy admirał, uformowały dziwaczny zgęstek, jak gdyby jakaś siła zwijała otaczającą ją przestrzeń.

– Czarna dziura?

– Brawo! – Obraz został podzielony, teraz obok obserwowanego zgęstka pojawił się podobny wir płatków, tylko znacznie większy. – Tutaj mamy jedną

z masywnych czarnych dziur ze środka naszej galaktyki – wyjaśnił naukowiec. – Podobieństwa są aż nadto widoczne.

– Zaraz! – Rutta opadł na oparcie fotela. – Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że nigdy wcześniej nie wyznaczaliście wektorów skoku biegnących przez centrum Galaktyki?

– Ależ wyznaczaliśmy – uspokoił go Rawlings. – I to więcej niż raz. Zawsze jednak uzyskiwaliśmy pomarańczową barwę wektora, oznaczającą, że taki skok jest niemożliwy do wykonania, czemu nikt się specjalnie nie dziwił.

– Skoro tak, dlaczego w wypadku tej czarnej dziury jest inaczej? – zapytał z niecierpliwością w głosie najwyższy admirał. – I co oznacza ta zieleń?

– Jeśli moja teoria jest prawdziwa, za moment otrzyma pan satysfakcjonującą odpowiedź – stwierdził zagadkowo naukowiec, wskazując na jeden z pozostałych wyświetlaczy.

– Najwyższy admirał, musi pan to zobaczyć! – Członek załogi *Munina* krzyczał, przyciągając do siebie szybownik holokamery.

Rutta zaniemówił, gdy zobaczył to, co chciał mu pokazać nieznany z nazwiska podporucznik.

Technicy po umieszczeniu kapsuły w ładowni zabrali się do otwierania panelu sterowania przy okrągłym włączniku, a kiedy udało im się sforsować zabezpieczenia, ujrzeli jakże znajomy widok. Dwanaście kwadratowych przycisków. Dziesięć oznaczonych arabskimi cyframi i dwa ostatnie, pokryte czerwoną i zieloną barwą.

– O tym właśnie mówiłem – rzucił Rawlings.

– Ale... – Najwyższy admirał z trudem przełknął ślinę. – Jak to w ogóle możliwe? Dokonaliśmy kolonizacji tego miejsca na początku dwudziestego trzeciego wieku?

– Niekoniecznie. Moim skromnym zdaniem problem dotyczy nas, nie ich... – Profesor wskazał nieokreślony kierunek, ale obaj wiedzieli, że ten gest odnosi się do wrakowisk.

– Czyli?

– Musimy pogodzić się z faktem, że to już nie rok dwa tysiące trzysta pięćdziesiąty piąty.

– A który?

– Stawiałbym na dwa tysiące pięćset sześćdziesiąty któryś, ale jestem pewien, że zawartość komputerów tych kapsuł zawiera dokładniejszą odpowiedź na pańskie pytanie.

\* \* \*

Rutta powiódł wzrokiem po twarzach otaczających go oficerów. To była już trzecia odprawa w ciągu niespełna dwunastu godzin, które minęły od zniszczenia Ziemi, ale musiał ją zwołać, tak samo jak obie poprzednie, ponieważ sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie, a on nie zamierzał dźwigać samotnie przytłaczającego jarzma świadomości, że...

– Ujmę to najprościej i najkrócej, jak to tylko możliwe – zagaił, gdy tylko wezwani zasiedli na swoich miejscach, aby nie potęgować napięcia. Ci ludzie sprawiali wrażenie, że znajdują się na skraju załamania nerwowego, co zapewne nie było takie dalekie od prawdy. – Wszyscy już wiecie, że podjęte przez *Munina* kapsuły zawierały ludzkie zwłoki. I nie mam tutaj na myśli humanoidalnych, ale mimo wszystko obcych nam istot, lecz *Homo sapiens*. To obywatele Federacji, tacy sami jak ja czy wy. – Usłyszał pomruk. W oczach podwładnych dostrzegł zdziwienie i strach. Też by tak zareagował na podobną rewelację, gdyby nie miał wcześniej okazji porozmawiać z profesorem Rawlingsem. – Pozwólcie, że wam wyjaśnię, z czym naprawdę mamy do czynienia. *Asgard* w trakcie tego skoku naruszył horyzont zdarzeń. Wektor naszego lotu przebiegał przez młodą i stosunkowo jeszcze niewielką czarną dziurę. *Oumuamua* ostrzegał nas przed wyborem tej destynacji, ale jak sami wiecie, ewakuowaliśmy się z orbity Ziemi w takim pośpiechu, że nikt nie miał czasu na wprowadzanie zmian. Nie rozgryźliśmy jeszcze zasady działania napędu zwanego zeroczasoprzestrzennym, ale metodą prób i błędów

dowiedzieliśmy się jednego. Nawet ten transportowiec podlega pewnym ograniczeniom, do których zalicza się konieczność omijania takich przeszkód jak czarne dziury. Kto tego nie uczyni, może zostać przeniesiony w nieokreśloną przyszłość, jak to się stało z nami.

– Przenieśliśmy się w czasie? – zapytała z nutą nadziei w głosie Hearne.

W spojrzeniach jej kolegów Rutta dostrzegł podobne odczucia. Podróże w czasie? To dawało tyle nowych możliwości. Mogłoby nawet ocalić Ziemię.

– I tak, i nie.

– Nie rozumiem.

– *Oumuamua* nie jest wehikułem czasu, wyjaśnijmy sobie to raz na zawsze. Nie zdołamy z jego pomocą cofnąć się do chwil poprzedzających atak na Układ Słoneczny. To maszyna podlegająca prawom fizyki, także tym, których jeszcze nie zdołaliśmy poznać, a jednym z nich, i to powszechnie znanym, jest fakt spowolnienia upływu czasu po przekroczeniu horyzontu zdarzeń. Muskając tę granicę, zza której nie ma powrotu... – zawiesił głos, by sami wyciągnęli wnioski.

– ...zafundowaliśmy sobie coś w stylu efektu Pielgrzymów – dokończył za niego Papadopulos.

– Pięknie pan to ujął, admirale.

– Zatem to pole bitwy... – Hearne nie zdołała dokończyć zdania.

– Tak. Dotarliśmy do ostatniej reduty ludzkości w wojnie z nowym najeźdźcą. Naszym specjalistom udało się przed chwilą odszyfrować dane pozyskane z komputerów podjętych kapsuł. Systemy nie umiały ich prawidłowo sklasyfikować, ponieważ to zupełnie nowe kodowanie, wprowadzone do użytku dziesiątki lat po naszej ucieczce, ale mimo wszystko oparte na wspólnych podstawach.

– Który mamy obecnie rok? – wpadł mu w słowo kontradmirał Feist z nowego *Baldura*.

Rutta zignorował ewidentne naruszenie regulaminu, coś, co nie powinno się zdarzyć tak doświadczonemu dowódcy. Wszyscy byli w szoku, on sam nie

zdążył się pogodzić z rewelacjami, postanowił więc, że ten jeden jedyny raz odpuści.

– Dwa tysiące pięćset sześćdziesiąty trzeci – wypowiedział te słowa bardzo powoli. – Konkretniej mówiąc, mamy dzisiaj jedenastego czerwca dwa tysiące pięćset sześćdziesiątego trzeciego roku.

– Nie...

– Tak.

– Więc te wszystkie okręty... – Papadopoulos wskazał gródź, za którą rozciągały się gigantyczne wrakowiska.

– Tak. Znajdujemy się na bezimiennym cmentarzysku naszej floty. Te niesamowite dwukilometrowe giganty to zapewne pancerniki siódmej albo nawet dalszej generacji. Po naszym zniknięciu ludzkość broniła się przed ostateczną zagładą przez niemal pięćdziesiąt lat. Wszystko wskazuje na to, że wycofywaliśmy się w głąb ramienia, próbując uciec przed wrogiem, ale dopadł nas nawet tutaj. Być może nigdy nie zdołamy dociec prawdy i nie dowiemy się, jak przebiegały te zmagania, ale obiecuję wam, że nie spoczniemy, dopóki nie wygrzebiemy z tego złomowiska ostatnich bitów informacji.

– Skoro przenieśliśmy się w czasie, Obcy są pewni, że unicestwili nas wszystkich... – wtrąciła Hearne tak nieobecny głosem, jakby mówiła do samej siebie.

– I właśnie dlatego mamy naprawdę spore szanse na przetrwanie. – Rutta uśmiechnął się, wypowiadając te słowa.

Na *Asgardzie* służyło ponad szesnaście tysięcy mężczyzn i kobiet. Znacznie więcej niż trzeba do odbudowania cywilizacji.

# Nota od autora

Nie czytajcie poniższego tekstu przed lekturą tego tomu!

Jak zapewne wiecie, jestem nie tylko pisarzem, ale też tłumaczem, i to właśnie praca nad przekładem kilku długich cykli powieściowych pozwoliła mi zrozumieć, że nawet najlepsza opowieść musi mieć koniec, ponieważ odcinanie w nieskończoność kuponów może jedynie prowadzić do nieuchronnego spadku poziomu, a co za tym idzie, popularności tworzonej serii.

Z drugiej strony, zamknięcie całego wszechświata w czterech tylko księgach (nie licząc apokryfu) byłoby jeszcze większym grzechem. Tak przynajmniej twierdzicie Wy, Czytelnicy, w każdej niemal rozmowie – czy to w mediach społecznościowych, czy na spotkaniach. Wiem, że jest w tym sporo racji, i właśnie dlatego chciałbym Wam zaproponować złoty środek: „Zwycięstwo albo śmierć” zakończy definitywnie tę część opowieści o dwudziestym czwartym stuleciu, lecz jak zapewne zauważyliście, umieściłem w nim nierozwiązany – celowo – wątek memoriału rodziny Święckich. Na nim właśnie zamierzam się skupić w następnej powieści z uniwersum „Pól dawno zapomnianych bitew”, w której przedstawię historię o ponad sto lat wcześniejszą, dotyczącą wydarzeń poprzedzających wybuch wojny domowej.

Ta książka będzie tym samym, czym Expanded Universe jest dla kanonicznych „Gwiezdných wojen”. Znajdziecie w niej kilka znajomych wątków, a nawet postaci, ale zupełnie nową i nie mniej ciekawą opowieść. Pewien przedsmak tego, co otrzymacie w liczącej dwa tomy podserii „Per aspera ad astra”, może dać Wam lektura „Kuźni” włączonej w treść „Ucieczki z rajy”.

Co zaś się tyczy *Asgarda* i jego załogi.

Testowi Czytelnicy uzmysłowili mi już, i to naprawdę dobitnie, że ten temat zasługuje na kontynuację, a że nie jestem obojętny na głosy ludzi, dla których tworzę, nie pozostaje mi nic innego, jak spełnić te żądania, zwłaszcza że w trakcie końcowych prac nad tym tomem doszliśmy do porozumienia (z wydawcą i beta-testerami), że wrzucanie na siłę pewnych wyjaśnień dotyczących *Obcych* wypadłoby sztucznie. Tym bardziej że to naprawdę złożona kwestia – możecie mi wierzyć, że nie usiadłbym do „Pól...”, gdybym nie miał rozpisanego szczegółowego tła tej opowieści, łącznie z jej satysfakcjonującym zakończeniem.

Tak więc spodziewajcie się osobnej książki, w której poznacie całą prawdę o ma'lahn i wszechświecie, ale to już będzie naprawdę inna historia.

Robert J. Szmidt, styczeń 2018



# Spis treści

Cytaty

ZWYCIĘSTWO ALBO ŚMIERĆ

PROLOG

Część pierwsza. AKADEMIA

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

Część druga. DEMONY PRZESZŁOŚCI

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

### Część trzecia. ODWET

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

### Część czwarta. BÓG

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

EPILOG

Nota od autora

Spis treści

[Strona redakcyjna](#)

Copyright © by Robert J. Szmidt 2018  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by  
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2018

Informacja o zabezpieczeniach:

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem,  
zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.  
Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Urszula Gardner

Projekt, opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Tomasz Maroński

Wydanie I e-book  
(opracowane na podstawie wydania książkowego:  
*Zwycięstwo albo śmierć*, wyd. I, Poznań 2018)

ISBN 978-83-8062-901-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

e-Book: Sławomir Folkman / [www.kaladan.pl](http://www.kaladan.pl)